PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIĄTY. — TOM XX.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1888.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1888.

WAŻNIEJSZA OMYŁKA DRUKU.

Str. 162 wiersz 30 *zamiast:* najskromniejszych *czytaj:* **najskrajniejszych**

KAPŁAŃSKA I LITERACKA DZIAŁALNOŚĆ
KS. STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO[1].

I.

Podróż z Rzymu do Polski. — Wizyta u Manzoniego. — Pierwsze wrażenia w kraju ojczystym. — Prace kaznodziejskie. — Rekolekcye. — Listy duchowne. — Wykłady katechetyczne.

Dobre w serce Chołoniewskiego rzucone nasienie wzniosłych, miłością Bożą i bliźnich przejętych zamiarów; twarda, ciągła praca podjęta nad udoskonaleniem własnego serca i rozumu, aby rozum i serce harmonijnie przyczyniać się mogły do spełnienia tych zamiarów, wydały już w Rzymie piękne i bujne kwiaty; właściwe owoce zaś wydać miały dopiero w ojczyźnie. Chołoniewski nie szukał w wiecznem mieście ani nowych wrażeń, ani tem mniej karyery, lecz tylko najzdrowszego i najlepszego pokarmu dla ducha i umysłu; zaspokoiwszy teraz wedle możności to swoje pragnienie, wracał czemprędzej do rodzinnego kraju, aby dlań pracować, dzieląc się z współziomkami nabytymi skarbami. Jak pracę tę praktycznie rozpocząć, w jakim kierunku z szczególnym naciskiem ją prowadzić, do czego mam się wziąść najprzód? — takie pytania zadawał Chołoniewski sobie i towarzyszowi swemu ks. Ożarowskiemu, wracając do Polski; ale że na sposobności do pracy z pewnością mu nie zbędzie, że jako obywatel, jako uczony, a przedewszystkiem i na pierwszem miejscu jako kapłan, będzie miał przed sobą na Podolu obszerne, aż za obszerne pole do działania, o tem ani na chwilę nie wątpił i w tem się nie mylił.

[1] Por. *P. P.* t. XIV, XV i XVII.

Jednostajnie tocząca się, smutna droga przez Kampanję rzymską doskonale nadawała się do poważnych rozmyślań i rozmów nad przeszłością i przyszłością. „Kampanja rzymska, notował Chołoniewski w nieodstępnym dzienniczku [1], zaraz w pierwszym dniu po wyjeździe z Rzymu, bardzo pomaga przyjeżdżającemu „do zebrania ducha, do rozmyślania wielkich prawd, przygotowuje „umysł do rzeczy wielkich, które ma oglądać; wyjeżdżającemu służy za upomnienie, czego ma się spodziewać po ma„nowcach świata, jeśli opuści stolicę wiary i starych cnót chrześcijańskich, jeśli w sercu przynajmniej nie zachowa pamięci na „tak hojnie rozsypane w Rzymie cuda łaski i natury. Nie może „sobie wystawić, kto nie widział, ile te pola bezbrzeżne, *ubi re„gnat silentium Domini*, umysł podnoszą, ile nam mówią o Bogu „i o naszym stosunku do Boga". W Lorecie odprawili podróżni Mszę w świętym domku, a Chołoniewski ofiarował drogocenną lampę z podziękowaniem N. Pannie za tyle za jej przyczyną otrzymanych dobrodziejstw: „że wyjechałem z Janowa świeckim, a wra„cam kapłanem; że przez cały czas pobytu w Rzymie miałem „przed oczami najpiękniejsze przykłady cnót i pobożności". Otrzymane w Rzymie polecające listy do wielu osób w Bolonii, Modenie, Medyolanie i kilku jeszcze innych miastach i miasteczkach, nie na wiele się przydały, bo kto tylko biedą, lub nagłem zajęciem nie był przykuty do miasta, wyruszył z pewnością na wieś używać październikowych wakacyj. Szczęściem Manzoni przynajmniej, którego Chołoniewski bardzo rad był poznać, bawił w tej chwili w Medyolanie; ale czy słynny poeta zechce przyjąć nieznanego sobie polskiego księdza? Włoscy znajomi dawali na to pytanie nie bardzo zachęcające odpowiedzi. Rektor medyolańskiego seminaryum X. Ratti „przyznał, że będzie może trudnem poznać się z Manzo„nim, który skromny i spokojność lubiący, unika zgiełku; przecież „zaręczył, że będzie tentował. Kazał nam za godzinkę wrócić. By„liśmy akuratni; przyniósł nam przyjemną nowinę, że Manzoni „chce nas przyjąć".

---

[1] Dzienniczek ten, bardzo zresztą tym razem lakonicznie prowadzony, urywa się już po kilkunastu dniach.

„Manzoni jest wieku średniego, bliski jednak pięćdziesięciu „lat, blady, twarzy podłużnej, poważnych rysów, oczy ma żywe „bardzo momentami, jąka się nieco; słodycz, skromność i ciche „cierpienie malują się na jego rysach. Palił fajeczkę przy kominku, „kiedyśmy weszli; zastaliśmy go w gabinecie. Z uprzejmością, bez „przesady, a nie ze zbytnią poufałością przyjął nas ten dobry czło„wiek; widać było, że przekonany o naszej chęci szczerej i prostej „poznania poczciwego człowieka bardziej jeszcze, niż sławnego pi„sarza; dość też chętnie na przyjęcie nas zezwolił, zwłaszcza że mu „księży towarzystwo nie jest przykre, ani obce. Mało co, lub wcale „nic o jego pismach nie było mowy. Zdanie swe wyraził o Bour„daloue, Segnerim. Goethe po prostu zginął. Goethe mówił Cou„sin'owi: *Le doute me tue.* Chciał bardzo Manzoni poznać *l'Abbé* „*Lamennais;* stronnikiem jest jego wielkim; *l'Avenir* czytał. Ksiądz „Lamennais mawiał w Rzymie o Włochach: ‚Brak im było dotąd „języka dla wyrażenia obecnych potrzeb towarzyskich; dopiero „Manzoni język im stworzył'. — Powtórzyłem te słowa Manzo„niemu. Zdanie jego o pobożności francuskiej i budujące, skromne „wyznanie błędów młodości. — Nie można było dłużej go nudzić; „pożegnaliśmy się z żalem, że tak mało korzystać mogliśmy z to„warzystwa takiego człowieka, wdzięczni jednak Opatrzności Bożej „za te krótkie chwile, co nam tak miłe i pożyteczne zostawiły „w sercu wrażenia".

Długa, gorąca modlitwa przed relikwiami patrona Medyolanu, św. Karola Boromeusza, którego święto właśnie bardzo uroczyście obchodzono, pokrzepiła podróżnych na dalszą, nużącą drogę. A była to droga istotnie tym razem nużąca, bo już w ostatnich dniach 1832 r. stanął ks. Stanisław z wiernym swym towarzyszem i dozgonnym przyjacielem nigdzie dłużej się nie zatrzymując na ojczystej ziemi; a niebawem powitał dobrze sobie znane mury Janowa, przycisnąć mógł do serca z utęsknieniem czekającą go, ukochaną rodzinę.

W liczbie zbiegających się ze wszech stron przyjaciół i krewnych, zabrakło jednego, którego ks. Stanisław kochał zawsze i cenił, jako najlepszego przyjaciela, a starszego brata — Mikołaja Grocholskiego. Smutne współczesne wypadki krajowe uwięziły Grocholskiego w Kijowie, a zapędzić go miały daleko na Wschód, bo

aż do Kurska; choć stosunkowo niezbyt długo na wygnaniu bawił i w każdym liście zapewniał, że mu na niczem nie zbywa, łatwo sobie wystawić, z jakim niepokojem zwracano myśl ku wygnańcowi, jak losem jego martwiono się równie w Strzyżawce, jak w Janowie i Kamieńcu. Na pierwszą wiadomość, że Mikołaj opuścił już Kijów i dalej na Wschód podążył, wysłał ks. Stanisław do stroskanej siostry Emilii list krótki, ale w którym całe jego prawdziwie braterskie, głęboko chrześcijańskie serce się odbija [1]: „Choć „spodziewana, przecież była mi bolesna ta nowina; tembardziej „Tobie, moja Mysiu. Bardzo w to wchodzę i ubolewam, lecz cieszę „się przytem, że mamy co cierpieć i na tej ziemi wypłacać długi „nasze i cieszyć się z krzyża Chrystusowego, bez którego życie naj„pomyślniejsze byłoby nieznośnem; bo na tej ziemi, na której Pana „naszego tak srodze traktowano, wstyd i bolesno dzieciom i wier„nym żyć bez cierpień. Głowa cierniem ukoronowana, a członki „mają leżeć w puchu?! Cieszmy się więc, żeśmy nie odrodne dzieci „tak wielkiego i kochanego Ojca... Moja Mysiu, jak ci też zdro„wie służy i humor? Zrób sobie dobry kapitał dobrego humoru, „żebyś z gołemi rękami nie przyjechała do Mima; i mów sobie nie „raz: wszystko fraszka, przeciwko wieczności. Stare to, ale korzy„stne dla duszy przysłowie".

W podobny sposób, to wzrok ku niebu kierując, to własnym dobrym humorem wywołując uśmiech na usta, pocieszał Stanisław samegoż ciężko doświadczonego szwagra [2]: „Codzień o Tobie w ofie„rze św. pamiętam z obowiązku przyjaźni, pokrewieństwa i wdzięcz„ności: *Funiculus triplex non facile rumpitur.* Pamiętaj o Matce „Bosce Bolesnej; Jej łasce się polecaj i bądź dobrej myśli. *Et haec „olim meminisse juvabit*". Podobnie wreszcie, bo w tym zwłaszcza czasie przypadło mu być Aniołem pocieszycielem całej swej rodziny, dodawał otuchy siostrze, a raczej poważnej już teraz Matce Cecylii, lękającej się nie bez podstawy o byt przed trzema latami założonego przez Grocholskich klasztoru Wizytek w Kamieńcu i pół poważnie, pół żartobliwie zalecał i prosił, aby robiąc co można, niepożyteczne troski na Pana Boga zdała, który

[1] Ziatkowce 28 kwietnia 1833.
[2] Berdyczów 25 maja 1833.

radził i radzi o swej czeladzi. „I mnie samemu, dodawał kiedyindziej [1], nie trzeba tej prawdy z pamięci wypuszczać; w czasie mej „nieobecności znaleźli się ludzie, którzy robili co mogli, żeby mię „zrujnować. Dzięki Bogu — nie potrafili; i w przyszłości Bóg nas „obroni, byleśmy z naszej strony, Bogu ufając, sami rąk nie opu„szczali, a starali się o rozszerzenie chwały Bożej, spełniając starą „zasadę: *Ora et labora*".

Niezadługo po powrocie z Rzymu objechał Chołoniewski kilkanaście pokrewnych sobie i znajomych podolskich i wołyńskich domów; a przy tej sposobności przypatrzył się ważniejszym potrzebom i niedostatkom prowincyi, w której miał pracować; na wózku i długo w noc po pożegnaniu gościnnych gospodarzy rozmyślał, w jaki sposób i w jakiej mierze może i powinien do uchylenia tych niedostatków się przyczynić. Biedy te i potrzeby po dłuższej niebytności w kraju w tem jaskrawszych kolorach się przedstawiały. Niezupełnie jeszcze wymarłe tradycye saskich czasów złączyły się z resztkami niedawno modnego wolteryanizmu, a przyzwawszy jeszcze na pomoc raczej wspomnienia i pewne tkliwe uczucia, niż rzeczywistą dawną polską pobożność, wytworzyły w bardzo wielu umysłach i sercach prawdziwy chaos, obraz z lekka powleczony wprawdzie ogólnym pokostem religii i odziedziczonego od przodków przywiązania do wiary, ale którego pojedyńcze części wzajemnie się ze sobą kłóciły, ciągnąc na przemiany swego nieopierającego się właściciela, to do Sasa, to do lasa. Nieraz ten sam, co rano bardzo pobożnie Mszy św. słuchał, a pacierza za nic w świecieby nie opuścił, bo mu tak matka nieboszczka nakazała; wieczorem gorszył się z katolickich dogmatów, które znał raczej z Woltera niż z katechizmu; prawił niesłychane cuda o potędze i wolności rozumu, filantropii, postępie, konieczności rozwodów; jedne katolickie dogmata przyjmował, drugie samowładnie na poczekaniu odrzucał, i nie zdając sobie nawet z tego sprawy, mając się wciąż za dobrego katolika, tworzył sobie raz po raz, wedle chwilowej fantazyi i humoru, nową religię, z najróżnorodniejszych strzępków, coraz niefortunniej i niekształtniej zlepianą. Przywiązania do religii w ogóle nie brakowało,

[1] Janów 11 maja 1833.

było go może w tym czasie więcej, aniżeli przed trzydziestu lub czterdziestu latami; ale brakowało zwłaszcza znajomości fundamentalnych podstaw wiary. Duchowieństwo, którego obowiązkiem było znajomość tę rozszerzać, samo zbyt mało w ogóle było wykształcone, przedewszystkiem zbyt mało znało broń i sposób wojowania francuskich i niemieckich „filozofów“ a raczej niedowiarków, z których polscy prowincyonalni „filozofowie całą swą mądrość czerpali, aby mogło skutecznie stanąć do zapasów i rozszerzyć konieczny a zbawienny wpływ na wyższe, wrzekomo czy istotnie bardziej oświecone sfery społeczne. Panowie i szlachta chętnie wprawdzie widzieli księdza między sobą, ale nieraz przyzwyczaili się nań patrzeć wyłącznie jako na miłego towarzysza do zabawy i pogawędki; poważniejszych kwestyj w tych pogawędkach dotykano rzadko, a i wtedy ksiądz, jeżeli ze znajomością rzeczy nie łączył potrzebnej ciętości i niezależności, łatwo wychodził nie obronną ręką, cofał się, tłumaczył i w końcu, nieraz nie bez szkody dla sprawy, dawał za wygranę.

Ks. Chołoniewski zająć mógł i zajął odrazu w tym względzie zupełnie odrębne stanowisko. Znaczna fortuna, imię i stosunki rodzinne otwierały mu na oścież wszystkie pałace, dwory i dworki; dozwalały przemawiać wszędzie nie tylko w kościele, ale i w salonie śmiało i niezależnie. Dowcipy z Woltera, argumenty z Rousseau'a zaczerpnięte ustępować i wstydliwie kryć się musiały wobec uczonego, wybornie znającego ich pochodzenie, dowodzącego jasno, że te wrzekome argumenty znalazły już od dawna należną odprawę, i że przytaczanie ich prawdziwym jest anachronizmem. Więcej może jeszcze niż wewnętrzna wartość tych dowodów, na której nie wielu podobno nawet z najżarliwiej rozprawiających podolskich filozofów w całej pełni poznać się umiało, działał cięty, pewnym odcieniem staropolskiej jowialności nacechowany dowcip; wyborne, wprost do wyobraźni trafiające porównania, któremi Chołoniewski jak piśmienne tak i ustne swe rozprawy i dysputy umiał i lubiał zabarwiać. Słuchający dziwili się, że tyle rzeczy, które dotąd wydawały się im zawiłemi a może i sprzecznemi, były, byleby je należycie zrozumiano, proste a piękne, odpowiadające równie rozumowi jak sercu. Pod wpływem słów gorliwego kapłana stwierdzonych najdobitniej własnym przykładem i życiem, któremu nawet najniechętniejsi nigdy nic zarzucić nie mogli; głoszonych w różny

sposób, ale zawsze z tem samem silnem przekonaniem i miłością równie na ambonie, jak w konfesyonale; równie w wytwornych salonach jak w literackich gabinetach: otwierały się serca i wielkich i maluczkich na prawdę i piękność wiary i życia z wiary; zaczynano lepiej rozumieć a zatem i goręcej miłować wiarę chrześcijańską, i zwolna, ale tem głębiej dokonywała się zmiana na lepsze, którą późniejsi pisarze nie zawahali się nazwać: „religijnem odrodzeniem Podola".

Biskup kamieniecki, Maćkiewicz, równie jak biskup łucko-żytomierski, Michał Piwnicki, umieli ocenić, jak ważnym czynnikiem może być ks. Chołoniewski w duchownem odrodzeniu powierzonych sobie dyecezyj, i obaj w pierwszych zaraz miesiącach po powrocie ks. Stanisława z Rzymu, weszli z nim w ożywione, rzec można przyjacielskie stosunki. Na chwilę nawet ks. Piwnicki, widocznie za poradą ks. Ożarowskiego, który w Rzymie jeszcze bawiąc, pilnie urządzenia tamtejszych seminaryów studyował, a następnie w kraju na możliwe udoskonalenie seminaryów zawsze główną kładł wagę, — zamyślał powierzyć Chołoniewskiemu zarząd swego seminaryum: „Proszę najusilniej, pisał w dłuższym liście „ponawiając poprzednie ustne propozycye [1], proszę z całą ufnością, „abyśmy *junctis viribus* poświęcali prace nasze w łuckiej dyece- „zyi ukształceniu młodzieży duchownej i podniesieniu jej ducha „w stanie duchownym . . . Racz poświęcić najpiękniejsze swoje ta- „lenta ku chwale Bożej w dyecezyi łuckiej, która będzie umiała „oceniać prace Jego gorliwe". Chołoniewski chętnieby się był podobno zgodził na tę propozycyę, dającą mu szerokie a wdzięczne pole działalności; gdyby jednocześnie biskup Maćkiewicz i gorącymi prośbami i wyraźnym niemal rozkazem nie wymógł na nim, że dyecezyi Kamienieckiej nie opuści i wzbraniać się nie będzie przed zajęciem w kapitule wakującego właśnie urzędu dziekana katedralnego. Napróżno Chołoniewski od tej godności wymówić się pragnął; napróżno przedstawiał, że zbyt młody jeszcze jest w powołaniu kapłańskiem i zbyt mało zna potrzeby dyecezalne. „Tem „więcej, odpowiedział Maćkiewicz na te przedstawienia [2], pobudzi-

[1] Łuck 3 września 1834.
[2] Kamieniec podolski 3 września 1834.

„łem się do przedstawienia J. W. Pana na stopień dziekana kate-„dralnego, że unikasz tego wszystkiego, co błyszczy na świecie. „Tak ludzie cnotliwi, święci, posiadający wielką naukę robili i ro-„bią!... Nie wymawiaj się J. W. Pan; przedstawienia już posła-„łem... Uważaj w tem wolę Bożą; wreszcie masz tyle światła, „rozumu i nauki, że nie zechcesz zniweczyć dzieła najlepiej mu ży-„czących". W obec tak natarczywych nalegań, popartych energicznemi krokami, zrobionymi bez poprzedniego zezwolenia głównie interesowanego, ale których nie można było cofnąć bez kompromitacyi biskupa, wyboru nie było; Chołoniewski zawiadomił Ożarowskiego, że z przykrością zrzec się musi wspólnie ułożonego, obu równie miłego projektu, i zajął stanowisko przez Maćkiewicza sobie wyznaczone.

To rychłe wyniesienie na stosunkowo tak wysoką godność wzbudzićby musiało w innych okolicznościach niechęci i skargi; tym razem, jeśli w pierwszych tygodniach jakie żale i skargi dały się słyszeć, to ucichnąć one musiały w obec coraz powszechniejszego i głośniejszego uwielbienia dla niezmordowanej, we wszystkich kierunkach objawiającej się apostolskiej pracy nowego dostojnika. Z szczególnem zamiłowaniem oddał się Chołoniewski kaznodziejstwu. W Rzymie jeszcze gotował się pilnie do tego ważnego urzędu, robiąc liczne wyciągi z Ojców Kościoła i znakomitszych pisarzów i kaznodziejów, kreśląc krótkie szkice kazań, próbując swych sił we francuskich przemowach i egzortach, głoszonych w kilku zwłaszcza zakonnych kaplicach. Ale w Polsce dopiero w ojczystym języku rozwinąć się miał i mógł w całej pełni piękny jego talent; wymowa, zawsze z głębokiego przekonania płynąca, nabrała praktyczności, siły i barwy zachwycającej i przekonywującej coraz liczniej i chętniej gromadzących się słuchaczów.

Wargi kapłańskie będą strzedz umiejętności i zakonu pytać będą z ust jego: ponieważ Aniołem Pana zastępów jest. Wysokie powołanie i zadanie kapłana-nauczyciela nakreślone w jędrnych tych wyrazach przez proroka Malachjasza [1], stało zawsze przed oczami Chołoniewskiego, jako

[1] *Malachiasz.* II. 7.

wzniosły ideał, do którego pragnął i starał się jak najbardziej zbliżyć. Pamiętając, że kaznodzieja spełnia posłannictwo Boże, nie szczędził pracy, aby to posłannictwo wypadło jak najświetniej; z drugiej znów strony nie zapominał, że Chrystusa, nie siebie samego na ambonie ma opowiadać i że najwznioślejsze myśli, najbardziej błyszczące oratorskie zwroty, jeśli nie wiodą do lepszego poznania i pokochania Chrystusa i wiary Jego, nie są prawdziwą chrześcijańską wymową, ale wyłącznie tylko jej karykaturą. Stosy notatek z najlepszych polskich, włoskich, niemieckich i francuskich mowców; liczne własnoręcznie przezeń spisane i uporządkowane wyjątki z pism Ojców i doktorów Kościoła; parę grubych rękopiśmiennych książek, opatrzonych wspólnym tytułem *Zapas kaznodziejski* [1], rozpoczętych w Rzymie, później na Podolu aż do ostatnich chwil życia prowadzonych i uzupełnianych; świadczą po dziś dzień najlepiej, jak Chołoniewski na seryo na urząd kaznodziejski się zapatrywał i nie żałował ni czasu ni pracy, aby kształcąc się na najlepszych mistrzach, choć zdaleka w ślady ich wstępować i wedle możności wszystkim stać się wszystkiem.

Istotnie to była najwyższa jego ambicya; przedewszystkiem i na pierwszem planie miał zawsze na oku duchowny pożytek dusz, które nauczał; oryginalność i bogactwo myśli, blask krasomówczych zwrotów, świetność wyrażenia, słowem to wszystko, co mogłoby i miałoby naturalnie mu zjednać literacki poklask i szerszą sławę, nie nęciło go, jeżeli takim kosztem okupićby należało jasność i pe-

[1] Zupełny tytuł tego zbioru brzmi: *Zapas kaznodziejski, czyli wyciągi i wolne przekłady na język ojczysty: kazań, mów, rozmaitych pism ascetycznych znakomitszych polskich, włoskich, niemieckich i francuskich kaznodziejów i pisarzów.* Dla dania jakiego o nich wyobrażenia a zarazem pracowitości ks. Chołoniewskiego w tym kierunku, dość będzie choć w najgłówniejszych zarysach z treścią jednej z wymienionych książek się zapoznać. Tak np. pierwsza z rzędu zawiera: blisko sto mniej lub bardziej obszernych wyjątków kazań i homilij Ojców Kościoła, przeważnie: Ambrożego, Augustyna, Chryzostoma, Bernarda, Grzegorza W., Leona W., Fulgencyusza; kilka listów św. Hieronima; wyjątki z *Sumy* św. Tomasza; kilkanaście modlitw i przykładów, wyjętych z żywotów świętych; wyjątki z *Ćwiczeń duchownych* św. Ignacego Lojoli; przekład kazania *Bossueta*: „O żywocie skrytym w Bogu"; przekład trzech kazań *Veitha*. Wszystkie wyjątki z doktorów i Ojców Kościoła w poprawnym przekładzie polskim, dokonywanym z niemałem staraniem, jak widać z licznych poprawek i zmian.

wną ewangeliczną prostotę wykładu, zadawalniającego umysł i serce ludzi wykształconych, ale przystępnego i dla maluczkich. Był to kaznodzieja *popularny* w dobrem i prawdziwem tego słowa znaczeniu: nie siebie samego, nie własną swą naukę, lecz Chrystusa opowiadał; a choćby zabrakło świadectwa żywej tradycyi, to i z martwych słów dziś jeszcze widać, że gorącem swem, kochającem słowem, wielu i silnie do Chrystusa pociągać musiał.

Po raz pierwszy wystąpił Chołoniewski na szerszej scenie kaznodziejskiej i odrazu wymową zasłynął w październiku 1833 r., na pogrzebie krewnego swego, Michała Grocholskiego, starosty zwinogrodzkiego, właściciela uroczej Strzyżawki. Obecny na pogrzebie Henryk Rzewuski, mąż córki zmarłego Julii; sama Julia, brat jej Henryk Grocholski, wreszcie biskup Maćkiewicz, wymogli na mowcy, że pozwolił wydrukować swą przemowę, która też niebawem wyszła w Berdyczowie, opatrzona dedykacyą: „Henrykowi hr. „Grocholskiemu, Julii z hr. Grocholskich hr. Rzewuskiej, po zgo„nie najlepszego ojca dzieciom pobożnie zasmuconym, na pamiątkę „wspólnej miłości, przyjaźni i tęsknoty po zmarłym, poświęca kre„wny, przyjaciel, kapłan St. Myszka Chołoniewski“. Odczytując dziś jeszcze tę przemowę, którą Chołoniewski podobnie jak wszystkie swe nauki i kazania, stając do walki z wygodną może, ale nie chwalebną tradycyą, wygłosił z pamięci: nie trudno pojąć szczery zachwyt słuchaczów, zbyt zresztą przez innych ówczesnych kaznodziejów nie rozpieszczonych. Język piękny, na pisarzach XVI w. wykształcony, w obec którego dawniejsze młodzieńcze wypracowania robią wrażenia bohomazów, postawionych obok nie arcydzieł wprawdzie, ale obrazów wykończonych i pociągających; idzie w parze z treścią bogatą, w źródłach Objawienia zaczerpniętą; z uczuciem płynącem spokojną, ale głęboką rzeką. Chołoniewski widział przedewszystkiem w zmarłym krewnym dobrego chrześcijanina i dobrego chrześcijanina wysławiał; jak we wszystkich późniejszych swych mowach, tak już w tej pierwszej na chwilę nie zapomniał, że wszelkie ziemskie zaszczyty i pochwały, zwłaszcza w obec otwartego grobu, bardzo tylko względną mieć mogą wartość, i że szczególnie kapłanowi w imieniu Kościoła przemawiającemu, nie wypada zbytniej wagi kłaść na to, na co Założyciel Kościoła nie kładł żadnej wagi. Stąd, stojąc tak nad tym, jak nad innymi grobami; tak łą-

cząc oblubieńców ślubnym pierścionkiem, jak wkładając raz po raz na ręce pierścień oblubienic Chrystusowych w kamienieckim klasztorze Wizytek; stanowczo zerwał z tu i owdzie błąkającemi się pozostałościami i nawyknieniami panegirycznej epoki; sławił nie ziemskie przymioty, ale nadprzyrodzone cnoty; nie ludzkie, ale Chrystusowe rodowody i herby.

Biskup kamieniecki zachwycony przemową ks. Stanisława nad grobem starosty zwinogrodzkiego, zamianował go natychmiast kaznodzieją przy swej katedrze. Nie była to *sinekura*, a przynajmniej Chołoniewski za taką jej nie uważał; rzadka była niedziela lub święto, w które zimą w Kamieńcu w katedrze, latem w Janowie, lub w której z sąsiednich wiosek, nie głosiłby słowa Bożego. W pierwszych latach po powrocie z Rzymu rzadko kiedy Chołoniewski wyszedł na ambonę, nie spisawszy wprzód dosłownie całego kazania. Później, wśród nawału coraz liczniej rosnących i coraz cięższych zajęć zadawalniał się zazwyczaj rzuceniem na papier kilku notatek, cytat z Pisma i Ojców św., choć i wtedy, kiedy tylko mógł, całe kazania, długo w noc pracując — jak świadczą o tem woskowe plamy, niby pieczęcie po rękopismach rozsiane — najdokładniej i z wielką pilnością wyrabiał. Zresztą najlepszem codziennem przygotowaniem, nie mówiąc już o znanym nam „Kaznodziejskim zapasie“ było wierne każdego rana zazwyczaj na tle ewangelii odprawiane rozmyślanie.

Całą działalność kaznodziejską Chołoniewskiego podzielićby można na dwa główne peryody. W pierwszym żywo mając przed oczyma harmonijną całość zaczerpniętej w Rzymie teologicznej wiedzy, odsłaniał przed słuchaczami piękności jej i tajniki; kładł główny nacisk na szerzenie — o ile można — najdokładniejszej znajomości prawd wiary, wychodząc z bardzo słusznej zasady, że kto pozna majestat i piękność wiary Chrystusowej, ten musi się przed nią ukorzyć i nie może jej nie umiłować. W drugim peryodzie obejmującym mniej więcej ostatni dziesiątek lat życia, zbliżywszy się bardziej i głębiej poznawszy społeczeństwo, dla którego pracował, jego wady i potrzeby; wstępnym bojem na te wady uderzał, potrzeby i choroby serca analizował jako doświadczony już lekarz i podawał na nie praktyczne ewangeliczne lekarstwa. Nauka Chrystusowa, mniejsza o to w słowach czy w czynach wyrażona, była

zawsze, równie w pierwszym jak i w drugim peryodzie, nie tylko głównem, ale — śmiało rzec można — jedynem tłem wszystkich jego przemówień; tylko w pierwszych latach nieco szkolnie podawana, nie zrosła się jeszcze tak z życiem jak później, dosięgnąć i przeniknąć nie mogła najskrytszych, a pomimo to tak dobrze kaznodziei znanych zakątków serca ludzkiego. Różnica ta tembardziej w oko wpada, że z biegiem lat i zewnętrzna szata: styl, obfitość i dobór zwrotów i wyrażeń, stosując się do treści, coraz bogatszą i barwniejszą się staje; jednocześnie uczucie z początku jakby umyślnie tłumione, coraz szerszą rzeką się rozlewa; wyobraźnia zbyt lękliwie w karbach trzymana większą zdobywa sobie wolność; a tak nieco może suche przez czas pewien kazania i homilie nabrawszy ciała, życia i ognia, z inną zupełnie siłą w zwartych szeregach nacierają na wrogów: na grzechy, wady, pokusy; w innem świetle i blasku roztaczają wspaniały obraz dogmatów wiary.

Chołoniewski gromił i karcił, lecz niedość karcić śladem dawnych moralistów lub satyryków, kaznodzieja chrześcijański wyższe i szczytniejsze ma zadanie: podnosić serca i umysły do góry, do chwalenia Boga je pobudzać, do miłości Stwórcy i Zbawiciela swego zapalać. Główne to zadanie kaznodziei, głównem też było zadaniem Chołoniewskiego; każda nauka jego, choć martwe pismo nigdy o żywem słowem należytego wyobrażenia dać nie może, i dziś jeszcze świadczy, że na ambonie chciał być i był nie suchym pedagogiem, ale raczej ojcem uczącym swe dzieci, bolejącym nad ich błędami; dobrym Samarytaninem, leczącym z równą zawsze miłością choćby najcięższe rany, zadane przez grzech i namiętność. Głęboka miłość dla słuchaczów i płynąca z niej, a w każdem niemal zdaniu widoczna chęć przyczynienia się do dobra ich duszy, była przedewszystkiem tym magnesem, który ściągał do ambony Chołoniewskiego; była kluczem otwierającym serca na jego słowa Kazania kamienieckiego mówcy nie odznaczają się dogmatyczną ścisłością i bogactwem Skargi lub Bourdałou'ego, nie wzbijają się w górę orlim polotem Bossueta lub Goliana; najwłaściwiej może jeszcze, jeśli już szukać mamy porównań z bardziej znajomymi kaznodziejami, powiedziećby o nich można, że zapał i poetyczna wyobraźnia Antoniewicza weszły tutaj w retoryczne karby Massillona,

a obu często przewyższając treścią, ostatniego zwłaszcza zewnętrzną barwą nieraz przypomina.

Czyż wynikaćby z tego miało, że Chołoniewski zajmuje między kaznodziejami naszymi tak ważne i poczestne stanowisko, jak np. Massillon między francuskimi? Zdolności mu do tego nie brakło; brakło czasu i sposobności. Gdyby był mógł zawsze, tak jak francuzcy kaznodzieje ze złotej epoki poświęcić codzień kilka godzin zebraniu i przygotowaniu odpowiedniego materyału, aby następnie w swobodnej chwili i z swobodną głową z materyału tego równie wspaniałe jak pożyteczne, w drobnych nawet szczegółach wykończone gmachy budować; to bezwątpienia na podobnem, jeśli nie na wyższem stanowisku w literaturze naszej kaznodziejskiej mógłby był stanąć. Niestety! jak już wspomnieliśmy, ledwie w pierwszych latach po powrocie z Rzymu, kiedy jeszcze w historyę dusz ludzkich nie dość był wtajemniczony, a oporny język polski z pewnym trudem nałamywać trzeba było do posłuszeństwa, na taką pracę, i to nie zawsze czasu starczyło. Późniejsze improwizacye, częściej niż spisane i wypracowane kazanie, porywały wprawdzie i nawracały słuchaczów; ale bądź co bądź bliżsi i najbardziej wykształceni przyjaciele odżałować nie mogli, że tak niezwykły kaznodziejski talent w innych pracach się zużywa i potomności nie zostawi po sobie odpowiedniej spuścizny. W ostatnich dopiero miesiącach życia ustępując i własnej chęci i coraz natarczywszym naleganiom przyjaciół, zapragnął już nie dorywczo, z chwil kradzionych innym staraniom korzystając, lecz wyłącznie pracy kaznodziejskiej się poświęcić; postanowienie to nieszczęściem powziął za późno!

Zbyt wczesna śmierć nie dozwoliła zasłużonemu robotnikowi w winnicy Pańskiej spełnić w całej rozciągłości zadania, o którem marzył; nie dozwoliła zająć między kaznodziejami naszymi stanowiska, do którego uprawniał go talent coraz piękniej się rozwijający pod wpływem energicznej pracy i niemniejszej żarliwości o chwałę imienia Bożego; ale czyż owoce z pracy tej i żarliwości już zrodzone służyć miały tylko współczesnym słuchaczom, a dla potomnych bezpowrotnie przepaść? Czy nie należało przechować kazań przez Chołoniewskiego opracowanych, aby martwe to słowo prowadziło dalej choć w pewnej mierze dzieło, które z ambon podolskich tyle dobrego zdziałało? Takie pytanie zadawali sobie

wszyscy, co znali i słyszeli bardzo zresztą szeroko znanego i głośnego kamienieckiego mówcę, i wszyscy jednomyślnie na pytanie to odpowiadali twierdząco. Kraszewski zaraz po śmierci przyjaciela publicznie o wydanie kazań jego się dopominał: Arcybiskup Hołowiński, również przyjaciel Chołoniewskiego i podobnie jak on pisarz i kaznodzieja, na pierwszą wiadomość o śmierci serdecznego swego druha, pisał do Mikołaja Grocholskiego [1]:

„Po ś. p. księdzu Stanisławie pozostały rękopisma, któreby „koniecznie wydrukować należało. Wiem ja, że on mając chwałę „u Boga, nie potrzebuje chwały ludzkiej, ale tu nie idzie o chwałę, „lecz — o zbawienny pożytek. Szczególniej warte są druku jego „kazania, w których nauka, żywa wiara i święte namaszczenie naj„obficiej tryskają ku ochłodzie dusz szukających zbawienia. Mo„żnaby było komu znającemu się powierzyć przejrzenie rękopismów „i przygotowanie do druku. Jeślibym mógł zasługiwać na zaufanie, „tobym miał za szczęście i najsłodszą pracę wydanie jego kazań. „Niechbym choć tę pamiątkę uczynił mężowi, któregom zawsze ko„chał i wielbił. Lecz jakkolwiek podoba się uczynić, zawszebym „prosił w imieniu wszystkich, aby jego kazania były wydrukowane".

M. Cecylia choć uznawała zalety ks. Hołowińskiego, sprzeciwiła się wręcz poruczeniu mu wydawnictwa kazań [2], „bo on innego „był ducha, jak Stasiuniowy, a kazania muszą być przejrzane i nie„dokładności poprawione, — bo w prędkim pisaniu i mowie mogło „się coś wślizgnąć, czy z cytacyj, czy innym sposobem, co potrze„bować może poprawy. Najmocniej upraszam, żeby się z nim w tej „mierze niekomplimentować, i nic a nic mu nie posyłać. Albo od„dać papiery Stefanowi (Witwickiemu); albo najlepiej samemu się „do nich zabrać". Grocholski poszedł za tą radą i sam z pomocą matki Cecylii zajął się częściowem przynajmniej uporządkowaniem kazań; poczem choć w dziesięć dopiero lat po śmierci ks. Stanisława, bo w r. 1856, wysłał je do Warszawy, gdzie w drukarni XX. Misyonarzy miały być wydane. Kazania do Warszawy doszły, ale tutaj znowu dziwne jakieś, nieprzyjazne fatum na nich zaciężyło. Kilka miesięcy przyaresztowano je w biórach namiestnictwa;

[1] Petersburg 8 września 1846.

[2] Do *Mik. Grocholskiego* 16 października 1846.

kilka a może i więcej lat więziono je w drukarni XX. Misyonarzów, i ostatecznie — mimo że sprawą tą zajmowało się kilka wpływowych i energicznych osób, między innemi p. Róża Sobańska — nie wydrukowano. I znów po kilkunastu latach jedna z nieistniejących już dzisiaj firm krakowskich podjęła się wydania cyklusu kazań Chołoniewskiego o Najsł. Sercu Jezusowem; długo zwłóczyła z rozpoczęciem wydania, wreszcie w krytycznej chwili sprzedała manuskrypt, który widocznie, choć ani grosza zań nie dała i nie wypełniła przyjętych zobowiązań, uważała za swą bezwarunkową własność. Odtąd o kazaniach Chołoniewskiego cicho i głucho; czasem tylko, np. w pismach Helleniusza i Dr. Antoniego J. pojawia się skarga i zapytanie: „Co się stało, czy bezpowrotnie już zaginęły „kazania podolskiego mówcy?“ Odpowiedź na to pytanie dało wreszcie w roku bieżącym wydawnictwo tych kazań, uskutecznione w Krakowie [1], z przechowanych przez najbliższą rodzinę, bądź własnoręcznych rękopismów Chołoniewskiego, bądź wiernych odpisów, sporządzonych pod okiem M. Cecylii. Nie są to jeszcze wszystkie kazania; brak w nich wymienionego już cyklusu o Najsł. Sercu Jezusowem; brak francuskich przemów, wygłoszonych w Rzymie i Odessie, które w tłumaczeniu zbytby może blado wyglądały, a wątpię, aby warto je było w oryginale podawać; w każdym razie i z tych dwóch tomów powziąść można wyobrażenie o kaznodziejskiej działalności i gorliwości Chołoniewskiego, wychyla się w pełnym blasku szlachetna, poważna, miłością dla Boga i dla ludzi opromieniona postać podolskiego apostoła.

Mniej może głośną, ale bodaj czy nie skuteczniejszą jeszcze działalność rozwinął Chołoniewski szerząc znajomość niezrównanych ćwiczeń duchownych św. Ignacego Lojoli; przewodnicząc w tej drodze licznym duszom, pragnącym choćby raz w życiu na seryo nad życiem swem, jego początkiem i celem się zastanowić, wyższej doskonałości łaknącym. Wiedząc z własnego doświadczenia, jaką wagę mają dla duszy dobrze odprawione rekolekcye; jakie nowe światy jej odkrywają i na nowe zupełnie tory popchnąć ją mogą, nie szczędził ks. Stanisław pracy i starań, aby Boże to lekarstwo z nale-

[1] *Kazania* ks. Stan. Chołoniewskiego. Tomów 2. Kraków 1888. Nakładem J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.

żytą znajomością i w należyty sposób sercom podawać i w tej ważnej, ale niełatwej, przez nieprzyjaciół duszy mnogiemi zazwyczaj przeszkodami najeżonej wędrówce, być jej doświadczonym wodzem, mistrzem roztropnym a odważnym. Rekolekcye odprawiane pod najbieglejszymi mistrzami w Paryżu, Wiedniu i Rzymie, zaznajomiły go gruntownie z całym planem i taktyką św. Ignacego; pozwoliły wglądnąć i ocenić mądrość prawideł, rad i przepisów, którymi twórca „Ćwiczeń duchownych“, ze wszech stron niejako duszę otacza, nie pozwalając jej ani na chwilę zboczyć z prostej, najkrótszej drogi wiodącej do zamierzonego celu; prowadziły go kolejno drogą skruchy i pokuty, drogą pracy i cierpienia ponoszonego dla pozyskania sobie królestwa Bożego, a modlitwą osłodzonego; drogą miłości Bożej — pokazując jakby w miniaturze, wszystkie te coraz wyższe drożyny i ścieżki, któremi dusze wiernie Stwórcy swemu służące, do Stwórcy swojego całem życiem dążą. Ale inna jeszcze jest rzecz odnaleść i wdzierać się samemu po wązkiej ścieżce wiodącej do nieba; a inna po tej ścieżce drugich prowadzić. Zrozumiał to ks. Chołoniewski i dlatego, nie zadawalniając się nabytą już praktyczną, a niemal rok rocznie w czasie własnych rekolekcyj pomnożoną wiedzą i doświadczeniem; zabrał się do formalnego studyum nad złotą książeczką św. Ignacego, uważając słusznie, że najzdrowszej i najczystszej wody najłatwiej ze samego źródła zaczerpnąć. Pozostałym dowodem tego studyum jest niewielka z 67 stronnic złożona, bardzo starannem pismem wysztychowana książeczka, zawierająca z niemałą widocznie pracą przetłumaczone na język polski niektóre ważniejsze prawidła, uwagi i przestrogi, wyjęte z „Ćwiczeń duchownych“ św. Ignacego. Na pierwszej kartce czytamy następującą dedykacyę, nowy ślad prześlicznego stosunku, jaki zachodził między ks. Stanisławem a Matką Cecylią, tym dobrym Aniołem stróżem, którego jeśli nie głośnym prośbom, to odgadniętym życzeniom i ten przekład z pewnością zawdzięczamy:

„Najukochańszej w Bogu Siostrze Maryi Cecylii Chołoniew-
„skiej, Mistrzyni nowicyatu Zgromadzenia Nawiedzenia N. Maryi
„Panny, tę duchowną pamiątkę szczęśliwej trzy miesięcznej pory
„z Nią przepędzonej r. 1837 w Kamieńcu, poświęca brat i wielki
„miłośnik Jej duszy.

X. Stanisław Chołoniewski.

Najukochańsza Siostro!

„Trudno jest ubogim bogaczów obdarzać. Siedzącym przy „bankiecie królewskim żebrackie potrawy nie przyjdą do smaku. „Wszakże ponieważ i szczenięta jedzą z odrobin, „które padają z stołów panów ich, przyjm łaskawie „Siostro, tę trochę okruszyn, które i dla mnie upadły ze stołu „Oblubieńca Twego, a które ci szczerem sercem ofiaruję — a jako „Chrystus pokory niewiasty Chananejskiej nie odrzucił, tak i Ty „moją stałą nie wzgardzisz miłością".

Zapewne okruszyny to, ale złote i żałować tylko należy, że M. Cecylia nie wymogła na bracie przetłumaczenia całej książeczki św. Ignacego, do czego jędrny, pełen namaszczenia nieco archaiczny styl jego wybornie się nadawał. W każdym razie i dziś ktoby chciał wzbogacić ascetyczną naszą literaturę, niełatwem do wykonania, i dotąd podobno zupełnie zadowalniająco nie wykonanem, dokładnem, a o ile można dosłownem tłumaczeniem całych Ćwiczeń duchownych św. Ignacego, znaleśćby mógł w przekładzie ks. Chołoniewskiego niejedną wskazówkę i pomoc.

Na odprawiane w kaplicy Wizytek, zwykle trzydniowe, parę razy nawet ośmiodniowe rekolekcye, zbierało się nieraz do dwustu osób, które raz zbawiennego tego lekarstwa zakosztowawszy, same później, jak ks. Stanisław z radością stwierdzał, natarczywie go się domagały. „Wielki ma dar Staś do oświecenia duszy, zdaje sprawę mężowi Emilia Grocholska[1] — natychmiast po ukończeniu takich rekolekcyj. Miał też pociechę, że niedarmo pracował i zdrów i wesół". Sam ks. Stanisław o dawanych przez siebie rekolekcyach zwykle ani słowem nie wspomina; czasem tylko wśród mnóstwa innych wiadomości i interesów lakoniczna wzmianka[2]: „Zaczynam dziś (albo: „skończyłem dziś") rekolekcye ośmiodniowe u Wizytek, na żądanie świeckich osób". A przecież dawanie rekolekcyj, choć bardzo z niemi praktycznie i teoretycznie obeznanemu nie przychodziło bez pracy. Świadkiem tej sumiennej pracy obszernie szkicowane rozmyślania, z których np. jedno „O śmierci" zaj-

[1] Do *M. Grocholskiego*. Bez daty.
[2] Do *M. Grocholskiego* Kamieniec 16 marca 1846.

muje dziesięć stronnic dość ścisłego pisma; świadkiem zabłąkany przypadkiem w papierach: „Porządek dzienny ćwiczeń duchownych pięciodniowych, dla Najukochańszego, Najmilszego w Chrystusie Brata Mima“ i dołączone do tego porządku, również ręką Chołoniewskiego skreślone: „Pożyteczne przestrogi“, tudzież „Wybór cnót do nabycia i przeciwnych im występków do zwalczenia“. Notatki te przekonywują najlepiej, jaką wagę ks. Stanisław przywiązywał do należytego odprawiania rekolekcyj, jak je brał na seryo, a żądając, aby je odprawiający również na seryo brali, trzymał się co do litery instrukcyj św. Ignacego. „Przypominam drogiemu memu Mimowi, kończył swe pożyteczne przestrogi, że milczenie i wewnętrzne i zewnętrzne skupienie „się jest niezbędnym warunkiem do osiągnięcia z rekolekcyj pożądanych owoców. Dlatego żadnych wizyt przyjmować nie należy; listów „nie czytać, ani ich nawet nie otwierać. Te tylko czytać i te mieć „książki, które przewodnik duchowny naznaczy i pozwoli; nawet „w dozwolonych książkach to tylko czytać i rozmyślać, co tenże „nakaże: *qui vult finem, vult media*[1]. Mim nie jest w tym względzie nowicyuszem; rozumie wielką wagę drobnych rzeczy i przepisów w prowadzeniu interesów duszy; wie z doświadczenia, że „cały pożytek duchowny rekolekcyj zależy od akuratności w zachowywaniu porządku dziennego i od wspaniałomyślnej ufności, „z którą podróżnik wybiera się w tę kilkudniową drogę, przykrą „czasem dla zmysłowej natury, ale dobroczynną dla duszy, nie wahającej się ponieść wszystkie możliwe ofiary, byle za tę cenę odnalazła Boga swego, najwyższy swój cel w czasie i wieczności: „*Accinge, sicut vir lumbos tuos ... Confortare et esto robustus*“[2].

Skreślenie choćby najniedokładniejszego obrazu dziwnych działań i skutków łaski Bożej nawracającej i przekształcającej serca w tych rekolekcyjnych ćwiczeniach, wysuwa się z pod pióra z samej już natury rzeczy; sam jeden Chołoniewski obraz ten mógłby był może w części nakreślić z pokornych wyznań w konfesyonale słyszanych; z opowiadań tych, którzy do niego, jako do przewodnika duchownego po radę i pociechę spieszyli. Widząc, jak wielu,

---

[1] Kto chce dojść do celu, ten chce użyć odpowiednich środków.

[2] Przepasz jako mąż biodra twoje (*Job* XXXVIII. 3). — Zmocnij się a bądź mocny (*Daniel* X. 19).

nawet z dalekiej zagranicy, we wszystkich ważniejszych trudnościach po radę do niego udawali się, i rad danych chętnie słuchali; jak nieraz ważne i trudne przedstawiali mu kwestye do rozwiązania i za dane sobie odpowiedzi serdecznie byli wdzięczni; czytając te długie nieraz, z pełną ufnością pisane listy, w których najrozmaitsze osoby z rozmaitszemi jeszcze niedolami swemi przed Chołoniewskim się zwierzały i z pełną ufnością wierny wizerunek swej duszy starały się mu przesłać, dorozumieć się możemy, ile dobrego działać musiał doświadczony ten mistrz duchowny dla serc, które same w ustnej rozmowie, z wszystkimi szczegółami, mogły mu swe rany i potrzeby otworzyć.

W ostatnim roku życia nie zadawalniając się pracą na ambonie i w konfesyonale, udzielaniem rekolekcyj i z dniem każdym rosnącą korespondencyą duchowną; skorzystał ks. Stanisław bawiąc w Strzyżawce z długich zimowych wieczorów i urządził w salonie formalne lekcye, a raczej prelekcye katechizmu, których panowie, dzieci i słudzy równie chętnie słuchali. Brak znajomości katechizmu uważał on zawsze za jedną z głównych ran naszego kraju: „Serce u nas dobre i wierzyćby chciało, zwykł był mawiać; ale nie wie w c o ma wierzyć; nie wie zazwyczaj, co to znaczy: w i e r z y ć — stąd tyle u nas niekonsekwencyj; tak łatwo najbałamutniejsze zarzuty mięszają nas i sprowadzają z dobrej drogi. Z wielką przeto radością patrzył na zgromadzone koło siebie w Strzyżawce grono pilnych słuchaczów, szczęśliwy, że może w wierze ich utwierdzać i rzucać w tę dobrą rolę bujne nasienie prawd Bożych. W tej chwili Chołoniewski znany już był i ceniony nietylko na Podolu, ale w całej Polsce, jako znakomity pisarz; mówiono o nim głośno i powszechnie, że dobrze na infułę biskupią sobie zasłużył, i że prędzej czy później ominąć go ona nie może: — widać że był on prawdziwym uczonym i odpowiednim kandydatem na rządcę dyecezyi, kiedy tak sobie cenił najgłębszą i najpotrzebniejszą ze wszystkich nauk, i komu i kiedy mógł, starał się ją w umysły wpoić, w sercach zaszczepić. (C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

DWIE KRÓLOWE.

SZKIC DZIEJOWY.

(Dokończenie).

Była Elżbieta przedewszystkiem wychowawczynią wzorową swych dzieci. A dzieci tych było dziwnie wiele: trzynaście razy nowe kolebki stawały w jej komnatach, stała się bowiem matką trzynaściorga dzieci, sześciu synów i siedmiu córek. Każde z dzieci było jej piersią karmione, każde równie starannie przez nią wychowywane, z jednaką pieczołowitością strzeżone. W dziełku swem, o którem wspominaliśmy, z oburzeniem mówi królowa o karmieniu dzieci przez mamki. Zalecała więc synowi, gdy się dziecięcia spodziewał, żeby to dziecię sama matka karmiła, a to dla tego — jak się wyraża — aby niemowlę karmione mlekiem obcem „przybłędnem“ nie urosło tem samem na coś obcego, aby z mlekiem obcem nie weszły pierwiastki obce do organizmu, nie wywarły w przyszłości złego wpływu na stronę moralną dziecięcia. Karmione mlekiem obcem — mówi Elżbieta — mogłoby dziecię w przyszłości odrodzić się od Kazimierza i innych naszych przodków. Wyrazy te jakąż wymowną dla nas illustracyą jej miłości Jagiellońskich tradycyj, miłości męża, o którym nie zabacza wspominać, nawet i w tym razie, gdy chodzi o kwestyę napozór małą, o karmienie dziecka mlekiem matki. Ta myśl nieustanna o mężu, który od dziesięciu lat był już w grobie, uwydatnia się u niej wszędzie; mówiąc o przyszłym wnuku już go mieni Elżbieta Kazimierzem. Gdyby ów przyszły wnuk nie mógł być przez matkę karmiony, to zaleca

królowa, aby wynaleziono mamkę „zacną, przystojnych obyczajów, a jeśli można, z rodziców szlacheckiego pochodzenia urodzoną, która nadto powinna zdaniem mojem — dodaje królowa — posiadać wykwintną wymowę, ażeby dziecko zaraz z młodości razem z mlekiem ssało uczciwość, skromność, oraz żeby przyzwyczajało się do dobrego wymawiania“... Dusza dziecięcia, wedle pojęć Elżbiety, silniejszemu niekiedy ulega zepsuciu ze strony mamek, niż ze strony późniejszych mistrzów, we wzroście drzew więcej waży natura gruntu, niż natura nasienia.

W całym toku przepisów pedagogicznych królowa znać przypominała sobie to wszystko, co sama zastosowywała przy wychowaniu własnych synów. Wychowanie królewiczów jednoczyło dość harmonijnie ćwiczenie ciała z uprawą umysłu; spotykamy wiele wskazówek, iż twardym był rygor, któremu królewiczów poddawano, a warunki ich życia niezmierną odznaczały się prostotą. W dziełku z XVIII w. zapisał ks. Jan Bielski wyrazy zaczerpnięte z dawnego rękopismu, wyrazy Zygmunta I, które dorzucają jeszcze jedno świadectwo o tej surowości życia pacholąt Jagiellończyka. „Było nas kilku braci, poddanych ćwiczeniu Longina, którego pospolicie Długoszem zowią — głoszą owe wyrazy najmłodszego z synów Elżbiety. Zimą odziewano nas w kożuchy z baranków, pokarmy spożywaliśmy proste, użycia wina nie dozwolono nam wcale, spoczywaliśmy na twardem łożu, innego nad wyborowe nie znaliśmy towarzystwa. Jacy więc obecni jesteśmy lub byliśmy, słuszniej potomni osądzą“. .

Uzupełnić ową relacyę Zygmuntową zarówno możemy z niektórych wskazówek kroniki Długosza jak niemniej z cytowanego tu już dziełka królowej Elżbiety. Obiedwie relacye uzupełniają się. Wiele rysów charakteru synów Jagiellończyka są jakby owocem rad zawartych w książeczce królowej Elżbiety; znać te myśli, pojęcia, zasady przyświecały owej niepospolitej kobiecie, gdy własne dzieci kształciła.

Przebiegniemy tu, bodaj pobieżnie, bardziej wybitne jej wskazówki pedagogiczne. Głównym celem wychowania, do którego dążyć należy, powinna być cnota, a przewodnikiem na ścieżkach cnoty własne sumienie młodzieży. Znanemi są powszechnie tradycye o surowości dla synów Kazimierza Jagiell., który miał mawiać,

iż najmilszą dla niego muzyką jest płacz synów ćwiczonych dłonią Długosza, kanon. krak., wychowawcy synów królewskich, w ciągu lat przeszło jedenastu (1468—1480). Lecz tradycya owej surowości nie znajduje potwierdzenia wśród rad królowej; tam bowiem powiedziano wprawdzie ogólnikowo, iż pacholę może być strachem powściągane; ale nie spotykają się żadne wyraźniejsze wskazówki o karach i nagrodach, jako środkach pedagogicznych, a natomiast czytamy cenną uwagę Elżbiety, aby chłopiec żadnego świadka bardziej się nie bał nad własne sumienie. Ta zasada w czyn wprowadzona utrzymywać miała dziecię na gościńcu cnoty. Przykłady cnót czerpano z dziejów starożytnego świata, z dziedziny upodobań ówczesnego humanizmu, który wielekroć zapominał zupełnie o chrześcijańskich wzorach, tak mu żywo w pamięci zarysowywały się wzory z dziejów Grecyi i Rzymu, przykłady świata pogańskiego, z areopagiem jego filozofów, bohaterów, bogów i półbogów. Wskazówka to dla nas wymowna, iż dłoń, praca jakiegoś ówczesnego humanisty układała w formie traktatu pedagogicznego myśli królowej Elżbiety, acz te myśli są kwiatem wzrastającym z ziarna prawd chrześcijańskich.

Kreśląc ideał króla, Elżbieta daje nam ideał człowieka, gdyż w istocie człowiek, któryby posiadał tyle cnót, któryby był tak sprawiedliwym, mężnym, stałym, wspaniałomyślnym, rozważnym, panującym nad sobą, wstrzemięźliwym, wyższym nad drażliwości miłości własnej, znoszącym jednako dobre i złe losy, że zamilczę tu o innych wymaganych przez nią dodatnich przymiotach, byłby tem samem ideałem człowieka.

Niewiasta, która tak wysokie miała pojęcie o przymiotach niezbędnych dla króla, która wzniosłe ideały stawiała za wzór i cel, do którego wychowawca powinien dążyć, była bezzaprzeczenia niewiastą wielkiego serca i umysłu. Wszystko co powiedziała w rozprawie swej o wychowaniu syna królewskiego urosło na zagonie doświadczeń, zebranych wcale nielekką pracą. Życie jej, acz na tronie upływało, twarde było. Samo wypiastowanie trzynaściorga dzieci wymagało trudów niezwykłych, a dzieci przychodziły na świat w przerwach niedługich; niekiedy jak np. w r. 1478, gdy przyszły na świat córki Elżbieta i Barbara, rodziły się one dwakroć w ciągu jednego roku. Brzemię obowiązków tem dotkliwszem mogło się mie-

nić, iż dnie jej życia i trosk macierzyńskich nie upływały wśród zupełnego spokoju w izbach królewskiego zamku na Wawelu, ale owe dzieci na różnych zameczkach obszernego kraju przychodziły na świat, i gwar obozów lub okrzyki bliskiego nieprzyjaciela spokój ich kolebek wciąż zakłócały.

Pierwsze trzynaście lat po jej zamążpójściu trwa wojna o odzyskanie Dolnego Powiśla. Jagiellończyk bierze w niej osobisty udział, a żona wciąż mu towarzyszy, co niekiedy bywało nawet połączone z prawdziwem niebezpieczeństwem, budzącem tem większe obawy, iż królowa podejmowała owe ciężkie, pełne niewygód z mężem podróże, o każdej roku porze, bez względu na stan niekiedy zły, lub niepewny swego zdrowia. Gdy król posuwa się w głąb ziem krzyżackich, Elżbieta bawi na Nieszawskim zameczku, a kiedy on dąży na obrady sejmowe, do Piotrkowa, zostawia małżonkę na zamku Radomskim. Podróże na Litwę, częste, uciążliwe, również nie obywały się bez królowej. Towarzyszy ona mężowi zawsze ochotnie, lubo z wysiłkiem niekiedy, a wśród tych przejazdów, przesuwań się spiesznych, spowodowywanych nieraz okolicznościami wojny krzyżackiej, przychodzą na świat nowe dzieci, i trwa troska o pielęgnowanie nieco starszych. Sfera spraw politycznych dla niej obca; nie dlatego przecież by umysł jej niewieści objąć ich i kierować niemi nie zdołał, ale znać z zasady, iż się król ma tem trudnić, udziałem zaś Elżbiety pozostaje zawsze dziedzina obowiązków rodzinnych. W tej dziedzinie jest wciąż czynną, przeszło pół wieku, stojąc na straży ogniska rodzinnego, jako matka i babka. W drugiej życia połowie biją w serce tej matki niezrównanej gromy rodzinnych klęsk. Umierają dzieci. Z siedmiu córek gasną dwie malutkiemi, a z sześciu synów, chociaż wszystkich zdołała wychować, wszakże los jej nie oszczędził boleści; płakała, już w późniejszych latach życia, zarówno u trumny męża, jak i dwóch synów. Trumna Olbrachtowa zawarła w sobie jej najdroższe ukochania — to bowiem najulubieńszy z dzieci. Historya nie zalicza go do największych, dla Elżbiety był on zawsze najmilszym, chlubą i pociechą. Gdy Olbrachta nie staje, Elżbieta gaśnie już szybko, słodzi sobie dnie smutku, układając znane nam rady, o wychowaniu dziecka królewskiego, i siłą woli, panując nad bolem, przedłuża swe życie o lat kilka. Syna Kazimierza, który zaliczony później został do

rzędu świętych, pochowała znacznie wcześniej niż męża (1484 r.), a gdy życie kończyła, patrzała na domowe smutki syna Aleksandra i przeczuwała zgon jego bliski. On też rzeczywiście o kilkanaście tylko miesięcy przeżył matkę.

Smutki życia rodzinnego — które tu wyliczyliśmy — były jedynemi jej smutkami w życiu długiem, ale natomiast ileż radości, ileż chwil rzeczywistej pogody dają jej losy. Nie wymagając od życia więcej niż ono pospolicie przynosi, Elżbieta w spełnianiu obowiązków widziała największą podstawę szczęścia: i to jej nie zawiodło.

Prawie czterdziestoletnie związki małżeńskie opromieniała wspólna miłość obojga małżonków. Zawarte one zostały — jak wskazaliśmy — w warunkach niewiele na przyszłość wróżących. Kazimierz wahał się, przychodziła mu niewczesna myśl o owej Zofii, księżniczce na Szczecinie; Elżbieta z trwogą, dość uzasadnioną, wchodziła pod sklepienia wyniosłe gmachu wawelskiego, umiała wszakże tam nieść szczęście, umiała złe wróżby obalić, mgłę nieufności rozproszyć, umiała obudzić uczucie w sercu Kazimierza Jagiellończyka i swem uczuciem szczerem, statecznem opromienić długie a pomyślne lata jego panowania. Pomyślną tę zmianę głównie zawdzięczano Elżbiecie, prawości jej charakteru, cnotom domowym; zwodnicze blaski piękności, w które jak wiemy, ona nie obfitowała, gdyż jak to ongi przywieziono wiadomość Kazimierzowi „do nikogo prawie nie była podobną w twarzy i na wyroście“ — nie grały tu żadnej roli. Przymioty jej osobiste wytworzyły szczęście domowe, rozniecily płomień uczucia w Kazimierzu, i zgotowały dla niej dni szczęścia. A szczęście to zapracowane przez Elżbietę trwałem było, bo pracowała nań sama życiem całem. Tradycya o owym ich spokoju domowym, przechodząc w spuściźnie do późniejszych pokoleń, tak została zapisaną w XVI stuleciu, za rządów wnuka jej Zygmunta Augusta: ...„Z niewdzięcznego z pierwa małżeństwa było potem bardzo wdzięczne, które Pan Bóg raczył uszlachcić zacnym płodem, i z którego byli czterej królmi koronowanymi, piąty kardynałem, szósty tak umarł“. Ten szósty to św. Kazimierz, którego trumnę widzimy w katedrze wileńskiej, a cześć jego świątobliwej pamięci całemu chrześcijańskiemu światu znaną jest.

Bielski w swej kronice, mówiąc o zgonie Kazimierza Jagiel-

lończyka, nie zaniedbał dodać słów parę o owej miłości króla ku żonie. „Helżbietę żonę swą nad obyczaj miłował — pisze Bielski — a ona także jego“... Kronikarz nie zużył tu wielu wyrazów, lecz samo już niezabaczanie o królewskiem uczuciu, postawienie takowego w szeregu przymiotów Jagiellończyka, świadczy o uroku, jaki to wzorowe życie rodzinne rozlewało wśród potomnych nawet, nie mówiąc o współczesnych. Miłość swą Elżbieta poza grób przenosi, każe siebie chować nie obok grobu najukochańszego z synów, ale obok trumny męża, gdzie też rzeczywiście złożono zwłoki owej niepospolitej niewiasty, wzorowej matki i żony.

Wśród córek Jagiellończyka i Elżbiety jedna tylko pozostała niezamężną. Nosiła ona imię matki, ale mniej od niej szczęściem pochlubić się mogła; długie lata upłynąć miały zanim mogła za mąż wyjść za książątko maluczkie, ubogie, o parę lat od niej młodsze. Było to książątko szląskie, na Lignicy panujące, które zaślubiło ową sierotę po Jagiellończyku już trzydziestosiedmioletnią, zaślubiło jedynie dla honoru połączenia się z potężnym domem Jagiellońskim. W parę lat potem zgasła królewna-sierota na lignickim zameczku. Siostry jej starsze nie zrobiły również świetnych partyj, co zdaje się było jakby dziejowem przeznaczeniem wszystkich naszych królewien. W późniejszej nieco dobie, za dni wnuka Jagiellończyka, z córkami Zygmunta I dzieje się tożsamo; rozpoczynają one czwarty dziesiątek lat życia a zamąż nie wychodzą. Królowa Elżbieta wydaje starsze swe córki wcześnie, lecz nieświetnie. Książątka drugorzędne rzeszy niemieckiej zaślubiają je, lecz i tu nie wszystkie szczęściem pochwalić się mogą. Najstarsza Jadwiga, która za księcia Jerzego Bawarskiego wyszła, pochlubić się szczęściem nie zdołała, pożycie tam było bardzo przykrem, nieszczęścia, co się piętrzyły nad jej głową, wzbudzały współczucie powszechne. Lepszymi były losy innych córek, jak Zofii, która zaledwie piętnasty rok licząc, wyszła za młodziutkiego Fryderyka ks. Brandenburskiego, z młodszej linii Auspach, z którym miała siedemnaścioro dzieci, a jedno z nich, ów później znany w dziejach, Albert, ostatni mistrz krzyżacki. Inne dwie córki Elżbiety wyszły za książąt Pomorskiego i Saskiego, za książątka z małemi dzielnicami i bez szerszego wpływu, bez obfitych skarbców, oglądając się na posagi naszych Jagiellonek, z których każda brała po 32.000

czerw. złot. węg.; częściowo wszakże, ratami owe posagi wypłacano, dając przy ślubie jedynie część czwartą. Kwestya posagu królewien naszych, i wówczas, i później bywała źródłem trosk; wypłaty wlokły się nieraz lata całe, i stawały się ciężarem późniejszych pokoleń, które niekiedy z niechęcią, przy zupełnej często niemożności załatwiały owe długi dawnych lat.

Drobnemi szczegółami temi uzupełniamy tło okoliczności niekiedy bardzo kłopotliwych, niekiedy smutnych, co otaczają Elżbietę. Troski krzewią się czasem zbyt obficie około jej tronu, ale umie ona panować nad wrażeniami smutnemi; nie płacze nad zmianami losu swych bliskich, mężnem sercem niestateczności ich szczęścia znosi, acz na nie nieobojętna...

Wśród trosk jednak, wśród smutków bliskich jej sercu — jak zamknięcie córki najstarszej, Jadwigi, którą mąż trzymał w odosobnionym zameczku bawarskim kilkanaście lat, — gdzie ta biedna samotnica i życie swe skończyła — posiadała Elżbieta pociechę w uznaniu powszechnem, w owej czci, którą świat bliższych i późniejszych pokoleń ją otaczał, w tem uznaniu, iż dobrze, troskliwie wychowała swą dziatwę. I zaiste, w owem wybornem, o poważnem nader zakroju wychowaniu dzieci leży jej główna zasługa w obec społeczeństwa, któremu przewodniczyła na tronie, a świeciła przykładem w życiu rodzinnem; w tem wychowaniu wzorowem zawiera się tajemnica zacności jej dzieci, owych królów „dobrych“, umiłowanych przez swe ludy.

Mówiliśmy, iż nie sięgała królowa Elżbieta po ster spraw politycznych. Tak, nie sięgała, lecz fala spraw tych nieraz tak dokoła ją otaczała, iż należało mimowolnie wpływać na ich bieg. Mąż ją kochał, cenił, zawsze i wszędzie mu towarzyszyła, niepodobna więc, by niekiedy nie odbił się ślad jej wpływu; lecz to ślad wpływu raczej dobrej żony, niż królowej, ślad pozbawiony wszelkich cech ambicyi politycznej: bo też, zaiste, nigdy jej ona nie posiadała. Jej ambicyą najwyższą w życiu — wychowanie dzieci na ludzi zacnych, na dobrych królów: a dwa te pojęcia zlewają się u niej niby dwie pokrewne sobie nuty w jeden akord, a nawet są to dla jej myśli pojęcia jednoznaczące. Zabiegi polityczne w celach osobistych, machinacye dworskie, które się ukazują na dworze wawelskim, około końca pierwszej połowy XVI w., nie znane jej

były, nawet z imienia. Ta, która sprawiedliwość kładła jako węgielny kamień cnót każdego króla, która zalecała w swej książeczce pedagogicznej, aby się strzeżono pochlebców, dworskich intryg, aby usuwano co najdalej ucho dziecięcia od słów kłamców, od doradców schlebiających, od brzęku słodkich wyrazów zepsutych ludzi, umiała się utrzymać na wyżynach prawości w sprawach publicznych. Gdy okoliczności kazały jej spraw tych bliżej dotknąć, czyniła to jedynie ze względu na publiczne dobro. Dwa bezkrólewia, co się przesuwały przed jej okiem, po zgonie Jagiellończyka, były świadkiem jej udziału bardziej wybitnego w sprawach publicznych. Po śmierci Kazimierza prowadzi ona na tron Olbrachta; zbroi własnym kosztem kilkanaście secin orężnych i posyła je synowi Fryderykowi, bisk. krak., aby — jak się Bielski wyraża — „bronił strony Olbrachtowej z drugimi, którzy jego strony dzierżyli...“ Gdy zaś później, podczas następnego bezkrólewia, królewicz Aleksander odgrażał się przeciw bratu Władysławowi, królowi czeskiemu, który miał nieco szans być obranym na tron polski, Elżbieta „hamowała go“. Innych kilka przykładów, które przytoczyć moglibyśmy osobistej interwencyi Elżbiety w sprawy publiczne, również mają na celu wyłącznie dobro ogólne.

Bielski w swej kronice użala się raz, iż król Kazimierz powodował się niekiedy żony radami, dodając, iż „jako to jest u białogłów pospolita, że rade wiele rządzą“... ale te uwagi kronikarskie niewiele miały słuszności, wypadek bowiem jeden tylko cytuje, który nawet był w bardzo ścisłym związku ze sprawami życia rodzinnego, (chodziło o zamążpójście starszej córki Jadwigi za Macieja, węgierskiego króla) a w tej dziedzinie spraw nic dziwnego, iż głos Elżbiety, jako matki, górującym był i rozstrzygającym.

Pomawiano Elżbietę o pychę, ale ów rys usposobień nie zaznaczał właściwości charakteru tej znacznie wyższej od innych niewiasty. Posiadała ona poczucie swej godności, powagę, którą urodzenie, stanowisko dawały jej; pychy śladów w jej czynach nie spotykamy. Sama w radach swych pisze o tej przywarze, mówiąc, iż mąż mienił pychę klęską państw, ona zaś w dzieciach i wnukach widzieć jej nie chce; zaleca przytem, iż łatwość w obcowaniu powinna być zawsze ze wszystkimi, a ludzi uczciwych, jakkolwiek

biednych, wyżej cenić należy niż nikczemników chociażby bogatych"... Na tej sentencyi, zaczerpniętej z książeczki Elżbiety, kończymy zarys postaci ukazującej się nam w onej odległej dobie XV wieku. Garstką tylko niewielką faktów, niby ubożuchnym wieśniaczej chaty kagańcem, staraliśmy się oświecić wyraziste kontury tej wyniosłej, szczytnej, posągowej postaci... Blade światło, nierzucające dalekich promieni, nie zdołało nam może uwydatnić całego piękna tego cienia przeszłości, niemniej jednak dostrzegliśmy, iż uczucie, którym ona otoczona, jest wieńcem dobrze zasłużonym. Podniosłe miejsce w dziejach, które jej oddawa wskazano, zdobyła pracą prawdziwą, zasługą dla wszystkich widoczną... Tuż obok niej kaganiec prawdy dziejowej dostrzega inną postać, tonącą niedość we mgle wieków, ale we mgle zapomnienia... Szmer nawet pewnej niechęci wznosi się nad jej zatraconą mogiłą...

To Helena — synowa Elżbiety — jedyna współczesna jej synowa, pani na Wawelu i na polskim tronie, po zgonie Elżbiety. Postać to zapomniana, smutnie przesuwająca się w tłumie cieniów przeszłości...

Dłoń starości kruszyła już siły Elżbiety, stargane pracą na niwie obowiązków matki i żony, gdy kombinacye polityczne wywołały zaślubiny syna jej Aleksandra z Heleną, córką Iwana Wasilewicza w. ks. moskiewskiego i Zofii Paleolog, cesarzówny greckiej. Elżbieta, wyrokująca w sprawach wychodzenia zamąż córek, patrzała tylko na jednego syna żeniącego się i nie wpływała na bieg tej sprawy, a jeżeli życzenia jej objawiały się w owej kwestyi, raczej przeciwnemi niż przyjaznemi były.

Litwa wciąż widziała, od wschodniej swej ściany, wiszącą nad sobą grozę wojny. Burzę tę zażegnać chciano związkami rodzinnemi domów panujących w obu krajach, po obu stronach litewskiej, wschodniej miedzy granicznej. Dzieje dostatecznie nie zbadały jeszcze kiedy zaświtała, i w czyim mianowicie umyśle, myśl połączenia dynastyi na Kremlinie panującej z dynastyą Jagiellońską. Przypuszczają, iż w ostatnich latach rządów Kazimierza Jagiellończyka myśl ta kiełkowała na zamkach wileńskim i krakowskim. Przeważnie jednak po zgonie Kazimierza Jagiellończyka, kiedy Olbracht na polskim zasiadł tronie, a Aleksander Jagiellończyk rządy Litwy sprawował, kiedy wschodnie okolice Litwy zapłonęły

pożogą najazdów, zamiar dojrzał, rokowania z w. ks. moskiewskim o rękę młodszej córki jego, Heleny dla Aleksandra Jagiellończyka rozpoczęły się i wytrwale prowadzone były. Księżniczce zapewniano swobodę jej wyznania — był to punkt główny umowy, o ten punkt najbardziej chodziło ojcu księżniczki, tysiączne drażliwości grupowały się około tej kwestyi, najeżonej nieufnością, gotowej co chwila wybuchnąć nie tylko sporem gwałtownym, ale wojną straszną, eksterminacyjną, dla której odwrócenia stawało małżeństwo, zawierane z pobudek wyłącznie politycznych i najzupełniej pokojowych.

Drażliwość, nieufność olbrzymia, niczem nie dająca się zażegnać, stanęła między Kremlinem a Wilnem od pierwszej chwili zaślubin Heleny z Aleksandrem Jagiellończykiem — i Helena stała się biedną ofiarą, ofiarą niewinną drażliwości, obaw, nieufności... Historya niewiele widzi przykładów równie bolesnych, aby z młodziutkiej dzieweczki, nieznającej najzupełniej świata, ludzi, stosunków nawet małego zakresu, tem bardziej stosunków z zakresu polityki wielkiej, aby z dziecka prawie wytwarzać puklerz, co miał osłaniać dwa ludy, koić niesnaski, zażegnać burzę. Rola byłaby szczytną, gdyby warunki inne być mogły. Przedewszystkiem młodziutkie dziewczę powinno było dorość do tej roli. Helena stanęła wśród najgorszych okoliczności, i w takich życie jej upłynęło. Ściągała obustronne niechęci, wywoływała niczem nie dający się usprawiedliwić gniew ojca — nie stała się aniołem pokoju, bo stać się nie mogła w takich warunkach. Helena, idąc zamąż, nie wychodziła do Polski, ale do Litwy, gdzie cywilizacya zachodnio-europejska nie zdołała się jeszcze wówczas dostatecznie rozwinąć, niemniej jednak dwór tamecznego w. księcia, którym był jej przyszły — Aleksander Jagiellończyk — nosił znamiona wyższej kultury, cała głębia różnicy legła między owym dworem, między Polską ówczesną a światem dalekim, skąd przybywała Helena.

Różnice tych dwóch światów olbrzymie, nie tylko przejawiające się w warunkach różnych stopni kultury, ale, co ważniejsza, w usposobieniach ludów, w ich charakterze, w instynktach moralnych, spoczywających w głębinach ich sumienia.

Dyplomaci z końca XV w. nie badali tej kwestyi gruntownie, nie przysłuchiwali się tętnom serca ludów owych tak wzajem różnych, nie wchodzili na drogę badań psychicznych odcieni charakteru,

które ich stanowisko wzajem dzieliły, tworzyły przepaście między niemi niczem nie dające się zapełnić, i dlatego łudzili się, iż związki dynastyczne staną się cementem dwóch tych światów tak bardzo odmiennych.

Helena, córka Iwana III, w. ks. moskiewskiego, miała 18 rok życia, gdy przybyli posłowie Aleksandra Jagiellończyka, prosząc o jej rękę. Wychowywała się ona w głębi tak zwanych „teremów“ rodzicielskich, wedle ówczesnego obyczaju kraju swego. Spędzała młodość i dziecinne lata w zamknięciu, nie znając świata, ludzi, nie myśląc o przyszłości, nie zastanawiając się o ile dalszy świat różnym jest od tego maluczkiego świata, co ją otaczał. Umysłowo i duchowie dzieckiem ona była, gdy matka oświadczyła, iż wolą jest ojca, aby się odbył obrzęd jej zaręczyn z poselstwem litewskiem, reprezentującem swego pana, w. ks. litewskiego, Aleksandra.

Wśród cichych, szczelnie zamkniętych „teremów“ wieść ta wywołała wrażenie wielkie. Pierwsza to w. księżniczka moskiewska miała robić tak świetną partyę. Wychodziły wprawdzie owe księżniczki niegdyś, i nie raz, nie dwa, do Litwy, na dwory drobnych książątek, bądź pogańskich, bądź też później i chrześcijańskich, spokrewnionych z dynastyą Jagiellońską, lecz z dworem polskim stosunków pokrewieństwa nigdy przedtem nie było. Helena miała być pierwszą w. księżniczką, co zaślubiała królewicza z zakresu zachodniej cywilizacyi: honor to dla jej rodziny niemały, tem większy, iż królewiczem tym był jeden z Jagiellonów, członek dynastyi zaliczanej do najpotężniejszych w owej chwili dziejowej. Nie wiemy, o ile Helena dokładnie rozumiała zaszczyt, który z powodu zamierzonego zamążpójścia spadał na jej rodzinę, na dom panujący na Kremlinie, lecz ojciec jej wybornie to rozumiał i szczycił się tem. W Wilnie, na wielkoksiążęcym dworze, nie zamykano oczu na trudności, które cała ta sprawa wywoływała; jednak rzecz raz rozpoczętą, acz kłopotliwą, do końca prowadzono, widząc w niej sposób zażegnania burz wschodnich. Poselstwo, które odbyło obrzęd zaręczyn, zawarło traktat z Iwanem Wasilewiczem i wracało do domu pełne dobrej otuchy, że ślub Heleny wzmocni, utrwali przymierze, iż miłość Iwana ku córce wystarczy za wszelkie rękojmie traktatowe. Stało się wszakże inaczej. Nieufność Iwana ku przyszłemu zięciowi nie gasła ani na chwilę. Córka, wydana zamąż

do Litwy, ani na chwilę nie była cementem jednoczącym dwa państwa; owszem, ojciec patrzał na nią niby na posterunek dalszych swych planów na Zachodzie. Stąd powstały kolizye, stąd na Litwie i w Polsce niesmak i niezadowolenie, pewne rozczarowanie, iż związek burz nie zażegnał, iż walki dorywcze, któremi mieszkańcy północno-wschodnich węgłów państwa byli trapieni, trwają wciąż, a na Kremlinie pewna groza niechęci nie usuwa się, ale nawet wzmaga się na widnokręgu wypadków; do niechęci ogólnych przybywają niechęci prywatne, niechęci ojca ku Helenie.

Tak się ukształtowały rzeczy wprędce po ślubie Heleny. Przypatrzmy się wypadkom towarzyszącym owym zaślubinom. Skoro na zamku wileńskim dojrzała myśl postawienia warowni od najazdów i zatargów na miedzach wschodnich, w postaci związków małżeńskich Aleksandra Jag. z córką Iwana Wasilewicza, zebrała się w Wilnie rada familijna, by rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości, które nasuwał zamiar małżeństwa. Na zjeździe tym widziano królową-matkę, owdowiałą Elżbietę, króla Olbrachta, księcia Aleksandra, który właśnie objął rządy Litwy. Ściśle nie dadzą się określić przebieg i wyniki poufnych obrad, toczonych wówczas wśród rodziny królewskiej, ani też głównych trudności, jakie miały zwalczać rokowania; rzecz wszakże da się łatwo odgadnąć, następstwa wskazują czem się troszczono. Kwestya wyznania Heleny główną oś tworzyła obrad rodziny Jagiellońskiej. Poselstwo wysyłane do Rzymu, do Aleksandra VI, usuwało przeszkody. Z drugiej znowu strony, zanim zawarty mógł być związek, potrzeba było upewnić, uspokoić ojca Heleny, iż nie będzie poruszaną kwestya religijna — uspokojono, lecz w sposób niezupełny, raczej niezręczny. Pisał Aleksander Jagiellończyk do przyszłego teścia, iż Heleny wcale nawracać nie myśli, lecz, gdyby jej przekonania zwróciły się ku katolicyzmowi, nie będzie stawiał żadnych przeszkód. Wyrazy, nieosłaniające szatą fałszu istotnego stanu rzeczy, mocno nie podobały się ojcu Heleny. Nie rozumiał on, iż Helena mogła mieć swą wolę, chęć, myśl niepodległą. Kobieta w jego kraju aż do połowy XVIII w. zamkniętą była; w „teremach“ okratowanych, poza kotarą pilnie strzeżoną, nie wyrabiała się myśl, dążność samodzielna; wielki książę przeto zdziwił się niemało, gdy mu doniesiono, iż jest możliwość przypuszczeń, iż Helena uczyni krok jakiś samodzielny.

Pełen gniewu układy chciał zerwać. Rzeczy się wszakże ułożyły. Po pewnym przeciągu czasu już nic nie zagrażało ziszczeniu zamiarów. Grecy, którzy gościli na dworze w. ks. moskiewskiego — przybyli bowiem z Zofią Paleologówną do Moskwy — a bardziej ze światem obeznani byli, szczerze pragnęli połączenia się Kremlina z którym z dworów europejskiej cywilizacyi. Grek Trachaniot, dyplomata ówczesny, przedniejszy w Moskwie, załatwiał głównie te sprawy. Pomimo nieukontentowania, podejrzeń, obaw, zbyt silną dźwignią próżność była, aby się miano cofać. Stawiano się w Moskwie ostro, dumnie, wyzywająco, na pozór niechętnie, mnożono trudności, piętrzyły się one, ale ostatecznie żywiono w głębi swej myśli chęć szczerą zakończenia zgodnego sprawy małżeństwa Heleny. Takim się zarysowywał obraz stosunków we trzydzieści miesięcy po zgonie Kazimierza Jagiellończyka, przy końcu 1494 r.

Kiedy się ustaliła sanna, w styczniu 1495 r., liczne poselstwo litewskie, mające na czele ks. Aleksandra Holszańskiego, Jana Zabrzezińskiego i Jerzego Zenowicza zawitało do Moskwy. Celem poselstwa miało być odprowadzenie Heleny, jako oblubienicy Aleksandra Jagiellończyka do Wilna.

Przeszkody usunięto, a przynajmniej o nich mówić zaprzestano, natomiast zaś uczty zaczęły się, posłuchania; Helenę wysyłano z przestrogami i upomnieniami na Litwę. Dwór liczny miał jej towarzyszyć, i na wyjezdnem dał jej ojciec upomnienia na piśmie. Wydostał z archiwów dziejopis rosyjski, odpis owych przestróg ojcowskich gdzie czytamy: „...Do bożnicy łacińskiej nie chodzić, a chodzić do cerkwi greckiej; dla ciekawości możesz widzieć kościół łaciński albo klasztor, ale tylko raz, dwa razy. Jeżeli świekra twoja będzie w Wilnie i każe ci iść z sobą do bożnicy, to odprowadź ją aż do drzwi, i powiedz grzecznie, że idziesz do swojej cerkwi“... Te wyrazy zarysowują charakterystykę zapatrywań się Iwana Wasilewicza na stosunek, który miał się wytworzyć między jego córką a jej nowem na Litwie otoczeniem. Oprócz błogosławieństw, przestróg, upomnień, z których jedno przytoczyliśmy, nie wiozła Helena żadnych kosztowności, któreby stanowiły wyprawę, ani też żadnego posagu jej nie dano, co zresztą było w obyczaju ludów wschodnich. Kupowano tam pospolicie żony, składając za

nie okup, tak zwany z mongolska „kałym“. Nawet znacznie później, w XVII wieku, w niektórych prowincyach owego kraju prowadzono handel kobietami, co wywoływało niekiedy dziwną kolizyę stosunków. Kupczący białemi brankami posiadali przywileje, ochraniające nietykalność ich handlu [1].

W obec tego rodzaju stosunków kraju rodzinnego Heleny nie dziwmy się, iż nie dano przyszłej w. księżnej litewskiej żadnego posagu, ani nawet wyprawy. Powtarzamy, wypływało to z obyczaju kraju. Jakieś trzewiki perłami wyszywane były przedniejszą cząstką ruchomości wywiezionych przez Helenę na Litwę. Wcale nie przypominało to świetnej wyprawy Elżbiety Rakuszanki, z którą ta przybyła do Polski. Raziło to bardzo w Polsce, raziło na całym Zachodzie, gdzie drobne nawet książątka umiały się zdobyć na nader kosztowne wyprawy dla córek. Nawet w przyszłości nie zapomniano o tem, ze wspomnieniem o trzewikach „wyszywanych perłami“, będziemy mieli możność jeszcze się spotkać, zanim zamkniemy opowieść naszą o królowej Helenie.

Drobnostkowe przepisy w. ks. Iwana określały warunki, w których miała się odbywać podróż jego córki. Zalecały one gdzie miały być popasy, noclegi, określały ceremoniał, nie zapominały o najmniejszych drobiazgach. Żegnali ją rodzice uroczyście i rzewnie, żegnali na zawsze... Odprowadzała ją matka z rodzeństwem do pobliskiego sioła, Drogomiłowa, tam bawiono trzy dni, ojciec przyjechał dla ponownego pożegnania córki; ojciec wrócił, lecz matka z bratem, jak świadczy jedna relacya, prawie aż do granic Litwy ją odprowadzili. Tam gdzie zaczyna się szczep białoruski w Smolenszczynie, gdzie legła miedza wschodnich granic Litwy, matka, rodzeństwo dali ostatni uścisk, ostatnie błogosławieństwo Helenie... Od Litwy granic bojarowie już tylko z poselskim orszakiem Jagiellończyka wiedli ją ku brzegom Wilii. Poczet bojarów odznaczał się liczbą, mieścił w sobie wszystko, co ówczesne dziedziny panów na Kremlinie posiadały wyższego rodem, urzędem. Bojarom towarzyszyły ich żony, co koniecznością było ze względu na

[1] Takim przywilejem mienić się może encyklika Patryarchy Moskiewskiego Filareta, wydana d. 11 lutego 1622 r. do arcybiskupa sybirskiego Cypryana, a umieszczona w t. III „Zbioru aktów państwa“.

Helenę. Stara relacya rosyjska podaje nam szczegóły podróży i wjazdu do Wilna oblubienicy w. ks. Aleksandra: Spotykamy tam echa tych głównych wieści, które odtąd bardzo często z dworu książęcego biegły do Moskwy na Kremlin, wpadały do ucha Iwana Wasilewicza i nieciły pierwsze zarzewia nieporozumień.

Ciekawa relacya prowadzi nas gościńcem, którym jechała Helena od granic Litwy do bram Wilna. Witano ją wszędzie uroczyście — w Smoleńsku, Witebsku, Połocku. Dary składali biskupi wschodniego kościoła, spotykani we wspomnianych miastach. Składały się te dary przeważnie z adamaszków; niekiedy dawano obrazy bogato oprawne; samo zaś przyjęcie biskupów i innych przybywających z czołobitnością składało się pospolicie z wina. Wino kubkami roznoszono mężczyznom i kobietom. Jest pewna wzmianka, w relacyi wyżej wspomnianej, która pozwala przypuszczać, że księżniczka jechała w saniach, które posiadały piec[1]. Inne sanie nie były ogrzewane. Nie widzimy z tej ralacyi, czy poselstwo jechało leżąc, co było, a po części dotąd jest obyczajem owych krajów dalekich, wschodnich, lecz można napewno twierdzić, iż nie inaczej, jak leżąc w saniach, jechano; prawie o dwa wieki później poselstwo, jadące z Moskwy, które widział i opisał Pasek, jechało leżąc; wieziono również o półtora wieku później, w pozycyi leżącej, w pudle, Kopcia, jeńca z pod Maciejowic.

Ks. Helena cały miesiąc odbywała ową podróż z Moskwy do Wilna; wyjechała bowiem 13 stycznia a dopiero 15 lutego odbyła wjazd do litewskiej stolicy. Gościniec był długi i kręty, gdyż jechano na Krew, Oszmianę, Miedniki. Od Smoleńska do Wilna, na znacznej a długo przebieganej przestrzeni, posłowie moskiewscy w sposób gwałtowny, swarliwy, domagali się od posłów litewskich różnych zapewnień, co do obrządku ślubnego i miejsca, gdzie takowy odbyć się ma, i którego wyznania duchowni udział w nim wezmą. Posłowie litewscy, w obec tych kwestyj drażliwych, postanowili udać się do ks. Aleksandra[2]. Goniec przeto niejeden po-

---

[1] *Skarbiec Dyplomatów*... zebrany przez Ig. Daniłowicza. T. II. str. 239 i nast.

[2] l. cit.

przedzał poselstwo, wioząc do Wilna różne kwestye i drażliwości dla rozwiązania i załatwienia. W. książę Aleksander nie rozwiązywał, a swarliwość i niecierpliwość orszaku wiozącego jego oblubienicę wciąż się wzmagały.

Przed Krewem już spotkał dworzanin litewskiego księcia orszak weselny i złożył od swego pana dary, obrachowane znać na potrzebę chwili. Były to rzeczy nader praktyczne: składały się z czterech baryłek wina i trzech beczek żubrowiny. Goniec otrzymał za to prezent od księżniczki — sorok soboli i 5 rubli. O dzień czy też dwa dni drogi dalej zabiegł inny goniec Aleksandra drogę Helenie — prowadził on wóz kosztowny, „szkarłatem obity, a wewnątrz wysłany zielonym aksamitem z sześciu takiemiż węzgłowiami“ [1]. Wóz ciągnęło sześć siwych rumaków, w szlejach szkarłatnych, aksamitnych, z kółkami i spinkami wyzłacanemi. Aleksander pragnął, by narzeczona przesiadła się do owej wspaniałej poszóstnej karocy, ale biedne, strwożone dziewczę znać obawiało się, aby instrukcyi ojcowskiej w czem nie przekroczyć, a tam zapewne kwestya karocy przewidzianą nie była — wymówiła się przeto biedaczka przez usta bojarów od przesiadania się. Ogrzane jej sanie, przypominające Moskwę i rodzinę, niby widoma spójnia z domem, pożegnanym na zawsze — powiozły ją aż do Wilna.

Już mury Wilna wybornie widocznemi były dla podróżujących, gdy ks. Aleksander na pięknym rumaku spotkał swą narzeczonę i powitał. Kosztowny kobierzec z czerwonego sukna rozpostarto na śniegu, a na nim adamaszek złocisty, ofiarowany od księcia. Na tych kobiercach spotkali się narzeczeni. Po krótkiem powitaniu wróciła Helena do powozu, książę zaś dosiadł swego wierzchowca, i w licznem, wspaniałem otoczeniu zjeżdżali z Ponarskich wzgórzy, zbliżali się ku wileńskim murom. W cerkwi Narodzenia M. B. zatrzymał się długi korowód, księżniczka wysiadła, aby pomodlić się i otrzymać błogosławieństwo, książę zaś pojechał do katedry. W cerkwi odbył się naprędce obrzęd ubrania oblubienicy do ślubu. Przybyłe z nią żony bojarów rozplotły jej warkocz, uczesały, włożyły na głowę strój narodowy, a głowę posypały chmielem. Tak

[1] l. c.

ustrojona Helena pojechała do katedry, kapłani wschodniego kościoła jej towarzyszyli. Biskup Wojciech Tabor oczekiwał u drzwi świątyni. W katedrze zajęli swe miejsca narzeczeni na kosztownych kobiercach z adamaszku i soboli. Obrzęd ślubu odbywał się oddzielnie dla księcia, oddzielnie dla księżniczki; jemu błogosławił biskup, jej zaś przybyły z nią pop Tomasz, rodzaj kapelana. Gdy obrzęd księżniczki przybrał niewidziane gdzieindziej formy, szmer rozległ się w świątyni. Podano jej kubek wina, które gdy wypiła pop rzucił kubek o ziemię i nogą rozdeptał. Obrzęd podobny do dziś spotykamy u Izraelitów.

Po ślubie księstwo udali się na zamek, ale każde z nich w swych pokojach oddzielnie przebywało te pierwsze godowe chwile. Czytamy dalej, w powyżej zacytowanej relacyi, iż ks. Aleksander wydawał obiad dla poselstwa moskiewskiego, udzielał mu audyencyi, odbierał podarunki, nie spotykamy wszakże najmniejszej wzmianki, aby księżna brała w tem udział. Czy znużenie po długiej podróży, czy niezupełne wyzucie się z obyczaju domowego zamykania się w teremach, czy inne jakie przyczyny znagliły oblubienicę do zamknięcia się w dniu godów — nie wiemy. Zdaje się jednak, iż już od pierwszej chwili zamążpójścia zbierała ona plon jakichciś złych wrażeń.

Czwartego dnia po ślubie, ktoś z jej otoczenia pisał do Moskwy następujące wyrazy, rzucające nieco światła na przykrości, które około niej wrastać poczęły: „Ślub brała księżna we własnych szatach — pisze ów anonim i już dzień czwarty mija po ślubie, a dotąd w nich zostaje i ubioru głowy nie zmienia... A że umywalni książę nie ma, upominali go o to bojarowie“... Jest to jedna z tych licznych relacyj, które w ciągu lat kilkunastu z wileńskiej zamkowej góry tajemnie biegły na Kremlin, wywołując rozdrażnienie stosunków między teściem a zięciem, zatruwając Helenie wszystkie dni jej życia, stosunkowo niedługiego. Nieporozumienia, które się wszczęły między w. ks. Aleksandrem a ojcem Heleny, nawet ze śmiercią ich obu nie ustały. Przeszły one w spadku na brata Heleny, Wasyla, który objął w. książęcy tron, z nim zaś politykę, tradycye ojcowskie. Obawa, aby córka nie była na katolicyzm nawracaną, główną podstawę tworzyła nieporozumień Iwana; lecz różne wieści błahe, często mylne, posyłane przez dworzan, których

z sobą przywiozła Helena — i w pewnej części zatrzymała — jakże obfitym strumieniem oliwy były na ów płomień uprzedzeń, obaw, podejrzeń...

Biegły tedy na Kremlin wieści, iż księżna nie może mieć sług, dworzan z kraju swego, to znowu, że nie szanuje ją mąż jak przystało, to inne błahe lub śmieszne, że litewska żydówka ją oczarowała, z tego więc powodu dzieci nie ma i mieć nie będzie, to wreszcie wieści w rodzaju braku owej „umywalni", zacytowanej tu wyżej. Każda z tych wieści miała skutek doniosły; stosunek się zaostrzał, wojna się Litwie wypowiadała. Co gdzieindziej uważać się mogło niemożliwem, tam było rzeczą zwyczajną, wydawało owoce opłakane dla całego społeczeństwa. Świat to był inny, który niezbrodzonemi przepaści oddzielał się od pojęć, zapatrywań innej cywilizacyi, miał zaś w swej piersi inne, moralne kryterya, wedle których na stosunki świata zapatrywał się i wobec społeczeństw innych postępował. Helena wpływem swym, listami, łzami, przebłagać nie zdołała ojca, nie mogła wymódz na matce pośrednictwa, ani też wstrzymać dłoni brata, gdy i ten później, jako w. ks. moskiewski, podnosił miecz na Litwę, groził Polsce. Wszystkie jej usiłowania obijały się o pierś jej rodzonych niby o głaz murów, co były ich siedzibą, nic nie zdziałała, w niczem nie zaradziła trosce kraju, którego panią się stała. Nie wierzono w Polsce, nie wierzono na Litwie, by jej głos nic nie znaczył, by jej wstawiennictwa bez echa przejść zdołały. Nie wierzono, by się wstawiała o pokój, o zaniechanie zamiarów nieprzyjacielskich, o wstrzymanie pożogi: mniemano, że ta pożoga, co trapi wschodnie pogranicza Litwy, nie rani serca królowej i kobiety; mniemano, że nie ma ona serca... I powstał szmer niechęci, szmer, który przetrwał lata, wieki, wkradł się do ucha historyków, pamięć jej przeto pleśń obojętności okryła... W obec swoich stawała ona zawsze jednako, wytrwale przy swym zakonie stojąc, pamiętając na napomnienia, przestrogi, rozkazy ojcowskie. To posłuszeństwo woli rodzicowej, oprócz wewnętrznego zadowolenia, oprócz głosu sumienia własnego, iż uczyniła tak, jak ojciec żądał, nic jej nie przyniosło. Wewnętrzne zadowolenie ze spełnienia obowiązków w obec ojca powinno jej było wystarczyć za wszystko, stać się dźwignią, osłodą życia... Czy tak było w istocie?... trudno orzec. Historya obojętnie około tej

smutnej, łzawej postaci przechodzi, nie bada owych rysów pilniej, które aż do zgonu pozostały dla nas cudzoziemskiemi, które echo doby odległej bardziej cudzoziemskiemi i dziś mieni, niż inne postacie naszych królowych.

Helena przybyła do Wilna w 19 roku życia i ośmnaście lat wśród nas strawiła. Zawód jej — żony, królowej, pani na Wawelu — szybko się skończył. W siódmym roku zamążpójścia mąż jej powołany został po zgonie Olbrachta na tron Polski. W listopadzie, 1501 r., opuścił Wilno, by w katedrze krakowskiej przywdziać koronę Chrobrego. Helena nie towarzyszyła mężowi. Inne wyznanie stanęło dla niej nieprzebytą zaporą do koronacyi. Przybyła więc do Krakowa później (d. 4 lutego 1502 r.) prawie we dwa miesiące po koronacyi męża. Chociaż uroczyście nie obwołano ją królową w katedrze krakowskiej, nie odmawiano jej nigdy tytułu królowej, na który, zaiste, zasłużyła, nie tylko łzami całego życia, co tron jej oblały, ale troską prawdziwą, serdeczną, by wstrzymać walkę srożącą się na wschodnich kończynach Litwy. Listami, błaganiem łez pełnem córki chciała ona burzę zażegnać. Czytając jej listy do rodziców, żal serce ściska na myśl, jaką bezbrzeżną żałością niewieścia dusza ta przejętą była...

Oto są wyjątki z listu królowej Heleny do Ojca: „Pan mój i król Polski — pisze ona — ze swą matką, bracią i szwagrami rozumieli, że z Moskwy przyniosę z sobą wszystko dobre, wieczny pokój, miłość pokrewieńską, przyjaźń i pomoc przeciw poganom; dziś przeciwnie, wszyscy są przekonani, że (z nią) zlało się wszystko najgorsze: wojna, najazdy, rabunki, pożoga miast, przelew krwi chrześcijańskiej, żon wdowieństwo, osierocenie dzieci, niewola, jęki, płacz i zgrzytanie zębów... Takaż to jest, ojcze, twa ku mnie miłość! Rozważ, upamiętaj się i ulituj nademną, twą dziewką, służebnicą i twym podnóżkiem, który ciągle błaga Boga o twe zdrowie szczęście i powodzenie“... W dalszym ciągu tego żałośnego listu czytamy: ...„To o czem nigdy na Bożym świecie nie słyszano, spotyka mię, dziecko chrześcijańskiego pana. Skądkolwiek by mój mąż pojął małżonkę, miałby stamtąd przyjaźń, przychylność i wieczny pokój dla ziem własnych. Dziś raduje się z tego pogaństwo całego świata, a chrześcijańscy monarchowie z wielkiem podziwieniem mówią: od wieków nie słyszano, aby który ojciec ciemiężył własne

dzieci. Jeżeli Pan Bóg nie wlał w twoje serce, ojcze, miłości dla swej córki, pocóż mię wypuściłeś z rodzinnej ziemi i wydałeś w zamężcie za równego sobie brata? Przynajmniej z mojej przyczyny nie płynęłaby krew chrześcijańska i nie ginąłby lud niewinny... Stokroć znośniej by mnie było skonać we własnem państwie u twych nóg, aniżeli tu słyszeć zewsząd krzywdzące odgłosy: „dla tego snać wydał swą córkę do Litwy, aby bezpieczniej przejrzał rzeczoną ziemię i potem ją zagarnął... Obszerniejbym o tem wszystkiem do ciebie, ojca mego, napisała, lecz ze smutku i żalu rozum i uwaga mnie odbiegły, tak że tylko ze łzami i płaczem mogę ci bić czołem, błagając, abyś się upamiętał, wspomniał na mnie, krew własną, zaniechał gniewu na niewinnych, pojednał się z twym synem i bratem i przywrócił dawną miłość i przyjaźń, którą zaprzysiągłeś mu uroczyście w traktatach“ [1]... Jednocześnie tenże sam poseł, Iwaszko Sapieha, kanclerz litewski, wiózł list od królowej Heleny do jej matki. W owym liście brzmi taż sama boleść, też same utyskiwania słyszymy, jakie widzieliśmy w liście królowej do ojca. Usuwa ona wszelkie podejrzenia, iż się mogła stać winną w oczach rodziców, alluzya to zapewne do wieści, które może donosiły, iż Helena zerwała ze swą wiarą. „Sama nie pojmuję czem was obraziłam — pisze do matki rozżalona królowa — gdy do najmniejszej nie poczuwam się winy, i do śmierci dla was miłość dochowam. Jeślim nie warta wiary, przekonają się lepiej o wszystkiem wasi posłowie, których do nas wyprawicie. Jeśli się nie pokażę występną, błagaj matko ojca mego, aby się zlitował nade mną, nie porzucił mnie biednej swej służebnicy i dziewki i otarł łzy gorzkie, aby wyprawił do męża mego poselstwo i przez to mnie powrócił spokojność“... Dalej w tymże liście, przytoczywszy wieści, jakie o niej krążyły po kraju, o czem już, jak widzieliśmy, do ojca pisała, tak uchyla przed matką rąbek zasłony ukrywający jej domowe stosunki. „Racz sama matko rozważyć, czyli patrząc na tyle nieszczęść może na mnie spojrzeć łaskawem okiem król, mój małżonek, czyli mogę być miłą starej królowej, jego matce, lub *dziewierzowi*, królowi węgierskiemu i czeskiemu. Ciężka żałość nie pozwala mi pisać obszerniej... zlituj się nademną, ubogą służebnicą

[1] *Skarbiec Dyplomatów*... zebrany przez Ig. Daniłowicza.

i twą dziewką, nie porzucajcie mnie w obcej stronie, nie pozwalajcie radować się moim nieprzyjaciołom“ [1]... Oba listy, z których wyjątki przytoczyliśmy, pisane były 2 stycznia 1502 r. Podobnych listów, łzami pisanych, niemało biegło na zamek Kremlina. Pozostały one bez następstw pomyślnych. Tradycya polityki miejscowej brała górę nad względami moralnemi, nad uczuciem rodzicielskiem. Łzy Heleny, chociaż obfite, nie zdołały zapełnić przepaści, co się szeroko rozpostarła między dwoma światy tak różnej kultury.

Jedenaście zaledwie lat żyje jeszcze ona potem, i nie może się doczekać chwili, by stać się zwiastunką pokoju od wschodniej ściany Rzpltej. Mogiły bliskich jej sercu, mogiły tych, z którymi łączyły ją stosunki, szybko dokoła powstają, a ona zawsze jednako smutna, bo anioł pokoju nie unosi się nad murami Kremlina, bo wieść pociechy nie spływa do zbolałej jej duszy z okolic rodzinnych. Królowa Elżbieta umiera; umiera ojciec Heleny w r. 1505, umiera mąż w następnym; lecz zanim zawarto nad nimi kamień grobowy walka Polski z ojcem Heleny trwa, już nie podjazdowa, ale wielka; pola Wiedroży krwią rycerzy Aleksandra Jagiellończyka obficie zroszone, mężny Konstanty z Ostroga idzie w więzach do Moskwy. Pokój stały nie może zapanować, bo się domagają Smoleńska, bo pan na Kremlinie chce oprzeć swój miecz o wody nie tylko górnego, lecz i środkowego Dniepru, żąda Kijowa.

Gdy się groby dokoła rozwarły, gdy Helena przywdziała zasłonę wdowieństwa, gdy brat jej Wasyl zasiadł na tronie Moskwy, a Zygmunt I na polskim, walka się wznawia ciężka, sroga, krwawsza nad inne. Następują dni Orszy, szturmy Smoleńska. Wśród owych dni krwawych Helena kończy życie pełne bolu, dziwnie samotne, mocno wypróbowane w ogniu nieszczęść. W styczniu 1513 r. kończy ona w Wilnie swe dni smutne po dwutygodniowej gwałtownej gorączce, po całem życiu cierpień. Świat z którego wyszła, świat jej rodzinny, po zgonie biednej męczennicy przypomniał sobie dla tego jedynie o nieszczęśliwej, aby zwrotu posagu, zwrotu wyprawy jej zażądać. Oprócz owych „trzewików wyszywanych perłami“ innego wiana nie wniosła Helena do Polski... W. książę Wasyl

[1] l. c.

Iwanowicz groził, że zajmie Smoleńsk, gdy mu przedstawiono rzeczywisty stan rzeczy... I w istocie Smoleńsk stał się łupem wojsk Wasyla. O wiele lat później Zygmunt Stary, w liście do syna, wspomina, iż stracił Smoleńsk za „trzewiki“ Heleny perłami wyszywane.

Niestety, nawet na grobie Heleny wyrastały piołuny niechęci. Wszystko się składało, aby wytworzyć około jej imienia jakieś widmo uprzedzeń, ściśle niedające się określić. Pamięć jej bolu, jej cierpień, jej zasług dla ogółu zniknęła, tak jak zniknął ślad jej grobowca z cerkwi „Preczystej“ w Wilnie, ale wciąż się błąka jakiś cień o niewyraźnych kształtach około nieskazitelnego imienia owej zbolałej niewiasty, której całą winą było, że kombinacye polityczne rzuciły ją do dziedziny innych stosunków, do świata innej kultury... Przypatrywaliśmy się rysom dwóch królowych naszych XV stulecia. Obie zostawiły nam piśmienne świadectwa swego istnienia. Elżbieta pisze pedagogiczny traktat, nacechowany wzniosłemi zasadami cnót wielkich, odziany w szatę pojęć humanizmu; Helena wylewa na papier, w listach do rodziców, ból bezbrzeżny, zgrozę, którą się napełnia jej serce, wobec tego co przynoszą wieści z rodzinnych okolic. Pierwsza wnosi do naszego świata domowego pierwiastek dodatni, zbawiennie wpływa na społeczeństwo swej przybranej ojczyzny, druga nic innego dać nie może nad łzy własne... Uszanujmy łzy biednej, samotnej niewiasty...

Maryan Dubiecki.

STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

V. Przytwierdzenie włościan do gleby.

Statut Olbrachta, przytwierdzający włościan do gleby, nie był żadną nowością, potwierdził on tylko, obostrzył może, postanowienia i przepisy wydawane przez cały wiek poprzedni; stąd musimy się cofnąć do początku XV-go w. i śledzić powolne objawy tych zmian, które się zakończyły ujarzmieniem włościan.

Jak widzieliśmy wyżej, przysługa wojenna przez sołtysa czy kmiecia panującemu oddana nie pozostawała bez nagrody, łaska monarsza tak na jednostki jak i na ogół stąd spływała. Wolał tedy sołtys i wójt oręż nosić, niż w domu porządku pilnować, wolał z królem na wyprawę ruszać, niż być na służbie i na rozkazie pana swego. Ta niezależność nie podobała się szlachcie, wymogła ona na panującym postanowienie, które torowało drogę nadużyciom. Już na sejmie w Warcie 1418 r. postanowiono prawo, które 5 lat później Władysław Jagiełło w Krakowie powtórzył i zatwierdził: „Gdy kto ma na dziedzinie sołtysa niepożytecznego, abo nieposłusznego, pan może wziąść sołtystwo swe i sprzedać (a według poprawki przez Zygmunta I r. 1511 zrobionej — może rozkazać sołtystwo swe sprzedać), który jeśli kupca nie będzie miał ani będzie mógł mieć: tedy on dziedzic z przerzeczonym sołtysem mają i będą powinni przyjść do sądu ziemskiego, wziąwszy z sobą dwie osoby dobrze rozumne, żadnej stronie nie podejrzane, którzy oszacowawszy wójtostwo (sołtystwo) za co stoi, o onej jednej sumie obwie-

szczą (nuntiabunt) pana abo dziedzica, aby ją zapłacił, a tak pan zapłaciwszy onę taksę pieniężną, otrzyma na się ono wójtostwo“ [1]. Wykazać sołtysowi nieposłuszeństwo lub nieużyteczność nie było rzeczą trudną; własności drobne przechodziły powoli w ręce szlachty, w dobrach tylko koronnych i duchownych, nie posiadających tego przywileju, trwała jeszcze niezależność i własność sołtysów.

W dwadzieścia lat później w całej Koronie przyszła kolej na kmieci, których ciągłe wychodźtwo na Ruś domagało się ograniczenia swobód. W rok po wydaniu prawa zakazującego poufniejszego obcowania szlachcica z niższymi stanami, otrzymała szlachta od Kaźmierza Jagiellończyka przywilej Nieszawski, wzbraniający mieszczanom i kmieciom, jako niepełniącym obowiązku wojennego, nabywania własności ziemskich. Tenże król wydał w r. 1455 prawo, że z tej wsi, z której pan wyruszył na wojnę, nie może się żaden kmieć przed powrotem pana wyprowadzić.

W r. 1477 szlachta ruska i małopolska w Krasnymstawie zebrana poszła jeszcze dalej, wychodząc z zasady, że tylko przez pracę kmieci może polepszyć stan swoich majątków, ograniczyła wolność kmieci w opuszczaniu roli, kazała zagrodnikowi oprócz czynszu 6 groszy, odrabiać jeden dzień w tygodniu pańszczyzny, a kmieciom nadto w niektóre tygodnie po dni dwa. Uchwał tych, których każdy posiadacz ziemi pod karą 3 grzywien winien był ściśle się trzymać, nie śmiano nawet przedłożyć królowi do potwierdzenia, przewidując słusznie, że zostaną odrzucone [2]. Chociaż więc nie weszły one jeszcze w życie, pokazują jednak jasno dążenie szlachty względem poddanych, i już na pewno każą się spodziewać w przyszłości smutnych rezultatów.

Zbliżył się wreszcie rok 1496. Jan Olbracht idąc za radą Kallimacha chciał się oprzeć na szlachcie drobnej, poskromić możnowładztwo a wreszcie i władzę monarszą ugruntować. Wyprawa wołoska miała podnieść jego powagę, a chcąc szlachtę dla niej pozyskać, okazał się na razie skorym do ustępstw. Zebrał się sejm w Piotrkowie r. 1496, gdzie prócz ustaw sądowych i administra

[1] Statut Wład. Jag. w Krakowie i Warcie r. 1423. Janusz. Str 1075.
[2] Maciejowski.

cyjnych wydano szereg uchwał kmieci dotyczących. Co do opuszczania roli powtórzono tylko ustawę Kazimierza W., powiedziano bowiem: „Stojąc przy konstytucyi Kazimierza króla, przodka naszego ustanawiamy, iż nie więcej jedno jeden kmieć każdego roku może się przenieść z prawa i wolnie. A ktoby takowego nie chciał puścić, winę zwykłą przepadnie“ [1]. W trzech wypadkach atoli już statutem Kazimierza zastrzeżonych tj. gdyby kmieć za długi pańskie na majątku ucierpiał, gdyby pan poddance gwałt zadał, lub gdyby rok cały trwał w klątwie, mogła i cała wieś pana opuścić [2]. Zbiegłego kmiecia nie wolno było zatrzymywać: „stawiamy, aby dzierżawcy dóbr naszych i mieszczanie miast naszych i obywatele i duchowni ludzie zbiegłe ludzie onym, od których uciekli, będąc o nie upomnieni, wracali i ku wróceniu ich aby byli powinni wedle zwyczaju prawa ziemskiego“ [3]; mógł atoli zbiegły kmieć przez rok tylko być poszukiwanym [4]. Nakazuje urzędom ziemskim i starostom wydawać paszporta czyli karty bezpieczeństwa tym, którzy mogli odejść, a o nie prosili [5], z drugiej zaś strony przestrzegać, aby kmiecie mieli te paszporta i wolny przechód z przynależnego dominium; który tego nie miał, uważany był jako zbieg i włóczęga, i pod karą 14 grzywien miał być panu zwrócony“ [6].

Ogólne zatem przepisy przy opuszczaniu roli zostały tylko powtórzone, a tylko względem dzieci wyszły surowe postanowienia. Statut Kazimierza o dzieciach nic nie wspomina, to też mogły one udawać się dowolnie do miast na naukę lub do rzemiosła, ta zaś późniejsza uchwała rozróżnia wyraźnie między jedynakiem, a niejedynakami. Pierwszemu nakazuje bezwarunkowo na roli pozostać: „A jeśliby jeno jedyny syn był, ten na dziedzinie mieszkać ma i robić w domu z rodzicami, albo na tejże dziedzinie, gdzie rodzice mieszkają, mieszkania albo służby albo żywności niech szuka“ [7].

---

[1] Statut Jana Olbr. w Piotrkowie, Januszowski. Str. 1081.
[2] Tenże. Przywileje str. 26.
[3] Tenże str. 1085.
[4] Tenże str. 1086.
[5] Tenże str. 628.
[6] Tenże str. 1082.
[7] Tamże.

Co zaś do niejedynaków, to pozwala ich posyłać na naukę do szkół lub do rzemiosła nim dojdą lat dwunastu, bez uwiadomienia pana [1], ale gdyby ten, stosownie do tego co się nauczył, chciał się gdzie przenieść bez pozwolenia pańskiego, ma być panu zwrócony, a jego dziedzina ulegnie konfiskacie [2]. O dzieciach, które przeszły rok 12, powiedziano: „Zabiegając swawoli tak młodych chłopców *(adolescentum plebeiorum)*, jako i spustoszeniu dóbr... ustanawiamy: Iż tylko jeden syn ze wsi od ojca ma odejść na służbę, a zwłaszcza na naukę szkolną albo rzemiosło: a inni niech zostaną na dziedzinie z rodzicami. A gdy będzie miał który odejść, ma dozwolenie *(licentiam)* wziąć i list świadeczny *(litteras testimoniales)* od panów miejsc, jako jest wypuszczony, aby szedł na rzemiosło i na służbę“ [3]. Starostom i właścicielom nakazuje takie listy bez oporu wydawać, a jeśliby jaki młodzieniec znalazł się w mieście bez takiego listu, ma być na mocy tegoż statutu pod karą 14 grzywien wysłany [4]; czyli to samo prawo, które się i wszystkich włościan dotyczyło. Ograniczenie wolności wyrostków w porównaniu do statutu Kazimierza W. jest znacznie powiększone, i od tego czasu zaczyna się właściwe przytwierdzenie włościan do gleby; zagrabienie na rzecz szlachty drobnych własności wolnych włościan było ich ostatecznem ujarzmieniem.

Według zapatrywań starożytności, tylko posiadacz ziemi był obywatelem państwa, on tylko miał prawo do korzystania z jego opieki i do uczestniczenia w rządzie, wszyscy inni byli od tego wykluczeni, byli poddanymi. Wyraz tych zmienionych przekonań dała szlachta w dwóch ustawach: pierwsza wzbraniała mieszczanom i plebejom posiadania wyższych godności kościelnych: „...ustanawiamy, aby w każdych kapitułach kościołów przerzeczonych (tj. gnieźnieńskiego, poznańskiego, krakowskiego, wrocławskiego, płockiego) na dostojeństwa *personatus* i urzędy i kanonie i prebendy nie byli brani tylko osoby te, które są o b y w a t e l a m i Królestwa Polskiego, szlachcicy z obojga rodziców“ [5]. Wyjątek stanowiło pię-

[1] J. Lelewel: „Posiadłości kmiece“.

[2] Januszowski, str. 1083.

[3] Tenże str. 1082.

[4] Tamże.

[5] Tenże str. 194. Już samo prawo wyraźnie tu powiada, kto jest teraz obywatelem Królestwa Polskiego.

ciu doktorów teologii pochodzenia chłopskiego, którzy mogli być przy każdej kapitule[1]. Ponieważ prawo to, wbrew życzeniom ogółu szlachty, nie było zaraz ściśle wykonywane, przeto w 9 lat potem ustanowiono na starających się i biorących powyższe kościelne godności, jakoteż i na tych wszystkich, którzy im do tego pomagają, karę banicyi i konfiskaty dóbr[2]. Widocznie to uchybiało szlachcie, i musiała się tego bardzo obawiać, by między nią nie zasiadł człowiek niskiego pochodzenia, skoro takim nieprzebytym murem od nich się odgraniczała.

Kto nie był szlachcicem, nie miał też i prawa do wolnego posiadania dóbr ziemskich; i dlatego w drugiej ustawie powiedziano: „Ustanawiamy, iż mieszczanom i prostym ludziom, skądkolwiek będącym, miasteczek, wsi, folwarków, prawu ziemskiemu podległych, kupować, trzymać, posiadać na wieczność i zastawnym obyczajem, nie ma być wolno: a to dlatego, iż w ciągnieniu wojennym i szykowaniu miejsca słusznego między szlachtą nie mieliby, i dla tego mając takie dobra zwykli szukać obyczajów *(occasiones quaerere consueverunt)*, jakoby wolni byli od wojennych wypraw: i nadto gdy oni domów i dóbr prawu miejskiemu podległych nie dopuszczają innym szlachcie ustępować, tedy też wzajem i im dóbr w prawie ziemskim położonych wykupienie słusznie zda się, aby było zabroniono. A sędziowie ziemscy i grodcy zapisów takich nie mają dopuszczać. A jeśli inaczej uczynią, tedy cokolwiek będzie zapisano przeciwko takowej ustawie, to ma być nikczemnem i próżnem skazano za teraźniejszym statutem *(... id irritum, nullum et inane decernatur esse statuto praesenti mediante)*“ [3].

Ośmielonej swoją przewagą szlachcie nie dosyć było zakazać posiadania takich dóbr, nakazała nadto plebejom wkrótce z nich się wyprzedać. „... a ktemu ci, którzy już skutecznie dobra ziemskie osiedli, takowe w pewnym czasie, w którym to sprawić będą mogli *(quo commode id facere possint)*, są powinni przedać pod winami, które z tych, którzy inaczej czynią, wedle woli naszej i wojewody onej ziemi, gdzie ona majętność jest, będziem nieod-

[1] Lelewel, str. 197.
[2] „Aleksander w Radomiu 1505“. Janusz. str. 196.
[3] „St. Olbr.“ Janusz. str. 1031.

puszczenie *(irremissibiliter)* wyciągać“ [1]. „W skutek tego, powiada Lelewel, ci co nabyli ziemie niepodległe, niczem nie obciążone, powinni byli one sprzedać, albo z nich wyzuci zostali, albo, stosownie do systemu koekwacyjnego, ich posiadłość znalazła szlachcica-pana, została obarczona obowiązkami i służbą, jakie w jego włościach obowiązywały kmieci; właściciel i własność kmiecia zostają zrównane z innymi poddanymi, którzy są ujarzmieni“ [2].

Prawo to bądź co bądź nieludzkie na szczęście długo pozostało na papierze, i blisko pół wieku minęło, zanim ściśle wykonane zostało. Gwałtownej a przymusowej wysprzedaży wcale u nas nie było. Już samo prawo z r. 1496, nie naznaczywszy ściśle czasu, w którym nieszlachcice swoje posiadłości ziemskie mieli sprzedać, podało łatwą sposobność do ominięcia tego prawa. Jak dalece z tego korzystano, pokazuje ustawa z r. 1505. „Ustanawiamy, aby mieszczanie, mający dobra dziedziczne, od służb wojennych nie byli wyjęci ani wolni od wojennej wyprawy, ilekroć będzie ustanowiona“ [3]. Taki stan rzeczy trwał jeszcze długo, bo dopiero w r. 1538 wzięto się stanowczo do przeprowadzenia uchwały z r. 1496. W tym względzie zapadło nowe prawo, które brzmi: „Stojąc przy starych ustawach przodków naszych i prośbami poddanych naszych poruszeni skazujemy: aby mieszczanie i prostego stanu ludzie, wedle zakazania statutów, dóbr dziedzicznych ziemskich na potem nie kupowali, a zapisy, które w sądziech ziemskich mieszczanom na te dobra będą uczynione, niech *ipso facto* będą nikczemne *(nullae)*; ktemu sędzia, który takiego zapisu dopuści, sto grzywien niech przepadnie *(poenam centum marcarum incurrat)*, która ma być przez urząd od niego wyciągana. Dobra lepak (zaś) te, które do tych czasów mieszczanie dzierżyli i dzierżą, będą powinni w czasie czterech lat, któremukolwiek będą chcieli szlachcicowi i obywatelowi koronnemu przedać pod straceniem tych dóbr, które przerzeczonym obyczajem przez nas mają być przedane, a te pieniądze na obronę królestwa mają być obrócone... Ale jednak to nie ma

---

[1] Tenże str. 1032.

[2] „Posiadłości kmiece“.

[3] „Statut Aleksandra 1505“. Janusz. str. 701.

się ściągać na miasta *(ad civitates et communitates earundem)*, które dobra dziedziczne ziemskie mocą przywilejów starych pospólnie dzierżą *(in commune obtinent)*“ [1]. Stanowczo tedy los posiadłości kmiecych i włościańskich został rozstrzygnięty — w czterech latach musieli się z nich wyprzedać pod karą konfiskaty. Chociaż nawet miało przyjść do przymusowej sprzedaży, to jeszcze tenże statut nakazuje termin jednego roku i sześciu niedziel na uwiadomienie o tem dotychczasowego posiadacza, mieszczanina lub kmiecia, by miał czas jeszcze się wyprzedać i nadal coś ze sobą postanowić [2]. Tenże sejm ogranicza przystęp plebejom nawet do opactw i probostw: ... „ustanawiamy, aby na wieczne przyszłe czasy żaden na opactwo ani na probostwo nie był ani mógł być wybieran, jedno ten, któryby był z narodu polskiego.

„To tylko obwarowawszy, iż jeśliby był w klasztorze szlacheckiego rodzaju mnich godny, tedy takowy być ma przed innymi na opactwo wybran i przez nas *loci ordinario* prezentowan.

„A jeśliby żaden szlachcic godny w tymże klasztorze nie był nalezion, tedy z innego klasztoru tegoż zakonu szlachcic godny ma być obran albo ma być oń żądano *(erit diligendus seu postulandus)*.

„A gdzieby szlachcica godnego nie było tedy będzie dopuszczono i wolno prostego rodu człowieka na opactwo obrać, o którego godności i narodzie biskup miejsca onego nas przez list swój obwieści i upewni: abyśmy wiedzieli, którego i jakiego mamy jemu zalecić“ [3].

Pierwsze kroki były już postawione, reszta szła coraz szybciej i z coraz mniejszem uwzględnieniem praw słuszności i ludzkości. „W niespełna dwudziestu leciech po zapadnięciu prawa czyniącego zwolnienie przytwierdzenia zależnym od właściciela, postanowiono, aby żadnego odtąd gospodarza ze wsi nie wypuszczać, ale osadzać w dobrach do tegoż właściciela należących [4].

Co do hultajów, to tymże statutem Piotrkowskim zakazano czasu żniwa wychodzić do Prus i Szląska na zarobek, a w r. 1503

---

[1] „Zygmunt w Piotrkowie 1538“. Janusz. str. 1032.
[2] Tamże str. 100.
[3] Tamże str. 702—3.
[4] Lubomirski r. 1857 t. II.

polecono powtórnie starostwu wychodźców takich łapać, przez miesiąc u siebie do pracy bez wynagrodzenia zmuszać, a potem właściwym ich panom odsyłać [1].

Przytwierdzenie rozciągnięto dalej, do członków rodziny, córkom nawet do innej wsi za mąż pójść nie pozwalając. „O dziewkach tychże kmieci albo oraczów dla małżeństwa, które chcemy być wolne, ustanawiamy: iż jeśliby kto nieosiadły pojął dziewkę kmiecia osiadłego, u niej na osiadłości mieszkać ma; i takie nieosiadłe dziewki u osiadłych mężów mieszkać mają, gdy za mąż pójdą. To też o wdowach chcemy, aby było chowano“ [2].

W roku 1505 zakazano wydawać glejty czyli listy żelazne mieszczanom i kmieciom [3]; w dwa lata później zabroniono handlu wiejskiego pod karą konfiskaty [4]. W r. 1519 nakazano wszystkich chłopów, „którzy do trzeciego dnia po przyjściu swem do miasta i miasteczek w służbę i rzemiosło się nie oddadzą“, więzić, zmuszać do sypania wałów i właścicielowi, gdy się o nich upomni, oddawać [5]. Według ustawy z roku 1532, dawano 12 gr. „za pracę i pilność, którą w zatrzymaniu czynili“ tym, którzy chłopa przytrzymali [6].

Zabroniono dalej kmieciom brać grunta w dzierżawę u obcego właściciela, sprzeciwiano się wynajmowaniu ich do robót w cudzych majętnościach, słowem nie zaniedbano niczego, by dolę chłopa jak najwięcej od dworu zawisłą uczynić. W tym samym czasie ustaje nazwa kmiecia, a nazwa chłopa, przedtem do niewolników tylko się odnosząca, przechodzi na wszystkich ziemian nieszlachciców. „Odtąd też zniknęły pojęcia prawne co do osobistej swobody pomiędzy stanami rolniczej ludności; niewolnika i kmiecia porównano z przytwierdzonym; pierwszy nie wiele na tem wygrał, lecz drugi niezmiernie stracił z całym krajem, którego był — obok szlachty — najzacniejszem dzieckiem“ [7].

---

[1] Januszowski, str. 1095.
[2] „Zygmunt w Bydgoszczy 1511“. Janusz. str. 1080.
[3] Tenże str. 628.
[4] „Przywilej Zygmunta I w Krakowie 1507“. Tenże, przywileje, str. 48.
[5] „Zygmunt w Piotrkowie 1519“. Janusz. 1094.
[6] Janusz. str. 1088.
[7] Lubomirski r. 1857, II.

Rozbierzmy teraz następstwa tych praw i przypatrzmy się skutkom, jakie one za sobą pociągnęły.

Z powodu przytwierdzenia zmniejszyła się ludność miejska, gdyż cudzoziemcy tylko i żydzi ją zasilali. Ograniczenie chłopów w wychodźctwie do miast było tego początkiem; miasta zasilały się jeszcze wolnem hultajstwem, i odtąd stan ich jest ściśle z niemi związany. W mieście znajdował hultaj łatwiejszy zarobek i większą płacę, napływał więc do nich jeszcze licznie, i jako tako brak robotnika wyrównywał. Z czasem prawa tyczące włościan rozciągnięto i do wolnych hultajów, a w r. 1593 prawie zupełnie ich zniesiono. Ustawa w tym względzie wydana orzeka: „Urzędom wszystkim, starostom i dzierżawcom naszym, tak urzędom miast i miasteczek naszych, jako i poddanym naszym duchownym i świeckim rozkazujemy, aby od przyszłego święta Małgorzaty św. to wszystko hultajstwo, którzyby nie służyli dorocznie, mężczyzn i białogłowy od miast ekskludowali (odpędzali), a potem przyjmować i przechowywać zakazali. A gdzieby znowu się wrócili, one imali, gdyż w mieście o tym dosyć liczne urzędy wiedzieć mogą. I kiedy ten porządek uczynią, aby pod winą gospodarz każdy był zaraz powinien dać znać urzędowi, gdy kto takowy do niego w dom przyjdzie, a miasta mają się kontentować dla potrzeb swych komornikami, którzyby przy mieście dobrze znajomi od roku mieszkali. Wszakże i takowych, gdyby kto swego poznał, wydawać powinni“. Przekraczający ten statut podpadał karze 14 grzywien[1]. Że zaś w owych czasach przy braku maszyn robotnik ręczny, choćby i w jak największej ilości, był pierwszym warunkiem rozwoju miast, przeto powyższą uchwałą los miast polskich, a z niemi handlu i przemysłu został stanowczo rozstrzygnięty.

Na upadek miast złożyły się jeszcze inne przyczyny mianowicie: upadek handlu czarnomorskiego w połowie XV wieku i postępowanie szlachty. Szlachta niechętna mieszczanom z powodu ich wyjątkowych praw odejmowała im raz po raz przywileje w różnych czasach przez różnych królów wydawane. Przywilej z r. 1496 przez Olbrachta szlachcie wydany, dozwala każdemu kupować i sprzeda-

[1] „Zygmunt III w Warszawie r. 1593“. Januszowski, str. 584.

wać w mieście produkta bez opłaty[1], szlachcicowi osiadłemu w mieście pędzić bez opłaty wodkę i warzyć piwo[2]. Poddano ceny targowe i cechy pod zwierzchniczą kontrolę starostów, zakazano posiadania dóbr prawem ziemskiem, zdeptano powagę miejskich magistratur stanowiąc, że przyjęcie urzędu — zwłaszcza w małych miastach — jest utratą szlachectwa[3]. Podano cały stan w pogardę stanowiąc, że „każdy szlachcic szlachectwo traci, jeśli będąc w mieście osiadły handlami i szynkami się bawi miejskiemi i *magistratus* miejskie odprawuje, — i potomstwo pod ten czas spłodzone i on sam dóbr ziemskich nie może nabywać“[4]. Przeciw tym uchwałom mieszczanie nie bronili się jak należało, zajęci zbieraniem dostatków, mało dbali o prawa polityczne, jakie im służyły, zaniedbywali wysyłać delegowanych na sejmy i zgromadzenia prawodawcze, niechętnie szli na wojnę, uważając się za obcych w tym kraju, który jakkolwiek gościnnie ich przyjął, obywatelstwa im odmówił. Temu postępowaniu co najmniej w połowie przypisać należy ich upadek[5]. Nadto, klęski za Jana Kazimierza, potem wielka wojna północna i kilkakrotnie pojawiające się zarazy ludność miast przynajmniej o połowę zmniejszyły i pozbawiły ją reszty mienia, jakie jeszcze dotąd utrzymała.

Zamknięcie miast przed ludnością wiejską sprawiło, że wnet ustały rzemiosła po wsiach. „W Mazowszu, gdy z rozkazu króla kazano (r. 1549) szukać cieślów, rządcy donieśli, że niema już żadnej wsi biegłej w tem rzemiośle; w dobrach arcybiskupich żalą się kmiecie (r. 1536), że ich zmuszają do budowania śpichrza, a oni są nieświadomi rzemiosła.

„W rolnictwie przez przymusową osiadłość naruszono stosunek między żądaniem a dawaniem pracy; wyrodziło się też niedługo przepełnienie robotnika w jednych dobrach, a brak go w drugich; na południu, na Rusi dawał się czuć brak robotnika, na północy, w Polsce brak żywności: tu na sapowatych, pośledniech gruntach przymusowo, bez zarobku pracował kmieć, i wątlał na siłach dla braku

---

[1] Januszowski. „Przywileje“ str. 23.

[2] Tenże str. 1047.

[3] „Statut Aleksandra 1505“. Tenże str. 555.

[4] „Sejm z r. 1633“. Vol. leg. III fol. 806.

[5] Tomasz hr. Potocki: „O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce“. Poznań 1851.

strawy, gdy na południu żyto i przenica gniły na pniu. Zabronienie swym kmieciom wynajmowania gruntów u cudzego właściciela pociągnęło ten skutek, że gdy w jednych dobrach obrabiano grunta z wielkim kosztem a małym plonem, w sąsiedzkich obok leżały odłogiem takie, które w porównaniu z pierwszymi nie wymagałyby i połowy kosztów, a dawałyby dwa razy tyle dochodu. Przez przytwierdzenie stracono skazówkę do ustanowienia renty: skazówkę, którą zawsze ustanawiało swobodne współzawodnictwo kmieci między sobą o grunta... mnożąc osiadłą ludność, przekształcono masę gruntów pustych, poślednich w osiadłe, dla których ustanawiano powinności równające się stopie dawnych osiadłych. I stądto między ludnością nędza, stąd niemożność uiszczania się dworowi i nadzwyczajne powiększenie się zaległości... Na widok w oczy bijącej nędzy, niemożności kmieci wypłacania czynszu, właściciel gruntu musiał chwytać się innego w miejsce czynszu środka na wydostanie dochodu, a to przez wybieranie robocizną renty z kmiecego gruntu“ [1]. Stąd na sejmie w Toruniu (1519—1520) postanowiono, że każdy odtąd kmieć jest obowiązany jeden dzień w tygodniu z łanu odrabiać: „Chcąc poradzić pożytkom poddanych naszych, za wszystkich rad naszych stanu obojga i posłów ziem królestwa radą i zwoleniem stawiamy i skazujemy: aby to na wieki było chowano. Iż wszyscy i każdy z osobna kmiecie wszystkich i każdej z osobna wsi tak naszych jako i poddanych naszych któregokolwiek stanu będących [2], k t ó r z y p r z e d t e m d n i a w t y d z i e ń nie rabiali, nam i innym swym panom z każdego łanu jeden dzień w tygodniu mają robić, i ku robieniu niech będą powinni: wyjąwszy te kmiecie, którzy czynszem pieniężnym albo zbożem, albo którymkolwiek innym podatktem panom swym roboty przedtem nagrodzili“ [3]. Na robociznę tę (na pańszczyznę) wychodzili kmiecie z jednym zaprzęgiem i w dwoje robotników ręcznych, zagrodnik dawał jednego pieszego robotnika. Według Moraczewskiego, płacili

[1] Lubomirski tamże.

[2] I to dowód, że jeszcze w tym czasie inne stany tj. chłopi i mieszczanie mieli wolnych dziedzictw.

[3] Januszowski, str. 1079.

nadto pierwsi po 20 kilka ówczesnych groszy, drudzy niżej dwudziestu [1].

Z braku innych źródeł spadł cały ciężar podatków na kmieci. Łanowego uchwalono 25% czystego dochodu przypuszczając w ogóle, że każdy łan daje grzywnę dochodu. Takie niesprawiedliwe rozłożenie podatku przygniatało całym ciężarem okolice biedne, odległe od miast i traktów handlowych, dla innych zaś było nader łatwem; obudziło nadto we właścicielach chęć powiększania roli folwarcznej, tem samem wolnej od podatku, z umniejszaniem własności kmiecej. Umniejszając rolę osiadłą nie zmniejszano wcale liczby przytwierdzonych „chłopów“ ani robocizny. Z końcem XV wieku, powiada Lubomirski, naznaczono, że osiadłość powinna wynosić nie więcej nad pół łanu; pod koniec XVI w. każdy kmieć trzymał mało co nad $^1/_3$ łanu, później ćwierć, a w XVII jeszcze mniej, i jak się przekonywamy, więcej z tej małej części robić był obowiązany niż przedtem z całego łanu.

Tej niekorzystnej dla włościan a zgubnej dla państwa przemianie starano się zapobiedz i użyto w XVI w. drogi podatku. Ustanowiono podatek równy czwartej części czynszu nałożonego na dochody, łanowemu nie podlegające; lecz dochody nie dorównały wydatkom na taksatorów, stąd koło 1570 ustał zupełnie, bynajmniej zamierzonego skutku nie osiągnąwszy. Postanowiono więc podatek od gruntu zamienić na podatek od osoby tj. pogłówne, pierwszy raz r. 1520 wybrane, a nareszcie nakazano właścicielom płacić cały podatek od łanu lub nawpół z kmieciem. „Właściciel zmuszony prawem do płacenia podatku za grunt księcia mniemał, że słusznie domaga się, by mu kmieć podatek odrobił“ [2]; właśnie teraz ujmował roli kmieciom, by ją od podatku uwolnić, a pozostałą powinnościami obciążał. Tak więc „przytwierdzenie, uwolnienie gruntów folwarcznych od podatku, brak prawa opisującego wielkość gruntów mogących być przez obrócenie na folwark wyzwolonemi od podatku, były ciągle (aż do ofiary 1789 r.) trwającemi przyczynami małego dochodu skarbu, ubóstwa kmieci, a nadewszystko zwiększenia się robocizny“ [3].

[1] „Polska w złotym wieku“.
[2] Lubomirski.
[3] Tenże.

Przytwierdzenie wpłynęło dalej na zmianę w odbywaniu robocizny. Dawniej miała wieś wyznaczoną pewną ilość robót lub kawał gruntu do uprawy, obecnie taka robocizna zwana „zaczasną“, „uroczną“ nie odpowiadała już wymaganiom rolnictwa, to też zmieniono ją na tygodniową, którejby właściciele mogli dowolnie, według potrzeby, używać. Zmiana ta wprowadzona w praktykę między r. 1480 a 1520 i to prywatnie, nie prawnie pojawiła się najpierw w Mazowszu i w Brzesko-kujawskiem; w r. 1506 postanowiono dla kilku wsi, ażeby w przeciągu tygodni trzynastu po dwa dni robotowały; w r. 1514 obowiązano wszystkie wsie do dwóch dni w przeciągu tygodni czternastu. Kiedy w r. 1520 postanowił statut odbywanie jednego dnia na tydzień, kraj, jak słusznie powiada Lubomirski, był już wyprzedził prawo [1]. Odtąd szło dodawanie pańszczyzny zwyczajnym trybem; w r. 1534, w trzy lata po poborze, którego właściciel połowę składać musiał, postanowiono, by kmiecie dwa dni tygodniowej robocizny odbywali.

Zawadzało szlachcie rękojemstwo włościan łączące ich wzajemnie między sobą, więc postanowiła go usunąć. Na prośbę posłów województwa poznańskiego zniósł je w tymże województwie Zygmunt August w Warszawie r. 1563. Tenże ustanowił w Piotrkowie 1565 r.: „Iż posłowie ziemie sochaczewskiej prosili, aby rękojemstwo p o d d a n y c h między ich rycerstwem ustało, chcąc się w tym porównać z innemi ziemiami województwa swego i innych województw w Koronie naszej, tedy My im tego pozwalamy i uchwałą sejmu tego rękojemstwo to abrogujemy (znosimy)“ [2]. Podobnie i służba wojenna włościańska i za nią idąca opieka monarsza wkraczała w zakres dążeń i interesów szlachty, to też, jak widzieliśmy wyżej, już w XV wieku lud od tej ostatniej usunięto. Nie zwolniono ich wszakże od służby, bo musieli i nadal służyć jako pachołcy i ciury obozowe. Prócz tego służyli teraz na dwo-

[1] Dowodzi tego uchwała Zygmunta w Toruniu 1520, która orzekłszy, że kmiecie jeden dzień w tygodniu panom swym robić są obowiązani, tak dalej mówi: „To osobliwie opatrzywszy, aby ta ustawa nie ściągała się na te kmiecie, którzy względem osiadłej roli w i ę c e j d n i w t y g o d n i u panom swym i nam robić zwykli. Albowiem to prawo tylko na te ustanowiono jest, którzy mniej niż dzień w tygodniu panom swym i nam robić zwykli. Janusz. 1079.

[2] Tenże str. 635.

rach panów polskich i liczne nieraz ich roty pod nazwą kozaków, hajduków, dragonów, oddawały wielką przysługę szczególniej w odpieraniu Tatarów, gdzie często jeden magnat zebrawszy swoje sługi gonił i rozbijał mniejsze kupy najezdzców. Nieraz jednak użyci do prywatnych celów, z winy naturalnie swych panów, źle się ojczyźnie wysługiwali. W r. 1544 ustanowiono piechotę łanową, pobieraną z dóbr królewskich [1]; w chwilach krytycznych używano piechoty „dymowej", z wszystkich dóbr pobieranej. Byłaby może i weszła w zwyczaj tyle waleczności w niektórych wojnach okazująca piechota, gdyby szlachta w źle zrozumianym interesie własnym nie była jej ciągle zmniejszała. Niestety! i na tem polu wnet miał kraj poczuć zgubne skutki swej polityki [2].

Ważną jest nader rzeczą, w jaki sposób przeszedł chłop z pod sądów ziemskich pod juryzdykcyę dominialną. Nie będziemy szczegółowo rozbierać tej obszernej kwestyi, dotkniemy tylko kilku jej punktów. Szlachta, starając się o przytwierdzenie włościan, dążyła równocześnie do zagarnięcia władzy dominialnej nad nimi, a że ludność wiejska, jedna podlegała sołtysom, druga prawu ziemskiemu, w tych dwóch zatem kierunkach objawiają się dążności szlachty.

Kazimierz W. zabronił szlachcie nabywać sołtystwa na swoją własność, — Władysław Jagiełło pozwolił już wyrzucić krnąbrnego sołtysa i prawa jego zagarnąć; korzystała z tego szlachta skwapliwie. Wraz z sołtystwami nabywała szlachta jurysdykcyę dominialną w osadzie, i pozbawiała jej mieszkańców wszystkich przywilejów teutońskich, jakie im pod względem sądownictwa służyły. Zdarzały się przytem nierzadkie wypadki dobrowolnego ustąpienia sołtysa i wójta, którzy woleli się przenosić na wschód, gdzie im się lepsza uśmiechała przyszłość, niż na starej siedzibie porządku pilnować. Żeby zaś praw swoich komu innemu nie ustępowali, wystarała się szlachta u Zygmunta I jeszcze w r. 1507 o prawo, które zakazywało sołtysom, wójtom, młynarzom sprzedawać swoje dziedziny bez pozwolenia pana „pod straceniem sumy, za którą sprzedadzą i za-

[1] „Statut Zygmunta I 1544". Janusz. str. 702.

[2] Obszerniejsza o tem praca jest w *Przeglądzie poznańskim* tom III, r. 1846: „O służbie wojennej włościan za dawnej Polski".

stawią, do skarbu pana swego“ [1]. Gdzie zaś sołtys pozostał, tam poczuł razem z włościanami skutki przytwierdzenia, bo gdy w wieku XV dostawał nieraz do 6 łanów, to w XVI w. dawano mu niżej dwóch, a w XVII w. zeszedł do rzędu gospodarzy ćwiertnych [2]. Równocześnie utracał swój wpływ na kmieci, został pociągnięty do robocizny, początkowo jako dozorca na pańszczyźnie, później użyty do strzeżenia lasów, wożenia listów i t. d., słowem zamieniony w podległego panu we wszystkiem ekonoma, sługę [3].

Niemniej przebiegle postąpiła sobie szlachta z tą częścią poddanych, którzy sądom ziemskim podlegali. Przed Kazimierzem W. jeśli gdzie pan miał w swych dobrach juryzdykcyę dominialną, to tylko na mocy osobnego przywileju, jak to widzimy na Klemensie z Ruszczy; statut wiślicki podciągnął wszystkich pod jedno prawo, z wyjątkiem tych, którzy juryzdykcyi sołtysów podlegali. Z czasem wychodził statut z pamięci i z użycia, opieka prawna coraz słabła, wyrabiały się różnice w pojęciach stanów, i w zwyczaj poczęło wchodzić, że sprawy poddanych sam pan rozstrzygał z pominięciem sądów i prawa ziemskiego. Prawo Władysława Jagiełły z r. 1423 nakazywało trzy i cztery razy wzywać zbiegłego kmiecia, by na osadę powrócił, a gdy tego nie uczynił, dopiero wówczas dozwalało jego dziedzinę oddać innemu. Gdy zaś zbiegły kmieć nowo osadzonemu jakie „przegróżki“ czynił, nakazywało toż samo prawo, by pan nowego osadnika wziął w opiekę a ukarał dawnego, który ośmiela się te przegróżki czynić [4]. Statut z r. 1496 dozwalając mieszczanom o długi kmiece w dominium się upominać i dominium tylko za zwłokę lub zły wymiar sprawiedliwości przed sądy ziemskie pociągać, uprawnił sądy dominialne, przyjął jako fakt dokonany wchodzącą w zwyczaj juryzdykcyę szlachty. „Proces sądowy z r. 1523, przepisując formę pomów, już nie uważa osoby poddanego za mocną do działania sądowego. Nie jest mu odmówiony wymiar sprawiedliwości, ale jej upominanie się na pana przeniesione. Za rany i zabójstwa obowiązany stawać z swoim patronem,

[1] Januszowski, str. 1076.
[2] Lubomirski r. 1858 tom I.
[3] Moraczewski.
[4] Januszowski, str. 1086.

o krzywdę każdą, o zabranie sieci u rzeki, wybranie miodu z barci *et his similibus*, nie poddany, ale pan upominać się prawem powinien“ [1]. Statut Zygmunta w Krakowie r. 1532 nakazuje sądzić sługę nieosiadłego w mniejszych rzeczach np. o ubicie, zranienie, szkodę w polu wyrządzoną, — chociaż osiadłego, jeszcze „do sądu i prawa, do którego należeć będą“ [2]. Wreszcie rok 1573 uwieńczył usiłowania szlachty, w których konfederacya generalna warszawska uchwaliła: „Wszakże przez konfederacyą naszę zwierzchności żadnej nad poddanymi ich, tak panów duchownych jako i świeckich nie derogujemy, i posłuszeństwa żadnego przeciw panom ich nie psujemy: i owszem, jeśliby takowa licencya gdzie była *sub praetextu religionis*, tedy, jako zawsze było, będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego swego nieposłusznego *tam in spiritualibus, quam in saecularibus* podług rozumienia swego ukarać“ [3]. W ten więc sposób juryzdykcya dominialna stała się faktem dokonanym i przez ustawodawstwa zatwierdzonym; żeby jednak pan miał nad poddanym prawo życia i śmierci, tego nie można udowodnić. W „Volumina Legum“ niema żadnej w tym względzie uchwały ani konstytucyi; owszem, są prawa, które zaprzeczają panu prawa życia i śmierci nad swoim poddanym. Statut wiślicki naznacza za umyślne zabicie chłopa 10 grzywien głowszczyzny [4]; w r. 1496 rozciągnięto tę karę nawet na przypadkowe zabicie; za Stefana Batorego podniesiono głowszczyznę do 30 grzywien [5], a w r. 1631 do stu; kalectwo zaś połową głowszczyzny karane; statut litewski prócz głowszczyzny nawet karę śmierci za rozmyślne, swawolne zabicie zaznacza. Mogły się zdarzyć wypadki, kiedy pan w gniewie zabił poddanego, i jest to winą prawodawstwa, że zbrodnie takie grzywnami tylko karało, co naturalnie nie mogło

---

[1] Edmund Stawiski: „Poszukiwania do hist. rolnictwa krajowego“. Warszawa 1858 (Consuet. Herburt. 260).

[2] Januszowski, str. 590

[3] „Vol. leg. II“ fol. 842 str. 124.

[4] Januszowski, str. 1092.

[5] „Ktoby zabił plebeium hominem rusticanum szlachcic, przepada 30 grzywien, której winy panu, którego był zabity połowica a potomkom zabitego druga połowica przyść ma. Plebeius autem occidens plebeium capitis poena puniatur“. „Statut Stefana Batorego r. 1581“. Tenże str. 615.

być skutecznym hamulcem na powstrzymanie gniewu i porywczości; ale z drugiej strony szlachcic bądź co bądź był dobrym katolikiem, nadto i strata chłopa była dla niego dotkliwą, stąd i życie jego cenił. Zresztą nie znaleziono dotąd dowodu na rzeczywiste wykonanie kary śmierci przez dziedzica na podwładnym kmieciu, ale za to o pogróżkach „obwieszenia“, o złem obchodzeniu się, o ucisku bezlitośnym, a nawet okrutnym smaganiu częste można napotkać wzmianki[1]. Juryzdykcya dominialna była mieczem obosiecznym w ręku szlachty, którego mogła dowolnie użyć na obronę lub ucisk swoich poddanych, a ta bezkarność i dowolność jest właśnie najgorszą stroną pańszczyzny. Chłop nie mający nad sobą opieki prawa, zależał od złej lub dobrej woli dziedzica, mógł teraz liczyć tylko na sumienność i religijność pana swego, a gdy tych brakło, dola jego była nader ciężką. (C. d. n.)

Ks. Józef Waligóra.

---

[1] Tadeusz Korzon.: „Dzieje Polski za Stanisława Aug.“

Z LITERATURY ANGIELSKIEJ.

Przyczyny nieznajomości literatury angielskiej. — Dwa nowe objawy. — Literatura katolicka w ostatnich 50 latach. — Księgozbiór katolicki ofiarowany Papieżowi. — Dwa życiorysy Leona XIII. — „Klara Vaughan". — Dziesiąty tom korespondencyi Henryka VIII. — Nieudane próby rehabilitacyi Henryka VIII i Elżbiety. — J. A. Froude; jego kierunek, podróże i paradoksa. — Literat-murzyn: E. Blyden. — Opisy podróży po Afryce środkowej i południowej. — Zapiski, pamiętniki, korespondencye. — Biografia Darwina. — „Nauka myślenia" Max. Muellera. — Powieści, romanse. — „Ben-Hur. — Dwa jubileusze. — Historya dziennikarstwa w Anglii.

Obowiązkiem każdego *Przeglądu* jest poznajamiać swoich czytelników z ruchem międzynarodowego piśmiennictwa. Nie zawsze atoli łatwem to bywa zadaniem. Podczas gdy literatura francuska i niemiecka poniekąd narzucają się naszej uwadze i baczności, angielskiej raczej szukać trzeba na własnym gruncie, wybierając i dobierając z pośród mnóstwa wydawnictw te, które szersze mają znaczennie i nie zacieśniają się w kwestyach domowej tylko John Bull'a polityki czy gospodarki. Dumna wyłączność wyspiarska bodaj i w dziedzinę umysłowości się wdziera. Nie dbając o poklask kontynentu, rzucają nam zaledwie zdawkową monetę powieści, dochodzących nas na pomoście ustawionym w Lipsku przez barona Tauchnitza. Większość czytelników innego działu literatury angielskiej nie uprawia zgoła, nie zna wcale.

A bogata to jak rzadko niwa, uderzająca różnorodnością i bujnością wszechstronną. Oczywiście, niepodobna w doraźnem sprawozdaniu podać czytelnikom pełny obraz dzisiejszego stanu i ruchu angielskiego piśmiennictwa; na to potrzebaby obszernych

studyów i dłuższego w Anglii pobytu. Zdala i doraźnie można zaledwie tę lub ową wskazać książkę, ocenić dzieło, powitać nowość, która ogólniejszem powodzeniem lub wyjątkowym trafem dostała się do rąk, nasunęła się uwadze sprawozdawcy. U wstępu dwa objawy niegdyś literaturze obce zapisać należy: mnożące się obecnie tłómaczenia z obcych języków, nawiązują dziś stosunki, któremi dotąd trwająca w hardem usposobnieniu Anglia gardziła. Wszystkie ważniejsze i poważniejsze dzieła francuskie, niemieckie, rosyjskie, a bodaj i hiszpańskie, i włoskie, w starannych i poprawnych ukazują się przekładach, wytwarzając obfity dział, o który do niedawna nie troszczono się wcale. Skądinąd budzące się na dawnej wyspie świętych katolickie życie osobną już pochlubić się może literaturą. Jubileusz papieski świeżo nam pozwolił ogarnąć i ocenić rozrost tej zielonej gałęzi, czerpiącej soki z korzenia Prawdy, a gotowej całe drzewo zaszczepić Nią i uszlachetnić. Wśród mnogich i bogatych darów złożonych u stóp Jego Świątobliwości przez angielskich pielgrzymów, szczególną zwracał uwagę zbiór katolickich wydawnictw angielskich z ostatnich lat pięćdziesięciu. Oczywiście wykluczono podręczniki szkolne, przekłady i książki do nabożeństwa, co nie przeszkodziło, iż liczba ogólna szacownego tego księgozbioru dorosła liczby tysiąca pięciuset tomów, wspaniale oprawnych w białą skórkę, z wyciśnionym herbem Leona XIII. Protestanckie nawet czasopisma uchylają czoła przed bogactwem treści katolickiej biblioteki z ostatniego półwieku. Teologia oczywiście poczestne zajęła miejsce, a dzieła samychże dwóch kardynałów: Newman'a i Manning'a, dostarczyły całej kolekcyi około pięćdziesięciu tomów. Ale arcybiskup Westminsterski nie zacieśnia swego pióra w teologicznym wyłącznie kierunku. Z wyżyn mistyczno-filozoficznych ochotnie zstępuje on na szlaki palących kwestyj czasu, a głosem namaszczonym roztrząsa zagadnienia spółcześne i socyalne niedostatki. Godnym uwagi jest fakt, iż w tym przełomie, na który sam tylko Kościół znaleść może lekarstwo i kordyał gotowy, episkopat angielsko-amerykański zajął najczynniejsze stanowisko, i najwymowniejszym też odzywa się głosem. Dość wspomnieć nazwiska kardynałów Manning'a i Gibbons'a, przodowników w wojnie Pańskiej, usiłującej zrównać zbyt zaostrzone nierówności społeczne, a przynajmniej wzajemną miłością załagodzić spory bogatych i ubo-

gich, obfitujących we wszystko i wydziedziczonych z wszystkiego...

W księgozbiorze ofiarowanym Ojcu Świętemu błyszczą świetne nazwiska i pióra. Historya mianowicie zaszczytne zajmuje miejsce, nieprzerwanym ciągiem pracowników tej miary co Lingard przed pół wiekiem i O. Stevenson S. J. za dni naszych. Plon nauk przyrodzonych, podróży, a nawet milczącej w innych krajach poezyi wypadł tu nadspodziewanie obficie. Znalazły się i kolekcye czterech peryodycznych czasopism katolickich, a mianowicie: *Tablet, Weekly-register, Dublin Review* i *Month;* do tych przybędzie obecnie sympatyczne wydawnictwo p. t. *Merry England*, świeżo nabyte przez lorda Ripon.

Ale hołd jubileuszowy katolickiej Anglii nie ograniczył się na tych pięknych darach i dowodach żywotności katolickiego ducha. Pojawiły się jednocześnie aż dwa życiorysy panującego dziś Papieża. Tłumaczoną na francuski język robotę ks. Bernard O'Reilly *Przegląd* już ocenił, wskazując na niewypełnione luki biografii pomijającej milczeniem całe karty panowania, w którem obok wielu moralnych tryumfów, nie brakło ucisku i prześladowania najwierniejszych synów Kościoła. Może pod pewnymi względami głębsze są niektóre ustępy zbiorowej pracy, podpisanej przez Jana Oldcastle, z jawnem spółpracownictwem kardynała Manninga i innych poważnych pisarzy. Między mnóstwem przywiedzionych tamże rysów i opowieści, doczytujemy się, iż Leon XIII pierwszym był Papieżem, który od czasów Reformacyi zwiedził Anglię; wracając z nuncyatury Brukselskiej do Rzymu, miesiąc cały przepędził w Londynie.

Z pośród najświeższych publikacyj katolickich wspomnijmy wonną książeczkę zatytułowaną: *Clare Vaughan by Lady Lovat.* U wstępu list kardynała Manning'a gorąco poleca to krótkie opowiadanie, wtajemniczające nas w ów jawny prąd świętości i pokuty, który powiał nad katolickiemi w Anglii rodzinami, zwłaszcza wśród starej arystokracyi, przysposabiając cały zastęp dobrowolnych ofiar, płonących żądzą okupu za dawne narodowe błędy i winy, aby przyspieszyć panowanie królestwa Bożego w swej ojczyźnie. Uczucia pobożności zwykły się potęgować uciskiem, prześladowaniem, a chociażby i wyjątkowem w kraju heretyckim położeniem. U każdego Anglika, nawróconego czy też katolika z urodzenia, widnieć

zwykła żarliwość ducha neofitom właściwa. Gorącość ta cechuje nieraz całe rodziny, mnożąc powołania ku służbie Bożej, zwłaszcza w tych wyższych sferach, w których więcej odbiedz i poświęcić przychodzi. Przodował w tym względzie znakomity dom Vanyhau'ów. Z grona ośmiu braci, sześciu przywdziało kapłańskie lub zakonne szaty, jeden z nich Dom Bede, O. S. B., niedawno umarł na stolicy arcybiskupiej w Sidney, w Australii. Siostry nie dały się wyprzedzić braciom — i wszystkie — a było ich pięć czy sześć, rychło zatęskniły do klasztornego życia, aby wczesną otrzymać nagrodę przyjętej i skróconej ofiary. Godnym zastanowienia faktem jest brak ludzkich czynników i wpływów w tem hurtownem poświęcaniu się całej rodziny wyłącznej służbie Bożej. Siostra nie szła za siostrą, ani brat za bratem. Jednego pociągała reguła św. Benedykta, drugiego prace misyjne Ojców Redemptorystów, trzeciego świeckie kapłaństwo i t. p. Jedną siostrę widzimy u Wizytek, drugą — Siostrą Miłosiedzia, trzecia w zgromadzeniu Augustyanek. Klara Vaughan, już samem na chrzcie św. otrzymanem imieniem pasowaną się być mniemała na córkę św. Franciszka. Matka przeczuwająca jej przyszłość, w dzieciństwie nazywała ją swą ubogą Klarą, zwracając się myślą do miana *Poor Clares*, dawanego klaryskom w Anglii. Śmierć tej ukochanej matki rychło wpłynęła na coraz poważniejsze wyrobienie się osieroconej dziatwy. Klara w dniu swej pierwszej Komunii złożyła rodzaj tajnego ślubu, że się cała odda Panu, na życie pokutne i umartwione. W ośmnastym roku życia, w pełnym rozkwicie młodości i rzadkiej urody, wyprosiła sobie pozwolenie udania się do klasztoru Klarysek w Amiens. Wyborem tem kierowało przedewszystkiem jej nadzwyczajne nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, i cześć nieustająca, oddawana Utajonemu Zbawicielowi w onym klasztorze. Odjeżdżającą z Anglii postulantkę kardynał Wiseman w tych słowach polecał przełożonej Klarysek:

„Posyłam wam umiłowaną moją owieczkę, Klarę Vaughan, która zamierza połączyć się z wami w pokucie i modlitwach; ufam że z tych niektóre ku nam i za nas się zwrócą. Wejdziecie w posiadanie ślicznego kwiateczka, woniejącego cnotą i skromnością, z którym się rozstać mi ciężko. Jestto jedna z tych dusz, w których Pan zachować raczył całą pierwotną niewinność".

Niewinność najlepiej umie czynić pokutę za winnych. Dziewięć miesięcy tylko przeżyła Klara Vaughan za kratami, a ten krótki czas wypełniła tak heroicznemi aktami wyrzeczenia, pokory, umartwienia, że i o niej zaiste powtórzyć można słowa Pisma św., które Kościół stosuje do naszego św. Stanisława Kostki: *Consummatus in brevi, explevit tempora multa.* Urodzona w r. 1843, już na początku 1862 piękna ta dusza uleciała po nagrodę. Przyjazna ręka wysnuła z wspomnień rodzinnych i korespondencyi poufny wizerunek tej wybranej istoty, tłómacząc się nieomal przed czytelnikiem, jakoby z natrętnego narzucania się jego uwadze. „Ale jak Mahometanie skrzętnie zbierają po ziemi rozrzucone świstki papieru, z obawy, aby się na nich wypisane imię Boże nie znalazło i przez nieświadomego przechodnia zdeptanem nie zostało, tak i nam pono wypada chronić od zapomnienia pamięć wybranych, odzwierciadlających w swem życiu nie raz jeden, ale wielokrotnie, to Najświętsze Imię". Oto pobudka, która zniewoliła pobożną Lady Lovat do skreślenia krótkiej biografii świętobliwej dziewicy z prawdziwie świętego domu Vaughan'ów.

Dekret św. kongregacyi obrzędów, uprawniający cześć męczenników angielskich z czasów Reformacyi, wywołał oczywiście nie mały poczet biografij tych błogosławionych wyznawców wiary. Rzecz godna zastanowienia: w tej chwili, nie same już katolickie ręce usiłują wydobyć prawdę z kurzawy umyślnych fałszów historycznych, do tej pory ją osłaniających. Studya dziejowe sumiennie podjęte rzucają coraz pełniejsze światło na epokę, dowolnie, wedle potrzeb namiętności chwilowych po dziś dzień przedstawianą. Najważniejszą w tej mierze publikacyą jest korespondencya prywatna i publiczna Henryka VIII, wydobyta z państwowego archiwum przez kustosza archiwalnego, p. James Gairdner. Zdawaliśmy już na tem miejscu sprawę z poprzednich tomów pomnikowego wydawnictwa. Obecnie dziesiątą z kolei witać przychodzi księgę, ta zaś obejmuje zaledwie jedno półrocze panowania Henrykowego. Znajdował się on wtedy w czterdziestym szóstym roku życia, a w dwudziestym ósmym rządów, które jeszcze przez lat dziesięć przedłużyć się miały. Półrocze to obfitujące w wypadki, skoro w ciągu onych sześciu miesięcy rozpoczynających rok 1536, Henryk VIII stracił pierwszą żonę, rozkazał ściąć drugą i zaślubił trzecią, nie

rozstrzygnąwszy prawności urodzenia żadnej z swych córek, z których jedna liczyła lat dwadzieścia, a druga dwuletniem była dziecięciem. Na tenże czas przypada zniesienie pomniejszych domów zakonnych. Śmierć Katarzyny Aragońskiej, której powolne konanie tak tragicznie Szekspir oddał, tu nie mniej dramatycznie w rzeczywistości się przedstawia. Nie dano jej pożegnać się z własną córką, dozwolono przyjąć posła hiszpańskiego zaledwie przy świadkach. Pogrzeb uwięzionej pani odbył się z pewną świetnością, jak przynależało córce i małżonce królewskiej, nigdy atoli nie przyznano jej miana angielskiej królowej. A tymczasem niegodny małżonek nie sromał się okazywać szalonej radości ze śmierci, która mu politycznie w samą przychodziła porę, ujmując zwłaszcza doniosłości ekskomunice papieskiej, która nie mogła już z równą siłą na owdowiałego uderzyć przeniewiercę. Zanim nawet pogrzebano nieszczęśliwą Katarzynę, wiarołomny Henryk przywdział szaty żół tej barwy, cieszył się i hulał, nieprzyzwoicie tryumfując z usunięcia się mu największego szkopułu z drogi. Atoli zaledwie śmierć Katarzyny Aragońskiej uprawnić mogła jego grzeszne z drugą żoną węzły, już mu one ciężyć zaczęły, już o trzecim jął przemyśliwać związku. W cztery dni po pogrzebie królowej Katarzyny, Anna Boleyn urodziła nieżywe dziecię. Alboż Henryk nie miał doczekać się syna? Odtąd w papierach prywatnych i publicznych przypatrujemy się szybko uknutemu spiskowi na zgubę Anny. Jakkolwiek współcześni jej nie lubili, niepodobna odnaleść świadectwa stwierdzającego niegodziwe zarzuty, które upozorowały wydany na nią przez powolnych sędziów wyrok śmierci. Ale, jak to sami Anglicy przyznają, był to czas, w którym ogólnie zmysł moralny tak się był stępił w państwie Henrykowem, iż ludzie zbyt pochopnymi się stawali do zawierzenia każdemu oskarżeniu i każdej zbrodni. Najlepszem uniewinnieniem Anny, przynajmniej co do spraw tworzących rzekomą podstawę jej doraźnego zasądzenia i śmierci, jest zbieg dat z dokumentów państwowych wyciągnięty. Otóż w dniu stracenia Anny Boleyn, rozpoczynają się kroki przygotowawcze, które zakończyły się w dziesięć dni później małżeństwem Henryka z Joanną Seymour.

Z kolei wychylają się z tych papierów i usiłowania niegodziwego ojca, aby złamać opór starszej córki, księżniczki Maryi, która

sama jedna w całem królestwie nie chciała się zgodzić z wolą monarchy, próbującego ją odsunąć od korony, udowodnieniem jej rzekomo nieprawego urodzenia. I to stanowi nad wyraz dramatyczny epizod, zakończony przełamaniem woli osamotnionej królewnej.

Ale nie same tylko domowe dzieje Henryka dostarczają wątku tyle znaczącej publikacyi. Nowy przybywa rozdział do dziejów zniesienia dawnych opactw i klasztorów. Wiadomo, iż wysłańcy królewscy przebiegali pędem całą krainę, napadając na spokojnych zakonników, aby się nad nimi najokrutniej znęcać i po kolei wszystkich rozpędzać i domy zamykać. Dla upozorowania zaś swych gwałtów, inkwizytorowie państwowi słali doraźnie ułożone raporty, z którychby wynikało, iż od początku świata chyba nigdzie taki zbiornik zepsucia i zbrodni nie istniał, jak w angielskich ówczesnych klasztorach. Nadto, widoczna przesada i fałsze owych raportów wywołały konieczność sprawdzenia ich za pomocą wiarogodniejszych świadków; naznaczono tedy komisye z łona okolicznej szlachty. Otóż niniejszy tom pozwala urzędowo porównać te dwojakie głosy, i zmierzyć odstęp dzielący paszkwile napastników od spokojniejszych rewizyj późniejszych komisarzów. Przepaść to prawdziwa; co nie przeszkodziło, iż poniżone Stany zdały na łaskę i niełaskę królewską ostatek katolickich instytucyj. Kwestya pieniężna po części tu rozstrzygnęła. Zamiast do parlamentu o nowe pukać subsydya, znalazły się gotowe fundusze w skonfiskowanej poklasztornej własności. Nowa szlachta i płatni słudzy królewscy z upojeniem witali sposobność do nowych rozbojów i grabieży; biedni zaś i maluczcy, lud wiejski, ludzie ubodzy przycichli z poczucia własnej niemocy i ucisku.

Protestanccy nawet pisarze, witając urzędowe to wydawnictwo, głośno przyznają, iż historyę Henryka VIII wypadnie zupełnie inaczej napisać, aniżeli takową dotychczas spisywano. Nie trudne to będzie dziś zadanie w obec pełności światła płynącego z najautentyczniejszych źródeł, trudne tylko z powodu zupełnie odmienionego punktu widzenia, ukazującego nam szały ludzkich namiętności tam, gdzie dotąd kuszono się o udowodnienie gorliwości reformatorskiego ducha, żądnego poprawy zepsutych obyczajów i oczyszczenia wiary.

Zdanie, iż potrzeba będzie na nowo podjąć studya historyczne, odnoszące się do tej mętnej epoki, rozświeconej dopiero dzi-

siaj mnóstwem ujawnionych dokumentów, głównie jest wymierzonem przeciw p. Froude, najpoczytniejszemu, a bodaj najmniej wiarogodnemu z historyków spółczesnych w Anglii. Froude należał do owej świetnej plejady mężów, którzy przed kilkudziesięcioma laty uświetnili starodawną szkołę Oxfordzką, a wśród których powiał prąd religijnego rozbudzenia, o nierównym dla uczestników skutku. Ewangeliczne słowo, iż duch tchnie kędy chce, a nie wiedzieć skąd przychodzi, ani dokąd dojdzie, chyba nigdy pełniejszego nie znalazło zastósowania. Jedni, jak ich sławny przewodnik, Dr. Pusey, zadowolnili się, wedle trafnego porównania Piusa IX, rolą dzwonów wzywających wiernych do kościoła, aby same po za onego murami pozostać. Drugich skwapliwe szukanie prawdy zawiodło aż do źródła — do Rzymu. Trzecich liczne nawrócenia przyjaciół utwierdziły poniekąd w kacerskim uporze, zdwoiły ich nienawiść do katolickiego Kościoła i prawdziwej wiary.

Do tych ostatnich należał James Anthony Froude. Nie poszedł on za Newmanem do Rzymu, mimo łączącego ich koleżeństwa i przyjaźni; zwrócił się raczej do Carlyle'a, który olśnił młody umysł najwierniejszego odtąd z uczniów swych i fanatyków. Wiadomo, iż Carlyle przyjął za hasło, iż wszelkie pozytywne religie są tylko złudzeniami duchownej optyki; zaczem każda wiara w zasadzie może być prawdziwą, w dogmacie fałszywą być musi. Na tej podstawie snuł Tomasz Carlyle swoje świetne elukubracye historyczne, na cześć wyróżnionych osobnym i osobistym kultem — *hero worship* — bohaterów. Wystarczy przypomnieć, że między innymi, przedmiotem Carlyle'owskiego kultu był Fryderyk II, o którym hr. de Maistre tak słusznie się wyrażał, iż trudno do wielkich ludzi zaliczać męża, który był tylko wielkim Prusakiem. Pod wpływem Carlyle'a, a może skutkiem odskoku wywołanego nawróceniem — czyli wedle angielskiego wyrażenia — zromanizowaniem najbliższych przyjaciół, Froude postanowił rewindykować dobrą sławę Henryka VIII, idealizować Elżbietę, opromienić całą epokę blaskiem niezaprzeczonego talentu pisarskiego. Atoli zasiadł do pracy z taką nienawiścią i uprzedzeniami do katolickiej przeszłości, iż się od razu z prawdą dziejową rozminął, i najwięksi wielbiciele jego pióra nie mogą przyznawać historycznej powagi jego studyom epoki Henrykowej. Niebawem śmierć Car-

lyle'a oddała w ręce p. Froude papiery umiłowanego mistrza. Dziwna Nemezys, ten to najoddańszy wielbiciel i uczeń miał niebacznie zaciemnić imię swego nauczyciela i pierwowzoru, niedyskretnem wyzyskaniem poufnej korespondencyi, z której się wychyliła niezaszczytna dla Carlyle'a prawda: o jego bezmiernym egoizmie i nieszczęśliwem małżeńskiem pożyciu. Zerwała się istna burza przeciw p. Froude, a zarzut niedelikatności w rozporządzaniu prywatnem archiwum i cudzemi papierami podniósł się zewsząd nieprzyjaznem szemraniem. Froude uczuł potrzebę okupienia zgody z drażliwą w kwestyach delikatności publicznością angielską. Puścił się tedy na wędrówkę kolonialną, i niebawem wydał na świat otrzymane w drodze wrażenia, składając u stóp swych rodaków barwną książkę zatytułowaną: *Oceana*. Obszerna to parafraza hymnu narodowego: *Rule, Britannia, rule the waves*, a odpowiedź na kwestyę, ażali związek kolonij z metropolią da się i nadal w dotychczasowych warunkach utrzymać. Nie przesądzając politycznego znaczenia *Oceany*, trudno się nie zachwycać opisem zamorskich posiadłości Albionu, przedstawionych w tak dodatniem świetle, iż mimowoli ogarnia chętka emigracyi, gdy się poznaje z autorem te zaczarowane australskie wybrzeża, krajobrazy Nowo-Zelandzkie, wyspy oceanu Spokojnego, i te wszystkie bogactwa przyrody artystycznie odmalowane barwnem — jak pędzel — piórem. Wprawdzie surowsi krytycy zarzucają p. Froude nadmiar fantazyi upojonej nie tylko zewnętrznemi wrażeniami i obrazami, lecz i stałem fetowaniem go przez władze miejscowe. Po sutych śniadaniach i świetnych podejmowaniach, każdy staje się pochopniejszym do widzenia rzeczy w różowem świetle. Atoli krytyka milknie w obec powodzenia książki, którą nie sam patryotyzm angielski powitał z zajęciem i uniesieniem. Zachęcony tym poklaskiem autor, mimo późnego wieku, postanowił dalej uprawiać szczęśliwą niwę, i w ostatnim czasie udarzył czytelników odgłosem swej wędrówki po Antyllach. *The English in the West Indies, or the bow of Ulysses*, wydana świeżo książka nie wytrzymuje porównania z *Oceaną*, a mimo świetnych kart, oburza kierunkiem, paradoksami, wyłącznie retorycznem opracowaniem. Bezbożność autora ujawniła się w kwestyach zasadniczych, zwłaszcza w niechrześcijańskiem obstawaniu za dawnym przesądem, iż kolor cery i skóry stanowi o postępie,

zaczem Murzyni i Mulaci mają być nie zdolni uczestniczenia w ogólnym rozwoju ludzkości.

Na to bezwzględne twierdzenie, inna świeża publikacya odpowiada wymownie. Najdoświadczeńszy znawca rasy murzyńskiej i tajemniczego łona środkowej Afryki, Livingstone, ostrzegał przed wiarogodnością swych spółzawodników, twierdząc, iż skutkiem zgubnego wpływu klimatu, każdy Europejczyk w tych dalekich stronach ulega chorobliwej melancholii, i żółciowo zapatrując się na wszystko i wszystkich, wydaje sąd ujemny a niesłuszny o ludziach i rzeczach, które mu się w niekorzystnem przedstawiają świetle z winy własnego usposobienia. Dlatego tem pożądańszem świadectwo rodowitego, lecz wykształconego Murzyna, który stając w obronie wydziedziczonych, zapewnia, iż potomstwo Chama bynajmniej nie powinno być odsądzonem od wszelkich zdolności i przyszłości, jak to wyrokują przejezdni i przyjezdni. Edward Blyden, rodem z Antylli, reprezentant wolnej rzeczpospolitej Liberyi przy dworze angielskim, wydał książkę: *Christianity, Islam and the Negro race*, która, mimo dość naturalnego szowinizmu, obfituje w zdrowe i ciekawe poglądy. Zamiast dzielić powszechne przekonanie, iż rasa murzyńska z racyi swej niższości ginąć i wyginąć stopniowo musi, mniema on, iż Afryka i Afrykanie powołani są do odegrania jeszcze kiedyś znacznej i znaczącej w świecie roli, stwierdza postępy cywilizacyi, podboje kultury, radby świadczyć w równej mierze zwycięstwom prawdy Ewangelicznej, odzywając się, iż religia Ukrzyżowanego najstósowniejszą mu się być zdaje dla plemienia przez inne narody krzyżowanego. To atoli życzenie nie zaślepia go na fakt, iż wiara chrześcijańska stosunkowo nie wiele się wśród Murzynów rozszerza, podczas gdy Islamizm tak olbrzymie czyni postępy, iż wnętrze Afryki, między Sierra-Leone a Egiptem, zamieszkanem jest dziś przeważnie przez wyznawców Proroka, w liczbie sześćdziesięciu milionów! Najzdolniejsze pokolenia garną się do Koranu, ścieląc drogę jakiemu Mahdi'emu przyszłości. Dla europejskich podbojów to zmuzułmanienie Afryki jest ciosem prawdziwym, ale pod pewnym względem zasłużonym: wszak chrześcijańskie ręce dostarczają Murzynom owych palących trunków, które ich zabijają, podczas gdy islamizm zaprawia ich do hygienicznej wstrzemięźliwości. Pionierzy zachodniej oświaty lękają się, iż przewaga Islamu stanie

murem odpornym przeciw ich działaniu, choćby samym fanatyzmem, będącym naczelną cechą religii Proroka. Atoli słusznie ktoś powiedział, iż nawet ów fanatyzm może posłużyć do rozbudzenia sennej duszy murzyńskiej; a zresztą istota zdolna odczuć nienawiść lub miłość, w każdym razie wyższą być musi nad stworzenie nie znające nic okrom zmysłowych wrażeń i obojętnego uśpienia.

Jedną z najciekawszych części niniejszej książki stanowi mowa, wypowiedziana przez jej autora w sprawie powstającej w Monrovii wyższej szkoły. Monravia jest stolicą wolnej Rzpltej Liberyi, założonej na zachodnim wybrzeżu Afryki przez abolicyonistów ze Stanów Zjednoczonych, przed czterdziestoma mniej więcej latami, celem stworzenia osobnej kolonii dla wyzwolonych niewolników północnej Ameryki. W chwili gdy wśród uczonych, a raczej pseudo-uczonych europejskich pojawiają się głosy za usunięciem z wychowania publicznego klasycznej podstawy humanizmu, mówca afrykański domaga się usilnie rozszerzenia studyów języków starożytnych w pierwszej wyższej murzyńskiej szkole. Przedewszystkiem bowiem należy w Murzynach kształcić zdolność myśli i zastanowienia, mózg ich hartować, ustalać rozsądek, zacieśniając w jego karby rozbujałą wyobraźnię. Literatura europejska nie nadaje się, zdaniem p. Blyden'a, do kształcenia świeżych umysłów i natur. Dla Murzyna nowożytna poezya zawsze obcą i niezrozumiałą pozostanie: nie pozna on się ani w Hamlecie, ani w Fauście. Natomiast bohaterowie Homera, greccy lub rzymscy mężowie całkiem inaczej przemawiają do jego serca, odnajduje w nich ludzkość podobną tej, która w jego ciemnem bije łonie; Plutarcha żywoty odrazu trafiają do jego przekonania. Nasza polityka, nasza filozofia zbyt bywają subtelne i abstrakcyjne dla tych niedojrzałych, bodaj dziecięcych mózgów; Platon i Arystoteles przystępniejszemi źródłami wiedzy i myśli dla umysłów nowych i świeżych. Bo któż na równi z starożytnymi potrafił oblec myśli najgłębsze w formę najprostszą? A nadto, darmo u nich szukać wyrobionych później różnic plemiennych i kastowych. Ulisses Homera osobnem uczuciem wyróżniał Murzyna Eurybata, „o kędzierzawym włosie i ciemnej cerze“, ponieważ „w nim odnajdywał własną duszę i myśli“. Nad wyraz ciekawem jest to świadectwo murzyńskiego pisarza, a dziwnem byłoby zjawiskiem, gdyby humanizm z Europy wyparty, miał się kiedyś schronić do Afryki,

gotując może poniżonemu potomstwu Chama okres kulturnej i historycznej przewagi w dziejach wszechświata.

Dział podróży bywa zawsze najobfitszym wśród nowości literatury angielskiej. Nie skończylibyśmy prędko, chcąc wyliczyć choćby tytuły główniejszych w tym rodzaju publikacyj. Obecnie najwięcej ich się odnosi do wnętrza Afryki, lub do południowej części tej najmniej dotąd znanej części świata. Wymieńmy pełne życia: *South African Sketches* majora Ellis'a, wspomnienia z pobytu w kopalniach dyamentowych, p. Dalrymple Belgrave p. t. *Luck in the Diamond Fields;* nareszcie pełne życia opisy złotodajnych okolic południowej Afryki przez Andersona, p. t. *Twenty five years in a Waggon.* Do działu podróży należy w części i polityczny pamiętnik Oliphanta, który p. t. *Moss from a rolling stone,* zebrał i wydał naczelne wędrownego życia epizody i zdarzenia. Z ciekawej tej książki niebawem jedno z czasopism polskich obszerne zamieści sprawozdanie.

Podobnie jak podróży, nie brak i pamiętników w bieżących wydawnictwach angielskich. Upowszechniony prąd ciekawości, żądnej poufniejszych zwierzeń, bliższych szczegółów, anatomicznej niemal analizy ukrytych przyczyn i sprężyn zewnętrznego działania, gwałci tajemnicę prywatnych archiwów, wydobywa na jaw potoczne listy i zapiski, niebacznie zmieniając nieraz przez to dotychczasowe nasze o ludziach i wypadkach mniemanie. Nie lękać nam się zawodu w obec drukującej się po raz pierwszy korespondencyi O'Connela. Złota szlachetność tego męża wytrzyma tę nową próbę, i żadne pogrobowe niedyskrecye nie zdołają przynieść z sobą rozczarowania.

Wśród nowych w tym rodzaju publikacyj wyróżnić należy szerszą wzmianką nad wyraz ciekawą biografię Darwina, wysnutą z jego zapisków i korespondencyi przez syna Franciszka p. t.: *Life and letters of Charles Darwin.* Psychologiczne poznanie charakteru mistrza transformizmu jak wraz tłumaczy skrajność konkluzyj wyciągniętych z jego teoryi. Niesłychana wrażliwość, spotęgowana łatwością zapalania się do przedmiotu swych badań, oraz pewna trudność wysłowienia, wiodła Darwina do przesady w słowie i piśmie. Żądza jasnego wyrażenia zawiłej nieraz myśli porywała go zbyt często po za granicę właściwą, upajała frazesem, we-

wnętrzne zdradzała uniesienie. Stąd tem łatwiej przychodziło uczniom i wyznawcom nowych teoryj naciągać je do konsekwencyj, o jakich się ich przywódzcy ani śniło. Dla ogółu Darwin jest ateistą, który człowieka od małpy wywodzi. Cokolwiekbądź o tej genealogii da się powiedzieć, niniejsza książka zawiera mnóstwo świadectw i dowodów niewygasłego w Darwinie, acz mętnego religijnego uczucia. Sam on pisze i powtarza, iż wśród wszystkich odmian życia i ducha, nigdy istnieniu Bóstwa nie zaprzeczył, owszem, w jego mniemaniu „teorya ewolucyi da się pogodzić z wiarą w Boga", aczkolwiek zaraz dodaje, iż to pojęcie u różnych osób różne miewa znaczenie. Najbardziej nas uderzył ustęp z listu zawierającego następne wyznanie: „Niepodobieństwo, aby ten wielki i zdumiewający świat wraz z myślącemi naszemi indywiduami mógł przypadkowo powstać, stanowi w moich oczach najsilniejszy argument za istnieniem Boga". Ale nie tu miejsce rozbierać teorye mędrca, kiedy chcieliśmy tylko kilka ciekawych rysów biograficznych i psychologicznych podnieść i wskazać. Zrazu nic nie zapowiada późniejszego rozgłosu ani kierunku. Młody Darwin nie wyróżnia się ani zdolnościami, ani pilnością. Ojciec przeznacza go do stanu duchownego, i syn gotów zostać *Clergymanem* anglikańskiego kościoła, dziwnie się sposobiąc szumiącą młodością do wyższego posłannictwa i zawodu. Sport i wesołe z kolegami życie wypełnia lata uniwersyteckie. Skłonność do kolekcyonowania najróżniejszych przedmiotów, począwszy od znaczków pocztowych aż do owadów, co najwięcej zdradza przyszłe upodobania. Między innemi oryginalnościami angielskich akademików, przypomniano tu klub, do którego i Darwin należał, a który wydał wojnę wyłączności ustalonych prawideł gastronomicznych, próbując raz po raz nowych przysmaków, mianowicie z dziedziny mięsiw z kuchni zazwyczaj wypartych. Ale niebawem, po skosztowaniu pieczeni z jastrzębia, a następnie i sowy, ostygł zapał klubistów, aby się na inne szlaki dziwactwa przerzucić.

Darwin za młodu czulszym był na wrażenia piękna, aniżeli później, gdy zasklepiwszy się w jednym tylko kierunku studyów, ostygł dla sztuk pięknych, unosząc się wyłącznie nad cudownością jakich entomologicznych okazów. Lubownik muzyki, później nie rad się jej przysłuchiwał, twierdząc, iż zamiast mu przynosić wytchnienie i spo-

czynek, potęgowała jeszcze wytężenie myśli w stronę uprzednio badanych naukowych kwestyj. I poezyi zaniechał wcześnie, zapisując, iż Szekspir nudził go aż do obrzydzenia! Jedno tylko zamiłowanie młodości przetrwało do końca, mianowicie szczególny gust dla lekkiej literatury i romansów; nic mu tyle rozrywki nie przynosiło, nic tak nie odświeżało zmęczonego ciężkiemi studyami umysłu. W późniejszych latach życia, uregulowanego jak zegarek, po cztery razy na dzień czytywano mu głośno przeważnie najnowsze powieści. Po każdym posiłku zacząwszy od śniadania, przysłuchiwał się takowemu czytaniu, jakby z hygienicznej potrzeby, twierdząc, iż nic znużonej myśli lepszego nie dostarcza wytchnienia. Dlatego bynajmniej mu nie chodziło o psychologiczne wypracowanie powieściowego wątku, szukał tylko prostej rozrywki, intrygi w zajmujący sposób przeprowadzonej, nareszcie miłych charakterów i pomyślnego końca. Nie lubił opowieści o tragicznem rozwiązaniu, powtarzał, iż „romans o tyle tylko wart czytania, o ile kreśli wizerunki ponętne, do których przywiązać się można, jeśli zaś takie uczucie wzbudza naczelna postać uroczej kobiety, natenczas wszystko jest w porządku".

O naukowem powołaniu Darwina rozstrzygnęła pięcioletnia podróż po morzach i lądach zwrotnikowych. Stracił w niej bezpowrotnie zdrowie, ale zawarł dożywotnie śluby z przyrodą, której cuda i zagadki bliżej oglądać było mu danem. Odtąd zatopił się w badaniach naukowych, i życie jego zacieśnione w rodzinnem kole, a rozszerzone studyami nie znającemi kresów, przedstawia się w opowiadaniu syna nad wyraz sympatycznie. Szczęście domowe w każdym zakresie dawać zwykło szczególną siłę tym, którzy kosztują z onych przedziwnych słodyczy. Nie brakło tej potężnej dźwigni Darwinowi. Żona i dzieci najczulszą opieką i troskliwością nie przestawały otaczać wiecznie schorzałego pracownika. Miłość ich na wyścigi mnożyła chętne wysługi, a najtrudniejszych korekt podejmowały się na przemian to matka, to córki. Życie płynęło jednostajnie i cicho, przegradzane hygienicznemi przechadzkami. Praca w ścisłem tego słowa znaczeniu względnie mało zajmowała godzin, ale czytanie bez końca i miary, oraz inne przygodne zawodowi naukowemu zajęcia dzień cały bez chwili zmarnowanej wypełniały. Niniejsza przydługa, bo trzechtomowa biografia, pociąga

może do człowieka, którego prawość, skromność i dobroć z każdej wychyla się karty i rysu, ale natomiast uczony mniejsze budzi zaufanie, tyle w nim dyletanctwa i amatorstwa, tak mało fachowego przygotowania i środków. Z własnych zwierzeń Darwina słyszymy, iż niczego się za młodu nie uczył, niczego też nie nauczył. Później osiadł na wsi, wykształcił się samowolnie, eksperymentował na własną rękę, posługując się najprymitywniejszemi narzędziami i szkłami nieomal po aptekarsku. W takich warunkach rewolucyonizować pojęcia i prawa nauki, zaiste niepewną chyba i nietrwałą jest robotą! Powoli rozwiewa się też w znacznej części paradoksalna strona teoryi Darwina, aby tylko pozostawić nietkniętą spuściznę często genialnych obserwacyj, osiągniętych za pomocą nadzwyczaj wyrobionego zmysłu spostrzegawczego. Ta też jedynie strona jego naukowej karyery, nie zaś małpia genealogia rodu ludzkiego, zdobyła mu grobowiec w Westminsterze, opodal od miejsca spoczynku Newtona.

Czytelnicy artykułów o *Źródłach historycznych Wschodu*, nie zapomnieli często wzmiankowanego tamże nazwiska sławnego Asyryologa, Sir Henry Layard, którego pomnikowa praca o Niniwie dała nowy pochop oryentalnym studyom i poszukiwaniom. Tym razem w formie podróżnej opowieści, darzy on nas wspomnieniami przedwstępnych swych wędrówek po Babilonii, Persyi i Suzanie, z właściwem takiej powadze naukowej bogactwem treści. Inny filar wiedzy wystąpił świeżo z obfitym plonem mniej życzliwie aniżeli poprzednie płody przez krytykę angielską przyjętym. Sławny profesor przy wszechnicy oksfordzkiej, Max Müller, wydał przed kilkoma tygodniami olbrzymią księgę o nauce myślenia *The science of Thought*. Ponieważ ten sam autor z kolei opracował naukę mówienia i naukę religii, mniemano iż trzeci odkrył świat myśli, aby jak nowy Kolumb zaprosić czytelników do zwiedzenia za sobą zdobytej przez się krainy. Wszelako trud pochłonięcia sześciuset stron bitego druku chyba się nie opłaci, a mętność właściwa niemieckiemu sposobowi myślenia i wyrażania, co o myśli myśleć należy, zaciężyła ołowiem na całości. Dla filologów ciekawszem, acz nie wiele nowego plonu przynoszącem zbiorem luźnych *essays'ów* jest druga tegoż autora książka zatytułowana: *Biographies of Words*.

Niepodobna w przeglądzie najnowszych angielskich publikacyj pominąć milczeniem powieści, tego bujnego nad inne działy spółczesnego piśmiennictwa. Mimo sporadycznych prób i zboczeń, realizm francuski nie przepłynął kanału, nie zaraził romansopisarzy Albionu. Zamiast się skłaniać do naturalizmu, właściwa anglosaksońskiemu plemieniu głębokość wiedzie ich raczej do wprowadzania w ramy fantastycznych utworów wyobraźni poważnych i spornych kwestyj czasu. Powieść ściśle obyczajowa i uczuciowa nie wątpliwie słabnie w ręku angielskich *Spinsters*, smutnych prządek osamotnionego żywota, które próbują wyjaśnić i wypisać to wszystko, czego im własne losy nie dały. Natomiast spółczesne zagadnienia podjęły broń powieściową, aby ją wciągnąć w arenę walk zasadniczych. I tak np. znajdujemy obok siebie powieści filozoficzne, socyalne, polityczne, nawet religijne, a dziwna rzecz! te ostatnie bodaj najwięcej budzą zajęcia i doznają powodzenia. Dość przypomnieć głośnego *Ben Hur'a*, o którym już nasze dzienniki i przeglądy się rozpisywały.

Życie obozowe i zawód żołnierski, prócz legii tebańskiej i kilku wyjątkowych przykładów, nie uchodzi powszechnie za szkołę doskonałości chrześcijańskiej, za zawód sposobiący do roztrząsania wyższych prawd wiary. Snadź pierwiastek religijny u Anglików i pobratymczych Amerykanów musi być bardzo silnym, skoro pod mundurem bijące serca, w rzemiośle wojskowem znajdują podnietę do duchownego rozgrzania i duchownych badań. Ogłoszone drukiem listy i zapiski nieszczęśliwego a rycerskiego Gordona, po jego tragicznej śmierci w Chartum, świadczyły o wysokim religijno-mistycznym polocie tej duszy wybranej, wiecznie tęskniącej do prawdy, a szukającej jej na drodze dobrych uczynków i poświęcenia. Pokrewnym chyba duchem musi być ten amerykański jenerał, Lewis Wallace, który przedstawia nam stan ziemi Judzkiej w epoce Chrystusa Pana. Opowiadanie rozpoczyna się od wspólnej pielgrzymki mędrców do Betleemskiej szopki, kończy na Kalwaryi. Sam wątek powieści dorywczo tylko się splata z opowiadaniem ewangelicznem. Autor wykazuje straszny ucisk i upokorzenie Judei pod rządami wszechwładnej Romy, oczekiwanie Messyasza i nadzieję, że królestwo Jego będzie z tego świata, że On oswobodzi ojczyznę i zgniecie znienawidzoną rzymską potęgę. Dopiero

na Kalwaryi, w chwili najwyższej ofiary, a zarazem najcięższego rozczarowania, zwolennicy — nie tyle Chrystusa — co króla żydowskiego zgłębiają tajemnicę Odkupienia, pojmują dróg Bożych zawiłość, uchylają czoła przed miłością nadludzką i o upragnionej, wymarzonej zapominają zemście, aby odtąd inne królestwo przybliżać na ziemi. Trudno w krótkich słowach streścić to głębokie opowiadanie. Czytelnik z niedowierzaniem przeczytawszy tytuł, lęka się zrazu, ażali autor nie targnął się zbyt śmiało na najwyższe świętości, nie zrobi świętokradzkiego użytku z Ewangelii przykrojonej do potrzeb powieściowej tkanki. Tymczasem głęboka wiara piszącego tyle dodaje powagi jego księdze, iż zamiast zgorszenia lub zrażenia czytelników, rozgrzewa ich owszem i podnosi. Końcowy rozdział przedstawiający duszny dramat rozgrzewający się w sercach świadków ukrzyżowania z tak wzniosłem i gorącem nakreślony jest uczuciem, iż chyba z widzeniami Katarzyny Emmerich porównanym być może. *Ben Hur* doczekał się już tłumaczeń na wszystkie główne języki świata, a zaledwie się pojawił w Ameryce, rozkupiono od razu pół miliona egzemplarzy. Dowodem to niezbitym złożonej w duszach religijności i wrodzonej potrzeby czystego, poważnego pokarmu.

Z pośród nowszych powieści wielkie też wywołała zajęcie „Nowa Antygona“: *The new Antigone*, wydana bezimiennie, a uderzająca zarówno siłą talentu jak brakiem mechanicznej wprawy w osnuciu fabuły. Rzecz sama zmierza do wykazania, jak dalece dziś nihilizm nie samą tylko rosyjską przenika społeczność. Zdaje się, iż autorem tego niepospolitego bądź co bądź utworu jest kapłan katolicki, o nieznanem dotąd w literaturze nazwisku, o wysokiem wykształceniu i polocie myśli. Socyalne studya p. Waltera Besauta, orędownika pracy kobiet, i pełnego spółczucia znawcy nędz sfer roboczych, oblekają się w formę powieściową, aby upowszechnić i bolesne obrazy rozpaczliwej walki o byt, i roztropne ostrzeżenie nawołujące klasy przewodnie do oszańcowania się miłosierdziem przed grożącą nawałą i przełomem społecznym. Rickler Haggard uprawia na przemian dziedzinę fantastyczną i niwę nadzwyczajnych przygód wędrowczych, w łonie tajemniczem południowej Afryki. Nie skończylibyśmy rychło, chcąc wymienić główniejsze płody i produkta bujnie porosłej krainy wyobraźni, która tak obfi-

tego dostarcza żniwa, iż czasopisma krytyczno-bibliograficzne osobną poświęcają rubrykę powieściom każdo-tygodniowym p. t. *Novels of the Week*, albo *New novels*, i nigdy temu działowi nie zabraknie plonu ni plewów.

Umysł ciekawy znaków czasu, pochwycić je gotów w nierównej świetności dwóch angielskich jubileuszów, przypadłych w bieżącym roku. *Centenario* Byrona minęło niepostrzeżenie: owszem, konspiracya milczenia usiłowała zgłuszyć wiekową już sławę harfy Childe Harolda. Motywowano ten spisek utrwaleniem, obruszeniem się zmysłu moralnego na życie prywatne daleko bardziej, aniżeli na pieśń poety. Czy tak było w istocie? czy też raczej zobojętnienie powszechne dla skrzydlatej Muzy niełaska, w którą popadła poezya dzisiejszego pokolenia, właściwszym może powodem odmówienia Byronowi wszelkich pogrobowych hołdów. Natomiast święto nowoczesnej potęgi, setny jubileusz prasowy *Times'a*, uroczyście został obchodzonym. Właściwie o trzy lata w tył wypadałoby cofnąć oną rocznicę. Wszakże zrazu wiekowe już czasopismo nosiło tytuł codziennego regestru: *The daily universal Register*. Dopiero 1-go stycznia 1788 roku, wierzący w feteszyzm dobrze obmyślanego i krótko brzmiącego tytułu John Walter, nadał istniejącemu dziennikowi nazwę *Times'a*, z którą się właściwie onego pomyślny rozwój zaczął. Dynastya Walterów miała ubezpieczyć los powstającej gazety. Z kolei już trzy pokolenia nastąpiły po sobie w kierownictwie *Times'a*. Pierwszy Walter, poniosłszy wielkie straty w spekulacyach węglowych, postanowił odbić się na dziennikarskiem przedsiębiorstwie, nie tyle marząc o politycznym wpływie, jak o zastósowaniu reformy typograficznej, któraby w miejsce mozolnie składanych liter, od razu stawiała odlane całe wyrazy. Pokazało się, iż ta mrzonka założyciela *Times'a* nie była praktyczną, ale może otworzyła drogę innym udoskonaleniom sztuki drukarskiej. Wystarczy przypomnieć, iż kiedy w r. 1814 uważano za nadzwyczajny postęp, wytłaczać 1.100 numerów *Times'a*, w przeciągu jednej godziny, dziś „prasy Waltera“ jednocześnie wyrzucają po 15.000 gotowych egzemplarzy olbrzymiego dziennika.

Początkowo *Times* nie liczył więcej nad tysiąc prenumeratorów. Pierwszy onego numer wydaje się bardzo chudym w obec dzisiejszych sążnistych rozmiarów. Wiadomości zagranicznych nie

wiele, miejscowych plotek nie równie więcej. Wiadomość, iż „choroba Lorda Salisbury uważaną jest powszechnie za publiczną klęskę“, i dziś dałaby się dosłownie powtórzyć. Szczupły dział inseratów uderza mnóstwem szarlatańskich leków. Nie brak tam eliksirów życia, złotych pigułek, i t. d.

Pierwszy z Walterów odznaczał się śmiałością i niepodległością zasad i zdania. Stąd jego dziennik często się dopuszczał przestępstw prasowych, nie samemi opłacanych grzywnami. Naczelny redaktor przed stoma laty skazanym bywał na stanie pod pręgierzem, co bodaj mniej dokuczliwą było karą od długich miesięcy kozy. Rząd angielski usiłował spętać prawdomowność *Times'a*, gdy się zaś to nie powiodło, odjęto nowemu dziennikowi ogłoszenia urzędowe, ba nawet zatrzymywano zagraniczne informacye, któremi się dziennik Waltera zasilał. Mimo te przeciwności, geniusz założyciela wszystkiemu podołał. Główny atoli rozrost *Times'a* przypada na epokę rządów Waltera II-go, który jakoby się był urodził z umysłem dziennikarskim, i umiał nadać swemu organowi pożądaną doniosłość i przenośność. Mistrzem był w gromadzeniu wiadomości i po mistrzowsku też umiał je publiczności podawać. On pierwszy dał hasło i przykład artykułów wstępnych, pierwszy też postarał się o własnych korespondetów, i unormował poniekąd nowoczesne dziennikarstwo. Trzeci Walter ustalił i rozszerzył tę potęgę prasową, której *Times* bodaj najwyższym, choć nie najlepszym wyrazem. Stała niechęć dla wszystkiego co katolickie, zacząwszy od Rzymu, a kończąc na Polsce, jest cechą właściwą tego czasopisma, stanowiącego tak potężny czynnik w oryentowaniu publicznej opinii.

Jubileusz *Times'a* zeszedł się z dość ciekawą historyą dziennikarstwa w Anglii. P. t.: *English newspapers* p. Fox Bourne zebrał w dwóch tomach dzieje rozrostu tej siły, którą krytyk angielski określa w następujący sposób: „każda gazeta dlatego potęgą się stawa, iż wyraża opinię jednej części społeczeństwa, a kształci opinię drugiej“.

Na tem zamkniemy doraźny nasz przegląd najświetniejszej literatury angielskiej, w myśli, iż za kilka miesięcy znów uda nam się dalsze tętna ruchliwego piśmiennictwa pochwycić i naszym czytelnikom ich udzielić.

M.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Wcale ruchliwym zatem, a nawet chwilami trochę popędliwym i nieco porywczym w usposobieniu, choć zresztą spokojnym był człowiekiem mgr. Leonard z Wisnki, kilka bowiem nieporozumień drobnych jużto z kolegami, już z innymi osobami, jak je nam w skąpych zarysach współczesne Akta rektorskie Uniwersytetu Jagiellońskiego dochowały, nie są znowu tego rodzaju, żeby pamięć jego wobec potomności w krzywem stawić miały świetle [1], podanie natomiast ręki pomocnej bliskiemu powinowatemu, Stanisławowi Wisneczaninowi, którego po mału za sobą w mury pociągnął był miejskie, którym się zaopiekował i któremu w r. 1524 dopomógł do uzyskania stopnia bakałarza nauk wyzwolonych, zawsze pięknie o dobrem jego sercu świadczyć będzie. Był przytem — według tych samych Aktów — dosyć oszczędnym, grosz szanować i liczyć się z nim umiał, a na dochodach do skromnego, przyzwoitego i prostego życia, jak na magistra z kolegium większego i od wielu już lat wyświęconego kapłana przystało, zbywać mu nie powinno było. Dzięki łasce i względom, jakich mu biskup Konarski nie odmówił, otrzymał był już przed r. 1513 altaryą św.

---

[1] Acta rectoralia z tego czasu o wielu innych na wydziale artystycznym uczących magistrach drażliwsze a nawet gorsze zawierają zapiski.

Tomasza w katedrze krakowskiej, od r. 1518 był już collegiatus Collegii majoris, oprócz tego zaś jeszcze inne jakieś, nieznane nam bliżej a z pewnymi połączone dochodami pełnił obowiązki. Z końcem zresztą r. 1526 i na początku r. 1527 piastował już także jednę z pomniejszych kanonii u św. Floryana, właśnie bowiem od dawna już weszło było w zwyczaj w Uniwersytecie Jagiellońskim, że w braku doktorów św. teologii, prawa lub medycyny, niższe kanonie św. Floryańskie starszym wiekiem i zasługami w Uniwersytecie dostawały się magistrom z kolegium większego, t. zw. magistrom królewskim [1], jeżeli tylko pokończone już mieli studya uniwersyteckie na jednym z trzech właściwych fakultetów, teologicznym, kanonicznym lub lekarskim, i do egzaminów doktorskich z teologii, prawa lub medycyny się sposobili, mgr. Leonard zaś — o czem już była mowa — już w r. 1520 ze słuchaniem kilkuletnich wykładów teologicznych albo się był uporał, albo je kończył właśnie, a sposobiąc się pomału do egzaminów doktorskich, potrzebny do aktu promocyjnego paliusz doktorski po ks. drze Szydłowicie, u egzekutorów testamentu jego, w czerwcu t. r. dla siebie był nabył.

Do rzędu magistrów królewskich należał zresztą nasz Wisneczanin widocznie już od jesieni r. 1521 [2], ale jeszcze na początku r. 1527, choć liczył już wtenczas 47 rok życia, nie ma żadnego śladu wyraźniejszego, żeby jakiekolwiek pozdawał był egzamina z przedmiotów teologicznych i żeby jakikolwiek, a choćby tylko bakałarski, otrzymał był na tym fakultecie stopień. Stało się to zaś, jak wnosić się godzi, z dwóch przyczyn. Przedewszystkiem mgr. Leonard, co się zaprzeczyć nie da, choć nie był bez zdolności, był trochę do nauki za ciężki, a jeżeli się znalazł w r. 1494 w liczbie młodzieży uniwersyteckiej na wydziale artystycznym, to tylko dzięki ówczesnemu prokuratorowi dóbr św. Floryańskich lub proboszczowi pajęckiemu z tego czasu. Z egzaminami też na mgra filozofii — jakeśmy widzieli — długo się ociągał, i zamiast po upływie pierwszych czterech lat uporał się z nimi dopiero po upły-

[1] Mgri „regales".

[2] Liber diligentiarum, str. 154, wylicza go po raz pierwszy w półroczu zimowem r. 1521/22 między mgrami kolegium większego „primi ordinis".

wie całego prawie dziesięciolecia. I teraz więc, choć w r. 1520 lub nieco później miał już pokończone studya teologiczne, nie czuł się widocznie jeszcze na siłach, żeby wszelkim ścisłych egzaminów wymaganiom zadosyć uczynić, dlaczego też poddaniu się tym egzaminom z roku na rok zwlekać wolał.

Niemniej ważnym mógł być i drugi powód, mianowicie nadzwyczaj wysokie taksy i inne daniny, jakie różnym tytułem przy promocyach doktorskich opłacać należało, co wielu uboższych od zdawania tych egzaminów po prostu odstręczało i na co już od dawna wcale uzasadnione między kandydatami do stopni doktorskich szerzyły się skargi i żale. Już n. p. na lat 60 przedtem, w r. 1466, usprawiedliwiał się przed Długoszem [1] ks. Sędziwoj Czechlanin z Czechła, przełożony Kanoników regularnych w Kłodawie i były mgr. filozofii Uniwersytetu krakowskiego [2], potem zaś mgr. św. teologii Uniwersytetu paryskiego, gdzie nawet przez czas pewien na wydziale teologicznym Piotra Lombarda „Sententiarum libros“ wykładał, dlaczego za młodu ani w Paryżu, ani w Krakowie, choć gorąco tego pragnął, stopnia dra św. teologii nie otrzymał. Usprawiedliwiając się zaś, za wyłączny powód tego podaje „superflua pro eo gradu festa“ i nadzwyczaj wysokie „excessivas in talibus graduationibus expensas, de sexaginta marcis aut pluribus“. A co do Uniwersytetu Jagiellońskiego w szczególności dosłownie pisze:

„Postquam — powiada [3] — de Parisiensi studio redii, hono„rare Reverendam matrem nostram, Universitatem Cracoviensem, „volui, ut in ea, tamquam primaeva genitrice mea, hujusce in the„ologia fasces susciperem. Superinde patribus tunc conscriptis „meam aperui mentem, non tantas et superfluas velle me facere „expensas, pro quibus deliberaveram quadraginta Hungaricales im„pendere et alios quadraginta pauperibus dispensare, ut proximum „sic diligerem, sicut me ipsum. Ludicre id praefatis visum est pa„tribus et imputatum fuit meae parcitati...“.

---

[1] Długosz, Opera, edd. Polkowski et Pauli, I 172 i nn.
[2] Od początku r. 1429. Muczkowski, Liber promot., str. 21.
[3] Długosz, u. s., I 176.

Obecnie, po upływie lat 60, a w szczególności od chwili uchwalenia w październiku r. 1521 nowych Statutów dla krakowskiego wydziału teologicznego [1], wymagania pod tym względem były wprawdzie trochę mniejsze, ale zawsze jeszcze, zwłaszcza w stosunku do ówczesnej wartości pieniędzy, niepomiernie wygórowane, i nie każdy ukończony słuchacz fakultetu teologicznego tak łatwo i tak prędko mógł im był sprostać. Na jak wielki koszt narażał kandydatów akt promocyjny, z niezwykłą zresztą odprawiany pompą, najlepiej świadczy własnoręczna zapiska promowanego na dra św. teologii na wiosnę r. 1526 ks. Stanisława Łowiczanina, i dla innych jeszcze względów wcale ciekawa. Późniejszy, od jesieni r. 1530, proboszcz pajęcki, którego już wyżej poznaliśmy nieco bliżej z dochowanych po nim szczęśliwie w zbiorach biblioteki Jagiellońskiej „Percepta ecclesiae parochialis in Pajęczno", niebędąc przedtem ani słuchaczem wydziału artystycznego, ani niemając egzaminu na mgra filozofii [2], zapisał się był jako człowiek już starszy i jako wyświęcony kapłan, na co od dawna istniejący w Uniwersytecie krakowskim zwyczaj pozwalał [3], w poczet uczniów wydziału teologicznego, a pokończywszy nauki na tym fakultecie i pozdawawszy egzamina teologiczne, otrzymał razem z podobnym sobie kolegą, mnichem zakonu oo. Augustynianów, ks. Janem Poznanitą z Poznania, stopień dra św. teologii, co w rękopisie swoim w następujący do potomności podał sposób [4]:

„Anno salutis millessimo quingentesimo sexto [5] ego Stanislaus „de Louicz promotus sum in drem s. theologie in ecclesia d. Anne, „vnacum Egregio viro, dno Ioanne de Posnania ordinis s. Augu„stini Heremitarum, in ecclesia d. Katherine [6] concionatore, sub „rectore Vniuersitatis Reuerendissimo in Cristo patre et dno dno „Ioanne Amicino, ss. canonum dre, episcopo Laodicensi et suffra-

---

[1] Szujski, Statuta i matrykuły wydziału teologicznego Uniw. Jag., str. 3 i nn. — Nowymi były o tyle, że stanowiły dodatki i uzupełnienia do obowiązujących wówczas, ale obecnie już nieznanych Statutów fakultetu teologicznego.

[2] Niema go ani w rzędzie bakałarzy, ani między magistrami wydany przez Muczkowskiego Liber promot.

[3] Była już o tem wyżej wzmianka.

[4] Percepta, str. 2.

[5] Przez zwykłą pomyłkę, zamiast 1526.

[6] Na Kazimierzu pod Krakowem.

„gano olim [1] Cracouiensi, curato s. Nicolai. Meus promotor erat „Venerabilis et Excellentissimus vir, Stanislaus Byel de Nova ci- „uitate, s. theologie professor dignissimus et canonicus ecclesie ca- „thedralis Cracouiensis exemplarissimus, mei college fuit promotor „Egregius vir, dnus Stanislaus Skavynka, eiusdem facultatis pro- „fessor, olim prepositus s. Heduigis et concionator in arce Craco- „uiensi adeptissimus vsque ad obitum suum [2]. Presentibus omnibus „doctoribus theologie, iuristis et artis medice, et coram tota Vni- „uersitate [3] feria yda [4], in profesto apostolorum Philipi et Iacobi [5]. „Nec non senatores vtriusque vrbis, videlicet Cracouiensis et Ca- „simiriensis presentes fuere, et hy omnes cirotecas [6] a nobis rece- „perunt, dres vero theologie biros [7] brunaticos et aly nigros, ad „placitum, promotores vero nostri per x vlnas parum boni nigri „Szchamothuliensis. Centum florenis quemlibet nostrum [8] constat hec „promocio... [9]".

Aż 200 florenów zatem kosztował doktorat św. teologii ks. Stanisława Łowiczanina i kolegę jego, o. Jana Poznaitę [10], inaczej mówiąc, każdy z nich za uroczysty akt ten zapłacił po 100 florenów, sumę, jak na owe czasy, wcale wysoką, jaką niekażdy z ówczesnych miejskiego lub kmiecego rodu ubogich magistrów krakowskich, a choćby nawet od dłuższego już czasu członek kolegium mniejszego lub większego, pobierający w dodatku i inne jeszcze z jakiej altaryi dochody, tak łatwo i tak prędko zdołał był zebrać. A w tem samem położeniu znajdował się także mgr. Leonard. Wpra-

---

[1] Jan Przyjaciel † 16 października r. 1526. Pauli, Codex, IV 185.

[2] Skawinka, dr. i prof. św. teologii i proboszcz u św. Jadwigi na Stradomiu w Krakowie, † 29 marca r. 1527. Pauli, l. c.

[3] Na boku bledszym atramentem: „die dominico vesperes erant".

[4] = w poniedziałek 28 kwietnia.

[5] = we czwartek 1 maja. — W tem miejscu na brzegu bledszym atramentem: „finalis promocio et catedre ascensio".

[6] chiroteca = rękawica. [7] byrrus = zarzutka, burnus.

[8] „quemlibet nostrum" tak!

[9] Reszta naddarta w tem miejscu w rękopisie.

[10] Statuta i matrykuły późniejsze, w wydaniu św. p. Szujskiego, str. 21, mylnie go nazywają Tomaszem: „Thomas et Stanislaus, de Posnania unus, de Lowicz alter". Poznańczyk Tomasz Bederman, o czem już wyżej były wzmianki, został drem św. teologii jeszcze w lutym r. 1519.

wdzie dochody, jakie przy końcu r. 1526 i na początku 1527 różnymi pobierał tytułami, wystarczyć mu powinny były do życia skromnego i na podanie ręki pomocnej bliskiemu powinowatemu, Stanisławowi Wisneczaninowi, ale o tem, żeby z nich, przy całej nawet oszczędności, znaczniejszą jaką kwotę zdołał był na promocyą odłożyć doktorską, mowy nawet być nie mogło. Że też w rzeczy samej nie był przy groszu gotowym, dostatecznie zatem przemawia sam fakt nabycia w roku 1520 za cztery floreny paliusza doktorskiego po ks. Szydłowicie, za który na razie tylko dwa floreny zapłacił, resztę zaś, niebędąc widocznie przy pieniądzach, dopiero później uiścić się zobowiązał. Ale nie on sam jeden zresztą był w tem przykrem położeniu, że mając pokończone studya teologiczne, do egzaminu nie mógł się zgłosić doktorskiego. Na usprawiedliwienie jego nie zawadzi przytoczyć, że z jednym, jedynym wyjątkiem zamordowanego przez szlachcica Rusockiego w r. 1519 ks. Jana Paterka z Szamotuł, który skutkiem szczęśliwszego jakiegoś zbiegu okoliczności już w kilka lat po otrzymaniu stopnia magistra filozofii, uporać się potrafił był z egzaminami i z promocyą na dra praw obojga i św. teologii, żaden z kolegów Wisneczanina, którzy z nim razem na początku r. 1504 magistrami zostali byli, stopniem tym poszczycić się jeszcze nie mógł, dla wszystkich bowiem obok wielkich w rzeczy samej przy egzaminach ścisłych wymagań stanowił główną w tem przeszkodę także brak odpowiednich na opędzenie wszystkich wygórowanych taks i opłat funduszów pieniężnych [1].

---

[1] I niektórzy starsi od ks. Wisneczanina magistrowie, jak Jan Leopolita, Kułap z Tarnowca i inni, o których niżej, choć tą samą, co on, szli drogą, dla tych samych powodów, głównie zaś dla braku odpowiednich na opłacenie wygórowanych danin funduszów, nie mieli jeszcze w tym czasie stopni drów św. teologii; z młodszych zaś od niego tylko jeden Tomasz Bederman z Poznania, według Muczkowskiego Liber promot., str. 140, od początku r. 1505 mgr. filozofii, otrzymał stopień ten — jak wiadomo — już w lutym 1519. Zawdzięczał to wszakże, jak się zdaje, głównie łaskawym względom ówczesnego biskupa poznańskiego, ks. Jana Lubrańskiego, który go też zaraz po skończonych uroczystościach promocyjnych do Poznania na rektora założonego przez siebie w tym roku kolegium im. Lubrańskiego sprowadził. Łukaszewicz, Hist. szkół, III 484 i n.

A zbliżała się właśnie chwila, w której stopień dra św. teologii, nadający prawo do objęcia stałej katedry profesorskiej na wydziale teologicznym i do połączonych z nią dochodów lepszych, wielkie dla niego w dalszej jego promocyi stanowić mógł ułatwienie. Bądź co bądź bowiem był już od lat kilku królewskim mgrem a zarazem najstarszym i najpierwszym między nimi, po 23 latach zaś ciągłej i nienagannej pracy na katedrach wydziału filozoficznego należało mu się już wreście lepsze jakie i intratniejsze z ramienia Uniwersytetu stanowisko. Po prawdzie, najodpowiedniejszą dla niego ze względu na jego pochodzenie, charakter i zdolności była posada proboszcza w ojczystem jego Pajęcznie, do której też bodaj czy czasami przedtem nie wzdychał, choć nadaremnie, na probostwie tem bowiem zawsze jeszcze siedział małomieszczanin ks. Marcin Wolborczyk.

Inaczej natomiast, a nawet nadspodziewanie wcale korzystnie obróciły się dla niego losy przy samym końcu r. 1526 przez opróżnienie w tym czasie kantoryi w kolegiacie św. Floryana, którą do wyższych już poniekąd zaliczano kanonij kolegiackich, a z którą, o czem już była mowa, już od połowy w. XV dosyć intratne probostwo w Olkuszu zawsze szło w parze. Przed niewielu jeszcze laty kantorami kolegiackimi a razem proboszczami olkuskimi [1] byli krócej lub dłużej sami doktorowie lub przynajmniej licencyaci albo bakałarze św. teologii lub prawa, jak Stanisław Bylica z Olkusz, Bernard Episcopius i zasłużony w dziejach piśmiennictwa naszego autor planu reformy kalendarza rzymskiego, który na wezwanie Stolicy apostolskiej z polecenia Uniwersytetu krakowskiego był wygotował, Marcin Biem z Olkusza [2]. Od roku wszakże 1520 zaszła przypadkowym sposobem w obsadzaniu tej posady dosyć znaczna zmiana. Właśnie Biem, zajęty badaniami i obliczeniami astronomicznymi, nie mógł stale w Olkuszu przebywać, dlaczego też częściej i dłużej przemieszkiwał w Krakowie, a wreście w r. 1520 z posady tej, chociaż intratnej, zrezygnował. Przyjąć jej nie chciał i drugi, starszy już i bardzo zasłużony ma-

[1] Pauli, Series, j. w.

[2] Katalog rękopisów bibl. Jag., I 440, nr. 1853: „De correctione Calendarii Romani et de recta Paschae observatione".

gister krakowski, ks. Michał Wratislawita z Wrocławia, niegdyś nauczyciel naszego Wisneczanina, który już od r. 1488, z początku jako extraneus, potem zaś jako collega minor i major na wydziale artystycznym wykładał [1]. Wydawca kalendarzy p. t. „Judicia Cracoviensia“ i autor licznych dzieł i dziełek astronomicznych, filozoficznych i teologicznych [2], od r. 1517 zaś, po ukończeniu studyów uniwersyteckich na fakultecie teologicznym i po uzyskaniu doktoratu św. teologii [3], profesor wydziału teologicznego i kanonik św. Floryański, nie pragnął Wrocławczyk pobytu w Krakowie zamienić na stałe w Olkuszu mieszkanie, i o kantoryą kolegiacką po Biemie wcale się nie ubiegał. Wybór padł więc na małomieszczanina, ks. Grzegorza Stawiszyńczyka, kolegę Leonarda z Wisnki, z którym razem na początku r. 1504 stopień mgra filozofii był uzyskał, a który w tym czasie właśnie jako członek kolegium większego i jako student wydziału teologicznego ze słuchaniem kursów teologicznych już się był uporał, ale jeszcze żadnego na tym fakultecie, nawet bakałarskiego, nie posiadał stopnia. Lecz i ks. Stawiszyńczykowi, niewiadomo tylko dla jakich powodów, stały w Olkuszu zamiast w Krakowie pobyt czy sprzykrzył się czy nie był na rękę, dlaczego też i on przy końcu r. 1526 za posadę tę podziękował, zaczem znowu ta sama z kantoryą kolegiacką powtórzyła się historya. Wratislawita i tym razem probostwa olkuskiego przyjąć wzbraniał się, a między resztą doktorów i profesorów św. teologii i prawa także odpowiednego do stanowiska tego kandydata nie było; obydwaj bowiem przed kilku miesiącami kreowani drowie, ks. Stanisław Łowiczanin i o. Jan Poznanita, dopiero od pół roku zaledwie byli profesorami na wydziale teologicznym, a niemając żadnych innych z przed tego czasu wobec Uniwersytetu zasług, do kantoryi kolegiackiej rościć sobie jeszcze nie mogli pretensyi. Pierwszy z nich zresztą, choć zasiadł na katedrze profesorskiej, musiał się początkowo zadowolnić skromnem uniwersyteckiego ka-

[1] Liber dilig., str. 528.

[2] Janocki, Nachrichten von raren Büchern, IV 120 i nn.

[3] Szujski. Statuta i matrykuły, str. 21: „Michael de Wratislavia, 1517 promotus“.

znodziei w kościele św. Anny stanowiskiem [1], ostatni zaś jako zakonnik i o taką posadę nie wyciągał ręki [2].

Wśród takiego też zbiegu okoliczności, po prostu w braku odpowiedniejszego i większych zasług kandydata, został „regalis collegiatus, mgr. Leonardus de Visnka“, choć nie był jeszcze ani doktorem, ani nawet bakałarzem lub licencyatem św. teologii, i miał zaledwie przed kilku laty ukończony fakultet teologiczny, obrany kantorem św. Floryańskim a zarazem, co z tą godnością było połączone, proboszczem olkuskim. Akt elekcyjny, za wiedzą ówczesnego Uniwersytetu rektora, dra i prof. medycyny, Łukasza Noskowskiego [3], a głównie za zgodą dwóch najbardziej w całej tej sprawie interesowanych osobistości, ówczesnego dziekana kolegiackiego, ks. dra Episcopiusa, i kustosza, ks. dra Mikosza, którym towarzyszyli inni innych wydziałów profesorowie wspólnie ze starszymi fakultetu artystycznego magistrami, odbył się w zwykłej formie 18 i 19 stycznia r. 1527 [4]. Wyborcy, co zresztą i przedtem zawsze czynić zwykli byli, zastrzegli sobie: „quod predictus mgr. „Leonardus de Visnka se ita regat, vt decet ecclesie Christi pa„storem, et quod edificia domus plebanalis ita prouideat, vt suc„cessori non in deteriori saltem conditione relinquat, et item quod „thesaurum ecclesie non permittat distrahi et ipse pro ampliacione „eius, quantum ex eo fieri poterit, diligenciam faciat“. On zaś nawzajem zastrzegł sobie powrót do kolegiatury w kolegium większem,

---

[1] Acta rectoralia, od 8 czerwca r. 1526 począwszy do jesieni r. 1530, I 1065 i nn., nazywają go zawsze: „dr. Stan. de Louicz, s. theologie prof., ad s. Annam predicator“.

[2] Z nadzwyczaj szczupłych materyałów, jakie się do dziejów wydziału teologicznego dochowały, trudno wyrozumieć, w jaki sposób Uniwersytet Jagielloński wynagradzał trudy zakonników, którzy otrzymawszy doktorat św. teologii, w rzeczy samej wykłady z katedr teologicznych rozpoczynali i na fakultecie tym czynni byli. Że zresztą Poznanita jako profesor na wydziale teologicznym wykładał, dowodzą tego także Acta rect., I 1142, według których: „Iohannes de Posnania, s. pagine prof., ordinis s. Augustini in ecclesia s. Chatharine Cazimirie“ był nawet w kwietniu r. 1530 „decanus facultatis theologice“.

[3] Pauli, Codex, IV 186.

[4] Conclusiones antiquae majoris Collegi Univ. Crac. ab a. 1432 usque ad a. d. 1591, rękopis bibl. Jag. nr. 3853 (63), str. 72 i nn.: „Conclusio pro mgro Leonardo de Visnka pro regressu in Ilkusz“.

gdyby dla jakichkolwiek przyczyn proboszczem w Olkuszu być nie mógł lub nie chciał, a w dodatku pierwszeństwo do każdego znaczniejszego beneficyum uniwersyteckiego, wyraźniej mówiąc, do kustodyi św. Floryańskiej, gdyby się w najbliższym czasie opróżnić miała, a gdy tak obustronne nastąpiło porozumienie, nową godność i połączone z nią dochody przyjął.

Jakby wyjątkową tedy drogą, gdyż bez właściwej jeszcze do tego kwalifikacyi, jaką dopiero doktorat, licencyatura lub bakałarstwo św. teologii nadawały, dobił się wreście kmiecy z kolegiackiej Wisnki syn ważniejszego w świecie stanowiska, po 33 latach stałego w Krakowie pobytu, z których 10 jako żak św. Floryański, 23 zaś jako mgr. extraneus, a potem collegiatus Collegii minoris i majoris strawił, dostała mu się nakoniec i zaszczytniejsza i intratniejsza w udziale posada, do jakiej w ówczesnym społeczeństwa naszego ustroju tylko ciągła w zawodzie szkolnym praca miejskiej i kmiecej dziatwie ubogiej przystęp ułatwiała.

Pierwszą też jego czynnością było teraz, że najprzód w ręce bezpośredniego przełożonego swego, jakim w półroczu zimowem z r. 1526 na 1527 był ówczesny dziekan wydziału artystycznego, mgr. Stanisław Aurifaber z Krakowa, Lubartem naczej nazywany[1], ten sam, z którym w lutym i marcu r. 1524 sprawę miał przed sądem rektorskim, złożył urząd na tym fakultecie nauczycielski, i wykładać — a czytał właśnie w tem półroczu Arystotelesa „Veterem artem“ i „Priora“ — zaprzestał. Dziekan też nie omieszkał zaraz ze swej strony przy jednym z tych odczytów zapisać, że go Wisneczanin już w miesiącu styczniu r. 1527, „quando plebanus factus est in Ilkusch“, przerwał, przy drugim zaś, że go już 4 lutego zakończył.

Prędko uporał się i z drugą czynnością, z którą przed odjazdem do Olkusza załatwić mu się należało. Zwyczaj i prawo wymagały od kantorów kolegiackich, zmuszonych stale w parafii przebywać olkuskiej, że dla wykonywania kapłańskich w kolegiacie powinności z ramienia swego ks. zastępcę, zwanego wicekantorem, u św. Floryana zostawiać musieli[2]. Ale nie wiele spełnienie wa-

[1] Liber dilig., str. 177.
[2] Długosz, Liber benef., I 485.

runku tego nowemu proboszczowi i kantorowi sprawiać mogło trudności; miał przecież przy boku swoim bliskiego powinowatego swego, w charakterze i z usposobienia bardzo nawet do siebie zbliżonego, ks. Stanisława Wisneczanina, już od połowy lutego r. 1524 bakałarza nauk wyzwolonych. Na niego też zdał teraz pełnienie powinności duszpasterskich w kościele św. Floryańskim [1], dlaczegoż bowiem z jakimi takimi, jakie wicekantorya przynosiła, dochodami [2] dzielić mu się było z kim obcym, kiedy miał odpowiednio uzdolnionego do tego krewniaka?

Jakoż załatwiwszy się w ten sposób z najpilniejszymi czynnościami, z którymi mu się w Krakowie bez zwłoki uporać wypadało, przeniósł się nowy kantor kolegiacki już w ciągu lutego lub w marcu r. 1527, a w każdym razie już przed Wielkanocą r. t. [3], do nowego miejsca pobytu swego, do oddalonego od Krakowa zaledwie o kilka godzin jazdy Olkusza, gdzie nowy dla niego zaczął się życia okres i gdzie, czego się początkowo spodziewać nie mógł, aż kilkanaście lat, do września r. 1541, spędzić musiał, zanim z kolei lepszego nie doczekał się beneficyum uniwersyteckiego.

Jak się tu zaś urządził, dla braku obfitszych danych źródłowych, nie da się naturalnie w szczegółach drobiazgowo roztoczyć; o ile wszakże o nim z tego czasu jakie takie wiarogodne dochowały się zapiski, wnosić z nich się godzi, że jako plebanowi olkuskiemu wcale dostatnio i dobrze mu się wiodło. I tak zaraz w kilka lat później, r. 1529, przed komisyą duchowną, która z polecenia

---

[1] Muczkowski, Liber promot., str. 178: „Stanisl. de Wyszuka", z dopiskiem współczesnym „vicecantor ad s. Florianum". — Stanisław Wisneczanin musiał więc w tym czasie być już księdzem i mieć co najmniej skończony rok 24 życia, dlaczego też, jak już wyżej przy sposobności zauważyłem, w lutym r. 1524, w czasie promocyi na bakałarza, był już stosunkowo starszym studentem i liczył już dobrych lat 20. Był zresztą, jak i dobrodziej jego i opiekun, ks. Leonard, trochę popędliwym i porywczym, w maju n. p. roku 1536 stawał „Honorabilis Stanisl. de Visnka, artium baccalaureus, vicencantor et vicarius perpetuus ecclesie collegiate s. Floriani in Kleparz", przed sądem rektorskim, oskarżony o bójkę i kłótnię z mgrem Jakubem Sieprczykiem, członkiem kolegium większego i kanonikiem od świętej Anny. Acta rect., II 2 i nn.

[2] Długosz, Liber benef., l. c.

[3] Wielkanoc r. 1527 była 21 kwietnia.

ówczesnego biskupa krakowskiego, ks. Piotra Tomickiego, na nowo wszystkie całej dyecezyi dobra kościelne spisywała i szacowała, zeznał pod przysięgą „possessor parochialis ecclesie in Ilkusz, Venerabilis dnus mgr. Leonardus de Visnka“, że razem z dziesięcinami z probostwa tego rocznego miał dochodu 47 marek [1]. Suma to, jak na owe czasy, wcale wysoka [2], a przy takich dochodach mógł już ks. kantor i pleban powetować sobie stokrotnie skąpe, o chłodzie i głodzie przebyte lata przeszłe, urządzić się nawet w całem znaczeniu wystawnie i hojną drugich wspierać ręką, z czego przedewszystkiem skorzystali też zaraz najbliżsi mu po ojcu Wawrzyńcu męskiego i żeńskiego rodzaju kumotry i kumoszki, swaki, ujki, ujny i ujenki, i rojno i gwarno teraz, opuszczając niewdzięczną rolę i piaski wisneckie, krewniaka swego w Olkuszu obsiedli. W ich też uszczęśliwionem gronie sam rad i wesół, mąż w sile wieku, liczący lat około 50, trochę odtąd w chwilowem zapomnieniu się za nadto familiarny i niekoniecznie ze stanem duchownym zgodny prowadzić zaczął żywot, do tego stopnia nawet, że już w marcu r. 1530 napomnienie z tego powodu ściągnął na siebie ze strony przełożonej kuryi biskupiej [3].

A Alma mater, a fakultet teologiczny, doktorat św. teologii i katedra na tym wydziale profesorska? Wszak zastrzegając sobie w styczniu r. 1527 pierwszeństwo na przyszłość do każdego znaczniejszego beneficium uniwersyteckiego, w szczególności zaś do kustodyi św. Floryańskiej, pamiętać o tem powinien był i wiedzieć to musiał dobrze, że bez stopnia doktora a przynajmniej bakałarza św. teologii, co dopiero prawo do stałego lub tymczasowego objęcia katedry na wydziale teologicznym nadawało [4], o podobnem po-

---

[1] Polkowski, Liber retaxationum beneficiorum dioecesis Crac. a. 1529, str. 65.

[2] Czacki, Tablica ewaluacyi monet polskich i litewskich z wyrażeniem wartości na monetę podług stopy 1766 r.

[3] Acta episcopalia z 5 marca r. 1530: Napomnienie „pro mgro Leonardo de Wysnka, cantore s. Floriani et plebano in Ilkusz“.

[4] W wyjątkowych tylko wypadkach, przy chwilowym braku doktorów, licencyatów lub bakałarzy św. teologi lub w razie dłuższej ich słabości, powierzano w zastępstwie wykład niektórych przedmiotów teologicznych, w szczególności zaś Piotra Lombarda „Sententiarum libri“, przeznaczonych dla studentów 1 i 2 roku, ukończonym słuchaczom teologii, o których przypuszczać

sunięciu się naprzód ani marzyć mu się godziło. Jak dotąd przynajmniej, nigdy jeszcze od czasów króla Jagiełły, od kiedy kolegiata św. Floryana do Uniwersytetu przyłączoną została, ani razu nie było przykładu, aby dwa najwyższe dostojeństwa kolegiackie, dziekaństwo i kustodya, dostały się były zwykłemu, a choćby nawet latami bardzo zasłużonemu magistrowi filozofii, któryby nie był zarazem doktorem jednego z trzech właściwych Uniwersytetu fakultetów, teologicznego, jurydycznego lub lekarskiego. Ale wesoło teraz w dobrym bycie na łonie najbliższej rodziny czas trawiący pater familias olkuski zapomniał snadź o nieodzownym tym warunku, i choć w obecnem położeniu swojem na brak odpowiednych funduszów nie powinien się był już żalić, gdyż starczyło mu już skąd odłożyć choćby na bardziej jeszcze wygórowane taksy i opłaty promocyjne, o uzyskanie stopnia doktorskiego przecież się nie spieszył. Do Krakowa naturalnie w różnych sprawach osobistych „Venerabilis dnus Leonardus de Wisnka, artium liberalium mgr., cantor ecclesie collegiate s. Floriani in Kleparz", od czasu do czasu, n. p. we wrześniu r. 1537, zaglądał[1], ale o tem, żeby jakiekolwiek poczynił był kroki w celu przyspieszenia aktu promocyjnego i wyjednania dla siebie stopnia doktorskiego, zawsze jeszcze głucho jakoś, gdy tymczasem, jużci z własną jego szkodą, sprawy w Uni-

---

można było, że w najbliższym czasie do egzaminów zgłoszą się doktorskich i zaraz potem katedrę obejmą profesorską. Według Statutów wydziału teologicznego z r. 1521, wydanych przez Szujskiego, czasowych suplentów takich, niby dzisiejszych docentów prywatnych, zwano u nas „cursores" lub „sententiarii", lecz wynagrodzenia za czytane wykłady nieprzyznawano im prawie żadnego. Przykłady też chwilowego takiego posługiwania się i wyręczania w wykładach teologicznych „cursorami" lub „sententiariusami" wcale nawet często powtarzały się w Krakowie i przedtem i w ciągu XVI w. Takim n. p. cursorem lub sententiariusem przez czas krótki około r. 1480, jak to w odczycie „Wacław de Brodnia Ubogi i jego rękopisy" wykazałem, był właśnie ukończony słuchacz wydziału teologicznego, syn kmiecy, ks. mgr. Wacław Brodnianin, niemający na fakultecie tym żadnego stopnia, ani doktoratu, ani licencyatury, ani bakałarstwa. Takim sententiariusem zresztą, jak to z powyższych uwag wynika, był także przez czas pewien w Paryżu ukończony słuchacz wydziału teologicznego, mgr. krakowski ks. Sędziwoj Czechlanin, późniejszy przełożony Kanoników regularnych w Kłodawie.

[1] Beneficia collegiatae s. Floriani, własność archiwum senatu Uniwersytetu Jag., nr. 10·010 z 8 września r. 1537.

wersytecie Jagiellońskim i św. Floryańskiej kolegiacie, ześrodkowane głównie około dziekaństwa i kustodyi tamtejszej, swoim a wcale dla niego niepomyślnym potoczyły się trybem. Śmierć nieubłagana raz po raz od chwili, gdy na stały przeniósł się był do Olkusza pobyt, zaczęła swoje na starszych doktorach i profesorach, na dziekanach i kustoszach kolegiackich, smutne znaczyć karby, a zamiast ks. Wisneczanina, który wolał gruszki zasypiać w popiele, wysuwali się teraz pomału naprzód jużto starsi od niego magistrowie, już szczęśliwsi, a w każdym razie zapobiegliwsi i zdolniejsi od niego koledzy jego, już nawet o wiele od niego młodsi magistrowie, którzy co do lat służby i zasług w Uniwersytecie ani równać się z nim nie mogli. (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

ZASADY I ŻĄDANIA RADYKALNEGO SOCYALIZMU.

Do niedawna pod nazwą socyalizmu rozumiano jedynie teoryą społecznego przewrotu: w rodzaju utopii St. Simona[1], Fouriera[2], Considerant'a[3], Gracha Baboeuf'a[4], Proudhon'a[5].

---

[1] Hr. Henryk St. Simon ur. 1760 w Paryżu z bogatych rodziców, umarł 1825 r. w wielkiej nędzy. W przelicznych pismach, których liczba wynosi 24, bronił zasady, iż klasa robotnicza jest najważniejszą w społeczeństwie, a tem samem godną, aby była zrównaną z wyższemi klasami. Postawił zasadę równości. Uczniowie zaprowadzili „religię St. Simonistowską", która wkrótce upadła.

[2] Karol Fourier, ur. 1777 w Besançon z bogatego kupca, umarł 1837 r. Pisma jego pozwalające swobodę namiętnościom i domagające się emancypacyi kobiet, prowadzą na bezdroża i nie mają najmniejszej wartości.

[3] Wiktor Considerant ujął pomysły Fouriera w formę owych osławionych „falansterów" tj. owych sześciuset tysięcy kolonij wiejskich, w których pod wodzą Omniarchy w Konstantynopolu wspólne gospodarstwo przy wolności zmiany małżeństw miało być prowadzone. Nie mogąc tego urzeczywistnić we Francyi, pokrył Stany Zjednoczone siecią falansterów. Atoli już w r. 1846 wygasł zupełnie w Ameryce furyeryzm.

[4] Grachus Babeuf ur. 1762 w St. Quentin. Uwięziony po rewolucyi francuskiej obmyślił w więzieniu nowy plan socyalnej rewolucyi i ogłosił go później w piśmie *Trybun ludowy*. Zasady jego są na wskróś komunistyczne i są manifestem anarchistów. Np. „Nie chcemy prywatnej własności ziemi. Żądamy wspólnego używania owoców ziemi. Wszystkie dobra są wspólne, a lud wyłącznie tychże właścicielem. Wszystkim przysłuża prawo do wszystkiego". Zrewoltowawszy 16.000 sprzysiężonych do zamachu stanu został pochwycony i w 1796 r. wraz z 64 wspólnikami ścięty.

[5] Piotr Proudhon ur. 1805 r. ujął komunizm w formę ściślej naukową, i w r. 1840 na pytanie postawione przez akademię umiejętności: „jakie są teraźniejsze i pszyszłe skutki gospodarcze i moralne ustawy francuskiej o równym podziale majątku między dzieci?" odpowiedział: „La propriété c'est

Socyalizm przedstawiał się jako szalony zamach przeciw wszelkiemu boskiemu i ludzkiemu porządkowi: zniesienie własności, małżeństwa, rodziny, państwa i religii, słowem wszystkiego, co u ludzi jest świętem i uczczenia godnem. A całe to *Tohu vabohu*, ogólnej anarchii do tego wyłącznie miało służyć, by kilku sprytnych mogło swe kieszenie w chwili zamętu napchać i wznieść się do góry na barkach roznamiętnionych tłumów[1].

Ale dziś, co zagadnienia o pomyślności społeczeństw stały się tak bardzo aktualnemi, że poważnych zaprzątają badaczy i szczerych miłośników ludzkości, nazwa socyalizmu szersze przybiera znaczenie, i socyalistami nazywają się wszyscy, którzy w jakimkolwiek kierunku trudnią się kwestyą socyalną.

Chcąc tedy dać pojęcie socyalizmu w ogólności, należy się stanąć na gruncie dzisiejszym, i nie z hipotez, ale z rzeczywistości wnioski wysnuwać.

Dziś istnieją dwa wręcz sobie przeciwne stronnictwa socyalistyczne. Jedno, do którego należą demokratyczni socyaliści i anarchiści, co to wywołali rozruchy w r. 1886 w Decazeville, Charleroi, w Londynie, Chicago, Amsterdamie, oraz ich mistrzowie i teoretycy: Marx, Lassalle, Liebknecht, Bebel, Hassellmann, Volmar. Drugie zaś zachowawcze, do którego należą jużto tak zwani socyaliści z katedry, jak Wagner, Schmoller, Nasse, Brentano, Miaskowski, Schäffle i inni; jużto socyaliści chrześcijańscy, jak biskup Ketteler, kanonik Moufang, ks. Schings († 1876), założyciel i redaktor *Christlich-socialen-Blätter*, Bongartz, baron Vogelsang, ks. Rosetti autor broszury o Aliansie chrześcijańskim i ks. Albert Weiss. We Francyi cała plejada pisarzy, którzy z hr. de Ulm na czele zakładają stowarzyszenia robotników *Cereles catholiques d'ouvriers* i wydają pismo *Assotiation Catholique*; w Belgii ks. Perin i t. d.

Z tego już widać, iż socyalizm liczy swych wyznawców tak między katolikami, jak i protestantami; że zaliczają się do jego zwolenników uczeni i prostaczkowie, duchowni i świeccy, fabry-

---

le vol!“ „Własność jest kradzieżą“. Dążył ciągle do anarchii domagając się zniesienia prawa własności. Umarł 1865 r.

[1] Np. Scharling w swem znakomitem dziele: „Humanität und Christenthum“. 1875 r.

kanci i i robotnicy. Wszyscy są gatunkami tego samego rodzaju: socyaliz; a mimo to tak się od siebie różnią i tak daleko od siebie stoją, jak niebo od ziemi.

Aby więc wyrobić sobie pojęcie o „socyalizmie“ i jego znaczeniu, musimy wprzódy postawić pytanie: Co to jest „kwestya socyalna?“ Pierwiej wyszła na jaw kwestya socyalna, a dopiero w ślad za nią socyalizm z swym programem i odpowiedzią na zagadnienia społeczne.

I cóż to jest kwestya socyalna? Istotnie kwestya socyalna nie jest jedna, ale jest ich cały szereg, jak: kwestye ograniczenia wyuzdanej konkurencyi, obłożenia podatkiem giełdowych operacyj, oznaczenia godzin pracy w fabrykach i kopalniach, ustalenia ceny pracy; kwestye pracy kobiet i dzieci w fabrykach, udzielania opieki i prawnych przywilejów spółkom i stowarzyszeniom robotniczym i rękodzielniczym, opieki nad robotnikami i ich dziećmi małoletniemi, w czasie choroby lub kalectwa i starości i t. d. Zbiorowo atoli pod kwestyą socyalną należy rozumieć pytanie, jakie sobie zadaje nowoczesne cywilizowane społeczeństwo co do stanowiska, jakie ono ma zająć względem swych pojedynczych jednostek w stosunku do gospodarstwa publicznego i do społecznego porządku; czyli zagadnienie, jakie społeczeństwo sobie samemu stawia, by się nad sobą namyślić, zbadać się i sumiennie osądzić.

Otóż z tego rozważania nad samym sobą, z tego badania samego siebie i osądzenia własnego wynika: najpierw uznanie ideału, do jakiego ma dążyć człowiek, by w należytym stał stosunku do Boga, do bliźniego i do siebie samego. Następnie porównanie rzeczywistego stanu, w jakim obecnie żyje społeczeństwo z owym ideałem odczutym lub zaczerpniętym czy to w nauce Pisma św. i Kościoła, czyli też w nowożytnym tak zwanym humanizmie. Wreszcie w skutek tego porównania spostrzeżenie i skonstatowanie owych ciągłych sprzeczności, jakie zachodzą pomiędzy istniejącym stanem rzeczy w rzeczywistości, a owym obmyślanym ideałem.

Otóż gdziekolwiek i kiedykolwiek w ciągu wieków, a więc i za dni naszych, takie przeciwieństwo pomiędzy ideałem w duszy piastowanym a rzeczywistością obecnych stosunków na jaw występuje, tam i wtedy wyłania się w społeczeństwie kwestya socyalna.

I na mocy takiego pojmowania rzeczy można twierdzić, iż kwestya socyalna jest stara jak świat, i ciągnie się niby nić czerwona przez wszystkie wieki pod różnemi formami, jakie wywoływały potrzeby poszczególnych wieków i panujące w tychże przekonania.

Kwestya socyalna poprzedza socyalizm. Ona istnieje w dziedzinie samowiedzy, a socyalizm usiłuje ją urzeczywistnić czynem. Socyalizm jest tem usiłowaniem dążącem do rozwiązania owej świadomie odczutej sprzeczności, jaka się objawia między istniejącym ustrojem społeczeństwa w dziedzinie gospodarstwa publicznego i ekonomicznego, a owym ideałem, jaki pewna część społeczeństwa w piersi swej żywi, i do przeprowadzenia reform według pojętego ideału.

Pod to ogólne pojęcie podciągnąć można wszystkie dzisiejsze socyalne ruchy na świecie. Bakunin i federacya hiszpańskich socyalistów, Włosi i Amerykanie, Niemcy i Francuzi; wszyscy godzą się na to, że zachodzi kontrast między ich ideałem a rzeczywistymi stosunkami ekonomicznymi lub politycznymi, i wszyscy dążą do rozwiązania tejże sprzeczności. Z rożnorodnego zaś ideału, jaki mają ci ludzie, i z różnorodnych środków, jakich używają, wyłania się dobry i zły socyalizm.

Socyalizm dodatni uznaje w zasadzie społeczeństwo, własność, rodzinę i władzę, szanuje je jako z prawa przyrodzonego wypływające i stara się zdobycze tysiącletniej cywilizacyi do istotnych potrzeb czasu i miejsca zastósować; a to drogą ustawodawstwa, dobrym przykładem, rzetelną pracą i sumiennem spełnianiem obowiązków[1]. Ujemny socyalizm zaś, czyli czerwony, a raczej radykalny,

---

[1] Literarischer Handweiser z r. 1877. Nr. 208 broni również przeciw pewnemu recenzentowi tezy, iż są i chrześcijańscy socyaliści, słowy: „Ein Recensent der neuesten Périn'schen Schrift in einem kathol. Nachbarblatte erblickt eine grosse Gefahr darin, dass man von „christlichem' Socialismus" und „christlichen Socialisten" spreche; es sei das eine Art von *contradictio in adjecto*, und zeuge von grosser Unklarheit. Allein diese Ansicht ist völlig unmotivirt. Es gilt auch hier einfach, den Worten ihre wahre Bedeutung wieder zu geben und sich nicht kindisch vor blossen Worten zu fürchten. Wenn auch heute noch in Deutschland das Wort „Socialismus" fast allgemein nur ein Schimpfwort ist, wobei die Meisten an Mord und Brand, Weibergemeinschaft u. dgl. denken; so ist doch Socialismus an und für sich nichts Anderes als der Gegensatz zum Individualismus. Es hat keine Zeit und kein Volk ge-

który powinien raczej nazywać się internacyonałem lub komunizmem, depce istniejący porządek społeczny i usiłuje z pominięciem praw bożych, przyrodzonych i stanowionych, według swego fałszywego ideału i zasad w własnej głowie wymyślonych, społeczeństwo reformować. Do tego rodzaju radykalnego socyalizmu odnoszą się słowa encykliki Leona XIII: *Quod Apostolici muneris*: „Niczego, co ludzkiemi i bożemi prawami w celu nadania nietykalności i okrasy żywotowi ludzkiemu zostało postanowione, nie pozostawiają w zupełności i nietykalności. Wyższym władzom odmawiają posłuszeństwa i głoszą zupełną wszystkich ludzi we wszystkich prawach i obowiązkach równość. Przyrodzony związek mężczyzny z niewiastą znieważają, podżegnięci żądzą bogactw zwalczają prawo własności prawem przyrodzonem uświęcone... Wszyscy ludzie z natury są sobie równi; i z tego wywodzą, że ani majestatowi czci i uszanowania, ani prawom posłuszeństwa oddawać nie należy“ [1]. Różnicę ową dobrze zapamiętać należy, aby albo wyraz ów nieświadomych w błąd nie popchnął, albo sumiennych pracowników dla społeczeństwa nie skrzywdził.

Z tego pojęcia wynika, iż gdy internacyonał, komunizm i demokratyczny socyalizm zupełnie odosobnione w pewnych czasach się wyłaniają, dążąc do przywrócenia pierwotnego jakiegoś stanu rzeczy, a właściwie do ogólnej negacyi własności, społeczeństwa, rodziny i władzy i do wywołania powszechnego kataklizmu, to zdrowy socyalizm jest stałą potęgą, ciągle w historyi się rozwija-

---

geben, bei dem nicht socialist. Institutionen zugleich mit individualistischen zu Recht bestanden hätten... Man kann sich ja freilich, wie das sehr häufig geschieht, unter „Socialismus“ den Inbegriff aller Irrthümer und Ungeheuerlichkeiten vorstellen, und dann diesen selbstgemachten Popanz als das Nonplusultra des Gefährlichen und Verderblichen bekämpfen; aber Niemand wird ein solches Verfahren von dem Vorwurf der Unklarheit und wissenschaftlicher Oberflächlichkeit frei sprechen können“.

[1] „Nihil, quod humanis divinisque legibus ad vitae incolumitatem et decus sapienter decretum est, intactum vel integrum relinquunt. Sublimioribus potestatibus... obedientiam detractent, et perfactam omnium hominum in juribus et officiis praedicant aequalitatem. Naturalem viri et mulieris unionem... dehonestant,... bonorum illecti cupiditate... jus proprietatis naturali lege sancitum impugnant... Omnes homines esse inter se natura aequales, ideoque contendunt, nec majestati honorem ac reverentiam, nec legibus obedientiam deberi“.

jącą i działającą, potęgą dodatnią, usiłującą zachowaniem nietykalnych społeczeństwa podstaw, toż społeczeństwo ile możności uszczęśliwić, do równowagi możebnej doprowadzić, pokój i ogólny możliwy dobrobyt między ludźmi zaszczepić. I taki socyalizm umie się zastósować do każdego peryodu historyi i do stosunku panujących; a chociaż w każdej epoce czego innego się domaga, przecież cel jego zawsze ten sam pozostaje.

Z tego ogólnego poglądu na socyalizm wywiązuje się wreszcie zagadnienie: jakie są zasady radykalnego socyalizmu w szczególności?

Radykalny socyalizm dąży do trojakiego celu, mianowicie: w ustroju politycznym państwa, do republiki; w dziedzinie gospodarstwa społecznego, do komunizmu; w sferze zaś sumienia do ateizmu [1]. Radykalny socyalizm jest komunistycznym, albowiem dąży do kolektywizmu, czyli do wspólnej własności. Jest on socyalno-demokratycznym, bo łączy reformę społeczeństwa z polityczną organizacyą. Jest też filozoficznym w tem znaczeniu, że zrywa z wszelką filozofią abstrakcyjną, i chce się oprzeć wyłącznie na empiryi i pozytywizmie [2]. Jest wreszcie religijnym, o ile nie stawia się w obec wszelkich wyznań obojętnie, ale wszelką religię i wiarę radykalnie wyrugować usiłuje [3]. Krótko mówiąc, socyalizm radykalny dąży do zupełnej a gwałtownej rewolucyi, we wszelkich tak idealnych jak i materyalnych dziedzinach żywota społecznego. Państwo i Kościół, społeczne życie i porządek, umiejętność i wiedza przeznaczone są na zgubę.

---

[1] Wyjęte z num. 80 Volksstaat, rok 1871.

[2] „Die Socialdemokratie hat sich gegen die Religion entschieden, und plaidire ich hier dafür, dass sie sich auch gegen die Philosophie entschiede". Volksstaat 1876. Nr. 35.

[3] „Wir sind Feinde aller Pfaffen und aller Kirchen aus Prinzip; schon desshalb, weil wir Atheisten sind". „Niemand ist des Namens eines Socialisten würdig, als wer selbst Atheist mit allem Eifer der Ausbreitung des Atheismus seine Anstrengung widmet". Volksstaat. Chociaż przeciwnie, program uchwalony w Gocie d. 25 maja 1875 r. uczy, iż religia pozostaje u socyalisty sprawą prywatną; a socyalista Weitling opiera swe dzieło: „Ewangelia biednego grzesznika" na ewangelii. To przecież pewna, że wszyscy socyalno-demokraci ze względów oportunistycznych stali się ateistami i szerzą niewiarę.

Korzeniem tego systemu, jak się powiedziało, jest komunizm. Dziwna zaiste rzecz, że ci ludzie, którzy wszelką pozytywną wiarę odrzucają, z niezrównaną naiwnością i łatwowiernością wierzą, że mrzonka komunizmu jest w możności rozwiązać tę sprzeczność, jaka istnieje między ich ideałem, a smutną rzeczywistością.

Że obecna rzeczywistość jest smutną, że wielka industrya i wielki kapitał jak wylew zatapiają wszystkie mniejsze industrye i majątki, że coraz większa otwiera się przepaść między bogatym a ubogim, skąd rodzi się powszechna nędza, i nieodstępne jej towarzysze: głód, zwątpienie, rozpacz, i straszniejsza jeszcze niemoralność połączona ze zdziczeniem serc i umysłów — tego wszystkiego nikt lepiej nie odmalował od prasy socyalnej, a chociaż obraz to straszny, przecież wyznać należy dokładnie i prawdziwie naszkicowany[1] Ale jakżeż temu stanowi rzeczy zaradzić? Otóż, radykalny socyalizm wychodzi z tego przekonania, że zło materyalne, moralne i duchowe ma swój początek w zewnętrznych stosunkach, w materyalnem położeniu człowieka. To położenie zaś jest zawarowane obowiązującemi obecnie teoryami o prawach własności prywatnej, ruchomościach i nieruchomościach, maszynach, przyrządach pracy; jednem słowem „środkami pracy“. Otóż te wszystkie środki

[1] Marlo ekonomista tak tę różnicę skreśla: „Co za smutny obraz przedstawia istniejące monopolistyczne czyli liberalne społeczeństwo! Jak niesprawiedliwy i nierówny bywa los ludzki, jak ostre różnice pomiędzy członkami tegoż samego społeczeństwa, pomiędzy posiadającymi a ubogimi. Jedni żyją w szczęściu, opływają w dostatki, nie pracując na nic, mieszkają w kosztownych pałacach otoczeni zastępem sług, zaspokajają wszelkie potrzeby rzeczywiste i urojone; podczas gdy inni okryci łachmanami, w pocie krwawym zarabiają ledwo tyle, by się od głodowej ratować śmierci. Za nic tu pilność, za nic i rozum!“ To samo stwierdza Paweł Popiel: „Choroba wieku“. Kraków 1880, str. 16; i ks. Chotkowski: „Sześć kazań o kwestyi socyalnej“. Poznań 1880, str. 4: „Bieda i nędza gryzie do szpiku kości ludy nieszczęśliwe, głód i niedostatek trapi większą ludności połowę, podczas gdy bogaci w zbytkach i rozkoszach wiodą życie; przepych błyszczący i ohydna nędza, świecące bogactwo i czarne łachmany sąsiadują ze sobą“. Huber: „Sociale Fragen“. Nordhausen 1864, str. 71 donosi, że w Londynie w przeciągu ostatnich 10 lat umarło z głodu 3292 ludzi; i że codziennie przeciętnie dwoje ludzi tam literalnie z głodu umiera. Dalej, że w Anglii pięcioletnie dzieci szyją rękawiczki i to 14 do 16 godzin dziennie, a chłopcy trzechletni w kuźniach żelazo trzymają, przez co ze stawów palce im powychodziły.

pracy powinny przejść z rąk prywatnych w ręce społeczności, tj. „państwa ludowego“ reprezentującego całość ludu.

Od państwa wychodzi i wywodzi się wspólna własność i wszelka możliwa produkcya; państwo rozdaje pracę towarzystwom, które pracują pod zarządem najwyższej władzy państwowej i produkują rzeczy całość obchodzące. Według takiego pojęcia państwa, członek stowarzyszenia pewnego jest robotnikiem ale zarazem i obywatelem, a jako taki równocześnie i przedsiębiorcą. W taki sposób jako robotnik pobiera płacę robotnika, zaś jako członek stowarzyszenia produkcyjnego, bierze jego zyski. Przez co płaca jego powiększa się i starczy na wyżywienie i wychowanie rodziny. W państwie takiem niema wojska, ani urzędników, ani kupców; a ponieważ koszta wychowania dzieci ponosi państwo, a mieszkania są wolne, środki zaś do życia przechowywane we wspólnych magazynach nazbyt tanie, tem samem dola robotnika jest bardzo pomyślna. Małżeństwa radykalni socyaliści przeważnie nie znoszą[1], ale uważają je jako instytucyę czysto ludzką, a wyśmiewają w swych pismach chrześcijan, którzy uważają małżeństwo za Sakrament, a jednak pobłażają prostytucyi, i w dziennikach swych najohydniejsze umieszczają inseraty. Idea ich streszcza się w tym aksiomacie: „Ludzie są nieszczęśliwi jedynie z powodu chciwości i wyłaniającej się z tejże zawiści i nieprzyjaźni. Mogą zaś stać się szczęśliwymi tylko przez solidarność interesów. Dążmy do takiego stanu społeczeństwa, w którem solidarność panuje“ [2].

Z tego poglądu o wspólnem posiadaniu własności i środków pracy, o wspólnem używaniu wszelkich dóbr ziemskich i wspólnej produkcyi wynika, że ustrój polityczny tego wymarzonego w przyszłości społeczeństwa będzie wyłącznie republikański. W ich republice pojęcia: „władza“ i „poddany“ schodzą się w owem „panujący lud“. Lud posiada najwyższą władzę i juryzdykcyę wszelaką,

---

[1] Bebel, Liebknecht, Most są żonaci.

[2] „Aller Forschritt auf dem Gebiete der Gesundheit, Bildung und Tüchtigkeit ist nur durch Gemeinsames Interesse und Wirken, also durch eine communistische Geistesströmung erreicht“ (N. Socialdemokrat, r. 1875. Nr. 38). „Gerichtigkeit auf socialem Gebiet, Menschenliebe und Brüderlichkeit ist unser Princip“. (Volksstaat r. 1875. Nr. 30).

którą przelewa mocą wyborów na swych delegatów. Ci zaś administrują państwem i wykonują prawa przez lud uchwalone.

Dalej, wysnuwają oni dla tego państwa socyalnego następujących pięć postulatów:

1. W stosunku do ludzi, głoszą wolność, równość i braterstwo.

2. W stosunku do przyrody, domagają się przemiany prywatnej własności ziemi i środków pracy (mieszkania, warsztaty, maszyny, fabryki) na własność wspólną.

3. Z tych dwóch poprzednich zasad wywodzą trzeci postulat, produkcyę przez stowarzyszenia, czyli wspólność pracy. Skoro bowiem wszyscy ludzie są równymi i wolnymi braćmi, skoro mają ziemię wraz z wszystkiemi narzędziami pracy za wspólną własność, to koniecznem jest, by wszyscy wspólnie pracowali.

4. Zniesienie systemu zarobkowania i zastąpienie onego wypłatą całego dochodu pracy.

5. Wynik z przeprowadzonych tych czterech zasad, który ma ukoronować to całe dzieło, będzie: usunięcie wszelakiej nędzy ziemskiej i przywrócenie ogólnej szczęśliwości pomiędzy ludźmi.

To stanowisko socyalistów jest zasadnicze i dąży do zupełnego przekształcenia społeczeństwa ludzkiego. Nie chcą oni społeczeństwa budować na owych częścią naturalnych, częścią samowolnych różnicach, jakie dzisiaj istnieją; ani na owej moralnej równości w obec Boga; ale wyłącznie na naturalnej równości, która się objawia w tem samem pochodzeniu i w podobieństwie ludzkiej budowy ciała. I spodziewają się, że pojęcie równości pochodzenia i podobieństwa organizmu ludzkiego podniesie ludzkość na wyższy stopień równości intelektualnej i moralnej.

Rozbierzmy poszczególnie owe pięciorakie zasady radykalnego socyalizmu z punktu zapatrywania samych socyalistów i z przytoczeniem ich dowodów; pozostawiając sobie sąd i ocenę tychże zasad ze stanowiska nauki Kościoła katolickiego na później.

(Dok. nast.)

Ks. Kopyciński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Mesyaniści i Słowianofile. Szkice z psychologii narodów słowiańskich. *M. Zdziechowski.* Kraków 1888, str. 338.

Autor wstąpił na świeżą, „dziewiczą“ niwę, obrał sobie bowiem za przedmiot swych badań prądy patryotyczno-mistyczne, u nas mesyanizmem, w Rosyi zaś słowianofilstwem zwane, a łącząc obie metody Taine'a i Brandesa, ukazuje te prądy w życiu i w pismach kilku wieszczów słowiańskich. Zaletą „szkiców psychologicznych“ jest głównie to, że uwydatniają one i to w sposób porównawczy ową charakterystyczną skłonność duchową nie samych tylko autorów, ale i odnośnych plemion słowiańskich.

W pierwszym szkicu widzimy postać króla wieszczów naszych: Adama. Aby tem lepiej dać poznać genezę i naturę jego mesyanizmu, przebiega autor pokrótce znane wypadki życia Mickiewicza, podnosząc w nich głośnie to tylko, co wieszcz nasz czuł, kochał, i cierpiał, bo właśnie uczucia Adama pod wpływem zewnętrznych okoliczności spotęgowane aż do najwyższego nastroju, przeniosły go w krainę mistycznych mrzonek.

Uczucia jego choć religijnym nastrojone duchem, ale nazbyt wybujałe i rozprężone, jużto wskutek doznanych cierpień, jużto pod wpływem przeczytanych dzieł mistycznych, zbaczają na fałszywe tory, jak rozhukane choć szlachetne rumaki. Wierzył on gorąco, że Polska na wzór Chrystusa cierpieniem swem i męką nie tylko sobie, ale całej zepsutej Europie wysłuży odrodzenie, i to

mesyaniczne jej posłannictwo stało się odtąd ogniskiem jego uczuć i czynów, jego marzeń i pieśni. Umarł Gustaw tęskniący za szczęściem osobistem, a narodził się Konrad pragnący szczęścia ojczyzny. Widząc jednak, że nic nie zapowiadało wymarzonego tryumfu Polski i odrodzenia przez nią Zachodu, nowym tym zawodem przywiedziony do rozpaczy, w słynnej owej tytaniczną siłą uczucia improwizacyi Konrada, rzuca bluźniercą rękawicę samemu Bogu, wyzywając Go do walki na serca. Lecz obłęd to chwilowy — ks. Piotr modlitwą swą nawraca szalonego bluźniercę, a chór aniołów śpiewa nad korzącym się już Konradem:

„Pan maluczkim objawia
Czego wielkim odmawia".

Łatwiej więc już zrozumieć, że dusza Adama choć tak potężna, czysta i wierząca, ale zbolała a skłonna do mistycyzmu, dała się w końcu uwikłać w sieci niedorzecznej nauki Towiańskiego, zwabiona tajemniczością i pozorami wzniosłych ideałów.

Jak Mickiewicza nieokiełznane rozumem uczucie popchnęło do mistyki, a w końcu sprowadziło na bezdroża Towianizmu, tak u Słowackiego podobną rolę odegrała fantazya. Juliusz już od dzieciństwa żył życiem nie rzeczywistem, ale wymarzonem. To jego usposobienie wyraża jaskrawo „Godzina Myśli". Jak ślimak w skorupie zamknął się on w świecie wyobraźni, fantastyczne pomysły, obrazy i wrażenia stały się pokarmem jego duszy, fantastyczni ludzie jego ideałami. Więc wszystkiem, co po ziemi chodziło, gardził poeta, nienawidził porządku rzeczywistego — stąd pod wpływem Byrona napisał on tak potworne poematy jak: Arab, Mnich lub Mindowe. W praktycznem życiu próżnym był i zarozumiałym, lubiał się podobać, a nawet być kochanym, lecz sam kochać nie umiał, i oprócz przywiązania do matki nie było w nim nigdy stalszego do ludzi uczucia. Ulubioną mu była cisza i piękna przyroda, wśród której wyobraźnia jego w twórczości swej niedościgła, snuła wciąż nowe obrazy, karmiąc zmyślonem szczęściem dziwaczną tę duszę. Zrazu nie obchodziły go ani stosunki społeczne, ani los ojczyzny. Dopiero po przybyciu do Paryża rozbudził się w nim gorący patryotyzm. Ale i to uczucie pod wpływem ognistej wyobraźni żądnej ziszczenia niemożliwych ideałów i wynikającego stąd

gorzkiego niezadowolnienia, zaprawione było jużto radykalizmem, już pesymizmem, lub w chwili łagodniejszego, religijnego nastroju, porywało go w sfery mistycyzmu.

Takie cechy przejawiają się we wszystkich utworach Słowackiego, napisanych między r. 1832—1842, jak Lambro, Kordyan, Podróż Dantyszka po piekle, Anhelli, Lilla Weneda i Beniowski. Lubo więc w tej epoce miał Słowacki jakiś ideał praktyczny, którym była miłość ojczyzny, mimo to jednak nie przestał być fantastą-marzycielem, wierzącym najsilniej w sny, przeczucia i we wszystko co urojone. Jak to szczególnie w Anhellim spostrzedz można, mistycyzm rozwinął się już na dobre w jego duszy, przygotowując grunt na posiew Towiańskiemu.

Skoro więc mistrz Andrzej pojawił się na widnokręgu, znalazł dwie pierwszorzędne gwiazdy literackie: Mickiewicza i Słowackiego najzupełniej przygotowanych do przyjęcia jego nauki; bo pierwszego uczucie, drugiego fantazya wprawiła w stan ekstatycznego nastroju.

Stosunek z Towiańskim najzgubniej wpłynął na Adama. Stał on się najgorliwszym swego mistrza apostołem, nawet w *Collége de France* głosił jego posłannictwo i naukę, ale duszę wieszcza mącił odtąd ustawiczny niepokój, ciągła walka ze sobą i osłabienie ducha, wynikające z nużących wysiłków, by oprawić się w jakiś stan mistycznej ekstazy. Że jednak przepowiednie Towiańskiego nie ziszczały się wcale, i że zupełnie inaczej zapatrywał się Adam na obowiązki względem ojczyzny, stosunek jego z Towiańskim stygnął powoli, a od r. 1847 zerwany został na zawsze. Jednakże obłęd ten pozostawił smutne ślady w umyśle Adama aż do śmierci.

Na Słowackim wywarł Towiański wprost przeciwny skutek, jak na Adamie, bo lubo i jego twórczość poetycką na błędne zepchnął tory, dla serca jednak przyniósł zupełne uspokojenie. Po dwóch latach jednak Słowacki, częścią z pobudek ambicyi, częścią z powodu różnicy zachodzącej między jego natchnieniami, a natchnieniami reszty członków koła, odstąpił swego mistrza i w końcu uwierzył, że on sam jest wysłannikiem Bożym, którego słowa prędzej czy później przyniosą światu zbawienie. W takim stanie, pod wpływem ekstatycznie rozgorączkowanej fantazyi, napisał najgłówniejszy swój utwór mistyczny: „Król-Duch“ i „Genezis z Ducha“,

wyświecającą niby tajemnice wszechbytu. Są to mrzonki filozoficzne niedorzecznością pokrewne filozofii Trentowskiego. Całokształt mistycznej filozofii Słowackiego z pośmiertnych jego papierów wydał Biegeleisen w r. 1884.

Z mesyanizmem polskim zestawia p. Z. słowianofilstwo rosyjskie, a to na zasadzie wspólnej idei przewodniej obydwóch tych kierunków i wspólnego ich źródła. Jak polscy mesyaniści, tak i rosyjscy słowianofile przypisywali ojczyźnie swojej posłannictwo mesyasza, mającego zbawić upadłą Europę. To samo też źródło dało początek mesyanizmowi i słowianofilstwu, tj. niezadowolenie z ówczesnego porządku, z tą jednak różnicą, że Polacy chcieli otrząsnąć się z jarzma obcego, Rosyanie zaś pragnąc większej swobody i szerszego działania, chcieli obalić ówczesną organizacyę własnej swojej ojczyzny. Reorganizacya państwowa była głównym celem ich pism i działania, a dopiero na drugim planie stała walka z rozpowszechnionem wówczas niewolniczem naśladownictwem Zachodu. Dalej, słowianofile pisali prozą i to krytycznie, popierając dążności swe naukowymi dowodami, nasi zaś mesyaniści orzekali z katedry poetyckiego natchnienia, czerpiąc wszystkie swe myśli z skarbnicy uczucia lub wyobraźni. Opozycya przeciw wszelkiej cudzoziemszczyźnie w Rosyi sięga już czasów Piotra W., choć dopiero od r. 1808, tj. od czasu ukazania się *Ruskawo Wiestnika* pod wydawnictwem Glinki, datuje się jej szersza działalność. Był to jednakże tylko protest patryotycznych zacofańców, ale nie słowianofilstwo. Wstępem do niego były jaskrawsze już dążenia przejęte od dekabrystów a smutnie zakończone w r. 1825, i kółko Sungurowa w Moskwie, w którem przodowali: Hercen i Ogarew. Po ich zesłaniu na Sybir, ruch ten przybrał spokojniejszy, bo naukowy kierunek. Utworzyło się nowe kółko pod przewodnictwem Stankiewicza przypominające w części naszych filaretów. Artykuł Czaadajewa wywołał rozdwojenie tak w samem kółku jak i między inteligencyą moskiewską. Powstały dwa obozy: tak zwanych „zapadników“ tj. zachodowców i słowianofilów, których sercem i głową był Aleksy Chomiakow. Umysł to żywy, wszechstronny, celujący przedewszystkiem zdolnościami krytycznemi. Tradycye ojczyste miłował on nadewszystko, posty cerkiewne zachowywał najściślej nawet w Paryżu. W r. 1826 odbył podróż po całej Słowiańszczyźnie zachodniej, a w r. 1829

upatrując w wojnie tureckiej początek wielkiego posłannictwa Rosyi, zaciągnął się dobrowolnie do pułku huzarów.

Szlachetna dusza Chomiakowa najpiękniej odbija się w poetycznych jego utworach nacechowanych dziwnie uroczystem spokojem. Cały przedmiot jego poezyi stanowią: natura, ojczyzna i Bóg. Jednak jako poeta nie idealizował Chomiakow swojej ojczyzny. Zaledwie w dwóch lub trzech tylko jego utworach przebija się wiara w wyższe posłannictwo Rosyi, w innych gromił on wady, bolał nad moralnym upadkiem swego kraju i nawoływał do pokuty.

Chomiakow umarł na cholerę w r. 1860. Wówczas małą tylko garstkę miał on życzliwych i rozumiejących go przyjaciół. Nie Chomiakow jednak, ale Iwan Kirejewski sformułował i przedłożył światu zasady słowianofilstwa w *Moskwitianinie* r. 1845. Kirejewski gani tu zarówno zacofany patryotyzm, jak i wielbicieli Zachodu. Wiek XVIII odrzucił religię, wiek XIX wymroził resztki ideałów, i pozostało rozczarowanie, którego wyrazem — pesymistyczny bajronizm. Konieczny więc dla Europy zwrot do świeżych, odmładzających źródeł uczucia i wiary; tych zaś źródeł tylko Wschód, Rosya dostarczyć jej może.

Chomiakow zostawił w tej materyi „Notatki o dziejach powszechnych“, wydane dopiero po jego śmierci przez Hilferdinga. Wskazuje on tu trzy czynniki składające się na utworzenie państw nowożytnych: Rzym, chrześcijaństwo, barbarzyńcy. Według Chomiakowa, na Zachodzie nie państwa stały się chrześcijańskiemi, ale chrześcijaństwo państwowem. Słowianie wschodni, a przedewszystkiem Rosya rozwijała się odrębnie: cywilizacyę przyjęła nie z Rzymu, ale z Bizancyum, religią jej było nie rzymskie chrześcijaństwo, ale prawosławie, podstawą państwa nie podbój barbarzyńców, ale dobrowolne wezwanie Ruryka. Porównawszy trzy składniki państw zachodnich ze składnikami państwa rosyjskiego — ten wynika stąd wniosek, że dla Zachodu z Rosyi tylko wypływać może owa siła odradzająca.

Protestantyzm słusznie uważa Chomiaków za religię zupełnie martwą, której całą treść i siłę stanowi negacya katolicyzmu. W obec wpływów, którym podlegał i źródeł z których czerpał autor „Notatek“, nie dziwno, że błędnie osądził Kościół zachodni

i że błędnie skreślił jego rozwój, zresztą teologiczno-historyczne błędy Chomiakowa, najdzielniejszego apologety prawosławia, wykazał i obalił znany dziś powszechnie myśliciel rosyjski, Włodzimierz Sołowjew.

Trzeci czynnik dzisiejszego dziejowego rozwoju Rosyi, tj. dobrowolne wezwanie władzy, w przeciwstawieniu do państw zachodnich kształtujących się drogą podboju, rozwinął Aksakow; Chomiakow bowiem pobieżną tylko o nim zrobił wzmiankę, cały nacisk kładąc na olbrzymią doniosłość prawosławia.

Mówiąc o mesyanizmie polskim pominął p. Zdz. Z. Krasińskiego i stawia go dopiero po omówieniu słowianofilstwa, aby ułatwić pogląd na różnice i podobieństwa między tymi dwoma kierunkami zachodzące. Krasiński miał obok wiary rozum jasny i silną wolę, i to go ocaliło od błędów uczucia i wyobraźni. Krytycyzmem więc zbliżał się on do słowianofilów a różnił od mesyanistów; etycznem zaś przedstawieniem swych ideałów przewyższał i jednych i drugich. Miał on wprawdzie swą ujemną stronę: organizm chorobliwy, rozstrój nerwów niekiedy objawiający się szałem zwątpienia i rozpaczy, „nocą rozumu“, zdrętwieniem wszystkich sił duchowych. Choroba ta, zdaniem p. Zdz. odziedziczona spadkiem po kądzieli, była mu nieodstępną towarzyszką aż do śmierci. Mimo to jednak ta boleść ustawiczna, ta niechęć do życia i zwątpienie, jakiemu podlegał Krasiński wskutek swej choroby, łączyła się w nim z najżywszą wiarą i ufnością w przyszłość w odrodzenie swego narodu, który jak Chrystus przez Golgotę cierpień miał sobie i światu zgotować zmartwychwstanie. W utworach jego ten jeden tylko optymistyczny widnieje kierunek. Cały szereg jego poematów, to jakby koła współśrodkowe, których ogniskiem — Polska. „Nieboska komedya“ przedstawia walkę socyalną dwóch przeciwnych a równie znikczemniałych obozów Europy, walkę, której wynikiem obustronna ruina. Nad gruzami wschodzi krzyż, jako godło zbawienia. W „Irydyonie“ przeprowadza Krasiński myśl inną: że nawet w szlachetnej walce nie siła, ale cnota zwycięża, wskazując jako materyał do wcielenia tej idei „ziemię mogił i krzyżów“. „Przedświt“ tłumaczy, czemu Polsce powierzył Bóg posłannictwo odrodzenia Europy. Wreszcie „Psalmy“, „Dzień dzisiejszy“, „Ostatni“, myśl tę rozwijają podając przytem środki do jej urzeczywistnienia. Pięknie po-

równał p. Zdz. poezyą Krasińskiego z jednolitą świątynią gotycką, w której skamieniał „jęk ducha rwącego się do wyżyn słonecznych“.

Kontrastem optymistycznej poezyi Krasińskiego jest ukraiński wieszcz Taras Szewczenko. Smutne jego życie. Lat 24 spędził w poddaństwie, z którego wykupiony oddał się rozpuście, poczem znowu 10 lat odbył ciężkiej garnizonowej służby w stepach uralskich. Lat kilka ledwo przyjmowany był jako poeta na salonach petersburskich, ale pod wpływem przebytych cierpień i znękany prześladowaniem policyi, rozpił się i umarł w r. 1861, licząc zaledwie lat 47. Poezya jego tęskna jak step, smutna jak niewola, to znów krwawa jak nóż zbójecki lub gorzka i straszna jak rozpacz. Przedmiotem utworów Szewczenki jest przeważnie miłość wiejskich mołodyc zawiedziona i wzgardzona, zemsta, rzeź i t. p. Tylko w „Neofitach“ błyska jakiś promyczek nadziei z ust męczennika Alcyda, przepowiadającego zwycięstwo „bez ognia i noża“ nad światem bałwochwalczym. P. Zdz. upatruje w tym jednym promyczku ideę mesyaniczną, zowiąc ją mesyanizmem pesymistycznym“. Sprzeczność ta widoczna w samem połączeniu tych dwóch wyrazów: bo mesyanizm znaczyć musi tyle co zbawienie, odrodzenie i t. p., pesymizm zaś z natury swej jest żywą wszelkich nadziej negacyą.

Po Szewczence szkicuje p. Zdz. postać Gogola, który jakkolwiek do rosyjskich należy pisarzy, z pochodzenia jednak i charakteru Ukrainiec, duchem też podobniejszy jest do swego współziomka.

Smutno było i łzawo w duszy Gogola, ale od gwałtownych, namiętnych uniesień strzegła go wrodzona łagodność i gorąca wiara, która od czasu niebezpiecznej choroby przebytej w r. 1840 w Rzymie wzmagała się w nim coraz bardziej. Widząc przepaść dzielącą świat idealny od świata rzeczywistego, dręczył się tem, ale nie zwątpił. Owszem, wytężył wszystkie siły swej duszy, by społeczeństwo rosyjskie umoralnić, podnieść do ideału i tak dopomódz do spełnienia mniemanego posłannictwa Rosyi. W „Rewizorze“ i w I, części „Martwych dusz“ wyszydzał wady swego społeczeństwa i na tem polu znalazł ogromne powodzenie. Dodatnie jednak budowanie nie wiodło mu się zupełnie. Korespondencyę jego zawierającą moralne wskazówki dla matek, żon, obywateli, urzędników i t. p. przyjęto śmiechem: bo istotnie nie było w niej ani bogactwa myśli, ani oryginalnej formy, ani apostolskiej siły. Pracował więc da-

lej Gogol nad przedstawieniem w II części „Martwych dusz“ idealnego typu Rosyanina. Modlitwą gotował się do tej pracy, lecz uważając modlitwę jako zachwyt, bezskutecznie najczęściej przyzywał ekstazy, szukał jej nawet w umyślnej podróży do grobu Zbawiciela, i po powrocie pisał już długo, ale widać, że ideał skreślony nie odpowiadał własnym jego wymaganiom, bo spalił rękopis, a na napisanie nowego nie stało mu już życia.

Gogol nie należał do żadnego obozu, ani sławianofilów, ani zachodowców. Dobrze mówi o nim p. Zdz., że był on stworzony raczej na mnicha, niż na apostoła mesyanizmu.

Mesyanizm panslawistyczny głośnie w Czechach się pojawiający, pomija p. Zdz. zupełnie. Z reszty ludów słowiańskich wybiera jeszcze Chorwacyą, jako „bardziej realną w polityce, a bogatszą w sztuce“. Pierwsze pisemko *(Danica Ilirska)* wydawane w narzeczu literackiem od r. 1835 przez Ludwika Gaja, pochłaniało wszystkie zdolniejsze umysły, tak iż o poezyi szerszego zakroju nie mogło być mowy. Dopiero Piotr Preradowicz, żołnierz, oderwany od kółka literatów chorwackich, zrazu wprawdzie pisywał po niemiecku, ale pod wpływem Iwana Kukuljewicza pracując nad mową ojczystą, wyrobił się na narodowego poetę, a choć nie porzucił szabli, muza poezyi nie mniej wymownie jak trąba wojenna przemawiała do jego duszy. Celował on nader trafnem zastósowywaniem natury do uczuć patryotycznych, któremi przepełniona jest niemal cała jego poezya. Tak np. „Sen Wiły (Rusałki) czyli Przeszłość i Przyszłość“, „Świt“, „Pieśń do słońca“, „Pieśń wiosenna“. Ojczyznę swą przodstawia on np. jako górę po jednej stronie okrytą śniegiem, błotem, ciemnością — to przeszłość, a po drugiej obsypaną kwieciem, zieloną, oświeconą słońcem — to przyszłość; to znów porównuje ją z zorzą poranną, zwiastującą blask dzienny, lub z ziemią oddechem wiosny zbudzoną ze snu zimowego. Preradowicz był mesyanistą. Tłumaczył „Resurrecturis“ Krasińskiego, rozczytywał się w dziełach spirytystycznych, i sam nawet przełożył „Le livre des esprits“ Allana Kardec'a. Mesyanizm ten odzwierciedla się widocznie w jego utworach, nie niszczy jednak pięknych kwiatków poezyi Preradowicza; polityka, teologia mistyczna i kaznodziejstwo nie wkradły się do jego utworów. Niezmącony spokój, równowagę ducha i pewien takt artystyczny sobie

właściwy zachował on aż do końca, i tem właśnie, że w pieśniach te tylko wygłaszał zasady, które odpowiadały stanowisku poezyi, przewyższał on naszych mesyanistów, choć jako talent poetycki nie był pierwszorzędnym.

P. Zdziechowski lubo nie mógł wszechstronnie zbadać ducha mesyanizmu i wszystkich jego odcieni w całej literaturze słowiańskiej, cenny jednak owoc swej pracy zawarł w tych kilku szkicach, bo spływa z nich jaśniejsze światło na ducha narodu naszego i pobratymców naszych, odsłaniając w nich i w nas skłonność do mistycyzmu patryotycznego, skłonność, która dowodzi i obfitych zasobów wiary i gorącego popędu do ideałów, „entuzyazmu“, jak się wyraża autor, „nieznającego granic pomiędzy możliwem a niemożliwem“. Mówiąc jednak nawiasem, nie dowodzi ta skłonność jednej zalety, nadającej wartość wszystkim, choćby najszlachetniejszym uczuciom tj. wytrwałości. Czy mesyanizm słowiański ma jaką rozumową podstawę? Tego nie rozstrzyga autor. My też tej kwestyi rozwiązywać nie będziem. Błędnym on jest bezwątpienia pod wielu względami, ale pamiętać należy, że jak w każdym cieniu są promyczki świetlne, tak w każdym błędzie są okruchy prawdy.

B. Jasieńczyk.

Napoleon. Dramat w pięciu aktach. Napisał *Artur M. Łączewski*. Tarnów. Nakładem i drukiem J. Styrny 1888.

Są u nas krytycy, którzy każdy nowy dramat polski przyjmują z nieprzychylnem uprzedzeniem, z powodu, że jakoby w ogóle przeminął już u nas okres natchnień poetycznych, a w szczególności dramat nie może zakwitnąć na naszej niwie, dopóki nie nastąpi wielka odmiana w charakterze narodu, w jego życiu umysłowem i położeniu politycznem. Otóż obawiamy się, żeby uprzedzenie to nie wpłynęło na sąd o tragedyi, z której zamierzamy zdać sprawę; a to tem więcej, że autor jej dopiero świeżo wstępuje w szranki literackie, i to odrazu z dramatem. Mimo to sądzimy, że panu Łączewskiemu nie należy się wcale przygana, za zuchwałość, że porwał się na utwór tego zakroju, ale zachęta do dalszej pracy na polu poezyi dramatycznej. Z przyjemnością więc dzielimy się z czytelnikiem odebranem wrażeniem i próbujemy ocenić „Napoleona“ przymioty.

O zdolności autora świadczy już samo opracowanie historycznej osnowy, którą miał przed sobą, a która mogła bardzo łatwo stać się ciężkim balastem dla jego dzieła. Wiadomo bowiem, jaką trudność nastręcza tragikom obfity zasób wiadomości dziejowych, jak trudno jest w nich wydzielić szczegóły dla poezyi stósowne, jak trudno przekształcić w bohatera tragicznego, w postać idealną człowieka, o którym wiemy za wiele, którego wszystkie sła-

bostki niskie i poziome stawiają nam przed oczy wiarogodni świadkowie i sumienni badacze. Trzeba wybierać same rysy niepospolite, zajmujące fantazyę, trzeba uszlachetniać, idealizować, a przecież zachować podobieństwo do osoby rzeczywistej; — trzeba nieraz odstąpić od prawdy historycznej, a przecież nie przekroczyć pewnej granicy, którą poeta sam sobie oznaczyć musi. Nie możemy się zgodzić na zdanie Goethego przyznające poetom najzupełniejszą swobodę w przetwarzaniu osób i faktów dziejowych, nie chcielibyśmy jednak zbytecznie krępować fantazyi i pozwalamy jej zmieniać w sposób jej zadaniu odpowiedni takie szczegóły, które nie zaważyły na szali wypadków i na tok dziejów nie wywarły wyraźnego wpływu. Byłoby np. oczywistym błędem i dowolnością niczem nie uzasadnioną, gdyby autor nadał wyprawie rosyjskiej Napoleona zakończenie szczęśliwe, ale nie widzimy nic rażącego w tem, że w jego dramacie Józefina zamieszkuje i umiera w klasztorze, albo że zaślubiny Napoleona z Maryą Ludwiką przychodzą do skutku tuż przed wojną rosyjską, i że on nie przestaje kochać wyłącznie pierwszej swojej żony. Otóż wedle naszego zdania nie można w tym względzie żadnego uczynić zarzutu p. Łączewskiemu: podał on wielkie wypadki dziejowe w obrazie prawdziwie wspaniałym, wybierając z nich to tylko, co mogło i powinno było wejść w dziedzinę sztuki, porządkując i zmieniając szczegóły, okoliczności miejsca i czasu stósownie do potrzeb poezyi dramatycznej.

Akt pierwszy zawiera wyborną ekspozycyę: Napoleon stanął już na szczycie potęgi i podbija narody w niepowstrzymanym pochodzie zwycięskim, gwałcąc wszelkie prawa i żywiąc przekonanie, że cała ziemia powinna uznawać go panem; jeszcze tylko znienawidzona Anglia nie ugięła się przed nim, jeszcze i Rosya, pomimo klęsk poniesionych, nie myśli się poddać jego zwierzchnictwu; ale zarówno on sam, jak i jego armia, która go ubóstwia i przypisuje mu siłę nadludzką, nie wątpi o tem, że wszelki opór przełamać potrafi. Jego postępowanie, a zwłaszcza zbójecki napad na Hiszpanię, przejmuje szlachetnem oburzeniem i boleścią jenerała Dąbrowskiego; stary kanclerz Cambacères patrzy z trwogą w przyszłość, bo przewiduje, że cesarz zgubi sam siebie, jeśli wyda wojnę Rosyi, jeśli „wir bitew porwie go raz jeszcze“, jeśli i teraz jeszcze nie użyczy znękanej Francyi i Europie upragnionego pokoju. Pod wpływem niemiłego wrażenia, które na nim uczynił zamach młodego Hiszpana, oświadcza Napoleon z końcem aktu pierwszego, że postanowił zaniechać dalszych podbojów, ale nie dowierza sam sobie, czy za dni kilka nie zapanują w jego sercu inne uczucia. Jeden jeszcze rys jego charakteru odsłania nam akt pierwszy; on rozwodzi się z Józefiną, pomimo że ją kocha, bo chce koniecznie mieć syna, któregoby mógł osadzić na tronie Europy.

W akcie drugim i trzecim stacza on ciężką walkę sam z sobą, bo mimo wszelkich wysileń nie może przytłumić w sobie uczucia miłości ku biednej żonie, którą smutek pozbawił zdrowia, której nic nie pocieszy, jeżeli on ją odepchnie. Dwie są główne sceny, w których stykają się te osobistości, tak silny stanowiące kontrast i tak żywo przypominające słowa poety:

„Denn wo das Strenge mit dem Zarten,
Wo Starkes sich und Mildes paarten,
Da gibt es einen guten Klang„. (Lied c. d. Glocke).

W pierwszej jest Józefina pewną, że mąż jej porzucił myśl rozwodu i przyjmuje go z największą radością, budzącą głębokie współczucie u widzów, obznajomionych z prawdziwym stanem rzeczy, — Napoleon nie śmie jej powiedzieć prawdy, jednak aż nadto wyraźnie wyjawia jego milczenie smutną rzeczywistość. Potem raz jeszcze przychodzi, aby ją pożegnać przed wyjazdem na wojnę; ona chce go odprawić zimno i z pogardą, lecz serce bierze górę, żal wybucha gwałtownie, gdy słyszy obietnicę, że zachowa „tytuł cesarzowej".

Te sceny z życia prywatnego są bardzo zręcznie połączone z czynnością główną tj. z wyprawą rosyjską, bo niesmak i żal, wywołany w sercu Napoleona sprawą rozwodu, prze go do wojny, która jest „jedyną jego rozrywką". Dla nasycenia swej dumy poświęca on żonę, poświęca tysiące ludzi, lecz nie jest szczęśliwym, bo nim być nie może, i odczuwa to z głębokim smutkiem, jak drogo opłaca swą wielkość.

Niepokoją go złowrogie przeczucia, trwoży cień zamordowanego księcia d'Enghien, lecz on nie cofa się, nie porzuca myśli przewodniej swojego życia, wierzy w swój geniusz, w siłę swej armii i w swoje szczęście. Książę Józef Poniatowski, wyobraziciel części narodu, ufającej zupełnie Napoleonowi, nakłania i Dąbrowskiego, że idzie na wyprawę, chociaż nie wierzy w jej szczęśliwy koniec. W ostatniej scenie trzeciego aktu kreśli poeta barwny i wspaniały obraz ogromnej armii, która ma niebawem utonąć w śniegach północy. Akt 4-ty wystawia jej dzieje w trzech odsłonach: w pierwszej zaglądamy do wnętrza rosyjskiej chaty w pobliżu Moskwy i dowiadujemy się z ust wieśniaka, że w oczach zatrwożonego ludu wyrósł Napoleon na bajecznego olbrzyma, któremu żadna siła na świecie nie zdoła stawić oporu; już wtargnął do serca Rosyi, już wnet cały naród wytraci i pójdzie dalej przez ognistą bramę zorzy północnej, którą mu „siły wzniosły nieczyste", do Ameryki. Lecz szybko zbliża się katastrofa: do chaty przychodzi Roztopczyn i zapowiada zniszczenie miasta przez pożar. Druga i trzecia odsłona jest pełna dramatycznej siły: Napoleon ulega konieczności i nakazuje odwrót; głód, zawieje i mrozy szerzą zniszczenie wśród jego armii, klęska nad Berezyną zamienia ją w garstkę niedobitków. Wszystkich łamie nieszczęście prócz żelaznego bohatera: on nie poddaje się rozpaczy i zapowiada dzień zemsty.

W akcie piątym widzimy go zupełnie już zmienionego, równie jak zmienił się w rzeczywistości: z rezygnacyą wyższego umysłu poddaje się losowi i po raz pierwszy zawitał spokój do jego duszy; nie pragnie już panowania i nowych tryumfów, chce nabyć pałacyk w Szwajcaryi i spędzić resztę życia w spokojnem zaciszu z swoją Józefiną i w gronie przyjaciół. Ale to próżne marzenia: prawie jednocześnie przychodzi wiadomość o śmierci Józefiny i wyrok, skazujący go na wieczne wygnanie na wyspę św. Heleny. Lecz on nie rozpacza i teraz, — przygnębiony nieszczęściem, sprawiedliwą karą za swe ciężkie winy, zwraca poraz pierwszy źrenicę swoją do nieba, i pierwsza łza spływa po jego licach. Jedną tylko jeszcze prośbę chce przesłać do swoich zwycięzców, żeby mu kiedyś przynajmniej w trumnie pozwolili wrócić do ziemi francuskiej...

Zakończenie więc dramatu jest rzewne, spokojne i nie pozostawia żadnego dysonansu: uznajemy słuszność kary, lecz uczuwamy litość nad bohaterem i powtarzamy chętnie za umierającym Dąbrowskim: „Niech ci Bóg przebaczy"! To przeprowadzenie katastrofy należy niezawodnie do najlepszych

w dziedzinie dramatu pomysłów i wybitnie wyróżnia dzieło p. Łączewskiego od wyrobów pospolitych i tuzinkowych. Rozpaczliwe miotanie się na losy i na zwycięzców czyniłoby wrażenie niemiłe.

Czy to jednak nie są pochwały przesadne? czyż żadne wady i usterki nie szpecą dramatu? Owszem, tu i ówdzie mogłyby być sceny więcej rozwinięte, niekiedy wychodzą i powracają osoby działające na tę samą widownię bez należytego umotywowania, — należałoby więc poradzić autorowi, żeby na przyszłość więcej uważał na te i tym podobne usterki, w których znać rękę niewprawną jeszcze w technice dramatu.

Ks. Dr. A. P.

Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich. Napisał *hr. Wojciech Dzieduszycki.* Z 14 mapami autografowanemi. Osobne odbicie XIX tomu rozpraw i sprawozdań filozoficzno-histor. Akad. Umiej. Kraków 1887, 8-o, str. 264.

Niemcy tak przetrzęśli starożytnych pisarzy, że niemasz tam najdrobniejszej wzmianki, odnoszącej się do ich ziemi, którejby ze wszech stron nie rozważyli i nie zużytkowali do pierwotnych swych dziejów. I u nas nie zapominano nigdy o starożytnych, począwszy od kronikarzy, a skończywszy na dzisiejszych historykach. Brakowało nam jednak zawsze i brakuje jeszcze dotąd dwu rzeczy: krytycznego wydania tych wszystkich ustępów z pisarzy starożytnych, które się odnoszą do ziem naszych; powtóre, krytycznego opracowania tego materyału przez uczonych do tego rodzaju pracy należycie przygotowanych i uzdolnionych. Pierwszy tom historycznych „Monumentów“ Bielowskiego obejmuje kilka zaledwie fragmentów od VI w. po Chr. zacząwszy. Dawniejszych źródeł niema tam wcale, a te, co są (od VI w.), nie obejmują wszystkiego. Już z tego powodu praca nad dawniejszą epoką naszych dziejów jest w wysokim stopniu utrudnioną. Co do prac specyalnych nad wiadomościami starożytnych o naszej ziemi, to liczba ich dość znaczna, szkoda tylko, że ilość tych prac nie zostaje w żadnym stosunku do ich wartości. Brali się zawsze do tego ludzie, którzy ani wszystkich wiadomości starożytnych nie objęli, ani nie mieli odpowiedniego przygotowania naukowego, żeby z tych wiadomości, jakie znali, mogli stworzyć coś stanowczego i pewnego. Stary Lelewel, pominąwszy już rzeczy dawniejsze, wiedział bardzo dużo i pozostawił po sobie niejednę myśl cenną, wiadomo jednak, jak często był tutaj niekrytycznym. Surowiecki znacznie posunął te badania naprzód, i gdyby był miał głębszą erudycyę, nie byłby go przewyższył Szafarzyk, który często z niego korzysta. Późniejsze czasy nie przyniosły w tym kierunku nic lepszego: wywody Bielowskiego i Szajnochy odznaczają się brakiem metody i naukowego gruntu. Sławny turniej naukowy trzech uczonych naszych: Bobrzyńskiego, Smolki i Piekosińskiego bardzo cenny, ale osnuty na innym temacie. Jeden tylko dr. Kętrzyński wyróżnił się w tym czasie z pomiędzy innych. Jego rozprawa „Die Lygier“ posiada wszystkie cechy sumiennego badania, i otwiera dla nauki polskiej nowe horyzonty. Jakżeż w obec tego przedstawia się książka hr. Dzieduszyckiego?

Musimy naprzód powiedzieć, że nie jestto ani wydanie starych źródeł, ani ich opracowanie pod jakimkolwiek względem, ale rozumowanie o nich

i chęć wydobycia z takowych pozytywnych wniosków. Źródła same autor zna, choć nie wszystkie i nie zawsze na podstawie bezpośrednich studyów. Pod tym względem można mu uczynić wiele zarzutów, z których dwa będą najważniejsze.

Autor uznaje za źródła starożytne tylko te, które od czasów najdawniejszych sięgają do połowy II w. po Chr., tj. do czasów Ptolomeusza włącznie. Formalnie rzecz się ma tak, w istocie zaś należy pójść dalej i rozważyć wszystko aż co najmniej do czasów Karola W.: nawet z X, XI i XII w. niejednę wiadomość wypadnie tu uwzględnić. Zmusza nas do tego wiele okoliczności, a przed innemi te trzy: *a)* Wiele pism starożytnych zaginęło, które pisarze po Ptolemeuszu jeszcze mieli w ręku. *b)* Pisma po Ptolemeuszu są częstokroć wybornym komentarzem do tego, co jakiś dawniejszy pisarz niejasno przedstawił. *c)* Stosunkowo późne pojawienie się narodu naszego na widowni dziejowej.

Do wszelkiej konstrukcyi historycznej potrzeba prócz źródeł jeszcze ich krytyki rzeczowej, a jak w tym razie, jeszcze krytyki tekstów starożytnych. Tu mogły autorowi oddać znakomitą usługę badania uczonych niemieckich, jak Grimma, Zeussa, Müllenhoffa, Massmanna i innych. Autor niestety ze źródeł tych wcale nie korzystał, i stąd w książce jego napotyka się takie rzeczy, które już przed 50-ciu laty były niemożliwe. Wiadomo już dziś wszystkim, że zatoka *Kodańska*, o której pisze Pliniusz, to nie morze Niemieckie (str.) 155), ale cieśnina między Danią i Skandynawskim półwyspem, Skagerrak i Kategat; że Pyteaszowe *Mentonomon* (nie *Metanomon*, jak autor powtarza za Francuzami) to nie to samo morze Niemieckie, (155), ale dzisiejsza zatoka Gdańska; że sąsiadami Cherusków nie byli nikomu nieznani *Tozowie* (168), ale *Fozowie;* że Semnonowie nie przebywali nigdy w dzisiejszej Saksonii, a Longobardowie w Brandeburgii (169); że Gotów zastaje historya przy ujściu Wisły, nie zaś nad średnią Odrą; że nie było wcale narodu *Lemnowiów*, tylko *Lemonii*, i ci siedzieli nie w Meklemburgu, tylko przy ujściu Wisły (172); że starożytni Estowie czyli dzisiejsi Litwini nie mieli i nie mają nic wspólnego z Celtami i Brytańczykami (174); że Vistula starożytna, to dzisiejsza Wisła, nie Odra (199); że nie trzeba „pozostawiać domyślniejszym“ gdzie szukać litewskich Galindów i Sudinów, bo na tem samem miejscu, gdzie o nich wspomina Ptolomeusz, są oni i w średnich wiekach pod temi samemi nazwami (201) znani u wielu pisarzy: trzeba tylko podziwiać Ptolomeusza, że siedząc w Aleksandryi nad Nilem, miał tak wyborne wiadomości o krajach północnych. Starożytni Wełtawy nie znali i za Łabę jej nie brali (170); Burgundów w Łużycach nigdy nie było (199) i t. d. Nie chcę wyliczać dalej, bo musiałbym prostować prawie wszystko. W rozumowaniach swoich i dedukcyach opierał się autor, jak sam wyznaje, na dziełach francuskich i niemieckich (str. 6). Co do Francuzów, to trzeba otwarcie powiedzieć, że dzieła ich, na których się autor opierał, nie mają dziś już prawie żadnej wartości naukowej. Co do Niemców, to widzę, że autor w wyborze ich nie był szczęśliwym, i mało się ich trzymał, a gdzie idzie w ich ślady, tam nie zbadał, o ile nauka postąpiła dalej od pojawienia się tych dzieł, które miał pod ręką.

Jakiż stąd rezultat?

Podziwiam pracę autora, miło sercu wspomnieć, że dziś tak wszyscy garniemy się do niej i chłop i pan, ale pragnąłbym, żeby ta praca była

skuteczniejszą, aniżeli po dziśdzień. Nie chciałbym czcigodnemu autorowi w niczem uchybić, ani jego zasługi lekko sobie ważyć, wydaje mi się jednak, że książka ta nie osiągnęła żadnego celu. Dla czytających mogę tylko to powiedzieć, że kto o tych rzeczach chce pisać, ten nie tylko musi być historykiem, który krytycznie ogarnie wszystkie źródła i wszystkie prace przygotowawcze w tym kierunku, ale zarazem lingwistą niepospolitych zdolności i niepospolitej wiedzy. Mam także i to przekonanie, że historyę naszą taki badacz posunie znacznie poza czasy Mieczysława, bo do IV wieku przed Chr., a Ptolomeuszowi, którego autor często pomawia o nieświadomość rzeczy, jeszcze niejeden naród w Europie zechce wystawić pomnik za liczne a bardzo dokładne wiadomości o sobie w tak dawnych czasach. Wtedy rozwiąże się i zagadka, dlaczego wieki średnie, te wieki „barbarzyństwa chrześcijańskiego", jak je lży pewien zarozumiały Niemiec, nazywały Ptolomeusza zgodnie ze starożytnymi „boskim geografem".

Szymon Matusiak.

O systemie fizyokratów w ekonomice społecznej. Napisał *dr. Stanisław Głąbiński,* Sambor. Nakładem autora 1888, str. 166.

Piśmiennictwo polskie posiada najmniej dzieł z ekonomiki społecznej. Prócz znakomitej i klasycznej pracy Bilińskiego: „System ekonomii społecznej", Lwów 1880, i „Pism" Supińskiego wydanych w r. 1862, nie wiem, czy jest jeszcze coś godnego z tej dziedziny do zanotowania. Z radością i uznaniem należy tedy przyjąć każdą pracę, a tem samem i dziełko p. Głąbińskiego.

Autor wziął sobie za zadanie przedstawić i ocenić zasady systemu fizyokratów wyłącznie ze źródeł historycznych. Dzisiaj, gdy opłakany stan klasy robotniczej i rzemiosł wywołał z jednej strony osławioną „politykę czynu" zainaugurowaną przez anarchistów i przez międzynarodowy związek radykalnych socyalistów, z drugiej zaś strony powołał do życia stowarzyszenia dla polityki socyalnej i reformę socyalną, podjętą przez najnowsze ustawodawstwo austryackie, pruskie i francuskie, czemu jałowa doktryna manchesterska w dziennikarstwie liberalnem stoi okoniem, opierając się na tem mylnem przypuszczeniu, jakoby szczęście społeczeństwa polegało jedynie na dobrobycie burżoazyi, wykluczając solidarność interesów i uświęcając faktyczną przewagę możnych nad bezsilnymi tak jednostkami, jak i narodami; praca tego rodzaju, jaką p. Głąbiński skreślił, może posłużyć do wyjaśnienia wielu błędnych pojęć, i do obznajomienia się z różnorodnymi projektami stawianymi przez ekonomistów w celu polepszenia dobrobytu społeczeństwa. Szanowny autor sumiennie, skrzętną pracą i talentem opracował zasady i obronę systemu fizyokratów, tj. naukę owych ekonomistów francuskich, którzy bezpośrednio przed wybuchem wielkiej rewolucyi francuskiej wystąpili w teoryi i w praktyce z żądaniem radykalnej, ale pokojowej reformy wszelkich stosunków społecznych i polityki ekonomicznej, wystąpili przedewszystkiem stanowczo i głośno przeciw zasadzie i kosekwencyom teoryi merkantylistów; nawołuje autor do tego, ażeby rozwój gospodarstwa społecznego odbywał się prawidłowo przez nawiązanie tegoż do nauki fizyokratów, rozumie się *mutatis mutandis.* I przyznać należy, że praca mu się udała. A że właśnie opracował tego rodzaju materyał, dotąd

u nas nie znany, zasłużył, by na dziełko jego wszyscy ci, co to potrzeby naszego wieku znać i zrealizować pragną, uwagę swą zwrócili.

W pierwszym dziale określa autor system merkantylny, który niczem innem nie jest, jak żądzą ekonomicznego podboju obcych państw i plemion i wzbogaceniem się kosztem obcych narodów, który opiera się na tem fałszywem przekonaniu, że podstawą bogactwa narodowego nie jest kraj i naród własny, lecz ludy i kraje obce, których pracę i dary natury wyeksploatować należy. Wyjaśniwszy zasady tego systemu tak w praktyce, jak i w teoryi, zaznaczywszy, że w nowopowstałych państwach absolutnych oglądać można to samo przecenianie państwa z lekceważeniem jednostek i poddanie dobra poddanych wyłącznie celom państwa, wymienia reprezentantów tego systemu, jakoto: Oliver'a Cromvell'a w Anglii, Colberta we Francyi, Hollendrów i niektórych panujących.

W drugim dziale zapoznaje nas autor z fizyokratami, którzy wolność osobistą i prawo własności prywatnej postawili jako prawo przyrodzone i jako punkt wyjścia swego systemu. Określa dalej pojęcia ich o ekonomii politycznej, o zadaniach państwa, o gospodarstwie społecznem, o klasach gospodarczych i o pobudkach tychże, o produkcie, wartości, cenie i pieniądzu, o kapitale, zysku, dochodach i podatkach.

Trzeci dział poświęca ojcu systemu merkantylnego, Adamowi Smith'owi, którego ideałem było możliwie największy rozwój produkcyi, a tem samem bogactwa, za pomocą podziału pracy, a to tak technicznego, jak spółczesnego i międzynarodowego, i owo okrzyczane zbawcze działanie egoizmu. W ostatnim zaś dziale ocenia krytyków systemu fizyokratów.

Dziełko to jest owocem mozolnej pracy; szkoda tylko, że autor własnego sądu stanowczo nie wypowiada, a co ważniejsza, że nie daje poglądu szczegółowego i krytycznego na kwestyę socyalną i na teorye dzisiejsze, i nie wykazuje, co i ile ze systemu fizyokratów i merkantylistów wzięli dzisiejsi socyaliści do swego systemu. Prawda, że sam autor oświadcza, iż nie tu miejsce dowodzić mylności teoryi socyalistów; ale dziełko byłoby wiele na tem zyskało, gdyby był autor w zakończeniu skreślił, co i jak wyjęli socyaliści z tych systemów. Również rażą w tekście cytaty francuskie, które powinny były być w notach umieszczone. Druk, papier i wydawnictwo są chlubą drukarni Schwarza Trojana w Samborze.

Ks. Kopyciński.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

L'idée Russe par Vladimir Soloviev. Paris, chez Didier.

Przed kilkoma miesiącami gazety podały treść głośnego w Paryżu odczytu Włodzimierza Sołowiewa: „O idei rosyjskiej". Obe-

cnie ta sama rzecz wyszła na świat w broszurze, w formie zapewnie uzupełnionej i wykończonej.

W sierpniowym zeszycie *Przeglądu* zdawaliśmy sprawę z innej broszury tegoż pisarza: „Rosya i Europa“ spolszczonej przez p. Benoniego. Tam Sołowiew, dając odprawę Danilewskiemu, mówił, czem idea rosyjska nie jest — tu, uzupełniając swą myśl i dotrzymując obietnicy tamże danej, wypowiada już czem ta idea jest rzeczywiście. Nie potrzebuję dodawać, że wywiązuje się z tego zadania jak pierwszorzędny myśliciel, filozof i chrześcijanin.

Ludzkość, mówi on, jest jednym organizmem: więc idea pojedyńczego narodu niczem innem być nie może, tylko właściwą funkcyą organiczną, jaką ten naród ma w organizmie ludzkości na jej korzyść spełnić. Ale ludzkość jest organizmem nie fizycznym, tylko moralnym, a zatem idea albo funkcya pojedyńczych narodów nie narzuca im się z koniecznością fizyczną, ale tylko z siłą moralną obowiązku. Jest ona wszakże niechybnie skuteczną, w tym sensie, że jeśli naród przejmie się tem swojem posłannictwem, to ono będzie dla niego pierwiastkiem życia i pomyślności, jeśli je odrzuci, ono będzie czynnikiem jego zguby.

Jak więc poznać, gdzież szukać idei, misyi jakiegoś narodu? Czy w opinii narodowej? Żadną miarą. Opinie narodowe pod tym względem są zmienne, poziome, między sobą sprzeczne, a myśli Boże nad narodami są wiecznie, wielkie, w doskonałej harmonii. Najlepszy dowód że naród może swą misyę opatrznościową zapoznać i odrzucić, to jest naród żydowski, jedyny naród, którego wybraną misyę Pismo św. opowiada, a przecież tę misyę, przygotowania królestwa Chrystusowego, Izrael w końcu odrzuca i tem odrzuceniem się gubi.

Jakaż więc jest myśl Boża nad Rosyą? Sołowiew naprowadza ku niej ostrożnie, wskazując palcem wzniosłe postacie św. Włodzimierza i Piotra Wielkiego, którzy czując niedostateczność narodowej pogańskiej religii, a później narodowej kultury, kruszyli pęta ciasnego nacyonalizmu i sprowadzali zdala, najprzód wiarę chrześcijańską, potem cywilizacyę Zachodu. Dalej uchyla autor mrzonki tych, co w wyzwoleniu ludów Bałkańskich, w zajęciu Konstantynopola, lub w ogóle w potędze materyalnej ideę Rosyi upatrują. Idee błahe! mówi, misya narodu chrześcijańskiego nie może być

egoistyczną, w nim samem zamkniętą. Przed chrystyanizmem narody były *disjecta membra* ludzkości; z Chrystusem jedność ludzkości wcieliła się w Kościele powszechnym. Odtąd zadaniem każdego narodu jest przyczynić się na swój sposób w harmonii z innymi narodami, do zrealizowania tej jedności ciała Chrystusowego, która już jest zaczęta od 20 wieków, ale do skończenia świata dorastać będzie swej pełności. Chrystyanizm zatwierdza narodowości i ich prawa do bytu, ale potępia nacyonalizm, który jest pierwiastkiem ekskluzywizmu, waśni i rozkładu.

Rosya więc, jako naród chrześcijański, musi mieć także za misyę jakiś udział w zrealizowaniu jedności chrześcijaństwa. Ale tę właśnie prawdę ciaśni i zaślepieni patryoci biorą na odwrót: wmawiają w Rosyę, że ona sama posiada chrystyanizm, że prawdziwy chrystyanizm zrośnięty jest z jej kościołem narodowym; i tak idea chrześcijańska, która powinna narody w harmonii godzić i łączyć, staje się w myśli tych patryotów spotęgowanym czynnikiem ekskluzywizmu i złego nacyonalizmu.

Na tym punkcie Sołowiew zgniata przeciwników potężną argumentacyą. Wiara ludu naszego, mówi on, jest niezawodnie prawdą chrześcijańską, powszechną, ale jakżeż przypuścić, żeby hierarchia kościelna narodowa była jedynym organem Ducha św. cały świat obowiązującym? Czem jest ten oficyalny kościół przed Bogiem i przed ludźmi, którzy mu się zbliska przypatrują? Sołowiew odstępuje tu słowa znanemu patryocie, wrogowi zresztą katolicyzmu, Aksakowowi, i przytacza z niego wymowne ustępy, pełne prawdy i goryczy, których tu powtarzać nie potrzebujemy, a które dowodzą, jak dalece oczy się otworzyły, nawet w tych sferach, które Aksaków przedstawiał.

Serce i rozsądek Aksakowa oburzają się przeciwko oparciu religii na żandarmie i wszystkim za tem idącym nadużyciom; ale Sołowiew, podchwytując to słuszne oburzenie, dowodzi, że taki stan rzeczy jest koniecznem i logicznem następstwem pojęcia i ustroju religii, jako rzeczy narodowej i państwowej, i pokazuje naocznie, że jedynym sposobem wyjścia jest zerwanie tych pętów. Aleksander II usamowolnił ciała, trzeba jeszcze usamowolnić ducha Rosyi. Chrzest Rosyi za Włodzimierza św., którego 900-letną rocznicę obchodzą, nie uchrześcijanił jeszcze myślącej warstwy społeczeństwa

rosyjskiego; ona dziś kłania się bożkowi równie pogańskiemu, jak te co Włodzimierz obalał, kłania się bałwochwalczo nacyonalizmowi, tj. swemu własnemu obrazowi, zamiast Bogu Najwyższemu i powszechnemu Panu.

Temu prawdziwemu Bogu, wnosi wymownie autor, poświęcić musimy w ofierze to bożyszcze, jeśli chcemy naszą misyę historyczną, myśl Bożą nad nami, spełnić. Warunkiem zaś wstępnym do tej ofiary jest, według słów ewangelii, „pogodzić się z bratem, który ma coś przeciwko nam". Sołowiew wypowiada otwarcie, kto jest tym bratem dla Rosyi, i pokazuje w historyi ostatnich czasów, jak właśnie ta jedna rzecz ciężyła kulą u nogi Rosyi, odbierała jej pewność siebie, i jej pochód zwycięski krępowała. Rosya nie może ani spełnić, ani w zupełności uświadomić sobie swej idei narodowej, jak tylko przejmując się prawdziwym duchem i rozumieniem chrystyanizmu.

Jakżeż więc pojąć należy to braterstwo ludów, ku któremu dążymy? Czy należy obalić wszelkie formy Kościoła, odrzucić całą przeszłość, gonić za jakimś ideałem czysto duchowego braterstwa, o którym nam prawili filozofowie z przed pół wieku? — W odpowiedzi na to autor, z wysokiego punktu widzenia swej filozofii religii, zakreśla szeroki obraz działania Bożego w świecie. W Chrystyanizmie, mówi, nie panuje już to prawo śmierci, wedle którego nic nie powstaje bez pożarcia tego, co było przedtem. W Kościele powszechnym przeszłość i przyszłość, podanie i ideał nie wykluczają się, ale dopełniają nawzajem. W Kościele łącznie żyją trzy potęgi, przedstawiające jedność ludzkości w przeszłości, jej mnogość w teraźniejszości i jej całość w przyszłości. Pierwszą z takowych jest kapłaństwo, które przedstawiając tradycyjną jedność, musi być uosobione w jednym arcykapłanie, ojcu powszechnym chrześcijaństwa; bez ojca wspólnego niema braterstwa ludów. Drugim czynnikiem, utrzymującym w mnogich narodach ich byt, właściwe cechy i funkcye, jest władza monarsza, lub w ogóle państwowa. Trzecim czynnikiem, prącym ludzkość ku ideałowi przyszłości, są prorocy, tj. wyższe duchy z łona samego społeczeństwa tchnieniem bożem wskrzeszone, w których idee przyszłości i postępu kiełkują.

Już w swej „Historyi Teokracyi" wskazał był Sołowiew, na

tle Starego Testamentu, to trojakie narzędzie Boże w prowadzeniu ludu wybranego: kapłaństwo, królewskość i proroctwo; tu, uzupełniając swą myśl, zestawia te trzy funkcye z trzema osobami Trójcy św. — i wedle tego najwyższego pierwowzoru tłumaczy, jak każda z tych trzech potęg w świecie może i powinna działać z pewną wolnością, a przytem z solidarnością z dwiema drugiemi. W tem harmonijnem, organicznem, trójjednem działaniu tych władz, w organicznym związku z całą ludzkością, a nie w zamknięciu się w martwej jedności, tkwi życie i zbawienie każdego narodu.

Ten finał historyozoficzny nie trafi do wielu dzisiejszych umysłów; zaszkodzi nawet w oczach wielu całości rzeczy. Niejeden co przyklasnął poprzednim wywodom, a zwłaszcza ustępom o Polsce, przy ostatniej karcie powie: marzyciel! teozof! Ale najprzód zauważyć trzeba, że cała poprzednia osnowa stoi zupełnie niezależnie od tego zakończenia; to ostatnie jest *à prendre ou à laisser*. Z drugiej strony jednak ten koniec charakteryzuje wybornie człowieka wschodniego, wyrobionego na Ojcach Greckich, i charakteryzuje zarazem myśliciela prawdziwie samodzielnego, który wziął z Hegla i wziął z Tomasza z Akwinu, ale wszystko do własnej i wysokiej sprowadził syntezy.

Myśl Włodzimierza Sołowiewa w każdym nowym płodzie — a płody te następują prędko po sobie — rozwija się organicznie, jasno, potężnie i na wielkie rozmiary; na końcu niniejszej broszury znajdujemy już zapowiedź będącego pod prasą większego dzieła: *La Russie et l'Eglise Universelle*. Do czasu, kiedy się to dzieło pojawi, odkładamy pogląd na całość tej myśli i działalności autora. Tu jeszcze powiemy, że we francuskim języku Sołowiew pisze z tą samą oryginalną świetnością i jędrnością stylu, z jakiej słynie w piśmiennictwie rosyjskiem.

Ks. M. Morawski.

Life of the Blessed John Fisher. By the Rev. *T. E. Bridgett*, C. SS. R. London, Burns and Oates, 1888.

Kiedy przed kilkunastoma laty Pius IX ozdobił purpurą kardynalską uwięzionego w Ostrowie prymasa Polski, ks. Mieczysława Ledóchowskiego, przypomniano, iż w podobnych warunkach jeden już wyznawca wiary najwyższe w Kościele otrzymał dostojeństwo. Biskup z Rochester, Jan Fisher, samowolą Henryka VIII za opór położony przeciw szałom królewskim wtrącony

do więzienia, tamże otrzymał powołanie do świętego rzymskiego kolegium. Zbuntowany przeciw Kościołowi monarcha miał powiedzieć, iż postara się o to, aby nowy kardynał nie miał na czem nosić przesłanego sobie kapelusza. Jakoż niebawem doraźny wyrok skazał Jana Fishera i Tomasza Morusa na stracenie. Z pośród chwalebnego zastępu męczenników tej epoki, świeżo dekretem papieskim podniesionych na ołtarze, za których nietykalność ongi życie położyli, te dwa nazwiska świecą przewodnim blaskiem. Nie dziw też, iż znaleźli się skwapliwi biografowie nowych Anglii patronów. Otworzenie państwowych archiwów ułatwia to zadanie mnóstwem płynącego stąd historycznego światła. Opracowania życia błogosławionego Jana Fishera podjął się Redemptorysta, Ojciec Bridgett, który u wstępu wyznaje, iż przed czterdziestoma laty doznany na uniwersytecie w Cambridge pociąg do poznania i zbadania dziejów biskupa — męczennika, głównie się przyczynił do własnego jego nawrócenia. Tym sposobem dobry Pasterz, który dał duszę za owce swoje, jeszcze po śmierci nie przestaje apostołować na ziemi ojczystej, zdobywając serca Prawdzie, której bronił do ostatniej kropli krwi własnej.

Protestancka nawet krytyka przyznaje pracy uczonego Redemptorysty wielką sumienność i wierność dziejową. Czytelnicy ze zbudowaniem poznają tę szanowną postać biskupią, górującą nad całym episkopatem angielskim, zarówno świętością obyczajów i życia, jak zamiłowaniem nauki. Henryk VIII, za dobrych czasów, które mu nadały tytuł Obrońcy wiary, niestety! nie na długo, zwykł był się przechwalać, iż żaden monarcha spółczesny nie posiadał biskupa tej miary co Jan Fisher. Młodzieńcem jeszcze wybór królewski powołał zacnego kapłana na biskupią stolicę w Rochester. Prawie jednocześnie obrano go kanclerzem wszechnicy w Cambridge. Nowy biskup nie lada gości podejmował u siebie: to cesarz Karol V-ty z całą liczną świtą, podczas krótkich w Anglii odwiedzin, do Rochester zajeżdżał; to uczony Erazmus na osobne zaproszenie Fishera opuszczał Rotterdam, aby zakosztować roskoszy obcowania z uczonym biskupem, który w tym przyjaznym stosunku znajdował nową podnietę do chwalebnych mozołów. Wydawnictwo Erazmowe Nowego Testamentu zniewoliło Fishera do podjęcia greckich studyów, celem zestawienia i porównania z sobą greckiego i łacińskiego tekstu. Wiadomo, że i w hebrajskim języku bardzo był biegłym. Oczywiście, zajmowały go przeważnie teologiczne studya, spotęgowane żądzą osłonięcia Anglii przed zarazą Lutra, przeciw któremu piórem i słowem walczył.

Stanowisko, jakie biskup z Rochester zajął niebawem w obec kwestyi rozwodu i supremacyi króla, wyjaśnia się tu umiejętnem wyzyskaniem najpewniejszych źródeł i świadectw. Wiadomo, iż Henryk VIII zaczął od rzekomego powątpiewania co do prawności swego ślubu z Katarzyną Aragońską. Jan Fisher uroczyście się wtedy odezwał, że dla zbawienia własnej duszy czuje się obowiązanym do uspokojenia w tym względzie królewskiego sumienia, wyliczając powody, dla których rzeczone śluby uważać należało za prawne i nierozerwalne. Słowa te padły gromem, i zrazu mniemano, że król się upamięta w obec głosu tej powagi i świętości.

Próżne to były nadzieje, złudne urojenia! król się nie upamiętał, a skutkiem odważnego wystąpienia Fishera było nieustające odtąd prześladowanie, które nie przestało go ścigać, i zawiodło w końcu na rusztowanie. W roku 1530 aresztowano go po raz pierwszy za odniesienie się w jakiejś sprawie

duchownej do Rzymu. Następnego roku próbowano go otruć; w 1533 r. opór stawiony dokonaniu małżeństwa Henrykowego z Anną Boleyn na nowo powiódł Fishera za kraty więzienne, acz nie na długo. Ale w r. 1534 dwukrotnie wniesiono przeciw niemu oskarżenie o zdradę, i to do parlamentu, zaczem nastąpiło ostateczne uwięzienie, a później i śmierć męczeńska. Jednocześnie zamkniętych w Towerze dostojników, biskupa-kardynała i kanclerza Anglii, — Jana Fishera, oraz Tomasza Morusa, próbowano podstępnie, chytrze prowadzonem śledztwem zaplątać w przeciwne sobie świadectwa. Obaj zwycięsko wyszli z tej ostatniej próby, acz to zwycięztwo miało być uwieńczone męczeństwem. Komuż nie jest znanym piękny obraz Pawła Delaroche, upamiętniający chwilę, w której idący na stracenie kanclerz, klęka przed zakratowanem okienkiem, z którego biskup błogosławiące ku niemu i nad nim wyciąga dłonie. Połączeni przyjaźnią i męczeństwem, którego niebawem i Fisher dostąpił, mieli być połączeni i w jednym grobie. Istnieje bowiem tradycya, iż córka Morusa, Małgorzata Roper, uniosła z Toweru szczątki obu męczenników. Inne podanie mieści relikwie Fishera w Towerze londyńskim. Nie ma tedy pewności co do miejsca jego ostatniego spoczynku, ale dzięki pracy O. Bridgett posiadamy autentyczne dzieje tego wielkiego biskupa, który niestety! nie wielu miał sobie podobnych w tej epoce przełomu.

M.

Materiae meditationum et concionum ex Evangeliis et Epistolis Dominicarum in singulos hebdomadarum dies per totum annum distributae in usum sacerdotum a *Georgio Patiss*, sacerdote Soc. Jesu. Ratisbonae. Instit. Librar. pridem G. S. Manz 1887.

Pod tym tytułem wydał pod koniec zeszłego roku O. Jerzy Patiss T. J. 4-tomowe dzieło. Z ewangelij i lekcyj niedzielnych ułożył medytacye na cały rok kościelny. Każdą medytacyę podzielił na 3 części; każda część również z trzech się składa punktów. Bogactwo materyi, logiczny podział, cytaty pisma św. i Ojców Kościoła, szczególniejszemi są zaletami tej pracy. Naszem jednak zdaniem, dzieło to, jako zbyt suche, nie nadaje się do medytacyj, raczej uważanem być winno jako krótki a doborowy podręcznik do kazań. Ta myśl przyświecała widocznie autorowi, kiedy w przedmowie swej podaje wskazówki, jak z medytacyj tych kaznodzieja skorzystać może. Sądzimy, że chociaż nie zupełnie ziści się pierwsza część życzeń autora, „aby kapłan codziennie chlebem medytacyj w tej książce podanych się zasilał“, to za to z pewnością drugą każdy kapłan osiągnąć będzie mógł, tj. „prawdami w niej zawartemi będzie mógł karmić owieczki swej pieczy powierzone“.

X. W. D.

Der Gottesbegriff in den heidnischen Religionen der Neuzeit. Eine Studie zur vergleichenden Religionswissenschaft von Christian Pesch S. J. — Freiburg in Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung.

Anima naturaliter Christiana, powiedział jeden z Ojców Kościoła. Ten zaród prawdy chrześcijańskiej złożony w każdej duszy odnosi się do najważniejszego i najwięcej ludzkość obchodzącego zagadnienia: Czy jest Bóg? Jak na-

rody pogańskie tak starego jak i nowego świata odpowiadają na to pytanie? Czy uznają istnienie jakiejś wyższej istoty, czy też jej przeczą? — oto treść pracy O. Pescha.

W dziełku swem, stanowiącem XXXII zeszyt uzupełniający do głośnego czasopismo *Stimmen aus Maria Laach* podał nam autor jednogłośne zdanie wszystkich narodów starego pogańskiego świata, które, mimo różnych błędów, spaczonych i przekrzywionych pojęć tak teologicznych, jak i moralnych, schodzą się ostatecznie w tem jednem: że istnieje jakaś wyższa istota. W nowej tej pracy (zeszyt XLII) zapuszcza się autor w formalny las zdań i zapatrywań nowszych pogan, tak tych których dopiero w średnich lub nowożytnych poznano wiekach, jak i tych, z którymi zapoznano się w ostatnich lat dziesiątkach. Bada przekonania Finnów i spokrewnionych z nimi szczepów — roztrząsa poglądy Chińczyków, Korejczyków, Japończyków, Tybetanów, Nepalów, Butanów, Syngalczyków, Indyan, przechodzi do mieszkańców Polinezyi, Melanezyi i Mikronezyi, bada ludy afrykańskie jako to: Malagassów, Hottentotów, Kafrów, Gwinejczyków, Senegambijczyków i Sudańczyków, nie pomija nawet pierwotnych mieszkańców Ameryki, i wszędzie znajduje stwierdzenie tej samej prawdy: wszyscy uznają istnienie jakiejś istoty wyższej, od której człowiek we wszystkiem jest zawisły.

Łatwo poznać z jakiemi trudnościami miał autor do walczenia. Różnorodne źródła, z których czerpać musiał, nie zawsze podawali zdrowy materyał. Według tego, do jakiego ten lub ów podróżnik lub badacz należał obozu, przedstawiał też swe zapatrywania — jedni przeceniali swe zdobycze, drudzy widząc pewne braki, ogłaszali z tryumfem, że są ludzie nie uznający istnienia Boga. Trzeba było użyć całego zasobu porównawczej krytyki, by zachować odpowiednią miarę.

Co do najnowszych pogan, czerpał autor przeważnie z relacyj misyonarzy; co do więcej od nas oddalonych, opierał się na pracach: *Waitz-Gerland'a, Ratzela, Schneidera, Roskopfa, Réville'a, Chantepie de la Saussaye'a, Gloatz'a* i innych.

Materyał ten tak obfity podawali mu badacze pogańskich ludów; materyał suchy, zakrawający na monotonny spis przekonań, który trzeba było natchnąć życiem, by pracą tą zająć czytelnika.

I pod tym względem doskonale wywiązał się autor ze swego zadania, nadawszy swej pracy pewien wdzięk zewnętrzny, który nęci czytelnika i mimowoli zmusza do dalszego czytania. W ten sposób przeprowadzoną pracą oddał autor nie małą uczonemu światu przysługę; podał jeden dowód więcej, stwierdzający istnienie Boga, w nowem świetle przedstawiał naukę Kościoła: że każdy człowiek ma jakieś pojęcie o Bogu, do którego dochodzi z konieczności natury; w różnych tych a tak odmiennych zapatrywaniach na tę wyższą Istotę wykazał autor, że pierwotne pojęcie, do którego każdy rozumem obdarzony dochodzi, nie wystarcza, ale trzeba je pracą w sobie rozwijać, i że brak pod tym względem wypływa nie z rozumu, ale ze złej woli.

X. W. D.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres niemieckich katolików w Fryburgu. — Rezolucye odnoszące się do „kwestyi rzymskiej“. — Podróż cesarza niemieckiego do Rzymu. — Pogłoski o podróży rzymskiej cesarza austryackiego. — Laicyzacya misyjnych szkół włoskich. — Encyklika papieska do Ormian.

Im bardziej Włochy się silą, im bardziej drakońskie wprowadzają „kodeksy“, aby raz wreszcie „kwestyę rzymską“ pogrzebać, tem ona częściej na jaw występuje, tem głośniejsze w całym świecie wywołuje zajęcie, energiczniejsze protesty. Świadkiem tego wzrastającego zainteresowania się coraz smutniejszem położeniem głowy Kościoła, świeżo odbyty XXXV kongres katolików niemieckich w Fryburgu; kiedy dotychczasowe kongresy zajmowały się przeważnie niemieckim kulturkampfem, to ostatni założył przedewszystkiem protest nie tak już przeciw niemieckiemu, jak przeciw włoskiemu kulturkampfowi i raz jeszcze stwierdził niezbędną konieczność zapewnienia Ojcu św. zupełnej niezależności. Kwestya papieska była tym razem niejako osią, koło której obracały się obrady fryburgskie, i ta właśnie okoliczność nadała tego roku tym peryodycznie powtarzającym się obradom szczególne znaczenie. Kongres poruszył mnóstwo nader ważnych pytań; postawiono i zawotowano praktyczne wnioski odnoszące się do misyj, powołań kapłańskich, stowarzyszenia św. Rafała, międzynarodowej obrony robotników przed niesumiennymi wyzyskiwaczami, szkół wyznanio-

wych, wychowania kobiet, krucyaty przeciw handlowi niewolnikami; ale między tymi nawet pierwszorzędnego znaczenia wnioskami, kwestya niezależności papieskiej stanęła od samego początku rozpraw na pierwszym planie. Już zagajając obrady, wspomniał prezes kongresu, dobrze znany w katolickich kołach niemieckich, prezes stowarzyszenia *Goerresa*, Dr. Edward Mueller, że głównem zadaniem obecnego zebrania katolików ma być zastanowienie się nad smutnem położeniem Ojca św., zaprotestowanie przeciw srożącemu się w Rzymie prześladowaniu. „Obowiązkiem naszym jest, mówił Windthorst do mowy prezesa słowa swe nawiązując, zażądać rachunku i energicznie zaprotestować przeciw zniewagom rzuconym na Ojca św.; działając w ten sposób nie przestaniemy być szczerymi przyjaciółmi naszych współobywatelów; dopełnimy tego tylko, do czego najświętsze mamy prawo". Nie mniej jasno i śmiało odezwał się książe Loewenstein na pierwszem publicznem posiedzeniu w obec 3000 blisko uczestników; streszczając w paru najgłówniejszych rysach żądania i prawa niemieckich katolików:

„Wszystkie wysiłki wrogów naszych, dążących do rozbicia jedności niemieckich katolików, spełzły na niczem. Bardziej niż kiedykolwiek zjednoczonymi dziś jesteśmy, i zjednoczenie to nasze zatwierdzić pragniemy. Protestować nie przestaniemy przeciw uciemiężeniu Stolicy św. we Włoszech, bo kwestya rzymska nie jest bynajmniej kwestyą włoską, ale katolicką. A jeżeli ministeryum Crispiego przygotowało obecnie kodeks karny mający zmusić duchowieństwo włoskie do milczenia, to katolicy z poza granic Włoch tem silniej odzywać się i domagać się będą spełnienia swych pragnień. Protestować nie przestaniemy w imię prawa i sprawiedliwości przeciw wydarciu nam szkół naszych, zakładów naszych; przeciw bezprawiu nakładającemu rodzicom katolickim obowiązek posyłania swych dzieci do szkół akatolickich, w których dzieci katolickie uczyć się muszą z książek katolicyzmowi przeciwnych, słuchać muszą wykładów niekatolickich profesorów. Jeden tylko przykład przytoczę, dowodzący jak gwałtownie w tej mierze radykalna reforma jest niezbędną. W mieście tem, w którem jesteśmy zebrani, w jednej ze szkół najwięcej uczniów liczących, do której uczęszcza 489 uczniów katolickich a 209 protestanckich, profesorowie należą w znaczniejszej części do wyznania protestanckiego. A czyż to dla nas nie zniewaga, że wszystkie niemal niemieckie uniwersytety pozostają w rękach naszych nieprzyjaciół; że w szczególności uniwersytet fryburski, choć wyraźnie dla katolików, w duchu katolickim założony, z dnia na dzień traci cechy katolickie a przybiera protestanckie; że z wyjątkiem fakultetu teologicznego, jeden tylko profesor tego uniwersytetu jawnie uznaje się za katolika? Żądamy dalej wolności dla Kościoła, bo jeśli chcemy, aby Kościół mógł zaradzić i uleczyć smutne nasze społeczne stosunki, przedewszystkiem wolność musimy mu zapewnić. Od wolności naszej zależy również wolność polityczna:

Europa stoi pod bronią, a kto wie, czy wolność dawnoby już nie zginęła, gdyby Kościół katolicki nie objął był nad nią straży.

Kongres streścił rozprawy i jednomyślnie, z entuzyazmem przyjęte wnioski, odnoszące się do niezależności papieskiej, w następnych dwóch rezolucyach:

1. Generalne Zgromadzenie raz jeszcze wyraża przekonanie, że przywrócenie Papieżowi władzy świeckiej jest niezbędnie koniecznem dla zapewnienia niezawisłości Stolicy św., niczem nie krępowanej wolności i niezależności w rządzeniu Kościołem; wyraża przekonanie, że każda od Boga ustanowiona władza świecka, dopomagając skutecznie Ojcu św. do odzyskania swych praw, działa w dobrze zrozumianym interesie własnym i przyczynia się do utrwalenia wzruszonego w podstawach społecznego porządku.

2. Generalne Zgromadzenie z szczególnym żalem widzi najnowsze kroki rządu włoskiego przeciw Stolicy św., a zwłaszcza ubolewa nad programem nowego kodeksu karnego, który bezpośrednio wymierzony jest przeciw prawom włoskiego duchowieństwa, pośrednio przeciw prawom Stolicy Apostolskiej. Generalne Zgromadzenie przyłącza się najzupełniej w tej mierze do pisma wystósowanego do Ojca św. pod datą 29 Sierpnia 1888 r. przez Najprz. biskupów zgromadzonych w Fuldzie, a jednocześnie wyraża Najprz. Episkopatowi najgorętsze i najszczersze podziękowanie za potężną tę inicyatywę podjętą w obronie Stolicy Apostolskiej.

Istotnie, wspomniany w rezolucyi kongresu zbiorowy adres biskupów pruskich do Ojca św. zasługuje na podziwienie i najżywszą wdzięczność ze strony nietylko niemieckich, ale wszystkich bez wyjątku katolików. Biskupi, nie oglądając się na żadne względy, w jasnych wyrazach, z apostolską śmiałością powstają przeciwko zbrodniczym zamiarom rządu włoskiego, który nie zadowolniony grabieżą ojcowizny św. Piotra, nie zadowolniony dotychczasowem prześladowaniem Kościoła, ukuł w nowym kodeksie karnym straszną broń, mającą zniszczyć ostatnie resztki pozostawionej jeszcze wolności. Cel tego kodeksu jasnym jest dla każdego, który choć powierzchownie zna stosunki włoskie: ma on w zarodku stłumiać wszelką obronę nieprzedawnionych, haniebnie zgwałconych praw Stolicy św. I przeciw nam, przeciw wiernym całego świata prawa te są skierowane: bo jakże nauczać nas masz, jak przed błędami ostrzegać, jeżeli słowa Twe zagłuszone będą niecnemi prawami, które nie dozwolą Ci głosić wszędzie i w każdej okoliczności w imię Boże prawdy Bożej? Wypadki zaszłe w ostatnich czasach w ojczyźnie naszej, dowieść mogły, że oręż, którego obecnie chwyta się rząd włoski, zawodzi, i że ani systematyczne wprowadzenie

w grę ściśle określonych środków gwałtownych, ani bliżej nieokreślone groźby nie potrafią odwrócić duchowieństwa wiernego swemu powołaniu od prostej drogi, od spełnienia poruczonych sobie obowiązków... Silni wiarą wiemy i nie wątpimy ani na chwilę, jaki będzie koniec tej burzy; nie mniej jednak nie zaniechamy uciec się do niczem niezwyciężonej broni Kościoła św., do modlitw wiernych, które uproszą nam wytrwałość w walce i nieomylną pewność zwycięstwa. Ufamy, iż Bóg modłami naszemi wzruszony zeszle z nieba anioła swego, który bronić Cię będzie, Ojcze święty, i wyrwie Cię z pośrodka niebezpieczeństw, jako zesłał niegdyś księciu Apostołów anioła swego i rozkazał mu z więzów go wyzwolić".

Rezolucye kongresu fryburgskiego, adres biskupów pruskich wspaniała to karta w dziejach tego jubileuszowego roku, w którym dzieje pierwszych wieków chrześcijaństwa na pamięć przywodząc, obok wzmagającego się prześladowania, zamanifestował się i spotężniał w całym świecie duch katolicki, wzmocniła się łączność z stolicą Piotrową. Co było odpowiedzieć na te oskarżenia, tak silnie a zarazem z taką godnością przez usta niemieckich biskupów, uczonych mężów stanu, przed całym światem wygłoszone? Niedawno jeszcze masońskie dzienniki włoskie głosiły z tryumfem, że kwestya rzymska, zwłaszcza po zawarciu potrójnego przymierza stanowczo i nieodwołalnie pogrzebana, i że prócz kilku za papieskie pieniądze wydawanych gazet nikt nią na świecie się nie zajmuje; już w czasie uroczystości jubileuszowych należało ton zmienić. Cóż powiedzieć, jakże wytłumaczyć te tak jednomyślnie, z takim zapałem przyjęte „adresy" i „rezolucye" za świecką władzą Papieża? Trudne to było zadanie; więc miasto odpowiedzi, posypały się świadczące o niemałem rozdrażnieniu szyderstwa i obelgi. *Tribuna* ubolewa, że dzisiejsi biskupi pruscy, odstępując dawnej, chwalebnej tradycyi stali się „narzędziami i trąbami Watykanu", a protestując przeciw kodeksowi karnemu — przeciw któremu, mówiąc nawiasem, zaprotestowali wszyscy jakkolwiek uczciwi liberali, heretycy, nawet żydzi na obu półkulach — łączą „obłudę z kłamstwem". „Biskupi, pisze znów *Popolo Romano*, bronią Papieża; rzecz prosta — bo nie tak to łatwo przecież zrezygnować z pensyi kilku lub kilkunastu tysięcy marek". Stosunkowo spokojniej przemawia *L'Italie* i *Diritto* wzywając tylko wszystkich pa-

tryotów do obrony jedności Włoch zagrożonych nieprzyjacielskim najazdem. Szczęściem, pocieszały się inne rządowe i masońskie pisma, głosy katolickich Niemców przebrzmią bez echa, zagłuszone tryumfalnymi okrzykami na cześć niemieckiego, a może i austryackiego cesarza, wjeżdżających do Rzymu, goszczących w Kwirynale, uznających tem samem zabór papieskiego państwa.

Oddawna było wiadomem, że polityka Crispiego wytrwale, wszelkimi środkami dąży do tego, aby sprzymierzonych cesarzów, na przekór Watykanowi, sprowadzić do wiecznego miasta. Cesarz Wilhelm bez zbytnich trudności dał się do tego kroku namówić, a mógł to uczynić tem łatwiej, że jako monarcha protestancki w innym zupełnie stosunku do Papieża zostający niż katoliccy książęta, zapewniony miał wolny wstęp do Watykanu, podobnie jak niedawno temu otrzymał go bez trudności inny kwirynalski gość, Oskar, król szwedzki. Nie łatwo też pojąć, z jakiej przyczyny prasa włoska, dowiedziawszy się o zamierzonej wizycie cesarza Wilhelma, wzniosła tak głośny okrzyk radości; trudniej zrozumieć, jak mogła mieć tak mało taktu, aby w odwiedzinach tych upatrywać, za przykładem organu Crispiego *Riforma*, „Koniec Papiestwa“. Tego rodzaju wyrażenia i insynuacye najbardziej kompromitowały dwór niemiecki, który świadcząc grzeczność Humbertowi, bynajmniej z Leonem XIII zrywać nie myśli; w Berlinie upomniano się podobno energicznie, aby włoskie dzienniki były wstrzemięźliwsze w ocenianiu cesarskiej podróży, i pragnień swych nie podawały za rzeczywistość, a jednocześnie w bardzo uprzejmej nocie zapewniono kuryę, że cesarz odwiedzając ze względów politycznych swego sprzymierzeńca, zostawia zupełnie na boku kwestyę rzymską, nie myśląc bynajmniej faktem swej podróży w jakibądź sposób na rozstrzygnięcie jej wpływać. Rząd niemiecki, pisze z wyższego polecenia korespondent berliński do wiedeńskiej *Korespondencyi Politycznej*, pragnie uniknąć wszystkiego, coby mogło choć zdaleka uchodzić za chęć obrażenia Watykanu. Wilhelm II żywi uczucie głębokiego uwielbienia dla Papieża; utrzymywał z nim przez czas pewien listowną korespondencyę i nie raz już wyraził życzenie widzenia się z Leonem XIII. Obecnie zatem Wilhelm II odwiedzi króla i Papieża, a kto wie, czy rozmowa z wielkim tym mężem, którego świat cały otacza sympatyami swemi i uwielbieniem, nie

pozostawi trwałego, potężnego wrażenia w duszy młodego monarchy. Niektórzy sądzili, a raczej chcieli w innych wmówić, że podróż ta utrwali watykańską politykę Crispiego. Rzecz to niepodobna. Owszem, katolickie sfery żywią nadzieję, że prawy umysł i jasno patrzący rozum wysokiego gościa poznawszy nieprawidłowość wspólnego przebywania dwóch najwyższych władz w Rzymie, dojrzy konieczność uregulowania kwestyi, która sprawia tyle trudności i nieprzyjemności monarchom przybywającym do Włoch.

Nadzieje to — jeżeli rzeczywiście niemieckie sfery katolickie je żywią — podobno za różowe; ale w każdym razie komunikat umieszczony w *Korespondencyi politycznej*, a wyrażający się w dziwnie szorstkim tonie, o „rozkazie danym prasie włoskiej powstrzymania się od wszelkich komentarzów nad odbyć się mającą podróżą cesarską“ zimną wodą oblał włoskie nadzieje, a zwłaszcza włoskie dzienniki, które istotnie odtąd, z wyjątkiem może jednej *Riforma*, spokojniej, omijając zdaleka Papieża i papieską kwestyę, donosiły o szczegółach bliskiej wizyty, o kolosalnych — militarnych i niemilitarnych — uświetnić ją mających uroczystościach. Wedle dotychczasowego programu ma cesarz Wilhelm dwukrotnie odwiedzić Watykan, wyjeżdżając za każdym razem nie wprost z Kwirynału, ale z poselstwa niemieckiego. „Końska ta polityka“, jak wyrazić się miał żartobliwie rzymski jakiś prałat, nie jest bądź co bądź bez wartości: jeden to więcej w oczy wpadający protest ze strony Watykanu przeciw grabieżcom Rzymu; uznanie tego protestu i zastósowanie się do niego w pewnej przynajmniej mierze ze strony protestanckich dworów.

Daleko bardziej od wizyty cesarza Wilhelma ucieszyłaby rząd włoski *rewizyta* cesarza Franciszka Józefa, której od lat tylu napróżno z nietajonem utęsknieniem oczekuje. Czy przy sposobności odwiedzin pruskiego sojusznika nie dałoby się ściągnąć do wiecznego miasta i trzeciego, austryackiego sprzymierzeńca? — zapytano w rządowych kołach włoskich, i na los szczęścia przedsięwzięto w tym kierunku formalną, choć podjazdową tylko dziennikarskimi hufcami stoczoną kampanię. Pierwszy *Popolo Romano* doniósł czytelnikom swym w wiedeńskim telegramie wesołą wieść: hr. Kalnoky zapewnił Crispiego, że cesarz Franciszek Józef zgadza się w zasadzie na rewizytowanie króla Humberta w Rzymie. Czy

to tylko rzecz pewna, zapytała nieco niedowierzająco *Opinione*, czy wypadek ten niezmiernej politycznej doniosłości, który wydarłby wreszcie z rąk przeciwników naszych broń, zbyt często przeciw nam używaną, istotnie i bez żadnych już wątpliwości będzie mieć miejsce? Inne, mniej przezorne dzienniki szeroko już rozwodziły się nad znaczeniem tych odwiedzin, kiedy piękne te marzenia przerwał wiedeński *Fremdenblatt*, a w ślad za nim, choć w znacznie oględniejszej formie, przerwać je musiała i rzymska *Riforma*, oświadczając, że cała ta pogłoska jest wierutną, niczem nie spowodowaną bajką. „Oświadczenie to, pociesza się w tym względzie, choć nie „bez odcienia melancholii *l'Italie*, polega na prawdzie; nie wyklu„cza jednak możliwości tej wizyty, do której siłą rzeczy, i to za „inicyatywą dworu wiedeńskiego, prędzej czy później przyjść „musi... Crispi nie zrobił i nie zrobi żadnego kroku dla zaradze„nia błędowi, którego nie jest sprawcą; nie dopuścił i nie dopuści „do dyskusyi między wiernymi i szczerymi sprzymierzeńcami „o rzecz, która skutkiem okoliczności stała się wyłącznie kwestyą „formy i etykiety. Jedynie do cesarza Franciszka Józefa należy „rozważyć, czy nie wypadałoby mu obecnie zrobić tego, czego „dawniej zaniedbał".

Kategorycznego oświadczenia *Fremdenblattu*, podobnie jak pruskiej noty przesłanej Watykanowi, odnośnie do rzymskiej podróży cesarza, liczyć trudno do tryumfów odniesionych przez dzisiejszy rząd włoski; zawody te w zewnętrznej polityce wynagradza on sobie coraz cięższem prześladowaniem religii i to nietylko w samych Włoszech, ale wszędzie, gdzie wpływ jego dosięga. Dotychczas rząd włoski we własnym dobrze zrozumianym interesie udzielał pewnych subsydyów włoskim szkołom, utrzymywanym na Wschodzie przez misyonarzów; obecnie pod pretekstem, że szkoły te poddać się nie chcą patronatowi króla włoskiego i dyrekcyi świeckich inspektorów przez rząd mianowanych, subsydya te cofnął, a natomiast przeznaczył znaczne kwoty pieniężne na zakładanie świeckich szkółek dla chłopców i dziewcząt. „Czyż nie byłoby „rzeczą prostszą, a zwłaszcza bardziej ekonomiczną, pyta ironicznie „*Journal des Débats*, znieść szkoły misyjne, a żadnemi innemi ich „nie zastępować? Szkoły świeckie nie mają na Wschodzie rozu„mnego znaczenia, bo żadnego przynieść nie mogą pożytku. Dobrze

„płacąc dostaniecie dla nich nauczycielów; ale dobrze nawet pła„cąc, nie dostaniecie uczniów. P. Crispi sądzi, że się zemści na „Papieżu, zabierając szkołom katolickim nie wielkie zresztą subsy„dya; w gruncie rzeczy krok ten zaszkodzi wyłącznie wpływowi „przez jego ojczyznę po za Europą wywieranemu". Z bardziej jeszcze gryzącą ironią i nietajonym gniewem odezwał się urzędowy *Temps*, dopatrując się w akcie Crispiego wrogich równie dla Kościoła, jak i dla Francyi zamiarów: „Minister włoski, lubiąc robić „wszystko na wielką skalę, zamianował podobno za jednym zama„chem trzy dyrekcye, od których zależyć mają istniejące i mające „istnieć szkoły. Jedna dyrekcya urzędować będzie w Konstantyno„polu, druga w Tunisie, trzecia w Aleksandryi. Nie wiemy, czy „p. Crispi zamianował już również w Rzymie prefekta tej nowej „Propagandy. Zanim zajmiemy się nowym tym krokiem i zapy„tamy, jak z wielu już stron pytają się, co pomyślanoby w Rzy„mie, gdyby rząd Rzeczypospolitej zamianował dyrekcyę dla szkół „francuskich, dla wybrzeży morza Czerwonego, Abissynii lub Mas„sawy, poczekać jeszcze nie zawadzi czas pewien w celu przeko„nania się, czy nowy dekret nie pozostanie może tylko na papie„rze, czy wystarczy p. Crispiemu stuknąć nogą do wydobycia „z wnętrzności ziemi świeckich szkół włoskich na Wschodzie".

Gniew Francuzów wyrozumieć łatwo; rozumieją oni dobrze, jak bez ogródki oświadczył *Siècle*, że projekt Crispiego nie tylko ma na celu „sprawić nieprzyjemność Watykanowi", do czego *l'Italie* bez zająknięcia się przyznała, ale zarazem ma być i jest próbą zachwiania dotychczasowego stanowiska Francyi na Wschodzie. Lecz nie tylko katolicy i Francuzi, bardziej niemal jeszcze włoscy liberali i to właśnie w imię specyalnie włoskich interesów, załamują ręce nad tym nowym dowodem „awanturniczej polityki Crispiego". „Gdzież to rząd zamyśla, pyta medyolańska liberalna *Perseveranza*, „zakładać szkoły świeckie? Bez wątpienia w wielkiem jakiemś „mieście, w którem od dawna już istnieją, a następnie ogłaszać bę„dzie z pompą statystyczne daty, aby módz się niemi, raz do roku, „przy rozprawach budżetowych do syta nachwalić. Alboż może my„śli założyć taką szkołę w Jerozolimie, gdzie przebywa zaledwie „około dwudziestu włoskich rodzin? Jakże myśleć można na seryo „o świeckich szkołach w małych miasteczkach Azyi mniejszej i Sy-

„ryi, w których ksiądz i jedynie ksiądz otoczony jest dostateczną „moralną powagą, i w których jedynie dzięki nauce religii i z jej „tylko pomocą nauczyć może czegoś pożytecznego. W tych stronach „nauczycielem może być tylko zakonnik... Dlatego, jeżeli kraj nie „będzie nadal przychodzić z pomocą zakonnikom włoskim, zastąpią „ich zakonnicy francuscy; tradycya włoska utrzymywana dotąd z ta„kim patryotyzmem, za cenę tylu i tak wielkich ofiar zostanie raz „na zawsze przerwaną". Lecz czemuż misyonarze nie przyjęli warunków przez rząd włoski sobie podyktowanych? „Czemu? odpowiada w *Popolo Romano* pewien były konzul wybornie znający Wschód i jego potrzeby — bo warunki te były wręcz do przyję„cia niemożliwe, nie z winy misyonarzów, ale wyłącznie z winy „naszego rządu". Czy tak jest istotnie? pyta od siebie zakłopotany *Popolo Romano*, i widząc że fałszywego kroku rządu w żaden sposób obronić nie można, wyznaje i ostrzega, że chodzi tu o „bar„dzo ważną i skomplikowaną sprawę, wymagającą spokojnego za„stanowienia się i wszechstronnego zbadania". Spodziewać się należy, kończy się ciekawy ten w swym rodzaju artykuł, że ministeryum nie zaniecha przedłożyć „izbom dokumentów odnoszących „się do ważnej tej kwestyi". W parlamencie, który na wyższy rozkaz uchwalił „kodeks karny" nie wielka nadzieja, ale być może, że rząd użyć zamyśla posłusznego sobie parlamentu, dla umożebnienia sobie honorowego cofnięcia się z nieszczęśliwie obranej drogi; inaczej trudnoby sobie było wytłumaczyć ostatnie wystąpienie, zwłaszcza ostatni frazes dziennika, złączonego ścisłymi stosunkami z wysokiemi sferami włoskiemi, a który z pewnością, jeśli staje do walki, to nie w obronie Kościoła lub religii.

W licznym szeregu zawsze tak pouczających, odznaczających się apostolskim namaszczeniem encyklik, w których Ojciec św. raz poraz przemawia to do całego Kościoła, to do odrębnych narodów, ważne miejsce zajmuje ostatnia z rzędu encyklika do katolickich Ormian, wydana z okazyi ostatecznego usunięcia nieszczęsnej schyzmy, od dwudziestu lat w Konstantynopolu grasującej. Pewna część Ormian pod pretekstem, że Pius IX nadwerężył dawne przywileje narodowe, dozwalające ludziom świeckim przeważnego wpływu na wybór patryarchów i biskupów, zbuntowało się r. 1870 głównie za poparciem posła francuskiego Bourré, przeciw patryarsze Hassunowi, a zna-

łazłszy poparcie w wezyrze Mahmudzie, jawnie od Rzymu się odłączyła. Kilkakrotnie już spodziewano się, że zupełny koniec schyzmy się zbliża; nadzieje te zbyt długo zawodzące spełniły się dopiero w ostatnich miesiącach. Papież ciesząc się z powrotu zbłąkanych owieczek do prawdziwej Chrystusowej owczarni, napomina do wspólnej zgody, do unikania publicznych i prywatnych sporów; do posłuszeństwa patryarsze i biskupom w rzeczach duchownych, rządowi tureckiemu w sprawach świeckich. Przykład zgody i miłości panującej między katolikami, dowodzić będzie i wskazywać najoczywiściej rozłączonym braciom, gdzie panuje prawdziwy duch Boży; zachęci ich do złączenia się z tymi, którzy są złączeni między sobą duchem miłości Chrystusowej zapewniającym szczęście i pokój. Dawne tradycye, historya zaprowadzenia chrześcijaństwa w Armenii przez św. Grzegorza, liczne dowody szczególnej miłości od czasów najdawniejszych aż do ostatnich przez Stolicę apostolską Ormianom okazywane, wskazują im jasno drogę, którą idąc dojdą wszyscy bez wyjątku do unii z katolickim, apostolskim, rzymskim Kościołem. „O to, kończy Papież, błagać nam należy Boga i pro„sić, jako my prosimy, aby posłuszeństwo i powrót pewnej części „Ormian do jedności katolickiej posłużył za przykład i bodziec dla „wszystkich, którzy wyznając Chrystusa odłączeni są od Kościoła „rzymskiego, aby wszyscy oni wrócili tam, skąd wyszli, i aby „jedna już tylko odtąd była owczarnia i jeden pasterz".

Ks. Jan Badeni.

Groby dawnych królów Sydonu

wedle najświeższych poszukiwań w Saidzie.

Przegląd angielski *The Academy* w krótkości zamieścił recenzyę (Nr. 9 i 23 w kwietniu 1887) o ważnych odkryciach poczynionych w ostatnim czasie w sąsiedztwie starożytnego Sydonu, metropolii Kartaginy, dumnego rywala Tyru, miasta niegdyś tak słynnego handlem i bogactwem. Jeden z misyonarzy Saïdy, O. Eugeniusz Nourrit T. J., śledził dzień po dniu wykopa-

liska i skreślił wyniki najważniejsze w dzienniku franko-arabskim *Béchir*, wydawanym przez OO. Jezuitów przy Uniwersytecie w Beyrucie. Zapożyczamy sobie z tego pisma syryjskich katolików[1] sprawozdanie kompletne i szczegółowe tych interesujących odkryć, które bezwątpienia dostarczą nowych objaśnień dotyczących słynnych miast Fenickich, współczesnych królom Judei i prorokom Izraela.

Pod koniec lutego w r. 1887 bogaty właściciel w Saïdzie (Sydonie), muzułman Mohamed Szerif, kazał przekopywać swe grunta w okolicach miasta, dla wydobycia resztek starożytnych budowli, z których mieszkańcy kraju po większej części swe domy stawiają. Robotnicy napotkali na studnię czworoboczną 4 mtr. szeroką, a 5 mtr. głęboką, wyciosaną w skale znajdującej się pod pokładem gruntu ornego. Szerif kazał otwór oczyścić z gruzów. W głębokości 11 mtr. znaleziono cztery otwory, po jednemu w każdej ścianie studni. Te otwory wysokości 1 mtr., a szerokości 50 cntmr., zawarte kamienną płytą, były właściwem wnijściem do tyluż sklepień grobowych, gdzie się mieściły wielkie i przepyszne sarkofagi marmurowe.

Wedle praw otomańskich, właściciel gruntu, na którym znajdą się starożytności, obowiązany w przeciągu tygodnia rząd o tem zawiadomić, w ten sposób przyznają mu prawo do połowy odnalezionych przedmiotów lub wartości takowych, w przeciwnym razie nie tylko traci prawo do wszystkiego, lecz nadto ulega karze. Mohamed Szerif zastosował się do praw obowiązujących i niezwłocznie zawiadomił o odkryciu Kajmakana w Saïdzie; Bechara Effendi, inżynier obwodu Syryi, był wysłany przez księcia Waly dla zbadania miejsca i pomników. Odkrył nowe grobowce, a 27 marca przesłał rządowi szczegółowe sprawozdanie z podaniem planu miejsca i w krótkości streszczony opis bogactw archeologicznych. Stawił wniosek o przysłanie wyłącznego komisarza, upoważnionego do przywiezienia sarkofagów do muzeów Konstantynopola.

Jego Ex. Hamdi-Bey, założyciel i konserwator muzeum w Konstantynopolu, były uczeń szkoły sztuk pięknych w Paryżu, i zna-

---

[1] *Béchir* wychodzi co czwartku w drukarni OO. Jezuitów w Beyrucie (Syria).

komity malarz, równocześnie wysłany przez samego Sułtana w towarzystwie uczonego archeologa Smyrny, dyrektora pomników starożytnych, Demostenesa Baltazzi'ego Bey. Pod ich kierunkiem rozpoczęto 1 maja dalsze kopania, a pod koniec miesiąca wydobyto ze sklepień wszystkie sarkofagi wartość mające; starannie opakowano, ażeby bez uszkodzenia mogły odbyć podróż morską.

Grunt, na którym odkryto grobowce, znajduje się w odległości 800 mtr. od wybrzeża morskiego, a 1500 mtr. od bramy północno-wschodniej Saïdy, pomiędzy wioskami El-Halalièh i El-Baranièh. Graniczy z ogrodem doktora Szébi Abéla i stanowi zarazem granicę ogrodów miejskich.

Kierunek ścian studni doskonale zastósowany do punktów zasadniczych. Pod pokładem ziemi zmięszanej z szczątkami rozwalisk na 1 metr grubości, znajduje się nagromadzona na jednem miejscu mięszanina krzemienia i wapnika, podobna do tej, jaką zawierają piaszczyste wzgórza na brzegu morskim Beyruty (grubości 3 mtr.), poniżej gruby mur, w którym umieszczone wnijścia do izb grobowych. Izby te są wyciosane w białym wapieniu, bardzo grubym i półkruchym. Trudno opisać okazałość i przepych grobów, które się w nich mieszczą; sztukę w tym stopniu doskonałości można tylko podziwiać, ale nie opisywać. Rozmaitość formy, stylu i wykończenia zadziwiająca, tem samem niweczy wszelkie przypuszczenia, jakie dotąd można było robić o początku grobowców. Sklepienie znajdujące się na wschód, mieści dwa wielkie sarkofagi z białego marmuru, równo stojące obok siebie, w odległości mniej więcej 50 cmt. jeden od drugiego. Rozmiary obydwóch są równe: 2·60 m. długości, 1·25 m. szerokości, 1·20 m. wysokości, pomijając wypukłość wieka 50 cmt. wynoszącą. U wnijścia do grobowców spostrzega zwiedzający po lewej stronie jeden sarkofag bez żadnej zgoła ozdoby, drugi zaś od razu ściąga na siebie uwagę widza bogactwem pokrywających go rzeźb.

W około roztacza się przedsionek na jońskich kolumnach, a w narożnikach doryjskie filary. W każdej z ośmnastu wklęsłości umieszczona płaskorzeźba o wysokiej wypukłości, przedstawiająca płaczkę w greckim stroju. Każda z tych postaci ma odmienną pozę i właściwy sobie wyraz boleści doskonale oddany, a pełen godności.

Nakrycie w kształcie dachu, którego boki spadziste obłożone płaskiemi kamieniami, odchylającymi się, prawie podobnymi do płaskich dachówek marsylijskich używanych w Beyrucie. Wzdłuż ciągnie się wystawka 50 centymetrowa, równie wysoka jak szczyt dachu, ozdobiona rzeźbą przedstawiającą pochód pogrzebowy. Pochód rozpoczyna mężczyzna w greckim stroju, za nim prowadzą dwa konie, dalej wóz tryumfalny, człowiek trzymający w rękach lejce, wóz dwókonny wiozący trumnę z umarłym. Za tym wozem sługa i koń sam idący. Na wypukłości podstawy kolumny umieszczona płaskorzeźba bardzo pięknie wykonana, przedstawiająca polowanie na daniela, dzika, lwa i panterę. Układ pracy zdradza jednakże pewną niedbałość, i zdaje się być dziełem greckiem, pochodzącem z III wieku przed erą chrześcijańską. Wewnątrz znaleziono kości niewiasty i siedm psich głów.

Sklepienie znajdujące się w południowej stronie mieści również dwa sarkofagi. Wnijście do grobowców jest na tym samym poziomie, jak i w innych grotach, a podłoga, na której trumny złożone, różni się wysokością około dwóch metrów.

Trumna z czarnego marmuru, niewłaściwie nazwana bazaltem egipskim, nie odznacza się żadną rzeźbą. Jako najbardziej pojedyńcza razem z jednym z dwóch sarkofagów groty wschodniej pozostanie nietknięta w ciemnem zaciszu.

Obok powyżej wspomnianego zwiedzający spostrzega sarkofag drugi z marmuru białego, na lewo od wnijścia, ten jest istnem arcydziełem sztuki, wywołuje też uwielbienie osobliwością formy i bogactwem rzeźby.

Nakrycie jest kolebką o arkadowem sklepieniu 1·50 cmt. wysokiem, kadź ma 2·40 cmt. długości, 1·30 cmt. szerokości, wysokością równa się nakryciu.

Jestto grobowiec licejski; dotąd tylko siedm podobnych znaleziono, a wszystkie w prowincyi Licei; obecnie sześć z nich już są w Konstantynopolu, a jeden w Wiedniu. Powierzchnia sklepienia, stanowiąca nakrycie, jest gładka, bez żadnych ozdób. Prostopadłe krańce są rzeźbione: z jednej strony dwa wspaniałe greckie sfinksy, skrzydlate biusty niewieście z prześlicznemi głowami, z drugiej strony dwa gryfy o ptasich głowach, i korpusy zwierząt ssących rodzaju męzkiego i żeńskiego. Na wierzchu kadzi umie-

szczone dwa rumaki, każdego z nich prowadzą dwie amazonki. Konie te odznaczają się przestarzałą formą, zupełnie zgodną z kształtem koni w Partenonie, rzeźby Fidjasza: grzywa sztywna jak grzbietnia płetwa u ryby, w pysku wędzidło przytrzymujące szczęki zwierzęcia, zakończone czworograniastemi blaszkami po obu stronach. Dziwnie piękny jest wyraz tych głów końskich. Wykończenie tak doskonałe, że zdają się być żywe; muszkuły, żyły, nozdrza jakoby oddechem poruszane, marszczki na skórze, wszystko to oddane z niezrównaną dokładnością: „oddałbym wszystkie sarkofagi w całości za jedną z tych głów końskich", powiedział Hamdi-Bey; widocznie znał się na rzeczy.

Strona przeciwna przedstawia polowanie na dzika. Grecki jeździec zdaje się dowodzić, podnosząc dwa palce w górę — wskazujący i trzeci. „Możnaby myśleć, że udziela błogosławieństwa, jak nasz biskup", mówiły greckie panie w Saïdzie.

Na jednej z mniejszych powierzchni umieszczono dwóch centaurów stojących na tylnych nogach, w przednich trzymają łanię i walczą o nią; twarze są pełne wyrazu i nadzwyczaj piękne.

Na drugiej mniejszej powierzchni dwu centaurów stoi naprzeciw siebie i oblewa się wodą. Kto odgadnie znaczenie tego obrazu?

Znaczna wysokość tego sarkofagu bez wątpienia spowodowała obniżenie gruntu komnaty grobowej.

Grota zachodnia nie głęboka, zawiera jeden tylko sarkofag z białego marmuru w formie pudła na mumię. Pomówimy o nim później. Grota ta równocześnie była przedsionkiem obszerniejszej grobowej komnaty, wykwintniejszej od drugich, z wyjściem w ścianie południowej. W tej komnacie zauważyliśmy rynny przy murze, w celu sprowadzania sączącej się wody z otworów w wyższej części murów się znajdujących, wprost na przeciw siebie umieszczonych, jedna w drugą, dla utrzymania belek, za pomocą których składają nakrycia sarkofagów, linia czerwona horyzontalnie na murze zakreślona, służyła robotnikom jako wskazówka.

Były tam cztery trumny. Największa z nich była też zarazem najwspanialsza i najpiękniejsza z wszystkich sarkofagów znalezionych w tej podziemnej pieczarze, stała w kącie południowo zachodnim. Długość jej wynosiła 3·30 m., szerokość 1·70, wysokość 1·40, nie wliczając w to części wierzchu 80 cmt., ponad

wierzch wystającej. Jestto arcydzieło rzeźby, architektury, kolorytu; odkrycie tegoż stanowić będzie epokę w historyi sztuki. Wszystkie muzea europejskie chciałyby z niego mieć odlew.

Okaz powyższy jest dziełem greckiem, jego formy stanowią przejście z archaizmu konwencyonalnego wieków starożytnych, do realizmu ostatnich wieków sztuki starożytnej. Ze względu na prostotę, szlachetność i okazałość porownać go można z najpiękniejszemi dziełami, jakie dotąd znamy. Wszystko malowane kolorami naturalnymi, przeważają tam różne odcienia purpury, począwszy od pąsowego, niebieskiego, przechodzi w wiolet ciemny. Wiadomo, że w Sydonie było dużo fabryk purpury. Jeszcze widzieć można w pochyłości pagórka, na którym się wznosi dawna cytadela św. Ludwika, mnóstwo niezmierne muszli (murex), z jednej strony zupełnie otwartych, ażeby wyprowadzić z nich szlimaka wydającego purpurę tyryjską. Inne kolory — zdaje się — były żółte, pospolite w górach Libanu.

Mimo jaskrawości kolorów, wszystkie te cienie w prześlicznej zestawione są harmonii obok siebie. Najdrobniejsze szczegóły są zachowane: oczy ludzi, koni, lwów oddane z największą naturalnością, a żadnego nie zrobiono wcięcia w marmurze dla uwydatnienia tęczy w około źrenicy. Wszystkie rzeźby są wypukłe, pojedyńcze części są oddzielone, a jednakże utrzymują się bez żadnego podparcia.

Na czterech częściach powierzchni grobowca umieszczone przedstawienie dwóch różnych przedmiotów. Jeden bok większy i mniejszy zawiera przedstawienie bitwy, dwa następne obrazy z polowania, w których występują jedne i te same osobistości co w pierwszym obrazie, lecz już na stopie przyjaznej.

Greków łatwo poznać można z fizyognomii, są bez ubrania; na głowie jednakże mają szyszak i wielki puklerz okrągły z listewką brzegiem, jak u nich było w zwyczaju. Persowie zaś zupełnie ubrani. Odróżnia ich się po szczególnym stroju głowy, mitrą zwanym, który zasłania całą głowę od czoła aż do karku, nawet policzki i brodę, — strój głowy, jaki noszą towarzysze Daryusza, w wielkiej mozaice w Pompei. Jeszcze ich poznać można po długich pantalonach *(braccae laxae)*, powszechnie noszonych u ludów Azyi i Północy. Grecy nigdy pantalonów nie nosili, Rzymianie zaś dość

późno zaczęli nosić, bo dopiero pod cesarzami. Zbroje walczących były wszystkie złote, lecz delikatnie pozdejmowane ręką gwałcicieli pośmiertnych mieszkań.

W pośrodku bitwy straszne zamieszanie konnicy, piechoty, poległych, umierających, widać odciętą rękę na bok odrzuconą i zdeptaną nogami. Persowie ożywieni zapałem waleczności, stanowią kontrast z nieulęknionym spokojem i marsową pogodą Greków. Odgaduje się, po której stronie zwycięstwo: prawie zawsze Grek wbija miecz w pierś barbarzyńca, zanim ten go uderzy maczugą, toporem lub dzidą, którą wywija w powietrzu. Są tam twarze i postacie bardzo piękne. Zapał walczących, boleść i trwoga umierających, nawet przestrach koni, wszystko cudownie oddane.

Zwyczajem greckim, dwie główne osobistości umieszczone na krańcach obrazu. Są to jeźdźcy przybrani w purpurę. Jeden szczególniej odznacza się swoją postawą, miną marsową, bogatem ubraniem; możnaby go wziąść za księcia pochowanego w sarkofagu.

Drugi, to najpiękniejsza głowa typu greckiego, odziany lwią skórą. Być może, że to Aleksander Wielki, on bowiem na kilku medalionach przedstawiony w tym stroju Herkulesa.

Na drugim obrazie, lew rzucił się na jeźdźca i już swemi szponami rozdziera pierś koniowi, skąd zakrwawione wiszą kawałki ciała. Jeździec przebija lwa lancą i usiłuje poskromić swego rumaka, lecz zwierz nie puszcza swej zdobyczy, mimo wielkiego psa, który się na niego rzuca i kąsa z wściekłością. Dwóch zbrojnych dobiegają z swymi mieczami, a w oddaleniu łucznik ciska swą strzałę. Ludzie i zwierzęta mają wspaniałą postawę, odwagę i siłę.

Nie daleko stąd, biedny jeleń obsaczony przez dwóch w dzidy uzbrojonych, którym żadnym sposobem uciec nie może, wzbudza litość i stanowi kontrast.

Wieko nie mniej piękne, jest w formie dachu, o bokach spadzistych, cegłami w kształcie rybiej łuski pokrytych. W około krańca i linii wierzchołek stanowiącej, wznoszą się głowy geniuszów zdumiewającej piękności i wdzięku, otoczone promieniami chwały. Głowy umieszczone na grzbiecie dachu mają po dwa oblicza i są cokolwiek większe od tych, które otaczają brzeg. Głowy baranie umieszczone na wystających naprzód gzymsach, mieniają się przeciwlegle z głowami geniuszów, jako rynny. Na czterech na-

rożnikach spoczywają cztery lwy, które nam się zdawały niezrównanemi arcydziełami; zdają się opłakiwać zmarłego, a wychylając głowy po za dach, niby za nim patrzą.

Trzy inne sarkofagi z białego marmuru w tej samej komnacie grobowej, najzupełniej do siebie podobne. Miara długości wynosi około 2 m. 50 cmt., wysokość całe 2 metry. Robią wrażenie greckiej świątyni o rozmiarach pięknie zastósowanych: ściany są gładkie, lśniące, ozdobna gałązka winnej latorośli, której liście żółte na purpurowem tle tworzą ramy, bardzo delikatnie rzeźbiona. Na postawie kolumny w szczytach, rzeźby ornamentacyjne są równie przepyszne. Te grobowce, mimo swej prostoty, są rzeczywistemi arcydziełami najlepszego gustu, wdzięku i elegancyi. Nie widzieliśmy nigdy nic w tym rodzaju tak szlachetnego obok prostoty majestatycznej.

W komnacie północnej widzieliśmy zrazu dwa sarkofagi, jeden zaliczyć można do rodzaju trumien egipskich, uwydatniających w sposób bardzo pospolity postać człowieka; mają one kształt pudeł zawierających mumie, zwanych sarkofagami anthropoidalnemi.

W zachodniej części jest sarkofag z białego marmuru. Głowa na wieku niedbale, z grubszego tylko rzeźbiona, ręce zaś giną zlewając się z biustem. Od bioder dopiero wszystko się lepiej uwydatnia: zgięcie kolan, łydki, kostki u nogi występują z największą dokładnością. Tem się różnią od sarkofagów anthropoidalnych, znalezionych w Sydonie, które posiada muzeum w Luwrze, że na tych głowa bardzo dobrze oznaczona, podczas kiedy niższa część jest prostym futerałem, podwyższonym w nogach.

Na dnie jednego z nich znaleziono deskę figową, drzewo używane na pudła mumii egipskich. Brzegami przewiercone dziurki, niezawodnie służyły one do przywiązywania ciała do deski przy jego składaniu do sarkofagu. Chcąc sądzić z pozostałych kości i owinięcia, przyznać trzeba, że wszystko bardzo niedbale było przyrządzone.

Zebrawszy gruzy pokrywające ziemię, rozpoznano istnienie dwóch komnat podziemnych, położonych na niższej płaszczyźnie, w kierunku zachodnim i wschodnim od poprzedzającej. Wschodnia mieściła grobowiec mały, bez wartości; w drugiej były aż cztery sarkofagi z białego marmuru. Jeden tylko, najgłębiej stojący ma

rzeźby. Inny o małych bokach przedstawia księcia z tiarą asyryjską na głowie, wyciągniętego na swym śmiertelnem łożu. Podają mu pokarm, także i napoje w wielkim rogu, dwóch służących stoi w głowach, zdają się być na straży, w nogach żona siedzi i opłakuje męża. Jestto obraz przedstawiający ofiarę dla umarłego.

Wszystkie te groby, o których mówiliśmy dotąd, uległy już od bardzo dawna przemocy łupieżców, którzy zabrali wszystkie kosztowniejsze przedmioty. W istocie, nie znaleziono też żadnych klejnotów, prócz pięćdziesięciu czterech złotych guzików, o średnicy monety półfrankowej, dzwonkowato wypukłych, bez żadnej rzeźby, zagrzebanych w błocie, naniesionem na dno grobu przed assyryjskimi łupieżcami grobów, którzy zakradali się do każdego sarkofagu, wyłamując wieko w jednym narożniku, a nie nadwerężając reszty. J. Eks. Hamdi-Beyowi udało się otworzyć jeden sarkofag, nie tknięty jeszcze dotąd. Odnalazł go w dolnej komnacie, znajdującej się wprost pod grobem z ośmnastu płaczkami. Sarkofag ten jest z czarnego kamienia, na wpół anthropoidalny, dość osobliwy, płaski, szeroki co najmniej jeden metr. Znaleziono w nim długie zwoje włosów, zęby, kości niewieście, i resztki owinięcia, złotą opaskę królewską, lśniącą, na trzy palce szeroką, gruby pierścień złoty, zupełnie prosty, jak obrączka używana do firanek, a w środku znów deska figowa, podobna do tej, o której już powyżej mówiliśmy. Dalej, wydobyto jeszcze z wykopalisk lampy z wypalanej gliny, bardzo grubej roboty, w kształcie okrągłego talerza, którego wygładzony brzeg tworzy dzióbek dla łatwiejszego założenia knota; nadto jeszcze kilka naczyń do perfum z egipskiego alabastru. Naczynia te mają kształt gruszkowy, wysokości 25 cmt., bez żadnej rzeźby prócz rąbków naokoło występujących, ślady tokarskiego dzieła, otwor szyjki ma tylko 3 cmt. szerokości, naczynie kruche, ledwo 1 cmt. grubości. Podobne alabastrowe naczynia przywiózł p. Cesnola z Cypru. Prawdopodobnie są to naczynia w tej formie, w jakiej widzimy je przedstawione na obrazie ostatniej wieczerzy w Betanii, gdzie Magdalena namaszczała ciało Zbawiciela przed Jego męką, a potem skruszyła u stop Jego. Jan Święty mówi, że naczynie to zawierało funt oliwy wonnej, którą Judasz ocenił na tysiąc franków wartości. Naczynia alabastrowe sydońskie zdają się mieścić więcej.

Wszystkie grobowce rzeźbione są niezaprzeczenie grecką

sztuką. Bryły marmurowe musiały być sprowadzane z wysp Archipelagu, gdyż na wybrzeżu azyatyckiem, począwszy od Egiptu, aż do okolic Smyrny, marmur zupełnie nie istnieje. W Sydonie więc musiały być rzeźbione, — niepodobieństwem byłoby sprowadzić z Grecyi przedmioty tak ciężkie i zarazem tak delikatne, łoże bowiem największego sarkofagu waży 13.000 klg., a wieko około 5000 klg. Można się domyślać, że spuszczenie takowych do studni nastąpić musiało za współudziałem Egipcyan: studnie napełniano piaskiem, a sarkofag umieszczony na tym gruncie sztucznym spuszczał się powoli, w miarę jak z pod niego usuwał się grunt piaszczysty.

Stoimy przed grobowcami, które różnią się pod względem czasu i stylu. Zupełny brak napisów naprowadza tylko na domysły, co do ich pochodzenia i ich epoki. Nie zdaje nam się, aby miały pochodzić z zbyt odległych czasów, przypuszczamy, że się datują z ostatnich wieków poprzedzających erę chrześcijańską. Jedyną monetę znaleziono w szczątkach studni. Ta pochodzi z czasów króla Syryjskiego Aleksandra Bala, z roku 149—144 przed Chrystusem.

Prace podjęte przez p. Béchara Effendi'ego, pod kierownictwem Hamdi-Bey'a, w celu podniesienia tych olbrzymich sarkofagów, budzą niepoślednie zajęcie. Jeśli zasługa za podobne dzieło zawisła od rezultatu przewyższającego siły, któremi się rozporządza, w takim razie, niezaprzeczenie p. inżynier Béchara Effendi zasługuje na wielkie pochwały. Wykopał w ziemi rów do poziomu komnat grobowych, schodzący w jednostajnej spadzistości 15%, zakończony podziemnem przejściem, które łączy się ze studnią. Dwa szeregi belek sosnowych poprzecznie połączonych, tłustością pociągniętych, tworzyły rodzaj mostu; tą drogą z pomocą machiny do podnoszenia ciężarów zlekka posuwał sarkofagi, wiezione na sankach. Wszystko to się odbyło bez żadnego uszkodzenia rzeźby, ani też człowiek żaden nie poniósł szkody. W najbliższych dniach spodziewają się fregaty, z Konstantynopola nadejść mającej, dla zabrania tych skarbów. Już ustawiają na brzegu morza pomost wysuwający się 30 mtr. naprzód w morze, ażeby te masy przeprowadzić na galary.

Na północnym krańcu komnaty Hamdi-Bey zauważył otwór, który zdawał się mieć związek z inną podziemną grotą. Idąc za tą wskazówką, napotkał istotnie o 6 mtr. ku północy od studni, drugą podobną studnię, 4 mtr. głęboką, a 3 mtr. szeroką.

Gdy wyrzucono gruzy do głębokości 7 mtr., ukazał się otwór w północnej ścianie. Komnata, do której otwór prowadzi, ma 5 mtr. długości, a 3 m. 50 cmt. szerokości; pokład skały grubo tynkowany i gipsem pociągnięty, — w części już poodpadał i leżał na ziemi. W jednym z wewnętrznych narożników były dwa wielkie bronzowe kandelabry, piękne a proste: podstawą trójnóg, a słup świecznika gruby jak objętość ręki, zakończony dwoma kwiatami odwróconymi, podtrzymuje przedłużony koszyczek do założenia pochodni. Każdy z tych świeczników odmienny, chociaż na jeden wzór robiony: jeden ma wysokości 1 m. 50 cmt., drugi o kilka centimetrów niższy. Zupełnie podobny świecznik fenicki, ale tylko z jednym kwiatem odwróconym, znaleziono w Kuryum na wyspie Cypru; obecnie widzieć go można w muzeum Nowego Yorku. Posadzka w komnacie grobowej ułożona z brył kamiennych grubości 0·65 cmt. Pod tym pokładem drugi, jeszcze grubszy, a potem i trzeci, wreszcie niezmierna kamienna bryła jednolita, objętości 10 metrów kubicznych, nakrywała grób wykuty w skale, w którym schowany był przepyszny sarkofag anthropoidalny z czarnego kamienia. Nadzwyczajnie podobny do sarkofagu sydońskiego króla Achmunazara, również znalezionego w ogrodach Sajdy, lecz więcej w południowym kierunku; obecnie można go widzieć w muzeum w Luwrze. Jest on 2 m. 50 cmt. długi, 0·80 średniej szerokości. Głowa na nim prześlicznie wyrzeźbiona, włosy i broda podług mody egipskiej, wierzch i prostopadłe boki trumny okryte są hieroglifami, na podwyższeniu nakrywającym nogi w kształcie ławeczki, jest napis fenicki w 8 liniach, wszystko to najdoskonalej zachowane.

Zdaje się, że to musi być trumna znakomitego zmarłego, w około której nagromadziło się tyle wspaniałych grobowców.

W chwili podniesienia wieka mumia zdawała się dobrze być zachowaną, lecz wnet spostrzeżono częściowy jej rozkład przez szerzenie się wstrętnej woni pochodzącej z zepsutych wnętrzności. Zabrano złoty diadem bez ozdób, dwie bransoletki pięknej roboty, źwierciadło i t. p. Spodziewamy się, że uczeni oryentaliści pozwolą i nam się dowiedzieć o treści wspomnianego napisu [1].

---

[1] We Francyi ogłoszono tłumaczenie następującego napisu fenickiego, wyrytego na głównym sarkofagu: „Ja, Pabnit, ojciec Achmunazara,

Studnie prostokątne, grobowe komnaty o ścianach ciosanych, przy czem zachowane wszelkie ostrożności, ażeby uniemożebnić przystęp i odkrycie grobu, ażeby spoczynek zmarłemu nigdy nie mógł być przerwany, ani zakłócony; wszystko najzupełniej zgodne z pojęciami egipskiemi. Niema też żadnego podobieństwa do grobów odkrytych w ostatniem miejscu, oprócz wielkiej czworograniastej studni u stóp wyniosłej egipskiej pyramidy, w głębi której dziś jeszcze widzieć można sarkofag z czarnego kamienia.

Czy to nie do tych studni zmarłych robi Psalmista aluzyę, gdy mówi o grzesznikach: *Tu vero Deus deduces eos in puteum interritus.* (Ps. LIV. 24). I kiedy woła: *Neque absorbeat me profundum: neque urgeat super me puteus os suum.* (Ps. LXVIII, 16). Książęta Sydonu musieli znać proroctwa Izajasza, Jeremiasza, Ezechiela, Zachariasza, w których grożą bogatemu i bezbożnemu miastu przepowiadając jego upadek. Te przekleństwa boskich posłańców musiały wzbudzić myśl wyłącznego zajęcia się zabezpieczeniem swych grobów.

Najznamienitszy i najdłuższy z wszystkich fenickich napisów nagrobkowych jest króla Achmunazara; w 22 bowiem wierszach powtarza tej treści polecenie: „Nie otwierajcie tej trumny, ażeby w niej szukać skarbów, woła król, nie ma w niej skarbów“. Dalej, w przypuszczeniu, że nie uwierzą, że mówi prawdę, wzywa pomocy bogów, ażeby ukarali profanatorów. Najwidoczniej król, którego grób odnaleziono, miał ten sam niepokój o bezpieczeństwo swych śmiertelnych resztek; lecz roztropniejszy od Achmunazara obmyślił, że grób głębszy, wraz z wielkiemi bryłami kamienia, 3 mtr. szerokości, lepszą były obroną, niż napis i zaklęcie Astarta. Podobieństwo dwóch sarkofagów naprowadza nas na przypuszczenie, że ten, który obecnie wydobybyto, pochodzi z czwartego wieku przed Chrystusem.

---

kapłan Astarty, król Sydończyków, syn Achmunazara, ja jestem złożony w tej arce. Kimkolwiek będziesz człowieku, który tę arkę wyprowadzisz na światło dzienne, nie otwieraj mego grobowego mieszkania, i nie przeszkadzaj mi. Niema tu złota, ni srebra, ani ukrytych skarbów. Nie przerywaj mi mego spokoju, bo to jest obrzydliwością w oczach Astarty. Jeśli popełnisz czyn podobny, nie będziesz miał potomności pomiędzy żyjącymi, ani miejsca pomiędzy umarłymi“.

Zjazd konserwatorów austryackich w Krakowie.

W bieżącym roku Kraków dożył niezwykłego zdarzenia. Komisya centralna opieki nad zabytkami sztuki w monarchii austryackiej naznaczyła z własnej inicyatywy nasze miasto na zjazd doroczny swoich członków i konserwatorów. Gdy zważymy, że takich zjazdów było od czasu istnienia Komisyi centralnej trzy tylko: w Stejer, Klagenfurcie i w Wiedniu, i że był projekt urządzenia czwartego na drugim końcu Austryi, w Spalato, przyznamy, że ta decyzya komisyi była prawdziwą a miłą niespodzianką. W maju więc już utworzył się w Krakowie z konserwatorów komitet gospodarski pod przewodnictwem p. prof. Łepkowskiego, do którego miasto, uchwaliwszy pewien fundusz na przyjęcie gości, dodało czterech członków ze swego ramienia. Komitet ten zaś postanowił, że będzie na czas zjazdu urządzona wystawa zdjęć rysunków i wydawnictw, do starożytności polskich się odnoszących; — że będzie wydany krótki przewodnik po Krakowie w języku niemieckim, i że miasto podejmie gości przybyłych ucztą w sali Towarzystwa ogniowego. Na tem ograniczyły się przygotowania, a dla szerszej publiczności naszego miasta zjazd ten nabrał lokalnego interesu przez tę okoliczność, że na podanie konserwatora p. Łepkowskiego, Komisya centralna wystósowała prośbę do miasta, by się wstrzymało ze zburzeniem gmachu poszpitalnego św. Ducha aż do czasu zjazdu, który chciał w tej rzeczy wypowiedzieć swe zdanie; do czego też miasto najchętniej się przychyliło.

Gdy się zbliżył czas zjazdu, wyznajemy, że nie byliśmy bez obawy. Wielka część ludzi nauki wyjechała na ferye, niektórzy byli na sejmie we Lwowie, inni nie znając dostatecznie języka niemieckiego od zjazdu się usunęli. Żadnego nie było w Krakowie prywatnego salonu, gdzieby się goście wieczorem na pogadankę zejść mogli. Przytem program zjazdu nie był znany, miał go dopiero przywieść prezes komisyi centralnej Jego Eks. baron Helfert, wszyscy więc, którzy interesowali się sprawą zjazdu, chodzili niespokojni, pytali się, i nic się dowiedzieć nie mogli; nie pozostawało więc nic innego, jak czekać cierpliwie.

Tem milej nam teraz, że możemy powiedzieć, iż zjazd pod wieloma względami udał się bardzo dobrze. Wszystko znalazło się

na czas. Br. Helfert przyjechał na dwa dni przed otwarciem posiedzeń i cały program wraz z prof. Łepkowskim ułożył, prof. Łepkowski zaś przedtem już wysłał zaproszenia do wszystkich znaczniejszych osobistości będących w Krakowie, a także do architektów i bardziej znanych miłośników zabytków przeszłości, tak, że gdy w poniedziałek 17-go b. m. po nabożeństwie w kościele Panny Maryi wszyscy zaproszeni i garstka ciekawej publiczności zebrali się w auli nowego gmachu uniwersyteckiego, było bardzo pełno. Niespodzianką nader miłą było odezwanie się po polsku prezesa Komisyi centralnej, a zarazem prezesa posiedzeń zjazdu br. Helferta, który przed 40-tu laty wykładał na uniwersytecie krakowskim, więc Kraków zna od dawna. W niemieckiej części mowy swojej podniósł bardzo gorąco historyczną wartość Krakowa i jego zamiłowanie zabytków swoich, obok uwzględnienia wymagań dzisiejszego postępu; w polskiej zaś części położył głównie nacisk na to, że komisya centralna uznaje prawa języka polskiego, że jednak liczy na to, iż obrady w języku niemieckim odbywać się będą. Sprawa ta już dawno na posiedzeniach komitetu gospodarskiego przesądzona była, i wszyscy rozumieją, że obrady w innym języku odbywać się nie mogły.

Posiedzenia jednak, i wygłoszone na nich rozprawy były najmniej może interesującą stroną zjazdu. Niektóre z nich, nas żywo obchodzące, jak historya budowy katedry na Wawelu, obrobiona dokładnie i sumiennie przez p. Odrzywolskiego, a ilustrowana wielką liczbą znakomitych rysunków, nie zajęła dostatecznie przybyłych cudzoziemców, bo katedry zupełnie nie znali, i wielka stała się szkoda, że ten referat nie był odłożony na czas już po zwiedzeniu katedry. Rozprawa p. Wierzbickiego o tkaninach w Polsce, poparta wspaniałymi rysunkami i okazami naszych litych materyj była dla cudzoziemców zbyt specyalną. Przytem, i ci nawet Polacy, którzy dobrze mówią po niemiecku, znajdowali wiele językowych trudności, które im swobodę w wywodach odbierały. Rozprawy zaś przybyłych uczonych cudzoziemców, odnoszące się po większej części do kwestyi ogólnej ratowania i przechowywania zabytków, były najczęściej oparte na stosunkach tak od naszych różnych, że nas znowu zająć goręcej nie mogły. P. Much mówił o sposobach ratowania od zagłady pomników przedhistorycznych, gdy u nas historyczne przepadają bez liczby. P. Ilg zaś przemawiał w kierunku

centralizacyi zabytków, dla celów naukowych; teza ta zaś w Austryi, gdzie tyle odrębności narodowych, popularną stać się nie może, a w ogóle wiele ma argumentów przeciw sobie. Tylko referat ks. biskupa Stupnickiego: o świeżych wykopaliskach w Przemyślu i p. Demetrykiewicza: o środkach wzmocnienia władzy konserwatorów, wywołały żywszą dyskusyę. Pierwszy, bo dotknął kwestyi zabytków przedhistorycznych w ogóle, i spotkał się z odrębnem zdaniem p. Przybysławskiego i innych. Drugi, bo się tyczył sprawy w całej instytucyi konserwatorskiej najżywotniejszej.

Smutno powiedzieć, ale pomimo że głośno wywieszamy sztandar prawa przed siłą, tak jednak instynktowo idziemy za dzisiejszym duchem czasu, iż władza moralna nie ma i u nas uznania, że nie tylko ludzie niewykształceni, ale i ci, którzy mają do wykształcenia pretensyę, a nawet słuszny tytuł, uchwały powag naukowych lub artystycznych wtedy dopiero uznają, gdy czują poza niemi władzę rządową. W obec tego, dla ludzi kochających szczerze przeszłość polską i jej zabytki, wzmocnienie władzy konserwatorów musi stać się rzeczą nadzwyczaj pożądaną, i nic dziwnego, że sprawa ta raz podniesiona musiała wywołać żywą dyskusyę, choć dziś jeszcze w dziedzinie tereotycznych pragnień się obraca.

Nierównie milszą, a nam się zdaje, że w skutkach swoich ważniejszą stroną zjazdu, było oglądanie krakowskich pomników, i te zebrania wieczorne, przy których wymiana myśli i zbliżenie się z gośćmi naszymi stało się możebnem. Pierwszego dnia zaczęliśmy od Wawelu, który i najobojętniejszych musiał zająć, a tych co po raz pierwszy byli w Krakowie, musiał zadziwić. Kaplica Zygmuntowska była oczywiście głównym przedmiotem zachwytu, to też wielu członków zjazdu z niepokojem zwracało uwagę na ogromne uszkodzenia, jakie są widoczne na zewnętrznej stronie tej kaplicy, która, zdaniem ich, wymaga jak najrychlejszej restauracyi, by resztki pozostałej prześlicznej ornamentacyi ciosowej ochronić. W obec grobów naszych królów, br. Helfert z boleścią wspominał Pragę, gdzie wojny husyckie i wojna trzydziestoletnia wszystkie prawie dawne groby zniszczyły. P. Ilg, jeden z najmłodszych i najbardziej ożywionych miłośników starożytności, nie mógł się dość napatrzeć przedmiotów tej muzealnej wartości, jak ołtarz srebrny w Zygmun-

towskiej kaplicy, lub gobelin kościoła św. Katarzyny. Radca sekcyjny, p. Lind interesował się wszystkiem, a w sposób tak miły, i z taką dla nas sympatyą, że to mu serca wszystkich jednało. Benedyktyni austryaccy i inni duchowni mieli w kościołach naszych obok piękna i skarbów archeologicznych inne jeszcze użycie, bo widzieli w nich ciągłe dowody wielkiej dawnej pobożności narodu. Zwiedzanie więc odbywało się swobodnie, z wielkim humorem, podniesionym pierwszego zaraz dnia tą okolicznością, że gdyśmy objeżdżali na Kazimierzu kościoły św. Katarzyny i Bożego Ciała, a szczególnie gdyśmy zajechali przed synagogę Kazimierzowską, tłumy żydów gnały za nami z właściwem sobie ożywieniem i wrzaskiem, co było dla gości naszych nieznanym dotąd widowiskiem, a pochodowi naszemu nadawało charakter tryumfalny. Szkoda tylko, że czas był krótki, i spieszyć się trzeba było bardzo, — kościółek św. Idziego zwiedziliśmy już prawie pociemku. I tak jednak wzmianka, że niektórzy z radców miejskich pragnęliby zburzyć presbiteryum tego kościoła dla tramwaju, wywołała wśród gości okrzyki oburzenia.

Na drugi dzień zwiedzało się muzea i zabudowania św. Ducha, o których ogólne było mniemanie, że jeżeli zachowa się część z gotyckim sklepieniem, to resztę zburzyć można. Architekci obecni jak Prokop i Hauser mówili, że restauracya reszty tego budynku kosztowałaby bardzo wiele, i że lepiej wziąść z tej części niektóre ciekawsze kamienie do muzeów, a resztę zburzyć. Tego zdania był także br. Helfert, tylko p. Ilg zauważył, że gdyby to od niego zależało, on by tego budynku burzyć nie pozwolił; że ta obietnica pozostawienia jednej części budynku jest bardzo niepewna, zazwyczaj w takich rzeczach *wer A sagt muss auch B sagen*, i później pokazuje się, że i resztę zburzyć trzeba. Uchwały żadnej nie było, ale niemniej najstarsza część budynku na śmierć skazaną została.

I nie mogło być inaczej. Cudzoziemiec w każdym zabytku widzi tylko jego wartość artystyczną, gdy my w nim cenimy szczególnie i słusznie, historyczną pamiątkę. Nie chciałbym już mówić o zabudowaniach św. Ducha, o których za wiele mówiono, i uważam tę sprawę za skończoną, ale nie mogę się powstrzymać od pewnych uwag ogólnych. Jest w Kijowie resztka starego muru niczem nie interesująca cudzoziemca, chyba tem, że ogrodzona sta-

rannie, pomimo to jest ona przedmiotem czci wszystkich mieszkańców miasta, bo to ostatni szczątek słynnej złotej bramy. Zdawałoby się, że nie powinnibyśmy w uczuciu patryotycznem mieszkańcom Kijowa ustąpić, więc gdyby nawet w zabudowaniach św. Ducha nie było ani jednego pięknego i ciekawego kamienia, to jednak szpital z XIII wieku jest w Polsce czemś tak rzadkiem, a tak chlubnie świadczy o dawnej kulturze naszej, że koniecznie chciałoby się szczątki jego zachować, i patryotyzm nasz musi cierpieć, jeżeli się chce dla teatru podobną pamiątkę wymazać do szczętu z oblicza ziemi. Gdyby presbiteryum św. Idziego było bez żadnej artystycznej wartości, (a wiemy, że rzecz ma się wręcz przeciwnie), to jednak kościół fundowany przez króla Władysława Hermana na podziękowanie P. Bogu za przyjście na świat Bolesława Krzywoustego, jest pamiątką tak w swoim rodzaju jedyną, łączy się tak żywo z najpiękniejszemi kartami naszej dawnej przeszłości, że patryotyzm rzeczywisty nie może pogodzić się z myślą, aby tej pamiątki dotknąć. Ale jeżeli kto tego nie rozumie? Jeżeli coraz więcej ludzi, co polskich pamiątek nie kochają? Jeżeli do tego niezrozumienia przyłączają się jeszcze nienawiści polityczne, które sprawiają, że jedno stronnictwo chce burzyć jedynie dla tego, że przeciwne chce zachować... to pytam się, co się z Krakowem stanie? Dziwnie się temu miastu nie wiedzie. Po epoce, w której Republika krakowska z dziwnem lekceważeniem zabytków burzyła wszystko co mogła, nastąpiła — szczególnie po pożarze — zbawienna reakcya, i poczęto z wielką czcią i miłością ratować, odbudowywać, restaurować. Ale to trwało zbyt krótko, bo niepostrzeżenie ludność krakowska poczęła się zmieniać, coraz mniej w niej „dzieci krakowskich“, coraz więcej obcych umysłem i sercem, — i stąd w ostatnich kilkunastu latach tyle prywatnych domów przebudowanych dla wygody lub zysku, i w swej wartości starożytnej zniszczonych zupełnie, stąd dzisiaj pewien prąd i pewna gorączka brania się do zabytkow publicznych.

Ale dajmy temu pokój. Tak trudno nie dać się porwać, gdy się jest dotkniętym w tem, co się kocha. Gościom naszym nie możemy mieć za złe ich zdania — ze swego stanowiska sumiennie wydać je mogli, a pewna grzeczność dla miasta zniewalała ich nawet, aby taki sąd wydali. Oni tyle widzieli pięknych rzeczy w Krakowie, a przy swej kulturze i wykształceniu tak doskonale ocenić

je mogli, że nic dziwnego, iż budynek św. Ducha po tem wszystkiem ich głębiej nie zainteresował. Wracając do przedmiotu dodam tylko, że w dalszym pochodzie naszym byliśmy jeszcze w kościele św. Floryana, a potem już każdy na swoję rękę oglądał czego był ciekawy. Mnie szczęśliwym trafem dostał się dyrektor cesarskich muzeów, Ilg, którego obwiozłem po najciekawszych domach w rynku i na ulicy Kanonnej, i nadzwyczaj mile czas z nim spędziłem.

Oba wieczory, poniedziałkowy i wtorkowy, spędziliśmy razem: w poniedziałek w salach Tow. Ogniowego podejmowani przez miasto, we wtorek w hotelu Drezdeńskim. Pierwszy z tych wieczorów, choć gościnność radzców miejskich była wielka, przyjęcie świetne, a towarzystwo bardzo pięknie dobrane, wypadł gorzej z tej prostej przyczyny, że uczta zastawiona była w bocznych pokojach, gdzie zbyt mało było miejsca. Gdyby się było urządziło bufet w głównej sali, która przez cały czas była pustą, z pewnością byłoby lepiej, swobodniej, łatwiejszy byłby przystęp, bylibyśmy więcej ze sobą mówić mogli. Ale takie rzeczy dopiero z doświadczenia się widzi. Drugi za to wieczór, tak zwana „kneipa“ lub „komers“, dużo był milszy i swobodniejszy. P. prezydent miasta dolewał wina i wzniósł pierwszy toast dziękczynny, bardzo serdeczny i piękny w ręce br. Helferta, po którym szły już toasty jedne za drugiemi, coraz swobodniejsze i weselsze, z coraz większą przymieszką dowcipu. Br. Helfert mówił trzy razy z wielką dla nas sympatyą. Prof. Zacharjewicz położył mu na serce, by kiedyś, w przyszłości Lwów na zjazd obrano. Pięknie wzniósł prof. Ćwikliński toast „kochajmy się“, który tym razem wcale nie był ostatni, i owszem, był tylko bodźcem do dalszych, i zaraz po nim prof. Szaraniewicz mówił na niewyczerpany nigdy temat zgody między Polakami i Rusinami, dodając do „kochajmy się“: „mnohaja lita“. Gdy w towarzystwie dało się słyszeć życzenie, aby ktoś przemówił po polsku, prof. Smolka, sekretarz zjazdu, wzniósł po polsku zdrowie wszystkich nieobecnych konserwatorów i członków Komisyi centralnej. A już gdy przy końcu prof. Ramsdorfer z Czerniowic wzniósł zdrowie dam, na które ojciec obecnych dwóch dam, p. Wankel, założyciel muzeum w Ołomuńcu serdecznie odpowiedział, zapanowała powszechna wesołość: wielu wstało ze swych miejsc

i zmieszali się wszyscy, zaczęły się sypać dowcipy i dogadywania, którym nie było końca. Prym trzymał stary prof. Radnitzky, który w ciągu komersu tłumaczył się przed jednym z kapłanów, iż bardzo jest nieśmiały, i dlatego nie odważył się wznieść zdrowia duchowieństwa, co bardzo miał na sercu, gdyż uprzejmością swoją i nauką wiele do korzystnego zwiedzania krakowskich kościołów się przyczyniło. Prosił tylko, by to księżom prywatnie od niego powiedzieć. Później jednak ośmielił się i rozweselił bardzo, a w końcu odezwał się, że nie pamięta milej spędzonego wieczoru. Pomiędzy jednym toastem a drugim była ciągle ożywiona rozmowa, w której każdy z przybyłych szukał sobie towarzysza do omawiania tego, co go najbardziej interesowało.

Mniej dla gości naszych, ale dla nas niezmiernie ciekawa była wystawa zdjęć i publikacyi naszych pomników, urządzona przez prof. Łepkowskiego. Choć brakowało w nich zdjęć Wawelu p. Prylińskiego, i rysunków p. Cerchy, a zapewne wielu jeszcze innych rzeczy, — tak była bogata, że nas wszystkich zadziwiła. Szczególnie czynnym na polu umiejętnych zdjęć zabytków naszych jest prof. Zacharjewicz z całym zastępem młodych uczniów swoich na lwowskiej politechnice. Widzieliśmy śliczne rysunki Biecza katedry tarnowskiej, wielu budynków Żółkwi, kaplicy Boimów we Lwowie, i mnóstwa cerkwi drewnianych, a szkice samego p. Zacharjewicza są prawdziwemi arcydziełami w tym rodzaju. Nadzwyczaj czynny jest także p. Zubrzycki, szczególnie co do drobniejszych zabytków krakowskich. Prof. Odrzywolski choć tak wiele buduje i wykłada, potrafił zebrać wiele pięknych rzeczy, nie mówiąc już o katedrze na Wawelu, która wśród wszystkich prac wystawionych pierwsze zajmowała miejsce. Zbiór fotografij Krügera, choć niekompletny, był zdumiewający. Przytem teki ś. p. Księżarskiego i wiele pomniejszych i pojedyńczych rysunków, i cały szereg publikacyj, nieraz już zapomnianych, — wszystko to stanowiło bardzo bogatą całość, i żal tylko, że wystawa trwała tak krótko, i w czasie, w którym tylko dorywczo przyjrzeć się jej można było. Wspomnieć także muszę, że przewodnik niemiecki, ułożony krótko i treściwie przez p. Demetrykiewicza, wypadł doskonale, i zupełnie odpowiadał potrzebie.

Oto bardzo niedokładny i pobieżny opis zjazdu, który trwając dwa dni tylko minął jak błyskawica, i dlatego nie pozwolił

nikomu objąć całości. Tak ja jak i każdy, kto w nim wziął udział, o ile zajęcia jego zwykłe na to mu pozwoliły, zetknął się bliżej z małą tylko liczbą gości, z którymi przypadek, lub czasem wspólne zamiłowanie jakiegoś przedmiotu go sprowadziły. Wystarcza to jednak, byśmy nie wątpili, że zbliżyliśmy się nieco do Europy, a to bardzo ważne, i że gościom naszym Kraków się podobał, i wynieśli mniemanie pochlebne o gościnności naszej, o naszej kulturze i o usiłowaniach naszego miasta, by iść za postępem.

Ks. Eustachy Skrochowski.

Z mowy Windthorsta.

Dr. Windthorst wygłosił na walnym wiecu katolików niemieckich we Fryburgu d. 6 września mowę, z której podajemy tu kilka godnych uwagi ustępów:

Prasa nie może nieraz wśród gorącej walki wstrzymać się od słów ostrych, zwłaszcza w obec przeciwników, którzy także w słowach nie przebierają. Nie możemy atoli zaprzeczyć, że prasa katolicka wiele dobrego dotąd uczyniła i wielce nam w walce naszej była pomocną. Radzę też wszystkim, nawet i mniej zamożnym, ażeby zaabonowali sobie dobry jaki organ katolicki. Nie zdajemy sobie sami nieraz sprawy z wrażenia, jakie wywiera na umysł nasz codzienne czytanie gazety z ściśle określoną tendencyą. Niejednemu nawet wykształconemu i dojrzałemu mężowi zdaje się, że zasady jego są niezłomne, i że może tak dla informacyi albo z ciekawości zaabonować sobie dziennik z przeciwną zasadom jego tendencyą. Tymczasem, co się dzieje? Oto, ustawiczne czytywanie owego dziennika oswaja go nasamprzód z jego tendencyą, a w końcu zmienia tegoż zasady i zapatrywania. W stokroć widoczniejszy sposób dostrzedz się to daje u tych, którzy nie posiadają jeszcze dostatecznie wyrobionego własnego zdania. U tych nieraz psuje czytanie niedobrego organu cały zasiew dobry, rzucony przez księdza w niedzielnem kazaniu. Dla tego też polecam duchownym naszym, aby sumiennie czuwali nad pismami, czytywanemi przez politycznie niedoświadczonych parafian, i w danym razie radą i pomocą im służyli.

Duchowieństwo nasze zasłużyło sobie, dzięki Bogu, i pod tym względem na zupełną naszą wdzięczność i szczere uznanie. Pod wodzą naszych Najprzewielebniejszych Biskupów stanęło duchowieństwo katolickie mężnie do walki, i walczyło z poświęceniem i zaparciem się siebie. Kiedyś też dzieje Kościoła zapiszą, że duchowieństwo nasze z czasów walki kulturnej piękne zajmuje miejsce wśród najlepszego duchowieństwa wszystkich wieków.

Pan Racké powiedział, że nie ustaniemy w pracy, dopokąd ostatni zakonnik i ostatnia zakonnica nie wrócą do Niemiec — i słusznie to powiedział, chociaż obawiam się, że Jezuitom naszym dopiero socyaliści otworzą bramę. Nie chcę przez to powiedzieć, iżby socyaliści dobrowol-

nie nam Jezuitów sprowadzili (wesołość), tylko sądzę, że uczynią to panowie, którzy ster państwa dzierżą w ręku, gdy im socyaliści zbyt gorącego sadła za kołnierz naleją. Wystawiam sobie już w duchu panów ministrów, jak w czasach wielkiej socyalnej nędzy jeździć będą po kraju i pytać się w każdej okolicy: „Nie macie Jezuitów? To sprowadźcie ich co rychlej!“ (Ogólna wesołość). Dzieje się to już dzisiaj tu i owdzie, naturalnie w wielkiej tajemnicy, której bynajmniej nie mam zamiaru zdradzić.

M. Panowie! Czas nagli, a miałem tyle jeszcze do powiedzenia. Ale przystąpić muszę przedewszystkiem do najważniejszej uchwały naszego wieca. Tyczy się ona położenia Ojca św. Bylibyśmy niewdzięcznemi dziećmi, gdybyśmy nie byli zastanowili się nad smutnem położeniem wspólnego Ojca naszego. Wiemy wszyscy, że Rzym nie został dotąd prawemu dziedzicowi przywróconym. Każdy grzech, każda wina muszą być odpokutowane, a takich wypadków wiele spotykamy w dziejach świata. Przypomnijmy sobie tylko Napoleona I Nie wrogowie go pobili, ale Pan Bóg, pragnąc ukarać pychę jego. „*Discite justitiam moniti et non temnere divos* — oto nasza zasada. Terytoryalna niezależność jest dla Ojca św. niezbędną, jeżeli ma swobodnie rządzić Kościołem.

Przyznali to nawet najzaciętsi jego przeciwnicy. Sam p. Crispi powiedział w r. 1864, że Ojciec św. musi być panującym, a nie może być poddanym świeckiego władzcy, a inny mąż włoski powiedział, że Ojciec św. chociażby jedno miasto własne posiadać powinien, a miastem tem może być tylko Rzym. Odwołuję się wyraźnie na zdanie Włochów samych, aby nam nie zarzucano, że nie znamy włoskich stosunków. Zdaje się, jakoby p. Crispi o dawniejszych słowach swych zapomniał, nie będzie się więc gniewał, że ja, jako sprzymierzony Niemiec, przypomnę mu słowa jego dzisiaj na tem miejscu (Brawo!) Wszystkie państwa równy mają w tem interes, ażeby Ojcu św. powrócono niezależność, nawet państwa niekatolickie, bo jestto aż nadto znanym faktem, iż Stolica św. jest najwięcej konserwatywnym i najskuteczniejszym środkiem zaradczym przeciwko rewolucyi. Gdyby Stolica św. upadła, powstałby chaos nie do opisania. Stawiliśmy więc dzisiaj znane rezolucye co do kwestyi rzymskiej, a powinniśmy je powtarzać głośno i bezustannie, ażeby stały się własnością ogółu, i w ten sposób wyrażały życzenia całej ludności. Mam nadzieję, że rychło spełni się to, czego żądamy, pomimo opozycyi przeciwników naszych, bo idea zdrowa, dobra i konieczna urzeczywistnić się musi, chociaż nieraz trwa długo, zanim idea ta konieczny wyłom sobie zdobędzie.

Druk ukończony dnia 27 września 1888 r.

CO TO JEST HYPNOTYZM?

Incrédules, les plus crédules de tous!
Pascal. Pensées.

Świadkami jesteśmy ciekawego zjawiska w umysłowości naszego czasu. Do niedawna każdy fakt nieco nadzwyczajny, nie dający się sprowadzić do utartych formułek materyalistycznej nauki, uchodził za bajkę, wstrząsano nad nim ramionami, nie zadawszy sobie nawet pracy, żeby go skonstatować. Dziś nie ma rzeczy tak dziwnych, tak cudacznych i nieprawdopodobnych, któreby nie budziły ciekawości, i nawet wiary, w szerokich kołach inteligencyi i nauki. Ci sami ludzie, którzy przed kilkoma laty uśmiechali się i na wzmiankę o stygmatach św. Franciszka lub zachwyceniach św. Teresy, dziś mówią i piszą, że te wszystkie zjawiska nie przedstawiają w ich oczach najmniejszej trudności; wierzą nawet cudom czarnoksiężników egipskich, szarlataneryom fakirów, urokom wróżek; wierzą p. Ochorowiczowi, kiedy opowiada o mocy rozkazywania myślą w największych odległościach. Niedawno czytałem w najpoważniejszym naukowym piśmie *Revue scientifique (vulgo: Revue rose)* artykuł *Sur la lévitation*, gdzie autor skłania się do uznania za fakt, że święci chrześcijańscy, razem z fakirami indyjskimi i rozmaitymi czarodziejami, posiadali tajną moc unoszenia się w powietrzu!

Skądże ta nagła zmiana frontu? Czy jakieś wielkie cuda boże nawróciły tych niedowiarków? Nie; zjawił się tylko — po prostu: hypnotyzm! Jeszcze nie wiedziano co to jest hypnotyzm — tem mniej wiedziano, czy owi cudotwórcy, magowie, ekstatycy, fakiro-

wie, używali praktyk hypnotycznych lub czegoś podobnego — jak tylko posłyszano, że jest jakiś hypnotyzm, potęga jakaś tajemnicza, zaraz temu bożkowi, choć jeszcze grubem nimbem otoczonemu, uwierzono i pokłon oddano; wszystkie cuda jakie on sobie przypisywał, łatwowiernie za prawdziwe przyjęto, i więcej w niego wmawiano niż chciał: — a to nietylko *pronum flecti vulgus*, ale ludzie nauczający i piszący.

Jedno z dwojga: albo wprzódy ci panowie byli nadto niedowierzający (a raczej płocho niewierzący), kiedy bez sprawdzenia odrzucali wszystko, co im światem nadprzyrodzonym pachniało; albo teraz są zanadto i płocho łatwowierni, kiedy podobne fakta i objawy bez naukowego zbadania przypuszczają. Do wyboru.

W gruncie ten dziwny stan umysłowy nie jest nowością. Po za wiarą było zawsze z jednej strony niedowiarstwo, z drugiej zabobon. A choć wiara była i jest niejako pośrodku, nie trzeba myśleć, że jest stanem przejściowym między temi dwiema skrajnościami. Nie z wiary, w ogóle mówiąc, przechodzi się do zabobonu, ale wprost z niedowiarstwa. Co się tłumaczy psychologicznie, a historycznie się dowodzi. Tłumaczy się to, mówię, psychologicznie: bo wrodzona człowiekowi religijność, gdy się rozminie z prawdziwą religią, dla której jest przeznaczona, wypuszcza jakby skarłowaciałe pędy wierzeń i praktyk z wyobraźni wysnutych. Dusza ludzka *naturaliter christiana*, nie znalazłszy lub zgubiwszy wiarę, instynktowo szuka jej surrogatu w zabobonie. Dowodzi się zaś to samo historycznie: bo faktem jest, że w epokach i w krajach odznaczających się największym upadkiem wiary, najbardziej też grasował zabobon.

Już w pogańskim Rzymie, kiedy jaka taka religia przodków wymarła do szczętu w duszach, tj. w epoce cesarskiej, wybujała też bez wiary najdziwaczniejsza zabobonność: gusła, uroki, fałszywe cuda, panowanie astrologów i czarnoksiężników — jakiś terroryzm demoniczny owładnął świat. Taki typ ateusza owych czasów, jak Pliniusz, jest także typem najdziwaczniejszej zabobonności. A w czasach chrześcijańskich, kiedyż to zakwitła na dobre alchemia i astrologia? kiedy wykształceni ludzie trudnili się magią i setki dzieł o niej pisali? kiedy palono na stosach krocie czarownic? Czy w wiekach wiary, w średniowieczu — jak wielu u nas nai-

wnie, nie wiem za kim powtarza? W średnich wiekach zdarzały się takie fakta sporadycznie — ale nie znać ani w literaturze, ani w sądownictwie, ani w teologii tych czasów, żeby te zdarzenia były częste, żeby umysły społeczeństwa tem były zajęte. Dopiero z epoką zachwiania wiary, z początkiem reformacyi, ta cała demonomania na dobre się zaczyna. Luter sam ma ciągle djabła na ustach i pod piórem, przyznaje się do stosunku z nim [1]; Zwingli tak samo. Przywódzcy reformacyi każą palić czarownice [2] — i aż groza pomyśleć jak się ten rozkaz wykonywał. Procesa karne o czary zaczęły się już w końcu średniowiecza, (pierwsze w XIV w.). Ale dopiero wśród reformacyi zaczynają się straszne tortury i straszne cyfry. W takiem księstewku Bamberskiem ze 100.000 ludności, ginie na stosie 285 w ciągu trzech lat (1627—1630), w miasteczku Rottweil palą 70 czarownic w 40 latach; do 1593 w Nördlingen po 10 na rok od 1590—1593. „Wiara zabobonna w djabły i widma, mówi protestant Mentzel, napełniła wszystkie głowy tak, że przez półtora wieku więcej spalono w Niemczech czarownic i czarowników niż heretyków w Hiszpanii“ — to mówił, kiedy jeszcze bajeczne cyfry przypuszczano o ofiarach inkwizycyi. Dopiero Fryderyk Spee, Jezuita, rzucając się przeciwko powszechnemu prądowi z narażeniem własnego życia, głośną książką swoją: *Cautio de processibus contra sagas* i świadectwem, że z dwustu czarownic, które w 2 latach na śmierć dysponował, żadna nie była winną — powstrzymał w części te okrucieństwa — które jednak w protestanckich kraikach aż do początku naszego wieku się przeciągnęły. Naczytać się o tem można, z przytoczeniem źródeł, w historyi Niemiec Janssena.

Ale nie mniejszy był szał zabobonu w drugiem gnieździe reformacyi, w Anglii. Historycy angielscy oceniają na 40.000 liczbę ofiar straconych przez srogich Purytanów za mniemane czary, lub też — co było specyalnym ich zabobonem — dla tego, że byle

[1] Audin. Vie de Luther I. ch. 21.

[2] W czasie druku tego artykułu spotykam się z książką, która obszernie i źródłowo wykazuje, że cały ten ruch przeciwko czarownicom od Lutra wychodzi. „Der Hexenwahn vor und nach der Glaubensspaltung in Deutschland“, von Johann Diefenbach, Inspector an der Deutsch-Ordens-Comende zu Frankfurt a M. VIII. 360 S. Mainz. Kirchheim's Verlagshandlung.

jaki predykant upatrzył w nieszczęśliwej ofierze inkarnacyę Belzebuba, lamię, lub coś podobnego.

A oprócz tych okrucieństw, któreby można złożyć (po części) na ciemnotę ludu i na polityczne namiętności, widzimy ze zdziwieniem, że najpoważniejsi ludzie, uczeni znakomici, humaniści pierwszej wody, królowie i mężowie stanu, tak w Anglii, jak na kontynencie, oddają się serio magii i wszelkiego rodzaju zabobonom. Sławny Wiliam Lilly jest mistrzem astrologów; Korneliusz Agrippa wodzi djabła, którego przywiązał do obroży swego psa; Paracelsus ma również djabła uwięzionego w rękojeści swej szpady. Król Jakób I i jego dworzanie ślęczą w zaryglowanych komnatach nad czarnoksięzkiemi księgami. A przepowiedni, widm, upiorów, znahorek, ksiąg i książek o rzeczach magicznych — istne zatrzęsienie, przenikające całe społeczeństwo.

Ten cały świat fantastyczny wróżek, czarowników, elfów, gnomów, który znajdujemy w dramatach i jeszcze więcej w komedyach Szekspira, a który nam się przedstawia jak piękna fantasmagorya, nużąca jednak swą przesadą i dziwactwem, ten świat fantastyczny, mówię, jest wiernem odbiciem tego co się roiło w głowach spółczesnych widzów wielkiego dramaturga. Jedni takim rzeczom wierzyli zupełnie, drudzy do połowy, a wszyscy w tem ciągle żyli. Wyszło przed rokiem w *Revue des deux Mondes*[1], ciekawe studyum o spółczesnej książce *Miscelanea* John'a Aubrey, wydanej pod koniec XVII wieku. Ten John Aubrey, człowiek z wyższego stanu, nietylko sam żyje całe życie w wirze widm i czarów, ale jest w przyjaźni i w korespondencyi z całym ówczesnym *high lief* angielskim; i ludzie, których poważamy jako polityków, uczonych humanistów, filozofów, zdradzają się we własnych listach, przechowanych przez tego *enfant terrible*, jako zabobonnicy pierwszej klasy. Sam autor wspomnianego studyum, Emil Montégut, choć nie wygląda na stronnika wieków średnich, uznaje, że „mylimy się zwykle przypuszczając, jakoby reformacya i odrodzenie stłumiły zabobonność średniowieczną, gdyż przeciwnie rozdmuchały ją i spotęgowały do najwyższego stopnia".

[1] Curiosités littéraires et historiques. John Aubrey, par Emile Montégut. Revue des deux Mondes. 1 Juillet, 1887.

Nakoniec i w naszym wieku, przy nowem zaćmieniu wiary, jakiego świadkami jesteśmy, występuje znowu zabobon jako surrogat wiary — i często się wyraźnie za taki surrogat podaje.

W pierwszej połowie naszego stulecia, kwitnie magnetyzm Mesmera, z całym przyborem tajemniczych pociągnięć rąk *(les passes)*, magnetyzowanych przedmiotów: wanien, drzew, nawet listów... z fluidem eterowym i nerwowym, z Odem i ze Spirodem[1]... i z wieloma innemi rzeczami. Używany z początku do cudownych kuracyj, wnet zaczyna służyć za wyrocznię. Magnetyzowane pitoniski mówią obcemi językami, widzą co się dzieje na drugim końcu świata, przepowiadają rzeczy przyszłe, (które niestety wcale nie przyszły); magnetyzm wysługuje się medycynie, polityce, religii, nawet (ktoby wierzył?) filozofii. Zacny Józef Gołuchowski zaczyna swe „Dumania o najważniejszych zagadnieniach człowieka", od opowiadania cudów, których się napatrzał przy łóżku magnetyzowanej histeryczki — i na tem swoją filozofię opiera.

Ale na prawdę rozpoczęła się magia od połowy stulecia z wirującemi stolikami — około r. 1853. Z chyżością cyklonu ta mania kręcenia stolików obiegła Europę i Amerykę; i w naszych oświeconych czasach — kiedy się ani cudom Chrystusa nie wierzyło — nie było prawie salonu, gdzieby nie dawano wiary odpowiedziom stołowych nóg. To zabawa, mówiono; — ale sam szał, z jakim się tej praktyce oddawano, pokazywał, że nie uważano tych odpowiedzi za czysto przypadkowe, ani za figle którejś z osób obecnych. A najlepszy dowód, że pod zabawą kryło się wierzenie zabobonne, żyłka nekromancyi[2], to że od stolików, przeszło się niebawem do bliższych i bezpośrednich stosunków z duchami, które miały przez stoliki przemawiać. Zamiast liczyć pukania, zaczęto przywiązywać do nogi stolika ołówek — potem ołówek z papierem do szufladki zamykano — potem stolik zastąpiono ekerką — i tak coraz dalej, aż przyszło do bezpośredniego wywoływania duchów, do spirytyzmu.

To wszystko działo się ćwierć wieku temu. Kilkanaście lat wystarczyło, od pojawienia się stolików wirujących, do przebycia

---

[1] *Od* i *Spirod*, nazwy pewnych fluidów czyli płynów eterycznych, przypuszczanych przez teoretyków magnetyzmu.

[2] Nekromancya: gatunek magii, zależącej na wywoływaniu umarłych.

tego całego procesu, i dojścia aż do ostatecznej formy magii, gorszej i nierównie więcej rozkrzewionej niż wszelkie magie wieków ciemnoty [1]. Roku 1862—63, liczono już 5 milionów spirytystów, 5 milionów ludzi, którzy wierzyli w wywoływane przez się duchy, i mieli religię, dogmata i kult od nich objawiony. Hume był wówczas ciekawością Paryża, a Alan Kardek trząsł Ameryką. Uczony Arago, z polecenia Akademii Nauk paryskiej, chodził na posiedzenia spirytystów, i zdawał o nich sprawę w uczonem gronie, zaczynając od słów: „Odtąd już nie ma nic niemożebnego, poza matematyką". Sam widziałem w Metz rozlepiane po ulicach objawienia św. Augustyna obok objawień ducha Cycerona. A kto policzy niedorzeczności, jakie się działy podówczas w naszym kraju i wśród naszej emigracyi, kiedy ten zgubny podmuch z Zachodu przyszedł rozdmuchać wiecznie tlejące u nas zarzewie chorobliwego mistycyzmu? Nie chcę tego przedmiotu, o którym się już dosyć pisało, ponawiać.

Nie minęła jeszcze mania spirytyzmu — (w chwili, kiedy to piszę, czytam w gazetach zapowiedź walnego kongresu spirytystów w Barcelonie) — a tu z dalekiego Wschodu przypływa do Europy jakiś wskrzeszony, mgłą cudowności owiany Budaizm. W imieniu Budy apostołowie obiegają Anglię, Szkocyę, Francyę, Rosyę; pod ich stopami powstają gminy czy kluby wiernych i fanatyków; ludzie cywilizowani, niegdyś ochrzczeni, wierzą, że religia Budy jest „religią przyszłości", wierzą, że gdzieś w górach himalajskich mieszkają „tajemniczy bracia", którzy przechowują od wieków klucz wiedzy świata; wierzą, że ci bracia, zostawiając swe ciała w górach, przychodzą do nich przez morza w „gwiaździstej postaci" (jakiejś eterycznej powłoce duszy), że bywają obecni na ich zebraniach i objawiają ich naczelnikom tajniki swej mądrości. Tajniki te oczywiście spisują się z nabożeństwem, i tworzą komiczną miksturę indyjskiej teozofii z pozytywizmem europejskim [2]. To wszystko nie

[1] Magia ta nie spowodowała mordów jak w czasie reformacyi, bo łagodność dzisiejszych obyczajów nie pozwoliła, wywołała jednak mnóstwo samobójstw, o których wówczas wiele pisano.

[2] Sprawozdanie z całego tego ruchu, z przytoczeniem źródeł, umieszczone było w *Przeglądzie Powszechnym* pod tytułem: *Indyjska Teozofia w Europie.* W lutym 1887, tom XIII, str 208.

jest snem, ale dzieje się w naszych czasach, wśród naszej oświaty. A to jeszcze nie ostatnie słowo.

W ostatnich paru latach stanęło przed nami nowe widmo. Mówią nam o jakiejś magicznej mocy, którą człowiek nad człowiekiem zdobywa. Usypia go, już nietylko pociągnięciami rąk, ale prostem wejrzeniem, rozkazem; w tem śnie włada nim jak automatem, sprawia mu dowolnie różne bóle lub znieczulenia; wprowadza go w katalepsyę i najdziwniejsze patologiczne stany; leczy go jednem słowem z długoletnich chorób. Co więcej, włada jego duszą, narzuca mu jakie chce myśli, żądze, widzenia, uczucia; przemienia go dowolnie w inną osobę, której pacyent przybiera natychmiast mowę i charakter; obdarza go jakiemś jasnowidzeniem, tak dalece, że uśpiony objawia naukę, ktorej nie nabył, odgaduje choroby i lekarstwa, widzi rzeczy i osoby o sto mil odległe. Więcej jeszcze: ta czarodziejska władza i po za snem sięga: po kilku dniach, po miesiącu pacyent spełnia nieuchronnie, o naznaczonej godzinie, rozkaz, który we śnie otrzymał, a o którym nic nie wie. Myśli, że za własnym idzie popędem, a on jest igraszką suggestyi nieuniknionej, jak grecka Μοῖρα. Mówią wreszcie, że człowiek posiadający tę straszliwą różczkę hipnotyzmu, może nawet bez słowa, samą myślą wpływać na myśli swych ofiar, może ich przymusić do zbrodni, wzniecić namiętności niepokonalne — i tym myślnym rozkazem ściga istoty ludzkie aż za morzami, i w jakiejkolwiek odległości przykuwa je do swojej woli... Cóż więcej wróżki za dobrych czasów mogły? — „Wstrząśnięte są (mówię słowami p. Zagórskiego [1]) podstawy, na których się dotychczas opierały fizyologia i medycyna“ — nietylko etyki, ale i fizyki pewniki się chwieją — jakiś zamęt ogarnia, którego nie podobna oznaczyć końca ni granicy... Hypnotyzm straszy, *il hante;* wszędzie go zaczynają widzieć, lub podejrzywać: w szpitalach, w kryminale, w sądach nawet (przynajmniej we Francyi), biorą go na seryo. A cóż powiedzieć o literaturze tego przedmiotu? Istna powódź! Naukowe przeglądy jak *Revue philosophique*, *Revue scientifique,* tem są zapełnione; wychodzi osobna *Revue de l' hi-*

[1] „Magnetyzm i hypnotyzm“ przez Włodzimierza Zagórskiego w *Niwie* w kwietniu b. r.

pnotisme; pisma popularne w lekko uczonych artykułach opowiadają o hypnotyzmie niemożliwe rzeczy; a powieści nadają tym marom kształty i puls życia. W chwili kiedy to piszę, w *Świecie* wychodzi powieść „Hrabianka Irma“, o hypnotyzmie — w *Revue des deux Mondes* „La tresse blonde“, o hypnotyzmie — w rosyjskim *Siewierze* „Wołchwy“, o hypnotyzmie. — Nie jestże to istna *Hexenwahn* XIX-go wieku?

Sądzę, że już więcej nie potrzeba, by przyznać naszemu wiekowi oświaty, iż nie ustępuje żadnemu innemu pod względem zabobonności. Wielka prawda mieści się w krótkiem słowie Pascal'a: „Niedowiarkowie, najłatwowierniejsi z ludzi!“

Czemu przypisać tę całą czaromanię, która pokutuje w naszych czasach? Czy jest w tem jakiś wpływ złego ducha? — takie pytanie stawiano mi nieraz w towarzystwie.

Z jednej strony niema żadnej wątpliwości dla chrześcijanina, że zły duch istnieje, że nie jest żadnem mitem ani uosobieniem złego, ale istotą realną, aniołem upadłym, który choć nie jest wcale przyczyną wszystkiego złego, jakie się dzieje na świecie — jednak ma pewien wpływ zgubny na człowieka. Wpływ ten normalnie jest li tylko moralnym, tj. na duszę i przez duszę człowieka. Czy w niektórych wyjątkowych razach zdarza się i wpływ fizyczny, to, co do konkretnych wypadków, bardzo trudno skonstatować, ale też z góry i absolutnie przeczyć możliwości takiego działania, byłoby nieracyonalnem — skoro nie jesteśmy materyalistami i rzeczywistości świata duchowego nie przeczymy.

Z drugiej strony zarówno niewątpliwem jest, że niniejszym światem rządzą regularnie prawa przyrodzone — a że w masie tych zabobonów i zabobonnych praktyk, które się roją w ludzkości, rdzennym czynnikiem nie jest djabelstwo, ale przedewszystkiem głupota ludzka, którą wiecznie korci chęć stosunku z tamtym światem, poza prostym szlakiem wiary. Bóg objawił nam drugi świat, bo do niego dążymy, ale przesłonił go naszym oczom (i wszelkim środkom doświadczalnym), bo chce, żebyśmy czystą wiarą na Jego słowo do niego dążyli. Wiara, wedle św. Pawła, jest przekonaniem o rzeczach niewidomych, nie podlegających doświadczeniu: πραγ-

μάτων ἔλεγχος οὐ βλεπομένων[1]. Otóż przeciwko temu prawu Bożemu powstaje w głębi duszy człowieczej zabobonność, jako chęć przekonania się na swoją rękę, doświadczalnie o tamtym świecie, przedarcia tej nietykalnej zasłony i domacania się, dotknięcia tego co jest z drugiej strony — a czego nie dotykać ale wierzyć należy. W ten sposób zabobonność choć na pozór pokrewna wierze, bo także drugi świat przypuszcza, istotnie jest wierze przeciwna. Jestto religijność spaczona, zepchnięta ze swojej drogi, a przeto do innego celu niż Bóg prowadząca. I dla tego jest występkiem przeciwko pierwszemu przykazaniu Dekalogu.

Ta zdrożna ciekawość zaświata jest dwojako niebezpieczną: raz, że jest zwichnięciem, użyciem na odwrót rzeczy najświętszej, religijności i wiary; a po drugie, że wprowadza w sferę ciemną, pełną grozy, żadnym światłem, ani rozumu ani wiary nie oświeconą, gdzie wyobraźnia ma nieograniczone pole do wszelkich wybryków, a niespokój sumienia towarzyszący zwykle w takich zaciekaniach, nadaje jeszcze płodom tej fantazyi potworniejsze kształty. W tej złej i szkodliwej skłonności człowieka ma zły duch sojusznika, i przez nią doprowadza on ludzi do tych krańców bezbożności i bezrozumu, jakie ze zgrozą zapisała historya i jakich sami za dni naszych byliśmy świadkami.

Spirytyzm, który jest typowem pod tym względem zjawiskiem, wypiera się bądź co bądź zarzutu bezbożności, i chełpi się tem nawet w swej literaturze, że wysługa się religii, odwodząc ludzi od materyalizmu i zmuszając ich do uznania świata duchowego. Ale co mi to za przysługa: z jednego błędu przeprowadzić w drugi, mniej gruby może, ale z którego trudniej się wydostać, gdzie się trzeźwość myśli i równowagę traci, gdzie się uczucie religijne na to rozbudza, żeby się wykoleić i przeciwko Bogu obrócić? Co za korzyść dla moralnego porządku wyniknąć może z rzeczy wręcz niemoralnej? A taką jest spirytyzm bezwarunkowo i w każdym przypadku: bo czy są jakie duchy na jego usługach czy ich niema, w każdym razie on ich wywoływać usiłuje, otwarcie się do tego przyznaje: jest więc po prostu nekromancyą, magią najgorszego gatunku — złą, jeżeli się sam lu-

[1] Hebr. XI, 1

dzi — gorszą jeszcze, jeżeli drugich oszukuje — najgorszą, jeżeli prawdę mówi.

Co do istoty, ten sam występek przeciw religii i prawu moralnemu, choć z mniejszą zapewnie świadomością, znajduje się w zagadywaniu stolików wirujących. Pytanie jest żądaniem stósownej odpowiedzi; a że nikt się od kawałka drzewa rozumnej odpowiedzi nie spodziewa, więc kto pyta stolika, ten żąda, żeby jakaś istota rozumna, oczywiście z poza świata, przez stolik odpowiadała.

Faktycznie, sprawcy tych odpowiedzi nie potrzeba w ogóle szukać poza światem, ale koło stołu — chociażby nie było umyślnego oszukaństwa. Kto przez pół godziny trzymał palce nieruchomo wyciągnięte nad stołem, ten takiego doznaje znieczulenia kończyn, że ani wie kiedy przyciska stół lub nie przyciska, i nie postrzega jak mechanicznie udziela stołowi wstrząśnień swej wyobraźni. Zdarzają się też dziwne pomyłki. Sam widziałem, jak stolik wypukiwał wiek pewnej pani obecnej, kiedy doszedł do prawdziwej liczby, pani się zarumieniła, wszyscy pod tym wrażeniem puścili stolik — stolik umilkł — i wszyscy się naiwnie dziwowali, że tak trafnie odgadnął. Ale w jakikolwiek sposób rzecz się dzieje faktycznie, w każdym razie, jak powiedziałem, ta chęć i próba otrzymania odpowiedzi od stolika jest czynem zabobonnym, moralnie złym, i bardzo niebezpiecznym, bo zrobiwszy pierwszy krok na tej śliskiej drodze nienależytych stosunków z zaświatem, człowiek ani wie gdzie się oprze i jakim wpływom się odda. *Facta loquuntur.*

Czy pod tę samą kategoryę podciągnąć należy także dzisiejszy hypnotyzm?

Gdyby trzeba sądzić o hypnotyzmie podług „sprawozdań popularnych“ polskich i zagranicznych, podług senzacyjnych wiadomości umieszczanych razporaz w gazetach i pismach illustrowanych, to doprawdy musielibyśmy zaliczyć hypnotyzm do najskromniejszych objawów zabobonności i czarnej magii naszego wieku. Czemże się różni wyżej opisany hypnotyzm od *scientia secunda (la double vue)* starych astrologów i alchemików, od różczek czarodziejskich, uroków, filtrów, i t. p.? i jakiż czarnoksiężnik większą sobie przypisywał potęgę jak dzisiejsi hypnotyzerzy, objeżdżający Europę z „wykładami“ i „demonstracyami“?

Próbują stronnicy tej nowożytnej magii illustrować ją i do dzisiejszej mody przystrajać rozmaitemi naukowemi formułkami i teoryami; ale gdy te wszystkie arcynaukowe wywody czytam, przypomina mi się żywcem wykład mądrego Kulpurmiusza w „Fabioli“, gdzie poważnie tłumaczy, jakim sposobem żołnierz postawiony na warcie wśród forum, mógł się nagle znaleść na dachu Emiliańskiej bazyliki: urzeknięcie, szczypta proszku z pewnego ziela, zawierającego więcej powietrza niż innych trzech elementów, a tłuczonego w moździerzu z aerolitu – i żołnierz poleciał.

Ale jakikolwiekby był naukowy charakter tych hypotez i tłumaczeń, bezwarunkowo powiedzieć można, że jeśli w hypnotyzmie zachodzi jasnowidzenie, odgadywanie rzeczy przyszłych, posiadanie języków lub nauk nienabytych, intuicya cudzych myśli w jakiejkolwiek odległości, narzucanie cudzej woli niezwyciężonego musu — to hypnotyzm taki jest niewątpliwie praktyką zabobonną, na równi z każdem innem czarnoksięstwem — a więc też rzeczą niemoralną, a nadto czynnikiem rozkładowym dla prawdziwej nauki i pchnięciem wstecznem cywilizacyi.

Ale inaczej wygląda hypnotyzm w dziełach poważnych badaczy i w gabinetach naukowych. Tam mu się zbliska przypatrzmy.

(Druga część nastąpi).

Ks. M. Morawski.

STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

V. Przytwierdzenie włościan do gleby.

(Ciąg dalszy).

Przechodzimy obecnie do dalszego wprowadzenia uciążliwej pańszczyzny.

W skutek najazdów nieprzyjacielskich pod koniec XVI-go i w ciągu XVII-go wieku, włościanie popadli w taką nędzę, iż prawo zobowiązało właścicieli do udzielenia zapomogi. Wraz z zapomogą zwiększono też ciężary. Ponieważ chłopi odbierali teraz po czworgu bydła załogi, uchwalono w r. 1573 robociznę w przeciągu 24 tygodni po 3 dni we dwoje z czworgiem bydła, a w osiem lat później robociznę tę rozciągnięto na rok cały. W r. 1603 wydano ustawę, że na przyszłość w miejsce odbywania robocizny z gruntu, ma każdy gospodarz odbywać z chaty po sześć dni; a ponieważ teraz prawie połowa gospodarzy trzymała już nie po całym, lecz po ćwierci łana, druga po pół łana, wypadnie zatem z łanu, na którym półłanowi siedzieli, po 12 dni, na którym zaś ćwierćłanowi — po 24 dni na miesiąc. W r. 1618 zwiększono tę robociznę o dwa dni z chaty. „Krótko mówiąc: w r. 1520 robotowano z łanu po jednym dniu, w r. 1534 po dwa dni, w r. 1581 po dni sześć, w r. 1603 po 24 dni, a w r. 1618 po 32 dni na tydzień“ [1].

[1] Lubomirski. 1857, II.

Były jednak wyjątki. W niektórych dobrach po prawym brzegu Noteci robotowano tak aż do czasów najnowszych, jak za Długosza [1], w kilku województwach były inwentarze, w których robota z umiarkowaniem była oznaczona, a na Ukrainie jeszcze z końcem w. XVII wielu poddanych zostawało na czynszach.

Nadto w dobrach królewskich był los poddanego lżejszy o wiele niż w szlacheckich. Istniały tu inwentarze, jakość powinności ściśle określające i ani urzędnik królewski, ani starosta, któremu król jakieś starostwo w dożywocie oddał, nie mogli dowolnie powinności tych powiększać; opieka króla i sądy referendarskie do rozpoznawania zażaleń poddanych ustanowione, silną przeciw uciskowi stanowiły zaporę. Z początkiem w. XVI robotowano tu jeszcze na dawny sposób uroczny, bo król potrzebował ludzi, nietylko do gospodarstwa, ale i do innych posług. W połowie XVI w. przyjęto w tych dobrach jeden dzień tygodniowo; Zygmunt August uwolnił poddanych swoich od podwód, powozów, stróża nocnego, a zobowiązał do dwóch dni, później do trzech, a w końcu panowania do czterech dni w tygodniu. Za panowania Władysława IV (1633—1648) ustanowiono w r. 1637 z ćwierci łanu po 3 dni [2]. Wolno też było włościaninowi wykupić się od robocizny, lecz wykup równocześnie z nią wzrastał. W r. 1489 dochodził do 24 groszy, w r. 1533 wynosił złotych 2; w r. 1564 do 4 złotych; w r. 1600 okupnik dawał do 14 złotych; w końcu XVII w. płacił 38 złotych, a z całego łanu (np. w Sandomierskiem) blisko 100 złotych. Ale mało który rolnik mógł się od pańszczyzny wykupić, dla braku gotówki; nawet wolni hultaje, którym zabroniono wychodzić na zarobek za granicę, i utrudniono przystęp do miast, kraju pieniędzmi nie zasilali, a zakaz handlu wiejskiego sprowadził taki ich brak pomiędzy kmieciami, że Zygmunt August zakazał wywozić monetę za granicę Polski [3].

---

[1] Lubomirski.

[2] Tamże. 1852, II.

[3] Przywilej w Piotrkowie 1550 r. Janusz. str. 59. Uwaga: W szczególny sposób wydzierżawiali rolę rataje a zwłaszcza na Mazowszu, dzieląc się plonami z właścicielem. Wydzierżawiano im rolę w 10, 20, a nawet 90% na ich korzyść, co zależało od jakości roli, od tego czy dostawali budynki i za-

Zmiany radykalne, dokonane w wieku XVI sprowadziły nieobliczone straty na ich kraj: przywiązując chłopa do roli, nowe prawa pozbawiały miasta zdrowego elementu narodowego, zostawiały je na łup cudzoziemcom, a szczególniej Żydom; wyciskając od chłopa nadmiar robocizny, wystawiały go na nędzę, zniechęcały do pracy, krzewiły lenistwo; wreszcie wyjmując go z pod prawa, tem samem wytworzyły w kraju ważny pierwiastek obojętny, a często wrogi. Takie były główne i ostateczne następstwa zmiany stosunków społecznych; na razie jednak nie dały się one odczuć, a nawet przyniosły pewne korzyści.

W czasach dla włościan najpomyślniejszych, zatem do końca XV w., przeważną cechą rolnictwa krajowego była uprawa drobna, obok której — jak widzieliśmy — wielka uprawa nie istniała prawie. Później jednak (wiek XVI, XVII) wytworzyły się przez zamienianie roli osiadłej w folwarczną, ogromne posiadłości prywatne, a napotkawszy wszystkie warunki korzystne, jako to: obfitość rąk wcale niekosztownych, łatwe drogi handlowe, nadto różne przywileje ich stanowi tylko udzielone, wywołały ogromną w kraju produkcyę. Polska staje się teraz spichrzem całej Europy, a ilość wywożonego zboża dochodzi cyfr zadziwiających. Najwięcej zboża szło przez port gdański, potem piławiecki, a i drogami lądowemi niemniej go wywożono. W wieku XVI szło przez Gdańsk nie więcej jak 10.000 łasztów [1], w pierwszej połowie XVII w. zwykły spław wynosił 100.000, a w r. 1648 dosięgnął 128.790 łasztów [2]; przez port piławiecki przeszło w jednym roku 15.000 łasztów. Niemniej i chów bydła zadziwiających doszedł rozmiarów. W Wielkopolsce, gdzie chów stad najwięcej kwitnął, w jednym majątku znalazło się 30.000 owiec; jeden magnat na Rusi, z dziesięciny bydła, co siedm lat oddawanej, zebrał naraz 10.000 wołów [3]. Łatwem to jest do zrozu-

---

łogę, lub nie. Zwano to skopczyną, a dzierżawców takich skopianami. W ostatnim wieku skopczyna zaginęła. Lubomirski. 1858, I.

[1] Łaszt zboża miał gdańskich korcy 60, a 27 warszawskich. Patrz Linde: „Słownik języka polskiego".

[2] T. Korzon. „Dzieje Polski" II.

[3] Edmund Stawiski: „Poszukiwania do hist. rolnictwa krajowego". Warszawa 1858.

mienia, gdy sobie przypomnimy np. majątek ks. Janusza Ostrogskiego, a i inne rodziny możnowładcze szczególniej na Wschodzie miały tak wielkie posiadłości, że po kilkadziesiąt mil kwadratowych wynosiły.

Należy jednak zauważyć, że to bogactwo narodowe XVII w. nie pochodziło głównie ze skupionych gruntów w większe folwarki, ale z ziem, które uzyskała rzeczpospolita na Wschodzie; a nadto i przedewszystkiem nie należy przeceniać tego bogactwa, które należało do jednego stanu, podczas kiedy inny, włościański, w ostatniej był nędzy. Nie tak było w wieku XV-ym. Pozwalamy tu sobie przytoczyć zdanie historyka dobrze obznajomionego z naszymi stosunkami. „Porównywając wpływ dawniejszych (praw) z temi, jakie wiek XV i XVI wydał, spostrzegamy, iż pierwsze wydały wzrost miast, przemysłu, handlu, ludności, kultury rolniczej; drugie dały popęd wielkiej uprawie. Za nią poszedł kolosalny wzrost produkcyi i bogactw. Z rozszerzeniem państwa, handel się rozszerzył. Wszystko to dawało krajowi wielką świetność i blask zewnętrzny. Ale w pierwszej epoce — pomyślność była więcej ogólną; dostatki mniej były kolosalne, ale więcej warstw społeczeństwa sięgały. Produkcya mniejsza, ale nie tak drogo okupiona. Wieki XIV i XVI są to dwa punkta kulminacyjne świetności kraju i pomyślności rolnictwa krajowego. Obie te epoki doszły do tej pomyślności i świetności odmiennemi drogami, i na innych spoczywały podstawach. Tem więc ciekawszem jest, która zdrowsze i posilniejsze wydała owoce, która więcej zarodów życia i czerstwości w sobie miała. Patrząc jednak uważnie i bezstronnie, ważąc je na szali, pierwsza niosła liczne zarody przyszłej wielkości, druga różne zarody chorób i kalectw“ [1].

Nowy stan rzeczy oprócz nędzy materyalnej, sprowadził na chłopów klęski moralne; ludność okryła się szatą grobową, na piersiach wyryły się wspólne wszystkim uciśnionym głoski: *Tristis usque ad mortem* [2]. W obec uciemiężenia i dowolnego postępowania lud zamyka się w sobie; czując boleśnie, jaką mu krzywdę

---

[1] E. Stawiski.
[2] Lubomirski.

zadano, coraz więcej usuwa się od dworów i z nieufnością na nie spogląda; nie uznany przez prawo, nie uznaje się obywatelem kraju, nie zna swego narodowego nazwiska, nie ma i mieć nie może względem ojczyzny żadnych obowiązków, korzysta z lada sposobności, wymyka się na Ruś, aby tam powiększyć liczbę wrogich Polsce żywiołów i szeregi kozactwa. Pańszczyzna wprawiła lud do lenistwa, bo kto od dzieciństwa przyzwyczaił się pracę na pańskiem zbywać, ten i na swojem niemniej ją zaniedbywał. Kmieć, dawniej skrzętny i pracowity, powoli zgnuśniał, znędzniał, miejscami się rozpił, bo popęd do pracy, jaki każdemu daje własność uzyskanych z niej owoców, został mu odjęty.

Jakieśmy widzieli, nie nastąpiło to odrazu.

Stosunki społeczne ułożyły się w Polsce inaczej, aniżeli w Zachodniej Europie, a nawet całkiem odmiennie: podczas gdy w tej ostatniej w XVII-ym i XVIII-ym wieku chłop został obywatelem, u nas wolny w wieku XV-ym, w następnych dopiero został niewolnikiem. Wina to była i błąd wielki polityczny, który musiał ściągnąć konieczne następstwa. Szlachta nie umiała wznieść się wyżej poza prywatę, stąd w tem co najwięcej ceniła, ukaraną srodze została. Pan Bóg jest sprawiedliwy, ale dodajmy zarazem i miłosierny. Karze dzieci swoje ale do czasu, a dziećmi Bożemi nie przestaliśmy być. Grzeszyliśmy — i bardzo, lecz zachowaliśmy wiarę, a rzecz to nader ważna, zarodek odrodzenia. Zresztą, jeżeli większość błądziła, a nawet ogół, znajdowali się zawsze ludzie podnioślejszej myśli i szlachetnego serca, którzy usiłowali, różnymi czasy sprowadzić ziomków swoich z torów błędnej drogi: wspominamy tu tych, którzy ślady swych usiłowań zostawili w historyi.

Andrzej Frycz Modrzewski † 1572, sekretarz Zygmunta Augusta i poseł do mocarstw zagranicznych w dziele *Commentariorum de republica emendanda Cracoviae 1551*, napisanym dla króla, senatu i stanu rycerskiego, ostro występuje przeciw uciskowi ludu, popierając rzecz przykładami z historyi. W jednej z mów swoich krytykuje surowo prawo z r. 1538 nakazujące plebejom z dóbr ziemskich się wysprzedawać, i nazywa je wprost niegodziwem, przeciwnem naturze i wszystkim Boskim i ludzkim prawom; w innych znów radzi, by na mężobójce nie głowszczyzna, lecz kara śmierci postanowioną została, a szlachcica za pokrzywdzenie kmiecia by ka-

rano więzieniem, gdyż — jak słusznie zauważył — pieniądze są słabym na wybryki szlachty hamulcem, a rzeczpospolita samą tylko szlachtą kwitnąć nie może [1].

Marcin Białobrzeski † 1586, biskup kamieniecki w swojej: *Postilla orthodoxa*, to jest wykład świętych Ewanielij niedzielnych i świąt uroczystych. Kraków 1581, nie na jednem miejscu gromi ucisk poddanych, którzy „u panów są jako niewolnicy, które dręczą jak Farao dręczył Żydy w Egipcie“ (kazanie na niedzielę III po Trzech Królach, część I), i grozi niepoprawnym surowemi karami Bożemi.

Krzysztof Warszewicki † 1603, kanonik krakowski i sekretarz Stefana Batorego w dziele *De optimo statu libertatis, libri II-o. Cracoviae 1598*, wzywa do polepszenia doli ludu, bo „niktby się nie mógł zwać panem, gdyby go wieśniak i rolnik pracą i podatkiem nie dźwigał“...

Najpierwsze między nimi miejsce zajmuje ks. Piotr Skarga Pawęski † 1612, kaznodzieja nadworny, najbieglejszy mowca i daleko widzący myśliciel. Tak w kazaniach niedzielnych, świątecznych, jako i sejmowych gromi natchnionem słowem, nadużycia stanu szlacheckiego, i przyszłe nieszczęścia na Polskę stąd spaść mające przepowiada. „Wstydzą się niektórzy (woła w kazaniu na dzień św. Bartłomieja) jawnie łupić i odzierać poddane swoje, i wolą tajemnie przez Żydy [2], których jest wrodzona nienawiść, aby się krwią chrześcijańską karmili“.

W kazaniach sejmowych, a mianowicie w VI-em wyrzuca stanom niesprawiedliwe prawa, gdy mówi: „Są jeszcze inne prawa w Statutach i Konstutucyach waszych, które, ktoby mądry i umiejętny a w sprawach Bożych, kościelnych i cesarskich biegły, przebieżał: wieleby tam nieprawości znalazł, któremi się sprawiedliwość ściska i zabija. Dotknąćby i onego złego prawa, którym

[1] St. Tarnowski.

[2] Żydom powypuszczano propinacye, młyny, kramy, dając im przez to łatwą sposobność wyzyskiwania, demoralizowania a miejscami uciskania włościan. Zdarzało się nieraz, że żyd na karczmie czy młynie siedzący więcej żądał za swoje towary, lub gorsze po dawnej cenie sprzedawał, a od mełcia zboża więcej sobie kazał płacić niż we wsi sąsiedniej, a przytem zastrzegał sobie wyraźnie, że pan nie dopuści, by kmiecie w innej wsi potrzeby swoje zaspokajali.

kmiecie i wolne ludki, Polaki i wierne chrześcijany, poddane ubogie, niewolnikami czynią, jakoby *mancipia* kupieni, albo na wojnie sprawiedliwej pojmani byli. I czynią z nimi drudzy co chcą, na majętności i na zdrowiu i gardle, żadnej im obrony i *forum* żadnego o krzywdy ich, drugdy nieznośne nie dając, i na nich *supremum dominium*, na które się sami wzdrygamy, stawiać. Co, jeśli się godzi i jeśli to prawo takie ma jaką odrobinę sprawiedliwości, spytaćby praw i obyczajów wszystkiego świata chrześcijańskiego duchownych i świeckich. Jeśli nie kupieni, ani pojmańcy, jeśli Polacy tejże krwi, nie Turcy ani Tatarzy, jeśli Chrześcijanie: czemu w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twej roli siedzi, a źleć się zachowa, spędź go z swej roli, a wrodzonej chrześcijańskiej wolności mu nie bierz, i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń! Starzy Chrześcijanie, którzy za pogaństwa niewolniki kupne mieli, wszystkim wolność dawali, jako braci w Chrystusie, gdy się świętym Chrztem z niewoli djabelskiej wyrwali. A my wierne i święte Chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy i jako okupione bydło, gdy dla swej nędzy uciekać muszą, pozywamy, i gdy żywności swej indzie ubodzy i nędzni szukają, okup na nich jako Turcy za więźnie wyciągamy. Czego we wszystkiem chrześcijaństwie nie słychać... Jakoż się z takiem prawem wszystkiego na świecie Chrześcijaństwa nie wstydzić? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać? Jako się nie bać, aby nad nami na pomstę od Boga poganie takiej mocy i *absolutum dominium* nie używali?". Niestety! groźba jego najzupełniej się spełniła.

Sebastyan Fabian Petrycy † 1626, filozof, tłumacz dzieł Arystotelesa udowadnia równość wszystkich w obec prawa.

Ks. Fabian Birkowski † 1636, nadworny kaznodzieja królewski po Skardze, w kazaniach na niedziele i święta doroczne w Krakowie 1620 wydanych, gromami rzuca na ucisk poddanych: „Nie panowie, ale tyranowie tak czynią, jako wy czynicie nad poddanymi swymi. Mówią ci okrutnicy: mój to poddany, wolno mi czynić z nim, co chcę. Słuchaj co mówi Bóg u proroka: „Lud mój, ich pobory połupili"; nie twój to lud, lud to jest Boży, chłop ten

bratem twoim jest, lub to młodszym, bratem jednak w Chrystusie, o którego cię spytają czasu swego: „kędy jest Abel brat twój, głos krwie jego woła do mnie o pomstę na cię“... (kazanie na IX niedzielę po Świątkach). W innem miejscu: „Widzicie te pany odrzychłopskie, jako poddane swoje miłują? Co złodziej w komorze cudzej, to pan drugi we wsi będzie, wszystko pobierze, połupi i duszęby z chłopa wydarł“... (Kaz. na XVII niedz. po Świąt.)

Krzysztof Opaliński † 1656, wojewoda poznański w swoich satyrach albo przestrogach do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należących (Amsterdam 1650) woła na uciemiężenie włościan: „Gdzie bywało dwudziestu kmieci albo więcej, tam ich ośm albo dziesięć, a przecie to każą robić dziesięciom, co ich dwudziestu robiło. Gdzie przedtem wychodziło po jednym z domu, po tem i po dwu, po trzech i po czterech, gdzie przedtem dwa dni albo i trzy w tygodniu robili, teraz nie mają czasem wolnego żadnego dnia“. Za przyczynę rozruchów kozackich słusznie uważa ucisk chłopa, i tak kończy: *Per quae quis peccat, per eadem* także *punitur*. Doznaliśmy ach doznali tego, zamykam jakom i zaczął, że Bóg Polskę karze najwięcej za poddanych, ba i karać będzie, jeśli się Polsko nie obaczysz!“ Dziwna rzecz, że z ust takiego człowieka tak mądre słowa i przestrogi wychodziły.

Ten sam głos podnosi Szymon Starowolski † 1656, kaznodzieja katedralny w Krakowie, Piotr Olizarowski † 1651, profesor akademii wileńskiej i tylu innych, którychby tu za długo było wyliczać, zwłaszcza że w opowiadaniu o wieku XVIII-ym przyjdzie mi tyle szlachetnych imion przytoczyć.

Nie brakło więc ludzi wstrzymujących naród nad przepaścią, a chociaż głos ich dla ogółu stał się głosem wołającego na puszczy, to nie mniej wywołał on szlachetne, szkoda tylko że pojedyńcze i nie złączone razem usiłowania ku poprawie doli ludu. Pierwsze miejsce zajmują tu królowie; tym litość i polityka wzbraniała zbyt obciążać włościan; mając jednak związane ręce przez sejm nie mogli, a poniekąd i nie umieli użyć swobodnie resztek sił, jakie im pozostały, na obronę ludu. Zapobiegali więc w swoich dobrach nadużyciom, i tu rzeczywiście dola ludu była o wiele znośniejszą niż w dobrach szlacheckich. „Jeśli zauważymy, że prestacye w tych dobrach nie zostały podwyższone, że podwody były płatne, że cła

i myta po miastach i traktach głównie handlujący opłacali, że utrzymanie bezpłatne urzędników w czasie przejazdu i pobytu już od Władysława Jagiełły zakazane, nakoniec, że kwaterunek jedynie przez królewszczyzny ponoszony, z powodu małej liczby wojsk stałych nie mógł być bardzo uciążliwym, przekonamy się, że stan poddanych królewskich musiał być pomyślniejszy, niż prywatnych. W roku 1598 rozdział dóbr koronnych na stołowe, ekonomije i starostwa, z których ostatnie zasłużonym obywatelom jako wynagrodzenie w dożywocie odtąd rozdawane, pogorszył w nich dolę wiejskiego ludu, gdyż starostowie, jako tymczasowi dóbr posiadacze wysysali z majątków, co tylko wyssać się dało; wszakże choć nadużycia były częste, zawsze opieka prawa w zasadzie istniała; dawne inwentarze przetrwały chwilowe uciski — do czego nie mało się przyczyniły sądy referendarskie, rozpoznawające głównie zażalenia włościan rządowych przeciw starostom zanoszone. Za Batorego (1576—1586) w królewszczyznach przybył jeszcze ciężar piechoty łanowej czyli wybranieckiej, to jest urządzenie, iż każdy dwudziesty łan dostarczał żołnierza pieszego, za którego powinności ciążyły na posiadaczach pozostałych dziewiętnastu łanów. Lecz wszystko to razem wzięte lubo zmniejszało dobrobyt włościan królewskich, wszakże nie zniżyło go do zupełnej nędzy, jaka po większej części w dobrach prywatnych panowała“ [1].

Ponieważ nadto brakło kodeksu prawnego, określającego stanowisko ludu, przeto już król Aleksander (1501—1506) polecił swemu kanclerzowi, Janowi Łaskiemu zebrać uchwały sejmowe i statuta, jakie kiedykolwiek zapadły. Kanclerz wziął się do dzieła jednostronnie, spisał przywileje szlachty i mieszczan, nie uwzględniając w nich — według ówczesnego zwyczaju — właśnie tego stanu, który król chciał prawem przeciw nadużyciom szlachty zasłonić, tj. kmieci. Jego brat i następca Zygmunt I Stary † 1548, polecił tę sprawę na nowo Mikołajowi Taszyckiemu i Bernardowi Wapowskiemu, lecz kodyfikacya ich zachowała w swej mocy prawa z lat 1496, 1503, 1507 i 1520.

Za wpływem Zygmunta Augusta (1548—72) starano się

[1] T. hr. Potocki.

w różnych czasach, a nawet jeszcze w początkach XVII wieku umniejszać właściwe robociznie niedogodności. W latach 1560—70 wyszedł szereg uchwał w tym przedmiocie. Zabraniano użytkowania robocizny na korzyść sąsiadów, naznaczano odbywanie podwód tylko tak daleko, jak można w jednym dniu zajechać. Stróżowanie nocne policzono za dzień pracy, zabroniono wybierania podczas lata dni należących się z zimy, uwalniano na jakiś czas od roboty dla ważnej przyczyny, oznaczono długość pracy dziennej tj. od wschodu słońca do godziny lub dwóch przed zachodem, stosownie do tego, jak daleko od dworu w tym dniu pracowano, i południowy spoczynek 2 godzin; opisano wymiar w robotach i wreszcie polecono ogólnie kmiecia względom obywateli. Dla wstrzymania coraz częstszego drobienia gospodarstw, zakazano przyjmować nowych osadników, zabroniono dawać im mniej od całkowitej ćwierci łanu. Król Stefan Batory próbował znieść wszelką robociznę, folwarki podzielić między kmieci lub oddać je na wspólną im dzierżawę[1].

Obok króla nie pozostało w tyle duchowieństwo. Prawda, że, jak mówi Czacki (tom II str. 209), w bibliotece Barberinich jest zażalenie czynione na biskupów przez duchowieństwo, że z chłopami gorzej postępują, niż szlachta w dobrach dziedzicznych, lecz był to wyjątek. Natomiast poczucie obowiązku i miłość bliźniego skłaniała ich skutecznie do przychodzenia włościanom w pomoc. Znał i Skarga takich pomocników jak Stanisława Warszewickiego T. J., o którym też powiada: „Na tejże posłudze tu w Krakowie najmilszy mój Warszewicki zdrowie swoje położył". (W „Próbie wtórej zakonu S. J." III rozdział, str. 177). Takimi też byli Jakób Zadzik † 1642, biskup krakowski i jego następca Piotr Gembicki † 1657, z których pierwszy 20.000 korcy zboża, drugi 200.000 złotych długów włościanom darował, nie licząc w to innych dobrodziejstw, jakiemi poddanych swoich obsypywali. Równemi zasługami jaśnieją: Franciszek Krasiński † 1577 bisk. krakowski, Bernard Maciejowski † 1607, arcyb. gnieźnieński, Hozyusz biskup warmiński i kardynał, Teodor Potocki bisk. warm., ojcem ubogich zwany, i tylu jeszcze innych dostojników Kościoła[2]. Z duchowieństwem świeckiem postę-

[1] Lubomirski. 1857, tom II.
[2] Ks. D. Pilchowski.

pują w parze klasztory, a często napotykane w papierach klasztornych polecenia i nakazy rządcom, by z ludem łaskawie się obchodzili, są dowodem, że dola poddanych klasztoru była znośniejszą, niż w posiadłościach szlacheckich.

Wpływ króla i duchowieństwa oddziaływał zbawiennie na możnych panów, i chociaż ogółu nie przerobił, to jednak można wykazać znaczną liczbę mężów stanu, którzy w tym kierunku pracowali. Tu należą: Jerzy Ossoliński † 1650, kanclerz wielki koronny, wielcy hetmani jak: Jan Tarnowski † 1561, Karol Chodkiewicz † 1605, Stanisław Żółkiewski † 1620 i inni; tu również należą pobożne królowe i szlachetne matrony polskie, które mężom nie dały się wyprzedzić.

A jednak wszystkie te gorące słowa i piękne przykłady nie zdołały wywrzeć stanowczego skutku na ogół, ani wpłynąć gruntownie na sejmy; jeszcze w r. 1653 uchwalono, że przybysz, który we wsi cały rok zamieszka, staje się własnością pana. Jęczał lud w Polsce i na Rusi, a straszne wojny za Jana Kaźmierza były tego sprawiedliwemi Bożemi karami. W latach tych przeszło 200.000 włościan zginęło, klęski elementarne i straszne skutki wojny zaciężyły na wsiach, a mimo to lud pozostał wiernym królowi, tysiącami chwytał za drągi i kosy i prawie połowę Szwedów do nogi wymordował, ratując ojczyznę, która dla niego taką była macochą. Czuł to dobrze Jan Kazimierz (1648—1668,+1672), i myśląc stanowczo o poprawie doli ludu, zaprzysiągł we Lwowie r. 1656, „że po ukończeniu wojen, które prowadzi, użyje ze wszystkimi stanami rzeczypospolitej wszelkich sposobów, aby lud uwolniony był od wszelkich ucisków i nadużyć“ [1]. Przysięgi tej nie mógł wypełnić, lecz wina w tem nie jego, tylko okoliczności, jakie stanęły w poprzek jego najlepszym zamiarom. Sprawę odłożono, a z czasem zapomniano o niej zupełnie, tak że dopiero w XVIII wieku na wierzch wypłynęła. Tylko w dobrach królewskich mógł Jan Kazimierz nieco zrobić. Z jego polecenia poczęto, szczególniej w ekonomii malborskiej, znosić folwarki a wydzierżawiać je prawem emfiteutycznem; całkowitej jednak zmiany dokonano dopiero za Augu-

[1] Maciejowski.

sta II (1698—1733), ale w innych województwach robocizna coraz się zwiększała. Koniec wieku XVII skierował umysły na inne pole, a sprawa przez Jana Kazimierza podniesiona dopiero w drugiej połowie XVIII wieku na sejmach poruszoną została. Nim do tego przejdę, w rozdziale następnym warto wprzód zrobić jeszcze kilka uwag o doli ludu w czasie, gdy się ostateczna reakcya w Polsce na tym polu wywiązała.

Najgorzej, jak już o tem mówiliśmy, miał się chłop w posiadłościach szlacheckich; wolność szlachty niczem nie krępowana, nadużycia rządców i ekonomów coraz więcej przymnażały ucisku i biedy. Nędza tak się rozpanoszyła, że role obsiewano teraz zbożem pańskiem, a chleb, który włościanie jedli, był chlebem ze spichrzów folwarcznych. Dwór opłacał już podatek, dawał zaciąg, wypłacał długi, a skutkiem tego bieda z chat zajrzała i do dworu. Szczęściem, że nie wszędzie ucisk doszedł do wysokiego stopnia; w województwach wielkopolskich, jak zaświadczają współcześni, miał się chłop o wiele lepiej niż w innych, szczęściem również nie wszystka ludność wieśniacza, poddaną była szlachcie. Statystyka ludności z r. 1791 jest następująca: ogół poddanych wynosi około 6,360.000 głów i rozpada się na kilka części: *a)* okupnicy, koloniści, zagrodnicy, włościanie do gleby nieprzywiązani, parobki, którzy mimo trzywiekowego nastawania szlachty na ich wolność, utrzymali się dotąd w liczbie wyżej miliona; *b)* w królewszczyznach było włościan blisko milion i tyleż w dobrach duchownych, których tu bez porównania lepiej traktowano, niż w szlacheckich; *c)* w posiadłościach szlachty jest więc blisko połowa całej ludności włościańskiej, i na nią zwaliły się wszystkie nieszczęścia i nadużycia z pańszczyzny płynące[1]. Że uciemiężenie w nich dochodziło do wysokiego stopnia, to jest prawda, a choć to i owo da się na usprawiedliwienie przytoczyć, to jednak faktów zaprzeczyć nie podobna. Ratował się więc chłop ucieczką do lepszego pana, i sposób taki często był skutecznym, gdyż odzyskanie zbiega drogą prawną dużo zachodu kosztowało. W powiatach nadgranicznych emigrowali chłopi za kordon. Z Wielkopolski około r. 1788 wyniosło się do Prus 7.000 ludzi;

[1] T. Korzon.

w województwach wschodnich uciekał chłop na Ukrainę i t. d., a tak ludność wiejska coraz się pomniejszała; zmniejszył się i wywóz zboża, z całej korony bowiem nie wychodziło już nad 50.000 łasztów. Czuł to dobrze każdy głębszy umysł, że takie stosunki postawiły Polskę nad przepaścią, w której ją lada chwila pogrążyć mogły; chwycono się i liczniej i skuteczniej reformy społecznej, i poprawy doli włościan, a usiłowania te sprowadziły pamiętną konstytucyę trzeciego maja. W tym kierunku pracowało od 100 lat wielu zacnych mężów, z których najważniejszych wypada mi przytoczyć.

Tomasz Młodzianowski T. J. † 1686, pierwszy swego czasu kaznodzieja, gromi w swoich kazaniach zdzierstwa i rozterki wróżąc z nich bliskie nieszczęścia; za nim idzie Antoni Szyrma T. J. kaznodzieja za Augusta II. i ks. Marcin Kurzeniecki. Ostatni w swej rozmowie kapelana albo teologa nadwornego w r. 1752 wydanej wytyka panom, że bardziej Żydów, których potrzebują, oszczędzają, niż chłopów, pokazuje dworom obowiązek wspierania włościan, ulżenia im w robociznie i daninach.

Król Stanisław Leszczyński (1704—1707, + 1708) w dziele swojem: „Głos wolny, wolność ubezpieczający“, te same skargi wywodzi i rady odpowiednie podaje.

W r. 1774 wyszła z druku książka ks. Antoniego Popławskiego, w której autor wytyka różne nadużycia, zdzierstwa i nieludzkość dziedziców, gdy mówi: „Przypatrzmy się nieco poddanym naszym, tym najgodniejszym politowania sierotom... Nic w kraju nie mają własnego i własnej nawet dla siebie osoby, którą pospolicie na pieniężną sumę rachować zwykliśmy. Żadnej zasłony od prawa... jedyna ich obrona w ucieczce, mizeryi i poniewierce. U nas chłopek jedno jest co bydlę, które przedajemy, kupujemy, targujemy, do roboty pędzimy, jak nam się podoba“. Swoje zasady wszczepiał później w słuchaczów będąc profesorem akademii krakowskiej.

W tymże czasie wyszły „Listy patryotyczne, Józefa Wybickiego do JW. ex-kanclerza Zamoyskiego, prawa układającego pisarza“. Domaga się w nich wprowadzenia w życie statutu Olbrachta, wypuszczenie gruntów za kontraktem i t. p.

Najdonioślejszego znaczenia była książka ks. Stanisława Staszyca pod tytułem: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“ w r. 1785

napisana. Prócz reform politycznych do głębi społeczeństwa sięgających, roztacza autor swoje poglądy na sprawę włościańską, podaje środki zaradcze jako to: „szkoły parafialne, wolność dla dzieci chłopskich wychodzenia, pracowania i osiadania w tej wsi lub w tem mieście, które sami sobie obiorą; zamiana pańszczyzny na sprawiedliwy wymiar robocizny, albo ustawa arend chłopskich lub czynszów pieniądzmi, a jeszcze lepiej ziarnem wypłacanych, równa wolność przemysłu dla wszystkich, równie wolna sprzedaż każdemu swojego piwa, wódki i swojej tabaki, jak chce i gdzie mu się podoba".

Idee reformy społecznej głosiły dwa czasopisma: *Pamiętnik* Świtkowskiego i *Dziennik handlowy* Podleckiego, którym po Staszycu wielką część zasługi w sprawie reformy i przeobrażenia pojęć szlacheckich przyznać należy.

Starania i zabiegi ludzi uczonych nie pozostały bez wpływu; wywołały w praktyce różne ulepszenia, które początkowo pojedyńczo, w poszczególnych tylko posiadłościach wprowadzane, zlały się później w pewną całość. Szereg działających na tem polu osób otwierają: Opat i kapituła klasztoru Mogilańskiego pod Krakowem 1735—56; księżna Jabłonowska 1761—81; Ks. Paweł Ksawery Brzostowski kanonik wileński, pisarz W. ks. Litewskiego 1769—71 i Andrzej Zamoyski, starosta inowrocławski, następnie wielki kanclerz koronny 1760—65, którzy wypuścili role za czynszem i nieznacznemi powinnościami, poznosili robocizny i szarwarki. Dalej następują: Ignacy z Przebendowa Przebendowski 1767, Krasiński, wielki podkomorzy koronny, książe August Czartoryski i jego syn Adam; Joachim Chreptowicz 1777 r. nadał włościanom osobistą wolność, za używalność gruntów żądał tylko trzeciej części plonu, oprócz szarwarków, stróży i podwód zniósł wszelką inną robociznę. Szczęsny Potocki zmniejszył dwie robocizny, wypuścił role za czynszem, który wybierał pracą, rachując po 12 groszy za dzień roboczy, powypędzał żydów z arend i zadawalniał się bardzo małą stosunkowo intratą (2,001.890 złp. z 3,000.000 morgów).

Podziwienia godnym jest czyn księcia Stanisława Poniatowskiego, starosty Winnickiego a królewskiego synowca. Wprowadził on w dobrach Korsuńskich obejmujących do 400.000 mieszkańców ustawę czynszu generalnego, większą część włościan i całe ich po-

tomstwo wyzwolił z poddaństwa przed r. 1789, wypuścił im grunta w wieczystą posesyą, zniósł wszelkie pańszczyzny, a tylko pozostawił czynsze, które w czterech ratach za kwitami mieli wypłacać [1].

Przytoczyłem mężów, którzy głównie na tym polu pracowali; innych choć nie tak doniosłych znaczeniem, ale licznych i pięknych czynami nie podobna wyliczyć. W całym narodzie zaczyna się widocznie budzić uśpione sumienie; samowładna szlachta bez rozlewu krwi, nie zmuszona żadną rewolucyą społeczną, choć późno opamiętała się i postanowiła powrócić na drogę prawa i słuszności. Chlubę jej to przynosi, że dobrowolnie przykłada rękę do naprawy stosunków, że chce zmazać winy ojców, a chociaż usiłowania te zguby ojczyzny nie odwróciły, niemniej jednak są pięknym pomnikiem obudzenia się narodu i głębokiego poczucia swych obowiązków. Zmiany w pojęciach i w czynach pojedyńczych osób pchnęły szlachtę do pracy w tym kierunku na sejmach, i kwestya włościańska od dwu prawie wieków nie poruszana publicznie, zaczyna zajmować ogół prawodawców, i przygotowuje zmiany, jakie na tym polu niezadługo zajść miały. (Dok. nast.)

Ks. Józef Waligóra.

[1] T. Korzon.

KAPŁAŃSKA I LITERACKA DZIAŁALNOŚĆ
KS. STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Młodzieńcze prace literackie. — Tłumaczenia ks. Lamennais'go, Veitha i Borgo. — Korespondencya w sprawie wychowania klasztornego panien. — Sen w Podhorcach. — Stosunek z Kraszewskim.

Kiedy latem w Janowie, zimą w Kamieńcu, po całodziennej pracy, z umysłem odświeżonym serdeczną pogawędką wieczorną w gronie rodziny i przyjaciół, zasiąść mógł wreszcie Chołoniewski przy obszernym swym, książkami i papierami zarzuconym biurze, natenczas zapominając o wszystkich kłopotach i troskach, najmilsze pędził chwile, z piórem w ręku, otoczony dokoła wskrzeszonemi przez siebie pięknemi postaciami z umiłowanej przeszłości, oddychając idealną atmosferą chrześcijańskich cnót i obyczajów, którym dawną cześć i miłość w ojczyźnie zapewnić było jedynym celem literackich jego mozołów.

Do pióra czuł ks. Stanisław oddawna pociąg. Nawet przed wyjazdem do Rzymu, mimo licznych a rozpraszających umysł podróży i zajęć, mimo borykania się z mszczącym się za dawne zaniedbanie językiem i stylem, młody dziedzic Janowski nie zadawalniał się bynajmniej pisaniem czy podpisywaniem samych tylko rejestrów, kwitów i listów; nie zadawalniał się nawet skleceniem kilku, podziwianych w całem sąsiedztwie, okolicznościowych wierszyków;

lecz poważnie na świat się patrząc, a żywo zajmując się najpoważniejszemi zagadnieniami i serca i rozumu, przetłumaczył słynne, wówczas całą Europę zajmujące dzieło księdza Lamennais'go: „O obojętności w kwestyach religijnych“ i znaczne ustępy z najznakomitszego może podziś dzień ascetycznego podręcznika, ułożonego w XVI w. przez hiszpańskiego Jezuitę Rodriguesa. Co prawda, pierwsze te próby równie na filozoficznem jak na ascetycznem polu nie wypadły świetnie. Przekładu Rodriguesa nie doprowadził Chołoniewski do końca, zrozumiawszy snać, że daleko lepsze i odpowiedniejsze jest staropolskie tłumaczenie, choć z pewnymi nieużywanymi zwrotami i wyrazami, niż tłumaczenie wrzekomo do dzisiejszego języka zastósowane, w gruncie zasiane galicyzmami, nieraz wprost z gramatyką polską się kłócące. Te same względy nakłoniły go do cofnięcia z drukarni najprzód petersburgskiej, później berdyczowskiej, przekładu ks. Lamennais, choć i tu i tam druk już był rozpoczęty; — i dobrze się stało, bo jak pozostały rękopism przekonywuje, tłumacz więcej miał poczciwych chęci, niż umiejętności; sądził, że piękność stylu zawisła na sążnistych, o ile można zawiłych frazesach, słowem z piórem zupełnie obchodzić się nie umiał. Mówiłem niby i bazgrałem po polsku, przyznawał się później bez ogródki, ale gdyby starzy Polacy z Zygmuntowskich czasów z grobu wstali, zapłakaliby rzewnemi łzami czytając te dziwolągi: do szkoły tobie chodzić i samemu bakałarza słuchać, nie innym w książkach bakałarzować! Jakoż poszedł Chołoniewski do szkoły Zygmuntowskich klasyków, nie wzgardzając jednocześnie lekcyami współczesnych założycieli polskiego romantyzmu, a pod ich wpływem jeszcze w czasie pobytu w „Akademii duchownej“, gramatyczne błędy stanowczo ustąpiły, a z czasem i styl zmienił się do niepoznania. W tym względzie podziwiać tylko należy żelazną pracę Chołoniewskiego; każdego roku styl jego z dawnych pęt już wyzwolony, widocznie się doskonali, nabiera lekkości i oryginalności; aż wreszcie w kilku ostatnich na większą skalę zamierzonych pracach staje się nietylko posłusznem, ale i znakomitem narzędziem w ręku tego samego mistrza, co jeszcze przed niewielu laty kilku porządnych zdań polskich skleić nie umiał, prywatną korespondencyę dla ułatwienia sobie pracy po francusku prowadził, a przynajmniej gęsto francuszczyzną ją szpikował.

W pierwszych latach po powrocie z Rzymu nie dowierzając jeszcze literackim swym siłom, przetłumaczył Chołoniewski, jakby w celu zaprawienia się do przyszłych oryginalnych prac, głośne wówczas książki: *Narzędzia męki Chrystusowej* i *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa*, znanego sobie osobiście wiedeńskiego kaznodziei Jana Emanuela Veitha [1]. Postać, charakter i rodzaj wymowy ks. Veitha naszkicował sam Chołoniewski w „Przypisku tłumacza“ umieszczonym w pierwszej z tych książek, a w którym nie domyślając się nawet, że w części własny swój portret kreśli, tłumaczy się niejako, co go do tego szczególnie autora pociągnęło. „Cechą geniuszu ks. Veitha jest rzadkie nader połączenie dwóch żywiołów, na pozór sobie przeciwnych: wesołej, lotnej myśli z głębokiem czuciem i pojęciem wszelkich nędz serca ludzkiego. . .Owa wyższej strefy, szlachetna, poważna, nieobrażająca wesołość ducha, na której starzy nasi ojcowie dobrze się znali, którą angielski język wyraża dobitnie przez słowo *humour*, niewypowiedzianym wdziękiem wszystkie jego pisma okrasza. W głębokiej znajomości oryentalnych języków czerpie ks. Veith żywe barwy płomienistego Wschodu, które prosty, serdeczny styl jego prawdziwą oryginalnością piętnują. Z kazalnicy głos jego słaby, lecz jasny; mowa, zda ci się zrazu płynąć z cicha, jak czysty, spokojny strumień; wkrótce jednak czujesz, jak nieznacznie do serca tajników głęboko wnika; jak proste słowa niewygasłe ślady ogniste po sobie zostawiły... Wzrostu jest szczupłego, twarzy bladawej, której nic przyjemnie nie odznacza prócz oka jaśniejącego wysoką myślą, głębokiem rozrzewnieniem“.

Nie warto było może Veitha tłumaczyć, ale kiedy już Chołoniewski do tłumaczenia się zabrał, to przyznać należy, że zrobił wszystko, aby nie tylko dorównać, ale i przewyższyć wartość oryginału. Jasno a trafnie i sprawiedliwie wypowiada tę myśl Stefan Witwicki w liście do Emilii Grocholskiej, która jak matka nim się

---

[1] *Narzędzia męki Chrystusowej* przez *ks. Jana Emanuela Veith*, kaznodzieję kościoła katedralnego w Wiedniu. Tłumaczył z niemieckiego *ks. Stanisław Chołoniewski*. Wilno. Nakład i druk T. Glücksberga 1842. Str. 311. (Z ryciną). — *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa* wyszły w rok później również w Wilnie nakładem Glücksberga. Str. VII, 330. (Z ryciną).

w chorobie opiekowała, i którą też pieszczotliwie mateczką nazywa[1]: „Oba tomy Veitha przeczytałem po wyjeździe mateczki; „tłumaczenie znalazłem doskonałe, sam oryginał nie bardzo mi do „myśli przypadł, te cytacye z dykcyonarza anegdot, ten ton lekki, „humorystyczny, wesoły prawie, to przerzucanie się *sans façon* od „rzeczy najświętszych do trywialnych, ta sarkastyczność i te czasem „dowcipki, właściwe raczej memoarom, poufałemu listowi, albo „wesołemu feuiletonowi, — to wszystko mówię przy krzyżu na „Golgocie! przy męce Pańskiej, może się podobać światowszym „jeszcze odemnie czytelnikom; mnie trochę czasami raziło; pra„gnąłbym więcej powagi, skupienia i spokojności. Niektóre jednak „karty całkiem piękne, a w tłumaczeniu, powtarzam, wyborne. „Wszakże co mnie się tam mniej trafne wydaje, może właśnie „przynęcić do tych książek światowca, a to podobno był główny „zamiar autora".

Rozmiarami o wiele mniejsze, ale do żadnych zastrzeżeń pola nie dające, jest dokonane nieco później przez Chołoniewskiego tłumaczenie miłej, szczerą pobożnością tchnącej włoskiej książeczki O. Karola Borgo: *Nowenna przygotowująca do uroczystości Przen. Serca Jezusowego*[2]. Ks. Stanisław wierny a gorący czciciel Serca Jezusowego, jak kazaniami tak nowenną tą pragnął wskrzesić i rozszerzyć w Polsce nabożeństwo, które dawniej, w XVIII jeszcze wieku prześlicznie u nas zakwitnąwszy, poszło w rodzaj zapomnienia i zbyt mało w tym czasie, z prawdziwą szkodą dla serc i dusz znane było i cenione. Do tego celu, zwłaszcza do pouczenia, na czem właściwie nabożeństwo do Serca Jezusowego zależy, wybornie nadawały się i nadają rozmyślania O. Borgo, łączące w myśl Kościoła najściślej ze sobą związane nabożeństwa do Przen. Sakramentu i do Serca Jezusowego; śledzące niejako krok za krokiem tajemnicze życie Boskiego tego Serca w Przen. Sakramencie, — życie błogosławione, ofiarne, pokorne, miłości pełne, czynne, ukryte, wyniszczone, a jednak jaśniejące chwałą, zdrojem łaski będące.

---

[1] 13 stycznia 1846. Freywaldau. *Niwa* r. 1882. T. XXII. „Z teki autografów" przez dr. Antoniego J. Str. 605 np.

[2] *Nowenna przygotowująca do uroczystości Przen. Serca Jezusowego*, ułożona z dzieła włoskiego O. Karola Borgo T. J. przez ks. Stanisława Chołoniewskiego. Nowe wydanie tej książeczki wyszło w Poznaniu r. 1874, str. 113 in 32°.

I dzisiaj, choć już tyle posiadamy oryginalnych i tłumaczonych dzieł i dziełek o Najśl. Sercu, nowenna O. Borgo poczestne między niemi zajmuje miejsce; w czasie, w którym ks. Chołoniewski na język polski ją przekładał, dusze pobożne zbyt często jałowymi tylko, wrzekomo poetycznemi frazesami o Sercu Jezusowem karmione, czuły oddawna rzeczywistą potrzebę takiego zdrowego a pożywnego pokarmu, a podanie im go prawdziwem było dobrodziejstwem.

Przez czas dłuższy z żadną oryginalną pracą Chołoniewskiego, prócz niewchodzących w rachubę memoryałów, dzienników i wierszyków się nie spotykamy; znowu jak w tylu innych wypadkach życia i tylu innych przedsiewzięciach, Matka Cecylia, choć tym razem pośrednio tylko miała wskazać bratu drogę, którą idąc wiele dobrego na chwałę Bożą mógł zdziałać i zdziałał. Jeszcze w r. 1830 otrzymał Grocholski pozwolenie od cesarza sprowadzenia Wizytek do Kamieńca i wybudowania im odpowiedniego klasztoru poza murami miasta. Wizytki korzystając z pozwolenia przybyły niebawem do Kamieńca, zamieszkały prowizorycznie w wynajętym domu, czekając rychłoli otworzyć będą mogły na większą skalę pensyonat dla dziewcząt w wznoszącym się tymczasem gmachu. Głównych funduszów dostarczyli Grocholscy, dopomogli im Chołoniewscy i parę innych pokrewnych rodzin, ale gdy budowa więcej, niż z początku obrachowano, pochłonęła pieniędzy, a z braku tychże coraz wolniej postępowała, należało zwrócić się do szerszych kół z prośbą o poparcie pięknego, a dla okolicznych zwłaszcza prowincyj tak użytecznego dzieła. Odpowiednią odezwę zredagował ks. Stanisław, a pragnąc zainteresować czytających i przedstawiając ważność podjętej sprawy do hojniejszych jałmużn ich pobudzić, rozwinął kilka uwag o wychowaniu kobiety w ogóle, o pensyonatach zostających pod zarządem zakonnic, a w szczególności o pensyonatach Wizytek.

Nakreśliwszy w niewielu, ale pięknie dobranych rysach wzniosłe zadanie chrześcijańskiej niewiasty, zwłaszcza chrześcijańskiej matki, pyta Chołoniewski, gdzie i kto wlać może w młodociane serca tego ducha, który tworzy takie chrześcijanki i matki? Bezwątpienia jest to przedewszystkiem powołaniem samychże matek, i nigdzie lepiej, jak na kolanach matki dziecko nie uczy się wiary, szlachetności i cnót z wiary płynących; ale jeżeli matka z jakiej-

bądź przyczyny nie może sama zupełnego wychowania i wykształcenia córce swej udzielić, natenczas do pomocy takie tylko osoby wezwać sobie powinna, które dają jej gwarancyę, że macierzyńskiem uczuciem dla dziecka jej przejęte, trucizny mu nie podadzą, w duchu Bożym wykształcą je i wychowają. Gdzie znaleść takie osoby; kto dać może takie gwarancye? Daje je Kościół, uznając pewne zakony, jako mające szczególną łaskę od Boga do wychowania dziewcząt; uznając ich regułę i sposób postępowania, jako rozumny i zgodny z duchem Chrystusowym, a zatem taki, któremu rodzice z góry spokojnie mogą zaufać. Jednym z takich zakonów, któremu Kościół ważne te a trudne obowiązki porucza, jest właśnie zakon Nawiedzenia Najśw. Panny.

„Klasztor Wizytek założony w Kamieńcu składa się z osób „najzupełniej uzdolnionych do należytego wypełnienia tego wiel„kiego zadania. Wychowanie w nim udzielone odpowiada wszystkim „słusznym wymaganiom społeczeństwa. Wyrozumowana nauka ję„zyków; prowadzone wedle z góry określonej metody wykształce„nie we wszystkich naukach, mogących ozdobić umysł kobiety nie „zacieśniając jej serca; mówiąc krótko, całe wychowanie i wykształ„cenie opartem jest na zasadzie dobrze pojętej pobożności łączącej „w sobie prostotę z odpowiedniem zgłębieniem i zrozumieniem rze„czy, podtrzymującej się i żywiącej się raczej praktyką chrześcijań„skich i społecznych cnót, aniżeli błyszczącemi, ale bezowocnemi „teoryami. W wychowaniu tem, wykształcenie serca zaj„muje pierwsze miejsce, bo dziś zwłaszcza, jak dowodzi doświad„czenie, brak tego wykształcenia bardzo smutno daje się odczuć „we wszystkich warstwach społecznych, a rozumiemy wszyscy do„skonale, że bez tego wykształcenia najświetniejsze talenta, naj„piękniejszemi zdolnościami obdarzone umysły, przedstawiają przera„żający widok wciąż upadkiem grożącej, chwastami porosłej ruiny“...

„Kropla wody ofiarowana spragnionemu zasługuje na nagrodę „w niebie. Jakąż dopiero nagrodę przeznacza Bóg pięknej tej mi„łości, co okrywa duchowną nagość, poi umysł niebieskim napojem, „udziela młodym sercom zdrowego pokarmu, od przepaści i zguby „je zabezpiecza?... Skądinąd dusze kochające Pana już na tej „ziemi za dobre swe czyny otrzymują nagrodę; bo dusze te dobro„czynne rozumieją i cenią sobie wartość modlitwy, tej jedynej jał-

„mużny, którą otrzymać mogą; tego wielkiego daru zapewniającego „duszy jedynie prawdziwe i użyteczne bogactwa. Modlitwy wszy- „stkich Wizytek, po całym świecie rozsianych, wznosić się będą do „Boga za dobroczyńców kamienieckiego klasztoru".

Odezwa nie przeminęła bez skutku; kto, w jaki sposób i w jakiej mierze mógł, spieszył z pomocą, tembardziej, że równie Grocholski jak Chołoniewski, nie zrażając się koniecznemi w takich razach trudnościami, nie przestawali w prywatnych listach pukać do serc szlachetnych o coraz inne usługi, o zaspokojenie jakby z pod ziemi wyrastających i mnożących się potrzeb. Między innymi udał się Mik. Grocholski do kuzyna swego Adama Raciborowskiego z Makowa, z prośbą o wysadzenie owocowemi drzewami świeżo założonego, ale zupełnie jeszcze pustego ogrodu Wizytek. Raciborowski przyjacielem Wizytek i ich pensyonatów nie był; srodze się też rozsierdził, czytając odebrane pismo, a choć prośbie krewnego odmówić mu nie wypadało i nie odmówił, to przynajmniej w cierpkim, *ale irato* skreślonym liście i jakby odpowiadając na odezwę przez ks. Chołoniewskiego nakreśloną, niechęci swej dał niedwuznaczny wyraz [1].

„W jesieni dam polecenie ogrodnikowi, aby ulice w ogrodzie „PP. Wizytek wysadził; lecz życzę, aby Wizytki doczekały cienia „tych drzew. Te mury tak są przy trakcie, że same zachęcają do „wzięcia, i na to projekta łatwo robić; a takich, coby w te mury „zamykały się, aż nadto mała liczba. Wszyscy ubolewają: O gdyby „to były Panny Miłosierne! — bo tych klasztorów ani rewolucya „w żadnym kraju, ani inne zmiany nie niszczą. Litość staranna dla „każdego i w każdej religii potrzebna i zbawienna; wychowanie dla „świata, a za światem oddalenie od rodziców w wieku, w którym „smutków zaznaćby jeszcze nie powinien, za szczęściem i przy- „jemnościami wzdycha, nie wiem czy dobre? Co za opinia o tej „płci, aby wychowania należytego, cnotliwego, aż za kratą przera- „żającą, w murach niedostępnych szukać musiała. Matki, które „w świecie były wychowane, a są wzorem cnoty, mają swe dzieci „od siebie oddalać w myśli, że lepsze będą, a mogąż być lepsze „od swych matek, honor swej płci czyniących? Po ukończonej nie-

[1] Maków. 10 września 1837.

„woli klasztornej, gdy nie znajdą w rodzicach dobrego przykładu „i z przychylnością pilnego czuwania, a w mężu przyjaciela mo„ralnego, w wyborze przyjaźni gdy zostaną omylone i do złego na„prowadzone, to i drugie tyle lat mieszkania za kratą, w samotno„ści, nie zachowają ich od grzechu".

Nie pierwszy to raz, choć nie z równą szorstkością wyrażone, dawały się słyszeć podobne zarzuty, czyniąc nie małą szczerbę w rozpoczętem dziele; dla dobra samejże sprawy należało stanowczo z nimi się rozprawić, i dlatego po wspólnej naradzie Chołoniewski napisał, a Grocholski podpisał wyczerpującą odpowiedź, którą najpierw Raciborowskiemu przesłano, a następnie z opuszczeniem pewnych szczegółów, zamyślano oddać na użytek publiczny[1].

Mówicie: Na co to wychowanie panien po klasztorach? Alboż to nie mamy matek światłych, cnotliwych, zaszczyt przynoszących krajowi"? Jakiż klasztor w świecie choćby najświętszy może zastąpić troskliwość matki około dzieci? Biję i ja czołem przed przykładnemi, rozumnemi matronami i powiadam, że są takie i u nas — może nie tyle ich jest, ileby sobie życzyć można, ale przecież są. Wyznam także, jeśli chcecie, iż trudno bardzo, aby klasztor wyrównał gorliwości matki, jaką na wzór wystawia nam religia chrześcijańska i jaką ona tylko ukształcić może... ale cóż? Nie na tem koniec jeszcze. Ponieważ wszystko, co pod słońcem istnieje, potrzebuje c z a s u i m i e j s c a żeby istniało, potrzebują ich także najlepsze, najgorliwsze matki. A jeśli zapytane przez nas i zaklęte na sumienie, szanowne matrony przyznają się nam pod wielkim sekretem, iż najczęściej c z a s u i m i e j s c a im brak dla wychowania starannego dzieci, na cóż im się przydadzą wtedy dobra wola i cnoty macierzyńskie?

Zacznijmy od damy najwyższego rzędu, której rozum i serce w najpiękniejszej harmonii z sobą wybornie są ukształcone.

W y s o k i stan ma wysokie obowiązki, *alias* wysokie nudy,

---

[1] Cała ta korespondencya zebrana pod wspólnym tytułem *Korespondencya w sprawie wychowania klasztornego panien* odesłana została do redakcyi, nie wiemy, którego czasopisma, ale nigdy podobno światła dziennego nie ujrzała. Dlatego umieszczamy z niej obszerniejsze wyjątki, tembardziej że cięte a wzięte z życia uwagi ks. Chołoniewskiego, nietylko ówczesne stosunki nam malują, ale i do dzisiejszych w pewnej części zastósować się dadzą.

etykiety salonowe, prawa gościnności, powinności gospodyni domu, żony częstokroć znacznego urzędnika, którego także wysokie zatrudnienia zwalają na biedną małżonkę cały kierunek domu obszernego. Tu już nieodbicie potrzeba czasu i miejsca w sporym wymiarze. Trzeba czasu dla męża, dla gości, dla przyjaciół, dla krewnych, dla dzieci, dla sług — miejsca także trzeba i tego nie mało, miejsca do assamblów, do balów, miejsca do stołów obiadowych, do stolików wistowych, nie mówiąc nawet o toalecie, która u wzorowych matek mniej czasu i miejsca zabiera, niżeli u płochych elegantek. Wszakże i matrony w toaletowej swobodzie krzywdzić się nie godzi. Pytam się teraz, stając w obronie owej wielkiej, ale znękanej damy, kiedy tu czas znaleść dla dzieci, dla córeczek? Powiecie na to: wzorowa matka wszystko dla dzieci poświęci! Jak to? i żądania męża? i przyzwoitość stanowi swojemu odpowiednią? i związki towarzyskie? Nie wiem, czy się na to mąż i sumienie zgodzą, i czy same dzieci na takowem poświęceniu dobrze wyjdą.

A cóż to dopiero, kiedy w takim pańskim domu Bóg licznem potomstwem pobłogosławi — kiedy to nie tylko będzie jedynaczka Józia, ale jedynaczka Zosia, jedynaczka Marysia, pięć, sześć, siedm jedynaczek; jak owej wzorowej matce wszystkim tym jedynaczkom sprostać? Albowiem im wyższe będzie ona miała wyobrażenie o poświęceniu się macierzyńskiem, tem bardziej upadać będzie na siłach pod ciężarem tej gorliwości.

A guwernantki, francuzki, angielki, szwajcarki i inne nieprzeliczone zagraniczne *pani-madame* od czego?

Prawda, że się zdadzą. Tylko nie porównywajcie wtedy edukacyi matek z klasztorną — bo widzicie sami, że tak nazwane wychowanie macierzyńskie zaraz przerabia się na wychowanie guwernantek.

Tu już na innem jesteśmy stanowisku.

Francuzi mówią, że *les comparaisons sont odieuses*, i to jest wielka prawda. Ale cóż robić, kiedy czy chcemy, czy nie, opinia światowa nie przestanie porównywać ludzi między sobą — porównywajmyż i my za nią, ale jak to mówią — bez żółci...

Guwernantka co jest? Wedle najpochlebniejszej definicyi, jest osoba mniej lub więcej oświecona i sumienna, która na tyle i tyle

lat, za tyle i tyle pieniędzy podejmuje się być matką przy dzieciach, jednem słowem jest to płatna matka: bo jeśli najlepiej idą rzeczy ze strony światem zaprzątnionych matron, to przynajmniej po połowie muszą one dzielić z guwernantkami obowiązki macierzyńskie.

Zapytajmy się teraz prawdziwych matek, jakie ich są zdania o najlepszych owych płatnych matkach — odpowiedź podobno będzie ruszenie ramionami. A jeśli przyjdzie do ścisłych konfesat, dowiemy się pono, że owa klasyczna guwernantka J. Pani Eks-markiza N. była wprawdzie pełna dowcipu i dobrego tonu salonowego Francuzka, ale cóż, kiedy Zosię zbuntowała przeciw matce, wcześnie jej wpajając niezaprzeczoną prawdę, że ona Eks-markiza jej przyjaciółka daleko ma więcej rozumu od mamy; że owa sentymentalna choć tłusta Szwajcarka była zapewne dobra sobie kobieta, ale to bieda, że Józia, która pierwej lubiła czytać dość gruntowne książki, a dla rozrywki także poczciwą i dowcipną naszą pannę Tańską, teraz po całych nocach wertuje zbyt ważne dzieła Panów: Balzac, Victor Hugo, Dumasa, Jules Janin i ich literackich kolegów. Jak to, zmiłuj się pani, może nawet czytała *Phisiologie du mariage, les Contes drolatiques,* i owej pani Dudevant, co się pod literackim fraczkiem pana Georges Sand ukrywa, może i te czyta powieści — może nawet sławną *Lelię* czytała? Odpowiedź z westchnieniem będzie: niestety! czytała! te także! A cóż dopiero kiedy owe biedne matki przyznają się do takich *pani-madam,* które nie tylko romansowe książki zalecały, ale i romansowe sceny z domownikami wygrywały!

Wszystko to nie zdaje się przesadzonem, bośmy podobno mniej więcej wszyscy na to patrzali.

Przejdźmy teraz do poczciwych, szlacheckich domów, ale porożnionych z fortuną. Zapytajmy niedostatkiem, chorobą i liczną familią, tym potrójnym ciężarem przygniecione matki — (a takich jest niestety większa część) zapytajmy je: Co myślicie, szanowne panie o klasztornem i domowem wychowaniu? które z nich ma większe korzyści? Zapewnie ważyłyście na szalach rozumu i doświadczenia to wszystko, co się zwykle przytacza za lub przeciwko tym systematom edukacyi niewieściej. — Odpowiedzą chóralnym głosem: „Co tam myśleć, co ważyć!! Niedostatek na próżne szpe-

„kuły czasu nie ma — nie mamy o czem w domu dzieci wycho-„wywać, musimy więc je oddać za dom. — Gdzie? Gdzie można — „do najbliższej pensyi".

Tu wielce boleśna, a razem drażliwa materya nawija mi się pod rękę. Nie radbym pióro umoczyć w posępne, czarne farby — ale jeśli je roztarła i namieszała wszechwładna pani, prawda święta, wówczas trzeba albo pióro porzucić, albo umoczyć — porzucić nie mam powodu — muszę więc prawdę pisać choć niepocieszającą.

Kiedy pensye świeckie nastały? — kiedy klasztory ustały. Zdaje się więc z pierwszego rzutu oka, że ta okoliczność jest na obronę pensyi; albowiem wedle praw ulubionego i pożądanego postępu, rzeczy powinny iść co raz lepiej, po klasztorach nastąpiły pensye, więc są doskonalsze.

Idźmy dalej za tą błogą myślą i nadzieją i przypatrzmy się jakie tam mogą być obfite środki do kształcenia serca i umysłu panienek?

Oto, na pięknym welinowym papierze drukowany prospekt nauk dawanych w panieńskim zakładzie wsuwają nam do rąk. Co tam przedmiotów? Ile języków? Ile kunsztów wyzwolonych? Jaka filozoficzna klasyfikacya? Rzekłbyś: *l'arbre généalogique des sciences* w przedmowie p. d'Alemberta do Encyklopedyi. Aż w głowę zachodzi czytelnik, tak że go pokusa bierze czasem pytać się nie — c z e g o u c z ą p a n i e n k i, ale czego i c h t a m n i e u c z ą? Prospekt ten drukowany, który przez cztery, pięć lat na egzaminach figuruje i przedrukowuje się co rok dla coraz większych postępów nauki. Panienka na koniec wychodzi na świat. Rodzice, krewni pytają się z trwożliwą natężoną ciekawością: Mówi Zosia po francusku? — Mówi. — Chwała Bogu. — Ale czy pisze także po francusku? — Nawet pisze nie zgorzej. — Chwała Bogu! — A co? tańczy? — I gra komedyjki P. Scribe wcale dobrze. — No to (tak już odzywają się rodzice), przynajmniej nie żal nam tych nieskończonych fasek masła i gęstych rulonów rubli, cośmy w krwawym pocie czoła dla *Madam* posyłać musieli. Tu się już kończą *desideria* rodzicielskie. Ależ niebaczni, zapytajcie się co Zosia umie jeszcze z programatu pysznie wydrukowanego, z owych nauk, sztuk pięknych i języków! — Co tam, umie po francusku! — Ale zmiłujcie się, miłe państwo, egzaminujcie ją także, czy nie zapomniała

tego dobrego, którego w rodzicielskim domu cnotliwie nauczyła się? czy nie zapomniała wiary, pobożności, obyczajów i języka ojczystego? — Ach! to znowu co, wołają, jakżeby mogła Zosia zapomnieć czego, kiedy ona po francusku czyta i pisze. — Na to już niema odpowiedzi, bo to jest owe sławne *sans dot* w komedyi *Skąpca* Moliera.

O kształceniu serca po pensyach nie wiem co mówić, bo o niem zwykle ich *prospectus* pysznie drukowany milczy dla wiadomych zapewnie im powodów. Niejedna gorliwa osoba o edukacyę publiczną, kiedy jej się pokornie przekłada, że potrzeba i o pielęgnowaniu serca pomyśleć, bez którego uprawa najświetniejsza umysłu mało się przyda, chętnie na to się zgadza, ale w tej delikatnej materyi, prócz zwykłego to się rozumi, niczego się więcej od niej nie dowiesz.

Po pensyach na wyższą skalę urządzonych, wielkie koszta i prace łożą na to, co w moich oczach — pozwólcie mnie tego wyrazu — jest tylko mechanizmem owej świetnej fabryki edukacyjnej, którą my pensyą zowiemy. Ile wierszów na pamięć mają się panny nauczyć — ile na pamięć odpowiedzi na kwestye od roku przygotowane — ile ptaszków wyszyć — uszów, nosów, ócz i głów wyrysować — ile sonetów, aryj, figur kontredansowych wygrać, wyśpiewać, wytańczyć? — To jest rzecz główna — a obyczajność, a nauka religijna, a przyzwoite z ludźmi obcowanie — to się rozumie — czyli tego się tylko dorozumiewać trzeba! Ale najgłówniejsza rzecz popis roczny, popis świetny, głośny, wystawny, na sposób teatralnej sceny urządzony, na który cały świat męski i żeński hucznie się sprasza pięknymi afiszami, po których wszystkie panny, które mają tańczyć, śpiewać, deklamować jak aktorki po imieniu i nazwisku żywcem są wydrukowane. Tam każdy swoją rolę wygrać musi, jakoż pospolicie bardzo pięknie grają: matki rolę zachwycającej czułości, mistrzynie wdzięcznej powagi, przełożeni wszyscy świetnego zapału oświaty. Najsmutniejsza rola biednych panienek, którym pośród tysiąca ócz wytrzeszczonych na nie, młode eleganty kuratory na dziewicze skronie wkładają wieńce nagrody szkolnej. Odchodzą uwieńczone nie zawsze z wesołą twarzą; być może, że w chwilowem pomięszaniu, zda im się widzieć w kąciku świetnej sali, zalaną łzami skromność panieńską,

ukrywającą się w cieniu przed lekkomyślną zgrają. Wszystkiego tego sam byłem świadkiem, i mógłbym na to *nobile verbum* ofiarować. Wszystko to widziałem na własne oczy, owej tylko skromności płaczącej nie widziałem, i to jest bajeczka mojego wymysłu, reszta istna prawda. Wszakże jednak wyznać muszę, że są pensye świeckie, które troskliwość rodzicielską zaspokoić mogą, bo wiem, że niema praw ogólnych bez wyjątków, tylko że ja takie świeckie zakłady edukacyjne kładę w rzędzie owych świetnych wyjątków, które ogólne prawidło mocniej jeszcze ustalają...

Jeszcze ostatnia trudność. Jeźli biedna panienka złe przykłady znajdzie w rodzicielskim domu, na złego męża, na niedobrych przyjaciół później natrafi, azaliż młode jej w klasztornem więzieniu spędzone lata ustrzegą ją od występku? Nie wiem — Bogu to tylko wiadomo, który wszystkim mniej więcej w ciężkich razach dopomaga. Zdaje mi się tylko, że ta trudność na tę kwestyę zamienia się: Z dwojga złego, co lepiej: czy żeby kobieta całe życie w złem towarzystwie strawiła, czyli żeby przynajmniej młode swoje lata w dobrem przepędziła? Niech każdy wybiera co mu się podoba. Wszędzie ludzie — a zatem wszędzie niedoskonałości — nawet i po klasztorach; temu nie przeczę — ale o to idzie, gdzie bezpieczniej dla dzieci, czy tam gdzie sami ludzie z ułomnościami, czy tam gdzie ludzie ułomni z Panem Bogiem".

Spróbowawszy raz śmielej pióra i czując, że z dniem każdym zyskuje w nim coraz wierniejszego sługę; odnalazłszy niejako dzięki polemice w kwestyi odnoszącej się równie do drogich sobie osób, jak i do drogich zasad, właściwą drogę dla swego talentu, wkroczył na nią Chołoniewski z zapałem. Czuję potrzebę i za obowiązek sobie uważam, zwierzał się przed najbliższymi, wypowiedzieć co mi na sercu cięży, uderzyć rycerskim bojem na te tysiączne przesądy i kłamstwa, z któremi na każdem polu w książkach, rozmowach i w życiu się spotykam; na te pseudo-literackie, historyczne i filozoficzne teorye, co jak Tatarzy kraj nasz pustoszą, a tem są niebezpieczniejsi, że się często za chrześcijan i poczciwych Polaków przebierają. Tej potrzebie serca, temu obowiązkowi rozumiącego swe powołanie kapłana i literata, odpowiedział Chołoniewski szeregiem prac, z których pierwsza, ze wszystkich najgłośniejsza, umieściła go odrazu w rzędzie lepszych naszych pisa-

rzów i zjednała mu słuszną nazwę podolskiego „filozofa-poety". Pracą tą był podziś dzień ceniony i chwalony, choć za mało podobno znany *Sen w Podhorcach*, jeden z najoryginalniejszych a może i z najsympatyczniejszych utworów, jakie w ogóle posiadamy. Rzadko kiedy w równym stopniu tak harmonijnie sprzęgły się ze sobą prawda i poezya; rzadko kiedy gorżkie prawdy społeczeństwu podane, zdrowe choć nie popularne filozoficzne myśli wystąpiły w równie pięknej szacie, blaskiem poezyi, czasem iskrami dowcipu świecącej i wabiącej.

Przewodnią, jasno w całym utworze przebijającą ideą autora, było schłostać ostro, ale zasłużenie wybryki wyobraźni i serca, które w tym właśnie czasie w oczach niejako mnóstwo pełnych nadziei młodzieńców na fałszywe ścieżki sprowadzały i nie tylko w literaturze, ale co gorsza, w sumieniach, rodzinie, społeczeństwie całem, straszne szerzyły spustoszenie. Fałszywy, w karykaturę zmieniony romantyzm, przeciw któremu najenergiczniejszy protest podnieśli samiż twórcy i wodzowie kierunku romantycznego, zagnieździwszy się w poezyi przeszedł z niej do historyi, do życia, nawet do nabożeństwa, apoteozując zbójecką kozaczyznę; stawiając namiętności i nieokiełzane żądze serca jako wszechpotężne, uszczęśliwiające ludzkość boginie, którym ślepe należy się posłuszeństwo; przekształcając katolicką wiarę i pobożność w sentymentalny zachwyt dla w fantastyczną szatę przybranej pobożności dawnych polskich królów i rycerzów. Rozwody, karty, wino, podkopywały moralność i majątki tem pewniej i spokojniej, że tymczasem za nieprzepuszczającą światła zasłoną utkaną z sentymentalno-poetycznych teoryj, usiłowano złe z dobrem, występek z wewnętrznem poszanowaniem wiary i pobożności, Mefistofelesa z sumieniem wszelkimi sposobami do zgody i wzajemnego porozumienia się doprowadzić.

Tak w paru głównych rysach przedstawia się piękny ten, poezyą a zarazem prawdą pociągający utwór, który słusznie i z niejednego wyłącznie względu do wspomnianego przez Chołoniewskiego arcydzieła Calderona: *Życie snem* mógłby być porównanym. Kiedy autor odczytał swój *Sen* w zaufanem kółku domowem, zgodzono się jednomyślnie, że wydrukować go trzeba, a po niedługim namyśle dodano, że najlepiej będzie go wydrukować w wileńskiem

Athenaeum, które, jak zapewnił redaktor Kraszewski[1], „na pier-„wszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę „idei religijnych, zdrowych; starać się będzie ostatecznie wytępić „błąkające się jeszcze niedobitki wyobrażeń, przekonań XVIII w.; „stanie, o ile mu siły pozwolą, do walki z niewiarą, materyalizmem, „sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodej Europy. W oddziale „świeżo utworzonym filozoficzno-religijno-moralnym starać się bę-„dziemy umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na „walną sprawę pobratania filozofii z katolicyzmem; sprawę dopeł-„nioną w naturze rzeczy, ale nie wyjaśnioną może dla wielu, „mianowicie u nas".

Kraszewski w ostatnich wierszach programowej swej odezwy zwracał się z gorącą prośbą do pisarzów polskich, „aby nam po-„mocy swej nie odmawiali, bo to co uczynią, uczynią nie dla nas, „lecz w sprawie dobra powszechnego". Jakże było takiemu we-zwaniu nie odpowiedzieć? Odpowiedział też na nie Chołoniewski i już w kilka tygodni po ogłoszeniu odezwy, posłał najprzód przez trzecią osobę, jakby dla wypróbowania gruntu krótką rozprawę:[2] *Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych, przez kapłana katolickiego dyecezyi kamieniecko-podolskiej.* Rozprawa ta zwięźle, a nawet sucho, raczej po szkol-nemu naszkicowana niż obrobiona, za cel miała dowieść, że metoda, która ze swych badań wyłącza podania i naukę Kościoła Chrystu-sowego, i nie uważa jej jako naturalnego swego dopełnienia i ko-rony, nie może nawet sobie rościć prawa do nazwy metody filozo-ficznej. Czy przypadkiem „kilka słów" nie są poprostu polskim w niektórych szczegółach pomnożonym przekładem jednego z licz-nych filozoficznych i teologicznych wypracowań po łacinie w Rzymie jeszcze pisanych? Stanowczo odpowiedzieć nie śmiemy, ale i styl i treść rozprawy mimowoli podejrzenie to wznieca; w każdym ra-zie nawet przypuścić nie łatwo, aby ktoś, co już miał w swej tece głęboko a poetycznie pomyślany *Sen w Podhorcach*, miał teraz do-piero, rzucając nagle poetyczną harfę, biorąc rozbrat z właściwym sobie sposobem myślenia, zasiąść do pracy z dobrym zamiarem

[1] *Athenaeum* r. 1841, t. V, str. VI.
[2] *Athenaeum* r. 1841. T. VI. Str. 1—13.

i niemałą erudycyą wykonanej, ale nie odróżniającej się w niczem od mnóstwa podobnych akademickich dysertacyj [1]. Bądź co bądź, kiedy *Athenaeum* tę moją ramotę wydrukowało, pomyśleć sobie musiał Chołoniewski, to przecież i ze *Snem* łaskawie się obejdzie, i wydobywszy z szuflady leżący w niej od dość już dawnego czasu rękopism, z dobrą otuchą i otwartą już tym razem przyłbicą, odesłał go przez nadwornego kozaka do Gródka, skąd Kraszewski, choć nie bez rozlicznych, nieraz humorystycznie i niehumorystycznie przez samego siebie opisywanych trudności, redagował swe czasopismo w wileńskiej drukarni tłoczone.

„Mój pierwszy krok do znajomości Pana, pisał Chołoniewski w liście do rękopisu dołączonym [2], jest natręctwo grożące nielitości„wem znudzeniem... Lecz w piątym tomie *Athenaeum* tak Pan „pięknie i bez ogródki przemówiłeś do wszystkich naszych serc „i umysłów katolickich, iż niepodobna było, ażeby najleniwsze na„wet istoty piśmiennego rodu nie poruszyły się na to szlachetne „wezwanie i nie przyłożyły, acz niezgrabnej ręki do poczciwej i su„miennej pracy Pańskiej"...

„Nie wiem jak mam dziękować, odpowiedział natychmiast Kraszewski, a czuć z ciepłego tonu tej odpowiedzi, że była ona czemś więcej niż banalnym redaktorskim komplementem, nie „wiem jak mam dziękować, żeś J. W. hrabia, mnie pierwszemu „dozwolił (przed innymi czytelnikami) przyjemności przeczytania „*Snu w Podhorcach* i polecił wprowadzenie na świat tak pięknego „utworu. Dawno i bardzo dawno żadne pismo nowe takiego na

---

[1] Niebawem pojawiła się w *Bibliotece warszawskiej* (r. 1842. Zeszyt z maja) pobieżna, ale nie zbyt pochlebna wzmianka o tym artykule, z którego wynikami, zdaniem recenzenta, zgodzić się trudno. „Utarczka to próżna, odpowiedział w samo jądro trafiając, M. Grabowski w *Tygodniku petersburgskim*, bo niewątpliwie autor artykułu a recenzent do słów przywiązują niejednakowe znaczenie".

[2] Wszystkie listy i szczegóły odnoszące się do stosunku między Kraszewskim a Chołoniewskim wyjęte i cytowane częścią wedle studyum Dr. Antoniego J. „Józef Ign. Kraszewski i ks St. Chołoniewski". (Przewodnik naukowy i literacki r. 1878) tudzież z listów Kraszewskiego do Chołoniewskiego, ogłoszonych w całości przez Dr. Antoniego J. w warszawskiej *Niwie* r. 1888; częścią wedle oryginalnych listów Chołoniewskiego przechowanych w zbiorach po Kraszewskim, Bibliotece Jagiellońskiej przekazanych.

„mnie wrażenia nie uczyniło; dziwiłem się sztuce, z jaką tę prze-„cudną powieść osnułeś J. W. Pan, z jaką ją wykończyłeś, a ra-„dował mnie cel tak piękny, główna myśl tak poważna, a tak „strojna. I pomyślałem znowu, com niedawno napisał w *Studyach*, „że w tego rodzaju utworze jeden J. W. Pan mogłeś się ustrzedz „zarzutu mieszania rzeczy najświętszych i najpoważniejszych z naj-„lżejszemi i najbardziej świeckiemi, bo trzeba było tak być pewnym „siebie i panem najdrobniejszych szczegółów, aby śmiało zlać w je-„dną całość nauki kanclerza i drwinkowanie szatana. Tylko drzewo „dobre da owoc cale czysty i dobry; i dlatego to powiedziałem „mej braci piszącej, że kto chce być pewnym zdrowia i nieszko-„dliwości swych dzieł, duszy swej czystości winien być naprzód „pewien... Nie przeczytałem *Snu*, ale pochłonąłem, bo mnie tak „ten Zygmunt zajął, żem go do ostatniej chwili próby opuścić nie „mógł. Jakiś urok szczególny rozlałeś J. W. Pan na tę swoję krea-„cyę; a co najwięcej podziwiam, to połączenie tyla nauki z taką „żywością imaginacyi zupełnie młodzieńczej, imaginacyi w całej „swej sile i potędze. Potem, cóż to za charaktery! — szatana i su-„mienia; co za myśl cudna upostaciowania ich. Jestem pewny, że „na wszystkich zrobi *Sen* takie wrażenie, jak na mnie, *głębokie* „*i silne*, bo pomyślanym jest głęboko i silnym wydany na świat; „szczęśliwym kto takie sny mieć może. Chociaż zwykłem tomy „Athenaeum składać z różnych artykułów, na ten raz i dla tak „*hors de ligne* utworu, pospieszę uczynić wyjątek. Cały prawie tom „trzeci (bo drugi już zredagowany) nowej seryi Athenaeum zajmie „*Sen*, parę tylko drobnych dodam mu artykulików za towarzyszy; „przekonany jestem, że za to wszyscy mi podziękują“ [1].

Ks. Stanisław bardzo był rad, że radaktor *Athenaeum* na jego propozycyę się zgodził i obiecał cały *Sen* w jednym zeszycie umieścić. „Trochę to wprawdzie niegrzecznie, pisał z zadowoleniem, „że mój *Sen* dziwaczny w całym prawie jednym tomie rozpierać „się będzie, jak na wygodnem poręczowem krześle, ale kiedy Pan „rozgrzeszasz go z tej inzolencyi, to już i mnie milczeć trzeba“.

To nie niegrzeczność, ale łaska dla czytelników, odpowiedział

---

[1] Gródek, 3 marca 1842.

grzecznie Kraszewski[1]; nie tylko ja, ale wszyscy, którym *Sen* czytałem, nim się zachwycają. „Ileż to on niebezpiecznych błędów „sprostować może!... Musiałem się źle wyrazić pisząc o nim, gdy „J. W. Pan zdajesz się wątpić, czym ocenił Miecielskiego? Mie„cielski jest czysto nasza postać, i ja sam podobnych żywych „*en chair et en os* widziałem; narodowa to i z teraźniej„szych czasów figura, upoetyzowana tylko przez poetę. W iluż „umysłach od tej lektury zajaśnieć może prawdziwe światło..; ale „dość, bo temi pochwałami, które są tylko *toute justice* mogę się „podać w podejrzenie pochlebstwa, a o *Śnie* mówić mi inaczej nie „podobna".

Dopełniając obietnicy, umieścił istotnie Kraszewski cały *Sen* w jednym zeszycie, tłumacząc się z tego i poprzedzając go następną wzmianką: Od Wydawcy[2]: „Sądzim, że największą czy„telnikom naszym uczynimy przyjemność, umieszczając w tym to„mie (przeciwko zwyczajowi naszemu), jednę zajmującą go prawie „całkowicie rzecz, której rozbicie na kilka zeszytów zdało się nam „jej ujmować. *Sen w Podhorcach* ma wysoką wartość filozoficznej „rozprawy, a cały wdzięk poezyi-powieści. Zwracamy na niego „szczególną uwagę czytelników, jako na jeden z najcelniejszych „utworów, których ogłoszeniem *Athenaeum* nasze poszczycić się „może".

Czytelnicy wdzięczni istotnie byli redaktorowi; w każdym razie, choć nie wszyscy naturalnie na myśl przewodnią *Snu* się godzili; owszem, niektórzy gniewali się na autora, skarżąc się, że ich widocznie miał na oku, a nie wypada przecież tak ludzi poczciwych na publiczne widowisko wyprowadzać; to jednak powszechnie żywo *Snem* się zainteresowano, czytano go, i rozprawiano o nim nie tylko w literackich pismach i ściśle literackich zebraniach, ale i w zwykłych gabinetach i salonach. Największy to był podobno dla Chołoniew-

---

[1] Gródek. 2 kwietnia 1842.

[2] *Athenaeum* r. 1842. t. III. *Sen w Podhorcach* wyszedł również w osobnej odbitce u Glücksberga w Wilnie (w 8-ce str. 175). W ostatnich miesiącach rozpoczęła wychodząca w Krakowie *Biblioteka Uniwersalna* przedruk tego utworu.

skiego tryumf, którego imię ogólnie i lepiej dotychczas znane zaledwie w Kamieńcu i Winnicy, stało się głośnem i popularnem w Wilnie, w Petersburgu, Warszawie. Michał Grabowski oceniając *Sen w Podhorcach* w *Tygodniku Petersburgskim* z większemi jeszcze, niż sam Kraszewski wystąpił pochwałami [1], porównując ks. Stanisława z Henrykiem Rzewuskim, który w tej właśnie chwili, ogłosiwszy już *Pamiątki Starego Szlachcica*, a mając w tece *Listopad*, stanął na najwyższym szczeblu autorskiej swej sławy.

(C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

---

[1] *Tygodnik Petersburgski* r. 1842. Str. 349.

ZASADY I ŻĄDANIA RADYKALNEGO SOCYALIZMU.

(Dokończenie).

Liberté, égaltité, fraternité! Oto *Szibolet* pierwszej francuskiej rewolucyi, która dnia 19 listopada 1792 ogłosiła braterstwo wszystkich narodów i udzieliła zagranicznym mężom obywatelstwo francuskie. Te same trzy wyrazy wywiesiła jako hasło nowa rewolucya z r. 1848 przez usta swej rady ministeryalnej, w której też zasiadał poeta Lamartine. I dzisiaj pod tem hasłem występuje w walce socyalnej stan czwarty przeciw trzeciemu.

Jakżeż atoli pogodzić to z sobą, że obie rewolucye głosiły te same zasady, chociaż istotnie od siebie się różniły? Bo obie miały za podstawę swego działania tę samą pobudkę socyalną, ale pierwsza wychodziła od trzeciego, a druga od czwartego stanu. Rewolucya francuska z r. 1789 domagała się wyjednania dla trzeciego stanu prawnego stanowiska i sankcyi faktu dokonanego [1]. Gdy bowiem pierwszy i drugi stan był w posiadaniu ziemi i własności, a tem samem trzymał w ręku rządy, to trzeci stan posiadał rzeczywiście kapitał, i na mocy jego dobijał się równouprawnienia i rządów. Że trzeci stan, tj. mieszczański posiadał wyłącznie kapitały, złożyły się na to: odkrycie Ameryki i drogi morskiej do wschodnich

[1] Lassalle ze stanowiska socyalno-ekonomicznego bardzo trafnie ocenia rewolucyę francuską mówiąc: „Die schon thatsächlich bestehende Herrschaft des Capitals über den seiner bisherigen Herrschaft beraubten Grundbesitz nun auch rechtlich zu sanctioniren“.

Indyj, zaprowadzenie igły magnesowej i kompasu, drogi wodne, kanały i gościńce, wynalezienie prochu, a tem samem złamanie potęgi książęcej i magnackiej przez królów, zburzenie zamków rycerskich i t. d. To wszystko powiększyło produkcyę, zbogaciło rękodzielnika i dało mu ważne stanowisko w społeczeństwie i faktyczną, choć prawnie nie uznaną jeszcze przewagę, albowiem pierwsze dwa stany leżały finansowo w niemocy, mając jedynie przywileje i rządy. To tedy przeciwieństwo było motywem socyalnym (bo o innych nie mówimy) do podniesienia trzeciego stanu, który ponosząc ciężary państwowe zapragnął i rządów. A gdy został rzeczywiście powołany do parlamentu, skorzystał natychmiast z nadarzonej sposobności, i rządy sobie przywłaszczył.

Rewolucya burżoazyi z r. 1789 miała socyalny i socyalistyczny powód, proklamowała prawa człowieka i zasadę, że państwo jest panem własności. I na mocy tej zasady przystąpiła do usunięcia wszystkich przywilejów, do opodatkowania, a w końcu i zagrabienia majątków kościelnych, do zniesienia szlacheckich majętności i podzielenia tychże pomiędzy włościan, do zniesienia cechów, usunięcia robocizny, dziesięcin i t. d. Zabrał tedy trzeci stan dziedzicom i duchowieństwu ich własności ziemskie i to bez wynagrodzenia i wytworzył tę bogatą burżoazyę, która ujęła w swe ręce wielki handel, industryę i kapitał, zastąpiła gospodarstwo naturalne przez gospodarstwo pieniężne, usamowolniła i uprzywilejowała kapitał, znosząc wszelką pozytywną organizacyę zarobku. W ten sposób trzeci stan, objąwszy faktycznie rządy, przywrócił wprawdzie wolność polityczną i osobistą, ale nie równość. Braterstwo zaś, które pociągało za sobą „równy podział dziedzictwa ludzkości“, nie przypadło do gustu burżoazyi, wolała sama wszystkie zyski posiąść. Tak więc stan trzeci stargał sam te hasła, które mu dopomogły do wydobycia się na wierzch, i patrzył na klasę roboczą, jako na zwierzęta juczne, wyłącznie do pracy stworzone. Atoli raz wywieszony sztandar nie zniknął z widowni; owszem, hasło to dotarło do stanu czwartego i wywołało kwestyę socyalną, zagrzewając uciemiężonych przez kapitał do walki. I dzisiejsi socyaliści posługują się tem samem hasłem przeciw stanowi trzeciemu, jakie on wygłosił przeciw dwom pierwszym stanom. Socyaliści dzisiejsi proklamują braterstwo, i na mocy tegoż nie uznają żadnej innej wła-

sności, jak tylko tę, której źródłem praca. Można tedy śmiało twierdzić, że radykalny socyalizm usiłuje wypełnić trzeci punkt programowy francuskiej rewolucyi — *fraternité*, tj. że własność może być uzyskaną jedynie własną pracą, i to w komunizmie, bo *egalité* wymaga, by zarobek ludzi był wiecznie równy.

Z tych kilku uwag wolno już wnioskować, iż gdy katolikom i konserwatystom przysłuża prawo zwalczania socyalistów, to nie wolno tego czynić liberalnej burżoazyi z r. 1789 wyrosłej, która tą samą drogą i mocą tych samych zasad, jaką dzisiejsi socyalni demokraci względem burżoazyi obierają, zabrała dobra kościelne, skonfiskowała majątki szlacheckie, a właścicieli na giliotynie straciła. Hasło stanu trzeciego powtarza dzisiaj stan czwarty, i spełnia się owa prawda: „jaką miarą mierzysz, taką ci odmierzą“. Jakżeż tedy socyaliści uzasadniają swoje hasła?

R ó w n o ś ć wywodzi się poprostu stąd, że wszyscy ludzie są indywiduami jednego i tego samego rodzaju ludzkiego, zarówno obdarzeni ludzkiem obliczem i rozumem. Dopiero wśród walki o byt stali się nierównymi, a to przez niesprawiedliwe ekonomiczne i polityczne stosunki, które naturalną równość zwichnęły. Z tego wyłoniła się tak straszna przepaść między bogatym a ubogim, iż ostatni nie może nawet już po ludzku żyć, i los jego z bydlętami został zrównany. Skoro zaś społeczna równość powinna odpowiadać naturalnej, zatem wszyscy, którzy razem dla społeczeństwa produkują, powinni mieć równy udział w spożytkowaniu wspólnego produktu pracy. Powinna więc być równość ekonomiczna polegająca na tem, aby członkowie gminy i państwa mieli za swój współudział w pracy pełny współudział w dobrach sprodukowanych. Dalej, polityczna równość stworzyć ma równowagę praw i obowiązków. Religijna równość wreszcie ma doprowadzić do tego, by różnica wyznania nie wpływała na stanowisko, jakie ma zająć obywatel w społecznym i państwowym ustroju gminy.

Za równością idzie w o l n o ś ć, bo skoro wszyscy ludzie są sobie równi, jeden nie może być w niewoli drugiego, ale wszyscy powinni używać tej samej wolności. Wolność ekonomiczna stoi w sprzeczności z faktyczną niewolą ekonomiczną, w jakiej większość ludzkości obecnie jęczy. Wprawdzie niewola osobista ustała, ale miejsce jej zajęła nowa niewola robotników, którzy stoją w najzu-

pełniejszej zawisłości od swego chlebodawcy, a to na mocy owego nowego systemu produkcyjnego i owego nieludzkiego prawa o „zarobku“ [1]. Dzisiaj środki pracy stały się monopolem klasy kapitalistów, którzy wszystkie majątki ruchome i nieruchome zagarnęli i miliony w niewolę i nędzę popchnęli [2]. Kiedy wolność pracy została zaprowadzona, to konsekwentnie i środki do pracy powinny były stać się wspólnem dobrem społeczeństwa. Ponieważ to się nie stało, domagają się socyaliści zaprowadzenia socyalnych stowarzyszeń produkcyjnych, stojących pod opieką państwa, a pod kontrolą ludu. Z ekonomicznej wolności wykwita znów polityczna. Skoro bowiem każdy robotnik jest współwłaścicielem zysków całości, nie można już mu odmawiać prawa, by brał udział w wyborach, rządach i parlamentach, tj. powszechnego głosowania. Wolność religijna wreszcie ma na tem polegać, by wyznanie pozostawało wyłącznie sprawą prywatną. Ta zasada stawia się jedynie dla względów taktycznych, by oddalić wpływy religii od robotników.

Wolność i równość nakoniec mogą być jedynie przez braterstwo uzyskane. Jakkolwiek socyalista sprowadza wszystko złe, a więc zbrodnie i nędzę, do zewnętrznych stosunków, jednak czuje też, że egoizm jest najpotężniejszym wrogiem pomyślności społeczeństwa. A do zwalczenia egoizmu rozumie potrzebę moralnych czynników. Woła więc: Solidarność! Miłość ludzi! Braterska miłość jest naszym celem! Ludzie są braćmi, bo są dziećmi tej samej rodziny; powinni się tedy wszyscy na świecie kochać. Z tego wyłania się znowu charakter internacyonalny socyalizmu. Braterstwo to ma być politycznem w taki sposób, żeby państwo ludowe było wielką rodziną, której członkowie familijnie i solidarnie są z sobą połączeni. Ono ma być i ekonomicznem, bo wszyscy zostaną jednako uprawnieni do spadku, i równy udział mieć będą w posiadaniu

---

[1] Joerg „Geschichte der soc.-polit. Parteien in Deutschland“, Freiburg. 1867, str. 42. „Es ist die gerühmte freie Concurrenz nichts Anderes, als der Wettkampf zwischen einem Bewaffneten und einem Unbewaffneten“.

[2] Krytyk Ruskin nazywa ów system szkoły liberalnej; postawiony przez Smitha, Riccardo i Cobdena „organisirtes Raubsystem, das sich der menschliche Egoismus wissenschaftlich herausgeputzt habe, um den Armen und Schwachen desto sicherer auszubeuten, ihn unter der Wucht des associirten Capitals zu erdrücken“.

własności społecznej. Braterstwo wreszcie religijne wychodzi na wspólnej negacyi jakiejkolwiek religii.

Druga zasada radykalnego socyalizmu brzmi: „Przemiana prywatnej własności ziemi i wszelkich środków pracy na wspólną własność".

Jeszcze w roku 1868 na kongresie w Bruxelli uchwalili socyaliści między innemi żądaniami i to, że kopalnie węgla, nafty i innych minerałów, dalej, że koleje, telegrafy, gościńce, kanały, lasy, maszyny mają być wspólną wszystkich własnością. To samo zatwierdził r. 1869 kongres w Bazylei i 1875 r., 25 maja program uchwalony w Gocie. Wprawdzie Liebknecht socyalista w dziele *Grund- und Bodenfrage* twierdzi, że te zasady mają li tylko teoretyczne znaczenie, przecież trudno mu na słowo wierzyć, skoro ogólne przekonanie socyalistów co innego twierdzi. Socyalizm wysnuwa ten wniosek z zasady: iż skoro wszyscy ludzie są sobie równi i do równego używania szczęścia doczesnego powołani, więc i środki do tego uszczęśliwienia służące powinny być równo pomiędzy wszystkich podzielone, albo wszystkim wspólne. A to stać się może jedynie przez przelanie własności prywatnej na zbiorowość. W takim bowiem razie gmina, jako wyłączny właściciel, rozdzieli ziemię do uprawy jednostkom do pracy uzdolnionym, a zbiory rozdzieli według potrzeby obywateli.

Z tych dwóch zasad wyprowadza logicznie socyalizm konieczność wspólnej produkcyi. Spółki produkcyjnie nie są wynalazkiem Lasalla, jak dawniej Niemcy twierdzili. Pierwszy podniósł je Ledru Rollin w dziele *La Reforme* domagając się, ażeby państwo wzięło inicyatywę w reformie industryi w tym kierunku, ażeby robotnicy zostali podniesieni do stanowiska „stowarzyszonych". Stąd to pochodzi owa *Productivassociation*. Ludwik Blanc rozszerzył tę ideę w dziele „O organizacyi pracy", i domagał się interwencyi państwa w celu rozwiązania kwestyi socyalnej. Za podstawę przyjął „assocyacyę": robotnicy powinni się łączyć w stowarzyszenia, by po otrzymaniu od państwa subwencyi na swój własny rachunek i własną odpowiedzialność zbiorowo fabryki prowadzić. W taki sposób utonęłaby zwolna prywatna produkcya we wspólnej

i zniesionąby została rozterka między kapitałem a pracą. Program ów przyjął za swój Lassalle i bystrym swym geniuszem począł go szerzyć i w życie wprowadzać. Po nim zaś dalszą pracę w tym kierunku objął Hasenklever.

Trzeciem żądaniem socyalistów jest: usunąć obecny system zarobkowania i zastąpić go zupełnym dochodem z pracy.

Przyswoiło sobie to żądanie zjednoczone stronnictwo robotników w Bruxelli r. 1868 i r. 1875. Stawiają socyaliści to żądanie dlatego, że obecny „system płacy robotnika“ za niesprawiedliwy uznają. Lassale tak określa ten system: „Twarde ekonomiczne prawo płacy, które określa w obecnych stosunkach zapłatę robotnika zasadą „popytu i podaży“, jest takie, że przeciętna płaca robotnika bywa stale redukowana do niezbędnych warunków utrzymania życia na tyle, by robotnik według miejscowych zwyczajów, mógł wegetować i rozmnażać się[1]“. Ten niemiłosierny system płacy wynika z przypuszczenia, że praca ludzka jest towarem, podobnym do innych towarów, który się licytuje *in minus* na jarmarkach pracy. Tak że już niema chlebodawcy w obec najemnika, ale jest tylko kupiec w obec towaru. W ten sposób zrywa się moralny węzeł łączący ludzkość, i każdy szuka tylko swej własnej korzyści; kapitalista stał się panem wszechwładnym nad nędznym robotnikiem; robotnik musi swe siły fizyczne i umysłowe sprzedać, aby żyć, a fabrykant spekuluje zimno, gdzieby najtańszego znaleść robotnika. Stąd wynik po jednej stronie nędza, niewiadomość, niewola; po drugiej nadmierny wzrost majątków, pycha i używanie. Ponieważ zaś ta nędza robotnika musi być raz usuniętą w imieniu ludzkości i sprawiedliwości, więc też musi człowiek przestać być towarem, praca i posiadanie muszą być w tej samej ręce połączone[2].

---

[1] „Das eherne ökonomische Lohngesetz, welches unter den heutigen Verhältnissen, unter der Herrschaft von Angebot und Nachfrage nach Arbeit den Arbeitslohn bestimmt, ist dieses: dass der durchschnittliche Arbeitslohn immer auf den nothwendigen Lebensunterhalt reducirt bleibt, der in einem Volke gewohnheitsmässig zur Fristung der Existenz und zur Fortpflanzung erforderlich ist“. (Offenes Antwortschreiben an das Central-Comité).

[2] N. Social-Demokrat, 1874. Nr. 114; i r. 1875 nr. 38.

Na potwierdzenie swego żądania posługują się socyaliści następującym dowodem. Czem jest praca? Praca jest ludzką czynnością. Mówi się wprawdzie, że i zwierzę i maszyna pracuje, ale podobne wyrażenie jest niedokładnem. Człowiek tylko może istotnie pracować, bo on jedynie wie i pojmuje, co i dlaczego robi. Maszyna i zwierzę są tylko narzędziami pracy, które bezwiednie do pracy służą. „Praca jest czynnością siebie samej świadomą". Do pracy nadto należy z „trudem połączone użycie fizycznych sił". Każdy rozumie, że zerwanie kwiatka, niesienie łyżki do ust nie jest pracą. Ale i to znamię nie daje jeszcze zupełnego pojęcia pracy. Najprostsza fizyczna praca nie da się pomyśleć bez duchowej czynności. Aby dobrze kierować siekierą, dłutem, trzeba się poprzód uczyć. A nauka taka nie obejdzie się bez myślenia, bez uwagi. Sama nawet umysłowa praca jest uciążliwą. W pracy więc łączy się i duchowa i fizyczna strona człowieka.

Wreszcie należy tu i cel, który poza pracą leży. Np. przechadzać się nie jest pracą; ale iść po lekarza, i t. p. jest już pracą, bo przynosi korzyść i pożytek.

Praca tedy jest to świadoma siebie, z mozołem połączona czynność umysłowa i fizyczna w celu zdziałania czegoś dobrego! Tak pojmując pracę nie można jej od człowieka oddzielić. Praca ludzka jest działaniem całego człowieka, jest to cały człowiek! Więc praca nie jest towarem, jak i sam człowiek nie jest towarem. Stosunek więc najmującego pracę do najemnika winien być stosunkiem równości i miłości bliźniego, a w żaden sposób stosunkiem kupującego do towaru.

Kapitalista trzymając się zasady, że „praca jest towarem", i mając zupełnie robotnika w ręku, wyzyskuje go, przedłużając mu godziny pracy, obniżając płacę aż do *minimum* nędznego utrzymania. Dawniej wartość pracy była zawarowana nietylko utrzymaniem dorosłego robotnika, ale zarazem i wyżywieniem jego rodziny. Robotnik tyle zarabiał, że siebie i rodzinę był w stanie wyżywić. Dzisiaj maszyna zniosła w ogóle potrzebę silnych rąk, a tem samem obniżyła wartość pracy mężczyzny, i zastąpiła go po wielkiej części kobietą i dzieckiem. Z chwilą tedy, w której można na targu świata zakupić do pracy niewiastę i dziecko, obniżyła się wartość pracy mężczyzny. Co gorsza: niesumienni fabrykanci posługują się

specyalnie kobietami zamężnemi, a to z tego powodu, iż one, musząc wyżywić rodzinę i męża, bywają uważniejsze, pilniejsze i uleglejsze od niezamężnych i dzieci. I w tem to leży ciężar nadużycia, które bezkarnie uchodzi.

Skutkiem wciągnięcia kobiet i dzieci do pracy, po za normalny czas przedłużany, nastąpiła fizyczna i moralna ruina rodziny robotnika; za czem poszła straszna śmiertelność dzieci w latach niemowlęctwa, rychła śmierć podrostków, zdegenerowanie robotników, którzy do żadnej innej pracy nie są już zdolni, bo cała ich konstytucya od młodości wzwyczaiła się do pewnej tylko roboty [1].

Krom maszyny walczy przeciw robotnikowi jeszcze „wolna konkurencya“, która ułatwia wyzyskiwanie ludzi przez ludzi, a którą zrodziła szkoła Manchersterska, tak słusznie przez socyalistów znienawidzona i zwalczana. I dlatego to socyaliści stawiają wręcz przeciwną dewizę: „precz z obecną formą produkcyi kapitalistycznej, precz z systemem płacy, w którego miejsce ustąpi zupełny dochód z pracy“.

Ostatniem pragnieniem i oraz obietnicą socyalistów jest: „usunięcie wszelakiej ludzkiej nędzy i przywrócenie szczęśliwości wszystkich ludzi“.

To jest najsłabszą stroną i pięta Achillesowa całej teoryi demokratycznego socyalizmu, i jeżeli gdzie to na tym punkcie najłatwiej ich bez goryczy i krzywdy dosadnie zwalczać. Zwyczajnie polemizują z socyalistami w ten sposób, że ich z góry odsądzają od wszelkiej czci i wiary, przedstawiając ich jako potwór złego, bez żadnej dodatniej myśli. Ale taka polemika jest farsą i dziecinną, a zarazem i niesprawiedliwą. Wykształceni socyaliści powiedzą natenczas z goryczą: „patrzcie, jaką to bronią walczą przeciwnicy; potępiają a nie dowodzą“. Wielbiciele socyalistów o gorącem sercu, a słabych wiadomościach z ciekawością rozczytywać się będą w pismach socyalistycznych, a poznawszy, że nie wszystkie zarzuty są słuszne, że i po ich stronie jest coś prawdy i słuszności, rzucą się w ich objęcia.

I cóż obiecuje socyalizm sobie w przyszłości? Jakie owoce

---

[1] Engels „Lage der arbeitenden Classen“.

przyniosą światu ich idee wolności, równości, braterstwa, wspólnej własności, produkcyi zjednoczonemi siłami i podziału całego zarobku pracy? Dziwna zaiste rzecz, iż socyaliści, którzy tak zapamiętale zwalczają wiarę w życie przyszłe, z tak silną wiarą spoglądają w ziemską przyszłość i oczekują od socyalistycznego państwa nieba na ziemi, tj. usunięcia wszelakiej nędzy moralnej i materyalnej. I w jakiż sposób ma to zbawienie nastąpić? Zło fizyczne i moralne ma, według przekonania socyalistów, dwa źródła: zewnętrzne okoliczności, które są bliższem, drugorzędnem źródłem złego, i egoizm, który jest pierwszem, głównem źródłem. Otóż, skoro egoizm zostanie usunięty, znikną i złe zewnętrzne okoliczności, a tem samem i wszelkiego rodzaju zło.

Egoizm zostanie usunięty przez ogólne wykształcenie i wychowanie ludu, przez podniesienie tegoż do braterstwa i miłości bliźniego. Środkiem do takiego wykształcenia i wychowania jest nauka historyi naturalnej i ekonomii społecznej. Te pouczą człowieka o jego stosunku do przyrody, tj. o jego zawisłości od niej, a oraz o sposobie opanowywania i poddawania jej na swe usługi. Te nauki również pouczą go o jego stosunku do społeczeństwa, tj. że jego materyalne i duchowe szczęście bywa zawarowanem od szczęścia całego społeczeństwa. Takie pouczenie zrodzi w nim miłość braci, która zadławi samolubstwo.

Socyalista mówi: Głównem złem w społeczeństwie jest ubóstwo; zaraźliwe choroby, epidemie, wczesna śmiertelność dzieci i młodzieży, degeneracya klas roboczych, wypływają z ubóstwa. Ubogi nie może się dostatecznie wyżywić, ciepło i wygodnie ubierać się, nie ma świeżego powietrza, ani opieki lekarskiej w słabości; cóż dziwnego, że tyle śmierci srogich i przedwczesnych? Otóż, ponieważ w państwie socyalistycznem z bogatym zostanie zrównany ubogi, i każdy będzie miał dostateczne pożywienie i wszelkie środki podtrzymujące zdrowie, tem samem i śmiertelność się zmniejszy. Główną przyczyną zła moralnego, tj. występków przeciw własności, życiu, moralności, dalej przyczynę prestytucyi, zawiści, zazdrości, sknerstwa, niemiłosierdzia, widzi socyalista w obecnym systemie opartym na kapitale i w różnicy między bogatym a ubogim. Stąd z jednej strony nędza, *et male suada fames*, z drugiej zaś egoizm [1]

[1] Volksstaat, r. 1875, nr. 118.

Socyalizm nie uznaje istniejącego stanu rzeczy, ale mimo to od spraw publicznych się nie usuwa, owszem żywy udział bierze wszędzie, gdziekolwiek według zwyż określonego programu coś uzyskać może. Usiłowaniem jego jest dojść do rządów, lub w parlamentach większość osiągnąć, i dopiero drogą ustawodawstwa swoje państwo stworzyć. Tymczasem następujące stawia społeczeństwu i rządom wymagania (według programu uchwalonego dnia 25 maja 1875 r. w Gocie): Żąda on rozszerzenia praw politycznych ludu; zniesienia podatków pośrednich, jako najwięcej ubogą klasę obciążających, a zastąpienia tychże podatkiem dochodowym progresyjnym; nieograniczonego prawa stowarzyszenia; normalnego dnia roboczego, odpowiadającego potrzebom robotników; święcenia niedzieli; zakazu pracy kobiet i dzieci w fabrykach[1]; prawa ochronnego dla życia i zdrowia robotników; kontroli państwowej nad sanitarnymi stosunkami mieszkań; czuwania nad kopalniami, fabrykami, warsztatami, przez urzędników wybranych przez robotników; uregulowania pracy więźniów i zaprowadzenia własnego zarządu dla kas zapomogowych robotników.

Oto są w skróceniu żądania radykalnego socyalizmu, które bliższej ocenie ze stanowiska chrześcijańskiego podamy, by poznać, co jest w nich zgodnego z duchem nauki Chrystusowej, a co i temuż duchowi i społeczeństwu przeciwnego, a tem samem i szkodliwego. Ważne to bowiem dla chrześcijanina pytanie, co on ma wśród ścierania się dwóch prądów, tj. liberalnego i socyalistycznego czynić. Czy wszystko pozostawić inicyatywie państwa i milczeć; czyli też starać się o pewne zmiany w ustroju ekonomicznym i politycznym społeczeństwa, a nawet i w polityczne stronnictwo do osiągnięcia celu się łączyć.

Wielu z katolików nawet trzyma się owego kwietyzmem trącącego: *laisser faire, laisser aller*, i stawiają ową liberalną zasadę jako obowiązek obywatelski, a dla kapłanów jako wyłączną wskazówkę. Sądzą bowiem, że chrześcijanin ma tylko i jedynie tylko starać się o zbawienie swojej i bliźniego duszy, wszystko zaś inne cierpliwie znosić i państwa rządom i władzy pozostawić. I powo-

[1] W Anglii w r. 1850 pracowało w fabrykach bawełnianych 6 procent dzieci; a w. 1875, 14 procent.

łują się na owe Chrystusa Pana słowa: „królestwo moje nie jest z tego świata". Przecież zapatrywanie takie nie jest zgodne ani z nauką, ani z duchem chrystyanizmu. Chrześcijanin ma obowiązek świeckie sprawy poddawać krytyce słowa Bożego i nauce Kościoła; a skoro się przekona, iż coś w ustroju społecznym nie odpowiada nauce Chrystusowej, wolno mu w celu poprawienia stosunków w myśl zasad nieomylnego Kościoła stworzyć nawet polityczną partyę. Jednego ma się wystrzegać, ażeby przy tem nie utracił charakteru chrześcijańskiego i nie przybrał słabostek, błędów i grzechów partyj politycznych. Ma więc na tem stanowisku pracować bez namiętności, jedynie bronią prawdy, cierpliwości, przebłagania i pobłażliwości na słabość bliźniego.

Kościół święty nie tylko zbawia jednostki, ale usiłuje cały świat, w którym ludzie żyją, z jego państwowym i społecznym porządkiem odnowić i w królestwo Boże zamienić. Z tego punktu zapatrywania obowiązany jest chrześcijanin wszystkiemi chrześcijańskiemi środkami, do których należy posłuszeństwo prawom istniejącym, działać i wyrzec się owego *laisser faire*. „A jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary, i jest gorszy niźli niewierny" (I. Tym. V, 7). W tem zaś działaniu ma stać silnie przy stolicy Piotrowej, w której prawda, żywot i źródło odrodzenia ludzkości. Kościół bowiem wyłącznie i jedynie dzierży w dłoni swej rozwiązanie kwestyi socyalnej, bo on jedynie posiada środki zbawienia. Co trafnie określa Encyklika Leona XIII: *Quod Apostolici muneris* z dnia 28 grudnia 1878. „Gdy książęta przejrzą, że do odwrócenia zarazy socyalizmu Kościół Boży tak wielką posiada moc, jakiej nie mają ani ludzkie prawa, ani zakazy władzy, ani nawet broń żołnierza, oby wtenczas wreszcie zwrócili napowrót Kościołowi jego stanowisko i swobodę, mocą której jest w stanie ów najzbawienniejszy swój wpływ ku dobru całego społeczeństwa urzeczywistnić".

Zresztą i obecny konstytucyjny ustrój państwowy użycza każdemu dostatecznego prawa do pracy. Władza dzisiejsza, jako ustawodawcza powaga, nie jest od ludu oderwana, i nie jest sama z siebie i dla siebie istniejącą, ale składa się z panującego i zastępców ludu. Oba czynniki mają tedy prawo do inicyatywy w ustawodawstwie. Wyborcy tedy powinni sobie wyrobić jasny polityczny sąd

i do osiągnięcia celu zamierzonego z podobnie myślącymi się łączyć. Przykładem tego postępowania jest chrześcijańsko-socyalna partya w Niemczech.

Dla tych powodów wolno i nam rozpatrzyć się w systemie liberalnym przez szkołę manchersterską proklamowanym a obecnie wpływowym, i w systemie radykalno-sycyalnym; by co dobre, uznać, co niezgodne z duchem nauki Chrystusowej potępić; zasady chrześcijańskie przypominać i do ich urzeczywistnienia tak w życiu jednostek, jak i w społeczeństwie i państwie dążyć. Rozumie się, że drogą prawną, uczciwą, z przestrzeganiem obowiązujących praw, a z dewizą: „Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego".

Ks. Kopyciński.

O MASONII W POLSCE

NA ŹRÓDŁACH WYŁĄCZNIE MASOŃSKICH.

(Dokończenie).

IV.

Upadek Masonii 1792 r. — Wskrzeszenie w. Wschodu 1810 r. — Reforma ustawy i wynikłe stąd niezgody. — Wolnomularstwo narodowo-wojskowe. — Ukaz Aleksandra I. z r. 1821 kasujący masonię.

Z najpoważniejszej doby polityczno-narodowej, z czasów czteroletniego sejmu, najmniej dokumentów o masonii doszło do rąk moich. Walka stronnictw sejmowych porywała umysły, nie było czasu zabawiać się „sztuką królewską“. Odegranie roli politycznej nie było celem masonii stanisławowskiej. Zbiegiem okoliczności wielu braci lożowych działało na arenie politycznej, ale nie pchała ich do tego instytucya masońska. Za króla Stanisława, tak jak za Sasów, była ona naśladownictwem zagranicy; była instytucyą humanitarną dla jednych, zabawą dla drugich. Dobroczynność, zwłaszcza dla braci lożowych, drogą protekcyi i pieniężnego wsparcia; zwalczanie tak zwanych przesądów i ciemności religijnych; uszczęśliwienie ludzkości nagim naturalizmem, oto jej zadanie i zarazem charakterystyka w tej dobie.

Wypadki zaszłe w kraju po ogłoszeniu konstytucyi 3. maja, wojna w jej obronie i wślad za nią drugi rozbiór Polski, powstanie Kościuszki i wymazanie Polski z rzędu państw politycznych, wszystko to razem przyprawiło masonię stanisławowską o zupełny

rozkład. Rozbita w kraju, masonia polska emigrowała, jak tylu innych synów zgasłej rzeczypospolitej, do Francyi, gdzie Henryk Dąbrowski, o którym jednak nie mamy pewności, ażali należał do loży, pod egidą wielkiego Napoleona organizował 20 tysięczny legion włoski, a w lat kilka potem legion północny i nadwiślański, które przelewały krew polską we Włoszech, Hiszpanii, w Niemczech i Prusiech.

Wiadomo, że Napoleon próbował zrazu zgnieść masonię całą, przekonawszy się jednak o niemożności tego kroku, postanowił użyć ją za swe narzędzie, wystąpił otwarcie jako jej protektor i przyjął honorowy tytuł wielkiego komandora w. Wschodu Francyi. Za jego przykładem oficerowie wyżsi francuskiej armii i wysocy dygnitarze państwa zapisywali się do loży. Uczyniła to samo większa część oficerów legionu polskiego. Masonia stała się modą, być bratem lożowym należało do dobrego tonu i przynosiło korzyści; wolność, równość i braterstwo, dobroczynność i uszczęśliwienie ludzkości, wielkie hasła masonii symbolicznej, głoszone na wszystkie tony i nuty, przemawiały żywo do gorących serc legionistów; edykta papieży Klemensa XII. i Benedykta XIV. potępiające masonię, nie były im znane, bo i któż miał im je ogłaszać; narodowa wielkość Francyi, wzniesiona jako sztandar przez w. Wschód francuski, zapalała do wskrzeszenia z popiołów narodu polskiego; robili się więc Masonami bez skrupułu wszyscy, od jenerała aż do wachmistrza.

Znane są smutne losy legionów polskich; część wyginęła w krwawych bitwach, część padła ofiarą żółtej febry na wyspie St. Domingo, ale też część znaczna wróciła do kraju, przynosząc z sobą kult dla Napoleona i masonii. Ktoby chciał dociec dziejów polskiej masonii w tej dobie, musiałby przewertować „księgi budownicze i obrazy“, protokoły i katalogi lóż Francyi, Włoch, Niemiec a nawet Anglii [1].

---

[1] A nietylko w tej dobie, ale i do dni naszych Polacy na emigracyi zapisują się gęsto do lóż zagranicznych. Mam pod ręką dyplomy: jenerała Hipolita Falkowskiego na stop. 4. paryskiej loży „Wiek złoty“ z r. 1803. — Antoniego Schalter lekarza polskiego na stop. 3. loży paryskiej „Bracia wtajemniczeni“ z r. 1792. — Józefa Jankowskiego z Walanowa z Galicyi na stop. 4. loży paryskiej Martyniki, St. Louis de la Martinque, z r. 1809. — Wincentego

W kraju w. Wschód polski nie istniał wcale. W dzielnicach Polski pod rządem Rosyi masonia była, równie jak w cesarstwie całem, ukazem 1797 surowo zakazaną, odżyła dopiero 1804 r. Podobnie rzecz się miała w Galicyi od r. 1795. Inaczej było w dzielnicy pod rządem Prus. Tam na zasadzie ustawy masońskiej z 1783 r. przez cały ciąg pruskich rządów w Warszawie odbywały się sekretnie narady najwyższej kapituły w polskim, francuskim i niemieckim języku. Rozwijały się też loże masońskie, ale nie polskie i nie pod polskim Wschodem, lecz niemieckie pod trzema niezależnemi w. Lożami berlińskiemi [1].

Wszystkie te loże, z wyjątkiem „Świątyni mądrości“ pracowały w języku niemieckim, składały się przeważnie z pruskich urzędników i oficerów; uważać je należy za jeden środek więcej germanizacyi ziem dawniej polskich, chociaż ówcześni Niemcy nie byli jeszcze przejęci taką nienawiścią rasową, eksterminacyjną względem nas, jak są dzisiaj.

Obok tych lóż pod berlińską supremacyą zostających, powstała 1807 r. wnet po utworzeniu Księstwa warszawskiego polska loża z szczerych wiarusów i doskonałych Masonów złożona, pod nazwą „Bracia Polacy zjednoczeni“ na wschodzie Warszawy, pod dependencyą w. Wschodu Francyi. Inicyatywa wyszła od pułkownika Stasia Potockiego; cześć niemal religijna dla Napoleona była znamieniem tej loży. Dowodem tego drukowana karta, przedstawiająca pieczęć oraz i godło tej loży, z komentarzem tejże.

Loża ta ożywiona była widocznie polityczną myślą połączenia trzech dzielnic w jedno ciało, wskrzeszenia Polski przez w. Napo-

---

Hołowni, porucznika 4. regim. piechoty polskiej, na stop. 7. w. loży na wschodzie Arras z r. 1810. — Józefa Wodzickiego z Kościelnik na stop. 4. paryskiej loży Martiniki z r. 1812. — Chryzostoma Szukiewicza, porucznika ułanów litewskich, na 3. stop. hamburskiej loży „Adepci północnego krzyża“, *(Adéptes de la croix du Nord)*, z r. 1813. — Hr. Artura Potockiego, adjutanta cesarza Rosyi i króla polskiego na stop. 32. w. Wschodu Francyi z r. 1818. Na tym dyplomie podpisany pułkownik Dębowski, jenerałowie: Dawidów, Naryszkin, kże Szczerbatów, wszyscy 32. stop. — Józefa Ordęgi na stop. 18. turyńskiej loży *Dante Aligheri* z r. 1864. Wszystkie te dyplomy są na pargaminie wielkiego formatu, ozdobnym masońskimi emblematami na miedzi rytymi.

[1] *Allgem. Handbuch der Freimaurerei*, t. II. art. *Pohlen.*

leona. Nie przeczuwali snać ci poczciwi „Bracia zjednoczeni“, że Napoleon o wskrzeszeniu Polski nigdy na seryo nie myślał, a 1809 r. cesarzowi Aleksandrowi dał sekretne ale stanowcze zapewnienie, że nie wskrzesi jej nigdy.

W roku 1808 ukazał się „obraz“ czyli katalog tej francusko-polskiej loży, złożonej przeważnie z wojskowych.

Już po ustąpieniu Prusaków z Warszawy z końcem 1806 r. i po utworzeniu Księstwa warszawskiego artykułem V. traktatu tylżyckiego d. 8. lipca 1807 r. i nadaniu mu nowej konstytucyi przez Napoleona, odetchnęli polscy „bracia“ z pod presyi „braci“ niemieckich, którzy tolerowali ich tylko, ale nie była to pora do uorganizowania zakonu. Wszystkie władze krajowe tworzyły się nanowo i organizowały, publiczne życie z sejmami pochłaniało uwagę wszystkich, a niepewność polityczna doradzała czekać bezpieczniejszej chwili. Dopiero po zwycięskiej wojnie austryackiej 1809 r. i powiększeniu księstwa o cztery departamenty, a ustaleniu politycznych stosunków i bytu księstwa traktatem wiedeńskim 1810 r., można się było oddać spokojnie regeneracyi królewskiego zakonu. Wyborny grunt pod nią dawała lekkomyślność obyczajów i zepsucie stanisławowskiej epoki, które przetrwało wszystkie rozbiory i polityczne burze, a teraz pod egidą księcia Józefa, ministra wojny i dowódcy wojska, wybornie prosperowało.

Jakoż d. 26 lutego 1810 r. starsi zakonu zawiązują wielką lożę kapitulną „Gwiazda wschodnia“, która uroczystą odezwą zaprasza symboliczne loże do łączności i związku. „Najwyższa kapituła, słowa są obwieszczenia, mając to za rzecz potrzebną i nagłą, aby uwiadomiła loże symboliczne przez mistrzów ich katedr o wskrzeszeniu dawnej loży matki, pod tytułem: „Gwiazda wschodnia“ z mocą dawania wysokich gradusów i z prerogatywami właściwemi w. loży narodowej, która się w tym czasie otworzy“. Loże pragnące przystąpić do wskrzeszonego w. Wschodu polskiego miały się zgłosić pisemnie do tejże w. kapituły, którą składali: jenerał Wilczewski, jako prezes, Eliasz Aloy sekretarz, członkowie zaś: kawalerowie rożanego krzyża, minister policyi Aleksander Potocki, minister spraw wewnętrznych Ignacy Łuszczewski, kapitan Noffok, Szütz, Reich, Stockmann i Białopiotrowicz.

Niebawem d. 22 marca ukonstytuował się w Wchód naro-

dowy pod prezydencyą namiestnika w. mistrza, najsławniejszego brata Ludwika Gutakowskiego, prezesa rady księstwa, i na dniu 1 maja 1810 r. wydał odezwę do lóż polskich.

Sześć lóż przystąpiło do w. Wschodu polskiego: „Gwiazda wschodnia, jako loża-matka, Eleuzis, Izys, Tarcza północna, Polacy zjednoczeni, Przesąd zwyciężony“, które przez swoich pełnomocników wybrały na d. 21 czerwca w. mistrzem Ludwika Gutakowskiego.

W kilka tygodni po swem ogłoszeniu, w. Wschód narodowy pomyślał o wskrzeszeniu loży adopcyjnej. Żyły jeszcze „wspaniałe i doskonałe siostry“ Masonki z czasów stanisławowskich, jak: jenerałowa kżna Czartoryska, kżna Radziwiłłowa z Nieborowa, Sewerynowa i Stanisławowa Potockie, Sołtykowa, Berneau, Chandouar i inne. Te, idąc za przykładem „najdawniejszych“ braci wskrzesiły tymczasową lożę adopcyjną i zgłosiły się do w. Wschodu narodowego z submisyą. W odpowiedzi na to wystosował w. warstat w. Wschodu pod d. 29 maja do „najsławniejszej i najmilszej siostry wielkiej mistrzyni Anny z Sapiehów Potockiej pozdrowienie“ i list pochwalny.

Wskrzeszona loża adopcyjna nosiła nazwę „Eden“, prace swe odbywała w loży braci na Lesznie, w domu zwanym ówczas pałacem Działyńskich, i z każdym dniem rosła w liczbę. Józefa Krasińskiego zamianował w. Wschód mistrzem straszliwym tej loży, jak to opowiada w swoim pamiętniku, „mając zaufanie, że nie nadużyję żadnej wolności, która jest temu stopniowi poruczona. Jakoż mając w tem dawną wprawę, urząd ten wypełniałem z zadowolnieniem tak dam jak i w. Wschodu“. Siostry z czasów stanisławowskich były urzędniczkami, młodsze siostry rekrutowały się z pięknych dam warszawskiego świata, i żon braci Masonów, jak: Chodkiewiczowa, Osińska, Wielhorska, Kempiścina, Stasiowa i Marcelowa Potockie, Cichocka, i wiele innych [1]. Pełnomocnikiem tej loży przy w. Wschodzie był „najdoskonalszy“ brat Stanisław Kostka Potocki. Do niego to pisywała w. mistrzyni Anna Potocka w sprawach swej loży.

Otwieranie lóż i prace lożowe postępowały raźno i wspaniale.

---

[1] Pamiętniki Józefa Krasińskiego w rękopisie.

Dnia 9 marca ukonstytuowała się krakowska loża. Odczytano konstytucyę loży prowincyonalnej z r. 1786, i loży własnej także z t. r. i przyjęto ją. Wnet potem spisano na pargaminie, oprawiono w zielony aksamit i srebro te „Ustawy wolno-mularskie s. i d. □ na Wschodzie Krakowa p. o. n. Przesąd zwyciężny“, leżały one na ołtarzu loży, i przechowały się aż dotąd. Lokal krakowskiej loży był w domu p. Like na Wesołej, dzisiaj klinika. W ciągu 1810 r. odbyto 31 posiedzeń, przyjęto 62 braci, afiliowano 12; puszka ubogich przyniosła 2914 złp. W roku następnym mistrzem loży był Łączyński, odbyto 37 posiedzeń, przyjęto 44, przyswojono 5 członków; w puszce ubogich 1207 złp. R. 1812 mistrzem Soter Darowski, posiedzeń, 43, przyjęto nowych 21, afiliowano 2; puszka ubogich 1200 złp. Na wniosek br. Antoniego Stadnickiego, rozdawał zupę rumfordzką ubogim podczas twardej zimy brat Wasserrab z funduszów loży. Nieszczęśliwy dla klęsk wojennych r. 1813 przerwał prace lożowe na 15 miesięcy, ale znów w lipcu 1814 r. otwierają się prace, sesyj było 23, przyjęto 15 braci, puszka ubogich dała 995 złp. Roku 1815 pod młotkiem Sotera Darowskiego sesyj 41, nowoprzyjętych 28, w puszce ubogich 1602 złr., członków loży 196, i tak z każdym rokiem wzmaga się cyfra braci aż do 382[1]. Podobny ruch i życie napotykamy w innych lożach. „Tarcza północna“ liczyła 1811 r. 39 członków, w lat 4 potem 128 członków czynnych, 45 honorowych. „Świątynia Izys“ już 1811 r. liczyła 183 czynnych, 66 honorowych członków[2].

Dobroczynność jest najgłówniejszym ich celem na zewnątrz. Obok tej dobroczynności i onego staromasońskiego udoskonalenia siebie na podstawie religii, „na którą się wszyscy zgadzają“ t. j. według nagiego naturalizmu, pracują teraz loże polskie nad wskrzeszeniem, na wzór Francyi, poczucia narodowościowego i nad wolnością ludów. Nic w tem dziwnego, bracia Masoni szli w tem za duchem czasu. Wszak do wojny o niepodległość 1813 r. nawoływała koalicya państw przeciw Napoleonowi sprzymierzonych w imię wyswobodzenia uciśnionych narodów,

---

[1] Księga budownicza (protokół posiedzeń) loży „Przesąd zwyciężony“ tom II i III.

[2] Obrazy czyli katalogi lóż.

a bitwa pod Lipskiem 1813 r. nietylko przezwana bitwą ludów, *Völkerschlacht* dlatego, że się tam potykały wojska różnych narodów, ale dlatego, że i te wojska powołano pod broń i natchnięto je nienawiścią do Napoleona i męstwem w imie uciśnionej przez niego narodowości tych armij. Słuszną Nemezą dziejową, Napoleon i wskrzeszony przez niego wielki naród Francuzów, depcący godność narodową ludów innych, musiał upaść skonfederowaną siłą upośledzonej narodowości. Wisiała ona w atmosferze chwili, nic dziwnego że masonia, która za króla Stanisława na cześć imperatorowej główną swą lożę Katarzyny imieniem nazwała, teraz hołdy biła Napoleonowi i wyniesionemu przezeń sztandarowi narodowości. Ani to wina, ani też zasługa. Po upadku Napoleona i ona o nim zapomni, i śpiewać będzie: „podrwił głową architekt“ i z „zakonu“ przedzierzgnie się w bractwo polityczne.

Wielki Wschód polski widząc, że obok 6 lóż swej dependencyi, istnieje w księstwie kilkanaście lóż dependencyi zagranicznej, przeprowadził korespondencyę z w. lożami berlińskiemi i francuskiemi; wskutek tego loża szkocka w Płocku z 5. swemi córkami połączyła się z w. Wschodem polskim. Uczyniły to samo 1812 r. szkockie loże: „Gwiazda wschodnia“ i „Bracia Polacy zjednoczeni“, ta ostatnia tylko jako loża symboliczna, tak że r. 1814, liczono pod Wschodem polskim lóż 12, mianowicie:

1. Wielka loża matka, Gwiazda wschodnia na wschodzie Warszawy.
2. loża Świątynia Izys na wschodzie Warszawy.
3. „ Bogini Eleuzis „ „
4. „ Tarcza północna „ „
5. „ Świątynia stałości „ „
6. „ Braci Polaków zjednoczonych na wschodzie Warszawy.
7. „ Przesąd zwyciężony na wschodzie Krakowa.
8. „ Braci Francuzów i Polaków połączonych na wschodzie Poznania.
9. „ Hesperus na wschodzie Płocka.
10. „ Wolność odzyskana „ Lublina.
11. „ Krzyż rycerski „ Bydgoszczy.
12. „ Jutrzenka wschodząca „ Radomia.

Na utrzymanie w. Wschodu płaciły te loże rocznie po

3100 złp. Dokonawszy tego, przystąpiono do reformy, wkradły się bowiem wskutek kilkunastoletniego bezkrólewia niektóre nadużycia, a nowy skład stosunków polityczno-narodowych wymagał zmian w konstytucyi 1784 r. Z urzędu, straż nad czystością masońskiej dogmatyki należała do najwyższej kapituły, którą składali: Jerzy Wilczewski jako prezes, Jan Antoni Noffok, Karol Schütz, Piotr Reych, Winc. Białopiotrowicz, Frydryk Pfaff, Bogumił Fechner, wszyscy kawalerowie różanego krzyża. Na 38-ej sesyi kapituły, 22 listop. 1811 r., wyznaczono komisyę do rewizyi ustaw.

Dnia 1 grud. 1811 r., umarł w. mistrz, prezes senatu Gutakowski, umarł nagle, przygotowując mowę, którą miał powiedzieć nazajutrz w sejmie o zaspokojeniu potrzeb ludu.

A więc żałoba we wszystkich lożach aż do dnia „powszechnego w całym kraju obchodu“ 17 stycz. 1812 r. Świątynie przez ten czas przybrane w żałobę; urzędnicy w czasie prac nosić będą szarfy z czarnej krepy, a bracia takąż przepaskę na lewem ramieniu.

List kończy się: „Bracia, umiejmy czuć tę wielką stratę, umiejmy czcić i naśladować wzór nam zostawiony“.

Podpisano: Różniecki namiestnik *sede Vacante*, Ginett w. sekretarz, Jan Węgliński w. pieczętarz [1].

Równocześnie wydano program tego powszechno-masońskiego dnia żałoby 17 stycz. 1812 r. jak go obchodzić miał w. Wschód narodowy, wydrukowano wraz z oracyami żałobnemi w. mowcy T. Matuszewicza po polsku, mowcy Bessona po francusku i mowcy Schmida po niemiecku. Dodano wiersz śpiewany przy obchodzie, i wszystko to rozesłano lożom [2].

Dnia 17 marca 1812 r. odbyły się wybory w. Wschodu polskiego. Wyszedł z urny w. mistrzem znany mam już Stanisław Potocki, prezes podówczas rady stanu; zastępcą w. mistrza, minister skarbu Matuszewicz; w. dozorcą 1. minister stanu Węgliński; w. mowca Ludwik Osiński; w. sekretarz Franciszek Wężyk; w. podskarbi Kłossoski: w. mistrz obrzędów Roman Załuski; w. sędzia

[1] Archiv. l. „Przesąd zwyciężony“.

[2] Posiedzenie nadzwyczajne w. Wschodu narodowego w celu uczczenia pamiątki i t. d. Druk współczesny w 4-ce.

Wilczewski; w. jałmużnik minister policyi Sobolewski; w. pieczętarz Szołdrski; w. miecznik Staś Potocki; w. rachmistrz Braschke; w. stuart Fechner.

Na uroczystości świętojańskiej 24 czerwca, proklamował Potocki najwyższą władzę w. Wschodu narodowego zbratanego z w. Wschodem Francyi.

Przy bankiecie pito zdrowie Napoleona, w. Wschodu, w. mistrza, armii polskiej, płci pięknej, która tam była licznie reprezentowaną, i wszystkich braci rozrzuconych po świecie.

Sporą książeczkę możnaby zebrać tych „harmonij" przy różnych okolicznościach r. 1811 i 1812 r. śpiewanych w lożach. Nadwornym poetą niemieckich braci był br. Colberg, członek loży „Halle der Beständigkeit", opiewał on także i „wspaniałych sióstr" pochwały.

Wśród tych trenów i wiwatów, wśród dalszych prac lożowych coraz regularniej odbywanych, „wielki komandor" Napoleon wydał Rosyi wojnę 1 maja 1812 r. Już wiosna tego pamiętnego roku zaznaczyła się ciężkim przednowkiem i nędzą. Istniało w Warszawie jeszcze za pruskich rządów masońskie towarzystwo dobroczynności, przypomniano je sobie teraz i za inicyatywą loży „Bracia Polacy zjednoczeni" urządzono w maju zupę rumfordzką dla 250 ubogich w klasztorze Augustyanów, których prefekt departamentu i prezes policyi, obydwaj bracia lożowi, z części klasztoru usunęli [1]. Podobne towarzystwa dobroczynne masońskie istniały 1812—14 r. w innych także miastach pod zarządem komisyi, wybranej z łona loży miejscowej, i niosły skuteczną pomoc chorym w lazaretach, jeńcom wojennym zwłaszcza rosyjskim, i ubogim rodzinom poległych na polu walki braci. Wielki mistrz Potocki, zwiedzając w marcu 1813 r. krakowską lożę, wysławiał pod nieba tę dobroczynność i nazwał ją „przysionkiem świątyni" masońskiej [2].

Wiemy jaki był los 80 tysięcznej armii polskiej. Niebaczny Napoleon podzielił ją na dywizye i przyłączył do pięciu rożnych

---

[1] Archiv. l. „Przesąd zwyciężony".

[2] Mowa najp. najwsp. w. m. w. Wschodu pol. miana w l. „Przesąd zwyciężony" na w. Krakowa dnia 12, miesiąca 1. r. p. ś. 5813. Druk współczesny.

korpusów francuskich. W grudniu 1812 r. tylko 10.000 niedobitków polskich wróciło do kraju, których przeważna część zaciągnęła się znów w szeregi Napoleona. Po pogromie pod Lipskiem pognał on do Paryża, i już w kwietniu 1814 r. postawił znaczną młodą armię, która w maju po dwakroć pobiła prusko-rosyjskie wojska pod Lützen i Bauzen. Wierny mu aż do śmierci książe Józef, pomimo że cesarz Aleksander dla siebie pozyskać go się starał, zjechał w lutym do Krakowa, i organizował naprędce 16.000 armię polską. Witali go jako brata mistrza krakowscy bracia w swej loży „Przesąd zwyciężony“ arcypatryotycznym hymnem.

Przez cały ciąg wojennych zapasów przerywane były prace lożowe; d. 30 stycz. 1813 r. zapadła uchwała w. Wschodu zawieszenia tychże, pomimo to, „Przesąd zwyciężony“ zakrył swe prace dopiero w kwietniu 1813 r. do lipca 1814; warszawskie loże pracowały jeszcze w grudniu 1813 r., a najwyższa kapituła odbywała swe prace bez przerwy.

Masonia polska odwróciła się od upadłego już Napoleona, a zwracać się poczęła ku nowej gwieździe cesarza Aleksandra I. Monarcha ten liberalnych pojęć, okazywał się, czy to przez politykę, czy przez wrodzoną szlachetność serca, nader łaskawym dla Polaków, pomimo że przeciw niemu walczyli, Kościuszkę otaczał szacunkiem, księcia Adama Czartoryskiego szczerą zaszczycał przyjaźnią, przy wjeździe do Krakowa 1814 r. nie chciał przyjąć kluczy od prezydenta miasta, nazywając siebie nie „zwycięzcą, ale przyjacielem“. Równie łagodne były rządy jego w cesarstwie, a dwuletnia prawie jego nieobecność od 1813—15 r. w Petersburgu, zostawiła szerokie pole samowoli ministrów, ale też i pracom stowarzyszeń masońskich jawnych i tajnych, które przez cały prawie ciąg jego panowania swobodnie grasowały. Wprawdzie wnet po swojem na tron wstąpieniu wznowił Aleksander ukaz Pawłowy przeciw masonii z 1797 r., ale już 1803 r. po dłuższej rozmowie z Boeberem, odwołał banicyjny dekret i stał się protektorem zakonu. Boeber był dyrektorem petersburskiej szkoły kadetów i w. mistrzem rosyjskiego Wschodu. W rozmowie swej z Aleksandrem I. umiał on przekonać monarchę o niewinności i zacności wolnych Mularzy, przedstawił mu ich jako „wiernych poddanych, przywiązanych do monarchy i ojczyzny, protegowanych prawie we wszystkich państwach Europy“;

co więcej, samego cesarza nakłonić miał do zapisania się do loży. Stać się to miało, „według jednych w Petersburgu 1804 r., według drugich w Erfurcie 1813 r. w obecności Napoleona, według innych w Paryżu 1813 r. razem z królem pruskim Frydrykiem Wilhelmem III.“ [1]. Bądźcobądź Aleksander I. sprzyjał otwarcie masonii, za jego przykładem poszli wyżsi urzędnicy i dygnitarze dworu, potworzyły się loże dworskie, „a zwłaszcza w. książe Konstanty i hrabia Potocki odznaczali się doborem członków do swoich lóż, swą grzecznością dla cudzoziemców, i galanteryą dla dam, które zapraszali na swe uroczystości“, jak to opowiada kronika masońska *Acta Latomorum* t. I. str. 223. Wypuszczony na wolność dawny reżyser masonii rosyjskiej, stary Nowikow, krzątał się żwawo koło jej wskrzeszenia. Zniesiony przez Pawła I. w. Wschód rosyjski żył i pracował potajemnie, pracowała także skrycie petersburska loża „Ukoronowany Pelikan“, z tych więc wypróbowanej cnoty Masonów powstała w Petersburgu r. 1804 loża, której przez cześć dla protektora, dano nazwę „Aleksander pod ukoronowanym Pelikanem“. W niewiele lat potem 1809 r., loża ta była tak przepełnioną, że podzielić ją musiano na rosyjską lożę: „Elżbieta pod cnotą“ i na francusko-niemiecką lożę: „Piotr pod prawdą“. Trzy te loże rządziły się rytem staroszkockim i dependowały od w. loży dyrektoryalnej „Włodzimierz pod porządkiem“. Przystąpiły do związku 1811 i 1812 r. dwie dawniej istniejące w Petersburgu loże francuskie, rytu francuskiego: „Zjednoczeni przyjaciele“ i „Palestyna“. W roku 1813 przybyły jeszcze dwie świeżo wskrzeszone loże: „Izys“ na wschodzie Rewla, i „Neptun pod nadzieją“ na wschodzie Kronsztadu. Na czele wskrzeszonej masonii stał jako w. mistrz wspomniany wyżej Boeber aż do r. 1814.

Czterokrotne wyprawy rosyjskiej armii przeciw Napoleonowi przyczyniły się niezmiernie do rozkrzewienia masońskich pojęć o równości człowieka i wolności ludów między oficerami tejże armii, wielu z nich zapisywało się do lóż zagranicznych, a tembardziej do polskich, jak kże Aleksander Łabanów, pułkownik kozacki, i Jermołów, jenerał korpusu, operującego w stronach Krakowa. Aż wre-

[1] Allgem. Handb. der Freimaurerei I. 15.

szcie 1817 r. powstała osobna loża wojskowa rosyjska „Jerzy zwycięzki".

Obecność rosyjskich braci w masonii polskiej była bardzo na rękę w tej dobie przewagi rosyjskiego żywiołu w Polsce.

Dnia 1 maja zebrał się kongres wiedeński i trwał bez przerwy aż do pierwszych dni marca 1815 r., kiedy nadeszła wieść o ucieczce Napoleona I. z Elby i wylądowaniu jego we Francyi [1]. Kilkomiesięczna ta epoka była pełną obaw i trwóg dla masonii jak wszędzie tak i w Polsce. Ludy i monarchowie Europy już mieli dosyta robót rewolucyi działającej najprzód w własnem imieniu, a potem wcielonej w Napoleona. Siedział on na wyspie Elbie snując nowe plany zaniepokojenia świata. Monarchowie Europy podali sobie ręce do dzieła restauracyjnego, i rozpoczęli je od wprowadzenia do Rzymu wygnanego przez Napoleona Piusa VII. d. 1 maja 1814 r. Ten ledwie usiadł na swej stolicy, osobną bullą z d. 7 sierp. 1814 r. przywrócił zniesiony przez Klemensa XIV. zakon Jezuitów. Zniesienie jego 1773 było zapowiedzią rewolucyi na całym Zachodzie, jak tego dowiodły wypadki, wskrzeszenie więc jego uważano za dobrą wróżbę przywrócenia porządku i ładu w skołatanych rewolucyjną burzą społeczeństwach. Cesarz Aleksander, który był w tenczas pierwszą osobistością w Europie, ulegając wpływom pani Krüdner, skłaniał się do pietyzmu i szczerze pragnął, aby prawo i porządek zapanowały w świecie. W takich usposobieniach zjechali się cesarze, króle, książęta i dyplomaci na kongres do Wiednia, gdzie pełnomocny minister francuski ex-biskup Talleyrand, wywiesił zasadę prawowitości, *légimité*. W tych warunkach nic dziwnego, że drżała skóra na grzbietach braci Masonów. Wszak to oni dmuchali na pożar rewolucyi wielkiej i wysławiali ją jako najpiękniejsze dzieło swoje; wszak to ubóstwiany przez nich wielki komandor Napoleon był tym, którego złe roboty odrobić miał kongres; wszak to tyle znienawidzeni, bo niebezpieczni Jezuici obejmą na nowo wychowanie młodzieży i zasiądą jako jałmużnicy i spowiednicy przy boku panujących, którzy z papieżem na czele rzucą się na zagładę robót lożowych.

---

[1] Stało się to skutkiem konspiracyi wojskowej i cywilnej, na której czele stali: Fouché, Carnot, Barras.

Obawy okazały się płonnemi. W jednej Galicyi trwały i po kongresie dawne z r. 1795 przeciw lożom wyroki; w Prusiech prosperowały w najlepsze, a w Polsce i Rosyi otrzymały nowy popęd i kierunek. Wiadomo bowiem, że cesarz Aleksander I, „który, według słów brata Krasińskiego, szczerze pragnął dobra swoich poddanych, przywołał do boku swego jako radę Martynistów; jednego z nich, kcia Golicyna, zrobił ministrem wyznań i publicznego wychowania. Wskutek tego Golicyn i bracia (Martyniści) zaczęli się żywo ruszać, zakładali protegowane przez rząd towarzystwa biblijne, tłumaczyli wiele ksiąg religijnych, jak pisma Stillinga, wydawali pod redakcyą Labsina rosyjskie mistyczne czasopismo „Posłaniec Sionu“, który znaczną miał liczbę pokrewnych sobie duchem czytelników“ [1]. Niebawem bracia Martyniści wyszli z ciasnego kółka literackiej propagandy na szerokie pole dobroczynności; przeróżne zakłady humanitarne zagarnęli w swe ręce, naczelny ich wódz, brat Nowikow był dyrektorem domu podrzutków w Moskwie, aż do swej śmierci 1818 r. „Wspaniałomyślny“ Aleksander zamierzał nawet nadać konstytucyę swemu państwu, jaką już miała kongresowa Polska; bracia lożowi Karamzin i Sperański otrzymali rozkaz przygotowania projektu tejże. Korzystały z tego usposobienia monarchy tajemne towarzystwa jak: „Związek zbawienia“ i pokrewne im duchem loże masońskie, których r. 1818 było 30 w cesarstwie.

Ta życzliwość cesarza Aleksandra dla rosyjskiej masonii dawała gwarancyę bezpieczeństwa polskim braciom.

Jak niegdyś chwałą Napoleona, tak teraz cesarza Aleksandra brzmiały loże, mowy mistrzów i mowców, deski rysunkowe w. warstatu i w. Wschodu, i do r. 1819 pochwały te były szczere. Ale ten kult dla Aleksandra „wskrzesiciela“ Polski, przestrajał powoli loże, które z natury swej powinny były być kosmopolityczne, w narodowo-patryotyczne towarzystwa. Wdzięczność za to, co się z rąk Aleksandra otrzymało, wzbudzała nadzieję, że się od niego otrzyma wszystko — Polskę od morza do morza; radość z wolności, jaką się cieszyła jedna cząstka Polski, zamieniła się wkrótce w gorące pragnienie uzyskania tej wolności dla Polski całej. Był to konieczny proces psychologiczny. Wkrótce, bo już 1819 r. przekonano się, że

[1] *Hist. relig. des peuples slaves.*

Aleksander nie ma ochoty wskrzesić całej Polski, a nie miał i możności; że to „wskrzeszenie“ na drodze jawnej, legalnej uskutecznić się nie da; przybyły też nowe powody nieukontentowania z samowoli w. księcia, z zaprowadzenia cenzury i wybryków tajnej policyi — a więc trzeba było gdzieindziej szukać „łaskawszych bogów“ — w konspiracyi. Na razie młode królestwo cieszyło się ilu-zorycznym chociaż bytem politycznym, życzliwością króla, nowym uniwersytetem w stolicy, rządem i wojskiem polskiem, w którem formalnie rozmiłował się w. kże Konstanty; wesoła ta atmosfera udzielić się musiała braciom lożowym. Ufni w liberalizm Aleksandra, który 1817 r. wstawiał się u dworu wiedeńskiego za prześladowanem „towarzystwem biblijnem“ w Austryi, a w Rosyi gospodarować mu w najlepsze pozwalał, otwierali raźno jedną lożę po drugiej. Wprawdzie poznańska loża: „Bracia Polacy i Francuzi zjednoczeni“, przyjąwszy na powrót dawną swą nazwę „Stałości“, przeszła pod zwierzchność loży berlińskiej Yorku, tak jak Poznań przeszedł wskutek kongresu wiedeńskiego pod rządy pruskie, ale za to od r. 1815—20 częścią wskrzeszono dawne, częścią powstało 22 nowych lóż.

Oprócz tych było 8 lóż kapitulnych: tj. kap. najw. „Gwiazda północna“, dwie kapituły wyższe: „Doskonała jedność“ w Wilnie, „Szczere połączenie“ w Płocku i pięć kapituł niższych: „Świątynia Temidy“, i „Rycerze gwiazdy“ w Warszawie, „Prawdziwa jedność“ w Lublinie, „Góra Wawel“ w Krakowie, „Świątynia pokoju“ w Nieświeżu.

Nagły ten wzrost masonii przypisywano Aleksandrowi Różnieckiemu, który na elekcyi urzędników w. Wschodu 13 marca 1816 r. wyszedł z urny wyborczej w. namiestnikiem w. mistrza Potockiego, po raz 5-ty na ten urząd wybranego. Ponieważ Potocki, jako minister oświaty i wyznań zajęty był aż nadto organizacyą uniwersytetu warszawskiego, kasatą klasztorów i autorstwem antyklerykalnych dzieł, jak „Podróż do Ciemnogrodu“, zostawiał więc rządy masonii namiestnikowi swemu. Na nieszczęście, charakter Rożnieckiego już wtenczas zapowiadał przyszłego szefa żandarmeryi i tajnej policyi zorganizowanej 1822 r. Uczeń szkoły kadetów w Warszawie, żołnierz legionista tęgi, oficer zdatny, odważny a przytomny, Rożniecki w gruncie duszy nie był nigdy zdrajcą, ale szerokiej, hula-

szczej natury będąc, potrzebował zawsze dużo pieniędzy, i byle ich dostać, nie wzdrygnął się maczać ręce w brudnej sprawie. To też pogardzali nim nietylko rodacy. W pierwszej chwili powstania 1830 r. salwując swą duszę, wyjechał do Petersburga, wrócił podczas wielkorządów Paszkiewicza, i bywał na balach w zamku. Widziano tego starca, stał osamotniony jakby wyklęty z społeczeństwa, nikt się nawet z Rosyan do niego nie zbliżył. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że Rożniecki był jednym z tych jenerałów, których w. książe używał do przeszpiegów i płacił za takowe hojnie.

Namiestnicze rządy Rożnieckiego zaznaczyły się jeszcze rewizyą ustawy z 1784 r.

W ciągu lat kilku 1816—1819 r. wyznaczono aż 7 komisyj prawodawczych z łona w. Wschodu. Dopiero ostatnia wygotowała z wiosną 1819 r. projekt „ustawy związkowej“ złożonej z 94 artykułów. Projekt ten przyjmował w Masonii dualizm władzy: dogmatycznej w kapitułach szkockich pod zwierzchnością wielkiej kapituły; administracyjno-ustawodawczej w lożach symbolicznych pod zwierzchnictwem wielkiego Wschodu. O kapitułach projekt zupełnie milczy, gdyż te mają swą dawną z 1784 r. ustawę, Wschód zaś wielki chce mieć złożony jedynie z wielkich urzędników i z deputatów loż symbolicznych, z wykluczeniem kapituł. Projekt ten został przyjęty przez w. Wschód i rozesłany lożom, aby nad nim porobiły swe uwagi. W ciągu 8 tygodni loże spełniły to zadanie. Mistrz wielki Potocki wyznaczył „komisyę rewizyjną“, która według uwag od loż nadesłanych, zredagować miała ostatecznie projekt „ustawy związkowej“ i wnieść go na sesyę świętojańską w. Wschodu. Spostrzeżenia i desiderata loż były jednak tak sprzeczne z sobą, że — jak twierdził w. mistrz Potocki, nie podobna było z tej mieszaniny urobić coś jednolitego. Okólnikiem więc z dnia 22 grudnia 1819 r. zażądał, aby loże dały generalne pełnomocnictwo swoim deputatom do uchwalenia nowej ustawy. Co gdy się stało, zwołał na kilka zawodów konferencyę złożoną z w. urzędników i członków w. kapituły, na których uchwalono zasadnicze punkta „ustawy konstytucyjnej“, ostateczną zaś redakcyę takowej powierzył Osińskiemu, Kosseckiemu, Nowakowskiemu i Rożnieckiemu. Na dniu 20 lutego 1820 r. projekt miał być wniesiony na sesyę walną w. Wschodu i uchwalony. Redaktorowie jednak nie zdążyli z swą pracą aż na

dzień 9 kwiet. 1820 r., w którym sesya w. Wschodu została zwołaną. Czytanie i głosowanie nad projektem zajęło aż 5 sesyj w. Wschodu, d. 9, 24 i 29 kwietnia, 29 i 31 maja. Obrady były nader burzliwe; skończyło się na tem, że „ustawę konstytucyjną“ z pewnemi zmianami przyjęło tylko 6 deputatów od lóż kapitulnych, 9 deputatów od lóż symbolicznych, podczas gdy 24 deputatów, z tych 2 od lóż prowincyonalnych, podpisało d. 4 czerwca adres do w. mistrza, podając 6 punktów jako podstawę kompromisu. Za radą Różnieckiego odrzucił w. mistrz punkta ugody. Wtenczas d. 18 czerwca, 18 deputatów podpisało uroczystą protestacyą przeciw „ustawie konstytucyjnej“ umotywowaną 7 zarzutami. Głównym kamieniem obrażenia były art. 4 i 10 nowej ustawy, stanowiące, że kapituły wysyłają swoich deputatów do w. Wschodu z głosem prawodawczym, a mistrz w. ma mieć „radę“ złożoną z 6 „dygnitarzy“.

Dopiero d. 2 sierpnia dał w. mistrz na ów protest długą ale bezskuteczną odpowiedź. Tymczasem przez lipiec loże protestujące w Koronie i na Wołyniu „pokryły“ swe prace do czasu, wyznaczywszy pierw z łona swego „komisye w zastępstwie“ z kilkunastu członków złożone. Loże litewskie „pracowały“ dalej, ale według dawnej ustawy z 1784 r. Tylko więc loże kapitulne i 13 lóż symbolicznych pracowało według nowej „ustawy konstytucyjnej“; w łonie masonii polskiej dokonała się wielka schyzma. Zmartwiło to Potockiego, który oddawna na zdrowiu nie domagał; dziełkiem swojem „Podróż do Ciemnogrodu“ oburzył umysły wielu, a w dodatku stracił kredyt u cesarza Aleksandra I, który wtenczas pod względem swoich zapatrywań stanowczo przeszedł do obozu ks. Metternicha. Na sesyi więc w. Wschodu d. 3 marca wniósł pisemnie, gdyż leżał obłożnie chory, swą dymisyę; żegnając, zachęcał braci do zgody. Z urny wyborczej wyszedł w. mistrzem Rożniecki. Próbował on, acz nie szczerze, przeprowadzić zgodę z protestującą większością. Wyznaczono obustronnie komisyę, która na sesyi świętojańskiej w. Wschodu wniosła kompromisowy projekt „ustawy uzupełniającej“. Uchwalono ją na w. Wschodzie i odesłano lożom do roztrząśnienia. W tem d. 12 sierpnia wyszedł ukaz Aleksandra I znoszący masonię i tajne związki w swem państwie.

Niezgody w łonie w. Wschodu wskutek projektu „ustawy związkowej“ wynikłe, skłoniły br. Lukasińskiego, majora 4 pułku

piechoty do reformy masonii na narodową i wojskową. Celem jej było wyswobodzenie ojczyzny z bronią w ręku, środkiem do tego propaganda pojęć patryotycznych i poznajomienie szerszych kół z przeszłością dziejową Polski. Trzy pierwsze stopnie nie wiedziały nic o celu, tylko o środkach, dopiero stopień 4 i zarazem ostatni, rodzaj tajemnej kapituły, wiedział o celu i rządził niewidzialnie wszystkiem. Wcześnie jednak, bo już 1 maja 1821 masonia reformy Łukasińskiego zlała się z „kosynierami“ wielkopolskimi w „Towarzystwo patryotyczne“, urządzone na gminy, okręgi, prowincye karbonarskie. Głównego kontygensu dostarczały loże masońskie, a twórcy i przewodnicy tak Towarzystwa patryotycznego, jak Templaryuszów, założonych przez Majewskiego na Wołyniu, byli masonami wyższych stopni. Dalsze koleje tych związków nie wchodzą w ramy tej rozprawy.

Dnia 25 września 1821 r. ogłoszono sierpniowy ukaz w Królestwie polskiem, a d. 29 t. m. odczytano go na ostatniej sesyi w. Wschodu i rozesłano lożom wraz z instrukcyą, co mają zrobić z funduszami i ruchomościami swemi. Nazajutrz odbyła się ostatnia sesya kapituły w., śpiewano na niej hymn żałobny o 20 zwrotkach p. t. „Katastrofa Oświaty“.

Przyczynę jej przypisywali bracia lożowi intrygom Rożnieckiego, zagniewanego, że „ustawy konstytucyjnej“ większość lóż przyjąć nie chciała, a chciwego pieniędzy, których na swe hulaszcze życie zawsze potrzebował. Przyczyny jednak tkwiły głębiej: mianowicie w zmianie usposobień cesarza Aleksandra, a to w skutek wpływu hr. Metternicha, który i Papieża Piusa VII nakłonił do wydania przeciw masonii i tajnym związkom bulli z d. 13 września 1821 r. *Ecclesiam Jesu Christi*, i na Aleksandra parł całą swą siłą, aby go do reakcyi w duchu swoim nakłonić. Rewolucye w Hiszpanii i Portugalii r. 1820, w Neapolu i Piemoncie 1821 r., były dla lekcyi Metternicha wybornym komentarzem. Czytaj, kto chcesz o tem „Aus Metternichs nachgelassenen Handschriften“, tom III, str. 352, 359, 433.

Tak więc d. 1 listopada jawna masonia polska legła w grobie. Spodziewali się „bracia“, że wkrótce zmartwychwstanie. Nadzieja zawiodła. Dnia 12 maja 1822 r. ogłosił książe namiestnik Zajączek nowy ukaz cesarski domagający się pisemnej „deklaracyi“ od wszy-

stkich, którzy w służbie publicznej zostają, od studentów wyższych szkół i średnich, że do masonii ani do żadnego związku tajnego w kraju lub zagranicą nie należą i należeć nie chcą i nie będą i to pod utratą swych posad.

Cóż było robić? *Vana sine viribus ira*, ogół braci Masonów poddał się potulnie kasacyjnym wyrokom, nie mając snać ochoty do męczeństwa. Zgłaszali się więc jeden po drugim z pisemnem oświadczeniem do mistrzów katedralnych, że przez „winne dla władzy posłuszeństwo“ pokrywają loże. Nie brakło i tych, co z żalem żegnali masonię, wołając: *Eja nunc flebiles solve Elegeïa capillos!* Takich żałosnych podań z dymisyą mam pod ręką kilka; stwierdzają one raz jeden więcej, że przeważna większość polskich braci pojmowała masonię jako instytucyę oświecająco-dobroczynną.

Lokal loży lubelskiej zabrano w marcu r. 1822 na szpital, „rzeczy więc wszystkie zniweczone będą, pisze jej mistrz ostatni Trojanowski, żal mi szczególnie czterech złoconych lichtarzy“, i takowe przesyła w darze krakowskiej odkrytej jeszcze wtenczas loży.

Od 1—15 października zakryły się loże wszystkie w Królewstwie, krom krakowskiej, która pracowała do końca października 1822 r. i na wezwanie rządu Rzpltej zakryła swe prace. Kapituła krakowska „Góra Wawel“ odbyła ostatnią swą radę 22 czerwca 1822, na której przyjęto do IV stop. Antoniego Lissowskiego.

Na Litwie ogłosił generałgubernator Korsakow ukaz sierpniowy w pierwszej połowie października, i w ciągu tego miesiąca loże wszystkie pokryły swe prace. W Petersburgu już 23 sierpnia w. loża Astrea, a nazajutrz w. loża prowincyonalna, odbyły swe ostatnie posiedzenia, tak że z dniem 1 listopada z 44 lóż w. Wschodu polskiego i 4 loż polskich, dependujących od w. loży Astrea, jedna tylko loża krakowska pracowała.

Co się stało z funduszami, co z archiwami polskiej masonii? Nie łatwa na to odpowiedź. Zdaje się, że to, co do 15 października nie rozdano na dobroczynne cele, i co nie rozdrapano pomiędzy braci „spekulantów“, że te fundusze przejął potem fiskus państwa. Jak wysokie one były, sprawdzić nie podobna. Krakowska loża, jak już wspomniałem wyżej, rozdzieliła kapitał 1600 złp. na 4 części: dla Towarzystwa dobroczynności, dla sióstr i braci miło-

siernych, i prezydentowi na ubogich miasta. Sądzę, że naśladowała w tem loże 1821 r. zakryte.

Znaczna część archiwów wileńskich lóż złożona została w archiwach gubernialnych w Wilnie, znalazł je tam i przepisał ś. p. Skimborowicz. Wschodu w. i lóż warszawskich archiwa dostały się do przybocznej kancelaryi księcia namiestnika Królestwa; archiwa lóż i kapituł w miastach na prowincyi, te w głównej części zmarniały *incuriâ hominum, injuriâ temporum,* w małej cząstce zabrane zostały przez pojedyńczych braci. Tak np. część archiwu loży „Tarcza północna“ przechowywała się u wdowy po sekretarzu tej loży. Po jej śmierci sprzedano je za bezcen handlarzowi masła, od niego zaś nabył je za kilkadziesiąt arkuszy czystego papieru pewien znawca i amator tych rzeczy. Część archiwu krakowskiej loży, równie jak cząstka archiwu kapituły „Góra Wawel“, znalazła się u rodzin ostatniego mistrza i ostatniego sekretarza tejże kapituły. Wiele dokumentów i dekoracyj masońskich niszczono naumyślnie, częścią przez niejasno pojętą pobożność, często z obawy przed rewizyą policyjną w epoce procesów 1824 i 1828 r. Niemała cząstka spłonęła przy częstych pożarach bibliotek prywatnych, a część jedna jeszcze w nich się ukrywa.

W maju r. 1822 w Królestwie, a we wrześniu t. r. w Wilnie i na Litwie odbierano od urzędników państwowych owe „deklaracye“, które wszelką nadzieję wskrzeszenia masonii na długie lata odbierały. Mam pod ręką 41 takich cyrografów od braci wileńskiej niemieckiej loży „Dobry pasterz“. Formularz w 4-ce, w rosyjskim i polskim języku brzmi jak następuje:

„Niżej podpisany będący członkiem Towarzystwa byłej loży masońskiej pod nazwiskiem . . . . . oświadczam, iż nadal pod żadnym względem ani masońskich, ani żadnych innych skrytych towarzystw, pod jakimbykolwiek one pozornym widokiem były znamionowane, ni wewnątrz państwa, ani za granicą onego, składać nie będę. Septembra . . . dnia 1822 r.[1] Autentyczność podpisu deklaracyi stwierdzona przez „cząstkowego prystawa“ Pertesa, który także był bratem lożowym.

[1] Pierwszy, który podpisał, był: Godfryd Ernest Groddeck, radca stanu, profesor zw. w uniwersytecie wileńskim i kawaler. Za nim Jan Rustem, profesor w imp. uniw. wil.

Tej treści deklaracyę podpisywać musieli aż do rządów Aleksandra II, wszyscy kandydaci publicznych urzędów i wszyscy studenci uniwersytetu i szkół średnich przy swej imatrykulacyi lub wpisie.

Taki był koniec masonii polskiej; upadła, ale posiew jej zeszedł bujnie. Masońska doktryna o wolności i równości rozwijała się dalej pod formą karbonaryzmu, zmieniły się nazwy, loża nazwana tu gmina, mistrz wójtem, prowincyonalna loża okręgiem, w. Wschód direktoryatem, ale rzecz pozostała ta sama i wywołała zbrojne powstanie 1830 r. na to, aby cesarz Mikołaj zatrudniony w domu, nie mógł pójść na zgniecenie rewolucyi lipcowej na Zachodzie. Masoński indiferentyzm i niechrześcijańskie pojmowanie człowieka i ludzkości, przeniosło się z loży do literatury i publicystki, która przez długie lat dziesiątki wrogie przeciw Kościołowi katolickiemu zajęła stanowisko. Indiferentyzm religijny, i zbyt luźne maksymy obyczajowe jak np. „używać swobodnie darów natury“, kult kobiet, wszystko to przefiltrowało z loży do szkoły i do rodziny klas wykształconych i przyczyniło się do wytworzenia wśród tych warstw obojętności w rzeczach wiary i szerokiego sumienia w obyczajach, jakie dzisiaj jeszcze tam panuje.

Dzięki też wpływowi masonii stało się, że rząd polski wyprzedził rządy rosyjski i pruski w wypędzaniu zakonników i kasowaniu klasztorów, które już jako pamiątka historyczna miały swą wartość niepospolitą, wydalając 1808 r. Benonitów z Warszawy, jako wrzekomych ajentów pruskich, znosząc 1819 r. 48 klasztorów, 11 kolegiat, pod pozorem wyposażenia nowych biskupstw.

Z tych tedy powodów instytucyi masonii polskiej nie można ocenić inaczej, jak że była instytucyą politycznie i religijnie szkodliwą, pomimo, a może właśnie dla tego, że w łonie jej znalazło się wielu, skądinąd czci i uznania godnych ludzi [1].

Ks. St. Załęski.

[1] Co tu w *Przeglądzie* „O masonii w Polsce“ powiedziano, jest tylko streszczeniem książki pod tymże tytułem, której druk już na ukończeniu, objętość jej przeszło 20 arkuszy druku.

LACH I LECH.

SZKIC HISTORYCZNO-LINGWISTYCZNY.

„Komu się powiedzie wyjaśnić znaczenie *Lachów*, ten wyjaśni pierwotną historyę polską".
Szajnocha. Lechicki początek Polski. 1.

Rozpoczynam od tych słów znakomitego historyka, ażeby wskazać odrazu, jak doniosła sprawa łączy się z rozwiązaniem niniejszego pytania. Nigdy go też dzieje nasze nie pomijały. Fantazya ludowa czy kronikarska snuła sobie na tem tle barwne obrazy, a uczeni wysilali rozum i dowcip dla rozjaśnienia grubych ciemności, jakie pokryły pierwsze początki naszej historyi. Nagromadziło się też z czasem tyle ulotnych zdań, rozpraw i dzieł poważnych, odnoszących się do tego przedmiotu, że urosła stąd osobna literatura, której dziś już nie łatwo ogarnąć. Usiłowania te nie były całkiem bezowocne, ale zagadka mimo to pozostała zagadką. Czy nią pozostanie na zawsze? Sądzę, że nie, bo gdzie są dane historyczne, fakta, tam chodzi tylko o ich zrozumienie, a na to rozum ludzki i praca mogą się wreszcie zdobyć.

Kto przeglądnie literaturę o Lachu i Lechu, ten spostrzeże wnet jednostronność, z jaką zabierano się do tej rzeczy. Jedni z badaczów byli wyłącznie historykami, drudzy lingwistami; nikt nie połączył jednego z drugiem, choć pytanie to, skutkiem swej natury domaga się zespolenia dwu tych umiejętności, co też w tym treściwym szkicu starałem się uskutecznić.

Aby sprawę tę jasno postawić, przedewszystkiem należy wyjaśnić, kogo przez nazwę *Lach, Lech* rozumiano, jakie koleje przechodziła ta nazwa, a wreszcie jej pochodzenie i znaczenie.

Przez Lechitów rozumieją dziś uczeni trzy narody: *a) Polaków* wraz z Kaszubami, Pomorzanami i Połabianami; *b) Łużyczan*, dzielących się na górnych i dolnych; *c) Czechów*, do których zalicza się Morawian i Słowaków. To rozumie dziś przez Lechitów lingwistyka, która w języku Polaków, Kaszubów, Pomorzan i Połabian ujrzała jeden i ten sam język *polski*, spokrewniony najbliżej z językiem łużyckim, a potem czeskim, a we wszystkich tych językach jednę rodzinę języków i ludów słowiańskich.

Ale to pojęcie nazwy Lechitów zupełnie nowe, nie istniejące jeszcze przed 50-ciu laty, oparte na języku, nie na historyi, a nam chodzi właśnie o to, jak pojmuje tę nazwę historya, co przez nią rozumiały narody i wieki.

W chwili, kiedy naród nasz jawi się na widowni dziejowej, stanowi już odrębną polityczną całość wśród ludów słowiańskich i ma swą odrębną nazwę *Polak*, świadczącą wymownie o jego rolniczych zajęciach już w bardzo dawnych czasach [1]. Ale z dawien dawna szczycił się ten naród pochodzeniem od *Lecha*, a u sąsiadów zwał się również *Lechem* lub *Lachem;* skąd pochodzi ta nazwa?

Kochanowski słusznie zauważył, że to imię starsze jest, aniżeli Polak, i „chociaśmy je my, a za nami wszystkie skoro narody, nowym imieniem. to jest Polakiem jakoby zatłumili, Ruś przedsię sama i nie Polaki nas, ale Lachy po staremu po dziś dzień jeszcze zowie“ [2]. Ruś w istocie „po dziś dzień“ jeszcze zowie nas Lachami, pytanie tylko, czy przywiązywała do tego imienia zawsze to samo znaczenie, co dzisiaj, tj. czy rozumiała przez to jedynie i wyłącznie tylko Polaków. Otóż najstarszy z historyków ruskich pisze: „I tak przyszedłszy (Słowianie), powiada Nestor, siedli nad rzeką zwaną Morawa, i nazwali się Morawianami, a drudzy Czechami się nazwali“. A inni Słowianie „przyszedłszy, siedli nad

[1] Posiadamy bowiem niezbite dowody, że nazwa ta pochodzi od wyrazu *pole.*

[2] O Lechu i Czechu historya naganiona.

Wisłą i przezwali się Lachami, a od tych Lachów przezwali się jedni Polanami (Polakami)[1], drudzy Lachowie Łutyczami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami“[2]. Wszystkie zatem ziemie, leżące na zachód, z wyjątkiem Czechów i Morawów, liczą Rusini do ziem Lachów.

Z Nestorem zgadzają się najzupełniej wszyscy nasi kronikarze, i nietylko uważają wszystkie te ludy, które Nestor wymienił, za Lechitów, ale wiedzą nawet o ich powinowactwie językowem z Polską (Długosz), o każdem drobnem księstwie lub ważniejszym grodzie lechickim za Odrą (Wincenty, Boguchwał-Baszko, Długosz). Już przed 50-ciu laty takie zdanie wyrobił sobie *Zeuss*, o rozciągłości imienia Lech na podstawie kroniki Nestora i innych źródeł historycznych. Mylnie tylko chciał do Lechitów wciągnąć jeszcze Czechów i Morawian[3], których ani Nestor, ani żadna kronika do Lechitów nie zalicza, ani żaden naród Lachami nie nazywa, ani też sami Morawianie i Czesi nigdy się za Lechów nie mieli.

Takie to znaczenie przywiązywano do imienia Lach, Lech w wiekach średnich, lecz naród ten i w starożytności tę samą zajmował ziemię (na zachód od Rusi aż poza Łabę) i tak samo się nazywał.

Za czasów Karola W. jedna cząstka narodu połabskiego, mieszkającego powyżej ujścia Haweli po obu brzegach Łaby, zowie się u kronikarzy łacińsko-niemieckich *Lingones* lub *Lini* = *Lingi*[4]. Imię to ważne z tego powodu, że je nadawano aż do XII. w. i naszemu narodowi. Czytamy mianowicie u Tomasza ze Spletu co następuje: „Venerunt de partibus *Poloniae*, qui *Lingones* appellantur[5]“. Pytanie więc, czy nazwy tej nie było podówczas i w ustach narodów, skoro ją napotykamy u kronikarzy.

Węgrzy zowią nas po dziś dzień *Lengyel*, *Langyel* (gdzie *yel* jest dodatkiem węgierskim, jak *ones* w *Lingones* łacińskim), Litwini zaś *Lenkas*. A czy tego imienia nie nadawali nam także Niemcy?

---

[1] Wyraz *polana* oznacza w języku starosłowieńskim i staroruskim *pole*.

[2] Biel. Mon. I. 553.

[3] Die Deutschen u. die Nachbarstämme (München 1837), str. 604.

[4] Dźwięk *g* znikał na końcu wyrazów w niemczyznie, stąd *Lini* zamiast *Lingi*.

[5] Biel. Mon. I. 839.

Języki germańskie różnią się od wszystkich innych pokrewnych przedewszystkiem tem prawem głosowem, które słynny Jakób Grimm nazwał *Lautverschiebung*. Jestto zjawisko językowe tego rodzaju, że niemczyzna wykazuje tam, dajmy na to, spółgłoskę *mocną*, gdzie inne języki *słabą*. Jeżeli więc w łacinie, greczyznie, w jęz. słowiańskich i t. d. mamy dźwięk *g*, jak w nazwie *Ling*, tam w językach germańskich będzie *k*, które w jednych dyalektach (dolnoniemieckich) pozostaje, w drugich zamienia się na *ch*. Po łac., po gr. *ego*, po niem. *ik* (= ek) *ich*; po łac. iu*g*um, po gr. ζυγόν, po starosłowieńsku i*g*o, po niem. iu*k* (stąd nasze *juki, objuczony*) i io*ch* i t. d.

Otóż, nazwa *Ling* musi w ustach Niemca brzmieć to *Link*, to *Linch*. A posiadamy niezbite dowody, że Niemcy istotnie nadawali takie imię naszemu narodowi.

W kronikach Wincentego i Mierzwy obok *Lechitae*, spotykamy niejednokrotnie *Linchitae* [1], gdzie *Linch* jest formą wziętą żywcem z języka niemieckiego.

Niemieckie formy *Link* i *Linch*, gdyby weszły do języka polskiego, powinny brzmieć *Lęk* i *Lęch*, i rzeczywiście tak brzmiały, czego dowodem język litewski i ruski. Litewskie *Lenkas* mogło powstać jedynie albo z polskiego *Lęk* albo *Lęch*, gdyż Litwini tak nasze *ch*, jak i *k*, wyrażają przez *k*. Gdzie w języku naszym *ę* miękkie, tam u Rusinów mamy *ia*, *a* (pięć — piat', część — czast' i t. d.); otóż nasze *Lęch* powinno w ustach Rusina brzmieć *Lach*, i tak jest rzeczywiście. Przyjęli od nas Rusini i drugą formę *Lęk*, która według tego samego prawa językowego brzmiała u nich *Lak*. Stąd u nich przymiotnik *laskyj* (od Lach) i *lackyj* od *Lak*, stąd i po polsku mówi się *lacka* ziemia, *lacka* młodzież, nie *laska*.

Gdyby nawet i nie było powyższych wskazówek, wiedzielibyśmy o tem, że Niemcy rzeczywiście nazywali nas *Linch*, *Link*, bo stosunek nazwy łacińskiej *Ling* (ones), madziarskiej *Lengyel*, do *Lęch*, *Lach*, *Lenkas* da się wyjaśnić *jedynie i wyłącznie za pośrednictwem języka niemieckiego*.

Tym sposobem zyskujemy bardzo ważny wniosek, najprzód,

[1] Biel. Mon. I, 839.

że węg. Lengyel, polskie Lęch, ruskie *Lach*, litewskie Lenkas, niem. Link i Linch, łac. Lingones jest *jedną i tą samą nazwą;* po drugie, że *prototypem* tych nazw jest *Ling*, a zatem formą *najstarszą;* wreszcie, że wszystkie inne ludy prócz Węgrów zaczerpnęły ogólną nazwę szczepu lechickiego z łaciny za pośrednictwem Niemców.

Do ostatniego szczegółu należy dodać kilka uwag.

Rozszerzenie się nazwy łacińskiej tak między Niemcami jak i samymi Lechitami za pośrednictwem Niemców nie powinno nikogo prowadzić do wniosku, jakoby Lechici swej nazwy ogólnej nie znali i jej w właściwem swem brzmieniu nie używali, a za nimi i ich sąsiedzi; przeciwnie, jeszcze w X wieku, jak niżej zobaczymy, wiedzieli Lechici doskonale, jak brzmi ich nazwa w ich własnym języku — ale nazwy, jak wszelkie inne wyrazy, zastępują się z czasem jedne przez drugie.

Z pomiędzy Słowian pierwsi Starosłowieńcy w Panonii zapoznali się z wiarą Chrystusa i cywilizacyą rzymską, i u nich to najpierw upowszechniła się ogólna nazwa szczepu lechickiego, pod jaką szczep ten znany był łacinnikom. Z *Ling* powstało tu *Lęg* = *Leng* i dyalektyczne *Lang,* stąd nazwa ta przeszła i do bizantyńskich pisarzów, gdzie (u Konstantyna Porfirogenity) brzmi Λενζανῆνοι = Lenżanini czyli Lężanie [1], liczba pojedyńcza Lężanin. Kiedy Węgrzy zajęli Panonię, przyswoili sobie od Starosłowieńców i nazwę szczepu lechickiego, jak całe setki innych wyrazów, a podług praw swego języka zmienili na Lengyel, Langyel. Z upadkiem Starosłowieńców na Węgrzech, nie było już innego pośrednictwa między kulturą rzymską, a słowiańskimi ludami, jak tylko Niemcy — i oto przyczyna, dla której na imieniu Lechitów napotykamy ślady języka niemieckiego.

Należałoby się teraz zastanowić, z jakich pisarzy starożytnych dowiedziała się uczoność średniowieczna o ogólnej nazwie lechickiej Ling i podała ją tak Starosłowieńcom jak i Niemcom. Zanim jednak na to ważne pytanie damy odpowiedź, musimy wpierw objaśnić nazwę *Lech.*

---

[1] Biel. Mon. I, 16, 42.

Wydaje się na pozór, że między *Lach* a *Lech* niema zasadniczej różnicy, stąd historycy mieszali jedno z drugiem, a lingwiści nie dość krytycznie brali się do wyjaśnienia rzeczy.

Niektórzy wywodzą nazwę Lech od wyrazu *lécha* (grzęda ziemi), lecz popadają w kolizyę z nazwą Lach, o której wiedzą, że musiała powstać z *Lęch*. W wyrazie *lécha* samogłoski nosowej ę niema i nigdy jej nie było, a w nazwie Lęch, z której powstało Lach, samogłoskę tę znajdujemy.

Jeden *Miklosich*, niezrównany badacz z tego powodu, że zwykł zawsze trzymać się faktów, nie mrzonek, zasługuje i w naszej kwestyi na szczególną uwagę. Nie zwrócił on wprawdzie uwagi na łacińską nazwę *Lingones*, jako prototypu wszystkich innych, nie wyjaśnił zatem pochodzenia formy *Lęch*, ale wskazał (słownik języka starosłowiańskiego), że ruska nazwa Lach powstała z *Lęch*, a formę *Lech* poczytał za czeską.

Podług praw języka czeskiego z Lęch musi istotnie powstać Lech. Tym sposobem stosunek nazwy Lach do Lech staje się jasnym: byłby to ten sam wyraz, tylko tam w szacie ruskiej, tu czeskiej. Wynikałoby stąd, żeśmy nazwę Lech, której od wieków używamy, przejęli od Czechów, zapomniawszy z czasem o swej własnej Lęch, którą przecież posiadaliśmy, bo znajdujemy ją w kronikach Wincentego i Mierzwy, bośmy ją przekazali Litwinom i Rusinom. Nasuwają się wszakże wątpliwości.

Linchitae obok *Lechitae* napotykamy u kronikarzy w jednym i tym samym czasie, z czego słusznie można wnioskować, że obiedwie te nazwy istniały w polskim języku z dawien dawna obok siebie, i od siebie nie pochodzą. Byłby to wniosek tem słuszniejszy, że czeskie Lech może wprawdzie pochodzić od Lęch, ale niema na to dowodu, żeby tak było rzeczywiście, przecież tak nazwa polska jak i czeska Lech mogą być tą samą formą, której źródłem jest jakiś inny wyraz — nie Lęch. A może trzeba rzecz tę przedstawić sobie tak, że u Starosłowieńców istniała forma Lęch, która na Rusi wydała formę Lach, w Czechach Lech. Polacy od Czechów przejęli Lech, a Lęcha wcale nie znali, bo Wincentemu i Mierzwie może nie zupełnie ufać należy. Są pewne ślady, że Starosłowieńcy obok nazwy Lęg swojej własnej, posiadali w późniejszym czasie i niemiecko-swojską Lęch, ale skądże w takim razie bierze się li-

tewskie Lenkas? Z ruskiego Lach byłby Litwin stworzył na mocy swego języka *Lakas*, a z czesko-polskiego *Lech* — Lekas, nie Lenkas. Ażeby rozwiązać tę trudność, zajrzyjmy do historyi.

Wspomnieliśmy wyżej o jednej cząstce Połabian, którą kronikarze średniowieczni tak samo, jak nas, zowią Lingonami. Otóż, niżej owych Lingów mieszkają wzdłuż Łaby ku Czechom także Lechici — i znani są u niemieckich kronikarzy aż do XII w. pod imieniem *Licici:* ligzitze. ligzize r. 937 *(provincia)*, liezizi 946, liczici, lizzizi 1150[1]. Nazwa ta nie obchodziłaby nas wcale, gdyby nie to, że i nam niemiecki kronikarz z X w. Widukind, rodem Sas, to samo imię nadaje. Powiada on o naszym Mieczysławie I, że jest „królem" Słowian, „którzy się nazywają *Licicaviki*"[2]. Co za jedni są ci Licicaviki?

Znakomici uczeni niemieccy, jak Zeuss, Pertz i inni oddawna domyślali się w tej nazwie imienia Lechitów, nie umieli tylko zdania swego uzasadnić, co jednak można wyprowadzić opierając się na dyalektach staroniemieckich.

Końcówka *i* w nazwie Licicavik*i* jest dodatkiem łacińskim, cechą liczby mnogiej; wyraz tedy sam brzmi Licicavik, a składa się z dwu wyrazów, podobnie jak Szleswik, Brunszwik, Bardawik i t. d. Dowodzi tego już samo *a*, które stoi na równi z naszem *o* w wyrazach złożonych, jak Czarn*o*las, Białogród, czerwon*o*ruski i t. d. W dolnoniemieckich dyalektach, a mianowicie w starosaksońskim *vik* znaczy to samo, co górnoniemieckie *gau*, po łać. *terra*, po pol. *ziemia*, *kraj*. Jak Bardawik znaczy Bardorum terra, o czem nas sami kronikarze upewniają, i nazywają tę ziemię inaczej Bardengowe[3], tak Licicavik należy przetłumaczyć „ziemia Licików", Licicorum terra.

Wyraz *Lic* jest rdzeniem wyrazu, a *ci* dodatkiem, który tak często napotykamy w nazwach; dość przypomnieć z kronikarzy niemieckich: Luzici (Łużyczanie), Lutici (Lutycy). Ponieważ to forma

---

[1] Dr. K. Brückner. „Die slav. Ansiedelungen in d. Altmark u. im Magdenburgischen". Str. 40.

[2] Biel. Mon. 140: *Misacam* regem, cuius potestates erant slavi, qui dicuntur *Licicaviki*, duabus vicibus superavit (Wichmann) fratremque ipsius interfecit, praedam magnam ab eo extorsit.

[3] *Z gowe* powstało *gau*.

saksońska, należy ją wyjaśnić na podstawie praw języka niemieckiego. Jestto naturalnie rzeczownik z deklinacyi *a*, jak to zwykli mówić lingwiści. Gdzie mamy w starosaksońskim dyalekcie *c* lub *k* (bo tak i tak pisano), tam w innych dyalektach niemieckich (górnoniem.), a mianowicie w Turyngii (ale tylko po części), Bawaryi i krajach austryackich pojawia się *ch*, a prócz tego *i* zmienia się na mocy prawa, zwanego *Brechung*, na *e*. Saskie tedy czyli dolnoniemieckie *Lic* musi brzmieć podług praw języków germańskich w górnoniemczyźnie nie inaczej, tylko *Lech*. Na zasadzie tych samych praw stworzyły usta niem. z Ptolemeuszowego Λυκίας, średniowiecznego łac. *Licca*, dzisiejsze *Lech*, poboczna rzeka Dunaju [1]. Są to fakta niezbite.

Biorąc tedy rzecz nie z domysłu, ale ściśle naukowo tj. historycznie i lingwistycznie, przekonywamy się, że nazwa Lech, Lechici, którą znajdujemy w polskim i czeskim języku, nie pochodzi bynajmniej od Lęch, Lach, ale od nazwy *Lic, Licici*, którą teraz szczegółowiej objaśnić musimy. Wspomnieliśmy już wyżej o tem prawie języków germańskich, że one wykazują tam *k* lub *ch*, gdzie inne języki aryjskie posiadają *g*. Otóż, saskie *Lic* powinno brzmieć we wszystkich innych językach aryjskiego szczepu nie *Lic*, ale *Lig*, po łacinie *Ligii*, z dodatkiem *ci: Ligici*. Jestto taki pewnik naukowy, że na nim najzupełniej można polegać, a stwierdza go nawet pisownia imienia Licików nadłabskich: ligzice, ligzitze, pochodząca z r. 937, jak to podaliśmy wyżej.

Tym sposobem uzyskujemy tę pewność, że w wiekach średnich posiadało plemię lechickie dwie nazwy: *a) Ling*, po łac. Lingones, po starosłow. Lęg, po niem. Link, Linch, z czego po pol. Lęch, Lęk, po litewsku Lenkas, po rusku Lach, Lak (lacki); *b) Lig*, po łac. Ligii, Ligici, po niem. Lic i Lech, skąd nasze i czeskie Lech.

Należy obecnie rozwiązać pytanie skąd się wzięły te nazwy.

Wiedzę geograficzną o ziemiach między Łabą a Wisłą czerpały wieki średnie z pisarzy starożytnych, z dzieł Strabona, Tacyta, a przedewszystkiem Ptolomeusza, stąd i nam do tych pisarzy zwró-

[1] Zeuss. 12.

cić się należy. Najstarszym z nich jest Strabo (pierwsza połowa pierwszego wieku po Chr.). Pisze on w swej „Geografii“, że kraj poza Łabą mało znany, bo Rzymianie tam nie dotarli. Wiadomo mu jednak, że mieszka tam „wielki naród *Lugow*“ (μέγα ἔθνος Λοῦγοι)[1]. Tacyt (druga połowa pierwszego wieku po Chr. i początek drugiego) zna już dokładniej od Strabona kraje zaelbiańskie. W „Rocznikach“ nazywa Lugów Strabonowych „nieprzeliczonym narodem“ (vis innumera *Ligii*)[2], a w „Germanii“ ciekawe o nich notuje szczegóły. „Najrozleglejsze przestrzenie, powiada, zajmują *Ligiowie*, na wiele państw podzieleni: wystarczy wspomnieć o najważniejszych“ — i państwa te wylicza[3]. Dla nas dzisiaj nie zupełnie to „wystarczy“, bo pragnęlibyśmy znać po imieniu wszystkie te państwa ligijskie, ale i tak, poznawszy tylko położenie wymienionych, spotrzegamy, że siedziby Ligiów rozpoczynają się na lewym brzegu Łaby, a kończą się gdzieś na prawym Wisły, bo z tej samej „Germanii“ dowiadujemy się, że „za Ligiami władają Gotowie“[4], którzy wtedy, jak powszechnie wiadomo, mieszkali z prawego brzegu Wisły, nad średnim jej biegiem.

Po Tacycie najznakomitszym i można powiedzieć ostatnim z wielkich znawców starożytnego świata jest Ptolemeusz, którego wiedzą żyją prawie całe wieki średnie. Umarł on w połowie drugiego wieku po Chrystusie. Podług niego żyją Ligiowie na tej samej przestrzeni, na której znali ich Strabon i Tacyt. Wymienia te same państwa ligijskie, co Tacyt, i dodaje od siebie niektóre, a wszystkich położenie należycie określa. Część lewego brzegu Łaby, prawie cała przestrzeń między Czechami i Bałtykiem, a Łabą i Odrą, Wielkopolska, obydwa Szląski dzisiejsze bez ścisłej granicy od Wisły na wschód — cały ten wielki obszar ziem zajmują Ligiowie.

To są główne źródła starożytne, z których mogli czerpać i czerpali wiadomości pisarze średniowieczni, a z nich cały świat

---

[1] VII. c. 1.

[2] Annales XII. c. 29.

[3] Germ. c. 43. Latissime patet *Ligiorum* nomen in plures civitates diffusum. Valentissimas nominasse sufficiet...

[4] Germ. c. 44: Trans Ligios Gotones regnantur.

ówczesny w miarę, jak szerzyła się wiara Chrystusa i zespolona z nią nierozłącznie cywilizacya zachodnia. Ze źródeł tych pokazuje się, że na tej samej przestrzeni, na której znajdujemy w wiekach średnich Lechów i Lachow, starożytność znała „ogromny naród“ tego samego imienia. O tem imieniu teraz jeszcze kilka szczegółów.

W rękopisach Tacyta przeważa pisownia *Ligii*, obok czego mamy i Lygii, Legii i t. d.[1]. Z *Ligii*, jak już wiemy, wypłynęło saskie *Lic*, a górnoniemieckie *Lech*.

W spuściznie Ptolemeusza znajdujemy Λοῦγοι, Λόγγοι, Λίγγαι, i Λοῦτοι, prócz tego inne jeszcze lekcye, które nie mają dla nas w tej chwili żadnego znaczenia[2]. Rzecz godna uwagi, że imię Λίγγαι odnosi Ptolemeusz do tych samych Lingów połabskich, którzy w wiekach średnich nazywają się tak samo: Lingones, Lingi, Lingae, nawet Langai (Lanai), co jest niemieckiem wymówieniem nazwy greckiej Λόγγαι[3], bo Niemcowi wydawało się, że to pochodzi od *lang* (długi). Λόγγοι nazywa Ptolemeusz Wielkopolan, co, jak zobaczymy, ma głębokie znaczenie. Z Ptolemeuszowego Λίγγαι, wypłynęło średniowieczne *Ligones*, starosłow. *Leg*, *Link*, *Linch*, z tego pol. *Lęk* i *Lęch*, lit. Lenkas, ruskie *Lach*, *Lak*, jak to już wiemy. I forma Λοῦτοι, jakkolwiek błędna, nie uszła uwagi średniowiecznych pisarzy, albowiem dość często pojawia się w rękopisach Ptolemeusza. Stąd to Nestor ludy zaodrzańskie obejmuje jednym wyrazem *Łutycze*, jak już wiemy, a nazwy tej używają dla ludów zaodrzańskich, jak powszechnie wiadomo, i łacińsko-niemieccy kronikarze[4]. Wywodzili to niektórzy od wyrazu słowiańskiego *luty*, srogi, ale kto wie, że wyraz *luty* nie jest bynajmniej słowiańskim, ale włoskim, i woli trzymać się historyi, nie fantazyi, ten pójdzie za nami.

Przekręcenie Λοῦγοι na Λοῦτοι wyjaśnili już znakomici uczeni niemieccy: Zeuss[5] i Müllenhoff. Łatwo to pojąć, jeżeli się wie, że Λοῦγοι było w rękopisie Ptolemeusza napisane wielkiemi literami

---

[1] Müllenhoff. Z. f. d. A. IX, 253.
[2] Zeuss. 124.
[3] C. f. Zeuss. 652.
[4] Zeuss. 655.
[5] Zeuss. 124. Müllenhoff. Z. J. d. A. IX, 253.

ΛΟΥΓΟΙ. Przepisywacz mógł łatwo Γ wziąść za T, jeżeli tylko kreska górna była w oryginale przeciągnięta cokolwiek i na lewo. Tego rodzaju błędy ciągle się powtarzają w rękopisach starożytnych. Można było Γ wziąść także za P, stąd na urzędowej tablicy rzymskiej Peutingerowską zwanej, mamy *Lupiones* zam. *Lugiones* — lub za I, jeżeli górna kreska była niedokładnie nakreślona, stąd u Strabona mamy Λοΰϊοι zam. Λοῦγοι.

Imię więc narodu, o którym mówimy, przekazała starożytność wiekom średnim pod wieloma postaciami. Jedne z tych postaci, jak poznaliśmy, mają dźwięk nosowy *on*, *in* inne zaś bez niego: zam. *on*, *in* zawierają *u*, *i*. Wypada teraz zastanowić się, które z tych postaci są pierwotne i nieskończone, z jakiego pochodzą języka, i co znaczą.

Zeuss, Müllenhoff i nasz znakomity rodak dr. W. Kętrzyński o znaczeniu i pochodzeniu tych nazw dokładne robili badania, należy je tu tylko streścić.

Uczeni niemieccy wykazali już dawno, że prawowitą nazwą nie jest ani *Ligii* ani *Lygii*, ale *Lugii;* więc co do tego sprawa załatwiona. Słuszne jest także zdanie dr. Kętrzyńskiego [1], że nie *Lingi*, tylko *Longi* jest prototypem postaci z dźwiękiem nosowym. Tylko szczegółowe objaśnienie postaci *Lingi* przez dr. Kętrzyńskiego nie zgadza się ani z lingwistyką, ani z paleografią. Zobaczymy niżej, że nazwa Longi brzmiała u narodu, od którego ją wzięto, nie tylko *Long* ale i *Lung*. Przez zwyczajną w rękopisach starożytnych zamianę *u* na *i* powstało z Lingi, Lingones, Ptol. Λίγγαι: *Lung* do *Ling* ma się zupełnie tak, jak *Lugii* do *Ligii*.

Tak nazwy pierwotne *Lugii*, *Longi*, jak i od nich pochodzące oznaczają ten sam naród, a zarazem tak są do siebie zbliżone samem brzmieniem, że musimy koniecznie uważać je za ten wyraz, wypowiedziany w dwu odrębnych dyalektach tego samego języka. Tym językiem może być jedynie i wyłącznie tylko język słowiański, bo tylko w nim można znaleść wyraz, który jako nazwa ogólna Lechitów, używał się jeszcze w X wieku, a jako nazwa jednej cząstki plemienia lechickiego używa się dotąd. Ma

[1] Die Lygier. Str. 119 i nast.

on nadto tę właściwość, że jedna część Lechitów wymawiała go z dźwiękiem nosowym, druga zaś bez tego dźwięku. Jestto wyraz *łąg* czysto-słowiański, który po łużycku brzmi *ług*, a stąd i nazwa *Łużyc*, jak powszechnie wiadomo.

Pod względem języka rozpadli się Lechici już w bardzo dawnych czasach na dwa główne dyalekty: *jeden*, obejmujący Polaków, Kaszubów, Pomorzan i ludy zaodrzańskie (Połobian), *drugi*— Łużyczan. Zasadniczą i najbardziej charakterystyczną różnicę pomiędzy oboma dyalektami stanowi to, że Łużyczanie mówią *ług, dub, zub, wutroba*, tj. nie posiadają samogłosek nosowych — Polacy zaś wraz ze wszystkimi swymi braćmi: *łąg, dąb, ząb, wątroba.* Dwa dyalekty panowały na ziemiach lechickich, w dwu też dyalektach przekazała nam starożytność ich wspólne imię, według tego, czy informacya pochodziła od jednych, czy od drugich. Połabianie bardzo wcześnie zamiast łąg, dąb, ząb zaczęli mówić *łung, dumb, zumb*, stąd już u Ptolemeusza Λίγγαι = Λοῦγγαι: Polacy do dziś dnia *ą* wymawiają czystą, stąd i Ptolemeusz używa na ich oznaczenie formy Λόγγοι. Wiedziano jednak, że Lingae jest to samo, co Longae, skoro w średnich wiekach i Polacy nazywają się Lingones: wiedziano, że od Łaby poza Wisłę mieszka ten sam naród, skoro go temi samemi nazwami obejmowano: to nazwą *Ligii*, to *Lingones*. Jeżeli jeszcze w średnich wiekach zowią kronikarze niemieccy Łużyczan nie tylko Luzici, Lusici, ale i Lunzici, Lunzincani, Lonsici[1], to powtarza się tu z imieniem samych Łużyczan, ta sama historya, co w starożytności z ogólną nazwą całego szczepu lechickiego: jedno imię (bez dźwięku nosowego) pochodzi od Łużyczan, drugie (z dźwiękiem nosowym) od Połabian.

Takie jest niewątpliwe, bo historyą wskazane pochodzenie nazw *Lach* i *Lech;* lingwistyka była tu dla nas tylko nauką pomocniczą, nie drogoskazem: dwie mamy nazwy, bo dwoma dyalektami mówili Lechici: polskim i łużyckim.

Szymon Matusiak.

[1] Biel. Mon. I, 11, II, 760.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Bolonia i jubileusz jej uniwersytetu. Napisał *Jerzy Mycielski*. Kraków. Drukarnia *Czasu*. 1888. Str. 259.

Kto czytał w *Przeglądzie Polskim* skreślony świetnem a dowcipnem piórem dr. Kazimierza Morawskiego opis bolońskiego jubileuszu, ten z pewną może nieufnością weźmie do rąk tę książkę, choć i znany z innych prac potoczysty styl autora, i piękny papier i format ładny a wygodny do czytania zaprasza. A cóż dopiero, kiedy się dowie, że *Bolonia i jubileusz jej uniwersytetu*, to pod innym tytułem zebrane razem fejletony *Czasu*: „Cztery dni w Bolonii", o których wieść dojść go musiała, choćby z zasady nie brał nigdy ani krakowskiego *Czasu*, ani warszawskiej *Niwy* do ręki, bo żartowano z nich sobie na prawo i na lewo, a najbardziej podobno żartowali sobie i ubolewali nad długością tych „Czterech dni", ci właśnie, którzy ani jednego kwadransa im nie poświęcili. A przecież i po artykule prof. Morawskiego warto książkę tę przeczytać, choćby dla przekonania się, w jaki sposób jednę i tę samą rzecz opisać można barwnie i interesująco w niedługiej i w obszernej rozprawie; choćby dla powiedzenia sobie raz jeszcze, że jeźli na żadne w ogóle, to zwłaszcza na dziennikarskie dowcipy niebezpiecznie się spuszczać. Wszystkie te zresztą dziennikarskie dowcipy i krytyki grupowały się koło tytułu; dziś, gdy tytuł zmieniony, z krytyk nic nie pozostało: dowcipny to był sposób skrytykowania krytykujących, i szczerze go tylko można autorowi powinszować.

Lecz mniejsza o tytuł, bo istotnie warto, nie zatrzymując się na tytule z treścią bliżej się zapoznać i podążyć ślad w ślad za sympatycznymi podróżnikami do miłych zawsze i uroczych Włoch, na nie zawsze i nie w każdym szczególe miłe i sympatyczne bolońskie uroczystości. Trochę to mozolna wędrówka, bo wiele rzeczy pięknych i ciekawych jest do widzenia, wiele postaci znakomitych, nieraz oryginalnych przed oczami się przesuwa, a autor z każdą nas zapoznaje, najdrobniejszy szczegół zapisuje z podziwienia godną pilnością, podaje dokładny spis potraw na urzędowych obiadach; powtarza rozmowy z uczonymi przyjaciółmi; wszędzie o wszystkiem zawsze należycie stara się poinformować tak, iż aż go nam żal czasami, przedstawiając sobie, jak męczyć się

musiał, aby wszystkiego dojrzeć, wszystko sobie zanotować, niczego nie spuścić z oka i pamięci, co nadawaćby się mogło do uplanowanego z góry *Ricordo di Bologna*. Ostatni rozdział: „Pożegnalna przechadzka po Bolonii“ nie dość, zdaniem naszem, z całością książki harmonizuje; opisy Kościołów, sarkofagów, galeryj bolońskich za długie i za uczone na „luźne wrażenia“, za krótkie na wyczerpujące studyum. Zresztą, bawiąc dni cztery w Bolonii, uczestnicząc w mnogich ucztach i obchodach do takiego studyum czasu musiało zabraknąć; to też raczej, choć ostatni rozdział najmniej do przekonania nam trafia, podziwiać tylko musimy sprężystość i energię naszego podróżnika, który korzystając z niewielu wolnych chwil między lukullusową ucztą, uczonem i nie zawsze esencyonalnie od uczonego różniącem się teatralnem przedstawieniem, pędził do kościołów i muzeów, aby choć okiem rzucić na kryjące się w nich arcydzieła. Dobrze autor korzystał z czterech dni przebytych w Bolonii; dobrze i miło spędzi czytelnik godzin kilka odczytując te „luźne wrażenia“, jak zbyt skromnie dedykacya zapewnia, i wdzięcznym będzie za tę nie obciążoną „balastem odsyłaczów i ciężką krytyką“, nie niemiecką — ale napisaną „z prostotą w myśleniu, w czuciu, nawet w mowie, prawdziwie *bolońską* książkę.

B.

W sprawie inkwizycyi. W rok jubileuszowy Ojca św. Leona XIII. Napisał *L. Glirius*. Kraków. Nakł. autora 1888.

T. z. postępowcy nie wyrzucili jeszcze wyrazu: inkwizycya ze słownika swoich frazesów, i częste wyprawiają harce na tym koniku o zerwanych nogach. Na nic gruntowne studya katolików, na nic też badania poważnych protestantów, oddających świadectwo prawdzie. Dowody źródłowe postępowiczów nie przekonają, bo wiedzą oni dobrze, że z kłamstwa wciąż powtarzanego zawsze coś zostanie. Tem zaś śmielej rozpanoszyli się u nas tego kroju literaci i dziennikarze, że u nas niema dotychczas dzieła, któreby należytą dało odprawę czczym a zuchwałym zarzutom, oraz przestrzegło pochopnych do niesprawiedliwych sądów, że kiedy za granicą fałsze historyczne dawno zbite, u nas za pewnik naukowy jeszcze uchodzą. Czas już otrząść się z tych plotek i nowinek XIX. wieku, nauce i życiu tak szkodliwych; czas też najwyższy, by ukazało się wreszcie od dawna zapowiedziane, tłumaczenie dzieła niemieckich „przyjaciół prawdy“.

Najwięcej ciekawości i zgrozy w szerokich warstwach ogółu wzbudza inkwizycya; zapewne dlatego, że, aby dobrze zrozumieć i osądzić instytucyę tę i jej sprawy, potrzeba do tego nie mało trudu i dobrej woli. Stąd też wielkie zainteresowanie wzbudza broszurka pod wymienionym tytułem. Poleca ją nadto jeden z miejscowych dzienników i zachęca do pilnego czytania, „bo ani rozmiarami (str. 37), ani ceną (25 centów) nie odstrasza, a o zacności autora, który dochód z niej obraca na dotkniętych powodzią Wisły włościan w okolicy Krakowa w marcu 1888 r.“, chlubnie zaświadcza. Jednak praca ta bynajmniej nie odpowiada założeniu, cel jej chybiony, wartość naukowa bardzo mała, a jej strona językowa niezwykle licha. Autor przeznaczył ją na podarek jubileuszowy Ojcu św.; że się inaczej stało, nie powinien ubolewać. Ale sąd ten ostry wymaga uzasadnienia.

Rozprawa nic nowego nie przynosi, żadnego punktu spornego nie wyjaśnia zrozumiale; pierwszy bowiem z którychkolwiek podręczników historyi kościelnej rzecz przedstawia zwięźlej, jaśniej i więcej źródłowo (cfr. np. Kraus'a ost. wyd. str. 414, 416, 417, 546, 560 i 572). Autor założył sobie udowodnić, że „św. Dominik nie był wcale wynalazcą inkwizycyi i nigdy nie użył władzy inkwizytora; a Dominikanie nie byli wcale wzniecaczami (sic!), ani pierwszemi narzędziami inkwizycyi", teza ta powraca kilkakrotnie z naciskiem w ciągu rozprawki, w tonie robiącym wrażenie, że autor potępia prawie inkwizycyę przed r. 1542 (głównie na str. 19 i 25). Wystarczy na dowód przytoczyć właśne słowa autora". W tej okrutnej wojnie z Albigensami byli to księża z zakonu Cystersów, którzy wszystkiem rządzili (?), którzy zasiadali na zgromadzeniach biskupów, kawalerów, którzy poruszali przeciw heretykom wszelkie wysilenia wieku i Kościoła (biedni ci Albigensowie!); przeciwnie zaś Dominik św. ukazuje nam się takim, jakiego dzisiaj zowiemy człowiekiem nowym". Po tym epitecie, danym patryarsze zakonu przechodzi do braci: „Nazwa nawet braci kaznodziejów nieśmiertelną jest sprzecznością z celem, jaki sobie Dominik św. założył, równie jak miano braci mniejszych nieśmiertelną jest sprzecznością z końcem, jaki sobie założył św. Franciszek z Assyżu" (str. 21). Pomijając rzadki zbiór gallikanizmów przypomnieć się godzi autorowi rok 1233, w którym Grzegorz IX odejmuje kierunek inkwizycyi biskupom oddając go Dominikanom, mimo i wbrew „nieśmiertelnej sprzeczności", o czem wspomnieć musiał Glirius na str. 26 i 34, lecz z dodatkiem: „mieli oni w niej udział równie jak cały świat, bo któż go nie miał w Europie"!? W wiek potem, r. 1318 mianuje Jan XXII, pierwszych inkwizytorów w Polsce dla wytępienia herezyi Dulcyna, rozszerzonej w dyecezyi krakowskiej i wrocławskiej — Peregryna z Opola, przeora Dominikanów w Wrocławiu i Raciborzu, a od r. 1305 prowincyała Domin. polskich wraz z Mikołajem Franciszkaninem z Krakowa (cfr. Theiner t. I, p. 139). Czy także i to było nieśmiertelną sprzecznością św. Dominika i św. Franciszka z Assyżu?

Wiele dałoby się powiedzieć o właściwem wyobrażeniu o inkwizycyi „przez Gliriusa" podanem str. 10—17, 34—37), wyobrażeniu co najmniej niejasnem, zagmatwanem, które autora bez potrzeby daleko od przedmiotu odwodzi. Źródłami, na których się autor wyłącznie opiera, są: „Sprawozdanie o sądzie inkwizycyi komitetu konstytucyjnego. Kadyx. 1812", dzieło fabryki racyonalistów hiszpańskich, jak sam określa, i dzieło Filipa a Limborch: Hist. Inqu. Amsterd. 1692; źródła niepodejrzane o stronniczość na rzecz inkwizycyi. W całej rozprawie przegląda wpływ „fabryki racyonalistów wolnej i hiszpańskiej" i profesora teologii kalwinów Remonstrantów.

Co powiedzieć o języku: nie ma prawie stronnicy wolnej od błędów. Jako wzór jasności myśli i poprawnej mowy, dwa przykłady wystarczą; niechaj je zrozumie, kto może. „I stąd to, jeżeli twierdzę, że Dominik św. nie był wynalazcą inkwizycyi, ani pierwszym inkwizytorem, to nie dlatego, abym uwolnił wsławione jego ramiona od ciężaru zupełnie niewyjaśnionego, ponieważ działanie nie jest prawdziwe" (str. 17). „Całemu światu wiadome jest męczeństwo kościoła hińskiego, (tak i na str. 11, natomiast: niepochamowany str. 14), owe to krwawe męczeństwo od lat tylu trwające, a które zdaje się, że nie pierwej ustanie, jak po całem wygaśnieniu wiary i narodu polskiego". (str. 36). *X. J. F.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Najnowsze wydawnictwa paleograficzne.

1. *Specimina palaeographica Regestorum Romanorum Pontificum ab Innocentio III ad Urbanum V* (1198—1370). Romae, ex Archivo Vaticano. MDCCCLXXXVIII (gr. in folio p. 58, tab. LX, fr. 90).

2. *W. Arndt: Schrifttafeln zur Erlernung der lateinischen Palaeographie.* Erster Heft. 2 Auflage. Berlin, Grote 1887 (26 Taf., M. 15).

„Ktokolwiek zajmuje się papieską dyplomatyką, wyznać musi, że mimo licznych i znakomitych w ostatnim lat dziesiątku na tem polu źródłowych publikacyj i studyów monograficznych, pozostaje jeszcze bardzo wiele do zbadania kwestyj spornych w tym tak doniosłym dla historyi przedmiocie...

Potrzeba tedy, by nowsze badania zwróciły się przedewszystkiem do oryginalnych dokumentów i ich znamion zewnętrznych, lub kiedy brak autentyków — do bezpośrednich tychże odpisów, gdyż tylko tą drogą da się osiągnąć główny cel umiejętności dyplomatycznej, jakim jest stanowcze, naukowe oznaczenie autentyczności lub sfałszowania każdego z osobna dokumentu... Potrzeba też następnie urządzić wzorowe wydawnictwo, w którem złączyć się winna nieznużona praca *Pflugk-Harttunga* z gruntowną i pewną krytyką *Delisle'a*, aby wartość jego trwałą była“...

W tych mniej więcej słowach zakończył przed pięciu laty *W. Diekamp* swój dłuższy a pouczający wielce artykuł, bo z głęboką znajomością rzeczy napisany, niestety ostatni owoc rozległych studyów. (Cfr. *Hist. Jahr.* 1883. T. IV, p. 210 sqq., 361 sqq.). Postulat przedwcześnie zgasłego autora spełnia dziś w zupełności zarząd archiwum watykańskiego, wydając z okazyi papieskiego jubileuszu *Specimina palaeographica Regestorum Romanorum Pontificum* (1198—1370)... Pierwsza to dopiero tej instytucyi publikacya; spodziewać się należy następnych, które, o ile z niniejszego tomu wnioskować wolno, powinny spełnić to zadanie w dziedzinie papieskiej dyplomatyki, co w cesarskiej wydawnictwa Sickla lub przynajmniej Ficker'a. Wiadomo, że ta ostatnia na najwyższym dziś

szczycie rozwoju i do świetnych doszła już rezultatów, gdy pierwsza znajduje się dopiero — rzec można — w początkach swojego rozkwitu. Już od czasów Diekampa, do którego słusznie wielkie w tym względzie przywiązywano nadzieje, wzbogaciła się niepomiernie zaległa dotychczas ugorem, lecz kryjąca w swem wnętrzu skarby nieprzebrane niwa rzymskiej dyplomatyki, że wspomnę działalność Instytutu austryackiego w Rzymie, głównie *Kaltenbrunnner'a* (Cfr. *Mittheilungen* d. J. oest. Gesch. I, 403 sqq., V 213 sqq.); dodajmy do tego cały szereg rozpoczętych lub zapowiedzianych publikacyj Regestów średniowiecznych Papieży: Honoryusza III, wyszedł obecnie w maju tom pierwszy, obejmujący pierwszych 5 lat jego pontyfikatu, Marcina IV opracowywanego przez Mgr. I. Carini; Innocentego IV, Honoryusza IV, Mikołaja IV, Bonifacego VIII i Benedykta XI, które wydaje *École française de Rome;* wreszcie Klemensa V przez Benedyktynów na ukończeniu i Grzegorza IX pierwszy tom w druku — to już widoczna, że te lat kilka po otwarciu archiwum watykańskiego nie tylko wniosły do badań historycznych pełnię bogactwa nieznanych dotąd źródeł, ale też nowych dostarczyły materyałów do historyi kancelaryi papieskiej. Niniejsze wydawnictwo wyłącznie ma ten cel na względzie; stąd jego doniosłość.

Zapoznajmy się z kolei z układem dzieła i jego treścią. Było to zamiarem kard. Hergenröthera, prefekta archiwum tajnego Stolicy św., aby i zarząd archiwalny w roku jubileuszowym godnie uczcił Leona XIII, *qui* — słowa kard.-prefekta z przedmowy dedykacyjnej — *praeter cetera sapientiae et scientiae documenta magnificentissimum quoque historicarum disciplinarum patronum Semet praebuit.* W wykonaniu tej myśli główny udział wzięli: podarchiwista Henryk Denifle O. P., europejską cieszący się sławą w tych studyach, i dwóch kustoszów: D. Pietro Wenzel i Dom Gregorio Palmieri, uczony Benedyktyn z Monte-Cassino. Wspaniały zbiór 60 resp. 64 tablic heliotypicznych na przepysznym papierze z Fabriano, w wielkim formacie in folio, które co do wykonania nie ustępują publikacyom paryskiej *École des chartes*, poprzedza objaśnienie tekstu na 58 stronnicach, pióra O. Deuifle. Zamieszczona na czele przedmowa (str. 7—14) wyłuszcza cel dzieła i zasadę, jaką kierowali się wydawcy w wyborze regestów; dalej skreśla

w zwięzłej charakterystyce historyę pisma w kancelaryi papieskiej, które *ex una maximi inter alias momenti schola prodibat;* w końcu zaś poddaje ścisłej analizie krytycznej sporną dotychczas kwestyę: regestrowania.

Specimina służyć mają tym, którzy poświęcają się nauce dyplomatyki i paleografii, *ut cancellariae pontificiae ratio per tot vicissitudines explicaretur.* Dlatego wybrano ze skarbów archiwum watykańskiego najcenniejsze regesta, na których z samego tekstu, a szczególniej z not marginesowych dokładnie badać można rozwój pisma w tejże kancelaryi w XIII i XIV w. używanego. W tym celu umieszczono tylko te regesta, w których widoczna występuje zmiana pisma; przyczem wydawcy zwrócili uwagę i na to, aby w podobiznach podać wedle możności metodę i zwyczaje kancelaryi papieskiej, i obraz tejże zrobić kompletnym. Transkrypcyę opuszczono, jako zbyteczną nawet i dla mniej biegłych paleografów, bo pismo czytelne i bez skróceń zawiłych; przepisano tylko wielkiej doniosłości dla dyplomatyki notatki pisarzy na marginesach i napisy *(superscriptio, inscriptio, indirizzo* lub *intitolazione, Aufschrift)* w tekście miniowane. Najwięcej speciminów dostarczyły regesta Innocentego III (Reg. n. 4 sqq.), gdyż one były wzorem i fundamentem dla następnych. Z dawniejszych czasów nie pomieszczono wcale ułamków Jana VIII (Reg. n. 1), ani Grzegorza VII (n. 2 i 3) z dwóch przyczyn, raz, że nie pochodzą one z kancelaryi papieskiej; powtóre, że zostały już wydane w *Archivio paleografico italiano,* przez *Guido Levi* (vol. I, fasc. II; vol. II, fasc. I); z późniejszych najważniejszemi są autentyczne przeważnie *regesta papyracea (chartacea* lub *bombycina)* papieży awinionskich, od Klemensa V do antypapy Benedykta XIII włącznie, podczas gdy wszystkie inne w tej kolekcyi zamieszczone są pergaminowemi (membranacea).

W dalszym ciągu przedmowy przechodzi autor do pisma regestów. Dwie tu uwagi. 1° Każdy dokument w dwojakim względzie winien być badanym: jako pomnik historyczny, tj. czy fakta, które podaje, są zgodne z prawdą, czy też zmyślone lub przekręcone, co jest zadaniem *krytyki historycznej;* powtóre, jako pomnik prawny, tj. czy sam akt, który owe fakta zamieszcza, jest autentycznym, czy też podrobionym w całości lub w części, co jest zadaniem *krytyki dyplomatycznej.* Tej ostatniej, o ile nie wchodzi w wewnętrzną

arenę dokumentu, w jego treść i powstanie, przychodzi w pomoc *paleografia;* gdyż w jej zakresie leży zbadanie zewnętrznych, graficznych właściwości dokumentu, więc przedewszystkiem pisma i tego wszystkiego, co się z niem łączy. Otóż wydawcy watykańscy tę materyalną stronę regestów XIII i XIV w. mieli na głównym względzie tak w przedmowie, jak i w objaśnieniach.

2⁰ W historyi pisma średniowiecznego rozróżnić trzeba dwa odmienne jego rodzaje: książkowe *(quaterni, de'codici, manoscritti, Bücherschrift)* i pismo dyplomatów *(epistolae, delle carte, lettere, Urkunden-Diplomenschrift),* o czem *ad rem* znajdujemy wzmiankę w *Summa de arte prosandi* zurychskiego kantora Konrada de Mure (1275): *Alia manus requiritur in quaternis* (i. e. *in libris) scribendis et alia in epistolis. Plures enim scriptores et scriptrices, qui bonam vel competentem formant literam in quaternis, nullo modo vel vix sciunt habitare manum ad epistolas scribendas.* Stosunek zaś wzajemny jest ten, że niema między niemi zasadniczej różnicy — obydwa wspólny biorą początek z pisma powszechnie panującego w pewnym okresie i pewnym kraju; dopiero w pojedyńczych kancelaryach pod wpływem dążności wydoskonalenia sztuki pisania, przybiera ono w różnych czasach i miejscach charakter odmienny, właściwą sobie formę. Mówi o tem wspomniany autor (w *Quellen zur bayer. Gesch.* IX, 157): *Vidi enim in curia papae nec non imperatoris, ubi notariis et curiae rectoribus famularis eram satis et familiaris, quod diversis regnis, regionibus, terris, provinciis notarii secundum exigentiam consuetudinis terrarum literas et privilegia formare solebant. Immo, curia imperatoris singalis regionibus seu provinciis notarios praeposuit speciales.* Świadectwem tego postępu są prócz tego niektóre klasztory, lecz głównie działo się to w kancelaryi pap. przez grossatorów, do których należało przepisywanie na czysto bull, przywilejów i t. p., w ogóle wszelkich dokumentów z kancelaryi wychodzących. I tak, w dokumentach prywatnych z przed r. 1000 we Włoszech *(chartae pagenses, documenti communi, notarili)* panuje wyłącznie kursywa — podczas gdy w dyplomatach papieskich aż do końca XI w. przeważa charakter pisma longobardzkiego *(litera beneventana).* Reforma Karola W. z pomocą Alkuina na tem polu, wprowadzająca piękne, okrągłe „typy karolińskie *(minuscula*

franca), zapanowała po dwuwiekowej walce (IX—XI w.) z dotychczasowem pismem w XII w. całkowicie, tak w książkach w miejsce liter inicyalnych, jak i w dyplomatach zamiast kursywy. To też i *registratores (clerici in registro scribentes)* przy wciąganiu bull i listów apostolskich ważniejszych treścią w osobne księgi, który to zwyczaj regestowania dawniejszych sięga jeszcze czasów, niżeli końca w. VI, nie innego używali pisma jak w powszechnem będącego zastósowaniu.

W pierwszych tedy latach pontyfikatu Innocentego III (od r. 1198) panuje wspaniała, okrągła a bez skróceń i czytelna minuskuła, która z biegiem czasu, jak wszędzie na zachodzie i północy, wydoskonalona z prostej, pojedyńczej i zaokrąglonej przeradza się w pismo ostre, w spojeniu liter ściśnione wielce, pełne ozdób zbytecznych i w skrócenia częstokroć zawiłe bogate; jestto *gotyckie pismo (Monschrift, scrittura gotica, angolare)*. Tę zmianę spostrzedz można i w kuryi, chociaż tutaj odbyła się ona powolnie, bo jeszcze do drugiej połowy XIII w. (do Grzegorza X 1271—76) zachowuje pismo dawny charakter minuskuły. W ogóle oznaczyć można kilka różnych okresów pisma kancelaryi papieskiej w epoce 1198—1370. Pierwszy przypada na czasy Innocentego III (1198—1216); drugi obejmuje pontyfikat dwóch jego następców: Honoryusza III i Grzegorza IX (1216—1241); trzeci Innocentego IV i Aleksandra IV (1243—1261); czwarty za Urbana IV i Klemensa IV (1261—1268) zaznacza nową zmianę w intytulacyi regestów. Dotąd bowiem malowano ją czerwono w majuskule, jak i w bullach oryginalnych, teraz zaś majuskuła z tekstu znika zupełnie, a w różnokolorowej intytulacyi przybiera charakter gotycki aż do Bonifacego VIII; nadto, zaciera się odtąd różnica między pismem książkowem i dyplomatów. Okres piąty, od Grzegorza X do Mikołaja IV włącznie (1271—1292) znaczniejszy jeszcze przełom sprowadza, bo wszechwładne panowanie gotyku, jak wyżej zaznaczyliśmy. *Priscam exuit venustatem scriptura, quae ex tunc formam librorum manuscriptorum induit*, mówi O. Denifle. W następnym okresie szóstym, od r. 1294—1316 sqq. tj. od Bonifacego VIII aż do pierwszych lat Jana XXII przeważać poczyna tak w regestach listów apostolskich, jak i skarbowych — kursywa, która po raz pierwszy ukazała się już za Honoryusza IV (1285—1287),

pismo, będące dalszym rozwojem a raczej przesadą i skażeniem formy gotyckiej, z niesłychaną ilością dowolnych skróceń, stąd trudniejszem w odczytaniu. Ostatni okres od Jana XXII do r. 1370 pód względem paleograficznym jest prawie najważniejszym. Wtedy bowiem nastał zupełny przewrót w kancelaryi papieskiej *cum italis scriptoribus exturbatis vel neglectis in Curia rerum potirentur summa Galli.* Czasy to awinionskie, więc i w kancelaryi zapanował wpływ francuski, jak to przytoczone słowa O. Denifle określają. A zatem piękną, czytelną gotycką minuskułę *(minuscula gotica romana)* niepowrotnie wyparła pełna skróceń i zakręceń, zbita, mniej przeto wyraźna kursywa.

Przyczyną tej zmiany nowy materyał, *carta bombycina*, na której z większym pisano pośpiechem, lecz też z mniejszą sztuką i wykończeniem.

Kwestya *regestowania* szeroko i z wielką krytyką omówiona przez O. Denifle, zda się nam w niniejszem dziele zostaje ostatecznie rozstrzygniętą w ten sposób, że regesta powstawały zazwyczaj przez bezpośrednie odpisywanie z bull oryginalnych, a nie z ich konceptu, *ex litteris notatis vulgo minutis*, które służyły grossatorom do redagowania bull autentycznych. Dowody przywiedzione są liczne i przekonywujące, przytem zdanie to ma za sobą powagi najznakomitsze, Delisle'a i Diekampa. Oznaczeniem regestów oryginalnych kończy się przedmowa. Zarówno i w objaśnieniach podano wiele cennych uwag prostujących dawniejsze mniemanie, których przyszły historyk archiwum watykańskiego pominąć nie może; podobno spodziewają się go w Mgr. Izydorze Carini'm, profesorze watykańskiej szkoły paleograficznej.

Właściwą część wydawnictwa stanowi 60 podobizn, wśród których do najważniejszych treścią należy bulla Bonifacego VIII z r. 1302: *Unam sanctam* (cfr. *najnowsze studyum Grauerta w Historisches Jahrbuch* z r. 1888. T. IX, p. 137—151). Z bliżej obchodzących nas regestów, znajdujemy tylko dwa listy papieskie do króla i prymasa węgierskiego na tab. 39; obydwa z 12 marca 1287 r.

W końcu zaznaczyć wypada, że całość przedstawia się wspaniale i prawdziwy przynosi zaszczyt wydawcom; tym zaś, którzy będą mieli sposobność korzystać z niego, pożytek nieoceniony. Że

należyte znajdą wśród uczonych uznanie, nie wątpimy. Pojawiły się też już w kilku czasopismach recenzye i szersze omówienia, tak w *Histor. polit. Blätter* z marca b. r., w *Osservatore Romano* i kilku innych.

Jeżeli *Specimina* watykańskie odbite tylko w 250 egzemplarzach policzyć trzeba do wydawnictw ozdobnych i pojedyńczym osobom nie bardzo przystępnych, to berlińska publikacya, jako podręcznik paleograficzny, i ceną i treścią swoją przeznaczona jest dla wszystkich bez wyjątku w tej gałęzi pracujących. Jeszcze w r. 1869 uskarzał się *Wattenbach* w pierwszej edycyi swego dziełka: *Anleitung zur lateinischen Palaeographie* na brak podręcznego zbioru podobizn, któryby, przedstawiając wzory pisma średniowiecznego w historycznym jego rozwoju, posłużyć mógł za podstawę do paleograficznego studyum. Zaradził tej potrzebie niedługo potem *W. Arndt* wydając w roku 1874 i 1878 *Schrifttafeln zum Gebrauch bei Vorlesungen und zum Selbstunterricht* (Berlin, 2 zeszyty, tab. 60). Zbytecznem mówić o użyteczności takiej kolekcyi w ogóle, lecz godzi się podnieść wielkie powyższych tablic zalety: doskonały wybór rozmaitych gatunków pisma i trafny ich układ. Dziś, po latach dziewięciu wygotował autor drugie wydanie pierwszego poszytu. Niezmienione w zasadzie, w kilku częściach znacznie poprawione, zachowuje dawny swój charakter, swoje przymioty, ale zarazem jedną wadę. Zarzut ten jedyny dotyczy mianowicie stosunku, w jakim zostawać mają obiedwie części do siebie. Powtórzenie bowiem w drugim zeszycie mniej więcej tego samego obrazu i następstwa w chronologicznem doskonaleniu się i przekształceniu pisma, wypaść tylko może na szkodę i niekorzyść zarazem pierwszego zeszytu. Niedostatek ów metodyczny, o ile przy pierwszem wydaniu nie raził, kiedy część druga (w r. 1878) ukazała się jako dodatek i uzupełnienie pierwszej (w r. 1874), winien być teraz przy ponownej edycyi całego dzieła stanowczo usuniętym.

Obecna kolekcya składa się z 26 tablic fotolitografowanych z rękopisów, znajdujących się przeważnie w królewskiej bibliotece berlińskiej i następujące obejmuje rodzaje pisma: kursywę staro- i nowo-rzymską (tab. 1, 2); pismo pierwotne *(capitale)*, uncyalne i półuncyalne (3—5); szczególne, kilku narodowościom właściwe

(6—15), wreszcie minuskułę od w. VIII—XIII (12—26). Każda z tablic zaopatrzona jest odpowiedniem objaśnieniem co do miejsca pochodzenia i autorstwa rękopisu, o znaczeniu i charakterze jego pisma; ponieważ zaś jest to podręcznik dla początkujących, przeto podano transkrypcyę pierwszych wierszy każdego numeru. Publikacyę otwiera przedmowa autora, z której zapoznajemy się z celem i przeznaczeniem wydawnictwa. Już w tytule powiedziano, że służyć ma ono zarówno do wykładów akademickich jak i do samodzielnego studyum. Zadanie to spełnia znakomicie; autor w zupełności osiągnął cel praktyczny, bo wśród mnogich a wspaniałych kolekcyj monumentów i dokumentów żadna nie podaje całkowitego rozwoju pisma, jakiego w wiekach średnich powszechnie używano po za obrębem poszczególnych kancelaryj. Lecz i w tym ścieśnionym nieco zakresie przedstawia pismo książkowe *(Bücherschrift)* tysiączną rozmaitość; zastósował więc tu autor zasadę Sickla *(Urkundenlehre* p. 293), aby sprowadzając do jedności różnolite gatunki pisma średniowiecznego pomijać chwilowe i dowolne jego zboczenia, a natomiast mieć to zawsze na względzie, że nawet w pośrodku wielu anomalij pozostaje ciągle siła tradycyi, i że przy elastyczności formy stale są przestrzegane pewne reguły, od których zależy kaligraficzny rozwój pojedyńczych odcieni i ogólna historya pisma.

Nie miejsce po temu, aby się tu zastanawiać nad każdym numerem podobizn z osobna; raczej wypada zaznaczyć pokrótce zmiany i poprawki w niniejszem wydaniu. Zupełnie nową tablicą jest 23, zwiększona pierwotną kolekcyą o jedną więcej (w r. 1874 było ich 25), która podaje w dwóch wstępach minuskułę XII w.

Z nich drugi wyjęty z kodeksu monachijskiego *(Annales Ratisbonenses Hugonis* pisane w latach 1174—1197) należy do niewielu owych pomników łacińskich, które, jak wiedeński *Cod. palat.* z r. 1143 (Cfr. *Sickla Mon.* graph. m. aevi VIII, 16) zawierają liczby arabskie, wprowadzone i rozpowszechnione dopiero w początkach XIII wieku. Prócz tego doznały zmiany tablice III, VII i VIII. Z tych na pierwszej w miejsce kilkuwierszowych próbek biblii utrechckiej i palimpsestu *De Republica Cycerona* z IV w., znalezionego przez „Kolumba palimpsestów“ *Angelo Mai* w drugim dziesiątku naszego wieku w Bobio, powtórzył wydawca Wirgiliu-

sza watykańskiego (Nr. 3867 *Codex Romanus*) z *Exempla codd. latin. litteris maj. scr. Zangemeister'a* i *Wattenbacha* (1876 tab. 11). Również tablice VII i VIII w charakterze pisma pozostały te same; zmienione tylko wzory wedle nowszych wydawnictw.

Godziło się w zadługiem może omówieniu zanotować najnowsze te i fachowe publikacye. Studya paleograficzne w dzisiejszym stanie i kierunku badań historycznych stały się już prawie nieodzowną koniecznością. Obecnie bowiem, kiedy otwarły się zamknięte dotychczas archiwa, będące do niedawna w świecie nauk *terra incognita*, warunkiem niezbędnym do dalszej i pożytecznej pracy na niwie historycznej jest sumienne przygotowanie się w tej umiejętności, przez Francuzów stworzonej w XVII w., dziś zaś wydoskonalonej wielce przez Niemców. Życzyćby należało, aby i Polacy zajęli przynależne im miejsce w licznem już gronie uczonych, poświęcających się paleografii w ogóle, a papieskiej w szczególe, której zbadaniu najwalniejszą pomoc przyniosła szkoła watykańska paleograficzna, przed czterema laty przez Leona XIII otworzona.

Ks. J. F.

Der Hexenwahn vor und nach der Glaubensspaltung in Deutschland, von *Johann Diefenbach*, Inspector an der Deutsch-Ordenscommende zu Frankfurt a. M. VIII. 360 S. Mainz. Kirchheim's Verlagshandlung.

Kiedy najwięcej wierzono w czary i czarownice; kto głosił krucyaty przeciw setkom nieszczęśliwych kobiet o czary oskarżonych, kto na stos je prowadził? Czy Kościół i zakonnicy, jak zbyt często dotąd powtarzano; czy bulle Papieżów, jak okrzyczana bulla Innocentego VIII, która mówiąc słowami jednego z nowszych niemieckich uczonych, miała wiarę w czary podnieść do godności dogmatu, rzucając w ten sposób na ludy zachodnie klątwę demonizmu"? Na zapytanie to daje książka Diefenbacha wyczerpującą, żadnymi przesądami nie natchnioną, źródłową odpowiedź. Wielu katolików zawiniło nieraz w smutnych tych procesach; ale chcieć na katolików, jako takich, a tembardziej na Kościół katolicki zrzucić odpowiedzialność za ten rodzaj manii wyszukiwania i palenia czarownic, która przez pewien czas w Niemczech zapanowała, znaczy nie znać, lub nie chcieć znać historyi. Nie tylko kobiety, często mężczyzn, dzieci, nieraz nawet katolickich księży oskarżano o czary; a kto raz podpadł pod takie oskarżenia, dla tego zbyt często nie było ratunku. Oskarżeni przyznawali się na torturach do wszystkiego, czego od nich żądano; dla złagodzenia kary wymieniali nazwiska wrzekomych swych wspólników w czarodziejskich sztukach, i w ten sposób jedne stosy zapalały coraz to inne. Jeden tylko,

co prawda wyjątkowo gorliwy prześladowca czarownic, protestant Carpzov, skazał na śmierć około 20 000 ludzi, między którymi największa część obwinioną była o czary. Za powód do wydania wyroku wystarczała znajomość obżałowanych z osądzonemi za czarownice, lub np, że oskarżona nie mogła płakać

Z jakiego źródła wypłynął, jakie przyczyny złożyły się na ten straszny, a tak szeroko w Niemczech rozgałęziony obłęd? Przyczyn tego było kilka. Najbardziej może zawiniła protestancka literatura XVI wieku, która idąc śladami Lutra, na każdym kroku wietrzyła djabłów i djablice, „szkaradne owe „djabelskie córki, jak Luter bez ogródki się wyraża, które mleko kradną, wi„chry wzniecają, na kozłach i na miotłach jeżdżą, na płaszczach po powietrzu „pływają; zabijają, kaleczą, niszczą ludzi; męczą dzieci w kołyskach“... Prawda, że i przed Lutrem niejeden pisarz z lubością ciekawym czytelnikom dziwne historye o czarach opowiadał; ale opowiadania te w łacińskim języku spisane, w szczupłych tylko kółkach wzniecały oburzenie i zgrozę. Lutrowi dopiero i jego zwolennikom przypada smutna zasługa spopularyzowania tego oburzenia, wywołania krwawej krucyaty przeciw czarownicom. Z protestanckich okolic przedostawała się czasami ta zaraza i do katolickich, ale nigdy w nich — jak stwierdza Diefenbach cyframi i datami — korzeni zapuścić nie mogła; podczas gdy w krajach protestanckich panowała z krótkiemi przerwami 50, 100, a nawet 150 lat.

Johann Dietenberger (1475—1537). Sein Leben und Wirken von *Hermann Wedewer*. Mit vier Tafeln. Freiburg, Herder 1888. 500 S.

Smutne to zjawisko, pisze w przedmowie zasłużony autor, że katoliccy pisarze zapomnieli o walecznych tych rycerzach, którzy pierwsi rzucili się w XVI w. w wir walki za Boga, wiarę i Kościół przeciw protestanckiej nawale. Wrogowie Kościoła dawno wystawili pomniki bohaterom swego obozu; czemuż pomników takich nie mają, czemuż nie znamy dokładnie życia i działalności takich mężów, jak Emser, Faber, Wimpina, Dietenberger? Dotychczasowe braki w tym względzie należy koniecznie zapełnić; — a w jaki sposób je zapełnić, jak żadnego trudu nie szczędzić, byle wybraną przez siebie historyczną postać katolickiego szermierza w prawdziwem świetle wystawić, tego wzór daje nam wymierzona w nagłówku biografia, owoc dziewięcioletnich pracowitych studyów.

Praca Wedewera rozpada się na dwa główne działy: w pierwszym zapoznajemy się z życiem, w drugiej z pismami Dietenbergera. W wczesnej młodości przyoblókł głośny ten Dominikanin habit zakonny; piastował długie lata najważniejsze klasztorne urzędy; otrzymał r. 1515 stopień doktora teologii, a niebawem zaciągnięty przez przyjaciela swego *Cochläusa* do walki przeciw Lutrowi, nie wypuścił aż do śmierci pióra z ręki, straszne zadając niem ciosy wrogom wiary. Wedewer, idąc śladami Janssena opiera się głównie w swej pracy na współczesnych protestanckich pisarzach; zbierając skrzętnie i porównywując ze sobą opisy ich i zdania, maluje smutny a straszny obraz reformacyi i reformatorów, zwłaszcza reformatorów frankfurckich. Również z protestanckich zeznań rozwiązuje autor nieraz stronniczo poruszane pytanie, czy i o ile Dietenberger korzystał tłumacząc Pismo św. z świeżo dokonanego prze-

kładu Lutra? Bezwątpienia, zarówno Emser jak i Dietenberger znali tłumaczenie Lutra i korzystali z niego w niektórych ustępach, ale z tem bynajmniej się nie kryli; podczas gdy Luter posługując się bezporównania więcej dawnym katolickim przekładem, nigdy o tem ani słówkiem nie wspomniał podając i chwaląc się ze swej pracy, jako z zupełnie samodzielnej.

W drugim dziale zapoznajemy się z pismami Dietenbergera; jedno nawet z nich, p t. „Chrześcijańska nauka o czci Świętych", podaje autor w całości. Inni występowali do boju z ciężką artyleryą grubych woluminów *in folio;* Dietenberger bardzo praktycznie rozrzucał na prawo i na lewo małe broszurki, któremi najskuteczniej przeciwdziałał truciźnie w ulotnych pismach Lutra rozszerzanej. Wszystkie te większe i mniejsze, ale zawsze praktyczne i bardzo na czasie rozprawy i rozprawki, podzielić można ze względu na treść na: polemiczno-ascetyczne, egzegetyczne i katechetyczne pisma. Dla dania pojęcia, jaki wpływ pisma te przez długie lata wywierały, dość powiedzieć, że przekład Pisma św. rozszedł się w blisko stu wydaniach, a i „Katechizm" podobnej liczby wydań się doczekał.

Całe dzieło napisane starannie i spokojnie, opierające się na wyłącznie prawie niedrukowanych dotąd źródłach, jest cennym dodatkiem do historyi reformacyi, budzi żywy a słuszny interes, i jeśli o jakiej książce, to o tej powiedzieć można, że daje więcej, niż w tytule zapowiada.

Napoléon Bonaparte. Oeuvres littéraires, publiées d'après les originaux et les meilleurs textes, avec une introduction, des notes historiques et un index, par *Tancrède Martel.* Tomes I et II. Paris 1888. 2 vol. in 12-o, p. LXXX 384 et 476.

Zwykłemu profanowi nie łatwo zorjentować się, a trudniej jeszcze mieć pod ręką długi szereg kosztownych, a nie dla każdego w całej swej rozciągłości ciekawych tomów, zawierających wszystkie pisma Napoleona. To też bezwątpienia szczęśliwą było myślą popularne wydanie wyłącznie literackich prac wielkiego tego wodza, a jak się pokazuje wcale nie najgorszego pisarza; prac, które nie tylko strategików lub historyków, ale szerokie koła publiczności mogą zainteresować. Dwa tomy, które dotychczas opuściły prasę, zawierają następujące działy: 1) *Prace młodzieńcze;* 2) *Poezye;* 3) *Historya Korsyki;* 4) *Pamflety i Polemika;* 5) *Ważniejsze listy;* 6) *Listy polityczne i wojskowe;* 7) *Mowy.* W dwóch następnych tomach znajdą pomieszczenie: 8) *Proklamacye;* 9) *Rozprawy prawodawcze i polityczne;* 10) *Pamiętniki wojskowe:* 11) *Historya egipskiej i syryjskiej wyprawy;* 12) *Rozprawy krytyczne;* 13) *Rozprawy moralne i filozoficzne.* Tekst zdobią dwa wizerunki Napoleona, zdjęte z współczesnych portretów: jeden w mundurze generalskim, drugi w urzędowym stroju członka Akademii francuskiej.

Qu'est-ce que le tiers état? par *Emmanuel Sieyès,* précédé de l'Essai sur les priviléges. Edition critique avec une introduction par *Edme Champion.* Paris, au siège de la Société de l'histoire de la Révolution française. 1888. XV. 93 p.

Z początkiem bieżącego roku powstało w Paryżu z okazyi zbliżającego się jubileuszu rewolucyi, *Historyczne Towarzystwo Rewolucyi francuskiej,*

które oprócz innych celów postawiło sobie za zadanie, ogłaszać niewydane lub rzadkie broszury rozprawy i książki, odnoszące się do historyi francuskiej począwszy od roku 1789. Honorowym prezesem nowego tego stowarzyszenia jest sam prezydent Rzeczypospolitej, Carnot; członkami komitetu wykonawczego kilku wybitniejszych uczonych, między innymi Edme Champion, który wywiązując się z danego sobie polecenia, rozpoczął uchwalone wydawnictwo dwoma wymienionemi w tytule broszurkami Siéyesa. Sądząc po tym początku, nowe *Towarzystwo Historyczne*, poważnym badaniom historycznym mało się przysłuży, a na tłumy zwykłych czytelników wpływu nie wywrze, z czego zresztą raczej cieszyć, niż smucić się należy. Osobistość Siéyesa, który miał odwagę zrzucić sutannę, ale nie miał dość odwagi, aby zaprotestować przeciw wyrokowi śmierci wydanemu na króla, a następnie dopomógł Napoleonowi do obalenia rządu, którego sam był członkiem, — budzić musi wstręt, jaki naturalnie budzi każdy apostata, człowiek sprzeniewierzający się z podziwienia godną łatwością swej wierze, przekonaniom i przysięgom. Broszury jego są właściwie pamfletami, które chyba dzisiaj tylko jako dokumenty smutnej tej epoki mogą mieć dla niewielu badaczów i to zaledwie drugorzędną wartość.

Jeśliby było potrzeba nowego dowodu, że cały projekt jubileuszu francuzkiej rewolucyi zrodzony został pod nieszczęśliwą gwiazdą, to dowodu tego dostarczyćby mogła pierwsza ta publikacya z takim rozgłosem założonego *Historycznego Towarzystwa*. Drobnym, ale charakterystycznym szczegółem jest, że — jak poważna krytyka francuzka zauważyła — wydawcy każą swemu ulubieńcowi nazywać się *Sieyès*, podczas gdy on sam podpisywał się *Siéyes*. Prawda, że kto tylokrotnie stan i zasady zmieniał, nie gniewałby się chyba zbytecznie z powodu zmiany jednego akcentu.

Z pism czasowych.

W *literackim Dodatku* do Nr. 21 i 22 petersburgskiego *Kraju* spotykamy godny uwagi artykuł p. t.: „Karalność pojedynku“, przez p. *Stanisława Wydżgę*.

Na początku stwierdza autor fakt, że prawodawstwo niezgodne jest w tym punkcie z opinią publiczną; pogodzenie zaś obudwu bierze za cel swej pracy. Bezpośrednio zaś potem mówi: „Chociażby podane przeze mnie rozwiązanie było mylnem, to bylebym wywołał trafniejsze wskazówki do wyjścia z obecnego nienormalnego bądź co bądź stosunku wzajemnego prawodawstwa a społeczeństwa w poglądzie na pojedynek, będę uważał swoje usiłowania za wynagrodzone aż nadto szczodrze“.

Słowa te tak silnie akcentują dobrą wiarę i skromność autora, że choć z powodu wielu jego zapatrywań nieraz doznaje czytelnik

pewnego rozdrażnienia i niechęci, musi je stłumić i nie tracić przychylnej o nim opinii, jaką z tych słów powziął.

Wykażmy najprzód strony dodatnie.

Największą zasługą p. W. w tej pracy, sądzę, że jest zbadanie istoty tego rodzaju honoru, o który w pojedynku jedynie chodzi. „Przedewszystkiem, mówi (na str. 2, Nr. 21), musimy zauważyć, że honor jest pojęciem różnem od pojęcia cnoty, moralności, prawości, a nawet sprawiedliwości i słuszności; powtóre, że w pojęciu tem pierwsze miejsce zajmuje odwaga, gotowość bronienia swej nietykalności, chociażby z narażeniem życia; i potrzecie, że honor jestto pojęcie przeważnie formalne (może raczej konwencyonalne uw. R.). Postaram się objaśnić powyższe twierdzenia przykładami. Ten, który po największej winie: po pozbawieniu czci dziewczyny lub kobiety odbył pojedynek i zabił brata, męża lub ojca zhańbionej, uważa się za oczyszczonego na honorze. Czyż honor jest tem samem co sprawiedliwość, uczciwość, moralność?“

„Człowiek uderzony przez pijaka nędznego moralnie, ale nie uznanego jeszcze za pozbawionego prawa dawania satysfakcyi honorowej, chociażby to uderzenie było najniesłuszniejsze, będzie pozbawionym honoru, jeśli nie da dowodu odwagi i gotowości narażenia życia z powodu obrazy honoru. Dotknięcie symboliczne rękawiczką uważa się z punktu widzenia honoru pojedynkowego za cięższą obrazę honoru, niż poważny zarzut o czyn hańbiący, gdyż zarzut może być cofnięty i pojedynku nie będzie, po dotknięciu zaś rękawiczką musi być pojedynek. Czyż nie jest honor pojęciem przeważnie formalnem?“

„Pojęcie honoru zostało wyrobione przeważnie przez rycerstwo francuskie wieków średnich. To też we francuskim języku znajdujemy dowód jednoznaczności niemal odwagi i honoru. Słowo *lâche* znaczy zarówno „podły“, pozbawiony honoru, jak i „tchórz“. We wszystkich zresztą cywilizowanych warstwach społeczeństw europejskich, przeważnie zaś w tych klasach, które pochodzeniem i zajęciem najbliższe są dawnego rycerstwa, tj. wśród szlachty i wojskowych, spotykamy podane przeze mnie pojęcie honoru“.

Z tych więc danych, które autor tak dobrze zestawił, można logicznie zawnioskować, że honor, o który chodzi w pojedynku, jestto ograniczenie wartości moralnej człowieka i opinii pod tym

względem o nim, do samej tylko odwagi wojskowej. Że takie ograniczenie stanowi istotę tego honoru, to zdaje się wynikać tak z przywiedzionych przez p. Wydżgę przykładów, jak i z tego, że niektórzy ze szlachty francuskiej, przedstawiającej najlepszy typ tego honoru, gdy za wielkiej rewolucyi mieli być gilotynowani, przed egzekucyą różowali sobie policzki, żeby tylko nie pokazać się na rusztowaniu bladymi. Uosobienie tak zdegenerowanego honoru czyli godności osobistej widzimy też w Bogusławie Radziwile u Sienkiewicza w „Potopie".

Honor zaś rycerski średniowieczny nieodłącznym był od cnoty, plamił się czynami, o których wspomina autor, a odwaga wojskowa drugorzędną w nim tylko grała rolę, tj. o ile była potrzebną do bronienia, z narażeniem życia, słabych napastowanych przez silnych. A ci to właśnie silni i po rycersku przybrani napastnicy wykrzywili to pojęcie do tak szpetnych moralnie kształtów.

Średniowieczne pojedynki były to po prostu pewnego rodzaju turnieje, rzecz w istocie swej zupełnie różna od tego, co się dzisiaj nazywa pojedynkiem. Sądzę, że i „wyzywania na rękę" dawnej szlachty naszej różniły się zasadniczo od nich, przez to głównie, że miały cechę raczej walki doraźnej, a nie umowy o śmierć lub krew.

Inną a wielką zaletą autora jest jego praktyczność co do sposobów wykorzenienia pojedynku. Mówi bowiem: ... „prawodawca, który układa przepisy nie dla jakiej *insula-utopia*, ale dla konkretnego, żywego społeczeństwa powinien poszukać prądów już istniejących, obyczajów już się rodzących, żeby z nich skorzystać, i z pomocą sił dla celu swego pożytecznych, zwalczyć szkodliwe".

„Takim obyczajem rodzącym się w społeczeństwie, a mogącym — przy odpowiedniem poparciu — rozwinąć się bardziej i zastąpić z początku w części, a z czasem może i w zupełności pojedynek, są sądy honorowe. *Ehrengerichty*, *Burschengerichty*, sądy oficerskie, sądy honorowe korporacyjne, klubowe, sądy honorowe, projektowane przez niektórych dziennikarzy francuskich w zajściach prasowych, wreszcie praktykowane tu i owdzie w społeczeństwie sądy honorowe dowodzą, że obyczaj takich sądów jest społeczeństwu sympatyczny, że rodzi się on sam przez się, że zatem jest prawdopodobieństwo, iż rozwinąć go można".

Następują trafne uwagi o tem, jak takie sądy mogą zastąpić

pojedynki, a z drugiej strony, jakie mają pierwszeństwo przed sądami koronnemi, i jak prawodawstwo mogłoby i powinno otoczyć je swoją opieką.

Ale przypatrzmy się teraz odwrotnej stronie medalu, tj. usterkom, które mogłyby zniechęcić do autora, gdyby nie początkowe jego tak szczere oświadczenie. W istocie trudno sobie wytłumaczyć, jakim sposobem, przy tak jasnych poglądach autora na pojedynek i jego szkodliwość, mogły się one zdarzyć.

I tak, pojęcie wojny i pojęcie pojedynku wystawia p. W. za tak dalece bliskie siebie i pokrewne, że z jednego robi wnioski o drugiem, jak gdyby idee mogły się przekształcać jedne w drugie, jak gatunki zwierząt, u transformistów. Wojna dzieje się między państwami i narodami, tj. jednostkami społecznemi, niemającemi nad sobą jednej wyższej kompetentnej władzy. Spory więc między niemi wynikłe, muszą być załatwiane albo sądem polubownym, jak to miało niedawno miejsce między Prusami i Hiszpanią — albo też jednostki te muszą dochodzić swych praw siłą czyli wojną. I dlatego wojna zawsze ma charakter jużto napadu i obrony, jużto zbrojnej egzekucyi swego prawa. Przeciwnie, pojedynek jest zawsze walką dla walki, bo w nim chodzi tylko o dowiedzenie, że czyjeś subjektywne przekonanie o własnej godności jest mu droższe niż życie własne i bliźniego, na czem zaś ta godność w pojęciu duelistów zależy, jużeśmy widzieli.

Inna niejasność pojęć zachodzi, gdy autor, chcąc obronić samowolność pojedynku, powiada, że państwo (NB. autor nie wie o wyższej normie sprawiedliwości nad państwo) dawało i daje niekiedy jednostkom prawo obrony ich praw pogwałconych, czego dowodem mają być: „ordalia, pojedynek jako środek dowodowy w procesie, samowładna egzekucya prawa przysądzonego przez trybunały państwowe, i dziś jeszcze istniejące pewne wypadki indywidualnej obrony pogwałconych praw, nietylko niekarane, lecz przeciwnie nawet sankcyonowane prawnie; a że pojedynek jest właśnie taką obroną przez jednostki swego pokrzywdzonego honoru, więc państwo może go bezpiecznie sankcyonować". Czyżby autor przyjmował pseudo-jezuicką zasadę: „cel uświęca środki?". Bo jeśli tego rodzaju obrona sama w sobie nie jest godziwą (a nie jest, jak świadczy prawodawstwo), to czyż ją może usprawiedliwić cel, choćby naj-

świętszy, a tembardziej tak podejrzanej dobroci, jak honor w pojęciu duelistów. Ordalia znów i pojedynki dowodowe opierały się na wierze w nadprzyrodzoną i obowiązkową interwencyę bożą za niewinnością. Były więc kuszeniem Pana Boga, złem zupełnie innego rodzaju, niż zło karane w dzisiejszych pojedynkach; a więc wniosek *a pari* jest w tym razie logicznie błędny.

Zajazdy w dawnej Polsce, o których autor wspomina — czy były kiedy legalnym sposobem egzekucyi sądowej, nie podejmuję się rozstrzygać. Jeśli były, miały tę samą zasadę co sprawiedliwa wojna, ale nie co pojedynek. A znów, walka doraźna z napastnikiem, w obronie czy to godności, czy własności indywidualnej, tem się zasadniczo różni od pojedynku, że się nie dzieje z kontraktu, a nadto, usankcyonowana jest prawem nietylko państwowem, ale i prawem natury.

Dalej, zdaje nam się, że prawnik z zawodu, jakiegokolwiek byłby wyznania, mówiąc o pojedynku nie może pomijać prawodawstwa kościelnego w tym kierunku. Tembardziej, że kary kościelne na pojedynek, jako oparte na pewnego rodzaju „ostracyzmie towarzyskim“, są w duchu autora.

Za ważne też opuszczenie poczytać należy w naszej rzeczy autorowi, że zdaje się nic nie wiedzieć o antyduelistach na uniwersytetach: Dorpackim i Insbruckim. Stanowią oni jednak korporacye studenckie, i naturalnie tylko sądem honorowym w zajściach tak między sobą, jak i z innymi studentami mogą być sądzeni. Myślę nawet, że wszedłbym w myśl autora, gdybym w tem właśnie zjawisku społecznem (antyduelistów) upatrywał skuteczniejszy jeszcze od sądów honorowych środek do pogodzenia przepisów prawa, nie tak z opinią, którą autor przecenia, jak z praktyką życia. Mianowicie, gdyby prawo tego rodzaju stowarzyszeniom przyznawało pewne zaszczytne przywileje, a sami stowarzyszeni aby w wyborze nowych członków kierowali się względami honoru nie formalnego, jak go autor nazywa, ale prawdziwego, tj. cnoty, członków zaś plamiących się przeciwnymi czynami aby bez pobłażania i uroczyście wyłączali.

Mówiąc o „karalności“ pojedynku, jakże można było pominąć rzecz najgłówniejszą, za którą właśnie prawo tak surowo pojedynek karze, a tą jest, formalna dwustronna umowa o śmierć własną, za

śmierć bliźniego. Gdyż pojedynkujący mówią niejako do siebie: „ja ci pozwalam odebrać mi życie pod warunkiem, że i ty mi dasz prawo do swego, a nadto taką a nie inną bronią, w tym a nie innym czasie i miejscu“. Stąd też jasno się pokazuje niemożliwość moralna ulegalizowania pojedynku, jako takiego, gdyż przypisuje on prywatnemu człowiekowi prawo rozporządzania życiem tak swojem, jak i drugiego, a tym sposobem neguje w praktyce niewzruszoną prawdę: że Bóg sam jest panem życia i śmierci człowieka.

Bez podstawy też odmawia autor pojedynkowi amerykańskiemu warunków pojedynku w ogóle. Mówi bowiem: „pojedynki amerykańskie nazwę tylko mają wspólną, lecz istotę zupełnie różną od przekazanego nam przez wieki średnie rycerskiego obyczaju obrony orężnej pokrzywdzonego honoru“. Jeśli bowiem „owa rycerska obrona pokrzywdzonego honoru“ jest istotnie doraźną walką z napastnikiem, to nie tylko z amerykańskim, ale w ogóle i z karalnym pojedynkiem nic prócz nazwy nie ma wspólnego. Lecz autor widocznie pod ów pięknie brzmiący „rycerski obyczaj“ podciąga pojedynek w ścisłem, prawniczem znaczeniu, o jakim mówi w całym artykule, a w takim razie pojedynek amerykański jeszcze słuszniej do tej samej kategoryi należy zaliczyć, gdyż ten kontrakt, który całą karygodność pojedynku stanowi, w amerykańskim jeszcze brutalniej występuje. Cóżto bowiem jest amerykański pojedynek? Oto: umawiam się z drugim i wzajemnie się obowiązujemy, że kto wyciągnie czarną gałkę, ten w oznaczonym czasie odbierze sobie życie. Życie własne, a właściwie samobójstwo staje się znów przedmiotem prywatnej umowy.

Jeśli się nie mylę, to — mimo wszelkich ogródek i omówień autora — można mu nawet i sprzeczność wykazać. Bo jakże to nazwać, gdy na jednej szpalcie mówi się, że pojedynek jest „bądź co bądź zgubnym w skutkach (giną nieraz w pojedynku bardzo pożyteczne w społeczeństwie jednostki), a niesprawiedliwym w zasadzie (siła, zręczność, specyalna umiejętność, szczęśliwy traf idą w pojedynku przed słusznością sprawy)“, — a zaraz obok: „czyż sprawiedliwemi będą kary na tych, co bronią sami cennego dobra swego, jak umieją i mogą?“ (str. 3). Sprzeczność jeszcze jaskrawsza, gdy sobie przypomnimy, jak autor tylko co przedtem (str. 2, nr. 21) „to cenne dobro“ przedstawił, mianowicie, że jest ono czemś

„różnem od cnoty, moralności, prawości, a nawet sprawiedliwości i słuszności“, a z „przykładów objaśniających“ pokazało się, że to „cenne dobro“ jest w wielu razach właściwie tylko płaszczykiem dla pokrycia niecnoty, niemoralności i t. d.

Chociaż autor wykazał sam, że honor pojedynkowy jest czemś moralnie ujemnem, a pojedynek nazwał: „samowolnem, tj. własną siłą i władzą dokonanym środkiem zadośćuczynienia“ (str. 2, nr. 21), to jednak przy końcu artykułu projektowanym przez siebie sądom honorowym nadaje prawo nakazywania pojedynku, i to jako warunek *sine qua non* ich istnienia; a „tym którzyby mieli skrupuł, mówi dalej, że podany przeze mnie projekt sankcyonuje pojedynek w zasadzie“ (str. 7, nr. 22), odpowiada sofistycznym, nawet nie dowodem, ale „przykładem“ o wojnie i *jus belli*. I na tem kończy swój artykuł.

Ta jasność i sprawiedliwość wielu poglądów sz. autora, obok mylnej ostatecznie konkluzyi, do której doszedł, co i sam nawet zdaje się podejrzewać, dowodzi, jak wielki wpływ wywierają uprzedzenia wieku na zdrowe skąd inąd umysły i serca.

Ks. H. P.

Kłosy, które są dotąd ulubionem czytaniem tylu rodzin polskich i ozdobą tylu porządnych salonów, powinneby raczej utrzymać to stanowisko, niż gonić za inną, mniej godną klientelą, w ślad za pewnemi illustrowanemi pismami francuskiemi wątpliwej wartości i przyzwoitości.

„Odaliska“ umieszczona jako główna rycina w nrze z 6 (18) października, jest obrazem może stosownym do niejednego buduaru, ale stanowczo nie odpowiednim dla pisma popularnego. Postać prowokująca, daleko nieprzyzwoiciej ubrana, niż gdyby wcale ubraną nie była. Nie wątpimy, że ta rycina dostała się tylko przez nieuwagę Redakcyi do łamów jej pisma, ale właśnie dlatego uwagę sz. Redakcyi na to zwracamy. Co za korzyść dla *Kłosów*, jeżeli każda porządna matka, zanim nowy zeszyt położy w rodzinnym salonie, będzie musiała każdą rycinę przeglądać? A jeśli są matki, które wszystko bez różnicy, co pod firmą sztuki przychodzi, w salonie kładą, co za korzyść dla tych rodzin! *Ks. M. M.*

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pobyt cesarza niemieckiego w Rzymie. — Kwestya przybycia do Rzymu cesarza austryackiego. — Obchód rocznicy 20 września. — Pomnik Garibaldego. — Adres liberałów belgijskich. — Krucyata głoszona przez kardynała Lavigerie. — Memoryał portugalskiego ministra spraw zagranicznych.

Cały ostatni miesiąc nie mówiono o czem innem, nie zajmowano się niemal czem innem we Włoszech, jak tylko zapowiedzianym przyjazdem cesarza Wilhelma do Rzymu; czytając rządowe i liberalne dzienniki, słuchając o monstrualnych, a jak dobrze się wyrażano „barbarzyńskich“ przygotowaniach, których ofiarą — nie mówiąc już o milionach lirów — stało się kilka starożytnych a wspaniałych dzieł sztuki: ma się wrażenie, jakby Rzym gotował się na przyjęcie już nie sprzymierzeńca, ale jakiegoś wodza dawnych Germanów, wchodzącego z tryumfem do zdobytego przez siebie miasta, a którego choćby niesmacznem, byle bijącem w oczy pochlebstwem zjednać sobie trzeba. Dzisiejsi władzcy Rzymu tak się ciągle o Rzym boją, tak się lękają, aby im ktoś silniejszy nie powiedział: „Oddaj, coś zabrał“, że oszołomieni tą jedną, wciąż ich prześladującą myślą, stracili wszelkie poczucie taktu i własnej godności. Czem jest dla Włoch przyjazd Wilhelma do Rzymu? pytają dzienniki. „Przyjazd ten, odpowiada tak nawet zazwyczaj przyzwoicie i spokojnie redagowane pismo, jak *Nuova Antologia*, to wielki „wypadek, z którego cały świat weselić się powinien, to początek

„a raczej stwierdzenie nowej ery historycznej, która od wszystkich „innych różni się niezaprzeczoną wyższością elementu świeckiego „nad duchownym, zwycięstwem narodowych aspiracyj... Spoglądając z wyższego punktu widzenia na cesarza niemieckiego, stojącego po prawicy włoskiego monarchy, przekonamy się bez trudności, że zjazd ich w Rzymie jest pieczęcią i zatwierdzeniem „wszystkich tych radykalnych zmian, które wciąż naprzód stąpający duch czasu, posługując się materyałem przez tyle wieków „przygotowanym, uskutecznił w ostatnim peryodzie historycznym". Taki hymn śpiewa poważne pismo, dążące w zasadzie do pojednania Kościoła z państwem; artykuły czerwonych, wręcz Kościołowi nieprzyjaznych dzienników przechodzą w podłych pochlebstwach z jednej, w sekciarskiej nienawiści z drugiej strony, wszystko co w tym względzie można sobie wyobrazić.

Radość z przybycia Wilhelma do Rzymu mąciła tylko nieco Włochom zapowiedziana wizyta jego w Watykanie. „Co za szkoda, woła *Diritto*, że Wilhelm złoży swe hołdy tej doczesnej pysze, temu nieszczęściu naszemu, temu ciągłemu niebezpieczeństwu dla europejskiego pokoju", a choć *l'Italie* np. uspakaja czytelników w długim artykule i zapewnia, że „fakt ten, któremu klerykalne „dzienniki starają się nadać niezgodne z prawdą znaczenie, jest „w gruncie rzeczy najsilniejszem potwierdzeniem istniejącego stanu „rzeczy w Rzymie od r. 1870, a przez całą Europę nieodwołalnie „uznanego", to czuć jednak, że zapewnienia te nie płyną ze zupełnie spokojnego serca, że rządzące koła myślą z pewnym niepokojem o poufnej rozmowie Papieża z cesarzem, i pytają się, czy Wilhelm nie uzna prześladowczej polityki Crispiego za osłabiającą wewnętrzną siłę Włoch, i nie zażąda w imię wspólnych interesów potrójnego przymierza, zmienienia dotychczasowej taktyki. Istotnie, jakby dla zapewnienia sobie możliwej furtki do nakazanego odwrotu, wystąpiły nagle *Popolo Romano i l'Italie* z dawno już, zdawało się, stanowczo pogrzebaną kwestyą o zgodzie Włoch z Papiestwem, o obopólnych korzyściach, nawet o możności zawarcia takiej zgody.

Skąd ta nagła zmiana frontu? Jeśli nie z obawy przed możliwemi rozkazami niemieckiego sojusznika, to chyba ze względu na austryackiego sprzymierzeńca, którego nieobecność na uroczystościach rzymskich, zwłaszcza że Włosi wszelkiemi sposobami,

prośbą i groźbą nieomal usiłowali ściągnąć go na nie, wykazuje jedną z najsłabszych stron potrójnego przymierza. Umiarkowańsi liberali włoscy, sądząc przynajmniej z niespodziewanych oświadczeń dwóch najbardziej ich wpływowych organów, przyszli do przekonania, a raczej może tylko korzystając ze sposobności dali wyraz dawnemu swemu przekonaniu, że Włochy nie wzmocnią się na wewnątrz i nie wybrną inaczej z fałszywej pozycyi, nawet względem skądinąd zaprzyjaźnionych mocarstw, dopóki nie uregulowana ku obupólnemu zadowoleniu kwestya papieska, jak miecz Damoklesowy będzie nad nimi wisiała. Jakby na stwierdzenie tego zapatrywania się, włoskie dzienniki radykalne uderzyły w piorunujących artykułach na Austryę, domagając się wprost zerwania sojuszu z takim trudem nawiązanego z „niewolnicą Watykańską“, z przyjaciółką najzaciętszego wroga jedności włoskiej. „Czyja to sprawka, „pyta *Capitale*, że cesarz austryacki nie odda w Rzymie należnej „nam wizyty; czyja to sprawka, że eskadra austryacka nie popły„nie do Neapolu? To owoc watykańskich intryg; to dowód, że Au„strya większe ma względy dla Papieża, niż dla sprzymierzonych „ze sobą Włoch. Tak jest, Austrya nie jest szczerą przyjaciółką „włoską; nie zachowuje nawet pozorów neutralności między Wło„chami a Watykanem“. „Najprzód, pisze silnie rozjątrzona *Tribuna*, „spodziewano się, że cesarz Franciszek Józef pokaże się w Rzy„mie, aby spłacić wreszcie, choć trudno sądzić, że chętnie, stary „dług grzeczności. Dwór zaprzeczył tej pogłosce, a jakiś liberalny „dziennik posunął się do usprawiedliwienia Austryi, ze względu że „jest krajem katolickim; mówiąc inaczej przyznał, że kwestya rzym„ska jest kwestyą religijną a nie wyłącznie polityczną. Dla złago„dzenia szorstkiego tego zaprzeczenia, oznajmiono jednocześnie, że „arcyksiąże Rudolf, albo przynajmniej inny jakiś arcyksiąże przypły„nie z eskadrą do Neapolu i weźmie udział w rewii morskiej. Pó„źniej zaprzeczono wiadomości o przyjeździe następcy tronu i ar„cyksięcia, a w ostatnich dniach pokazało się, że i eskadra na „wodach naszych się nie pojawi. Nie sądzimy naturalnie, aby Au„strya kierowała się chęcią zrobienia przyjemności Watykanowi; „ale bądź co bądź i Włochom przyjemności nie zrobiła“...

Dla osłodzenia gorzkiej pigułki podanej Włochom, dostał Crispi austryacki order św. Szczepana, który, fatalną dla Włochów

koleją, stanowczo już „pogrzebaną“ i „nieistniejącą“ kwestyę rzymską znowu do życia przywołał. Ponieważ Austrya, zaargumentowały niczem niepoprawne włoskie dzienniki, obdarzyła Crispiego tak wysoką odznaką honorową, zatem widocznie pochwala jego rzymską politykę, i nie myśli nadal nadstawiać ucha papieskim reklamacyom. „Wręcz fałszywe to tłumaczenie, odpowiedział natychmiast wiedeński *Fremdenblatt* i zniecierpliwiony widocznie niedyskrecyą włoskiej prasy, zniszczył za jednym zamachem wszystkie jej illuzye i nadzieje przywiązane do rzymskiej podróży cesarza Wilhelma. „Jedy„nie pewne ultraradykalne gazety, pisze organ ministeryum spraw „zagranicznych, dopatrywać się mogą w podróży cesarza niemie„ckiego do Rzymu, jakiegoś kroku skierowanego przeciw Stolicy „Świętej. A podobnie jak podróż ta nie jest i być nie może de„monstracyjną przeciw Watykanowi, tak też myliłby się, a raczej „dobrowolnie oszukiwałby sam siebie ten, ktoby wysoką odznakę „dopiero co udzieloną Crispiemu przez cesarza Franciszka Józefa „uważać chciał za jakiś brak względów winnych Stolicy Apostol„skiej“. Stanowcze to oświadczenie położyło wreszcie koniec tej zbyt długo ciągnącej się, śmiesznej, gdyby nie była tak wstrętną, kampanii, która miała na celu doprowadzić Austryę do oświadczenia się w jakibądź sposób przeciw Watykanowi za zjednoczonemi Włochami. Wszystkie rachuby, wszystkie pogłoski zawiodły, przyznaje otwarcie *Tribuna*, przytaczając notę umieszczoną we *Fremdenblatt*. „Nic nam nie pozostaje, jak tylko dane sobie wyjaśnienie „przyjąć do wiadomości, a na przyszłość nie poruszać nigdy kwe„styi, której godność i honor Włoch roztrząsać nam nie dozwala“.

Zjazd sprzymierzonych monarchów w mieście wiecznem miał być w myśli Crispiego uroczystem zapieczętowaniem zaboru Rzymu, wyzywającą odpowiedzią na protesty Papieża i całego katolickiego świata. W tej głównie myśli wydano krocie tysięcy; posunięto się do hołdów i pochlebstw nielicujących z godnością niezależnego mocarstwa, i ostatecznie przekonano się, że wszystkie te wysiłki do pożądanego celu nie doprowadzą. Niemcy głosili wszędzie i zewnętrznym ceremoniałem starali się ukazać, że cesarz nie jednego, ale dwóch udzielnych monarchów odwiedza; Austryacy przyciśnięci nieustannemi naleganiami powiedzieli bez ogródek: W dzisiejszym stanie rzeczy nie wolno katolickiemu królowi bram Rzymu przestą-

pić; na Niemcach i na Austryakach mścić się rząd włoski nie śmie i nie może, natomiast składając winę swych niepowodzeń na Watykan, gotuje z podwojoną energią nowe ciosy na Kościół, szkoły katolickie i zakony; z radością widzi i dopomaga ulicznym manifestacyom wymierzonym przeciw papiestwu.

Taką manifestacyą był z większymi niż lat poprzednich wysiłkami przygotowany, z większą pompą urządzony obchód smutnej rocznicy 20 września. Zazwyczaj obchód ten nie świetnie się udawał; i tego też roku przepowiadano z góry, że zbiorą się najprzód przed Panteonem nie zbyt liczne gromadki studentów, kupczyków i uliczników, utrzymywane w porządku i prowadzone przez płatnych agitatorów, a przypatrzywszy się wieńcowi, który Rada miejska złoży na grobie Wiktora Emanuela, pomaszerują przed *Porta Pia*, aby wysłuchawszy tam kilku mów na zwykły temat „Rzymu uwolnionego z pod jarzma księży", rozprószyć się następnie po okolicznych winiarniach. Jak dodać blasku komedyi tej, od lat wielu powtarzanej; co zrobić, aby zwłaszcza pośrednio przed przybyciem cesarza Wilhelma do Rzymu komedya ta zupełnego niepowodzenia nie doznała? Liberalne i radykalne dzienniki, pragnąc przygotować Rzymian do zbliżającej się uroczystości, wysiliły się na najhaniebniejsze zniewagi przeciw papiestwu. „Watykan spadł bezpowrotnie z wyżyny, woła *Riforma*, na którą siejąc nienawiść i wojnę usiłował się dostać". „W Watykanie, przytakuje *Diritto*, marzą tylko o wojnach i rozlewie krwi". „Wchodząc do Rzymu, odzywa się „z rzadką bezczelnością *l'Italie*, przynieśliśmy Kościołowi wolność; „potwierdziliśmy wyrok wydany przez sumienie wszystkich dobrze „myślących, które nieodwołalnie potępiło doczesną władzę pomię- „szaną z władzą duchowną — ten najwstrętniejszy objaw despo- „tyzmu". Z dziennikarskiemi obelgami zmieszały się i przygłuszyły je urzędowo wygłoszone obelgi w mowie radcy miejskiego Giovagnoli'ego i w telegramie króla Humberta, który ostatecznie tę samą myśl wyrażał, co ogłoszony w *Riforma* antychrześcijański manifest M. Garibaldego. Giovagnoli zaprotestował energicznie przeciw myśli pojednania urzędowych Włoch z papiestwem:

„Obłudna gromadka ludzi, dążących do pojednania z Watykanem, chciała złożyć hołd sprzeciwiający się głosowi sumienia wszystkich prawdziwych liberałów włoskich, ale żelazna prawica Franciszka Crispiego zgniotła i rozpró-

szyła tę gromadkę, a sumienie liberalnego Rzymu podniosło okrzyk oburzenia przeciw tym, którzy chwalebną, nieśmiertelną matkę cywilizacyi zmienić zamyślili w ognisko przesądu i reakcyi... Tymczasem inny fakt okazał zupełną niezależność Papieża, pozbawionego władzy świeckiej. Liczni pielgrzymi ze wszystkich stron świata przybywali do Watykanu, a papiestwo mogło z najzupełniejszą wolnością roztaczać pyszne swe skarby i azyatyckie ceremonie, mogło z dumą przyjmować hołdy nieumiejętnego pospólstwa, które nie wyzwoliło się jeszcze z pod berła fanatyzmu i przesądu. ... Smutno zawisły nad Watykanem ostatnie chmury uchodzących wieków średnich. W Bolonii zajaśniały w całym blasku słoneczne promienie nowej cywilizacyi"...

Tak w imieniu rzymskiej Rady miejskiej przemawiał jeden z jej członków, a żaden liberalny dziennik, z wyjątkiem krótkiej notatki w *Popolo Romano*, nie wypowiedział słówka zastrzeżenia, lub nagany. Mowa ta zresztą jest tylko rozwinięciem królewskiego telegramu i manifestu prosyndyka rzymskiego, który dzień 20 września 1870 r. nazwał: „dniem odkupienia dla Rzymu, dniem jedności dla Włoch, końcem stanu rzeczy niezgodnego z rozwojem cywilizacyi dla całego cywilizowanego świata"; jak znowu manifest Garibaldego, wzywający do „uderzenia na wroga w ostatnich jego mu„rach, do zrobienia wyłomu w chwiejącej się skale watykańskiej, „do stanowczego zatknięcia sztandaru narodowego odrodzenia, sztan„daru szkoły zlaicyzowanej", jest naturalnem uzupełnieniem myśli i planów, które urzędowy program uważał za stosowne tymczasem w półcieniu zostawić.

Inną manifestacyą przeciw papiestwu mają być pomniki dla Garibaldego, „oswobodziciela Rzymu", na które w całych Włoszech, pod silną presyą rządową, zbierają się składki. Biada katolikom, którzy, jak uczyniło to kilku radców miejskich z Lucca, energicznie sprzeciwią się marnowaniu grosza publicznego na tego rodzaju cele: mogą i powinnni być przygotowani nie tylko na pisemne, ale i na czynne obelgi ze strony motłochu, podburzonego przez przybyłych z najdalszych stron emisaryuszów. W Lucca uderzył zwłaszcza na „klerykałów" liberalny dziennik *Telegrafo*, którego, szczęściem, za brutalną tę napaść spotkała zasłużona lekcya. Zaczepiony między innymi margrabia Bernardini zmusił redakcyę do ogłoszenia listu, w którym, napiętnowawszy liberalną nietolerancyę, jako najszkaradniejszą i najwstrętniejszą tyranię, tłumaczy, dlaczego nie chciał i nie mógł za pomnikiem wotować.

Jeżeli patrzę na Garibaldego jako na mężnego żołnierza, który wystawiał się na polach bitwy walcząc przeciw cudzoziemcom za niezależność włoską, natenczas zgadzam się bez trudności na wystawienie mu pomnika. Ale skoro słyszę generała Garibaldego zowiącego papiestwo r a k i e m t o c z ą c y m W ł o c h y, c h o r o b ą, z k t ó r e j k r a j n a s z t r z e b a u l e c z y ć, natenczas ja, upatrujący w papiestwie najwyższą chwałę Włoch, nie mogę przyczynić się do apoteozy takiego człowieka i to w mieście, w którem największa część mieszkańców widzi i czci w Papieżu głowę wyznawanej przez siebie religii.

Kiedy katolickie wiece i kongresy, jak np. wiec fryburski, lub w tym samym mniej więcej czasie obradujący wiec amerykańskich katolików w Cincinatti, uchwala rezolucyę domagającą się przywrócenia władzy doczesnej, natenczas liberalne dzienniki włoskie jednym chórem wołają: Kwestya rzymska jest kwestyą wewnętrzną, czysto włoską, do której poddani innych państw nie mają prawa się mieszać! Jednomyślny ten okrzyk, spowodowany zwłaszcza uchwałą katolików niemieckich jeszcze nie przebrzmiał, gdy kilka gazet belgijskich, pragnąc z góry już odpowiedzieć na możliwe wnioski kongresu katolickiego, mającego się zebrać w Louvain, zaproponowało wystosować do Crispiego adres liberalnych stowarzyszeń belgijskich z powinszowaniami i uznaniem dla antypapieskiej polityki włoskiej. Istotnie, wolno-mularski, czy jak urzędowo się tytułuje „wolnomyślny“ kongres wysłał na pierwszej zaraz sesyi następującą depeszę do włoskiego prezesa ministrów:

Corocznie odbywający się kongres belgijskich wolnomyślicieli przesyła włoskiemu rządowi powinszowania z powodu energicznej postawy, zajętej względem nieprawnych żądań świeckiej władzy Papieża.

Stosownie do zasad dopiero co wyłożonych we własnych organach Crispiego, a przedewszystkiem w *Riforma*, powyższy telegram był niczem nieusprawiedliwionem wtrąceniem się cudzoziemców w wewnętrzne sprawy włoskie, i zasługiwał jedynie na pogardliwe milczenie. Tymczasem ucieszony Crispi odpowiedział w szumnych wyrazach, które szczególne światło rzucają na loiczność jego myśli i stałość zasad.

Neapol 23 września.

Bawię obecnie w Neapolu i dlatego depesze wasze teraz dopiero otrzymuję. Powinszowania wolnomyślnego kongresu tem są cenniejsze, że mają miejsce po klerykalnych manifestacyach, żądających przywrócenia władzy doczesnej, owego ostatniego wyrazu feudalnych rządów, ponieważ teokracya oznacza nie tylko niewolę ludu skazanego na spełnianie rozkazów wydawanych

przez cudzoziemców, ale też ujarzmienie ducha ludzkiego. Włochy, biorąc w posiadanie Rzym, będący ich własnością z mocy narodowego prawa, osiągnęły ostateczny cel, do którego rewolucye wielkich europejskich ludów stale zdążały począwszy od XVI wieku.

Crispi.

Tak publicznie, żadnymi względami nie powodując się, brutalne słowa do brutalnych nastrajając czynów, odzywa się pierwszy minister państwa, które przed kilku ledwie miesiącami komplementami starało się zjednać Papieża, a katolikom przybywającym do Rzymu na jubileusz Ojca św. obiecywało przez usta królewskie „pewną i zaszczytną gościnność". Telegram Crispiego podobnie jak manifestacye z 20 września i wszystkie najnowsze prześladowcze kroki, w których nienawiść papiestwa jest i tak jawnie okazuje się synonimem nienawiści Kościoła i wszelkiej objawionej religii, nowym są dowodem — gdyby nowe dowody były potrzebne — prawdziwości słów wyrzeczonych przez Leona XIII na uroczystej audyencyi udzielonej 27 września włoskiemu duchowieństwu: „Przeciwnicy władzy doczesnej byli zawsze wrogami i prześladowcami „Kościoła; walka w ostatnich czasach władzy tej wypowiedziana, „była przedewszystkiem, co rzeczą powszechnie jest znajomą, dziełem ludzi na zagubę Kościoła sprzysięgłych".

Z włoskimi i belgijskimi radykałami, oślepionymi nienawiścią względem Kościoła, idą ręka w rękę wolnomularze francuscy. Mimo głębokiej i z wielu źródeł płynącej niechęci, która w tej chwili panuje między Francyą a pyszniącymi się niemieckim sojuszem Włochami, ateusze paryscy obchodzili uroczyście rocznicę zajęcia Rzymu przez Piemontczyków tj. — jak doskonale *Figaro* orgie te scharakteryzował — „rocznicę poniżenia naszego sztandaru, upadku naszej potęgi". Nawet wzniosła, w całym cywilizowanym świecie z oklaskiem przyjęta krucyata kardynała Lavigerie spotkała się w paru dziennikach francuskich, na pierwszem miejscu w *République Française* z głośną niechęcią, której jedynym chyba powodem być może, że krucyatę tę przedsięwziął katolicki kardynał, i głosi ją w imię zasad i tradycyj katolickiego Kościoła. Włoskie dzienniki pochwyciły w lot nieprzychylne wyrażenie francuskiej gazety i powtórzyły je z nietajoną radością. „Francya, woła *Tribuna*, powinna stanowczo wyrzec się kardynała, który ją tylko kompromituje". „Dzięki

„Bogu, tryumfuje *Riforma*, z takim hałasem zainaugurowana histo„rya prawdopodobnie się nie uda; Papież i kardynał doczekają się „olbrzymiego *fiasco*“. Jeśliby życzenia te spełnić się miały, natenczas jak dotychczas tak i na przyszłość dwa do trzech milionów murzynów pójdzie rok rocznie w hańbiącą niewolę, ginąć głodową śmiercią i pod batami handlarzów, ale reprezentanci „cywilizacyi i ludzkości“, obrońcy „praw człowieka“ nie myślą i nie mogą przecież dozwolić, aby Kościół i papiestwo, kładąc koniec tym okropnościom, nową okryło się chwałą.

Prawdziwie zgroza przejmuje, słuchając tych okrzyków tryumfu, wydanych nie na dworach dzikich afrykańskich królików i w pałacach handlarzów, krwią ludzką wzbogaconych, ale w Rzymie i w Paryżu!

Szczęściem, przedwczesne to, da Bóg tryumfy. Świeżo pod natchnieniem kardynała Lavigerie założone francuskie „Towarzystwo antiniewolnicze“ rozpoczęło już swe prace, pod kierunkiem znanego z energii deputowanego Kellera. Towarzystwa takie mają być w najkrótszym czasie zorganizowane i w innych państwach; składki płyną obficie; ochotnicze hufce, mające w myśli kardynała stać się postrachem handlarzów, rycerskim niejako zakonem poświęcającym się obronie murzynów formują się mimo wielkich, nieprzezwyciężonych dotąd trudności; wreszcie i mocarstwa europejskie z zbyt długiego snu ocucone zaczynają rozumieć doniosłość tej sprawy, i nią na seryo się zajmować. Goblet wydał rozkaz, aby francuskie okręty wojenne baczniejszą odtąd dawały uwagę na statki podejrzane o przewożenie niewolników, energicznie je ścigały i aresztowały. Najbardziej jednak wziął sprawę tę do serca rząd portugalski, przez którego niezmierne obszary, raczej nominalnie niż rzeczywiście w Afryce zajęte, ciągną główne transporta niewolników. Minister spraw zagranicznych, tymczasowy zastępca ministra marynarki i kolonij, M. H. de Barros Gomes, wysłał w tym względzie długi, urzędowy memoryał do prezydenta *Lizbońskiego Towarzystwa geograficznego*, w ktorym zastanawia się, jaką rolę Portugalia odegrać powinna w wielkiem a chrześcijańskiem dziele zupełnego zniesienia niewolnictwa.

Cała Europa poruszyła się w tej właśnie chwili na odgłos wymownych, z przekonania głębokiego płynących słów kościelnego dostojnika, będącego

chwałą Francyi, godnie odpowiadającego na stolicy kartagińskich prymasów, wielkim tradycyom Kościoła w północnej Afryce. Nie masz nikogo, ktoby nie pragnął przyspieszyć nadejścia dnia, który położyłby wreszcie koniec ohydnemu handlowi, grożącemu środkowym prowincyom wielkiego czarnego kontynentu zupełnem wyludnieniem. Portugalia może i powinna brać udział w każdym wysiłku, w każdem praktycznie obmyślanem przedsięwzięciu, mającem cel tak szlachetny i tak z samej swojej istoty chrześcijański... Portugalia, udzielając silnej a skutecznej protekcyi katolickim misyom i występując do walki przeciw niewolnictwu, działa w myśl najpiękniejszych swych tradycyj, najlepsze oddaje usługi obecnej swej polityce.

Sądząc z memoryału portugalskiego ministra, zastanawiającego się zwłaszcza nad praktycznem pytaniem, skąd wydobyć niezbędne fundusze do energicznego poparcia daleko sięgających planów kardynała Lavigerie, Portugalia zrozumiała, jakie obowiązki wkłada na nią historya i stanowisko po dziś dzień w Afryce zajmowane, i z obowiązków tych, głosem kartagińskiego arcybiskupa z zbyt długiego snu zbudzona, pragnie się wreszcie szczerze wywiązać. Czemuż inne mocarstwa, zajmujące w Afryce daleko mniejsze posiadłości, a rozporządzające potężniejszymi materyalnymi środkami tej samej dobrej woli, w tym samym stopniu dotychczas nie okazują? Kto o ludzkości zwątpić nie chce, przyjąć musi, że ci, co występują przeciw krucyacie głoszonej przez francuskiego kardynała, nigdy właściwego stanu rzeczy dobrze nie zrozumieli, lub są pod wpływem jakiegoś umysłowego obłędu, — spodziewać się może, że w najbliższej przyszłości cały świat cywilizowany na jedno w tej mierze się zgodzi, i że żadne chrześcijańskie państwo nie da się Portugalii wyprzedzić w wielkiem tem, z chrześcijańskiej miłości zrodzonem dziele, które, choćby nawet w całej pełni na razie się nie udało, zawsze jednak zajmie jedną z najpiękniejszych kartek w historyi naszego wieku.

Ks. Jan Badeni.

De Quatrefages o transformizmie.

Sędziwy profesor Uniwersytetu paryskiego nie pomija żadnej sposobności do zwalczania transformizmu: przy otwarciu wykładów tegorocznych w *Muzeum* wygłosił de Quatrefages mowę, z którą — według zapisek ogłoszonych w *Revue scientifique* z d. 19 maja b. r., zapoznać chcemy naszych czytelników.

Codziennie niemal pojawia się w pismach różnego rodzaju twierdzenia, jakoby transformizm panował dziś powszechnie w umiejętności, że ma za sobą nietylko inteligencyą, ale nawet wszystkich rzeczywiście uczonych mężów.

Nie ulega wątpliwości, iż to jest przesada. Niejednokrotnie tak u nas jak i za granicą poważne głosy zbijały go, a nawet w ostatnich czasach jeden z mych kolegów, któremu nikt nie może zaprzeczyć dokładnej znajomości rzeczy pod tym względem, Blanchard rozszerzając artykuły, które ogłaszał w *Revue des Deux Mondes*, wydał osobne dzieło zbijające teorye darwinistyczne.

Należy jednak przyznać, że całość tych pojęć, jakie przedstawia transformizm, zasłużyła sobie na względy ogółu. Pomiędzy zwolennikami transformizmu znajdują się ludzie bardzo wykształceni, znajdują się uczeni w całem znaczeniu tego wyrazu. Lecz ta doktryna, a raczej te doktryny, gdyż nieraz ogromnie różnią się między sobą, są — według mego zdania — naukowo błędnemi.

Czy dlatego że są popularnemi, mam przeto milczeć? Bynajmniej. Nie odpowiedziałbym godnie memu obowiązkowi, który mi nakazuje mówić całą prawdę. Wprawdzie nie jestem pewny, żeby moje wywody miały przekonać tych, którzy bardziej cenią ułudne mrzonki aniżeli prostotę prawdy, otuchy jednak nie tracę. Trzydzieści lat temu, skoro po raz pierwszy objąłem tę katedrę, teorye polygenistyczne i autochtoniczne znajdowały powszechne uznanie. Zbijałem je w imieniu umiejętności, opierając się jedynie na doświadczeniu i badaniu, i dzisiaj o tych teoryach już prawie nie słychać. Przyznaję, że transformizm przedstawia więcej trwałości. Transformizm twierdzi, iż zgłębił *tajemnicę nad tajemnicami*, jak ją Darwin zowie; mniema, iż rozwiązał zagadkę początku gatunków zwierzęcych i roślinnych, których tak blisko dotyka pojawienie się życia na ziemi. Otóż, według mego rozumienia, te obydwa zagadnienia leżą po za naszą umiejętnością.

Postaram się dowieść, że różne sposoby rozwiązania tych zagadnień, jakie dotąd podawano, nie mogą być przyjęte; są błędne, albowiem znajdują się w sprzeczności z faktami dowodzonymi i przyjętymi przez umiejętności, a również z niektóremi prawami, którym podlegają obydwa królestwa organiczne.

Znakomity fizyologista berliński, Du Bois-Reymond wyrzekł był słynne *ignorabimus*, za co został wyklęty od Haeckla; nie z obawy wyklęcia, ale z rzeczywistego przekonania powiem tylko *ignoramus*. Za jutro nie odpowiadam.

Jeżeli miasto przypuszczeń Darwina nic innego nie stawiasz, dlaczego koniecznie masz zbijać te hypotezy, które może są awanturnicze, może ułudne,

ale które przynajmniej zadawalniają, chociaż zwodniczo, słuszną ciekawość? Tak mi często mawiano. Otóż moja odpowiedź na to jest: błąd jest błędem; błąd rozpowszechniony stawia zapory do nabycia prawdy... Skoro tylko pojawił się transformizm, wolnodumcy uznali go za swój; oni są jego jedynymi panami. Usiłowali ścisle połączyć swe zapatrywania filozoficzne z teoryami transformizmu; stąd powstała niesłychana *nietolerancya* przekonań, dość przeczytać niektóre pisma Haeckla przeciw Agassiz'owi i Virchow'owi. Pozwolę tu sobie przytoczyć jeden z ustępów najumiarkowańszych, jaki Haeckel w Antropogenii zamieścił.

„W tej walce umysłowej, która ogarnęła wszystkich myślących w społeczeństwie, a które przygotowuje w przyszłości uspołecznienie rzeczywiście ludzkie, spostrzegać się daje z jednej strony pod świetnym sztandarem umiejętności, oswobodzony umysł i prawda, rozum i cywilizacya, rozwój i postęp. W obozie przeciwnym pod sztandarem hierarchii stanęły: niewolnictwo umysłowe i błąd, bezloiczność i grube obyczaje, przesąd i wsteczność".

Te i tym podobne myśli, pod tym lub innym kształtem okazują się każdodziennie w wielu pismach. Naturalnie, iż takie wyniosłe oświadczenie, wygłoszone przez ludzi, którym nikt nie może odmówić zasługi, muszą wpływać na niektóre umysły, przedewszystkiem zaś na *młodzież*. Któż chciałby być zaliczonym w szeregi błędu i wsteczności? Czyż jest taki, któryby nie miłował prawdy, rozumu, postępu? Rzeczą jest trudną dochodzić, o ile są prawdziwe owe zdania z taką śmiałością wypowiedziane, i dlatego zwyczajnie przyjmują się one jako pewniki, i staje się pod sztandarem, na którym są wypisane te pełne pociągu wyrazy.

Słowa de Quatrefages'a sprawdzają się i w naszem społeczeństwie. Jakże często spotkać się można u nas ze zwolennikami darwinizmu, którzy znają go z nazwiska tylko; co więcej, jakże często sami jego prowodyrzy błędnie o nim mówią i piszą! Tym panom się zdaje, iż ubliżyliby swym „przekonaniom postępowym", gdyby nie wyznawali transformizmu; otóż de Quatrefages dowodzi im, iż są w błędzie; z jednej strony uczeni tak zwanych „przekonań niezależnych" odrzucali transformizm, z drugiej zaś zwolennikami tej teoryi byli katolicy wierzący. A więc niezależnie od względów religijnych, ściśle i wyłącznie naukowe powody skłaniają Quatrefages'a i innych przeciwników transformizmu, do odrzucenia tej hipotezy. Quatrefages przytacza cały szereg przykładów.

I tak, Karol Robin był *libre penseur*, pomimo to jednak w imieniu umiejętności był przeciwnikiem darwinizmu; on to głównie wpłynął na Akademią francuską, iż nie wybrała Darwina swym członkiem. „Darwinizm, pisał on (Dict. encyclop. des sciences medicales) jest mrzonką, zbiorem poetycznym możebności bez dowodów i ułudnych tłumaczeń bez żadnej podstawy".

Lamarck znowu, który rzeczywiście był wynalazcą transformizmu wierzył w Stwórcę. „Organizacya i życie są płodami przyrody a zarazem skutkiem

środków, jakie ona otrzymała od Najwyższego Twórcy wszechrzeczy i wynikiem praw, które ją ustanowiły. Sądzono, że przyroda jest Bogiem. Takie jest zdanie najogólniejsze... Rzecz dziwna, pomieszano pojęcie zegarmistrza z zegarkiem, dzieło z jego twórcą. Niema wątpliwości, że pojęcie to jest nielogiczne, i nigdy nie było dobrze zgłębione. Moc, która uczyniła przyrodę, nie ma granic, nie może być ograniczoną w swej woli i niezależną jest od wszelkiego prawa. Ona sama zmienić może przyrodę i jej prawa; ona sama może je unicestwić... Przyroda jest tylko narzędziem, jest tylko środkiem szczególnym, jaki podobało się wybrać Najwyższej Potędze do istnienia ciał, do ich różniczkowania, do dania im właściwych przymiotów, a nawet i władz... Przyroda jest niejako pośrednikiem między Bogiem a częściami ciała fizycznego, i spełnia zamiary woli Boskiej"... „Ponieważ przyroda nie jest żadną inteligencyą, ponieważ nawet nie jest istotą, lecz tylko porządkiem rzeczy podległym prawom, stąd nie może być i nie jest Bogiem.

De Quatrefages przywodzi wiele innych ustępów z Lamarck'a i kończy uwagą:

Niema co mówić, żaden z najgorliwszych chrześcijan nie mógłby lepiej wyrażać się o stworzeniu i potędze Stwórcy.

Uczony Antropolog wymienia dalej Stefana Geoffroy Saint-Hilaire, który godził się na transformizm.

A jednakże wszyscy wiedzą, iż był religijnym, o czem ja niejednokrotnie miałem sposobność się przekonać. Religijność jego była pełna zapału, jak zresztą wszystko, czemu się oddawał. Wystarczy mi tu przypomnieć, iż ostatnie jego dzieło kończyło się temi słowami: „Jeżeli byłem w czem użytecznym, chwała Bogu". Tak Geoffroy jak i Kepler składali hołd ze swych prac i odkryć Temu, którego nazywali Panem Światów.

Dalej wymienia de Quatrefages Omalius'a d'Halloy, znakomitego geologa i antropologa, który w swych zapatrywaniach naukowych skłaniał się do transformizmu, pomimo, iż był szczerym i, jak Francuzi nazywają, praktykującym katolikiem. Wreście wspomina O. Belinck'a T. J., który, jakkolwiek teolog, a przytem uczony przyrodnik, nie uznawał transformizmu za niezgodny z dogmatami wiary.

Co się tyczy samego Darwina, wierzącym on nie był, jak to wyznaje w jednym ze swych listów, ogłoszonych niedawno w Anglii, lecz ateistą, bezbożnym nie był również. W liście z r. 1879 pisze (str. 353): „Nie byłem nigdy ateistą, we właściwem słowa tego znaczeniu, to jest nie przeczyłem nigdy Boga. Sądzę, że w ogóle szczególniej zaś obecnie na starość, stan umysłu mego da się streścić w tem słowie: *agnostyk*.

Agnostyzm jest nazwą szkoły filozoficznej, która się zrodziła w Anglii w ostatnich latach. Dogmatem tej szkoły, jak i samo nazwisko pokazuje, jest *niewiadomość*: umysł nasz nie jest zdolny do poznania żadnej rzeczy, nie dojdzie nigdy do poznania ani istoty ich, ani przyczyn; świat jest dla nas zagadką nierozwiązalną, tak w swem bytowaniu obecnym, jak niemniej w swem początku, celu i losie. Agnostycy wyróżniają się od sceptyków tem, iż przyznają rzeczywistość objawów zewnętrznych i wewnętrznych, badając ich wzajemne stosunki, i na tej podstawie budują swe doktryny: ewolucyonizm bezwzględny, jak Spencer, lub jak Darwin ewolucyonizm względny. Agnostycy nie są materyalistami, gdyż przyznają objawy duchowe; nie są spirytualistami, gdyż nie przyznają podmiotu duchowego; nie wiedzą co jest siła, nie wiedzą co jest czucie, lecz utrzymują i wierzą, że siła przeradza się w czucie. Sprzeczność ta w samem założeniu musi doprowadzać do błędnych wyników; a nie jest ona jedyną. W darwinizmie wykazaliśmy mnogie sprzeczności, sam Darwin niejednokrotnie do nich się przyznawał, i stąd ta chwiejność w jego wywodach i wnioskach.

Listy z nad Baltyku.

(Dokończenie).

XVII.

Założenie wszechnicy Dorpackiej. — Jej niemiecko-europejska cecha. — Początkowe trudności. — Kuratorowie. — Wpływ i znaczenie wszechnicy Dorpackiej.

Szwedzka część Inflant tudzież Estonia na mocy traktatu Nysztadzkiego zostały ostatecznie przyłączone do Rosyi; własne atoli urządzenie kraju, własny język, własna administracya i własne prawodawstwo najuroczyściej tymże traktatem zagwarantowane zostały.

Zapewnienie wszakże tych nieocenionych korzyści — które, mówiąc nawiasem, za rządów szwedzkich w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu po największej części bardzo już były podważone — tylko ciężkiemi ofiarami zostało okupione. Kraj bowiem cały przez wojnę

moskiewską zamieniony został w pustynię — mieszkańcy pogrążeni w prawdziwe ubóstwo. Pustki i ruiny zalegały tam, gdzie dawniej wrzało bujne życie; chwasty i zielska zarastały pola, na których przedtem złociły się kłosy. Dobra ostatecznie zniszczone i porujnowane, chłopi pouciekali do lasów, a pozostałych zdziczałych niepodobna było nakłonić do pracy; nie było zatem komu uprawiać pól, a obawa przed zarazą dopełniała miary udręczenia! To też pomimo wyraźnego zapewnienia przez cara, że uniwersytet przywrócony zostanie w Dorpacie, nie było podobieństwa i myśleć nawet o tem przy ówczesnym prawdziwie opłakanym stanie ziemi nadbałtyckiej.

Przedewszystkiem powinien był kraj odpocząć fizycznie. Bez uniwersytetu pozostał on też przez cały wiek następny. Całego stulecia tym razem krajowi na to było potrzeba, ażeby mógł zostać tem, czem był przed zniszczeniem.

Wtenczas dopiero dał się silnie poczuć niedostatek szkoły wyższej krajowej, a to nie tylko dla ziem nadbałtyckich, ale i w dobrze pojętym interesie olbrzymiego cesarstwa rosyjskiego, jeśli nie zamierzano zaprzestać kroczyć w kierunku europejsko-cywilizacyjnym, przez Piotra I wskazanym. Miała już bowiem Rosya zbyt liczne stosunki z państwami europejskiemi, ażeby w zakresie prawodawstwa i dyplomacyi mogła się obchodzić bez mężów naukowo wykształconych. Jakoż, potrzebowała nieodbicie prawników, dyplomatów, techników z wyższem wykształceniem, a przedewszystkiem dobrych medyków, chirurgów i operatorów, gdyż było to właśnie w przededniu wojny, która przeciw potężnemu podówczas Korsykaninowi w każdej chwili mogła wybuchnąć.

Wszystko co tylko miały w owym czasie kraje nadbałtyckie z mężów naukowo wykształconych, jako to: nauczyciele, lekarze, prawnicy, duchowni, wszystko to w ciągu ostatniego stulecia pobierało wychowanie w Niemczech. Atoli po wybuchu rewolucyi francuskiej mieszkańcom prowincyj nadbałtyckich i to zagraniczne kształcenie się całkiem zostało uniemożebnione; ukaz carski z roku 1798 oświadczał bowiem bez ogródek: „że wszyscy poddani cesar„stwa rosyjskiego odbywający studya za granicą, są obowiązani po„wrócić do kraju, nie później jak w ciągu dwóch miesięcy, w prze-

„ciwnym zaś razie nastąpi konfiskata całego ich mienia na rzecz „skarbu państwowego".

Jeśli więc kraje nadbaltyckie — których zadaniem było pośredniczyć stale w przelewaniu na Rosyę cywilizacyi zachodnio-europejskiej — nie miały ostatecznie ugrząść w barbarzyństwie azyatyckiem, musiały one otrzymać znowu własny uniwersytet krajowy.

Pojmował to dobrze car Paweł I i brał się rączo do erekcyi dorpackiej wszechnicy. Pojął to i syn jego Aleksander I, gdyż po nagłej śmierci ojca, widział się zmuszonym przystąpić jak najśpieszniej do wykonania ojcowskiego dzieła. Jakoż, akt założenia dorpackiego uniwersytetu jest jedną z najpierwszych czynności długoletniego panowania tego cesarza.

Po niejakiem wahaniu, czy mający się zakładać uniwersytet ma stanąć w Mitawie czy też w Dorpacie — postanowiono założyć go w tem ostatniem mieście.

Zarówno ciekawem jak pouczającem jest porównanie pomiędzy własnoręcznie przez Aleksandra I podpisanym aktem erekcyjnym teraźniejszej wszechnicy dorpackiej a mową, którą w imieniu króla szwedzkiego wygłaszał uroczyście generał-gubernator Skytte przy otwarciu wspomnianej w poprzednim liście naszym tak zwanej *universitatis Gustavianae.*

„Nakłonienie marcyalnych Inflant do cnoty i obyczajności" wytyka Szwecya wyraźnie jako cel główny uniwersytetu dorpackiego — „rozszerzanie umiejętności w państwie Naszem" wskazuje natomiast car jako najpierwsze zadanie tej szkoły wyższej. Król szwedzki ma na celu wzrost sił bogatej z natury, lecz przez klęski wojenne osłabionej i zdziczałej prowincyi, — car zaś rosyjski zapatruje się na tę swoją nową kreacyę, przedewszystkiem jako na niezbędne narzędzie w usługach całego państwa. Lecz właśnie w tem zapatrywaniu cara — stojącem w zupełnem przeciwieństwie z mniej samolubnem na tenże cel zapatrywaniem króla szwedzkiego, — tkwi niewątpliwie większa gwarancya wzrostu, rozwoju i powodzenia nowo zakładającej się wszechnicy.

Bardziej niż Szwecya potrzebowała Rosya dobrego w krajach nadbaltyckich uniwersytetu; to też zmuszoną jest popierać wzrost jego i rozwój wszelkiemi siłami, nie szczędząc na tę wszechnicę żadnych nakładów i kosztów, nie krępując w niczem jej działalności.

W dniu 21 kwietnia 1802 r. miała miejsce pierwsza *immatrykulacya*, czyli uroczyste zapisanie uczniów do uniwersytetu przybywających.

Przechodząc do bliższego przeglądu głównych faktów i szczegółów, dostrzeże odrazu badacz bezstronny rdzenną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy wszechnicą szwedzką, założoną w roku 1632, a teraźniejszym uniwersytetem, erygowanym tamże w roku 1802, i przekona się niebawem, że uniwersytet dzisiejszy — jak to w zupełnej nieświadomości o właściwym stanie rzeczy *ex cathedra* wygłosili zagranicą niektórzy historycy ultra-protestanccy, a za nimi niemniej od nich uprzedzeni publicyści niemieccy — nie jest bynajmniej mizerną resztką szlachetnej kreacyi Gustawa Adolfa *ein kümmerlicher Ueberrest von Gustav Adolph's edler Schöpfung* (sic !), ale raczej czemś całkiem nowem. Odsyłamy łaskawego czytelnika do tego, cośmy o owej szwedzkiej wczechnicy w poprzednim liście w krótkości wypowiedzieli

Wielkiemi i licznemi były owe nieskończone trudności, pośród jakich w roku 1802 powstała ta nowa instytucya naukowa, i z jakiemi w pierwszych latach swego istnienia ustawicznie walczyć musiała.

Lubo cesarz Aleksander I przez osobiste zwiedzenie tej nowej instytucyi w pierwszym miesiącu jej istnienia dał niewątpliwy dowód, jak wielką do niej przywiązywał wagę , niemniej atoli potrzeba było ogromnej energii pierwszych jej kierowników, aby utrzymać słabe pierwotne siły tej najwyższej w kraju instytucyi naukowej. Bierne a częstokroć uchylające się zachowanie powoływanych na jej katedry profesorów zagranicznych, niechęć jawna do tej nowej wszechnicy, wcielonych niedługo przedtem do cesarstwa rosyjskiego mieszkańców dawnego księstwa kurlandzkiego, stan polityczny ówczesnej Europy, wybuchająca wojna francusko-rosyjska, — były to wszystko niebezpieczeństwa, które w jedną połączone całość, zdawały się krótką tylko egzystencyę młodemu uniwersytetowi wróżyć.

Możnaby spisać długą listę uczonych zagranicznych, którzy zostawszy powołani na katedry dorpackie, jużto odmowne nadsyłali odpowiedzi, jużto, przyjąwszy nader wygodne warunki — nie stawili się zgoła w Dorpacie. Wielu z takich uczonych, co obiecali przyjąć katedrę w Mitawie, skoro tylko się dowiedzieli, że nowy

uniwersytet ostatecznie nie w Kurlandyi, lecz w Dorpacie ma się otworzyć — usuwali się całkowicie. Ze wszystkich do tej wyższej instytucyi naukowej powołanych Kurlandczyków zaledwie jeden przyjął w niej katedrę, a w pierwszym roku uniwersyteckim 1802—/3 z obrębu całej Kurlandyi i Semigalii jeden tylko do uniwersytetu zapisuje się uczeń!

Gdy na utrzymanie jedynej krajowej wszechnicy ofiarowała gubernia inflancka 44,781 rubli, a w wiecznym niedostatku pogrążona gubernia estońska zdobyła się w tymże celu na pokaźną sumę 22.383 rubli, opływająca w dostatki gubernia kurlandzka przynosi z wyraźną niechęcią zaledwie 2.447 rubli i kopiejek 30!

Bogate uposażenie docentów dorpackich upadło znacznie po wojnie francuskiej, skutkiem zaprowadzenia w owym czasie pieniędzy papierowych. Za późno więc wyrażali oni swój żal, iż w swoim czasie sami objawili stanowczo, że honorarya w miejsce wyznaczonych im pierwotnie dochodów z dóbr ziemskich uniwersyteckich, tylko gotówką pragną mieć wypłacane.

W tych ciężkich nad wszelki wyraz okolicznościach było to przeważnie zasługą rektora Parrota, że grożąca co chwila uniwersytetowi bieda i niedostatek zawsze szczęśliwie uchylane zostawały, gdyż dzielny ten mąż za pomocą częstych podróży do Petersburga, licznych audyencyi u monarchy i bezustannego znoszenia się listownego z młodym cesarzem, wszelkie uniwersytetowi grożące niebezpieczeństwa zdołał zawsze szczęśliwie zażegnać.

Jaki udział w tych skutecznych zabiegach należy przypisać ówczesnemu kuratorowi okręgu dorpackiego, panu Klingerowi — znanemu poecie niemieckiemu i towarzyszowi młodości Goethego — o tem przemilczają całkowicie źródła nasze, zaznaczając tylko, iż Klinger był kuratorem dorpackim od 1803 do 1817 roku.

Ostateczne wykończenie gmachów uniwersyteckich i ustalenie wewnętrznej organizacyi nowej wszechnicy przypada atoli na czas dzielnego kuratorstwa księcia Karola Liwena (od 1817—1828 r.), za którego nietylko materyalna egzystencya uniwersytetu zapewniona, ale i zaszczepiony w nim został ów duch chwalebny, jaki i do dnia dzisiejszego tej *Alma mater* ożywiać nie przestaje.

W kwietniu r. 1828 powołano Liwena do nadnewskiego grodu i powierzono mu tekę ministra oświaty. Jak bardzo leżał mu i po-

tem Dorpat na sercu, wykazuje dosadnie nowoogłoszona korespondencya czcigodnego księcia z niemniej dzielnym profesorem G. Ewersem, który za czasów kuratorstwa tudzież ministerstwa Liwena urząd rektora uniwersytetu stale zajmował.

W listach tych nazywa książe Liwen rektorat dorpacki wykonywany jak należy *(im rechten Geiste verwaltet*, są jego słowa) „jedną z największych usług, jaką w ogóle monarsze i państwu „oddać można".

Jako kurator okręgu dorpackiego pisze w roku 1827 Liwen do Ewersa: „Chwała i świetność uniwersytetu łechcą próżność „moją", a zaś w roku 1830, już jako minister oświaty, do tegoż zacnego rektora temi listownie przemawia słowy: „Okrąg naukowy „dorpacki a zwłaszcza uniwersytet stanowi słabą stronę moją, w któ„rej — jak się trafnie wyrażał Jonas — mam rodzaj czułej drażliwości *(wo ich eine Art wunder Reizbarkeit habe)*".

Jak dalece minister Liwen w tym kierunku był czynnym i w jakie szczegóły zwykł on bezustannie wchodzić, dowodzi liczna jego a częstokroć beskuteczna korespondencya ze znakomitszymi zagranicznymi uczonymi, których dla Dorpatu pragnął pozyskać, zwłaszcza zaś ta okoliczność, że pomimo nawału owych różnorodnych zajęć, jakie wraz z teką ministra na jego barki spadły, odczytywał swoim dorpackim zwyczajem najudatniejsze prace konkursowe studentów tamtejszych, które to sążniste rozprawy już po uwieńczeniu ich nagrodą, aż do Petersburga dosyłać sobie kazał, a następnie w listach pisywanych do rektora osobiste swe o nich zdanie wypowiadał.

Powodzenia zewnętrzne, jakie ten znakomity kurator umiał dla uniwersytetu uzyskać, maluje najlepiej podwyższenie etatu wszechnicy dorpackiej, która za jego czasów ze skromnej sumy 120.000 rubli wzrasta aż na 337.000 rubli rocznie, a więc niemal potrójnie. Oprócz tego uzyskał on wraz z Ewersem w ciągu lat zaledwie dwunastu (od r. 1818—1830) subwencyi rządowych nadzwyczajnych: na zakłady kliniczne rubli 15.000, na rozszerzenie ogrodu botanicznego 31.000, na pomnożenie biblioteki uniwersyteckiej 55.000 rubli, na amfiteatr anatomiczny 57.000 rubli, na maneż 65.000, na uzupełnienie obserwatoryum astronomicznego 71.000 rubli, na podróże naukowe 52.000 r. i t. d.; w ogóle w tym krótkim

przeciągu czasu uzyskał dla uniwersytetu ogółem 1,002.166 rubli, co przy ówczesnej wartości pieniężnej znaczyło tyle, co obecnie kilka milionów.

Działalność Liwena dla uniwersytetu skończyła się w roku 1833, w którym dzielny ten minister oświaty otrzymał dymisyę, ażeby ustąpić miejsca rosyaninowi — panu Uwarowowi.

Wiadomem jest powszechnie, że za cara Mikołaja I każdy ruch na Zachodzie ciężkie sprowadzał skutki dla Rosyi, a zwłaszcza dla zachodnich jej dzielnic, do których obok prowincyi rusko-litewskich, litewskich i polskich należą także i kraje nadbałtyckie.

Rewolucya lipcowa w Paryżu, powstanie belgijskie z roku 1830 a polskie z roku 1831, następnie rok 1848, pociągały za sobą najcięższe skutki i dla prowincyi nadbałtyckich, które niebawem w sposób całkiem odmienny traktować poczęto, dążności ich podejrzywać, dawne swobody ukracać.

Za ministra Uwarowa, pomiędzy rokiem 1833 i 1849, zaczęto stopniowo kwestyonować wszelkie nabytki pochodzące z czasów kuratorstwa księcia Livena. Następcą Livena w Dorpacie został w roku 1828 Magnus br. Pahlen, który, zająwszy w roku 1830 posadę generał-gubernatora prowincyj nadbałtyckich, mimo to pozostawał równocześnie kuratorem okręgu dorpackiego aż do r. 1835.

Zarówno wolność nauczania jak uczenia się ograniczono w tym okresie bardzo dotkliwie. Z liczby wykładanych przedmiotów wyłączono całkowicie niektóre nauki, że tylko przytoczę umiejętności europejskiego prawa politycznego *(das allgemeine europäische Staatsrecht)*, a znaczne przymnożenie egzaminów groziło uczniom zamienieniem żądzy dociekania i pilności badania w machinalne wyuczanie się wykładów profesorskich na pamięć.

Lecz właśnie ów czas zewnętrznych trudności, w którym uniwersytet dorpacki wierność swym dawnym tradycyom tylko z wielką trudnością uratować zdołał, ów czas, w jakim dorpacki student byt swój wywalczać musiał codziennemi kolizyami z iście niemożebną ustawą, z którą zawarcie pokoju wydawało mu się nie tylko wstrętnem, ale niepodobnem, — właśnie ów czas tak ciężki i pełen starć ustawicznych miał posłużyć ku dobru zarówno najwyższej instytucyi naukowej w krajach nadbałtyckich, jak niemniej i jej uczniom; wlewał on w nich bowiem już przez samą siłę reakcyi prąd nowy

ku celom wyższym, wznioślejszym, ku którym ostatecznie wszystkie ich dążności stanowczo skierował.

Jakoż, gwałtowność okresu, w którym istotnie chodziło o to każdemu, by czynem dowiódł męstwa, — nauczała nie tylko uczących ale i uczących się, w jaki sposób odróżniać należy ziarno od plewy, rdzeń rzeczy od jej pozoru i przypadkowości; w jaki sposób, przy ustawicznem panowaniu nad sobą samym, własne siły prostować i wzmagać należy.

Na lata 1836—1854 przypada właśnie powołanie na rozmaite katedry dorpackie wielu znakomitych profesorów rodem z prowincyj nadbaltyckich, a ci, przyniosłszy obok wiedzy głębokiej niemniej głębokie rozumienie prawdziwych potrzeb wszechnicy krajowej, — na usługę ukochanej *Almae Matris* całą duszą się oddali. Ze wstąpieniem do uniwersytetu sił profesorskich nowych, znakomitych a oraz zachęcających, wzrastały także wymagania naukowe, a ostatecznie nad dawnym *lekkomyślno-burszowatym* trybem młodzieży dorpackiej przewagę wzięły.

Wielkie odkrycia z zakresu wiedzy przyrodniczej przekształciły naukę medycyny na umiejętność całkiem nową, a uczniów kształcących się na medyków zniewoliły do tak specyalnych i tak samodzielnych studyów fachowych, o jakich dawniej nikomuby nawet i przez głowę nie przeszło.

Na fakultecie jurydycznym wyniesiono nadbaltyckie prawo prowincyonalne na stopień umiejętności samodzielnej, nad której rozszerzeniem oraz wyświetleniem pracowali profesorowie Bunge i Madai z niezwykłą gorliwością, ta zaś stopniowo nie tylko udzielać się poczęła uczniom tych obu dzielnych szermierzy umiejętności prawnych, lecz zarazem wpływała zachęcająco na pilnych słuchaczów, i stawała się bodźcem do coraz to głębszych w tym zakresie studyów. To też, już w okresie pierwszego dziesięciolecia (od 1832—1842 r.) nie tylko uporządkowanym został nagromadzony w ciągu lat wielu bogaty do prawa nadbaltyckiego materyał, ale postarano się i o staranne, wielostronne i systematyczne jego opracowanie.

Frydryk Bunge, autor wstępu do znakomitego dzieła pod tytułem: *Liv-ehst und kurländisches Provincialrecht* oraz obszernych prac naukowych: *Forschungen aus dem Gebiete des Römischen Rechts in den Ostseeprovinzen Russlands*, zarówno jak: *Forschungen aus dem*

Gebiete des Privatrechtes der baltischen Lande, i wielu innych dzieł z tego zakresu, miał tę iście niepożytą zasługę, że uporządkował naukowo całkowity system prawny krajów nadbaltyckich; jako znakomity zaś profesor stał się założycielem nowej szkoły prawniczej, która odtąd pracowała już stale w kierunku przez założyciela wytkniętym, rozszerzając coraz bardziej zakres tej gałęzi umiejętności prawnej.

Równocześnie założył medyk Bidder fundamenta do znanej zaszczytnie w całej Europie szkoły fizyologicznej dorpackiej. Mąż ten uczony na rozwój umiejętności fizyologicznych niemniej skutecznie wpływał znakomitymi wykładami, jakoteż w kołach naukowych powszechnie znanymi pracami: *Das Verhältniss der Ganglienkörper zu den Nervenfasern*, *Der Bau des Rückenmarks*, *Die Verdaungssäfte* i t. d.

Katedrę anatomii porównawczej zajął od roku 1842 znany na całym świecie E. B. Reichert (następnie profesor w Berlinie), pilny badacz w zakresie embriologii, już za czasów swej kilkunastoletniej działalności w Dorpacie nietylko przez Niemców i Anglików, ale i przez uczonych Francuzów za pierwszorzędną powagę naukową jednozgodnie uznany. Natomiast przedstawicielem chirurgii operacyjnej w tymże uniwersytecie był aż do roku 1840 rosyanin nadzwyczaj inteligentny, Mikołaj Pirogow, który od r. 1828 do 1833 zaliczał się do najpilniejszych i najwierniejszych synów *Almae Matris Dorpatensis*, a do skonu wiernym jej pozostał, czego byłym uczniom tej wszechnicy stałe a niezaprzeczone dawał dowody. Odwołany w roku 1840 do Petersburga, zajął zaszczytne i wybitne stanowisko w nadnewskiej Akademii umiejętności.

Obserwatoryum astronomiczne dorpackie nabyło już dawniej sławy europejskiej pod znakomitem kierownictwem wychowanego również w Dorpacie Wilhelma Struwego, uczonego odkrywcy gwiazd podwójnych, czyli t. z. *Doppelsterne*. Od roku 1839 objął dorpacką katedrę astronomii niemniej znany w Europie Mädler, którego umiejętne obserwacye astronomiczne, tudzież słynna hipotęza o słońcu centralnym, zjednały w świecie naukowym nietylko rozgłos, ale i powszechne uznanie. W tymże czasie zasłynęły w Europie zachodniej imiona dorpackich profesorów: Kämptza, jako znakomitego fizyka i meteorologa, a Karola Schmidta jako dzielnego che-

mika, z których to uczonych pracami, wszyscy inni z dziedziny tychże nauk europejscy uczeni liczyć się odtąd musieli.

Tymczasem w r. 1849 z woli monarszej ograniczono liczbę uczniów uniwersytetu dorpackiego do trzechset! Atoli z powodu braku medyków i teologów protestanckich, który się w obrębie całego cesarstwa rosyjskiego nader dotkliwie uczuwać dawał, złagodzono wkrótce ów ukaz Mikołaja I w ten mianowicie sposób, że z wyłączeniem studyujących w fakultetach medycznym i teologicznym, liczba uczniów wszechnicy dorpackiej nie miała w żadnym razie przekraczać skromnej cyfry 300. Co zaś do prawników, filologów, matematyków, historyków i filozofów, to uważano w stolicy nadnewskiej, że lubo tu i owdzie może się niekiedy dać uczuć ich brak, lecz ostatecznie kraj cały wybornie i bez nich się obejdzie.

Lecz nie tu koniec ciekawym w swoim rodzaju ówczesnym objawom nadnewskim.

Pewnej nocy r. 1850 aresztowano profesora prawa Osenbrüggena, piastującego w owym czasie urząd rektora uniwersytetu dorpackiego, a wraz z rektorem aresztowano także uniwersyteckiego docenta Hehna, oraz nauczyciela gimnazyalnego Majera.

Okazało się niebawem, iż rzekomy występek a raczej przestępstwo, którego się dopuścili Osenbrüggen i Hehn, było to utrzymywanie przez obu tych profesorów korespondencyi z niejaką przyjaciółką wolnomyślnego poety Kindla, Majerowi zaś zarzucono tylko, iż niepotrzebnie wdawał się on w pogadanki listowne z docentem Hehnem, który, jak się obecnie wykazuje, jest człowiekiem niebezpiecznym (sic!) Zarzut ten spisany protokularnie przypomina komedyę Fredry *Pan Jowialski* i powtarzane w jednej z najzabawniejszych jej scen znaczące słowa: „Ludmir jest człowiek niebezpieczny!“.

Atoli Osenbrüggen i Majer, jako poddani zagraniczni — za których niezwłocznie ujęła się odnośna ambasada w grodzie nadnewskim — wkrótce uwolnieni zostali i do granicy cesarstwa odwiezieni; co zaś do docenta Hehna, to ten, jako poddany rosyjski, skazanym został najprzód na długoletnie więzienie, a następnie na wygnanie w głąb Rosyi, z którego zaledwie przy wstąpieniu na tron Aleksandra II odwołany został. Schorowany biedak otrzymał ułaskawienie przy sposobności uroczystej koronacyi nowego cesarza,

a zarazem dano mu urząd w publicznej bibliotece petersburskiej, gdzie wszakże tylu już podróżami skołatany wkrótce żywota dokonał.

Po wywiezieniu za granicę dotychczasowego rektora uniwersytetu dorpackiego uznano także za właściwe odjąć tej wszechnicy przysługujące jej prawo autonomiczne wyboru każdorazowego rektora z grona własnych profesorów. Otrzymuje więc ona wyznaczonego jej przez rząd tak zwanego *rector perpetuus* w osobie niejakiego nauczyciela religii w szkole ryskiej, zwanej niegdyś *Domschule*.

W roku 1856 kuratorem został mianowany senator Bradke. Mąż ten, jakkolwiek nieobznajomiony dotąd z czynnościami przywiązanemi do jego nowego urzędu, pojął niebawem swe obowiązki, oceniwszy należycie wartość jedynej nadbałtyckiej wszechnicy, już nietylko sprzyjał jej szczerze, ale został jednym z najpożyteczniejszych opiekunów, jakich ta instytucya naukowa pomiędzy swymi dotychczasowymi kuratorami wyliczyć może. Prawy, sprawiedliwy, w stosunkach ze wszystkimi uprzejmy i szczery, posiadał senator Bradke wyrobioną doświadczeniem znajomość spraw bieżących, rzadką wielostronność, a nakoniec i pewne fachowe wykształcenie, z zawodu bowiem był on prawnikiem. Niezwykle sumienny oddał się z zapałem obowiązkom wzniosłym, ciążącym na kuratorze dorpackiego okręgu naukowego, a korzystając z dziwną zręcznością z pierwszego liberalnego okresu panowania Aleksandra II, prawdziwie pożyteczną rozwinął nad Embachem działalność.

Założenie kościoła uniwersyteckiego, przybudowanie dwóch nowych skrzydeł przybocznych w głównym gmachu wszechnicy, znaczne rozszerzenie oddawna już zbyt ścieśnionych gabinetów fizycznego i chemicznego, przywrócenie dawnego autonomicznego prawa wyboru rektora i prorektora uniwersytetu z grona jegoż profesorów, powiększenie niewystarczającego oddawna etatu uniwersyteckiego, nakoniec prace przedwstępne do ustanowienia nowego statutu, — są to wszystko błogie owoce niezmordowanej działalności senatora Bradkego, który — lubo w pierwszych czasach swego kuratorstwa dosyć surowym a i samowolnym się okazał, atoli stopniowo zdołał przejednać serca wszystkich swoich podwładnych. A gdy się czcigodny starzec już raz na dobre o tem przekonał, że w formach życia studenckiego w Dorpacie, pomimo wszelkich za-

por, ustaw i przepisów, na własne kopyto burszowskie wyrobionych, tkwi właściwie jądro poczciwe i zdrowe, zasługujące na wzgląd i uznanie, postanowił bądź co bądź pogodzić — o ile możności — z rzeczywistością ów w myśli burszowskiej wylęgły światek idealny, w jakim przeciętny student tego północnego Heidelbergu swój błogi żywot zwykł spędzać. To też za jego kuratorstwa korporacye studenckie dorpackie, niegdyś tak srogo przez policyą ścigane, nietylko oficyalnie dozwolone, ale ostatecznie przez sam rząd zatwierdzone zostały.

Nie małe to było zadanie wyjednać ich zatwierdzenie w Petersburgu i starania o to ciągnęły się przez wiele miesięcy. Nakoniec z niepomierną radością młodzieży nadbałtyckiej dostrzeżono we wszystkich krajowych dziennikach na czele pierwszej, głównej ich kolumny wiadomość, którą starzy „filistrzy“ [1] dorpaccy zrazu przyjmowali z niedowierzaniem, a którą tu dokładnie wypisujemy:

Die Dorpater Studentencorporationen und die von ihnen geleitete Repräsentation des Studentenstaates sind staatlich anerkennt und bestätigt und werden gleichzeitig auch die Grundzüge des ***Comments*** [2] *zur Charte studentischer Freiheit und Selbstverwaltung erhoben.* Okazało się niebawem, że powyższa wiadomość dziennikarska wcale nie była mylną.

Że przezwyciężono wreszcie wszystkie przeszkody, że w ministeryum oświaty zdołano obalić coraz to nowe powstające zapory, główna w tem i niezaprzeczona zasługa kuratora Bradkego, świadcząca najlepiej o gorliwości jego dla dobra uniwersytetu. Miał Bradke i inne jeszcze zasługi, których w ciasnych ramach listu wyliczać niepodobna. Zresztą nie o szczegóły biograficzne tu chodzi, lecz raczej o ogólną charakterystykę pojedyńczych kuratorów dorpackiego okręgu naukowego, mniemam więc, że i to, com o nim powiedział, wystarczy.

W roku 1862 umiera Bradke, a następcą po nim zostaje szlachcic estoński — hrabia Kayserling. Za kuratorstwa tego wysoko ukształconego męża, który szczególną otoczył pieczą gimnazya kla-

---

[1] Nazwa *filister* oznacza byłych studentów uniwersytetu.

[2] Słowem *Comment* oznaczają po uniwersytetach niemieckich statut organiczny związków studenckich.

syczne swojego okręgu naukowego i podniósł je znacznie, rozplątane zostały ostatnie pęta i więzy, które w ciągu trzech dziesięcioleci wolność akademicką tak ciężko krępowały. Za jego to staraniem prawo kooptacyjne i autonomia ciała uniwersyteckiego nie tylko całkowicie przywrócone, lecz nawet rozszerzone[1], etat uniwersytecki i pensye profesorskie znacznie podwyższone, uciążliwe mundury zniesione, a publiczne noszenie oznak i barw korporacyjnych ostatecznie dozwolone.

Następcą tego równie uczonego jak inteligentnego arystokraty nadbałtyckiego został rosyjski „czynownik“ (urzędnik) Gervais, nazwiska wprawdzie francuskiego, ale pochodzenia niepewnego, człowiek najzupełniej niezdolny, lecz mimo to wcale nie tak zły kurator, jakby to przypuszczać można było.

Nic on sam przez się nie zdziałał, wodze kuratorstwa pozostawił całkowicie samorządowi podwładnych mu instytucyj w obrębie całego dorpackiego okręgu naukowego; ponieważ jednak samorząd nadbałtycki dowodził zawsze niezwykłej zręczności w przeprowadzaniu własnych swych interesów, należy niemal żałować, że to kuratorskie zero dłużej się na swem stanowisku utrzymać nie zdołało. Wkrótce odwołano Gervais'go z jego wysokiego urzędu, a jego następcą został Rosyanin Saburow. Wychowany wykwintnie, z formami niemal francuskiemi, inteligencyi żywej a błyskotliwej, w stosunkach bardzo lojalny, pan Saburow jako człowiek dobrego tonu, taktem i uprzejmością umiał pociągać wszystkich, wyrabiając sobie wszędzie najżyczliwsze przyjęcie. Jak on tak jego żona, z domu hrabianka Sołohubówna, oraz jej matka z domu Wielhorska, prześcigali się w grzeczności i kokieteryi dla profesorów i studentów. Pan Saburow i młoda jego małżonka pragnęli osobistym urokiem i wyszukaną uprzejmością zjednać sobie popularność i zapełnić salony swoje przedstawicielami wszystkich stanów dorpackich, stworzyć nie tylko centrum urzędowe, ale i towarzyskie. Oboje zaś mieli wielkie po temu dane. Od tych, którzy mieli sposobność poznać ich bliżej, wiem, do jakiego stopnia umieli wszystkich pociągać, wszy-

[1] Uniwersytet dorpacki jest jedynym (w obrębie całego państwa rosyjskiego), o którego autonomii prawnniczo-sądowej jest mowa w kodeksie praw Rosyi.

stkich zainteresować. Jakoż, zabiegi tego kuratora nigdy nie były próżne. Ilekroć on i żona organizowali zabawy, nie ograniczali się na jednem tylko kółku i w jednej nie zasklepiali się sferze. Wszystkie warstwy towarzystwa dorpackiego: szlachta tytułowana i nietytułowana, profesorowie uniwersytetu i szkoły weterynarzy, nauczyciele szkół wyższych i średnich, korporacye młodzieży akademickiej i ich dygnitarze a raczej przedstawiciele, adwokaci, lekarze, artyści, ziemianie i możniejsi mieszczanie, posiadający jakie takie warunki salonowe, mający pewną wartość osobistą, towarzyskie przymioty i dobrą reputacyę — stawali do apelu, i rzecz się bardzo wybornie udawała.

Popierany towarzyskimi talentami młodej małżonki, zaskarbił sobie Saburow w nader krótkim czasie, bo niemal w parę miesięcy, taką popularność, jakiej dotąd nie miał ani jeden z jego poprzedników. W sposób nieprzymuszony, *kamratowaty*, zawierał stosunki ze studentami uniwersytetu, a w sposób poufny i prawdziwie koleżeński z profesorami, zwiedzał tak zwane *komersa studenckie* [1] i inne zebrania młodzieży akademickiej a także poważne wieczory naukowe, przez pojedyńczych dorpackich uczonych dawane. Aczkolwiek tylko z trudnością zdołał prowadzić dłuższą rozmowę w języku niemieckiem, usiłował używać wyłącznie niedźwięcznej mowy Germanów, korzystając z każdej sposobności, ażeby otaczającym wyrazić, jak szczęśliwym czuje się on w Dorpacie, jak wysoko ceni „swoich studentów", jak szacuje ich rozumnie pojmowaną honorowość, jaką czcią go przejmuje głęboka wiedza i gorliwość miejscowych profesorów, uczonych i w ogóle duch nauki, duch porządku oraz zaszczyt przynosząca a tak szlachetna wyższość uniwersytetu dorpackiego.

Patryoci nadbałtyccy uznali Saburowa za nader niebezpiecznego dla autonomicznego stanowiska swego uniwersytetu.

Następcą jego w kuratorstwie dorpackiem był pochodzący z Estonii, lecz urodzony w Petersburgu senator br. Stakelberg. Urzędnik sztywny, zapięty, nie bez pewnego wzwyczajenia się do systematycznej pracy, słowem niemiec nadbałtycki dawnej, nikną-

[1] Tak zwane *komersa* są to uroczystosci studenckie, w których bywają upamiętnione rocznice założenia pojedyńczych związków studenckich lub też ważnych wypadków w życiu uniwersyteckiem.

cej już dzisiaj, dzięki nierozsądnej germanofobii petersburskiej szkoły, wierny sługa cesarza, ślepe narzędzie jego woli i woli ministra, jednak bez wszelkich zapędów wynarodawiających. Konserwatysta dawnego pokroju, z podejrzeniem zawsze patrzał na wszystkie nowe figury petersburskie w ministeryum oświaty, wietrząc w nich, często nie bez słuszności, zakapturzonych rewolucyonistów. Germańska krew estońskiego szlachcica, wychowanie w dawnych antyrewolucyjnych zasadach, wieloletnia służba, składały się na ten wstręt, jaki czuł Stakelberg do nowych „samobytników“ rosyjskich. Nie miał przekonań żadnych, a jeszcze mniej jakichś uczuć baltycko-niemieckich, ale był to człowiek uczciwy i zacny. Jednakże, ponieważ był biurokratą od stóp do głów, robiło to go nienawistnym wszystkim bez wyjątku w Dorpacie, lubo w rzeczywistości nie należał on wcale do najgorszych kuratorów tego okręgu naukowego. Wierny służbista nadsyłanych mu rozkazów nie dyskutował nigdy, ale przynajmniej nie brał w tem wszystkiem inicyatywy, wykonywał rozkazy, ale się o nie nie napraszał i nie podsuwał coraz to nowych projektów, mających na celu wynarodowienie szkół nadbałtyckich zarówno wyższych jak średnich i niższych. W porównaniu do Saburowa a także do dzisiejszego stanu rzeczy i to uważać należy za pewnego rodzaju zaletę i rys dodatni.

To też obecnie żałują już powszechnie nad Bałtykiem, że ten biórokrata tak prędko odwołanym został z Dorpatu, gdzie stanowisko kuratora zajął po nim rodowity rosyanin pan Kapustin.

Nowy kurator nie chciał czasu tracić na darmo, jednem zamachem chciał zniwelować uniwersytet dorpacki i zrównać go z innymi rosyjskimi. Gwałtowne środki nie osiągnęły celu. Co Saburow zręcznie przytłumił, Kapustin gwałtownością swą na nowo rozżarzył; uczucia Niemców nadbałtyckich pod względem narodowym najmimowolniej podniósł, serca germańskie zgalwanizował, drażliwość wydelikacił, sądzi, że „obrusił“, a tymczasem do wprost przeciwnych doszedł rezultatów. Znalazłszy ostatecznie pobyt w Dorpacie nieznośnym i niemożebnym, przeniósł się ten dorpacki kurator do Rygi. Usadowiwszy się tu w pobliżu rosyjskiego gimnazyum klasycznego, w nader skromnym gmachu jego urządził swoją kuratorską kancelaryę, z której całym okręgiem naukowym dorpackim w tymże duchu co i z Dorpatu nie przestaje kierować. Naj-

lepiej tego dowodzą jego częste cyrkularze, ogłaszane następnie przez redaktorską złośliwość niemal we wszystkich krajowych niemieckich dziennikach a zaprawdę niepotrzebujące komentarza [1].

Pobieżny rzut oka na niezmierną rozległość państwa rosyjskiego i historyę jego kultury powinienby uwidocznić znakomity udział, jaki w rozwoju jego cywilizacyi Dorpat stale przyjmował. Jakoż, całymi tysiącami przedstawiają się tu imiona mężów, którzy pomiędzy Baltykiem a wielkim oceanem, pomiędzy morzem Białem a morzem Kaspijskiem nabyte w Dorpacie umiejętności w usługach Państwa i narodu rosyjskiego bezustannie zużytkowywali, mężów, którzy w najrozmaitszych zawodach jako: profesorowie uniwersyteccy, nauczyciele szkół wyższych i średnich, lekarze, urzędnicy i t. p. prawdziwie pożyteczną rozwijali i rozwijają działalność.

Autor najnowszej pracy o działalności uniwersytetu dorpackiego [2] rozporządzał jedynie materyałem bardzo niezupełnym a odnoszącym się wyłącznie do fakultetu medycznego i sięgającym tylko po rok 1865, a jednak już i ten jedyny fragment przekonywa dosadnie, że twierdzenia nasze wcale nie są przesadne.

Za jego pomocą dają się wykazać faktycznie daty następujące: 10 lekarzy w Syberyi, 5 leibmedyków cesarskich w stolicy nadnewskiej, 35 profesorów medycyny w uniwersytetach rosyjskich, 24 wysokich urzędników medycznych, kierowników oraz naczelnych lekarzy w szpitalach rosyjskich i aż 290 lekarzy wojskowych.

Cały szereg pierwszorzędnych wielkości naukowych, zajmujących najwybitniejsze stanowiska w Akademii umiejętności petersburgskiej, znanej chlubnie i w zachodniej Europie, są rodem z prowincyj nadbaltyckich, a kształcili się w Dorpacie, że tylko przytoczę z liczby słynnych przyrodników syberyjskich: *Bära, Helmersena, Middendorffa, Schrenka, F. Schmidta,* a z liczby znanych powszechnie lingwistów: *Wiedemana, Böthlingka,* oraz *Osteneka* pi-

---

[1] Cyrkularze te rosyjskie zasługują istotnie na miano *die aberwitzigen Erlasse des Herrn Kapustin*, dawane im powszechnie w krajach nadbaltyckich.

[2] *T. Neander* „Die Universität Dorpat im Lichte der Geschichte und Gegenwart". Lipsk 1882.

szącego zwykle pod pseudonimem *Wostokowa* [1]. Największy chirurg i operator rosyjski — *Mikołaj Pirogow* — odbywał studya w Dorpacie, i tamże jedną z katedr medycznych przez lat wiele zajmował, a słynne obserwatoryum astronomiczne w Pułkowie, nieopodal Petersburga, jest córą takiegoż obserwatoryum w Dorpacie.

O ileśmy zdołali wyśledzić z bardzo niezupełnych źródeł, jakimi pod tym względem rozporządzamy, liczba inflantczyków, estończyków i kurlandczyków zajmujących chlubnie katedry rozmaitych umiejętności w uniwersytetach zagranicznych dochodzi obecnie do 40, uszła wszakże prawdopodobnie naszej uwagi nie jedna osobistość wybitna. A ileż profesur zajmują dawni dorpatczanie za granicą w szkołach wyższych politechnicznych oraz akademiach rolniczych, jak np. prof. *Harnak* w Dreźnie, prof. *Schröder*, *Tharand* i wielu innych, których imion w ramach skromnego listu niepodobna wyliczać.

Są to wszystko owoce, jakie w ciągu lat niespełna 85 swego istnienia wydała niedość jeszcze znana w zachodniej Polsce *Alma Mater Dorpatensis*, rozwijająca zdrowo swe siły żywotne.

Że uniwersytet dorpacki przy innych warunkach byłby mógł wydać plony nierównie obfitsze, o tem ani chwili nie wątpimy; niemniej atoli nie da się zaprzeczyć, że to, co ta wszechnica dotąd wydała, stawia ją niewątpliwie obok najwyższych takichże instytucyj naukowych zagranicznych. Jakoż, przyzna każdy sędzia kompetentny a bezstronny, że wszechnica dorpacka dotąd przynajmniej odpowiadała najzupełniej włożonemu na siebie przez założyciela zadaniu, które, jak już wiemy, cesarz Aleksander I w akcie erekcyjnym tymi był określił słowy: „rozpowszechnienie umiejętności ludzkich w państwie rosyjskiem“.

Ilość profesorów i docentów w uniwersytecie dorpackim przechodzi obecnie poważną liczbę 70, liczą ich bowiem 73. Studentów immatrykulowanych liczono w roku 1887 aż 1704, oprócz tego wolnych słuchaczy 29. Stopni akademickich w ciągu roku 1886 udzielono przeszło 300. Uniwersytet składa 5 fakultetów, a miano-

[1] Profesor *G. Krek* w słynnem a znakomitem dziele swojem: *Einleitung in die slavische Literaturgeschichte* (Graz 1887 r. stronnic 885 w wielkiej 8-ce) przytaczając co chwila prace filologiczne Ostenek'a, nazywa go stale *A. Ch. Vostokov.*

wicie: *protestancko-teologiczny*, *historyczno-filologiczny*, *fizyko-matematyczny*, *prawny* czyli *jurydyczny* i *medyczny*. Do ostatniego zalicza się i wydział farmaceutyczny.

Nauki wykładają profesorowie po większej części znakomici, a których pewna część powoływaną bywa z uniwersytetów zagranicznych niemieckich, na wzór których, jak wiadomo, i dorpacki jest uorganizowany.

Odbywa tu swe studya nie tylko młodzież z Inflant, Estonii i Kurlandyi, ale i znaczna liczba Polaków, a ci, jako mniej oddani tak zwanemu „życiu burszowskiemu“, stusunkowo najwięcej stopni wyższych naukowych tutaj otrzymują, jak o tem z ogłaszanego w Dorpacie od czasu do czasu *Album academicum* łacno przekonać się można. Okoliczność ta dała powód kuratorowi panu Kraft-strömowi do słynnej w swoim czasie uwagi: *Die Herren Polen* — są jego słowa — *die wollen hier immer* ***prima donna*** (sic!) *sein, im Guten wie im Bösen. Denn auch unter den vielen Bummlern, welche unsere Musenstadt aufzuweisen hat, stehen die wenigen polnischen ebenfalls stets an der Spitze.*

W roku 1887 liczba uczniów na fakultecie teologicznym wynosiła 232, na historyczno-filologicznym liczono ich 209, na fizyko-matematycznym 1333, na prawnym 274, na medycznym zaś było ogółem 856, a mianowicie 753 medyków i 103 farmaceutów.

Z tej liczby ogólnej uczniów uniwersytetu już z samego królestwa kongresowego było 84, z Litwy, z Inflant polskich, z Białej Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy 89, z gubernii inflanckiej czyli tak zwanych Inflant szwedzkich wraz z wyspą Ozylią 603, z Estonii 130, z Kurlandyi, Semigalii tudzież dawnej ziemi Piltyńskiej, stanowiących razem dzisiejszą gubernię kurlandzką 355, z innych gubernij cesarstwa (przeważnie Niemców, lecz są także pomiędzy nimi Rosyanie, Ormianie i Żydzi) 417, zagranicznych zaś poddanych 26.

Z uniwersytetem połączone: seminaryum protestancko-teologiczne, instytut medyko-chirurgiczny z nowo wzniesionym szpitalem niezwykle wielkich rozmiarów, klinika położnicza, amfiteatr anatomiczny, wspomniana już w poprzednim liście biblioteka uniwersytecka, licząca obecnie wraz z rozprawami do dwustu kilkudziesięciu tysięcy tomów, instytuty zoologiczny i mineralogiczny, gabinety:

fizyczny, farmaceutyczny, farmakologiczny i patologiczny, laboratoria chemiczne, znakomity ogród botaniczny tudzież wsławione przez astronomów *Struwego* i *Mädlera* na całą Europę obserwatoryum astronomiczne.

Muzeum starożytności krajowych posiada znakomity zbiór numizmatów oraz zbrojownię. Te zbiory starożytności pochodzą po większej części z wykopalisk epoki przedchrześcijańskiej.

Z uniwersytetem są także połączone: szkoła medyczna oraz „Towarzystwo przyjaciół nauk przyrodniczych“ a także wspomniane już przez nas „Uczone Towarzystwo estońskie“ (*Gelehrte ehsthnische Gesellschaft*), którego cenne roczniki w poprzednim liście naszym mieliśmy sposobność przytaczać.

Co zaś do okręgu naukowego dorpackiego, to liczył on w r. 1887 szkół wyższych, średnich i niższych, szkół elementarnych miejskich i ludowych wiejskich ogółem 3287; w tej liczbie było szkół publicznych 2979 a prywatnych, zostających pod kontrolą tegoż okręgu naukowego, 308.

Gustaw Manteuffel.

Chrześcijańska fabryka w Val-des-Bois.

Podczas gdy literaci rozprawiają przy biórku nad kwestyą socyalną, a socyaliści zmawiają się w podziemnych schadzkach, żeby społeczeństwo uleczyć wysadzając je w powietrze, są też, Bogu dzięki, chrześcijanie, którzy rozwiązują kwestyę socyalną czynem, i uczą świat praktycznie, jak się ta kwestya rozwiązać może. Cały ich sekret wzięty jest z ewangelii.

Przypatrzmy się tym ludziom w działaniu. Oto np. co się dzieje w fabryce żelaznej we Val-du-Bois koło Reims, jedynej z 25 fabryk w tych stronach położonych, w której od roku 1840 nie było bezrobocia, a robotników było zawsze wielu, i roboty coraz więcej.

Zaniedbanie całkowite praktyk religijnych, nieprzyjaźń między panem a robotnikiem i pauperyzm, taka jest trojaka plaga trapiąca klasę robotniczą. Pauperyzm jest chorobą, która sprawia, że czło-

wiek może zarobić 20 do 30 franków na dzień, a być przytem biedniejszym, niż dawniej, kiedy zarobek jego wynosił tylko 3 do 4 franków dziennie. Zaniechanie praktyk religijnych, oto praktyczny materyalizm, co sprawia, że narody, u których przemysł wysoko stoi, popsute dobrobytem zważają tylko na rzeczy doczesne, i nie szukają już w niebie punktu oparcia i tej nadziei, która jest siłą, pociechą i radością każdego chrześcijanina!

Te trzy choroby socyalne ciążyły na fabryce w Val-des-Bois, kiedy przyszedł do jej posiadania p. Harmel, ojciec dzisiejszych właścicieli. Zastał tam lud wyzuty z wszelkich zasad religii, niedowierzający i niechętny względem chlebodawcy. Dosyć im było wiedzieć, że ten pragnie czego, by bez najmniejszego powodu zrobić przeciwnie, chociażby nawet mieli sami cierpieć na tem; wreszcie lud ten pogrążony był w ostatecznej nędzy.

Harmel próbował być dla nich prawdziwym ojcem, podnieść ich moralnie i materyalnie, ale mu się to nie udało. Zniechęcony i zmęczony daremnemi temi próbami i usiłowaniami, zmuszony był uciec się do zupełnie nowego sposoby postępowania, a mianowicie do działania na robotników przez robotników. Wybrał sobie najprzód jednego, potem dwóch i trzech starając się dusze te natchnąć zapałem apostolstwa, przejąć je pragnieniem zbawienia siebie i drugich, i przez te wyższe, nadnaturalne pojęcia udało mu się z czasem i z cierpliwością zrobić z nich prawdziwych apostołów, którzy się zajęli nawraceniem swych towarzyszów, którzy chętnie przyjęli od równego sobie to, czego nie chcieli przyjąć od patrona. Nikogo prawie nie oddalił z tej ludności roboczej, ale zbawienne to oddziaływanie robotnika na robotnika przeistoczyło wszystko w fabryce.

Gdy tam przybył, ani jedna kobieta nie odprawiała obowiązkowej spowiedzi Wielkanocnej; dzisiaj 1.200 komunij bywa na miesiąc. Z pośród synów robotników tej fabryki jest obecnie ośmiu seminarzystów. W dyecezyi Reimskiej jest kilku kapłanów, którzy wyszli z tejże fabryki, a niema prawie takiego klasztoru żeńskiego, w którymby nie było córek robotnic.

Ten rodzaj stowarzyszenia moralnego przyniósł także korzyść i chlebodawcy, gdyż wyrabiając zobopólną miłość między robotnikami, uspasabiał ich przyjaźnie względem pana. Ten systematycznie

usuwał się na drugi plan, by wysunąć naprzód swych pomocników i wykazać ich wierność i poświęcenie. Ale przywiązanie i wdzięczność przyszły z czasem same z siebie, i wszystkie serca otwarły się dla tego pana, od którego dawniej nie można było znieść żadnej uwagi, któremu wszelkiemi siłami starano się robić na złość. Uznano w nim władzę tak nieograniczoną i zarazem tak błogą, że od 10 lat robotnicy nazywają go „Dobrym Ojcem“ (le Bon Père). A gdy przechodził przez podwórza lub zwiedzał warsztaty fabryczne, i gdy się o co zapytywał którego robotnika, ten odpowiadał zawsze: „Tak jest, dobry ojcze!“. Ci, którzy świeżo przybyli do fabryki, uważając, iż nazwa ta jest zbyt poufała, zmienili ją nieco i mówili: Panie dobry ojcze (Monsieur le bon père), i nikt nie wiedział, jak się właściwie nazywa!

Miał miejsce jeszcze inny, piękniejszy fakt. „Dobry ojciec“ żył długo i bardzo był kochany. Umarł w roku 1884, a wtedy robotnicy przyszli do jego dzieci i powiedzieli: „Nie możemy żyć bez „dobrego ojca, gdyż bez tego bylibyśmy sierotami!“ Synowie przedstawiali im, że nazwa ta może być przywrócona dopiero po upływie roku żałoby za czcigodnym nieboszczykiem, lecz robotnicy nalegali mówiąc: „Nie ubliżymy przez to jego pamięci, gdyż w testamencie jego znajduje się ustęp, w których mówi do swych dzieci: Ojcowstwo moje przechodzi na was. A zatem, musimy w was mieć drugiego takiego samego ojca!“ Dzieci zmarłego nie ustąpiły odrazu. Robotnicy nalegali znowu; aż w Sierpniu 1884 r. w obec wszystkich matek, młodych dziewcząt, dzieci, mężczyzn i t. d., jeden z dwóch synów, Ernest został uroczyście uznany „nowym dobrym ojcem“. Od tego czasu wszyscy zapomnieli nazwiska jego, i nikt nie nazywa go inaczej jak „dobrym ojcem“.

Fakt ten jest istotnie jeszcze piękniejszy niż pierwszy, i dowodzi, iż między robotnikami, gdzie zwykle ludzie są szorstcy i grubianie, można napotkać serca czułe i delikatne!

Trzecim rakiem, toczącym rodzinę robotnika, jest pauperyzm. Otóż, w Val-des-Bois widzieć można spełnienie słów ewangelicznych: „Szukajcie najprzód królestwa Bożego, a reszta będzie wam przydana“. Tak jest, w następstwie pobożności, w przydatku dostały im się bogactwa!

Jedna tylko z ich fabryk, licząca do 1300 dusz, umieściła

zeszłego roku w kasie oszczędności 63.000 franków. Jedna trzecia rodzin robotników posiada od 3 do 20.000 franków oszczędności, a jednak zarobek u nich nie jest większym, niż gdzieindziej w okolicy, gdzie robotnicy nie oszczędzają ani centa. Druga trzecia część ma najmniej 500 fr. oszczędności; a w trzeciej części jest także wielu takich, którzy mają książeczki kasy oszczędności. Tak więc Val-des-Bois dowodzi faktami, że przestrzeganie praw moralnych i religijnych jest źródłem pomyślności.

Te zadziwiające rezultaty zawdzięczać należy najprzód i przedewszystkiem Bogu, modlitwie, sakramentom, a potem kongresom katolickim, które tak zbawienne skutki przyniosły we Francyi.

„Wszystko, co tylko mamy dobrego, powiedział Leon Harmel na jednem z tych zebrań, to wynikło z kongresów katolickich. Prawo nasze z roku 1874 wyszło z kongresów związkowych. Wspaniały rozkwit katolickich kółek, korporacyj, fabryk chrześcijańskich, należy zawdzięczać kongresom, zgromadzeniom i katolickim kółkom robotników". Kongresy te uznano tam za tak pożyteczne, że odbywają się one co miesiąc. Zaczynają w październiku kongresem miejscowym, następny odbywa drugie zebranie w Pau w listopadzie; w grudniu zjeżdżają się w Limoges, w styczniu w Bordeaux, w lutym w Paryżu, w marcu w Marsylii. Tak to podnoszą lud, budzą z uśpienia klasy kierujące, zachęcają je do wypełniania obowiązków, a równocześnie rozbudzają w swoich robotnikach tę szlachetną inicyatywę, która sprawia, że i oni w pewnej mierze biorą udział w życiu publicznem.

Dzięki tym zebraniom, fabryka w Val-des-Bois nie jest jedyną w swoim rodzaju. Dokoła powstały fabryki urządzone według tychże zasad, to jest według zasady apostolstwa wśród robotników przez robotników. Ernest Harmel bywał od czasu do czasu w Marsylii, i widywał tam przyjaciela swego p. Fournier, właściciela jednej z pierwszych fabryk w Marsylii. Dla wygody swych robotników urządził on dom, w którym jedzą śniadanie i obiad. Kuchnią, przyrządzoną wspaniale, zajmowały się Siostry Miłosierdzia. Dom ten dzielił się na małe ubikacye, tak iż każda rodzina mogła jeść osobno. Pokazywał to p. Harmelowi z słuszną dumą, mówiąc: „Patrz, jak się staram o dobro moich robotników! Gdy dobrodziejstwa, które im

świadczę, poruszą im serca, wtedy łatwiej do nich trafi głos, mówiący im o Bogu". Na to p. Harmel odpowiedział: „Czy sądzisz, że nawrócisz tych ludzi chlebem i mięsem? Czyż można wskrzesić naród zapomocą środków, które nie zapobiegają śmierci? Dać pokój temu wszystkiemu! Jeden jest tylko chleb, który daje siłę i żywotność narodom, a tym jest chleb Eucharystyczny. Radzę ci zburzyć to wszystko, i wystawić kaplicę, a ręczę ci, że ocalisz lud swój od zguby".

P. Fournier miał tyle pokory, że poszedł za tą radą przyjaciela i powiodło mu się w zupełności. Dziś już i tam robotnicy urządzili się na sposób stowarzyszeń i instytucyj Val-des-Bois; troskliwie zajmują się tem dobrem duchowem bliźnich, gdyż nie można myśleć o zbawieniu świata pracującego, bez stowarzyszeń dusz. Do tych stowarzyszeń wciągają już siedmioletnie dzieci robotników; nigdy bowiem nie jest zbyt wcześnie do nauczenia się cnoty i poświęcenia. Na tem to polega prawdziwa równość między robotnikami i panem, równość w poświęceniu i ofiarności, do niej to wzywają robotników swoich i przez to ich podnoszą do wysokości apostołów. Przytoczyć tu jeszcze należy słowa pewnego właściciela fabryki z Armentière, który zatrudnia u siebie wielką liczbę kobiet. Chcąc u siebie zaprowadzić stowarzyszenie według zasad pp. Harmel'ów, to jest apostolstwo robotnika względem robotnika, zdołał po kilku tygodniach zebrać 4 czy 5 odpowiednich robotnic. Wyłożywszy im plan swój, rzekł do nich: „Będziecie prześladowane przez moich dozorców, są to bowiem źli ludzie; będą z was wszędzie szydzić. Ale trzy wieki męczeństwa ustaliły społeczność chrześcijańską; męczeństwo musi też odrodzić fabryki". I te biedne dziewczęta rozpoczęły odważnie apostolski swój zawód. Przy końcu roku zatknęły zwycięski krzyż we wszystkich warsztatach; zwycięstwo okazało się nie tylko przez obecność krzyża, ale też przez cześć mu oddawaną i zachowanie się robotników.

Na drugim końcu miasta była inna fabryka, którą trzeba było nawrócić, ale nie było w niej ani jednej robotnicy, któraby się mogła tem zająć. Zwołano grono robotnic z pierwszej fabryki i powiedziano im: w pewnej fabryce o dwa kilometry stąd, nie można znaleść robotnic chrześcijańskich: która z was chciałaby przejść

do tamtej fabryki i oddać się tam apostolstwu? Która się zgadza na tę ofiarę? Wszystkie powstały i powiedziały: „Wybierajcie". Wybrano trzy. Opuściły natychmiast swoją fabrykę i przeniosły się do tamtej. Nie potrzebuję dodawać, że w krótkim czasie i ta fabryka zakwitła pobożnością. Dziś jest w okolicy dziesięć fabryk w ten sposób odrodzonych, które znów stały się narzędziami zbawienia innych.

A więc i fabryka jest dziełem woli i Opatrzności Boskiej, i może być narzędziem apostolstwa.

„Nie waham się to powiedzieć, mówił znów pan Harmel na kongresie w Liège, co jest właściwie przyczyną tej kryzys, na którą patrzymy, i która grasuje nie tylko u nas we Francyi, ale równocześnie w Belgii, Niemczech i w innych krajach. Przyczyną jej jest to, że wygnano pierwiastek duchowy, nadnaturalny z fabryk. Człowiek nie może się obejść bez pierwiastku nadnaturalnego we wszelkich urządzeniach społecznych, tak jak nie może się obejść bez powietrza do oddychania. Starajcie się zgłębić do dna kryzys handlową i przemysłową, a zobaczycie, że brakowało tam owego nadnaturalnego pierwiastku; zniknięcie jego pociągnęło za sobą ruinę materyalną. Byłoby pożądanem, by każdy przemysłowiec zastanowił się dobrze nad tą teoryą. Wszyscy tracą głowę, by wytłumaczyć przyczyny kryzys socyalnej. Mówią o nadmiarze produkcyi, ale my mieliśmy tysiące sztuk materyi w Rheims; rozsprzedano je w tygodniu. Szukajmy innej, wyższej przyczyny. Trzeba powrócić do prawa boskiego, by odszukać dobrobyt i pomyślność materyalną. Kiedy przemysł pewnego kraju będzie najprzód szukał królestwa Bożego, wtedy znajdzie on i bogactwo w dodatku.

„Widziałem niegdyś manifestacye socyalistyczne. Trudno mi wyrazić, jak mię to wzruszyło i zabolało! Widziałem tam przed sobą dzieci osierocone, dzieci, którym Bóg dał ojca, ale które ojciec opuścił, bo pan patron — to ojciec. Gdy dziecię opuszczone jest przez ojca, przez matkę, i gdy jest porzucone na drodze publicznej, znajduje złych doradzców i źle mu się dzieje. Ten 5.000 zastęp socyalistyczny, który wówczas widziałem, była to gromada sierot. Czy zbrodnia tych ludzi nie jest właściwie zbrodnią ojców, którzy się wyrzekli ojcostwa swego, i którzy dozwolili dzieciom swym błąkać

się po drodze publicznej i słuchać złych doradzców i kusicieli? Zdawało mi się, że słyszę te słowa ewangelii, te cudne słowa: *Misereor super turbam!* Chrystus ma litość nad tymi tłumami robotników, gdyż i on był robotnikiem: miał odciski na dłoniach! Lituje On się nad tym tłumem robotników łaknącym prawdy, a trawionym męczarnią zawiści. Trzeba ich nasycić prawdą; trzeba ich okryć płaszczem miłości. Ponieważ Bóg w obecnym stanie rzeczy nic nie robi bez współdziałania ludzi, przeto wymaga od nas czynu. Tak samo i na puszczy, gdy chciał nakarmić tysiące ludzi, zażądał siedem bochenków chleba, które przyniósł Apostoł. Apostoł ten miał wiarę. Wiedział, że chleby pomnożą się w sposób cudowny. Otóż, Chrystus i dziś jeszcze mówi do nas: Kto mi dostarczy środków do wyżywienia tych tłumów? Naszą rzeczą jest odpowiedzieć na to wezwanie ofiarując mu tę odrobinę chleba poświęcenia naszego! Poświęcenie nasze jest tylko okruszyną, odrobiną, ale tę odrobinę pomnoży Chrystus tak, iż będziemy mogli nakarmić cały lud, a w przydatku znajdzie się dosyć okruszyn, by zapewnić pomyślność temu przemysłowi, który bez Boga upada i marnieje".

Misye protestanckie w Azyi i Afryce.

Londyńskie czasopismo *Fornightly Review* ogłosiło artykuł Dr. Taylor'a o misyach protestanckich; ponieważ Dr. Taylor zajmuje wysokie stanowisko w kościele anglikańskim a nadto ceniony jest jako światły i bezstronny pisarz, artykuł jego wywarł wielkie wrażenie w Angli. Podamy tu naszym czytelnikom główną osnowę rzeczy.

Niechrześcijańska ludność Azyi i Afryki, wyjąwszy Tybetu i Borneo, gdzie liczba jej nie da się dokładnie oznaczyć, wynosi przeszło 920,000.000 dusz, jak nas zapewnia Dr. Izaak Taylor, Liczba ta, w skutek przewyżki urodzeń nad śmiertelnością, wzrasta co rok o jedenaście milionów. Chrześcijan zaś w tych dwóch częściach

świata przybywa co roku zaledwie 60.000. Tym więc sposobem, nie rachując powracających do pogaństwa i przyjmujących mahometanizm, co się zdarza bardzo często, można twierdzić, że na miejsce jednego chrześcijanina nawróconego przez misyonarzy anglikańskich, rodzi się 183 pogan lub mahometan.

Dr. Taylor analizuje następnie statystykę Stowarzyszenia *Church Missionary Society* najbogatszego i najczynniejszego ze wszystkich agencyj protestanckich; i przychodzi do wniosku, że gdyby ludność Afryki i Azyi była zawsze jednakowa, gdyby się neofici nie sprzeniewierzali, wtenczas stowarzyszenie to, aby nawrócić wszystkich pogan i mahometan, potrzebowałoby 330.000 lat, a milion — jeżeli się weźmie w rachubę częste apostazye.

Biorąc za punkt wyjścia obecny postęp ewangelizacyi, i przypuszczając najkorzystniejsze warunki, jakoteż że ludność powiększać się nie będzie, *Church Missionary Society* potrzebowałoby 1,680.000 lat, by nawrócić cesarstwo chińskie na protestantyzm. Ale ludność tego ludzkiego ula wzrasta o 4,580.000 dusz rocznie, a zeszłego roku *Church Missionary Society* pozyskało stu sześćdziesięciu siedmiu neofitów!...

Fundusze wszystkich towarzystw ewangelizacyjnych wynoszą razem przeszło 50 milionów franków; zatrudniają 6.000 misyonarzy z Europy lub Stanów Zjednoczonych i 30.000 ajentów.

W Baroda, na 2,186 000 mieszkańców, liczba protestantów europejskich i krajowych wynosi 170 dusz.

W prowincyi Bombay 92,7 na sto chrześcijan są katolikami.

W Travankorze, po 70 latach pracy apostolskiej, 3,3 na sto chrześcijan krajowców należy do anglikanów, 90 na sto są katolikami.

Kanonik Taylor oświadcza z otwartością, która może otworzy oczy niejednemu wspaniałomyślnemu ofiarodawcy, „że pomimo ol-„brzymich wydatków towarzystw protestanckich, $^3/_4$ chrześcijan „krajowców w Indyach są potomkami pogan nawróconych przez „dawnych Jezuitów. W okolicach, gdzie pracował Ksawery (tj. św. „Franciszek Ksawery) 90% chrześcijan krajowców, są katolikami. „W samem Travankorze jest ich przeszło pół miliona, to jest dwa

„razy tyle, ile mają oba towarzystwa anglikańskie w całej Afryce „i Azyi".

Że koszta są ogromne, zwłaszcza w obec tak skąpych rezultatów propagandy protestanckiej, tego jak na dłoni dowodzą cyfry statystyczne, przytoczone przez kanonika Taylora.

Zeszłego roku 424 ajentów stowarzyszenia *Church Missionary Society* w Cejlonie wydało 275.090 franków i nawróciło za to 145 pogan, na 300.000 mieszkańców; ale, niestety! rewokacye były liczniejsze niż nawrócenia, ponieważ w tym samym czasie ubyło 190 protestantów krajowców.

W Chinach, 247 ajentów tego samego stowarzyszenia wydało 371.878 franków, i nawróciło 167 pogan z pośród 382,000.000 mieszkańców.

W północnym Indostanie (Bengal, Bombay, i prowincye północno-zachodnie), 715 ajentów nawróciło 163 krajowców, kosztem 854.610 franków 60 centymów. NB. Wielu nawróconych pobiera za to pieniądze.

W kraju Yoruba po 40 latach pracy niema nawet 5 procent nawróconych; pogańskie ofiary ludzkie odbywają się jak za dobrych czasów, a przeszłego r. 850 wiernych ubyło z gminy protestanckiej.

W Egipcie, Persyi, Palestynie, Arabii zabiegi misyonarzy protestanckich śmiech tylko obudzają. W krajach tych stowarzyszenie *Church Missionnary* posiada 119 ajentów i wydało w dwóch ostatnich latach 588 529 fr. 72 cent. *Rezultaty* zaś, mówi Dr. Taylor, *równają się zeru.* Przeszłego roku — dodaje tenże — było dwóch „poszukiwaczy" (inquirers), jeden murzyn, drugi Egipcyanin; lecz poszukiwania ich nie odniosły żadnego skutku. W Arabii jeden chory rozbójnik, którego pielęgnował protestancki misyonarz, obiecał temuż powstrzymać się od kradzieży. Ale co jeszcze smutniejsza, to że „pewien muzułmanin, nawrócony przeszłego roku w Palestynie, i którego polecono modłom wszystkich chrześcijan anglikańskich, przeszedł na wiarę katolicką i wstąpił do klasztoru!"

Co się tyczy jakości nabytków anglikanizmu, powołuje się Dr. Taylor na świadectwo pana H. Johnstona, znanego podróżnika, obecnie wice-konsula na zachodniem wybrzeżu *(West Coast)* Afryki.

Donosi on, że „w bardzo wielu okolicach, w których misyonarze pracowali przez lat dwadzieścia, można zaledwie naliczyć dwadzieścia nawróceń. W innych miejscowościach bywa wprawdzie znaczna liczba takich, co się mianują chrześcijanami, ale religia ich jest w zupełnej pogardzie, gdyż jej wyznawcy są to wszyscy pijacy, oszuści, niepoinie i rozpustnicy najwięksi z całej kolonii".

Aby się przekonać jak są nietrwałe nawracania na protestantyzm, dokonywane za pomocą pieniędzy lub innych wcale nie ewangelicznych sposobów, dość będzie przytoczyć następujący fakt, który się zdarzył przed trzema laty: W pewnej wsi tylko co nawróconej przez protestanckich misyonarzy, wybuchły krwawe bójki, i kilka trupów zostało na placu. I cóż zrobili zwycięzcy? *Wsadzili te trupy na rożny, upiekli i zjedli!!* Według zdania Dr. Taylora nie potrzeba wielkiego rozumu, by odkryć przyczyny tak zupełnego niepowodzenia propagandy protestanckiej. Najprzód — powiada — strona moralna tych misyonarzy pozostawia w ogóle wiele do życzenia. Nie są to wojownicy lecz najemnicy Chrystusowi. Nie dorośli do wysokości tego wzniosłego zawodu, nie mają ani sił ani zdolności jakiego on wymaga. I jakże można wymagać, by tacy „apostołowie" głosili skutecznie prawdy Boskie Tamulom lub Suahilom i by walczyli z Muzułmanami lub Indusami, których władze umysłowe są tak bystre i rozwinięte! Apostołowie ci uważają się za urzędników pobierających stałą pensyę, ale im ani przez myśl nie przejdzie, aby mieli być braćmi i nauczycielami ludu!

„Gdyby św. Paweł — mówi w końcu Dr. Taylor — wymagał był od św. Jakuba apostoła i pierwszego koncylium Jerozolimskiego, by mu wyznaczyli roczną pensyę w kwocie 7.500 fr. wypłacalną kwartalnie, gdyby się był starał o *bungalow*, by mieć cień, o *punkah* by się chłodzić, o kazalnicę na kółkach ciągnioną przez kucyka, a wreszcie o żonę, nie byłby nigdy zmienił postaci świata!... Jeżeli misye nasze mają wydać pożądane owoce, to misyonarze nasi muszą mieć żarliwość i miłość ku duszom w pogaństwie zostającym taką jaką mieli św. Paweł, św. Kolumban, św. Ksawery. Ci przepowiadacze Ewangelii pozyskiwali dla Chrystusa całe narody, i takiej tylko miary robotnicy zdolni są do gumien Pańskich zbierać plony ze świata pogańskiego". Szkoda tylko, że Dr.

Taylor nie dodaje, iż robotników tej miary, nie wydało nigdy i nie wyda stowarzyszenie *Church missionnary society*.

A nie jedyny to głos wykazujący płonność prozelityzmu protestanckiego. *Misye katolickie* przytoczyły nie dawno podobne świadectwo słynnego podróżnika, barona von Schwerin: „Gdybym nie był filozofem — pisze on między innemi — to po tym, czegom się napatrzył w Afryce, zostałbym katolikiem. Wierzę, ale nie jestem katolikiem; czuję jednak najwyższe podziwienie dla misyonarzy katolickich, a zwłaszcza dla członków Zgromadzenia Ducha świętego. Czynią oni niezmiernie wiele dobrego. O misyonarzach zaś protestanckich w Kongo, powiedzieć trzeba, że są prawdziwą zakałą cywilizacyi".

Druk ukończony dnia 26 października 1888 r.

W SPRAWIE PROPINACYJNEJ.

Po dziesięciokrotnych rok w rok ponawianych usiłowaniach, stanęła nareszcie uchwalona przez sejm w 1875 r., a dziś jeszcze obowiązująca ustawa, o zniesieniu prawa propinacyi. Ponieważ ustawa ta żadnego projektu indemnizowania uprawnionych gotówką lub papierami nie zawiera, i w żaden sposób kraju nie obciąża, musiała ona odszkodowanie uprawnionych osób oprzeć na faktycznem dłuższem (przez 22 lat) używaniu prawa propinacyi, i na utworzeniu skromnego funduszu, któryby po upływie tych lat mógł być uprawnionym rozdany. Że zaś tym sposobem uprawnieni dostaliby wszystkiego razem 12 do 13 razy wartość dochodu swego, ustawa pozostawia każdego uprawnionego w dalszem używaniu jednego szynku na każdą gminę, w której tenże prawo propinacyi dawnej posiadał. Powyżej wzmiankowany fundusz nazwano propinacyjnym; powstaje on tylko z bardzo nieznacznych opłat szynkarskich, z kar i grzywien, z opłat od zakładania nowych browarów, gorzelń i t. d. Cały roczny przychód tego funduszu nie dochodzi 300.000 zlr. rocznie, ale kapitalizowany od 1875 r. wynieść może do końca 1910 r. w najlepszym razie kwotę 16 milionów, czyli koło 5 razy urzędowo orzeczony dochód wszystkich propinacyj.

Jak widzimy, cały plan niezmiernie prosty, i wyraźnie tak wymierzony, że, o ileby dochód z propinacyi upadał, strata stąd wynikła nie mogłaby nigdy ciążyć tylko nad uprawnionymi, a fundusz powoli zbierający się na ulżenie przykrej finansowo chwili, gdy faktycznie dochód z propinacyi istnieć przestanie, powstaje nie z datków kraju, ale z drobnych opłat szynkarskich i z grzywien

za wykroczenia przeciw prawu propinacyi. Zatem i ten nawet fundusz składają w znacznej części uprawnieni, albowiem opłaty te, ile może, potrąca dzierżawiący propinacyę z czynszu, który godzi się za nią płacić.

Rzecz bardzo naturalna, że gdy rząd wniósł w r. b. projekt do ustawy o opodatkowaniu spirytusu, okładający ten produkt podatkiem sześć razy wyższym niż był przedtem, właściciele prawa propinacyi musieli przewidywać z tego znaczne dla siebie w dochodach ubytki, i dlatego przeciw ustawie o wyższem opodatkowaniu spirytusu głos podnieść zamierzali. Jak zwykle w takich razach, skończyło się układem. Deputowani nasi nowej ustawie się nie sprzeciwili, i owszem za nią głosowali, a parlament wiedeński, widząc oczywiste pokrzywdzenie właścicieli propinacyj, uchwalił na wniosek rządu za te ubytki w dochodach po milionie rocznie przez 22 lat na rzecz uprawnionych, użytek zaś z tego miliona Sejmowi naszemu zawarował. Z uchwały tej parlamentu skorzystał rząd, gdy została sankcyonowaną, by za pomocą tego miliona, funduszu propinacyjnego i przelania prawa propinacyi na kraj, projekt ustawy o natychmiastowem odebraniu propinacyi uprawnionym, za odszkodowaniem tychże obligami przez kraj gwarantowanemi, zredagować i wnieść do Sejmu. Historya i losy tego projektu w czasie bieżącej sesyi są wiadome. Rezultat jest ten, że Sejm oświadczył, iż w zasadzie zgadza się na natychmiastowe wykupienie propinacyj prywatnych, a rzecz do dalszego badania Wydziałowi krajowemu poruczył.

Istotne zamiary rządu, pobudki, jakie go skłoniły do wniesienia takiego projektu, nie są mi wiadome; domysłów naturalnie jest mnóstwo. Jednej wszakże rzeczy rząd stanowczo nie wytłumaczył, ani nie dowiódł, tj. by propinacya przez 22 lat w ręku kraju miała być czemś lepszem, niż taż propinacya w ręku uprawnionych, chociaż od tego trzeba było zacząć. Albo bowiem propinacya jest *odiosum*, a więc niech ginie odrazu i dla uprawnionych i dla kraju, albo nie jest niczem złem, a wtedy cóż szkodzi, że ją ma do czasu uprawniony? Idzie niby o ten jeden na wieki pozostający szynk, ale na to jeszcze wielki czas i wiecznym on z pewnością nigdy się nie stanie. Co zaś do kontroli nad szynkarzami, która mogłaby być skuteczniejszą, gdy szynkarze będą zależeć od kraju, a nie od pry-

watnych, to najprzód wątpliwem jest bardzo, czyby była skuteczniejszą, a potem im będzie skuteczniejszą, tembardziej dochód z propinacyi uszczupli.

Projekt rządowy jeśli co do zasady został przez Sejm przyjęty, co do szczegółów nikomu się nie spodobał. Niska suma wykupna, niski procent obligacyj, i prawdopodobny zły ich kurs, to wszystko odstręczało od niego, a oprócz tego ignorował on zupełnie sposób, w jakiby kraj odebraną na siebie propinacyą miał administrować i jak poradzić, gdyby dochody z propinacyj nie wystarczały na opłatę kuponów od obligacyj. W tym też głównie sensie pracowali członkowie subkomisyi propinacyjnej. Niektórym z nich zdawało się, i sądzę że słusznie, iż operacyi finansowej wielkiej, bo koło 60 milionowej, tylko państwo podejmować się może, nie zaś kraj tak finansowo słaby jak nasz; zdaje się jednak, iż rząd wszelką w tym kierunku nadzieję odjął. Inni zaczęli projekt rządowy modyfikować na różne sposoby, i stąd powstały projekta: p. Abrahamowicza, ks. Lubomirskiego, p. Tomisława Rozwadowskiego, p. Rutowskiego i p. Merunowicza. Projekt bowiem p. Bielińskiego jest, nie o wykupnie propinacyi, bo ją przez 22 lat, zgodnie z prawem z 1875 r. chce mieć nienaruszoną, ale o wykupnie jednego szynku, na którą to operacyę radzi kapitalizować milion, wcielając go do funduszu propinacyjnego, a obdzielając wynikającą stąd kwotą uprawnionych po r. 1910.

Pierwsze trzy z wymienionych projektów są w tem do siebie podobne, iż upatrują właściwy sposób wyzyskania przez kraj nabytego przezeń prawa propinacyi w tem, by takową dotychczasowi właściciele brali od kraju w dzierżawę, albo za całą sumę prawomocnych orzeczeń, albo, jak chce ks. Lubomirski, za pewną ich część; p. Abrahamowicz tego wprawdzie wyraźnie nie mówi, ale zdaje się, iż tej myśli sprzyja, boć za wypuszczaniem propinacyj okręgom w dzierżawę chyba nie orenduje, a administrowania szynków przez kraj się boi. Gdyby więc tym sposobem propinacya choć nie *de jure*, ale *de facto* miała pozostać przez 22 lat, jak chce ustawa z 1875 r., w ręku dotychczasowych uprawnionych, na cóż cała ta ogromna, trudna i niebezpieczna operacya? Chyba na to, by skasować jeden szynk, ale jak mówiliśmy, z szynkiem tym mamy czas. Drogo w tym razie lud opłaciłby ten szynk. Jeszcze raz: jeśli propinacya wielkie

zło, to i *de jure* i *de facto* wymieść ją należy; jeśli nie jest złą, po co to wszystko?

Projekta p. Rutowskiego i p. Merunowicza przynajmniej odrazu i na prawdę propinacyę kasują; jeden proponuje rzeczywistą administracyę propinacyi przez armię krajowych urzędników, drugi z opłat szynkarskich chce tyle wyciągnąć, ile potrzeba na wypłatę kuponów. Wszystkie projekta mówią o możliwych niedoborach, żaden nie wspomina, skąd i jak wielkie one mogą być. O tych niedoborach pomówimy później, a teraz rozbierzemy pokrótce sposoby, jakiemi autorowie projektów radzą je pokryć. Lekarstwa główne na niedobór mają być: 1° zaprowadzenie opłat krajowych od trunków, pobieranych razem z państwowemi, i 2° opłaty szynkarskie. Że zaś nie wiedziano, o ileby się rząd na to zgodził, polecono w uchwalonej 18-go października rezolucyi rokować pod tym względem z rządem; jaki będzie rezultat tych rokowań, czas pokaże. To wiemy jednak już i dziś, że opłata konsumcyjna na rzecz kraju zrujnować musi każdego w kraju gorzelnika (a jest ich wielu), jeśli kraj linią cłową opasany nie zostanie, ażeby zaś się utrzymanie takowej opłaciło, musiałby być ten dodatek bardzo znaczny; jeśli zaś takim będzie, to dodany do obecnej wysokiej akcyzy, i handel okowitą utrudni, i konsumpcyę trunków, a więc i zysk propinacyjny w ogóle znacznie zmniejszy; jeśli zaś ten dodatek konsumcyjny będzie tak mały, że nie opłaci się dowozić z poza granic kraju, to i zysk będzie z niego mały, i taki dodatek nie wpłynie na cenę okowity, a więc będzie najniesłuszniej nie przez konsumenta, ale przez producenta bezzwrotnie zapłacony. Zdaje się nadto, że dodatkowe opłaty do akcyzy na rzecz kraju rządowi pożądane być nie mogą, albowiem zdrażając bardzo produkt, wpływają ujemnie na jego konsumpcyę, a więc w przyszłości i na produkcyę, a zatem i na ogół państwowego dochodu z akcyzy. Jest więc więcej niż wątpliwem, czy rząd na ten sposób pokrywania niedoborów przystanie, a gdyby i przystał, to skutek byłby jeszcze wielce problematycznym, bo co do opłat szynkarskich, to stósowane one dziś już są na małą skalę, a zobaczmy co się stanie, jeśli będą stósowane na większą. Najprzód, w żaden sposób nie możnaby ciągnąć z nich tak wiele, jak sobie życzy p. Merunowicz, który na nich samych chce oprzeć wypłatę kuponów od obligacyj, a więc chciałby pojedyńczy szynk

obłożyć przeciętnie opłatą 300 złr. Opłata taka byłaby niemal niemożliwą do rozłożenia, bo często w jednej i tej samej wsi są trzy szynki, z których jeden wart nieraz więcej niż dwa inne razem; wiemy co w tych razach znaczy położenie. Następnie trzebaby całych zastępów służby, któraby potajemny wyszynk powstrzymywała a tem samem zjadała znaczną część dochodu; oprócz tego w miarę podwyższania opłat, zmniejszałaby się liczba szynków, co na moralność zapewne wpłynęłoby dobrze, ale umniejszyłoby dochód z opłat szynkarskich i prowadziłoby tylko do nadmiernego zbogacenia lepiej położonych co do miejscowości i zasobności szynkarzy. Śmiem twierdzić, że w praktyce bez złych skutków możnaby tylko w dwójnasób podnieść obecnie pobieraną opłatę, co jest bardzo daleko nie tylko od tego, czego żąda P. Merunowicz, ale nawet i od tego, czego życzy sobie p. Abrahamowicz, który opłatę szynkarską tylko za pewną pomoc uważa. A wziąść tu trzeba na uwagę, że jeśli ten ostatni żąda opłat szynkarskich, to z czyjejże kieszeni one wpłyną? Oczywiście, z kieszeni dzierżawców propinacyi, ktokolwiek oni są, ci zaś, by stratnymi nie być, muszą o tyle zniżyć swą ofertę czynszu z danej propinacyi; byłoby to więc, jak mówię, z prawej kieszeni wyjąć, by lewą napełnić. W tym razie opłata ta samych szynkarzy nie dosięgnie, zarówno jak i dziś ich nie dosięga.

Projekta ks. Lubomirskiego i p. Rozwadowskiego kasują propinacyę *de jure*, zatrzymują ją *de facto*; mówiło się już powyżej co to warte. Ale dodać wypada, że o ile te projekta niepotrzebne, o tyle też przynajmniej projekt p. Rozwadowskiego niewykonalny. Gdzież znaleźliby się ci uprawnieni, którzy za czynsz orzeczony zgodziliby się pojedyńcze propinacye 22 lat trzymać; a gdyby się i znaleźli, jakąż dają pewność dotrzymania tak znacznego zobowiązania? Jeśli hipoteczną, to u wielu ta pewność bardzo mała, a jeśli sumy dzierżawne mają być egzekwowane na równi z podatkami, to jakież to pokrzywdzenie wierzycieli hipotecznych przez wypłatę kapitału indemnizacyjnego niezaspokojonych, a takich będzie wielu! Jeśliby zaś na kaucyę zatrzymać chciano obligacye, to na dostateczną kaucyę trzebaby zatrzymać większą ich połowę; kurs wprawdzie będzie lepszy, ale stan finansowy uprawnionych bynajmniej. Nie sądzę, by się to z prawnego już tylko stanowiska utrzymać dało.

Co zaś do projektu ks. Lubomirskiego, który radzi upra-

wnionym puszczać propinacye w dzierżawę za 50% orzeczeń, to nie sądzę, by można nawet występować z nim w Izbie. Uprawnieni według tego projektu tak byliby faworyzowani w rzeczy samej, a jeszcze więcej na oko, iż słuszny okrzyk oburzenia rozległby się w całym kraju na takie obciążenie ludu na korzyść uprawnionych. Jakto! powiedzą, i wynadgrodzenie za całą propinacyę mieliby właściciele tychże ryczałtem odebrać, i *de facto* dalej szynkować, i daleko większą połowę swych dochodów z propinacyi dalej pobierać? A któż to zapłaci? Oczywiście lud! *Absit.* Co do możliwych powodów do znacznego zniżenia dochodów propinacyjnych, jednym z głównych — zdaniem mojem — jest oderwanie propinacyi od gruntu, z którym się zrosła. Propinacya sama bez karczmy, do której ludność przyzwyczajona, i która zazwyczaj w najwłaściwszem założona miejscu, znacznie na swej substancyi utracić musi. Nie będzie to zapewne miało miejsca, gdy ten sam, który prawa propinacyi dla siebie używał, będzie z niego użytkował jako dzierżawca kraju. To głównie było powodem osnucia tylu projektów na wydzierżawianiu propinacyi dawniejszym właścicielom na rzecz kraju. Jeśli się tego nie chce, to trzeba z p. Rutowskim żądać czasowego wywłaszczania karczem na rzecz nowych dzierżawców. P. Rutowski w artykule II swego projektu żąda, by właściciel karczmy musiał ją wydzierżawić krajowi za czynsz, który później oznaczonym zostanie. Kraj może wziąść karczmę w dzierżawę, jeśli chce, i wtedy właściciel oddać ją w dzierżawę musi, a jeśli krajowi wygodnie inaczej, to niech dawna karczma pustkami stoi. Byłby to bardzo nowy stosunek prawny tego dzierżawcy, który może wziąść w dzierżawę kiedy chce i mniej więcej za co chce — z jurysdatorem, który wypuścić w dzierżawę musi i to za to, co mu dadzą. Zdaje mi się, że projekt p. Rutowskiego niewielu znajdzie zwolenników, a gdyby ich znalazł, nie dał by się przeprowadzić. Myśl administracyi propinacyi, na własną rękę zbyt do urzeczywistnienia trudna, a przymusowe wydzierżawianie karczem chyba nowych wymagałoby artykułów w kodeksie cywilnym.

Drugi powód możliwych niedoborów jest zmniejszenie konsumcyi. Dziś już widzimy, zwłaszcza w zachodniej części kraju, krzewiącą się tu i tam wstrzemięźliwość ślubowaną. Jakie to rozmiary przybierze, nikt tego na pewno obliczyć nie może.

W każdym razie, jeśli w ostatnich latach ogółem dochód propinacyjny wzrósł to chyba w miastach; co do wsi, tyle wypadków można cytować gdzie on upadł, co wypadków, że się zwiększył. Ile się przewidzieć da, miasta z powodu lepszego do nich dojazdu, sądów, urzędów, kas zaliczkowych i t. d., rosnąć będą w dochody propinacyjne, na wsiach ogółem dochód prędzej upadnie niż się powiększy. Jeśli do tego, co łatwo przewidzieć, bo prawie być musi, w najbliższych latach równie się podniesie podatek od spirytusu, konsumcya wódki może łatwo o połowę i więcej się zmniejszyć. Przykładu do tego dostarcza sąsiednie królestwo Polskie, gdzie od czasu zaprowadzenia wysokiej akcyzy, konsumcya o blisko 70% spadła. Wystawmy sobie w tym razie lament dzierżawców, czy oni z uprawnionych czy z innych pochodzą, wystawmy sobie wołanie o opust z czynszu, wystawmy sobie egzekucye bez liku na tych, którzy płacić albo nie chcą albo nie mogą! Wołanie w Wiedniu o drugi roczny milion zapewne byłoby wołaniem na puszczy, i radbym tego bliżej poznać, któryby się takiego wołania podjął. A dajmy na to, że się wstrzemięźliwość będzie szerzyć, i dochody propinacyjne będą upadać, czy może w imię dobra funduszu krajowego będziemy przeciw niej występować? Bywały wstrętne ale bardzo rzadkie wypadki, że pojedyńczy uprawniony skargi na księdza szerzącego wstrzemięźliwość wytaczał; lecz tego chyba niedoczekamy, by się urzędowo odezwano przeciw wstrzemięźliwości; a więc trzeba będzie dzierżawcom defelkacye czynić, czyli tracić.

Nie na wiele się przydadzą teorye o coraz większym zysku propinacyjnym przy zdrożeniu napoju; jest to poniekąd prawda, pokąd ludność stać na to by piła; gdy ją niestać, teorya upada.

Dalej, cieszą nas, że wprawdzie konsumcya wódki upadnie, ale konsumcya piwa wzrośnie, bo tak się dzieje w miarę postępu cywilizacyi. Już w Anglii jakoś tego nie widzimy, choć cywilizowana. Ale choćby i tak było to ta sama nieubłagana konieczność, która skłoniła do podwyższenia w sześćnasób podatku od spirytusu zmusi także do podniesienia podatku od piwa, a wtedy i ta nadzieja zniknie.

Ostatnim powodem do niedoborów będą zapewne uciążliwe warunki pożyczki. Koszta samej operacyi są w tym razie o tyle większe, o ile gorszy wierzyciel; byśmy byli, jako kraj,

dobrymi, bezpiecznymi wierzycielami, nie zdaje mi się. Ci więc, którzy pieniądze na cały interes dawać będą, muszą znaleść swą korzyść w wielkości i doraźności zysków, kiedy doczekania się takowych są niepewni. Na każdy sposób kraj od 100—130 milionów w przeciągu 22 lat zapłacić będzie musiał, jeśli uprawnieni mają być odszkodowani sprawiedliwie.

To wszystko jeszcze nic, ale przy bardzo możliwej w niedalekiej przyszłości wojnie, nic nie mówiąc o spadku obligacyj i wynikających stąd klęskach, już sam ruch ludności męskiej ku pułkom i za granice kraju dotkliwie się na dochodach propinacyjnych odbije, a potem kto wtedy krajowi czynsz płacić będzie, a kupon zapłacić się musi. Wojna, mówią, niedługo dziś trwa; zapewne wylew krwi na wojnie w naszych czasach znaczny jest, ale krótki; skutki jednak wojny na kraj już biedny, jak nasz, gdyby nawet była pomyślną, długo uczuć się dadzą. A jeśli będzie niepomyślną, jeśli wypadnie ciężką zapłacić kontrybucyę (by o niczem gorszem nie mówić), i kraj do reszty zubożeje, jakąż dadzą intratę opłaty szynkarskie, dodatki konsumcyjne i propinacyjne czynsze? A tymczasem kupon płacić trzeba, bo wielkie państwo może sobie pozwolić zbankrutować, krajowi pojedyńczemu tego nie pozwolą, zwłaszcza jeśli, jak prawdopodobna, obligacye nie będą już w naszych rękach, ale u obcych. W obec przyszłości bardzo niepewnej, czyż rozsądnem jest, gdy nic do tego nie pcha, zaciągać koło 60 milionów długu, kiedy zaprawdę nie wiemy nawet, czy już drugich 60 milionów długu nie mamy, boć nasz rachunek z indemnizacyi nie jest jeszcze przez drugą stronę tj. państwo ratyfikowany. Takie długi same ze siebie w spokojnym czasie wielce gospodarstwo kraju utrudniają, a cóż dopiero w czasie zawieruchy. Wreszcie uprzytomnijmy sobie, iż kraj oprócz obecnej i przyszłej akcyzy, oprócz mniej więcej 4 milionów na kupon od obligacyj, zapłacić przecież musi i koszta operacyi i koszta administracyi propinacyi, jeśli będzie własna, a zyski szynkarskie jeśli propinacya będzie wypuszczona w dzierżawę; zaprawdę kraj nasz kopalnią złota nie jest, a choćby był, to jużby był wyeksploatowany. Że się nie będzie niedoborów funduszu propinacyjnego pokazywać dodatkami do podatków stałych, to jeszcze wcale nie znaczy, by lud, a więc i kraj straty nie ponosił; owszem straty mieć będzie,

i tu nie dotrzyma się tego, co nagłówek znanej rezolucyi sejmowej stawia za warunek wykupna propinacyi, tj. by kraj na straty narażonym nie był.

Na chwilę wypada nam wrócić do kwestyi jednego szynku i wykupu jego, czy trzy, czy cztero, czy pięciokrotną wysokością prawomocnego orzeczenia. Jedyny to chyba znany wypadek, by szacowano urzędowo prawo czyjeś, którego ten ktoś jeszcze nie ma, ale które za lat 22 mieć będzie; tu się wszystko musi odbywać omackiem. Oprócz tego łatwo zrozumieć, że za 22 lat, jeden szynk w danej miejscowości może być tyle niemal wart co cała propinacya, w innej może tyle co 20-ta jej część. Za lat 22 większość dziś dojrzałego pokolenia żyć nie będzie, nie jestże rozsądniej sprawę tę zostawić tym, których ona bezpośrednio obchodzić będzie i którzy ówczesną wartość owego jednego szynku ocenić zdołają.

Najlepszym dowodem jak wszystkie sposoby innego rozwiązania sprawy propinacyjnej niż według ustawy z 1875 r. są illuzoryczne, jak olbrzymie trudności każdy z nich napotyka, jest bezpłodność dotychczasowych narad. Z członków podkomisyi propinacyjnej zdaje mi się jeden tylko p. Gniewosz za utrzymaniem stanu dzisiejszego przemawiał, inni byli w zasadzie za zniesieniem propinacyi, czemuż się żaden projekt nie utrzymał ani w podkomisyi ani w komisyi, i czemuż dawniejsze sejmy z kolei 9 projektów odrzucały aż przyjęły ten, który obecnie chcemy, a nie umiemy dotąd zmienić? Zdaje mi się, że poprostu dlatego, iż niepodobna znaleść rozwiązania, któreby dla uprawnionych było sprawiedliwem a dla kraju strat nie przyniosło. Albo ucierpią uprawnieni, albo ludność, a w każdym razie niejeden milion z kraju wyjdzie na koszta takiej finansowej operacyi, jaką się obecnie zamierza. Miliony te będą stracone bezpowrotnie, i ani w formie większej moralności się nie wrócą. Bo w końcu co za różnica, jeśli jeden i tensam szynkarz (a wiemy dobrze, że to będzie w ogóle jeden i tensam) rozpaja w imię kraju czy właściciela — jeśli prawda, czemu przeczę, by w imię właściciela propinacyi rozpijał? Jeśli będzie jaka różnica, to chyba na gorsze.

Ustawa z 1875 r. ma najprzód tę ogromną zaletę, że nie ma operacyi finansowej, *alias* długu. Już to samo daje jej pierwszeństwo przed każdą inną. Ludność kraju, ogółem mówiąc, żadnego

z niej ciężaru doznać nie może nad ten, do którego od wieków jest przyzwyczajoną, i to nie dłużej nad 22 lat. Uprawnieni nie są niczyim kosztem odszkodowani, a istotnie odszkodowanemi są, i nadto są wynagrodzeni w sposób właściwy, naturze rzeczy odpowiedni. Według projektów jednych lub drugich, uprawnieni są ryczałtowo wynagrodzeni za rzecz, która z biegiem czasu może być albo o wiele więcej, albo o wiele mniej warta, niż im dziś dać chcą. Przeciwnie według ustawy 1875, uprawnieni dostają za propinacyę, propinacyę ze wszystkiemi jej w górę lub na dół fluktuacyami. Jakiekolwiek będą ich zyski w najbliższych 22 latach, nikt im z onych nic nie zabierze, tylko rząd jak dotąd pewną część; i na odwrót, jakiekolwiek czy ustawy państwowe, czy klęski miejscowe lub krajowe, przewroty polityczne lub społeczne zajdą, nikt w onych nie straci tylko jedni uprawnieni; i w tym sensie ustawę z 1875 r. śmiem nazwać prawdziwie obywatelską. Przeciwnie, wszystkie projekta mają tę zasadniczą, organiczną, konieczną wadę, że lud pod tą lub ową formą płacić będzie musiał, nie tylko znacznie więcej za zniesienie propinacyi, niż ona dziś warta, ale znacznie więcej niż dostaną uprawnieni. Gdzież ta różnica zostanie? Oczywiście w kieszeniach finansistów i szynkarzy.

Nadto, każdy z tych projektów z natury rzeczy wyjdzie na korzyść wielkich fortun, a podetnie średnie. Wielkim majątkom da potrzebny nieraz kapitał; majątki zaś średnie, obdłużone u nas w wyższym stopniu niż są w reszcie Europy, zobaczą się wprawdzie po skończonym interesie bez części długów i opłacanych od nich procentów, (bo pierwotni wierzyciele odpadną, będąc obligacyami z urzędu wypłaceni), ale się też zobaczą bez stałego dochodu, wyższego znacznie od tych procentów, które opłacali dotąd; różnica między wysokością odpadłych procentów, a wysokością odpadłego czynszu propinacyjnego, stanowić będzie niczem niepowetowaną ich stratę.

By być dobrej wiary, trzeba wspomnieć o myśli, która przewodniczyła autorom wszystkich niemal projektów. Myśl ta i mnie obcą nie była; jeszcze w sierpniu b. r. podałem do *Przeglądu* zdanie moje o tej sprawie, a było ono zupełnie takie same, jakie wyraził w swym projekcie p. Merunowicz; chciałem także, by źródłem jedynym dochodów stały się opłaty szynkarskie. Otóż te opłaty szynkarskie wszystkim zaświeciły jako na przyszłość możliwe

znaczne źródło dochodów dla skarbu krajowego. Dodał w tym bodźca, choć go nie było potrzeba, wniosek rządowy, a to w ostatnim ustępie przedostatniego paragrafu, gdzie mówi, że osobna ustawa krajowa postanowi, w jakiej wysokości i na jaki cel mają być opłaty szynkarskie pobierane i po 1910 r. Tu jest rzeczywiście jeden punkt słaby w ustawie 1875 r. Po zgaśnięciu prawa propinacyi cały ten ogromny jak na nasze stosunki dochód ginie, bez żadnego innego dla społeczeństwa pożytku, jak tylko ten, że wódka będzie trochę tańsza. Wszyscy więc projektanci pragnęli, by choć część tego dochodu w formie opłat szynkarskich istniała i nadal. Czy to życzenie dałoby się urzeczywistnieć, czy rząd zgodziłby się na to, niewiadomo wprawdzie, ale nieprawdopodobnem nie jest; czy zaś przy utrzymaniu ustawy r. 1875 możnaby podobną myśl przeprowadzić wątpliwie. Jeśli nie, to zaprawdę szkoda, ale wolałbym z dwojga złego zrezygnować z późniejszych dochodów od szynkarskich opłat, niż się godzić na wielkie spłaty i ciężki dług z wszystkiemi możliwemi stratami i ryzykami, jakie podobne finansowe operacye, w takiem położeniu jak nasze, za sobą pociągnąć mogą.

Jeśli życzenie wykupu propinacyi stało się w kraju dość ogólnem, nie inna w tem przyczyna, tylko przykry stan finansowy większości ziemian. Niejednemu przed oczyma migocą obligacye propinacyjne jakby z nieba spadające, za pomocą których albo uprzykrzonych kilku wierzycieli się pozbędzie, albo córkę za mąż wyda. Niech taki jednak zwróci na to uwagę, że mu dochód propinacyjny, ta obrona od sekwestratora podatkowego, odpadnie na zawsze i że przyjść może czas, kiedy on sam tak będzie płacił za te obligacye, jak do dziś za obligi indemnizacyjne płaci od lat 40; znajdzie on wtedy, że zapłacił sam prawie tyle, ile indemnizacya wynosiła. Wypadku tego nieprzewiduje żaden projekt, mówią wszystkim, że to pijąca ludność zapłaci. Jeśli sama pijąca ludność, ale długo i ciężko, płacić ma, toć i jej szkoda; ale daj Boże, by nigdy nie płacił dzisiejszy uprawniony.

Ależ milion! Oto *panacea universalis* na wszystkie niedobory, o istnieniu której zdawałem się zapominać. Nie przeczę, że bez niego nawet najśmielszy z autorów rzeczonych projektów nie byłby się z niczem mógł odezwać i w ogóle nie byłaby powstała myśl teraźniejsza

wykupu propinacyi. Ale też nikt mi nie zaprzeczy, iż ten milion dwadzieścia i dwa razy powtórzony nie zapełni jeszcze różnicy między tem co ludność w tej lub owej formie zapłaci, a tem co uprawnieni rzeczywiście odbiorą. Czy nam go wolno inaczej użyć jak na korzyść obecnych właścicieli propinacyi, kiedy na to był dany, nie śmiałbym twierdzić. I rządowy projekt i wszystkie inne radzą go użyć na wykup propinacyi; i przecież nie jest on niczem innem jak bonifikacyą przyznaną właścicielom propinacyi za stracone korzyści skutkiem podniesienia akcyzy. Czy w razie rozpoczętej pod tym względem prywatnej akcyi, trybunał państwowy dałby słuszność rządowemu i prywatnym projektom? Wszak milion należy się uprawnionym bez żadnego względu na wykup propinacyi, najprzód bo pierwej był przyznany nim była mowa o wykupie, potem, bo inglobując go w operacyą finansową wykupu, płaci się uprawnionych temi pieniędzmi, które do nich należą, choćby żadnego wykupna nie było. Pogłoska, czy z umysłu puszczona czy nie, że rząd miliona nie wyda jeśli się nie uchwali wykupu propinacyi, zupełnie na strachy na Lachy wygląda.

O użyciu miliona rozmaite są zdania: jedni, jak np. poseł Bieliński, chcą go wcielić do funduszu propinacyjnego, inni szynkownie wykupić, inni rozdać go w naturze, albo co rok, albo zeskontowane dwadzieścia dwa od razu. Uczony profesor albo przeoczył albo nie dodaje, że w tym razie uprawnieni za jeden szynk znów będą zapłaceni swemi własnemi pieniędzmi, bo te 22 milionów są uprawnionym ze skarbu państwa przyznane, a więc ich własne, jak tylko sejm o sposobie rozdania orzeknie. Rozpuszczać milion rocznie, roczną rozdawką po przeciętnie 130 zlr. szkoda; ale eskontowanie go za radą Exc. Grocholskiego może niejednemu chwilowych kłopotów ulżyć i jest środkiem najzupełniej prawnym.

Uciera się w niektórych kołach frazes, że dla dobra kraju już dziś trzeba wykupić propinacyę i że dlatego milion przyznany do kraju należy, i on nim dysponuje. Kraj dysponuje, to prawda, ale tylko na rzecz uprawnionych. Ale jeśli idzie powszechnie o dobro kraju, toć propinacyę i w miastach znieść trzeba, a o tem żaden projekt nie mówi; miasta mają zostać przy propinacyi do 1910 r. Jeśli ona demoralizuje, to gdzież więcej? czy tam gdzie dziedzic, choć jedno oko na sprawki arendarza przymruża (mó-

wię o najgorszych wypadkach), przecież w interesie własnego gospodarstwa patrzeć musi drugiem, by mu do zbytku ludu nie rozpajano i nie demoralizowano — czy tam gdzie nieosobisty magistrat i nieosobista rada miejska z konieczności oszczędzać muszą dzierżawcę propinacyi, zwykle potentata i mającego z natury rzeczy swych sojuszników w Radzie miejskiej: bo bez tego oszczędzania czynsz propinacyjny mógłby upaść, a dodatków gminnych wyższych i płacić samemu niemiło i niepopularnem jest gminie proponować. Sądzę, że mi nikt kłamu niezada jeśli powiem, że z dwojga więcej znalazłoby się pierwiastku demoralizującego w propinacyi miejskiej niż w wiejskiej. Jedna i druga, twierdzę, złem żadnem nie jest, złem jest sam szynkarz; a tu są grzechy dziadów i pradziadów, od skutków których nas żaden, by najmędrzej obmyślany wykup nie uwolni. Zostaje przeciw propinacyi argument, że to feudalny zabytek. Ale puste frazesa nie warte odpowiedzi. Feudalny zabytek na wsi, a niefeudalny w mieście! propinacya przywilej, a kopytkowe nie przywilej!

Niepodobna wchodzić w to, jakie mogą być powody dla których rząd wzniósł swój projekt wykupna propinacyi; wszelkie domysły prywatnego muszą być bezpodstawne, i tylko przypadkiem w części trafne być mogą. Ale co pewne to to, że rząd albo bardzo stoi o to, by wykupno do skutku przyszło, albo nie bardzo. Jeśli to był projekt czysto oportunistyczny, to rząd bez wielkiego żalu do nas zgodzi się na jego pogrzeb. Jeśli zaś rząd z nieznanych nam ale uzasadnionych względów rzeczywiście pragnie wykupu, to niechże przyjście takowego do skutku ułatwi koncesyą, o którą my bardzo dbamy, a o którą nie trudno mu wniosek w parlamencie uczynić. Mam tu na myśli obrachunek z indemnizacyi; załatwienie rachunku tego w myśl znanych, sejmowych uchwał stawia kraj finansowo na zupełnie innej podstawie. Możliwy dług kraju zmniejsza się o kilkadziesiąt milionów, a nadto staje się cyfrą pewną. Znaczne na indemnizacyę opłacane dodatki za lat kilka ustają, i kraj staje się materyalnie zdolnym dopłacać w razie potrzeby nawet dodatkami do podatków stałych na niedobory funduszu propinacyjnego. Operacya choć hazardowna rujnującą stać się już nie może, a łatwiej ludność, której się ulżyło o 30 ct. na każdym reńskim stałych podatków, pociągnąć do opłat niestałych

na konsumcyę trunków. Za tę cenę jednem słowem na wykupno propinacyi zgodzić się można, choć niekoniecznie twierdzę, że trzeba.

Bardzo ważnym brakiem w projekcie rządowym, i to zdaje mi się brakiem umyślnym, jest niewspomnienie ani jednem słowem o przyszłej organizacyi szynkarstwa. Za przykładem rządu i inne projekta mniej więcej milczą o tej rzeczy. A przecież jest ona tak dalece ważną, że nikt jednego argumentu zdrowego za zniesieniem propinacyi mieć nie może, tylko, że trzeba szynkarstwo dokładniejszemu niż dotychczas poddać nadzorowi. Jeśli się nie mylę i rząd o tem myśli, ale gdy ani słowa o tem w ustawie nie wspomniał, znać, że tę sprawę sam dla siebie windykuje. Otóż w tem złe; szynkarstwo nasze, na zupełnie innych podstawach zorganizowane, potrzebuje też zupełnie innego nadzoru niż w innych monarchii krajach, i właśnie dlatego, że jest sprawą zupełnie miejscową, miejscowe organa autonomiczne powinny mieć tu głos. Nadzór samej władzy politycznej tu nie wystarcza, jak nie wystarcza ogólna ustawa przemysłowa. Magistraty miejskie i wydziały powiatowe powinny koniecznie mieć na szynkarstwo wpływ zapewniony. Niby to sprawa inna, zniesienie propinacyi a organizacya szynkarstwa, niemniej ustawa o wykupie propinacyi musi wpływ władz autonomicznych na szynkarstwo zawarować. Bez tego, ustawa taka da władzom administracyjnym szersze atrybucye, niezapewniając należycie jedynych możliwych dobrych z niej skutków. Każdy projekt ustawy o wykupie, rządowy czy nie, pomijający sprawę organizacyi szynkarstwa, winien być już dlatego samego odrzuconym.

Pozwalam sobie wyrazić me przekonanie, oparte na poważnych argumentach, których wartość łaskawy czytelnik osądzi, iż wykup propinacyi jest ryzykowny, i ani dla kraju ani dla uprawnionych niekorzystny, a więc że lepiej jest pozostać przy ustawie z r. 1875. Przyznaję, iż sam do niedawna hołdowałem innym poglądom, i zdając z innemi kolegami wyborcom moim sprawę ze stanu rzeczy, pod zastrzeżeniami godziłem się na wykup. Ale sądzę, że gdzie idzie o interes kraju, nie wstyd zmienić zdanie, kiedy się lepiej przejrzało.

Jan Popiel.

CO TO JEST HYPNOTYZM?

II.

Nadzwyczajny swój rozgłos w ostatniej dziesiątce lat zawdzięcza hypnotyzm d-rowi Charcot'owi dyrektorowi paryskiego szpitalu dla kobiet histerycznych, zwanego *La Salpêtrière.* Istotne atoli początki naukowych badań tych zjawisk, sięgają daleko dalej.

Już pod koniec przeszłego wieku Mesmer lekarz wiedeński otrzymywał podobne zjawiska sposobami na pozór bardzo odmiennymi, ale które później okazały się równoważne z środkami dzisiejszego hypnotyzmu. Najprzód działał on na chorych magnesem, skąd nazwa „Magnetyzmu". Później przekonał się, że pociągnięcia rąk *(les passes)* taki sam wywierają skutek, jak przesuwanie magnesów. Z czego powstała teorya, że w człowieku, osobliwie w niektórych osobach, znajduje się jakiś specyficzny płyn, analogiczny do fluidu, jaki suponowano w magnesie, a który za pomocą pociągnięć miał się przelewać z magnetyzera w pacyenta i dziwne skutki magnetyzmu sprawiać. Jak zawsze bywa w podobnych razach, myślano, że się rzecz tłumaczy przez to, że się przypuściło tajemniczego działacza, dało mu się nazwę i włożyło na jego karb wszystko, czego się tłumaczyć nie mogło. W ten sposób magnetyzm przeobraził się w „magnetyzm zwierzęcy" i doczekał się, jeszcze za czasów Mesmera, nadzwyczajnego rozgłosu. Wszelako komisya wydelegowana przez paryską *Academie des sciences*, a licząca takie powagi jak Lavoisier i B. Franklin, celem zbadania metody i rezultatów leczenia Mesmera,

orzekła po dokładnej obserwacyi, że nie widzi korzystnych skutków dla zdrowia, ani innych wpływów, jak tylko za pomocą imaginacyi. To trzeźwe acz surowe zdanie zbliżało kwestyę do rozwiązania, jakie jej dziś najpoważniejsza nauka daje.

Dalej jeszcze w tym kierunku postąpił sławny doktor z Manczesteru Jemes Braid. Roku 1843 odrzucił on hipotezę fluidu magnetycznego i wykazał, że nie w osobie magnetyzera, ale w stanie nerwów pacyenta trzeba szukać przyczyny tych zjawisk. Skonstatował też w tych zjawiskach wielki udział wyobraźni, i usypiał pacyentów, przez zwrócenie ich wzroku, jak to dziś czynią, na przedmiot błyszczący ponad oczami trzymany. Braid także, odrzuciwszy niestosowną już nazwę „magnetyzmu zwierzęcego", wprowadził imię „hypnotyzmu" — i on właściwie za naukowego wynalazcę hypnotyzmu uchodzić powinien.

Po nim raz po raz kilku lekarzy i fizyologów prowadziło dalej te badania. W r. 1859 czytano w Akademii nauk paryskiej referat Broki o tym przedmiocie. Ale wielką fortunę hypnotyzmu zrobiły dopiero, jak powiedziałem, doświadczenia Charcot'a i jego uczniów w szpitalu *La Salpêtrière*, od r. 1878.

Dr. Charcot pielęgnując swe pacyentki spostrzegł, że trzymając chorą za ręce i wpatrując się jej w oczy, wprawia ją zwykle w sen głęboki, i że w tym śnie pacyentka jest dziwnie od jego woli zależną, przybiera pozy, jakie jej słowem albo gestem nakazuje, wpada w rodzaj katalepsyi, przyjmuje z największą łatwością narzucane wrażenia strachu, radości, bólu, albo znów znieczulenie częściowe lub zupełne, tak że jej można ramię szpilką przekłuwać bez znaku cierpienia; doznaje też hallucynacyj, jakie tylko on jej podsuwa, na jego słowo widzi przedmioty i osoby, których wcale tam niema, opisuje je, rozmawia z niemi. I nie tylko tym przedmiotowym złudzeniom podlega, ale nawet sama w sobie widzieć może inną osobę; gdy się jej mówi, że jest żołnierzem, adwokatem, przybiera odpowiednią minę, pozę i mowę; kiedy się jej mówi, że jest psem, pada na czworaki i szczeka — a po przebudzeniu niczego zgoła nie pamięta.

W dalszym ciągu pokazało się, że pacyentki nie tylko we śnie hypnotycznym ulegają woli hypnotyzera, ale też na jawie spełniają z matematyczną akuratnością rozkazy, które im we śnie dano.

Osoba, której hypnotezer kazał, żeby trzeciego dnia o tej samej godzinie do niego przyszła, po przebudzeniu o niczem nie wie, trzeciego dnia, gdy nadchodzi godzina, porzuca ni stąd ni zowąd gości, których miała w domu, i biegnie do doktora; a gdy ten, udając, że o niczem nie wie, pyta ją po co przyszła, ona wyszukuje jakiś błahy powód, żeby wytłumaczyć swoje przyjście — widocznie o prawdziwym powodzie nic zgoła nie wie.

Dalej posypał się cały szereg coraz dziwniejszych zjawisk i doświadczeń: hypnotyzowanie bez uśpienia, rozkazy samą myślą dawane, dziwny wpływ magnesów, działanie rozmaitych lekarstw i substancyj chemicznych z daleka trzymanych... I do dziś dnia dyrekcya szpitala *la Salpêtrière* zarzuca świat uczony swemi senzacyjnemi odkryciami [1].

Rozumie się, że niebawem oprócz Paryża w wielu miejscach zabrano się do sprawdzania i dalszego badania tych dziwnych zjawisk. W szczególności dr. Berheim w Nancy i dr. Heidenhain profesor fizyologii w Wrocławiu, odznaczyli się ścisłością obserwacyi i trzeźwością zdania. Zarzucili oni Charcot'owi, że czyniąc zawsze swe doświadczenia na kobietach histerycznych, otrzymuje zjawiska skomplikowane, w których trudno rozeznać co jest skutkiem samego hypnotyzmu, a co może pochodzi od tak kapryśnej choroby jak histerya. Oni więc jęli eksperymentować na mężczyznach silnych i zdrowych: żołnierzach, tragarzach, osobliwie na własnych uczniach, i to w swoich aulach i gabinetach naukowych.

W ten sposób odbywanym doświadczeniom byłem sam obecny, i we Francyi i w Krakowie, w gabinecie p. profesora Cybulskiego [2],

[1] Próbowano także w *La Salpêtrière* ugrupować postrzegane zjawiska i odróżnić stany po sobie następujące. Dr. Charcot trzy takie stany oznacza: letargiczny, kataleptyczny, somnambuliczny. Inni jednak badacze pięć takich stanów odróżniają; niektórzy jeszcze więcej. Wielu zaś, i zapewnie najsłuszniej twierdzi, że te klasyfikacye nie mają naukowej podstawy, i że głównie od hypnotyzera i hypnotyka zależy, w jakim porządku przychodzą symptomata i z jakiemi znamionami.

[2] Pracę prof. Cybulskiego „O hypnotyzmie ze stanowiska fizyologicznego“ (Kraków 1887) uważam za jedną z najcenniejszych w tym przedmiocie, łączącą trzeźwość poglądów z bogatym zasobem własnych badań i doświadczeń. I tę pochwałę oddaje mu także dr. Matlakowski w *Gazecie lekarskiej*, (Nr. 23)

który był tak uprzejmy, że umyślnie dla mnie hypnotyzował swego ucznia p. K. i dał mi sposobność badania samemu hypnotyka i kierowania jego snem. Śledziwszy od samego niemal początku tę kwestyę tak ważną dla psychologii i etyki, chciałem módz o niej dać sprawę *de visu*.

Otóż hypnotyzm z tak bliska i w naukowym kole widziany, nie przedstawia się wcale tak czarnoksięsko. Prof. Cybulski posadziwszy pana K. przed sobą, wpatrywał mu się tylko w oczy przez parę minut — i zaraz pacyent przybrał wyraz człowieka w ciężkim śnie pogrążonego. Wiadomo, że medium czyli osoba, która już kilka razy hypnotyzowaną była, usypiać się daje z największą łatwością. Na zapytania p. K. odpowiadał najprzód głosem gardłowym i niewyraźnie, jak zwykle człowiek przez sen mówiący. Ale gdy mu kilka razy kazano wymawiać wyraźniej, zaczął mówić zrozumiale. Kiedy mu kazano wstać i chodzić, suwał z początku nogami po ziemi, bo miał w nogach i w całem ciele tężec, ale i to się powoli, przez powtórzone rozkazy i pociągnięcia usunęło.

Zaczęto wtedy suggestye czyli poddawania mu myśli, ktore on amplifikował i stósował się do nich w ruchach, jak człowiek, który o czemś śni. Ja sam poddałem mu suggestye, że nieprzyjaciele Kraków zdobywają (były wówczas czasy bardzo wojenne); p. K. objawił przestrach, mówił że słyszy huki armat i począł się troszczyć o jakiś przedmiot, który w domu zostawił. Twierdziło wielu za Charcot'em, że hypnotyk jest wyłącznie pod wpływem tego co go uśpił; jestto tylko wtedy prawdą, kiedy pacyent usypiając był wyłącznie hypnotyzerem zajęty. Ale kiedy miał przed

---

ubolewając nad tem, że prasa warszawska, otrębując dowcipy p. Ochorowicza, przemilczała to piękne i prawdziwie naukowe studyum.

Zasługuje jeszcze w naszej literaturze o hypnotyzmie broszura dra Aleksandra Raciborskiego „Hypnotyzm w paryskim szpitalu *La Salpêtrière*“ (Lwów 1887). Jest w niej wiele szczegółów skrzętnie zebranych i ugrupowanych podług szablonu Charcot'a. Żałuję tylko, że autor był zanadto wyłącznie pod wpływem grona lekarzy z *La Salpêtrière*, i nie zwrócił na to uwagi, jak wiele zjawisk, o których mówi, doznało w innych szkołach i od innych badaczy zaprzeczenia lub całkiem odmiennego wyjaśnienia. Prawda, iż w samym tytule A. nas ostrzega, że hypnotyzm według szkoły *La Salpêtrière* chce wyłożyć.

oczyma lub na myśli i inną osobę, to i z nią może być w stosunku — a ja właśnie byłem w tym przypadku objęty uwagą hypnotyka.

Spróbowaliśmy też pozornej katalepsyi. Ramię przez nas podniesione, głowa przechylona, zostawały w nadanem położeniu. Kiedy mu powiedziano, że ramienia spuścić nie może, silił się żeby je spuścić, i nie mógł. Ale kiedy drugą razą zamiast powoli podnieść podrzucono mu tylko ramię, zaraz je opuścił. Widocznie za pierwszą razą powolne podniesienie i chwilowe przytrzymanie ramienia były dla jego wyobraźni suggestyą, że ma tak ramię trzymać, i dlatego je trzymał.

Po kilku takich suggestyach byliśmy świadkami ciekawego zjawiska, o jakim rzadko się czyta. Hypnotyk stał się nagle głuchy na wszystko cośmy mu mówili, nie czuł nawet ciągnięcia za połę; z własnego popędu usiadł przy jakimś stoliku, otworzył dużą książkę, która tam przypadkiem leżała, i zatopił się w niej, pokazując sobie palcem i szepcąc jakieś liczby (których w tej książce nie było). Nie mogliśmy go z tego zatopienia wydobyć, ani zrozumieć co się stało: aż kolega pana K. wydobył zamkniętą kopertę, którą tenże powierzył mu przed doświadczeniem. W kopercie znaleźliśmy zapisaną suggestyę, którą p. K. sam sobie chciał poddać: mianowicie chciał się przenieść myślą do Czytelni Akademickiej. Otóż w czasie snu hipnotycznego przyszła mu widocznie na myśl ta właśnie suggestya; przeniósł się we śmie do Czytelni; a że był tam kasyerem, więc zabrał się do rachunków. I dla tego nas ani widział ani słyszał, bo nas nie było w Czytelni — byliśmy poza sferą jego snu.

Trzeba już było pacyenta obudzić. Poprzednio Dr. Cybulski poddał mu był suggestyę, żeby po przebudzeniu wziął kalosze, które leżały przy drzwiach, postawił je na stole i włożył w nie ręce. Przebudzenie było łagodne; pacyent przetarł oczy, przybrał wyraz twarzy budzącego się, uśmiechnął się, na zapytanie odpowiedział że niczego nie pamięta i że mu nic nie dolega. Ale jeszcze nie był naturalny. Po chwili już nie odpowiadał na pytanie, chodził po pokoju z niepokojem, nareszcie zapatrzał się w kalosze i powoli, jakby z namysłem, wykonał wszystko co mu było poddane. Lecz w tej chwili właśnie przebudził się dopiero na prawdę i twarz mu zupełnie wyjaśniała, z wyrazem zupełnej przytomności.

O tem co z kaloszami zrobił nic nie wiedział. Pierwsze przebudzenie było tylko pozorne: przejście z cięższego snu w lżejszy. Ci, co miewają częste sny, świadomi są tego, jak się czasem człowiekowi śni, że się przebudza, i jak wówczas odróżnia człowiek ten pozorny stan jawu od snu poprzedniego.

W tem wszystkiem, jak każdy widzi, jest mało cudowności, a wiele analogii ze snem naturalnym. Jakoż, im więcej czyniono takich doświadczeń ścisłych, na mediach zdrowych, tem więcej odpadało szczegółów nadzwyczajnych i przeciwnych znanym dotychczas prawom fizyologii i psychologii.

I tak, opisy Charcot'a o rozkazach danych we śnie a wypełnianych na jawie, chwytane były w lot przez psychologów materyalistów na poparcie ich teoryi. Zaraz Ribot w swej *Revue philosophique* kul z tego dowód przeciwko pewnikowi wolnej woli. Ja sam, pamiętam, czytając o tem, nie wiedziałem na razie, jak sobie tę sprzeczność wytłumaczyć. Wtem Bernheim dowiódł, że to wypełnianie suggestyi na jawie nie jest bynajmniej nieuchronnym. Człowiekowi, któremu dano taki rozkaz, przychodzi w oznaczonym czasie myśl, popęd do zrobienia wskazanej rzeczy, i on zwyczajnie, kiedy nic niema przeciwko temu, robi co mu ten popęd poddaje; ale kiedy tej myśli sprzeciwiają się jego zasady, lub inne ważne pobudki, wówczas widocznie waha się, i często nie ulega. Młodemu człowiekowi każe Dr. Bernheim w śnie hypnotycznym, żeby po przebudzeniu ukradł zegarek leżący na kominku; potem budzi go i wychodzi z pokoju; ale obserwuje przez szparę. Młodzieniec po chwili zwraca uwagę na zegarek, przybliża się, bierze go do ręki, rumieni się — i odkłada na miejsce [1]. Widocznie jest podnieta, ale zostaje wolna wola. Charcot eksperymentuje tylko na osobach, w których nie znać żadnej odpornej siły moralnej, i dla tego zapewnie nie spotyka się z oporem. Jeśli zaś kiedy pokazuje się prawdziwy determinizm w wypełnieniu rozkazów na jawie, to wówczas, albo przebudzenie nie było prawdziwem i stan jawu nie jest zupełny, jak w doświadczeniu z panem K., które wyżej opowiedziałem; albo też, gdy rozkaz dopiero po kilku dniach się spełnia, to pacyent w ozna-

[1] „*De la suggestion* dans l'état de veille par le Dr. Bernheim, prof. de la faculté de médicine à Nancy. (Paris 1884).

czonej porze, w skutek otrzymanej suggestyi zasypia i w tym stanie półsnu hipnotycznego rozkaz wykonuje. Takie jest zdanie prof. Cybulskiego i opisy zachowywania się hypnotyków w tych razach za tem przemawiają. W stanie zaś sennym rzecz prosta, że hypnotyk ulega machinalnie, bo nie ma wolnej woli, ani też odpowiedzialności.

Podobnie mniemany wpływ magnesu, kruszców i lekarstw w flaszeczkach zamkniętych na osoby zahypnotyzowane, okazał się przy ściślejszem badaniu, czystym wpływem wyobraźni. Te same skutki wywierały sztaby nie magnesowane i próżne flaszeczki, kiedy hypnotyk nie wiedział o zmianie; i odwrotnie, prawdziwe magnesy i lekarstwa żadnego skutku nie wywierały, kiedy je tak przybliżano, że pacyent wcale ich nie spostrzegał [1]. Co nie jest dowodem oszukaństwa ze strony hypnotyków, ale dowodem, że podniecona wyobraźnia wywoływała zauważane zjawiska.

Co się tyczy mniemanej władzy hypnotyków do odnajdywania rzeczy ukrytych, widzenia przez ściany, czytania listów zamkniętych i t. p., to i temu wszystkiemu ściślejsze badania podcięły skrzydła. Nie ma wątpliwości, że w hypnozie zachodzi często pewna exaltacya władz psychicznych, jako też spotęgowanie wrażliwości zmysłów. Hipnotyk może sobie w tym stanie przypomnieć z największą dokładnością rzeczy, o których od dawna zapomniał, tak dalece, że weźmie te wiadomości za zupełnie nowe. Wyobraźnia jego może się okazać daleko żywszą i plastyczniejszą niż zwykle, myślenie daleko prędsze... Ale podobne fakta zdarzają się i w snach naturalnych, i jeszcze bardziej w naturalnym somnambulizmie; a jak zobaczymy, dają się do pewnego stopnia wytłumaczyć.

Lecz jak tylko przechodzimy do wspomnianych wyżej władz pokrewnych z jasnowidzeniem, zaraz spotykamy się z szarlataneryą. Już uczniowie Mesmera i późniejsi magnetyzerzy wiele robili hałasu z takimi popisami. Roku 1837 akademia paryska ofiarowała 3.000 fr. temu, coby pokazał niewątpliwy fakt jasnowidzenia. Trzy lata czekano zanim się ktoś o to pokusił. Nareszcie zjawiła się jakaś panna Emilia z Prowancyi, wysłana przez Dra Houblier; po-

[1] Cf. Dr. Cybulski l. c. str. 75. To samo czytałem w studyach o hypn. w *Revue philosophique.*

tem niejaki Pigeaire z Montpellier z 11-letniem dzieckiem; w końcu pewien p. Terte. Nie potrzebuję dodawać, że gdy ich wzięto pod ścisłą kontrolę, przekonano się, że każdy z nich przyjechał z przygotowanym oszukaństwem, a ze wstydem odjechał [1]. W Anglii dwaj doktorowie Simpson i Crampton, zamknęli banknot wielkiej wartości w pudełku dobrze oklejonym i opieczętowanym, i złożyli pudełko u notaryusza, ogłaszając w gazetach, że odstąpią banknot temu, kto potrafi za pomocą magnetycznego jasnowidzenia wyczytać numer banknotu przez ściany pudełka. Nikt się nawet do próby nie stawił. Nie ma potrzeby, sądzę, więcej tych doświadczeń opowiadać.

Najzaciętszy atoli i najdonioślejszy toczy się spór około kwestyi, czy hypnotyk oddziaływa tylko na te rozkazy i wrażenia, które przez jakikolwiek zmysł do jego wyobraźni dochodzą, czy też jest jakaś bezpośrednia komunikacya między myślą hypnotyzera a myślą hypnotyka, tak żeby rozkazy tylko w myśli sformułowane udzielały się jakoś osobie hypnotyzowanej, niezależnie od odległości.

To myślne udzielanie rozkazów i stanów duszy, nazwane *suggestion mentale*, znajduje oczywiście wiele zwolenników między felietonistami i powieściopisarzami, jest to nowy temat i senzacyjnych elukubracyj — które się dziś także „studyami“ nazywają. Ale między uczonymi to przypuszczenie mało znalazło wiary i uznania. Najważniejsza książka w formie naukowej w tym kierunku napisana, wyszła z pod pióra p. Ochorowicza po francusku pod tytułem *La suggestion mentale* [2]. Autor wylicza najprzód i opisuje szereg bardzo ciekawych wypadków i doświadczeń, w których niewprawny i nieostrożny obserwator uznałby niewątpliwie suggestyę czysto myślną. Pan Ochorowicz jednak, poddając je ścisłej krytyce, wykrywa w każdym przypadku jakieś niepostrzeżone sposoby i znaki, któremi myśl mogła się przez zmysły udzielić. Raz hypnotyk z wyrazu twarzy, z nieznacznego i mimowolnego ruchu warg, mógł wyczytać myśl hypnotyzera, podobnie jak wykształceni

---

[1] „Le Magnétisme animal“ par le Dr. Francotte. *Revue des questions scientifiques*. Tom X, p. 412.

[2] *La suggestion mentale*, p. le dr. Ochorowicz etc., avec une préface de Mr. Charles Richet. Paris, 1887.

głuchoniemi czytają słowa na ustach mówiących; drugi raz sam sposób pytania i inne okoliczności, pozwoliły hypnotykowi odgadnąć o co chodziło; innym razem znowu assocyacya idei przypadkowo nawiązana tłumaczy pozorny wpływ myśli; czasem takie samo doświadczenie już było poprzednio robione, i hypnotyk pamięta co ma odpowiedzieć. Niekiedy *medium*, znając od dawna swego hypnotyzera i jego tryb życia, domyśla się, co on robi o pewnej godzinie, co myśli o pewnej rzeczy, w jakkolwiek wielkiem oddaleniu. Wytworzyła się między nimi jakby *harmonia praestabilita*, która łudząco naśladuje bezpośredni duchowy związek.

Dalej wylicza autor drugi szereg doświadczeń i obserwacyj, gdzie już powyższych skrytych sposobów udzielania myśli nie znajduje. Suggestya myślna zdaje mu się w tych przypadkach „prawdopodobną", ale jeszcze jakieś subtelne zostają wątpliwości. W ten sposób zjednawszy sobie powagę krytycznego i ścisłego obserwatora, autor opowiada trzeci szereg wypadków, które uważa już za stanowcze dowody czysto myślnego poddawania.

Przechodząc do teoryi, p. Ochorowicz odrzuca słusznie i na podstawie dobrych doświadczeń, starą hypotezę fluidu magnetycznego, oraz hypotezy spirytystów o wędrówkach duszy poza ciałem, o „promienieniu ducha" i tym podobne baśnie; sam zaś stawia teoryę, którą tu w dwóch słowach skreślam. Mózg, przy funkcyi myślenia jest jakiemś centrem dynamicznem, niby maszyną, gdzie się wykonuje nie mała praca mechaniczna. Ta zaś praca nie ogranicza się na sam mózg, ale promienieje w dal, właściwym sobie ruchem, podobnie jak piec promienieje ciepłem. Otóż ten ruch, spotykając drugi przyrząd harmonijnie dostrojony, tj, drugi mózg do pewnej harmonii z pierwszym doprowadzony, może w nim wywołać taki sam stan dynamiczny, a więc takie same myśli, jak w pierwszym mózgu — podobnie jak zdarza się, że ton wzięty na jednym muzycznym instrumencie odzywa się niekiedy na drugim, nastrojonym jednakowo. Na innych zaś mózgach, choć bliżej położonych, ten sam ruch żadnego dostrzegalnego nie wywrze wpływu, dla tego że nastroju podobnego nie mają.

Co sądzić o takiem tłumaczeniu? — Zamiast rozprawiać długo i szeroko, jak czyni P. Ochorowicz, o absolutnej możliwości udzielania się myśli przez promienienie mózgu, trzeba było

najprzód dobrze obserwować i przekonać się doświadczalnie, czy w ogóle takie promienie, albo jakikolwiek wpływ fizyczny jednej osoby na drugą, istnieje w hypnotyzmie; trzeba było, jak czynią zawsze prawdziwi uczeni i wynalazcy, postawioną hipotezę ścigać z bliska empirycznie, obsaczyć ją zręcznie wymyślonemi doświadczeniami... Tego wszystkiego nie ma śladu w książce p. Ochorowicza. Widać natomiast, że jego hipoteza prowadzi go na wcale nie naukowe drogi. Przypuściwszy taki wpływ hypnotyzera na hypnotyka, na tem buduje p. Och. swoją teoryę leczniczą czyli terapię magnetyczną: „jak mózg tak i ręka zdrowa jest, zdaniem jego, centrem dynamicznem, które w zbliżeniu do części chorych innego ciała „przywraca w nich zakłóconą równowagę życiową". Ale gdy przyszło do jawnych doświadczeń w klinice warszawskiej, w marcu i kwietniu b. r., ani śladu mniemanego wpływu nie można było sprawdzić[1]. Owszem wszystkie nowsze i dokładniejsze doświadczenia, w Nancy i w Wrocławiu i indziej wnosić każą, że żadnych takich wpływów dynamicznych czy fluidowych niema, i że wyobraźnia we wszystkiem pośredniczy[2]. Jeżeli zaś faktem jest, że w bliskości takie wpływy nie istnieją, to pocóż je szukać w odległości setek kilometrów?

W końcu, racya bytu tej całej teoryi, tj. fakta suggestyi myślnej, jakie p. Ochorowicz i inni przytaczają, nie mają wcale naukowej wartości. Jakżeż wyglądają te fakta? — To p. Ochorowicz eksperymentuje sam nad osobą nerwowo chorą i już często przez niego hypnotyzowaną (która więc może nie jednego się domyślić); to p. Gibert w Hawrze każe w myśli kobiecie, również często przez siebie magnetyzowanej, żeby do jego mieszkania przyszła, a gdy ona zaraz nie przychodzi, tak się koło niej kręcą towarzysze p. Giberta, świadomi rzeczy, że trudno, żeby się ona czegoś nie domyślała; to znowu p. Ochorowicz nakazuje osobie cierpiącej położyć się do łóżka (co i bez tego było do zrobienia)... Doprawdy nie widzę radykalnej różnicy między pierwszą seryą doświadczeń p. Ochorowicza, które on sam uważa za fałszywe, a trzecią seryą, w której prawdziwą suggestyę myślną upatruje. To

[1] Ob. sprawozdanie o tych eksperymentach Dr. Szumlańskiego ordynatora kliniki terapeutycznej wydziałowej „Zdrowie". Maj 1888.

[2] Dr. Cybulski l. c. str. 76.

subtelne wykrywanie złudzeń i pomyłek, które on względem pierwszych doświadczeń przeprowadza, aby nas przekonać o swoim krytycyzmie, mnie do wręcz przeciwnego prowadzi wniosku. Zdaje mi się, że niejedno z tych samych złudzeń tłumaczyć może i fakta, które autor za prawdziwą suggestyę myślną bierze. A obok tych złudzeń, które on tak przenikliwie podpatrzył, wiele innych przy takim obserwowaniu zakraść się mogło, na które żadnej nie zwrócił uwagi. Przypominam p. Ochorowiczowi co w 1. rozdz. swej książki powiedział: „Przekonałem się, że magnetyzer zręczny, mający do „czynienia z medyum należycie wyedukowanem, może doskonale „naśladować suggestyę mentalną, albo również sam być oszuka„nem przez nieświadome assocyacye. Świadkowie opo„wiadając takie fakta, odmieniają je i ozdabiają mimowolnie, „w skutek tej psychicznej władzy, cennej dla sztuki, ale w nauce „niebezpiecznej, którą zowią wyobraźnią dopełniającą“ [1].

Ostatecznie, to nie na takich obserwacyach czysto osobistych i pokątnych, budować można teoryę naukową, zwłaszcza tak głęboko podkopującą dotychczasowe poglądy; ale trzeba na to obserwacyj i doświadczeń robionych w otoczeniu naukowem, wiele razy identycznie powtarzanych i mogących się w tych samych warunkach dowolnie powtarzać. Otóż, ile razy powołano suggestyę myślną pod tę ścisłą kontrolę eksperymentacyi naukowej, tyle razy zawiodła najzupełniej. Sławny magnetyzer Lewis twierdził, że poddaje myśli swej towarzyszce Somnambulce w jakiejkolwiek odległości: przedzielono ich tylko drzwiami; w jednym pokoju Lewis robił gesty, a kilku lekarzy je zapisywało; w drugim pokoju siedziała somnambulka mająca te gesty naśladować, i również paru lekarzy zapisywało co ona robi. Zestawiwszy oba protokóły, przekonano się, że nie było cienia zgodności. Przyjaciel Dra Noble'go magnetyzował swą służącą w odległości; Dr. Noble chcąc się o tem przekonać, sprowadził do siebie tę służącą pod innym pretekstem i posadził ją na krześle przy drzwiach, za którymi w drugim pokoju jej pan magnetyzował ją z całej siły. Po całej godzinie, pan ze zmęczenia ustał, a służąca nie spała — bo o niczem nie wiedziała. Odwrotnie Dr. Elliotson powiedział zwykłemu swemu *medium*, że

[1] La suggestion mentale. Str. 24.

będzie ją z drugiego pokoju magnetyzował; tymczasem zajął się w drugim pokoju zupełnie czem innem. Ona swoją drogą wpadła w sen hipnotyczny, pod wpływem własnej wyobraźni [1].

Nie będę czytelnika nużył mnożeniem tych faktów, których mnóstwo czytać można w najnowszych naukowych pracach o magnetyzmie i hipnotyzmie, i zakonkluduję z naukowemi powagami w tym przedmiocie jak Heidenhain, Delboeuf, Bernheim — do których i prof. Cybulskiego zaliczam — że suggestyę myślną możemy dzisiaj za niebyłą uważać.

III.

Oczyściwszy w ten sposób hypnotyzm z naleciałości, które imaginacya ludzka przyczepia zawsze do rzeczy nowych i mało zbadanych, przystąpić wreszcie możemy do kwestyi: co to jest w gruncie ten hypnotyzm? jak go sobie wytłumaczyć można?

Tłumaczyć znaczy sprowadzić nieznajome do znajomych danych. W biologii, czyli w całej sferze nauk badających objawy życiowe, te pierwotne dane nie mogą być tak jasne i proste, jak np. w mechanice, bo mieszczą zawsze w sobie tajemnicę życia. Dosyć na tem, kiedy są faktami lub prawami ogólniejszemi, powszechniej znanemi. W takiej kwestyi jak hypnotyzm, tłumaczenie fizyologa będzie zależało na wskazaniu odmian w organizmie, które spowodować mogą, według znanych już praw, podobne zjawisko [2]. Tłumaczenie psychologiczne, o jakie nam tu głównie chodzi, zależyć musi

[1] „Le Magnétisme Animal." p. le Dr. Francotte l. c. — Pokrewny z tą suggestyą myślną, jest znana sztuka Cuberlanda, zależąca na tem, że się odnajduje przedmiot schowany lub pomyślany, trzymając za rękę lub za plecy osobę, która myśli o tymże przedmiocie. Przypatrzywszy się temu zbliska i zrobiwszy kilka doświadczeń, przekonałem się, że nie ma w tem wielkiej sztuki: bo osoba zajęta wyobrażeniem schowanej rzeczy i jej miejsca, prowadzi mimowolnie uważnego eksperymentatora, nieznacznemi poruszeniami ręki lub ramion, aż do samego pomyślanego przedmiotu. To też z przyjemnością przeczytałem, że p. Ochorowicz do tego samego przyszedł wniosku, i że Dr. Richet w Paryżu to samo naukowo zbadał i udowodnił.

[2] To właśnie uczynił prof. Cybulski w pracy: „O hypnotyzmie ze stanowiska filozoficznego".

na wykazaniu analogii, czy pokrewieństwa, między tym objawem a znanemi już stanami psychicznemi: przez co rzeczony objaw przestanie się wydawać anormalnym, faktem *sui generis*, i wciągnie się w szereg znajomych. A jeśli nadto uda się wskazać czynnik psychiczny, mogący te zjawiska wywołać i faktycznie w nich czynny, to już tłumaczenie, z punktu psychologicznego, zadowolnić powinno.

Otóż co do hypnotyzmu, zdaje mi się, że takie tłumaczenie jest możliwem — i że wypływa już samo przez się z tego, co się dotąd powiedziało. Hypnotyzm nawiązuje się do znanych stanów: snu zwyczajnego, śnienia i somnambulizmu, jest on odmianą w tym samym rodzaju; różni się od tamtych stanów przez to głównie, że go się umyślnie czyli sztucznie wywołuje i kieruje; a głównym czynnikiem, któremu przypisać można jego objawy, jest nie co innego tylko wyobraźnia. Przekonamy się o tem, przechodząc po kolei główne momenta hypnotyzmu, które wytrzymały krytykę.

Najprzód samo wywołanie stanu hypnotycznego dzieje się temi samemi sposobami, jakimi się też sen zwyczajny sprowadza. Hipotezy fluidu magnetycznego lub jakiegokolwiek fizycznego wpływu magnetyzera są, jak widzieliśmy, uchylone przez naukowe doświadczenia [1]. Całe hypnotyzowanie polega na tem, żeby skupić jakimkolwiek sposobem uwagę i myśli pacyenta na jedną rzecz, najlepiej na myśl zaśnięcia. W tym kierunku wpływają na wyobraźnię pociągnienia rąk, trzymanie przed oczyma przedmiotu błyszczącego, patrzenie w oczy i t. p. Ale więcej niż sztuki magnetyzera pomagają do tego pewna wprawa i dobra wola samego pacyenta. Otóż wiadomo, że i sen zwyczajny sprowadza się przez takie skupienie w jedną myśl lub jedno wrażenie. Jednostajne kołysanie usypia dziecko; jednostajny głos czytającego usypia słuchaczów, jeśli ich treść le-

---

[1] Na dowód tego między innemi profesor wrocławski Heidenhain hypnotyzuje, każąc po prostu wsłuchiwać się w chód zegarka, i wszystkie zjawiska hypnozy wywołuje, oczywiście bez wpływu magnetycznego. Prof. Bertrand przesyła swej pacyentce list wrzekomo magnetyzowany i ona od dotknięcia tego listu zaraz wpada w sen hypnotyczny; — tymczasem Dr. Bertrand ani magnetyzował tego listu, ani go się dotknął, a ją uśpiło wyobrażenie, że ma usnąć. Przypominam też przytoczone wyżej doświadczenie Noble'ego, Elistsona, zastępywanie magnesów przez sztaby nie magnesowane etc.

ktury nie budzi; nie mało osób zasypia kiedy chce, przez samo myślenie o uśnięciu.

Dziwniejsze jest na pozór kierowanie snem hypnotyka przez hypnotyzera, ale i to nie jest czemś anormalnem w zjawiskach snu. We śnie zwyczajnym, jak każdemu z nas wiadomo, wrażenia z zewnątrz przychodzące dochodzą choć głucho do tej sennej świadomości, jaką wówczas mamy, i jeśli się nam wówczas śni, wpływają na kierunek tego snu. Kiedy kołdra z łóżka się zsunie, śni się o podróżach biegunowych; stuk jakiś wywołuje niekiedy cały epizod we śnie. Filozof Reid, zasnąwszy w ciasnej czapeczce, ma tragiczny sen, że go dzicy skalpują. Przyjacielowi Dugald'a Stewart'a śni się, że widzi wybuch Wezuwiusza; ocknąwszy się postrzega, że włożono mu w nogach blaszankę z ciepłą wodą; ciepło we śnie uczuł, ale do innej odniósł przyczyny. Jak inne wrażenia tak i słowa mogą na bieg snu wpływać. Wiadomo, że gdy ktoś przez sen mówi, można odpowiadając stosownie do wątku snu, wejść w rozmowę ze śpiącym. Kiedy byłem w nowicyacie Starowiejskim, dwóch z moich kolegów, mających zwyczaj mówienia przez sen, mieszkało razem w jednym pokoju. Pewnego ranka, braciszek który budził, zbliżając się do tego pokoju, słyszy, że tam głośno mówią. Dziwi się tak niewczesnej rozmowie i wchodzi ze światłem. Aż tu dwaj nowicyusze śpią w najlepsze, i głośno odmawiają naprzemian różaniec: jeden mówi Zdrowaś... drugi odpowiada: Święta Maryo... Widocznie jeden przez sen zaczął mówić paciorek, to wpłynęło na bieg snu drugiego, i tak przyszło do wspólnego odmawiania różańca.

Otóż między tym kierowaniem snu zwyczajnego, a wpływem hypnotyzera jest podobieństwo, które każdemu w oczy wpada. Hypnotyzer poprostu swemi słowami lub gestami kieruje snem hypnotyka, poddając mu myśli i chcenia, które jego wyobraźnia amplifikuje i w czyn przeprowadza. A że właściwością snu hypnotycznego, tak samo jak zwyczajnego, jest zupełne zawieszenie woli — *abulia* — stąd ta uległość dla poddawanych suggestyj. W śnie zwyczajnym unosi nas od przypadku bezładna assocyacya wyobrażeń, w hypnotyzmie pacyentowi śni się pod kierunkiem magnetyzera.

Ale skąd ten wyłączny stosunek z magnetyzerem? Stąd poprostu, jak powiedziałem, że hypnotyk zasnął w tej myśli, że ma

jemu ulegać; magnetyzer jest w jego śnie, że tak powiem, inne osoby są poza sferą snu. Stąd też, jakeśmy widzieli, ta wyłączność nie jest absolutną: hypnotyk może też innym osobom być posłusznym, kiedy o tem myślał przy zaśnięciu. Wreszcie faktem jest, że taka wyłączność stosunku z pewnemi osobami i w śnie naturalnym zachodzi. Matka, która karmi, obudzi się w ciągu nocy na najmniejszy ruch dziecka, a inne osoby nie mogą się jej dobudzić: bo o dziecku ona i w śnie myśli. To samo zdarza się osobom co śpią przy chorych, żeby być na ich usługi; i wiele innych przykładów możnaby przytoczyć.

Trudniej zrozumieć to poddawanie terminowe, czyli rozkazy we śnie dane, a wypełniane na jawie; jednak i to da się do pewnego stopnia wytłumaczyć, czyli do znajomych sprowadzić. Wiadomo, że wiele osób budzi się o godzinie, o której sobie postanawia: więc umysł śpiącego liczy jakoś nieświadomie bieg czasu. I na jawie coś podobnego ma miejsce: kiedy postanawiamy np., żeby nazajutrz o pewnej godzinie coś zrobić, możemy zwykle w czasie pośrednim wszystkiem innem się zająć i o tem wcale nie myśleć, a jednak w oznaczonym terminie przyjdzie nam zwykle na myśl rzecz do zrobienia. Wtedy poznajemy tę myśl, jako postanowienie przez nas wprzódy powzięte, bośmy je uczynili w stanie świadomym. Ale przypuśćmy, że takie postanowienie mogło w nas powstać wczoraj bez naszej świadomości, to się nam ono dziś przedstawi jako chęć z nowa powstająca. Otóż hypnotykowi narzucono taką chęć, kiedy był bez świadomości i bez woli; wniknęła ona w jego ustrój psychiczny, w tym stanie abulii, jakby akt własnej woli — a po przeliczeniu nieświadomem oznaczonego czasu, pojawia się tem samem prawem w jego świadomości. Człowiek oczywiście, nie wiedząc skąd ona pochodzi, bierze ją za własną chęć, i idzie za nią, lub też, jeśli jest coś na przeszkodzie, nie idzie, wedle decyzyi swej woli, obecnie już czynnej. Jeżeli zaś prawdą jest, jak wielu sądzi, że hypnotyk zawsze zasypia przed wypełnieniem rozkazu, to wszystko jeszcze łatwiej się tłumaczy. W takim razie suggestya sprowadza w swoim czasie sen hypnotyczny, a sen do snu się nawiązuje, i determinizm danego rozkazu jest wówczas absolutny.

Co się tyczy owej egzaltacyi władz psychicznych i zmysłów hypnotyka, i ona się tłumaczy, częścią przez spotęgowanie wrażli-

wości czyli pobudliwości odruchowej, która w każdym śnie do pewnego stopnia ma miejsce, częścią przez to prawo zarówno w fizyologii, jak w psychologii dowiedzione: że zawieszenie pewnych funkcyj psychicznych potęguje drugie[1]. Jakoż i w śnie naturalnym i jeszcze więcej w naturalnym somnambulizmie, podobne objawy egzaltacyi władz nie są, jak wiadomo, rzadkością. Muzyk Tartini usłyszał, a raczej ułożył we śnie sławną swoją „kantatę djabelską"; Condillac we śnie dokończył filozoficzną pracę; Wolter ułożył odę; prof. Wachner z Getyngi opowiada, że silił się napróżno przez kilka dni, aby złożyć parę wierszów greckich, a w stanie somnabulizmu udało mu się zupełnie. Nie rzadkie są wypadki studentów, którzy w somnabulizmie wyrabiają zadania, rozwiązują matematyczne problemy, nierównie lepiej niż na jawie. W hypnotyzmie to wszystko jeszcze się potęguje przez umiejętne kierowanie hypnotyzera, przez wprawę, czyli jak mówią, edukacyę medyów, często przez histeryę i różne choroby nerwowe tych ostatnich.

Jak daleko w ogóle może iść ten wpływ hypnotyzera i bierna zdolność hypnotyka? — Niewątpliwie tak daleko, a nie dalej, jak możliwy jest wpływ wyobraźni na organizm podmiotu: gdyż trudno wątpić, że ona jest istotnym w hypnotyzmie działaczem. Więc najprzód w samej sferze wyobraźni pacyenta hypnotyzer jest niemal samowolnym panem: może mu narzucać dowolnie hallucynacye, wmawiać w niego co chce; może wpływać przez wyobraźnię na wrażenia przez zmysły odbierane, czyli raczej na ich ocenę, bo ta, jak nowsza psychologia wykazuje, wiele od wyobraźni zależy. Może dalej przez wyobraźnię wpływać na nerwy w bezpośrednim z nią związku zostające, jak są: nerwy czuciowe, ruchowe i wazomotoryczne. Jeśli w normalnym stanie wyobraźnia może, to wywołać, to uchylić ból rzeczywisty (któż nie doświadczył czasem, idąc do dentysty, że mu ból zębów, jak ręką odjęło?) — jeśli wyobraźnia w zwykłych warunkach sprowadza ślinkę do ust, (więc sekrecyę) — rumieniec na twarz, (więc rozszerzenie naczyń

[1] Każdy wpływ zmniejszający pobudliwość pewnych ośrodków nerwowych, potęguje czynność ośrodków sąsiednich. Ob. Cybulski l. c. str. 52 i nast.

krwistych), przyspieszenie i zwolnienie oddechu, pulsu, wymioty, (więc objawy pokrewne z różnemi chorobami) — nie można się więc dziwić, jeśli w stanie hypnotycznym ta sama wyobraźnia wstrząsa jeszcze mocniej organizmem, jeśli wywołuje symptomata pewnych stanów patologicznych i skutki pewnych lekarstw, objawy histeryi, katalepsyi, krwiotoki, może nawet czerwone plamy na rękach. Jeśli do tego jeszcze dodamy tę całą egzaltacyę władz psychicznych i hyperestezyę zmysłów hypnotyka, którą rozporządza hypnotyzer, to widzimy, że ten ostatni wiele sztuk dokazać może.

Jednakże, mówi rozsądnie prof. Cybulski, „wpływ psychiczny na czynności cielesne oczywiście ma pewne granice. W dziedzinie fizyologicznej i patologicznej granicą taką są warunki konstytucyjne; jeżeli zmiany chorobowe przekraczają sferę zmian funkcyonalnych i zależą od uszkodzeń lub nieprawidłowości organicznych, to już wpływ psychiczny zostaje bez skutku". W dziedzinie zaś psychicznej granica jest tam, gdzie się kończą zasoby umysłowe hypnotyka i hypnotyzera. Wszystko co jest na dnie pamięci hypnotyka może się w tym stanie ocknąć i grą jego wyobraźni ubarwić. I to, co jest w duszy hypnotyzera, może się niepostrzeżenie przez najmniejsze znaki hypnotykowi udzielić. Ale co jest poza tem: wiadomości, których ani hypnotyk ani hypnotyzer nie nabyli, siły, których nie można władzom ich egzaltowanym przypisać, to wszystko, jakeśmy już powiedzieli, jest bezwarunkowo po za sferą hypnotyzmu.

Dla sprawy zdrowia niewiele hypnotyzm może i niewiele obiecuje, jak niemal wszyscy poważniejsi badacze uznają. Usuwa on nieraz cierpienie zwiastujące chorobę, ale pod tem znieczuleniem choroba swoim trybem przebiega, i cierpienie wkrótce powraca. Największy zwolennik terapii hypnotycznej, Dr. Bernheim przyznaje, że w wielu rodzajach chorób i nawet przeciw pewnym bolom jest ona bezskuteczną.

Jeszcze mniej służyć może hypnotyzowanie celem moralnym i pedagogicznym, bo i tego spróbowano; Dr. Beaunis hypnotyzował dzieci leniwe, poddając im popędy do pracowitości. Ale w rezultacie pokazało się, co było z góry do przewidzenia, że wpływ suggestyi był tylko przejściowym, a po nim następowała reakcya. Na charakter zaś i na wolną wolę sztuczne te środki żadnego korzystnego wpływu nie wywarły i wywrzeć nie mogą.

Jedyna może realna korzyść, jaką przyniósł hypnotyzm, jest ta, że rozszerzył pole i środki badania dla psychologii. Podobnie jak anatom lub fizyolog, uśpiwszy źwierzę narkotykiem, może swobodnie obserwować jego wnętrzny ustrój i funkcye życiowe, potrącać nerwy i muszkuły, reakcye wywoływać, słowem eksperymentować nad życiem organicznem — tak też poniekąd psycholog, nad uśpionym hypnotykiem, może pewną część duszy odkryć, potrącać w niej różne struny, obserwować psychiczne reakcye, eksperymentować nad życiem psychicznem, bez tych przeszkód, które stawia zawsze świadomość i wolna wola podmiotu. Wyjaśniła się też przez to niejedna kwestya. Kiedy do niedawna prawiono jeszcze niestworzone rzeczy o magnetyzmie zwierzęcym, o tajemniczym wpływie pociągnięć, o lekach działających w odległości, dziś nauka z samowiedzą sprowadza to wszystko do czynności wyobraźni, a o dalekonośnym wpływie tejże na rozmaite, nawet organiczne funkcye człowieka, jaśniejszy i zupełniejszy wyrabia sobie pogląd.

Tak okrojony i do najprostszego wyrazu sprowadzony hypnotyzm, nie jest, jak każdy widzi, żadnym straszydłem ani dziwotworem; nie „wstrząsa on, jak twierdził p. Wł. Zagórski [1] podstawami, na których się dotychczas opierały fizyologia i medycyna“ — nie „wywraca z gruntu połowy naszych wiadomości“, ani „jej w innym nie przedstawia świetle“, ani jest „sprawą pierwszorzędnego znaczenia“. — Co w hypnotyzmie daje się krytycznie i naukowo sprawdzić, to nie jest n a d z w y c z a j n e m, sprowadza się bowiem do zwykłych praw i do szeregu znanych zjawisk: snu, śnienia, somnambulizmu, a tłumaczy się przez znany czynnik: wyobraźnię. Co zaś przedstawia się w hypnotyzmie jako istotnie a n o r m a l n e, niezgodne ze znanemi dziś prawami fizyologii, psychologii i etyki, to wszystko faktycznie nie daje się ze ścisłością naukową skonstatować, zdradza często szarlataneryę, a niekiedy zabobonność. — Taki jest nasz końcowy wniosek.

Stąd jednak, że hypnotyzm nie jest czemś nadzwyczajnem, nie wynika wcale, żeby był niewinną zabawką, którąby każdy mógł

[1] „Magnetyzm i hypnotyzm“, przez Włodz. Zagórskiego, *Niwa*, kwiecień 1888 r.

bezkarnie igrać. Takie zupełne oddanie się na wolę hypnotyzera nie jest bez moralnego niebezpieczeństwa; osoba w tym stanie zostająca, może wypowiedzieć, obiecać, nawet napisać, czegoby wyjawić ani obiecać nie chciała; może doznać, choć przejściowo, popędów, jej woli i sumieniu przeciwnych. Częste hypnotyzowanie przytłumia poniekąd niezawisłość osobową i wyrabia pewien automatyzm; na taką osobę każde słówko, każdy znak drugiej osoby, a zwłaszcza zwykłego hypnotyzera, oddziaływa jak suggestya, wywołuje mimowolne odruchy, doraźne uśpienie. W końcu, pewien stan połowicznej świadomości i niepoczytalności staje się chronicznym... Nie mówię już o bólach głowy i innych chorobowych następstwach, które powagi lekarskie przypisują hypnotyzmowi. Jestto narkotyk, jak alcohol, chloroform, morfina, sprawiający podobne chwilowe skutki, lecz oraz podobne i jeszcze gorsze następstwa.

Dlatego też rozsądni lekarze przestrzegają przeciw używaniu hypnotyzmu dla zabawy, przez niepowołanych. Sam Charcot pisze w liście do Dra Melotti:[1] „Hypnotyzowanie nie jest tak nieszko„dliwem, jak się to starano udowodnić. Stan hypnotyczny jest „o tyle zbliżony do histeryi, że w pewnych warunkach może rów„nież stać się zaraźliwym jak histeria. Jeżeli medycyna zajęła się „hypnotyzmem w imię nauki, to powinna go ściśle utrzymać w gra„nicach swej własnej dziedziny, posługując się nim jako środkiem „terapeutycznym i nie oddając go wcale w ręce profanów, którzy „mogą się dopuścić rozmaitych nadużyć, ze szkodą zdrowia pu„blicznego". — Jeszcze dalej, i słusznie, idzie prof. Cybulski. „Hy„pnotyzm, mówi on, musimy uważać za środek więcej niebezpieczny „niż chloroform, alkool i rozmaite inne jady, które przeważnie „szkodzą tylko ofiarom tych środków; i jeśli istnieją przepisy „i kary ograniczające zastósowanie tych leków, tembardziej muszą „istnieć ograniczenia hypnotyzowania... muszą być zabronione „przedstawienia hypnotyczne przez ludzi do tego nieuprawnionych; „albowiem naukowy stan tej kwestyi już dzisiaj daje stanowczą do „tego podstawę".

Tak się przedstawia wobec dzisiejszej nauki ten hypnotyzm, który w pierwszej chwili tyle miał rozgłosu i tyle głów zawrócił.

[1] Revue de l'hypnotisme.

Sądziłem, że przekładając dla szerszych kół, to co jest naukowo pewnego w hypnotyzmie, przysłużę się i moralnej stronie tej kwestyi. Duch ciemności, chcąc ludzi do zabobonnych wierzeń i praktyk uwodzić, wybiera zawsze ciemne zakątki tego świata, a kiedy promień nauki przychodzi rozświecić taki kąt, wnet go opuszcza. Póki ruchy gwiazd otoczone były tajemnicą, ponad astronomią panować mogła astrologia. Kopernik, a zwłaszcza Newton, zadali cios śmiertelny astrologii, i dziś już tylko między ciemnym ludem krążyć mogą astrologowie. Póki chemia nie miała klucza składu ciał, pod nią nurtowała alchemia. Lavoisier zabił alchemię — i obecnie jest ona już niemożebną. Ale po wyświeceniu zasad astronomii i chemii, zostaje jeszcze w ciemności fizyologia; i dla tego od początku naszego wieku duch zabobonności grasuje w dziedzinie fizyologii: — magnetyzm zwierzęcy, stoliki pod rękami wirujące i t. p. — Otóż najlepszy sposób wyrugowania zabobonnego i demonicznego elementu, który się w tych tajnikach natury gnieździć może, jest wyświecić je, ile możności naukowo. Wiem, że nauka przez całe wieki wszystkiego nie rozświeci, że w miarę jak wyjaśnia rzeczy wprzódy ciemne, odkrywa też nowe, jeszcze ciemne — i że zatem zabobonność ludzka i demonizm zawsze znajdą gdzie się taić. Ale zadaniem każdego pokolenia jest wypierać je z ciemnych punktów, gdzie się spólcześnie gnieżdżą.

Kiedy Tobiasz w swej cudownej podróży do Medyi umywał nogi w wodach Tygrysu, wychyliła się z fali potworna ryba i groziła mu pożarciem. Młodzieniec krzyknął z przestrachu. Ale anioł Rafał kazał mu potwór śmiało uchwycić za skrzele, wyciągnąć na ląd — i rozpłatać. *Exentera hunc piscem*[1]. Tak chciałem postąpić z hypnotyzmem.

Ks. M. Morawski.

[1] Księga Tobiasza. VI. 5.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

I tak do pierwszej zmiany przyszło tu już zaraz w rok po pobycie ks. Leonarda na nowem probostwie, w lutym r. 1528, w sam dzień bowiem św. Apolonii, 9 t. m. i r., do lepszego przeniósł się życia wielki dobrodziej biblioteki Jagiellońskiej i kolegiaty św. Floryańskiej, miejskiego rodu kustosz kolegiacki, dr. i prof. św. teologii, ks. Mikołaj Mikosz z Krakowa [1]. Następcą jego obrany został już 27 lutego t. r. [2] starszy i uczony mgr. filozofii i dr. i prof. św. teologii, znany już nam mieszczanin, ks. Michał Wratislawita z Wrocławia, który po dwakroć, r. 1520 i 1527, niechcąc mieszkania w Krakowie na stały w Olkuszu zamieniać

---

[1] Kolegiacie św. Floryana — według dochowanych dotąd w archiwum probostwa tamtejszego pergaminowych „Anniversaria, obseruata in ecclesia seu capitulo s. Ffloriani", str. 31 — dostały się po nim wszystkie jego złote i srebrne kosztowności i wcale poważna suma pieniężna, bibliotece Jag. zaś bogaty jego księgozbiór, złożony z licznych dzieł drukowanych i rękopisów, na których do dzisiaj ręką współczesną położona znajduje się zapiska: „Iste liber legatus est pro libraria maioris Collegij per Venerabilem ac Egregium virum, mgrum Nicolaum Mijkosz de Cracouia, professorem s. theologie, custodem s. Floriani, vicecancellarium Vniuersitatis nostre ac penitenciarium in arce Cracouiensi, qui diem vltimum vite sue clausit ipso die s. Appollonie a. 1528. Oretur pro eo".

[2] Beneficia collegiatae s. Floriani, nr. 9929.

pobyt, ofiarowanej sobie kantoryi kolegiackiej przyjąć się wzbraniał. Tym razem, jak to zapewne w duchu sam ks. Wisneczanin przyznać musiał, krzywda nie stała mu się żadna, wszak w każdym razie Wrocławczykowi bezwarunkowo przed nim należało się pierwszeństwo.

Inna z rzędu w łonie kolegiaty, pozornie wprawdzie mniej ważna, ale osobiście bardziej nawet może ks. Leonarda obchodząca zmiana, nastąpiła na początku wiosny r. 1530. Po śmierci — jak już wiemy — ówczesnego proboszcza pajęckiego, syna kmiecego, ks. Macieja Przedboriusa z Przedborza, obrała kolegiata 13 kwietnia t. r. następcą jego małomieszczanina ks. Stanisława Łowiciusa z Łowicza, od wiosny r. 1526 dra i prof. św. teologii, na którego zarazem konieczny włożyła obowiązek, ażeby w Pajęcznie „propter Deum personalem suscipiat residenciam“ [1]. Nowy proboszcz, który dotychczas, niebędąc przedtem magistrem filozofii i niemając jeszcze za sobą znaczniejszych latami w Uniwersytecie zasług, skromne w kościele św. Anny uniwersyteckiego kaznodziei zajmował stanowisko [2], z ochotą na warunek ten przystał, a i nasz Wisneczanin nic przeciw temu mieć nie mógł. Przed kilku jeszcze laty byłby może w razie opróżnienia probostwa pajęckiego [3], ku wielkiej wszystkich swoich krewniaków wisneckich radości, sam o probostwo w ojczyźnie wyciągnął rękę i na niem prawdopodobnie karyerę życia swojego zakończył; obecnie wszakże życzyć już sobie tego nie mógł, raz dlatego, że dochody probostwa w Pajęcznie bez porównania o wiele od olkuskiego mniejsze były [4], a powtóre, jako kantor kolegiacki, co także niemało znaczyło, szedł przecież w godności i stanowisku tuż za kustoszem św. Floryańskim!

[1] Percepta ecclesiae in Pajęczno, str. 83.

[2] Tak go nazywa także rękopis biblioteki Jag. pod nr. 1733: „dr. Stanislaus de Lowicz, predicator ad s. Annam Cracouie, a. d. 1527“. Katalog rękop., I 417.

[3] Poprzednikiem ks. mgra Przedboriusa w Pajęcznie, jak to już na samym początku niniejszej rozprawy podałem, był od r. 1514 ks. mgr. Marcin Wolborita z Wolborza. Uwagi powyższe pozwalam sobie uzupełnić w tem miejscu dodatkiem, że według współczesnej zapiski w drukowanym biblioteki Jag. exemplarzu Efemeryd Stoefflera na r. 1529: „27 Aprilis (1529): mgr. Martinus de Volbos (tak!), plebanus in Payeczno, vltimum clausit diem“. Niedługo zatem ks. Przedborczyk proboszczem był pajęckim.

[4] Laski, Liber benef., I 529.

Ważniejsza z kolei zmiana, która już głębiej wszystkie w sferach uniwersyteckich interesowane umysły poruszyć zdolna była, zaszła już w rok później, skutkiem śmierci podeszłego już wiekiem miejskiego pochodzenia dra i prof. św. teologii i po kilkakroć rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. Bernarda Episcopiusa z przedmieścia krakowskiego Biskupie. Od r. 1520, po ks. drze Bielu, jako dziekan kolegiacki jeden z najpierwszych luminarzy uniwersyteckich, dbały pod każdym względem o dobre imię i zachowanie tak stanu duchownego, jak kolegiaty i całego Uniwersytetu, przeniósł się zasłużony starzec 24 kwietnia r. 1531 do wieczności, pochowany zaraz nazajutrz 26 t. m.[1]. Co do wyboru wszakże następcy jego trudności wielkiej być nie mogło. Za wolą też doktorów i profesorów teologii, prawa i medycyny, jako też starszych wydziału artystycznego magistrów, którym z urzędu ówczesny przewodniczył rektor Uniwersytetu, obecnie już kanonik katedralny krakowski, a przed laty sam dziekan św. Floryański, ks. dr. Biel z Nowego miasta[2], jak przystało, obrany teraz został dziekanem św. Floryańskim dotychczasowy kustosz kolegiacki, ks. dr. Wratislawita, który właśnie na krótko przedtem, w marcu r. 1530, choć wiekiem już pochylony starzec, wydaniem jednej z najważniejszych swoich prac teologicznych, dedykowanych biskupowi krakowskiemu, ks. Piotrowi Tomickiemu „Prosarum dilucidatio ac earum interpretatio pro studiosorum eruditione“[3], na nowo imię i zasługi swoje wszystkim sferom uniwersyteckim, w szczególności zaś fakultetowi teologicznemu, w godny był przypomniał sposób. Większa natomiast i właściwa zawrzała walka wyborcza co do osoby nowego po nim kustosza.

O tem, żeby na ważną i wpływową tę godność wynieść już teraz kantora kolegiackiego, ks. Wisneczanina, który nie miał jeszcze ani doktoratu, ani nawet licencyatury lub bakałarstwa teo-

[1] Anniversaria in eccl. s. Floriani, str. 32; Pauli, Codex, IV 186. — Statuta i matrykuły w wydaniu Szujskiego, str. 21, mylnie o nim podają: „Bernardus de Cracovia 1530 obiit“.

[2] Pauli, Codex, IV 186.

[3] W Krakowie u Fl. Unglera, w 4ce, kart nl. 4 i 85. Na k. 77 v. i nn. „Prosa de s. Stanislao, martire et epo Cracoviensi: Jesu Christe, rex superne, Deo patri coeterne, Tibi laus et gloria...“.

logicznego, i w charakterze profesora zwyczajnego katedry na wydziale teologicznym objąć jeszcze nie mógł, naturalnie znowu ani mowy być nie mogło. Stało temu zresztą na przeszkodzie także zbyt świeże jeszcze napomnienie, jakie na niego ze strony władzy biskupiej przed rokiem spadło było [1], krakowski biskup bowiem, jako urodzony kanclerz Uniwersytetu Jagiellońskiego, mógł nawet z tego powodu wprost wybór jego unieważnić [2]. Nowego kustosza należało zatem wybrać z pośród innych fakultetu teologicznego profesorów nadzwyczajnych, którzy na niższych dotąd siedzieli kanoniach kolegiackich i odpowiedniego zaopatrzenia jeszcze nie mieli, a razem na to zwrócić trzeba było uwagę, ażeby przyszły kustosz prawością charakteru i energią godnie obok mocno już zgrzybiałego ks. Wrocławczyka ważny i wpływowy urząd ten sprawować był zdolny. Kandydatów też takich było naturalnie aż kilku.

Najstarszy z nich jednakowoż, kmiecego rodu ks. Marcin Kułap z Tarnowca, od początku r. 1490 mgr. filozofii [3], od Wielkanocy zaś t. r. do wiosny r. 1525 extraneus, a potem collega minor i major na wydziale artystycznym [4], i nie ze wszystkiem pochwały godnym sposobem życia swego [5] i dla nie mniej ważnej okoliczności, że dotychczas tylko do licencyatury był doprowadził [6], a stopnia doktorskiego jeszcze nie posiadał, najmniej mógł budzić zaufania i na względy liczyć poważniejszych kolegów-wyborców. Za kandydata nie mógł uchodzić także mnich zakonu oo. Karmelitów krakowskich i przeor ich klasztoru na Piasku, ks. Jan Kazimierczyk de Kazimiria, który właśnie na dwa lata przedtem, w roku

---

[1] Napomnienie kończyło się zagrożeniem kantorowi kolegiackiemu i proboszczowi olkuskiemu więzieniem w Lipowcu.

[2] Wszelkie wybory kanoników i dostojników kolegiackich, według zachowanych dotąd w archiwum senatu uniwersyteckiego, choć mocno już niestety w dawniejszych latach przetrzebionych aktów, zatytułowanych „Beneficia collegiatae s. Floriani“, nry 9509 i nn., ulegały zawsze potwierdzeniu ze strony biskupa krakowskiego.

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 106.

[4] Liber dilig., str. 432 i n.

[5] Należał do rzędu ludzi, co radzi szukając wesołej kompanii, nieradzi darów bożych wylewać za kołnierz. Acta rect., I 1150 i indziej.

[6] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Martinus de Tarnowyecz, licenciatus“. Acta rect., I 1105, nazywają go w lipcu r. 1529: „lector in s. theologia“.

1529, stopień dra św. teologii był uzyskał[1]. Jak w tym czasie właśnie Augustynianin o. Jan Poznanita wykładał wprawdzie i on także jako profesor zwyczajny na fakultecie teologicznym, ale jako mnich do wynagrodzenia za swoje trudy i pracę nie wyciągał ręki[2]. Kandydatów zatem odpowiednych i uprawnionych do posady kustosza kolegiackiego mogło być tylko trzech:

Nieznany z nazwiska po ojcu mieszczanin ks. dr. Jan Leopolita de Leopoli, promowowany na mgra filozofii po Trzech królach r. 1500[3], czynny na wydziale artystycznym jako extraneus, a potem collega minor i major w latach 1500—1523[4], od r. 1522 docent prywatny na wydziale teologicznym[5], od r. 1528 zaś, po otrzymaniu stopnia dra św. teologii[6], profesor nadzwyczajny na tym wydziale i kanonik kolegiacki[7]. Drugim kandydatem był ma-

---

[1] Szujski, l. c. — Równocześnie zresztą, około r. 1530, żyło w Krakowie dwóch innych jeszcze Janów Kazimierczyków: mgr. Joannes Kazimirita a Kazimiria, w latach 1522—1537 extraneus a potem collega minor i major na wydziale artystycznym, w październiku r. 1535 przy zamianie kościoła św. Anny na kolegiatę obrany trzecim kanonikiem kolegiackim, i o. Joannes Kazimirita de Kazimierz, przełożony u Bożociałków na Kazimierzu. Muczkowski, Liber promot., str. 157; Liber dilig., str. 424 i n.; Katalog rękopisów bibl. Jag., I 375, nr. 1531; Pauli, Codex, IV 162.

[2] Nie był zresztą przedtem mgrem filozofii i nigdy na wydziale artystycznym nie wykładał, niema go przynajmniej Muczkowskiego Liber promot. ani w rzędzie bakałarzy, ani między magistrami nauk wyzwolonych.

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 127.

[4] Liber dilig., str. 439.

[5] Katalog rękopisów bibl. Jag., II 549, nr. 2303.

[6] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Ioannes de Leopoli, insignis theologus".

[7] Ażeby niebyć źle pojętym, dodaję, że pod docentami prywatnymi rozumiem wykładających wówczas na wydziale teologicznym cursorów i sententiariusów, pod nadzwyczajnymi zaś profesorami bakałarzy, licencyatów i doktorów św. teologii, o ile jeszcze na niższych siedzieli kanoniach kolegiackich; za zwyczajnych bowiem fakultetu tego profesorów uchodzili ci, co mieli kanonią katedralną, kustodyą lub dziekaństwo św. Floryańskie, albo też bogate probostwo u św. Mikołaja za murami miasta. Ostatnie, zaraz po śmierci ks. dra Przyjaciela w r. 1526, jak świadczy Metrica studiosorum, II 118, i Acta rect., I 1084, dostało się było uczonemu i zasłużonemu ks. drowi Biemowi z Olkusza, dlaczego też teraz, przy obsadzaniu obydwóch najwyższych posad kolegiackich, nie wchodził już w rachubę. Co natomiast stało się z ks. Wojciechem Piotrkowitą, który w lutym r. 1519 razem z Bedermanem otrzymał był stopień dra św. teologii i według Statutów w wydaniu Szujskiego, str. 21, w rze-

łomieszczanin ks. dr. Marcin Leżajszczanin z Leżajska, od początku r. 1503 mgr. filozofii [1], czynny jako extraneus na wydziale artystycznym, a potem jako collega minor i major w latach 1503 do 1525 [2], od r. 1524 docent wydziału teologicznego [3], od r. 1529 zaś, gdy razem z o. Janem Kazimierczykiem stopień dra św. teologii uzyskał [4], nadzwyczajny profesor na tym fakultecie i kanonik św. Floryański. Jako trzeci kandydat wysunął się wreście miejskiego rodu ks. dr. Jakub Fridel z Kleparza, rówieśnik i kolega szkolny naszego Leonarda z Wisnki, „vir doctissimus“, jak go współczesne mienią źródła [5]. Od początku r. 1504 mgr. filozofii, czynny na wydziale artystycznym jako extraneus, a potem collega minor i major od Wielkanocy r. 1504 do wiosny 1526 [6], od r. 1526 zaś jako docent prywatny na wydziale teologicznym [7], był właśnie ks. Fridel już od r. 1530 doktorem [8], a razem nadzwyczajnym św. teologii profesorem, kanonikiem kolegiackim i penitencyaryuszem katedralnym krakowskim.

Między tymi trzema kandydatami rozegrała się też teraz sprawa o kustodyą św. Floryańską. Różnicy wielkiej między nimi co do lat służby i zasług w Uniwersytecie, w szczególności zaś w pracy na katedrach wydziału artystycznego, nie było; różnica znaczniejsza nie zachodziła między nimi także co do czasu uzyskania stopnia doktorskiego i objęcia na wydziale teologicznym w nadzwyczajnym charakterze katedry profesorskiej. Ale celował widocznie między nimi, obok zamiłowania do nauk, prawością, energią i tęgością charakteru ostatni i najmłodszy z nich, Kleparzanin ks. Fridel, na którego liczyć można było, że i obowiązkom

---

czy samej na wydziale teologicznym jako profesor nadzwyczajny i kanonik kolegiacki przez czas pewien był czynny, nie jest wiadomo. Prawdopodobnie w tym czasie lub nieco przedtem przeniósł się do życia lepszego.

[1] Muczkowski, Liber promot., str. 136.

[2] Liber dilig., str. 441 i n.

[3] Katalog rękopisów bibl. Jag., II 549, nr. 2303.

[4] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Ioannes de Casimiria ordinis Carmelitarum et Martinus de Lyeszensco, 1529 promoti“.

[5] Muczkowski, Liber promot., str. 138.

[6] Liber dilig., str. 405.

[7] Katalog rękopisów bibl. Jag., II 549, nr. 2303.

[8] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Iacobus a Kleparz“.

wysokiego i wpływowego stanowiska swego zadosyć uczynić potrafi, i dzielną będzie podporą, pomocą i prawą niejako ręką dla bardzo już podeszłego starca i dziekana kolegiackiego, ks. dra Wrocławczyka. Z tego też powodu, a może i dla innych jakich, nieznanych nam już dzisiaj przyczyn, wybór nowego kustosza, zepchnięty w pierwszej chwili z porządku dziennego, opóźnił się wprawdzie trochę [1], ale ostatecznie, głównie pod wpływem, jak wnosić należy, przezornego rektora Uniwersytetu, ks. dra Biela, większość wyborców skupiła wreście głosy swoje na osobę najgodniejszego kandydata, i kustoszem św. Floryańskim obrany został „Iacobus de Cleparz, dr. et prof. s. theologie“ [2].

Czy cały przebieg ten sprawy i wynik jej ostateczny miły mógł być kantorowi kolegiackiemu, który w styczniu r. 1527 zastrzegł był sobie na każdy wypadek w razie opróżnienia pierwszeństwo do kustodyi św. Floryańskiej, a którą mu teraz już po raz drugi jakby z przed nosa zabierał zdolniejszy od niego i szczęśliwszy kolega jego szkolny, wątpić należy. Bądź co bądź wszakże, już przez sam wzgląd na bardzo podeszły wiek umysłowo spracowanego i ciągłem ślęczeniem naukowem fizycznie styranego dziekana nowego, którego lata dobrze dla Uniwersytetu a poniekąd także i dla nauki zasłużonego żywota jakby już policzone były, powinien był sobie ks. Wisneczanin własną sprawę goręcej nieco wziąć do serca i z egzaminami i promocyami doktorskiemi, choć tak wygórowane za sobą pociągały wydatki, ale bez których, jak go dwukrotne przekonało doświadczenie, wszelkie jego do posunięcia się na wyższy szczebel kolegiacki zastrzeżenia na nic się nie zdały, czem prędzej się uporać. Stało się jednak inaczej; proboszcz olkuski przycichł wprawdzie odtąd trochę na plebanii swojej, ale i te-

[1] Jeszcze 4 grudnia r. 1532 występuje Fridel w Conclusiones Universitatis Cracoviensis, rękopisie bibl. Jag. nr. 3821 (33), str. 126, tylko jako „Iacobus de Cleparz, s. pagine prof., canonicus ecclesie colleg. s. Floriani et penitenciarius cathedralis eccl. Cracov.“. Być zresztą może, na co wszakże uniwersyteckie źródła rękopiśmienne, skąd powyższe szczegóły czerpię, żadnego nie dają wyjaśnienia, że w pierwszej chwili który inny z kandydatów, Kułap, Leopolita lub Leżajszczanin obrany został kustoszem św. Floryańskim, lecz napróżno potwierdzenia w godności nowej od biskupa oczekiwał.

[2] Acta rect., I 1224.

raz z załatwieniem aktów promocyjnych nie pospieszył się wcale, a sprawy w kolegiacie św. Floryańskiej swojem tymczasem, jużci dla niego niepomyślnem, potoczyły się kołem.

Jak przewidzieć można było, podeszły wiekiem ks. dr. Wrocławczyk nie długo wysoką i wpływową w kolegiacie i Uniwersytecie sprawował godność. Już 9 listopada r. 1534, „cum iam ad alteram pene pueritiam rediisset“ — jak się o nim urzędowe z owego czasu źródło uniwersyteckie wyraża [1] — syt pracy i życia ziemskiego, przeniósł się zgrzybiały staruszek do życia lepszego [2], przekazawszy na krótko przedtem srebrne swoje i złote kosztowności i wszystko w ogóle, co w ciągu długiego żywota zebrać był zdołał, Almae matri, cały zaś swój, jak na owe czasy wcale nawet bogaty księgozbiór, złożony z licznych ksiąg drukowanych i własnoręcznych i innych kodeksów rękopiśmiennych, bibliotece Jagiellońskiej [3].

Wybór zatem nowego dziekana św. Floryańskiego stanął teraz ponownie na porządku dziennym spraw kolegiackich i uniwersyteckich, a gdy na godność tę wyniesiony zaraz został dotychcza-

---

[1] Regestrum supellectilis et narrativa Collegii majoris ab a. 1507, rękopis bil. Jag. nr. 3859 (69), str. 45.

[2] „A. d. 1534 die 9 Nouembris hora 7 † e paroxismo apoplexie Michael de Vratislauia, s. theologie professor decanusque ecclesie s. Floriani...“, l. c. — Starowolski w Hekatontas podał, widocznie przez pomyłkę i w zwykłym sobie pospiechu, że Wratislawita „obijt a. d. 1533 die 7 Nov.“. Mylne też to co do dnia i roku o jego śmierci datum powtórzył pierwszy za nim Janocki w Nachrichten, IV 127 († am 8 des Wintermonats), za ich zaś przewodem wszyscy je już dzisiaj, o ile nadarzy się sposobność, dosłownie tak samo odbijają, a nawet, jak w Encyklopedyi powszechnej, XXVII 868, przekręcają na „dzień 8 lutego“ r. 1533. Mylnie też przytem podają niektórzy, że Wrocławczyk zeszedł z tego świata jako „kustosz“ kolegiacki. Wszak już w napisie na jego nagrobku, który się niegdyś po lewej stronie ołtarza wielkiego w kościele św. Floryańskim znajdował, a który Starowolski, a za nim Janocki i Jocher w Obrazie bibliogr.-histor., I 126, potomności zachowali, między innymi powiedziane było: „decani aede hac in sacra functus est officio!“

[3] Na rękopisach, jakie się ze spuścizny jego dotąd szczęśliwie w bibliotece Jag. dochowały, n. p. na nrach 510, 516 i innych, znajdują się dotąd dwie stare zapiski: 1. Wrocławczyka własnoręczna „Michaelis Wratislawiensis sum“, i 2. inną położona ręką: „legatus pro libraria maioris Colegij, a. d. 1534“. Katalog rękop bibl. Jag., I 159, 161 i indziej.

sowy kustosz, ks. dr. Fridel[1], przez dobre dwa lata podpora i prawa ręka zmarłego Wrocławczyka, nie było bowiem dostatecznego powodu, dlaczegoby kogo innego zamiast niego dziekanem obierać, wyłoniła się znowu sama przez się potrzeba obrania nowego kustosza. Ale i położenie tym razem, choć po tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu, wcale już na niekorzyść kantora kolegiackiego zmieniło się było; obok dotychczasowych bowiem kandydatów, którzy o kustodyą ubiegać się mogli, obok licencyata Kułapa i drów Leopolity i Leżajszczanina, stanął teraz w ich rzędzie jeszcze czwarty, o wiele nawet od nich silniejszy, jeżeli się tak wyrazić można, pretendent do wpływowej i intratnej tej godności, któremu dla byle jakich powodów odprawy udzielić i którego od posady tej usunąć nie wypadało.

Możnym tym i groźnym dla wszystkich współzawodnikiem stał się w tej chwili znany nam już z poprzedzających uwag kolega szkolny Leonarda z Wisnki, razem z nim na początku r. 1504 promowowany na mgra filozofii, małomieszczanin ks. Grzegorz Stawiszyńczyk. Do r. 1520 collegiatus Collegii majoris, jako ukończony już słuchacz wydziału teologicznego był on po rezygnacyi ks. dra Biema w latach 1520—1526 kantorem kolegiackim i plebanem olkuskim, właśnie poprzednikiem ks. Wisneczanina w tej godności i na tem probostwie, za które wszakże, niewiadomo tylko dla jakiej przyczyny, przy końcu r. 1526 dobrowolnie podziękował. Odtąd zaś, zadowolony jedną z pomniejszych kanonij św. Floryańskich[2], wykładał jako docent prywaty[3] niektóre przedmioty na wydziale teologicznym, a równocześnie przykładał fałdów i potrzebne gromadził po mału pieniądze, ażeby się ścisłym poddać egzaminom doktorskim i mieć z czego opędzić wysokie za akt i uroczystości promocyjne taksy i opłaty. Po siedmiu też latach gorliwej pracy i życia skromnego powiodło mu się nareście, mniej więcej na 10 miesięcy przed zgonem Wratislawity, dnia 22 stycznia

[1] Acta rect., I 1275 i nn. — W cytowanym wyżej zbiorze, Beneficia collegiatae s. Floriani, nie dochowały się niestety w całości akta wyborcze z tego dziesięciolecia.

[2] Acta rect., I 1193, nazywają go w sierpniu r. 1531 tylko „canonicus s. Floriani".

[3] Cursor lub sententiarius.

r. 1534, razem z mnichem zakonu oo. Dominikanów krakowskich, ks. Wojciechem Ryczywolaninem z Ryczywoła, uzyskać tyle upragniony i ważny dla siebie doktorat św. teologii[1]. Od tej chwili więc wykładali obydwaj już nie jako docenci prywatni, ale jako wydziału tego profesorowie nadzwyczajni, a jeżeli o. Ryczywolanin jako zakonnik znowu o żadne beneficyum uniwersyteckie nie wyciągał ręki[2], miał teraz wszelkie prawo do tego Stawiszyńczyk, ażeby w nagrodę za tyloletnie dla Uniwersytetu trudy swoje i zasługi intratną jaką otrzymać posadę i tym sposobem niejako zwyczajnym wydziału tego zostać profesorem.

Tak się też i stało. W miejsce Fridla, który po Wrocławczyku na dziekanią posunął się św. Floryańską, obrany teraz został kustoszem kolegiackim ks. dr. Stawiszyńczyk[3], a wybór jego, jak przypuszczać można, przyszedł nawet do skutku bez znaczniejszego ze strony kolegów-wyborców oporu i w ogóle bez jakichkolwiek wyraźniejszych trudności. Wszak na każdy wypadek należało mu się tym razem pierwszeństwo przed Wisneczaninem: miał przecież już doktorat św. teologii, gdy kantor kolegiacki nawet jeszcze do egzaminów ścisłych nie był się zgłosił, a jeżeli proboszcz olkuski mógł się opierać na swojem zastrzeżeniu ze stycznia r. 1527 i powoływać się na okoliczność, że przecież jako kantor szedł w godności tuż za kustoszem i że przy wyborze na urząd wyższy pomijać go nie należało, mogli mu koledzy-wy-

---

[1] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Albertus de Ryczywol, Gregorius a Stawisyn"; i współczesna zapiska w znajdującym się w bibliotece Jag. exemplarzu Lucae Gaurici Ephemerides a. 1534: „die Iouis 22 mensis huius (Januarii) fr. Albertus Riczivol et mgr. Gregorius de Stavyschyn receperunt insignia magistery in s. theologia". Dodaję zresztą, że Ryczywolanin nie był przedtem ani magistrem ani bakałarzem nauk wyzwolonych, nie przytacza go przynajmniej wcale Liber promotionum w wydaniu Muczkowskiego.

[2] Uczył na wydziale teologicznym przez dobrych kilka lat, a według Conclusiones Universitatis, str. 164, był nawet w półroczu zimowem z r. 1538 na 1539 dziekanem tego fakultetu: „1539 die 7 Februarii... fr. Albertus de Ryczywol ordinis Predicatorum, decanus facultatis theologice, eiusdem s. theologie professor" W Statutach w wydaniu Szujskiego, l. c., mylnie zresztą powiedziano o nim: „Albertus de Ricziwol ord. Praed. † 1510".

[3] Acta rect., I 1297: „Greg. de Staviszin, s. theologie prof. et custos ecclesie s. Floriani".

borcy na śmiało odpowiedzieć, że krzywda nie stała mu się żadna, ks. Stawiszyńczyk bowiem był już przed nim w latach 1520—1526 takim samym kantorem kolegiackim i proboszczem olkuskim [1].

Po raz trzeci zatem od chwili, gdy ks. Wisneczanin na stałe przeniósł się był do Olkusza mieszkanie — a upłynęło odtąd lat osiem zaledwie — minęła go kustodya św. Floryańska: w r. 1528 otrzymał ją ks. Wratislawita, r. 1532 ks. Fridel, przy końcu wreście r. 1534 lub na początku r. 1535 ks. Stawiszyńczyk, „verus et singularis — jak go urzędowe źródła współczesne mianują [2] — zelator decoris et ordininis templi s. Floriani". W przekonaniu swojem mógł też był wprawdzie ośmioletni kantor kolegiacki żal do kolegów żywić niemały, że go i tym razem przy wyborze pominęli byli, żaden bowiem akt fundacyjny nie wymagał, żeby posada ta bezwarunkowo i koniecznie samym dostawała się drom św. teologii, i tylko z dawnych czasów zakorzeniony zwyczaj zjawisko to za sobą był wprowadził. Po prawdzie wszakże sam sobie winę tego powinien był przypisać, po części nie całkiem poprawnemu przed r. 1530 sposobowi życia swego, głównie zaś okoliczności, że do tej pory z egzaminami i promocyami doktorskimi nie był się jeszcze uporał. Aje jeżeli dotychczasową opieszałość jego w tym względzie za złe wziąć mu wypada i jeżeli sam jej nie miał powodu chwalić, więcej już da się usprawiedliwić, dlaczego mgrowi Leonardowi i odtąd jeszcze, choć tak smutne po kilkakroć już na własnej osobie zrobił był doświadczenie, o uzyskanie nieszczęsnego doktoratu tego nie bardzo spieszno było. Widocznie całą sprawę teraz wcale po prostu i za nadto przedstawił sobie po ludzku. I na cóż bowiem obecnie, po roku 1535, mógł mu się już był przydać doktorat? Do tej doby dziekaństwo i kustodya św. Floryańskie spoczywały w rękach ludzi starszych, stojących tuż nad grobem, jak Mikosz, Episcopius i Wratislawita; w tej chwili wszakże zajęli je, ażeby długo już — jak się spodziewać można było — na nich posiedzieć, mężowie w sile wieku, rówieśnicy jego co do lat i koledzy szkolni, Fridel i Stawiszyńczyk. Przypuszczać, żeby

[1] Zresztą i Stawiszyńczyk przyjmując w styczniu r. 1520 kantoryą kolegiacką i probostwo w Olkuszu, zastrzegł był sobie także pierwszeństwo do wakansu w kolegiacie św. Floryańskiej. Conclusiones Collegii maj., str. 69.

[2] Anniversaria in eccl. s. Floriani, str. 46; Regestrum supellectilis, str. 49.

który z nich niebawem posunął się na kanonią katedralną krakowską albo może i do lepszego przeniósł się życia, ażeby miejsce po sobie zrobić kantorowi kolegiackiemu, przechodziło zwykłą rachubę ludzką. I po cóż więc wobec takiego rzeczy stanu doktoryzować się i tak wygórowane „patribus conscriptis“ za promocyą wysypać taksy i opłaty?

Tak też prawdopodobnie przedstawił sobie także całe położenie obecne po trzykroć już niefortunny ks. pleban olkuski, a jeżeli przedtem sprawę doktoratu swego nie starał się przyspieszyć, teraz wcale już odłożył ją ad calendas graecas, a może nawet na zawsze. Ale obliczenia robił zwykłym sposobem, myślił i strzelał, jak to powiadają, po ludzku, gdy kto inny kreślił i kule nosił; w niespełna bowiem lat sześciu stało się za wolą Opatrzności, czego przedtem ani on, ani kto inny nie mógł był przewidzieć. Powszechnie przez profesorów, magistrów i młodzież szkolną lubiany i szanowany kustosz św. Floryański, ks. dr. Stawiszyńczyk, w zimie z r. 1535 na 1536 dziekan wydziału teologicznego [1], od jesieni zaś r. 1538 do Wielkanocy r. 1540 [2] po trzykroć, w półroczu zimowem z r. 1538 na 1539, w półroczu letniem r. 1539 i w zimowem z r. 1539 na 1540, jako rektor Magnificus [3] najwyższy dostojnik Uniwersytetu Jagiellońskiego, czem nie zawsze i nie każdy kustosz kolegiacki mógł się był poszczycić [4], udawszy się dnia 18 maja r. t. z polecenia władz uniwersyteckich i w jakiejś sprawie uniwersyteckiej do kościoła katedralnego na Wawelu, tknięty tam apopleksyą, Bogu ducha oddał [5], a wybór nowego po nim kustosza św.

---

[1] Conclusiones Univ., str. 142: „1535 die 20 Octobris... decanus facultatis theologice dr. Greg. de Stavijszijn, custos eccl. s. Floriani“.

[2] Wielkanoc r. 1540 była 28 marca.

[3] Pauli, Codex, IV 186.

[4] Od czasu ks. dra Biela z Nowego miasta, który jako kustosz św. Floryański od wiosny r. 1509 do jesieni r. 1510 po trzykroć był rektorem Uniwersytetu krakowskiego, pierwszy raz zaszczyt ten spotkał kustosza kolegiackiego dopiero w jesieni r. 1538, właśnie w osobie ks. Stawiszyńczyka. Pauli, l. c., IV 185 i n.

[5] Oprócz przytoczonych wyżej Anniversaria in eccl. s. Floriani, str. 46, i Regestrum supellectilis, str. 49, także inne źródła współczesne zgodnie podają dzień, miejsce i przyczynę jego śmierci. Według Liber promot. w wydaniu Muczkowskiego, str. 138: „Greg. de Stavyszyn, theologie dr., collega maior,

Floryańskiego znowu nagle i niespodziewanie na zwykły spraw kolegiackich i uniwersyteckich wszedł porządek dzienny.

Ludzka zatem rachuba zawiodła ponownie ks. Wisneczanina, jakoż i teraz, z rzędu już po raz czwarty, minąć go miała godność kustosza kolegiackiego. Nie tylko bowiem skutkiem przedwczesnego zgonu św. p. Stawiszyńczyka zmieniło się obecnie raptem położenie, w ciągu tych kilku lat ostatnich zaszły były w łonie kolegiaty św. Floryańskiej i Uniwersytetu całego i inne jeszcze nie mniej ważne przemiany, dla których i tym razem nasz mgr. Leonard i kantor kolegiacki przy ponownej elekcyi z niczem odejść musiał. Po prostu grono kandydatów, którzy się w lecie r. 1540 razem z nim o kustodyą ubiegać mogli, całkiem inaczej już wyglądało, i inaczej też dlatego ostateczny wyboru rezultat wypaść musiał.

I tak przedewszystkiem żaden z trzech kandydatów, ani Kułap, ani Leopolita, ani Łeżajszczanin, którzy od r. 1528 począwszy razem z ks. Wisneczaninem rękę o kustodyą wyciągać mieli prawo i w rzeczy samej wyciągali, nie był obecnie już przy życiu. Najpierwszy z nich przeniósł się do wieczności ks. dr. Leopolita, przez przyjaciół swoich i dobrych znajomych nazywany „insignis theologus“ a nawet „columna Vniuersitatis“ [1]. W ostatnich latach jako kanonik św. Floryański i profesor wydziału teologicznego, także kaznodzieja polski w kościele katedralnym na Wawelu, oddał Bogu ducha w 60 roku życia swego, dnia 16 lutego r. 1535 [2]. Tuż za

---

custos s. Floriani, apoplexia mortuus in ecclesia arcis Cracoviensis, feria tercia Pentecostes (= 18 maja) in mandato Vniuersitatis 1540“. Podobnie co do treści brzmi także zapiska w cytowanych wyżej Gaurici Ephemerides a. 1540: „Decima octaua huius mensis (Maji) mgr. Greg. de Stavyschijn, s. theologie professor, custos eccl. s. Floriani, mortuus est sincopi in ecclesia cathedrali Cracoviensi“.

[1] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Ioannes de Leopoli, insignis theologus“; Muczkowski, Liber promot., str. 127: „Ioh. de Leopoli, vir insigniter doctus et columna Vniuersitatis“.

[2] Regestrum supellectilis et narrativa Collegii maj., str. 46: „Anno dni 1535 die xvj Februarij hora 22 anno etatis sue 60 precise memorandus et celebris vir, mgr. Iohannes Leopoliensis, illuminati et singularis ingenij s. theologie professor, sicuti vita incontaminatus, ita predicacionis verbi Dei acceptissimus concionator in ecclesia cathedrali Cracoviensi et templi s. Floriani canonicus, pleuresi extinctus est...“. Ale dlaczego nazwało go źródło poprzedzające aż „columna Vniuersitatis“? Piśmiennictwo polskie zna po nim tylko jednę jego pracę, wydaną już po jego śmierci przez przyjaciół jego po dwakroć,

nim, 15 marca r. 1537, ustępując z areny światowej, wstąpił także do grobu ks. dr. Leżajszczanin [1]. Zmarł wreście w niespełna rok potem, 7 lub 8 lutego r. 1538, i trzeci kandydat, ks. licencyat Kulap z Tarnowca [2], przez licznych przyjaciół swoich i dobrych a wesołych towarzyszy żałowany mocno i bardzo opłakiwany [3].

A obok nich i razem z nimi usunął się równocześnie od ubiegania się o kustodyą kolegiacką i czwarty jeszcze kandydat, Andrzej Burcardini z Krakowa, inaczej także Burkatem lub Burchatem zwany. Młodszy o dobrych kilka lat od ks. Wisneczanina, promowowany na mgra filozofii na początku r. 1510 [4], czynnym był na wydziale artystycznym jako extraneus a potem collega minor i major od wiosny r. 1510 do wiosny r. 1528 [5], poczem jako bakałarz św. teologii i kanonik św. Floryański, a razem prokurator dóbr kolegiackich, w charakterze profesora nadzwyczajnego na wydziale wykładał teologicznym [6]. Po kilku latach, w październiku r. 1537 został licencyatem [7], a w kilka miesięcy później, 28 sty-

---

r. 1537 i 1538 u Unglera w Krakowie: „Vivificae passionis Christi historica explanatio". Jocher, Obraz bibliogr.-histor., II 37 i 165, nr. 2535.

[1] Regestrum supellectilis, str. 46; Muczkowski, Liber promot., str. 136: „Martinus de Leszeysko, qui obiit a. d. 1537 die 15 Marcii, dr. theologie existens". Tak brzmi i zapiska o jego śmierci w Ephemerides Gaurici a. 1537: „mgr. Martinus de Lyeszenszko, s. theologie prof., mortuus 15 die huius mensis" (sc. Martii).

[2] Regestrum supellectilis, str. 48: „Anno dni 1538 die 8 (tak!) Februarij mgr. Martinus de Tarnoviecz, vulgo nominatus Culab, senio confectus... obdormiuit in Domimo...". Dzień 7 lutego jako datum jego śmierci podaje Muczkowskiego Liber promot., str. 106: „mgr. Mart. de Tharnowyecz senio extinctus, 7 (tak!) Februari 1538, absque dolore resolutus, obiit", i zapiska w Ephemerides Gaurici a. 1538: „7 (tak!) Februarii mgr. Mart. de Tarnovyecz, s. theologie baccalaureus formatus et ordinarius theologie (tak!), vir annosus et doctus, mortuus".

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 133: „Mart. de Tarnowyecz, iucundus in vita, pauper, mortuus lenissima morte, ut senex uel decrepitus, quem college diligebant ob eius iocosa et acuta dicta".

[4] Muczkowski, l. c., str. 149.

[5] Liber dilig., str. 389.

[6] Acta rect., I 1105 i 1142, i Conclusiones Collegii majoris, str. 78, już w r. 1529 i 1530 nazywają go: „Andr. de Cracouia, baccalaureus s. pagine et canonicus s. Floriani in Cleparz".

[7] Zapiska w Ephemerides Gaurici a. 1537: „7 Octobris mgr. Andr. de Cracouia praesentatus est et per facultatem susceptus ad licenciaturam in s. theologia".

cznia r. 1538, drem św. teologii [1], lecz już w kwartał potem, 19 kwietnia tego samego roku, wycieńczony egzaminami i promocyami doktorskimi, jako też innymi zajęciami ubocznymi, po krótkiej chorobie żywot zakończył ziemski [2].

Ale jeżeli śmierć nieubłagana tak smutne w przeciągu tych kilku lat w gronie nadzwyczajnych fakultetu teologicznego profesorów poczyniła była szczerby, pozostało mimo to kilku jeszcze z pośród nich, dobrze już dla Uniwersytetu zasłużonych, choć o wiele od naszego ks. Wisneczanina młodszych kandydatów, z których jeden i tym razem znowu kustodyą św. Floryańską z przed nosa miał mu sprzątnąć.

Najmniej jeszcze groźnym dla niego mógł być ks. Maciej Opocznianin z Opoczna, mnich zakonu oo. Benedyktynów siecie-chowskich. Niebędąc przedtem ani magistrem ani bakałarzem nauk wyzwolonych [3], uzyskał na początku r. 1536, po ukończeniu nauk teologicznych, stopień dra św. teologii, i w charakterze profesora nadzwyczajnego sam zaraz na wydziale teologicznym wykłady rozpoczął [4], ale jako zakonnik zwykłym sposobem pretensyi sobie do

[1] Zapiska w Ephemerides Gaurici a. 1538: „28 Ianuarij promoti sunt in theologia mgri Stanislaus de Wielopolie et Andreas de Cracouia, canonici ecclesie s. Floriani".

[2] Regestrum supellectilis, str. 48: „Anno quo supra (1538) die 18 (tak! przez pomyłkę zamiast 19) Aprilis, que fuit dies Parasceue (= 19 kwietnia!) hora 22 Venerabilis ac Egregius mgr. Andreas Cracouiensis Burcath, canonicus et economus bonorum capituli ecclesie s. Floriani, hoc ipso anno in octaua Agnetis (= 28 stycznia) in drem et mgrum s. theologie promotus, dominica Palmarum pleuresi receptus subita et forti, non proficientibus medicis, extinctus est...". Także podług Anniversaria in eccl. s. Floriani, str. 33, i podług zapiski w Ephemerides Gaurici a. 1538: „19 Aprilis mgr. Andreas a Cracouia Burchat, s. theologie dr. et prof. et canonicus s. Floriani, mortuus est...". Ekonomem zresztą czyli prokuratorem dóbr św. Floryańskich a razem i innych majętności uniwersyteckich, był już w czerwcu r. 1531. Pauli, Codex, IV 107.

[3] Nie zna go przynajmniej wydany przez Muczkowskiego Liber promot.

[4] Statuta i matrykuły w wydaniu Szujskiego, str. 21, nie przytaczają go wprawdzie w rzędzie drów i profesorów wydziału teologicznego z owego czasu; że jednak był tu profesorem, poświadczają Acta rect., I 1286 i 1291, które w czerwcu i lipcu r. 1536 nazywają go: „Egregius religiosusque dnus dr. frater Mathias de Opoczno, s. theologie professor, professus ordinis s. Benedicti conuentus Szijeczyechouiensis...". Według dzieła Gackiego, Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, str. 181 i n., i według Monumenta Poloniae histor., V 616, musiał nawet „dr. św. teologii", o. Maciej Opocznianin, przez czas dłuższy być profesorem „s. theologiae in Academia Cracoviensi".

jakiegokolwiek beneficyum uniwersyteckiego nie rościł. Rękę natomiast całkiem śmiało o kustodyą kolegiacką, mając wszelkie po temu zwyczajem uświęcone dane, mogli wyciągnąć dwaj następujący, a poniekąd nawet trzej kandydaci:

Młodszy o lat kilka od obecnego proboszcza olkuskiego, miejskiego pochodzenia ks. dr. Stanisław Aurifaber z Krakowa, inaczej także Lubartem zwany [1], któregośmy już raz wyżej poznali, gdy w lutym i marcu r. 1524 przed sądem rektorskim jako oskarżyciel przeciw naszemu Wisneczaninowi występował. Promowowany w pierwszych dniach stycznia r. 1508 na mgra filozofii [2], czynnym był na wydziale artystycznym jako extraneus, a potem collega minor i major od Wielkanocy r. 1508 do jesieni r. 1527 [3], poczem jako bakałarz św. teologii i kanonik kolegiacki [4], w charakterze profesora nadzwyczajnego na wydziale uczył teologicznym, a na początku r. 1536, prawdopodobnie razem z mnichem o. Opocznianinem, stopień dra św. teologii uzyskał [5], ciekawy jeszcze i z tego względu, że jako kanonik kolegiacki w tych latach właśnie pierwszy w maryackim kościele krakowskim kazania w języku polskim miewał [6]. Drugim zaś kandydatem był także o kilka lat młodszy od mgra Leonarda z Wisnki, kmiecego rodu ks. dr. Stanisław Wielopolczyk z Wielopola. Od początku r. 1510 mgr. filozofii [7], czynny na wydziale artystycznym jako extraneus, a potem collega minor i major od wiosny r. 1510 do wiosny r. 1528 [8], wykładał odtąd

---

[1] Brat młodszy Piotra Aurifabra z Krakowa, którego Sołtykowicz na początku bieżącego stulecia, jak już wiemy, na szlachcica Złotnickiego nobilitował.

[2] Muczkowski, Liber promot., str. 147.

[3] Liber dilig., str. 376 i n.

[4] Conclusiones Collegii maj., str. 78, nazywają go już w maju r. 1530: „baccalaureus s. theologie et canonicus s. Floriani".

[5] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Stanislaus a Cracovia".

[6] Według zapiski w Muczkowskiego Liber promot., str. 147: „predicator ecclesie Virginis Marie in polonico sermone primus". Potwierdza to także Regestrum supellectilis, str. 59: „Stanislaus Aurifaber Cracouianus (tak!), s. theologie professor acutissimus, concionator Polonorum primus in ecclesia d. Virginis Marie in circulo Cracouiensi gratissimus ac protunc heresis Luterane oppugnator acerrimus...".

[7] Muczkowski, Liber promot., str. 149.

[8] Liber dilig. str. 521.

także jako bakałarz św. teologii i kanonik św. Floryański [1] w charakterze nadzwyczajnym na wydziale teologicznym, a uzyskawszy razem z przytoczonym już wyżej kolegą swoim Burcardinim 28 stycznia r. 1538 doktorat teologiczny [2], posiadał już wszelkie warunki po temu, ażeby w nagrodę za wieloletnie trudy swoje i pracę mozolną znaczniejsze jakie otrzymać teraz beneficyum uniwersyteckie.

Poniekąd nakoniec, ale tylko poniekąd, gdyż stał temu na przeszkodzie brak liczniejszych lat służby i znaczniejszych ze strony kandydata dla Uniwersytetu położonych zasług, mógł także w danym razie, gdyby wybór dwóch poprzedzających doktorów dla jakichkolwiek względów ubocznych pewnym mógł ulegać wątpliwościom, za trzeciego teraz do posady kustosza kolegiackiego uchodzić kandydata wielkich zdolności małomieszczanin, ks. dr. Maciej-Mateusz z Kościana Kościańczyk. Promowowany w pierwszych dniach r. 1522 na mgra filozofii [3], czynnym był na wydziale artystycznym, ale tylko jako extraneus, od wiosny r. 1522 do Wielkanocy r. 1532, a względnie do wiosny r. 1535 [4]. Dalszą jednak karyerę na tym wydziale, uzyskawszy już w r. 1533, lub na krótko przedtem, stopień bakałarza św. teologii, przerwał w tym czasie, rozpocząwszy równocześnie jako profesor nadzwyczajny wykłady na wydziale teologicznym [5]. Do którejkolwiek z pomniejszych kanonij św. Floryańskich, niemając jeszcze za sobą większych liczbą lat zasług, nie mógł sobie naturalnie rościć pretensyi, zadowolnił się więc na razie otrzymaną od Uniwersytetu skromną altaryą w kościele św. Anny [6] i nie mniej skromną prebendą w fundowanym przy końcu w. XV przez dra medycyny, miejskiego rodu ks. Jana Welsa z Poznania [7], kościółku św. Piotra i Pawła na przedmieściu krakowskiem

[1] I jego nazywają Conclusiones Collegii maj., str. 78, już w maju r. 1530: „baccalaurens s. theologie et canonicus s. Floriani".

[2] Podług cytowanej wyżej zapiski w Ephemerides Gaurici a. 1538 i Szujskiego Statuta i matrykuły, str. 21: „Stan. de Wielopolie".

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 174.

[4] Liber dilig., str. 428.

[5] Katalog rękopisów bibl. Jag., II 498, nr. 2046.

[6] Tamże, II 550, nr. 2310: „Matheus de Costen, altarista d. Anne in Cracouia, a. Christi 1535 die 29 Ianuarij".

[7] Hoszowski, Jan Wels, medyk krakowski z XV w., jego zasługi i fundacya ubylego kościoła św. Piotra na Garbarzach w Krakowie, str. 1 nn ; Pauli, Codex, IV 60 i nn.

Garbary [1], a uzyskawszy teraz na krótko przed śmiercią ks. Stawiszyńczyka, z początkiem r. 1539 lub 1540, stopień dra św. teologii [2], także już obecnie do lepszego jakiego beneficyum uniwersyteckiego wyciągać mógł rękę.

Ale i kilku innych jeszcze obok nich kandydatów, choć już drugorzędnych, jeżeli się tak wyrazić godzi, i stosunkowo o wiele stanowiskiem młodszych, mogło teraz w danym razie ubiegać się o kustodyą św. Floryańską, mianowicie na wypadek, gdyby dla jakichkolwiek powodów ani Aurifabra, ani Wielopolczyka, ani Kościańczyka wybór utrzymać się nie dał, i gdyby z drugiej strony także i obecnie znowu górę wziąć miała była zasada, że bezwarunkowo, ażeby niedawać gorszącego na przyszłość przykładu, nie należy wybierać kustoszem kolegiackim kandydata, który, jak dotąd, był tylko mgrem filozofii. (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

---

[1] Conclusiones Collegii maj., str. 89: „Matheus a Costen, prebendarius edis ss. Petri et Pauli extra muros Cracouienses".

[2] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21: „Mattheus a Costen".

KAPŁAŃSKA I LITERACKA DZIAŁALNOŚĆ
KS. STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Pobyt w Gródku. — Korespondencya z Kraszewskim. — Rozprawy w Atheneum. — Obrazy z galeryi życia mego. — Pisma filozoficzne i ascetyczne.

Dwa Wieczory[1], choć rok przedtem napisane, wyszły dopiero po wielu staraniach w r. 1843 nakładem Zawadzkiego, a kto wie, czy i kiedyby się pojawiły, gdyby nie pośrednictwo Kraszewskiego, który do walk z księgarzami przyzwyczajony, energicznie bronił interesów przyjaciela. Stosunki z Kraszewskim zawiązane początkowo z powodu przysłanego do *Athaeneum* „Snu w Podhorcach“ zamieniły się niebawem już nie w znajomość, ale w dozgonną przyjaźń. Chołoniewski nie zetknął się nigdy jeszcze osobiście z Kraszewskim, a już przeglądając ich korespondencyę, widzi się jasno, że to dwaj prawdziwi przyjaciele, którzy nie dla interesu tylko i nie dla samej tylko grzeczności tak częstemi listami się obdarzają. A cóż dopiero, kiedy ks. Stanisław, zgadzając się chętnie na z pewną nieśmiałością uczynioną propozycyę Kraszewskiego, zawitał we Wrześniu 1842 do Gródka, uścisnął dłoń młodego a tak już głośnego

[1] Obszerniejsze sprawozdanie z tej nader zajmującej i ważnej książki, zamieszczamy w osobnej książce, w której całe życie Chołoniewskiego bardziej wyczerpująco staraliśmy się skreślić p. t.: *Ks. Stan. Chołoniewski.*

literata, i kilka dni w rodzinnem jego kółku przepędził. Wspólnie odczytano *Dwa Wieczory;* wspólnie toczono długie, późno w noc przeciągające się pogawędki; wspólnie układano plany przyszłej literackiej zwłaszcza pracy na ojczystej niwie. Wrażenie tej kilkodniowej, rozkosznej a zarazem tak pożywnej dla serca i umysłu uczty duchowej, wyryło się głęboko w duszach jej uczestników, złączyło ich ze sobą niemal braterskimi węzłami. W dni kilkanaście po odjeździe ks. Stanisława pisał doń Kraszewski zdając sprawę z tego wrażenia tem milszego, że osłodziło mu rok skądinąd w różne smutki i przykrości bogaty:[1] „Przeleciałeś Hrabio, jak błyskawica, „aleś po sobie na całe nasze życie zostawił wspomnienie; w naszem „życiu, przeplatanem częściej frasunkami niż weselszemi chwilami, „to złota nitka, którą potrafimy szacować. Pomyślisz Hrabio, że Ci „pochlebiam, że Ci się przymilam tylko, ale z duszy, z serca chciej „uwierzyć, że uszanować i ukochać Cię, jak kogo swego potrafi„liśmy, jak pamięć Twoja u nas pozostanie w jednej głowie i serca „komórce z pamięcią bytności najdroższych nam osób... Ten rok „dla mnie był ciężkim rokiem próby; zmiłuj się, chciej tam kiedy „wesprzeć nas swoją świętą modlitwą. Ja się modlę, ale Bóg nie„godnych modlitw posłuchać nie chce i rzuca nas z jednej w drugą „próbę".

Chołoniewski nie szczędził przyjacielowi i modlitwy i chrześcijańskiej pociechy: „Miejmy wielką ufność, odpowiadał na list „powyższy, w modlitwie i w krzyżu świętym. Co tylko było wiel„kiego i wspaniałego na świecie, spłynęło na ziemię z krzyża Pań„skiego; Pan Jezus najdroższych swoich przyjaciół krzyżem tym „ozdobił i uszczęśliwił; kto tak, jak On kochał ludzi, musiał naj„lepiej wiedzieć, jakie skarby są utajone w cierpieniach z miłością „i ufnością znoszonych. Wprawdzie wszędzie jest cierpienie, ale „nie wszędzie krzyż Jezusa, przy którym tylko miłość cierpliwa „stoi. Tego ani starożytna mądrość, ani samopoznanie Heglo„wskie nie nauczy, ale nauczyć tego może jedna modlitwa z po„korą odmówiona"... Wespół z serdecznym tym listem poszedł do Gródka drugi o wiele grubszy list, już nie tylko dla samego redaktora, ale i dla redagowanego przezeń pisma przeznaczony. Wy-

[1] Gródek 11 października 1842 r.

wiązując się z uczynionej obietnicy przesyłał Chołoniewski do *Athenaeum* przechowane w Janowie *Dwa listy hr. Józefa de Maistre z r. 1810 do Jana Potockiego krajczyca koronnego*, a ciekawe te dokumenty poprzedził obszerniejszym wstępem w formie listu skreślonym, w którym dla szerszej publiczności streszczał niejako główne punkty gródeckich pogadanek, potępiał stanowczo tak w życiu jak w literaturze równie salonową francuszczyznę, jak wrzekomo narodowe b a r a g o l s t w o, i w kilku najgłówniejszych rysach zapoznał ją z oryginalną a wybornie sobie znaną postacią Jana Potockiego.

Redaktor *Athenaeum* i wielu z czytelników tego pisma żywo zajęło się nie tak może listami de Maistre'a, jak raczej wstępem do tych listów, rozbierającym pytania ważne, na ustach wszystkich będące. „Dużo a dużo takich listów", prosił i natarczywie domagał się Kraszewski. „Pomimo że mi odmawiasz, nie wierzę i nie „mogę wierzyć; przyjdzie ochota do pisania, przyjdzie chwilka „współczucia dla redaktora, i dasz mi, Hrabio, list drugi, trzeci". Ochota do pisania przyszła, ale Kraszewski korzystać z niej nie miał; postać Jana Potockiego, ledwie paru grubymi rysami w *Wstępie* do *pierwszego listu* naszkicowana, stanęła teraz niby żywa przed pamięcią i wyobraźnią wskrzeszając dawne wspomnienia; napominając, że warto potomności je przekazać. Chwycił Chołoniewski za pióro, ale zamiast dalszych listów nakreślił dokładniejszy nieco wizerunek Potockiego, który choć przez autora widocznie do druku a najprawdopodobniej do *Athenaeum* przeznaczony, zaginął gdzieś w rękopiśmiennych stosach, i nawet w „Pośmiertnych pismach" nie znalazł przytułku.

„Obraz ten z galeryi życia mego", stanowić miał w myśli autora jeden niby rozdział obszernego pamiętnika na pierwszym planie przeznaczonego dla siostry Cecylii, w którym, podobnie jak w tego rodzaju dziełach Getego lub Chateaubrianda, rzeczywiste wydarzenia, jeśli same z siebie zbyt byłyby prozaiczne, osłonięte być miały przeźroczystą szatą poezyi; w którym czasami poezya, biorąc górę nad prozą życia, sama występowałaby wszechwładnie łącząc w harmonijną całość świat realny z idealnym, nadając niejako dotykalne kształty filozoficznym systematom, historycznym poglądom. Nieodżałowana szkoda, że myśli swej nie zdołał Chołonie-

wski w czyn zamienić, że nawet planu całego dzieła nigdzie jasno nie nakreślił; piękna i pouczająca byłaby to galerya, kiedy każdy obraz, który miał do niej należeć, umysł i serce ciągną. Jednym z tych obrazów — jak autor wyraźnie w tytule zaznaczył — był *Sen w Podhorcach;* drugim wprost z życia skopiowanym i dlatego właśnie tem ciekawszym i nie tylko na głębszych znawców obrachowanym jest: *Proroctwo hr. Józefa de Maistre w Petersburgu przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce r. 1841.*

Jedna z postaci, zaznajamia nas Chołoniewski z swym bohaterem, najpierwszą rolę grająca w mojej dziecinnej fantazyi, była postać Jana Potockiego. Jakże mogło być inaczej? Pierwszy kawaler maltański w purpurowem mundurze, z złotymi, prześlicznymi haftami i szlifami, który przybył do Janowa, był Jan Potocki... Był to pan powszechnie miany za uczonego, czyli *savanta* z profesyi; dystrakt wielki, śmiałek nad śmiałkami, matematyk biegły; prawda, że za to po polsku ledwie parę słów sklecić umiał, a co gorsza, nieznajomości tej się nie sromał. Całe zimy w Janowie przesiadywał; w późniejszych latach samotnie, z podagrą się męcząc, mieszkał zazwyczaj w poblizkiej Uładówce. Tutaj to — jak szczegółowo a bardzo zajmująco opowiada dalej Chołoniewski, świadek niemal naoczny — zastrzelił się nieszczęśliwy Potocki w listopadzie 1815; w tymże samem domu i miejscu syn Jana, Alfred Potocki, w 26 lat później najprzykładniej z Bogiem się pojednawszy do śmierci się gotował... Ale cóż się stało — powiesz może kochana Siostro — z proroctwem de Maistre'a? Oto właśnie w czasie ciężkiej choroby P. Alfreda, z której tenże teraz dopiero szczęśliwie wyszedł, żona jego, krzątając się po ciasnym domku, natrafiła na jedną szafkę pełną ksiąg i papierów. Były to rękopisma i księgi starego Jana Potockiego. Przygnieciona frasunkiem mniej na nie zważa. Wszakże przerzucając karty listu wyżej wspomnianego de Maistre'a, nie może się odeń oderwać, tak treść jego jest zajmującą. Przyszedłszy nakoniec do pewnego peryodu pisma tego, zapłoniwszy się od żalu, woła młodego syna Alfreda, a wskazując mu oznaczone miejsce rękopisu oddaje mu go do rąk i drżącym głosem mówi: „Dobrze żebyś to przeczytał Fruziu! albowiem speł-

niły się słowa de Maistre'a, przyjaciela nieszczęśliwego dziada twego".

„A Fruź czytał jak następuje:

„Są w twoich dziełach rzeczy, które czytam z wielkiem zmartwieniem, takie jak np. ów pocisk, którym zamykasz tak niewłaściwie twego Manetona. Jeśli nie przestaniesz dowcipem swym i imaginacyą zbaczać z prostej drogi, pozwól, abym Ci powiedział, Panie Hrabio, co z pewnością Cię spotka. Będziesz miał syna, wnuka i t. d., który będzie tak myślał, jak ja; rzecz to niezawodna, zważając zwłaszcza na przewrót pojęć, który dopełnia się już a niebawem dopełnić się musi w umysłach. Ten Potocki będzie miał także syna. Kiedyś, dnia pewnego, z posępną powagą powie on jemu: Słuchaj synu, zakazuję ci czytać książki twego... dziada Jana... I będziesz z tego powodu niepocieszonym, kochany Hrabio!".

Data listu jest r. 1810.

„Dziś r. 1841 zbawienny przewrót w umysłach już nastąpił.

„I Fruź, wnuk Jana Potockiego, młodzieniec najpiękniejszych nadziei i Alfred syn tegoż Jana, myślą jak myślał Józef de Maistre, nie jak myślał Jan Potocki.

„I matka w imieniu ojca zakazała synowi, aby nie czytał ksiąg dziada swego Jana"...

Inny zupełnie, nie przerażający już tak ciemnemi barwami, których nawet wrodzony autorowi humor rozjaśnić nie zdołał, jest następny obraz nielicznej tej ale bogatej galeryi: *Artykuł nadesłany*[1]. W pięknym salonie czterech graczy siedzi przy wiście;

---

[1] *Artykuł nadesłany*. Obraz z galeryi życia mego. Wydanie J. N. Bobrowicza. Str. 104. Lipsk 1846. Stefan Witwicki posyłając w listopadzie 1845 r. Bobrowiczowi tę pracę przyjaciela, poprzedził ją przedmową, w której nie szczędzi najwyższych pochwał równie „znakomitemu autorowi liczącemu się dziś, zdaniem mojem, do pierwszego rzędu pisarzy polskich", jak i samemu *Artykułowi*: „Jam to pierwszy i miło mi to wspomnieć dał poznać między inszemi *Poselstwo;* ja także pierwszy *Pamiątki Soplicy*. Dzisiejszy utwór kładę śmiało obok dwóch tamtych... Prędko zapewne poznają czytelnicy wartość tego pięknego płodu, pełnego poetyckiej i oryginalnej fantazyi — opisów żywych, przyjemnych i biegłą ręką skreślonych — toż znajomość wszelkich teraz umysłowych w naszym kraju ruchów, a nacechowanego wyższą myślą narodowej prawdy i chrześcijańskiej mądrości. Dramatyczność wprowadzonych

kilkunastu mężczyzu przechadza się, przerzuca gazety, o polowaniu rozmawia. Wtem młody Tadeusz, który dotychczas jedno z pism peryodycznych uważnie przeglądał, zrywa się z uniesieniem, i przerywając rozmowę i zabawę czytać głośno zaczyna *artykuł nadesłany*, który tak go zainteresował czy rozgniewał.

A mógł zainteresować, mógł może i rozgniewać, bo autor owego artykułu rozbierał ważne pytanie: czemu my biedni Europejczycy w życiu materyalnem wybornie się pojmujemy, a w życiu ducha dobrze porozumieć się nie możemy, tak że się ciągle odnawia fatalna katastrofa Babilońska, chociaż nikt z nas wysokiej wieży budować nie zabiera się. Dajmy na to, że trafem do jednego domu zjadą się Litwin, Warszawianin, Podolanin, Wołynianin, Polak z Poznańskiego, z Galicyi i z Petersburga. Niechże który z nich użyje którego z owych wyższych, misternych słów np. O j c z y z n a, a każdy z pewnością co innego pod tym słowem zrozumie. Litwinowi snują się przed oczy kontrakty Wileńskie, Mińskie, dawne bale, świetny uniwersytet; — wszystko to minęło. Warszawianin wpatrzył się w ministerya, biura, w eleganckie mundury, w nieprzejrzane szyki referendarzów, radzców, sekretarzów. U szczytu, jak hafty suto u kołnierza, ukazują się złotem kapiące hofmejstry, jegermejstry, mistrze obrządków, szambelany i kamerjunkry; — z góry obrazu przyświeca cichym, nierażącym, nocnym blaskiem *Towarzystwo nauk*, niby promień czarowny zachodzącego księżyca, wzywający śmiertelnych do słodkich snów i marzeń poetyckich. Galicyanin powtarza myślą O j c z y z n a i zaraz ukazują mu się przed oczy porządne miasta i miasteczka, *chaussée*, parowe dyliżanse, w których kilkaset wołów naraz do Ołomuńca i Wiednia żelazną koleją przelatywać będą... Tam przez długie lata wiele kursów słuchać trzeba, wiele ścisłych egzaminów odbywać, a wszystko po niemiecku... A nadewszystko Wiedeń! Oj! gdyby ojczyzna, toby to wszystko równie pięknie, porządnie, a nawet z większym gustem zafundować można w miłym

dyalogów, trafnie rzucony tu owdzie dowcip lekkiej ironii, wysłowienie wreszcie poprawne i gustowne nadały rzeczy tem więcej powabu i życia“ *Helleniusz* pisząc w *Pamiątkach polskich* t. II. str. 680 o „nieskończenie ważnym i ciekawym r ę k o p i ś m i e Chołoniewskiego p. t. *Charakterystyka Polaków w różnych częściach Polski po rozbiorze kraju* miał widocznie na myśli dawno ogłoszony drukiem *Artykuł nadesłany*.

Lwowie — czego niemałym jest dowodem nowy wspaniały gmach powstający w tem mieście kosztem hr. Skarbka, — bo pomimo ciężkich czasów będzie miał wkrótce Lwów piękny teatr, redutowe sale, kafenhauzy i sklepy świetne... Obywatel pruski wystawia sobie w ojczyźnie wytrawiony plan podatkowania, na polskie kopyto przerobione filozoficzne pomysły Hegla, Straussa, Niebura. Polak z Petersburga przybyły marzy o jakiejś w chmurach i mgle ginącej Słowiańszczyźnie; o rządzie, mowie, obyczaju, religii słowiańskiej[1]. W umysłach wreszcie podolskich i wołyńskich obywateli wyraz o j c z y z n a wzbudza wyobrażenia rodzaju niejakiego; podlegając warszawskiemu, galicyjskiemu i litewskiemu wpływowi, przyswajają sobie odpowiednie dozy z różnych tych sposobów myślenia, mieszając je w jedno odrębne *compositum*. Gdzież więc i co jest ojczyzna? Rozmyślałem nad tem długo, nie wiedząc jak sprzeczne wyobrażenia pogodzić, kiedy we śnie czy na jawie jakiś poważny starzec mi się okazał i podał kartę gotyckiemi literami zapisaną: karta ta tłumaczyła wymownemi słowy znaczenie o j c z y z n y, czem ona z woli Bożej jest dla nas, i jakie dobra jej zawdzięczamy; a kiedym dobiegł okiem do samego końca tajemniczej karty, dostrzegłem wyraźny podpis: *Piotr Pawęzki*, stary miłośnik i sługa Polski"...

Tadeusz zakończył czytać *Artykuł nadesłany*, a między obecnymi wszczął się gwar i wrzawa. Jedni pytali: „Kto to Pawęzki"? Inni: „Czy on autorem tego artykułu?" „Wszystko to dobroduszna i d e o l o g i a, tłumaczył się z przyciskiem gospodarz domu. Praca, *le travail*, należycie pojęta lepiej nauczy każdego, co jest o j c z y z n a, co jest P o l s k a (jeśli już koniecznie idzie o znaczenie tych słów), jak wszystkie ideologów całego świata definicye"[2]. Tadeusz znowu, w Berlinie widać wykształcony, pali długą, metafizyczną mówkę, przeplatając ją gęsto niemieckimi wyrazami, propagując „wielkie prawidła krytyki", które dawno usunęły z widnokręgu wiedzy stare facecye np. o babilońskiej wieży, a z któremi niestety autor *Artykułu* nie jest dość obznajomiony. I nie wiedzieć jak długo popisywałby się młody filozof z niemiecką swą wiedzą, gdyby

[1] Wszystko jak dziś!

[2] Widać, że i S t a ń c z y k a nie brakowało.

do salonu nie wszedł gość nowy, dawny Kościuszkowski kapitan w francuskim stroju — syn ośmnastego wieku — jak go wszyscy zgodnie nazywali. Mistyk to był swego rodzaju; uważał się za proroka zesłanego od Ducha św. dla szczęścia Polski i narodów: robił pilnie do małych seksterników wyciągi z *Biblii, z Volney'a Rousseau'a, Szaniawskiego,* i z seksterników tych bardzo nabożnie po kościołach się modlił. Młodzież otoczyła kapitana żartując z nim wesoło, a tymczasem jeden z obecnych, p. sędzia Józef przyniósł *Niesieckiego* z biblioteki i, wskazując palcem na jakiś ustęp z rozżaleniem i gniewem wielkim powstał przeciw tym, u których „tylko popłaca Hegel, Szelling, filozofia historyi; filologiczne, oryentalne koncepta, zagadki czy baśnie, a w rzeczach swoich wydają się istne cudzoziemcy, Szwaby, Anglicy, Francuzi, którychby wyuczono mowy polskiej, ażeby rzeczy polskie odgadywali, nicowali i do góry nogami przewracali".

„Co się stało dziś sędziemu? pytano ze zdziwieniem; pytał i Tadeusz biorąc w rękę Niesieckiego i rozpoczynając czytać zaznaczony ustęp. Lecz wnet czytanie przerwał, okazując niemałe zaniepokojenie, które drugi, równy jemu filozoficzny myśliciel nazwałby może „fenomenem psychologicznym, wykazującym antagonizm uczonego ja Tadeuszowskiego z uczeńszem nie ja Tadeuszowskiem, a zatem godzącym na P. Tadeusza *Bewustsein* i *An-undfürsichsein* w krainie wiedzy". Wnet jednak ochłonął z wrażenia: zapomniałem zupełnie, że Skargowie właściwie Pawęzkimi się zwali, teraz dopiero Niesiecki mi to przypomniał; trudno bowiem o wszystkich drobnostkach pamiętać! W metafizycznych spekulacyach pamięć lokalna, pamięć słów często odłogiem leżeć musi; przytem syntaksa metafizyczna nie może się dać krępować składnią gramatykalną a zwłaszcza imiona, przezwiska, przydomki familijne, daty, cyfry liczbowe i te drobiazgi wszystkie historyczne, jakże one małą role grają w ontologii!...

Jeszcze wszczęła się krótka dysputa o Czackim; poczem najpoważniejszy z obecnych, P. Werner na powszechne prośby opowiadać zaczął ciekawe koleje życia znanego sobie dobrze autora *Nadesłanego artykułu;* gdy nagle dojeżdżacz Panass ukazał się we drzwiach salonu, i wszyscy się z miejsc porwali wołając: „Są wilki? A odezwały się dzisiaj? Jedźmy! jedźmy! Hej! Janku! Jó-

ziu! strzelba moja! pistony! I wśród tym podobnych wykrzykników wszyscy w mgnieniu oka wybiegli, przepraszając Wernera, że nie mogą na ten raz dalej mu służyć i zamawiając sobie na wieczór łaskę jego w dokończeniu zajmującej powieści“ ...

Między wielu pytaniami i zagadnieniami poruszonemi w *Artykule nadesłanym* z taką znajomością ludzi i rzeczy, z takim rodzimym dowcipem, który jeśli gryzie, to z miłości; w szeregu postaci z życia naszkicowanych, które pytania te w sobie wcielają, wybitne miejsce zajmuje Polak przebywający w Petersburgu, marzący o jednem słowiańskiem ciele politycznem, o jednej mowie, jednej religii słowiańskiej. Cały ten ustęp to tylko osłabione już echo głośnej burzy, „bolesnego komerażu literackiego“ [1], który w tym czasie głęboko umysłami wstrząsnął, wywołując oburzenie w kołach czytających, niesnaski i spory w „pisarskich szykach“. Skąd burza ta przyszła; kto był sprawcą, i jakie były powody tego komerażu, do którego usiłowano i Chołoniewskiego wciągnąć, to opowiada on sam najdokładniej, jako świadek dobrze z rzeczą obznajomiony, a w pewnej mierze i aktor osobisty w niej udział biorący, w następnym z kolei „obrazie“, a raczej, jak tym razem wyraził się: „notatce do dziennika życia mego“, która zarazem, jak słusznie mógł dodać, jest notatką: „do historyi polskiej literatury“ [2].

Notatka jest ostatnim z wykończonych, stanowiących w sobie pewną całość utworów, z których składać się miała „galerya życia mego“. W *Pismach pośmiertnych* [3] pomieszczono jeszcze, a raczej pomieszczono t y l k o, kilka na prędce rzuconych szkiców, większych lub mniejszych ułamków, zawierających nieraz prześliczne ustępy, rzewne szczegóły, pełne rozumu uwagi. Wszędzie tu, jak w poprzednio już wspomnianych *Wieczorach i przechadzkach rzymskich*, osobiste wspomnienia służą Chołoniewskiemu za tło, na którem rozwija swe poglądy na różne bądź praktyczne, bądź teoretyczne kwestye; służą mu raz po raz niejako za pretekst do

---

[1] Do *Kraszewskiego* 10 Lipca 1843.

[2] Notatkę tę, zawierającą 33 str. in 4° drobnego pisma, streszczam w osobnej odbitce z niniejszego życiorysu

[3] *Pisma pośmiertne ks. St. Chołoniewskiego.* Tomów II. Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk 1851.

omówienia pytań, do wynurzenia się z myślami, które w danej chwili najbardziej go zajmowały. *Wyjątek z dziennika życia mego* [1] przedstawia plastycznie sposób wychowania przyjęty w polskich dworach i pałacach na początku bieżącego wieku; ścierające się wpływy: wolteryański wyobrażony w osobie szambelana, z szczeropolskim, katolickim, którego przedstawicielem jest rotmistrz Radwański. Do tego samego tematu wraca Chołoniewski w mniej lub bardziej obszernych urywkach: *Treść pamiętników niektórych przyjaciół młodości mojej; Memoranda, czyli żywot Stęplowskiego; Wody krzeszowickie* [2]; *Soliloquia P. Baltazara Radwańskiego* [3]. Prześliczne, rzewne ustępy zawierają się w pisanej w ostatnich miesiącach życia oryginalnej parafrazie hymnu *Magnificat* [4]; z tego zwłaszcza względu oryginalnej, że czytelnik przerzucając pierwsze kartki, sądzi, że ma przed sobą powieść, lub ciekawy pamiętnik, a dobiegając do ostatnich, spostrzega z zadziwieniem, że niewiedząc nawet kiedy wszedł nieznacznie na czysto ascetyczne i teologiczne pole. Co prawda, nie pierwszy to raz uciekał się Chołoniewski do tego rodzaju literackiego fortelu, dla zwabienia czytelników, którzy prócz kalendarzów, jednym tylko powieściom do swego domu wstępu dozwalali, nigdzie jednak fortel ten nie występuje tak jawnie na światło dzienne, jak w niedokończonem i nie zredagowanem ostatecznie *Magnificat*.

Gdyby Chołoniewski mógł był opracować i zebrać w jedną całość wszystkie te „notatki“ i „wyjątki z dziennika“, byłoby to prawdopodobnie najpiękniejsze z dzieł jego, a kto wie, czy i nie najpożyteczniejsze. Jak we wszystkich zapiskach prowadzonych od pierwszej młodości dla samego siebie i najbliższego koła rodziny, tak w tym zwłaszcza dla wszystkich ziomków spisywanym „dzienniku“, którego kilka tylko i to niedokończonych rozdziałów zdążył napisać, miał zawsze Chołoniewski przed oczyma wytknięte przez samego siebie prawidło: „Dziennik dla mnie nie jest zabawą literacką, ani powabną — jest rzeczą ważną, jest mojem niepochlebiają-

[1] *Pisma pośmiertne* t. I. 7—75.
[2] *Tamże* t. I. 75—336.
[3] *Tamże* t. II. 108—129.
[4] *Tamże* t. II. 1—108.

„cem zwierciadłem, groźnym dyrektorem, pisanem sumieniem. Nie „pisz nigdy, mówiła święta moja siostra, czego niema w twojem „sercu, choćby ci się to jak gwiazda w głowie świeciło, a pisz „skromnie, żeby później serce cię od dumnego słowa nie bolało". W „notatkach" i „zapiskach" nie ma ani jednego dumnego słowa, ani jednego, któreby ze serca nie popłynęło; największa to ich zaleta, ale i tem większy żal do autora, że miasto coraz nowy obrazek zaczynać, paru z nich przynajmniej nie dokończył; tem dotkliwsza szkoda, że z licznych tych materyałów do budowy zebranych, nie stanął gmach zamierzony.

„Niedokończone te poemata" wyszły przeważnie z pod pióra Chołoniewskiego w ostatnich dwóch latach jego życia, kiedy przyjaciele mniemali, że coraz cięższe troski, coraz bardziej pogarszający się stan zdrowia zmusił go do pozostawienia odłogiem literackiego pola. Wprawdzie i w tym czasie w każdym prawie liście Kraszewskiego spotykamy prośbę: „Pisz! pisz Hrabio", ale czuć, że sam proszący nie ufa zbytecznie skuteczności swych namów, a przy układaniu programu dalszych zeszytów *Athenaeum*, artykułów Chołoniewskiego, choć „gorąco pożądanych" w rachubę nie wciąga[1]. Inaczej było parę lat wstecz, zwłaszcza w miesiącach bezpośrednio poprzedzających i następujących po osobistem zbliżeniu się w Gródku. Wtedy nie tylko Kraszewski raz po raz za nową jakąś przesyłkę do *Athenaeum* mógł dziękować, ale jeszcze ośmielony uczynnością przyjaciela, kołatał o jego łaskę dla protegowanego przez siebie *Pielgrzyma*. „Gdybym śmiał, pisał do Janowa „pod datą 2 kwietnia 1842 r., dołączyłbym tu kilka słówek o arty„kuł już nie dla mnie, ale dla p. Ziemięckiej, do wydawanego „przez nią w Warszawie pisma peryodycznego, najlepszych inten„cyi i ducha p. t. *Pielgrzym*... P. Ziemięcka jedna nie owioniona „duchem heglowskim, którego są zwolennikami prawie wszyscy pi„szący, jako uczniowie berlińskiego uniwersytetu, wychowani na

[1] „Stosy ramot, żali się Kraszewski w *Tygodniku petersburskim* z r. 1844, zawalają półki redakcyi, a niema co drukować: niektórzy bowem ze znakomitych pisarzy uznali, że czas włożyć szlafmycę i pójść spać". Str. 204. Pisząc te słowa miał Kraszewski z pewnością w myśli na pierwszem miejscu Chołoniewskiego, któremu w osobistej korespondencyi robił te same, tylko w delikatniejszej formie wyrażone zarzuty.

„Heglu. P. Ziemięcka była heglistką i wróciła do wiary od pan„teizmu; głowa niepospolicie uorganizowana na kobietę. Ona tam „bez współczucia, pomocy i przyjaciół, a wartoby przecie nie dla „niej, ale dla pięknego, przedsięwziętego przez nią dzieła coś uczynić".

Ks. Stanisław choć cenił pracę i dobre chęci Zamięckiej, choć słyszał już przedtem „o niepospolitych zdolnościach tej pani", nie mógł, zdaje się, wmówić w siebie zbyt wielkiej admiracyi dla pism jej filozoficznych. „Wyznać muszę [1], że jest smutnem zjawiskiem „literatury warszawskiej, to wystąpienie na plac niewiasty w obro„nie filozofii chrześcijańskiej, dla braku mężów, coby chcieli prze„mówić dobre słowo za sprawą nie już cywilizacyi warszawskiej, „ale europejskiej". Ale wespół z tem wyznaniem czuł dobrze i wyznawał zarazem, że byłoby bardzo nie po rycersku wymawiać się od niesienia pomocy śmiałej amazonce, i ledwie parę upłynęło tygodni przysłał dla *Pielgrzyma* za pośrednictwem Kraszewskiego dwie do celu i filozoficznego tonu tego pisma nastrojone rozprawy: *Uwagi o stylu pod względem psychologicznym* [2] *i O wpływach racyonalizmu na tegoczesną literaturę i kunszta* [3].

Obie te rozprawy stanowią pewną całość z trzecią rok przedtem w *Athenaeum* ogłoszoną p. t. *Kilka słów o polemice chrześcijańskiej przez kapłana katolickiego dyecezyi podolsko-kamienieckiej* [4]; w każdym razie na tym samym obracają się gruncie, za jawne zadanie mają wykazać mylne drogi, na których błądziła nieraz współczesna literatura, a bardziej jeszcze współczesna krytyka; zapytać o powody tych „literackich obłędów", wskazać drogoskazy, wedle których każdy pisarz kierować się musi, jeżeli nie chce zejść na manowce. Choć we wszystkich tych rozprawach „kapłan katolicki" z nikim w szczególności po imiennie nie polemizuje, to widocznie jednak na pierwszym planie ma na oku ów mnożący się w niemieckich uniwersytetach wykształcony zastęp „absolutnych marzycieli", którzy wciąż „powiększają nasz babiloński gwar i odmęt". Z niebezpiecznymi tymi marzycielami walczył, słabe strony ich

---

[1] Do *Kraszewskiego* 14 kwietnia 1842. *Przew. nauk. i lit.* T. VI. Str. 616.
[2] *Pielgrzym* r. 1842. T. III. Str. 151—175.
[3] *Pielgrzym* T. III. Str. 217—251.
[4] *Athenaeum* r. 1841. T. VI. Str. 1—13.

odkrywał we *Śnie w Podhorcach*, a później w *Dwóch Wieczorach*; lecz jak sam doskonale czuł i pisał, podając niejako myśl przewodnią, cel i program podjętych przez siebie filozoficznych studyów[1]: zamętowi temu rozumów „nigdy i nigdzie sama beletrystyka sprostać nie zdoła; na to trzeba katedry filozofii chrześcijańskiej, dzieł nie długich, lecz treściwych, któreby jasnym, poważnym stylem powoli oswajały publiczność naszą z najważniejszemi prawdami starego katechizmu, wszakże pilnie się wystrzegając używać słowa tego nieznośnego dla dumy naszych filozofów supergenialnych. Bardziej, zdaje mi się, trzeba z silnem przekonaniem skromnie wyłuszczać to, co dla nas jest prawdą; opierać się na mocnej posadzie objawienia i dziejów świata, niżeli wdawać się w podrzędną, drobiazgową, pełną osobistości polemikę, która choćby najdowcipniejsza, zwiększa tylko hałasy, przekonania nie zradza, bo ludzie mają ten zły obyczaj, iż zwykle posądzają o jednostronność i prywatę tych, co się w ich oczach kłócą, a kłótnią wydaje im się każda polemika, której nie poprzedza spokojne, dokładne, kompletne wyznanie wiary w jakiejkolwiek materyi, bądź filozoficznej, bądź literackiej".

Do tego samego cyklu, co trzy powyżej omówione artykuły, zaliczyć można w pewnej przynajmniej mierze i w pierwszej zwłaszcza części: *Odpowiedzi ks. Stan. Chołoniewskiego na dwa pytania: 1) Co znaczy słowo „Postęp ludzkości" w duchu nauki Chrystusowej? 2) Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim?*[2] Pytania takie rzeczywiście zadały Chołoniewskiemu „dwie zacne, pobożne osoby" — a „jakże, pyta się w przedmowie do odpowiedzi na pierwsze pytanie, księdzu można było milczeć?" — Jak można było milczeć, kiedy to słowo postęp, niby rycerz z zakrytą przyłbicą wtargnął w nasze szeregi; kiedy stał się jednem

[1] Do *Kraszewskiego*. Janów 6 października 1845.

[2] Wydane już po śmierci autora w Wilnie 1847 r. nakładem Teofila Glücksberga. Str. 240. Kraszewski przeczytawszy rękopism pisał do autora: „Jeśli kto, to ja, tego stylu pełnego wdzięku, prostoty, świeżości i poezyi, pełnego wiary głębokiej i stale pogodnej w sobie — tego wykładu myśli tak pięknych, jestem najszczerszym wielbicielem. Pewien jestem, że literatura nasza nic obok tego w dzisiejszym czasie postawić nie zdoła, bo gdzież się łączy yle uczucia z tak głęboką myślą? (Gródek 29 czerwca 1845).

z tych haseł wieku, co jak iskry elektryczne całymi narodami wstrząsają; z tych słów modnych, które tylko dla ludzi bystrzej wglądających w rzeczy, zapowiadają właśnie brak tego, co wyrażać mają. O „postępie“ mówią dziś wszyscy; gwarzą nasze tygodniki; postęp! postęp! słyszysz w około, — a co to jest, co znaczy to misterne słowo, które ludzie tak wynoszą i tak o nie się kłócą, nie widząc zazwyczaj jasno, o co się kłócą? W odpowiedzi następuje szereg wyjaśnień zawartych w odrębnych rozdziałach: co to znaczy słowo postęp zastósowane do człowieka pojedyńczo uważanego, a zastósowane do stanu społecznego człowieka; jak właściwy postęp równie pojedyńczych ludzi, jak i całych narodów zależy na dążeniu do Boga, drogą przez Boga skreśloną, pod przewodnictwem Boga-człowieka, — ruch wsteczny na oddalaniu się od Boga; jak prawdę tę stwierdza cała historya równie przed Chrystusowych jak i po Chrystusowych czasów, historya każdego serca ludzkiego tak prześlicznie a prawdziwie niby odmalowana w całym psalmie LXXXIII: *Jakże miłe przybytki Twoje Panie zastępów, żąda i ustaje dusza moja do pałaców Pańskich... Błogosławiony mąż, którego ratunek jest od Ciebie; rozłożył wstępowanie w sercu swojem..., albowiem da błogosławieństwo Zakonodawca, pójdą z mocy do mocy, oglądają Boga nad bogi w Syonie.* Głęboką tę, ascetyczno-filozoficzną pracę kończy Chołoniewski prośbą: *Panie Boże zastępów, wysłuchaj modlitwę moją* i następującemi; czuć że płynącemi z serca, słowami dobrze charakteryzującemi gorące a pokorne jego serce.

„Nieraz, przyznam się, zastanawiając się nad tym LXXXIII „psalmem, przychodziły mi na myśl pomimowolnie te wielkie słowa „autora *Naśladowania Chrystusa*: „Szczęśliwy kogo sama Prawda „uczy nie przez znaki i głosy przemijające, lecz rzeczywiście i bez„pośrednio“. Nieraz powiedziałem sobie: O jakże te proste, prze„nikliwe słowa Boskiego psalmu, pomimo słabego pojęcia mego, „przedziwnie mi rozwiązują ową przez namiętności pogmatwaną „kwestyę postępu! Jaka z nich pociecha płynie, jak wielką na„dzieją rozjaśniają horyzont ducha! — a przeciwnie, jak to wszy„stko, co mi o tem mówią wielkie i mądre księgi naszych filozo„fów i ich misterne rozprawy, jest zimnem i pełnem ponurych za„gadek dla serca“.

Druga odpowiedź na pytanie: *Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w małżeńskim stanie?* [1], przeznaczona i napisana była pierwotnie dla siostrzenicy, a zarazem chrzestnej córki Chołoniewskiego, Maryi Grocholskiej, obecnie (1843) narzeczonej Wojciecha Morawskiego, znajomej nam dobrze z lat poprzednich Mani, dla której „Wujaszek" pisywał różne, pocieszne wierszyki i łacińskie dyalogi. Pięknie obmyślonym był ten ślubny podarek, a narzeczeni bez komplementów pisać o nim mogli, że uważają go za „najdroższy i najmilszy". Ascetyczny ton, którym pierwsza odpowiedź się kończyła, tem bardziej przemaga w drugiej; literat-filozof ustępuje na drugi plan, dając pierwsze miejsce kapłanowi troskliwemu o duszę ukochanej siostrzenicy, toczącemu z nią serdeczną a pouczającą rozmowę. „Niegdyś małoletnie dziewczę pytałaś mię twego „pierwszego poręczyciela, jak się wywiązać Chrystusowi z wielkiego „długu miłości, któryś jako chrześcijanka u niego zaciągnęła; teraz „już panienka dorosła żądasz odemnie rady, ażebyś w tym nowym „stanie wiernie Chrystusowi służyła i królestwo Jego osiągnęła. „Żądania Twoje, kochana Maniu, zbawienne i słuszne. Nie pytasz „mię bowiem, jak się będziesz mogła bawić w twem przyszłem „powołaniu, ale jak się będziesz mogła w niem zbawić. ... Po„modliwszy się więc do tego Pana, który i najlichszemu nie odma„wia swego światła, przesyłam ci moją odpowiedź".

Wszechstronna to, nie prosta „odpowiedź, odpowiedź co na rozprawę zakrawa", jak sam autor w ostatnim rozdziale żartobliwie się tłumaczy. Czem jest stan małżeński w oczach Boga; jakie środki podaje Pismo św. do zabezpieczenia zbawienia w stanie małżeńskim? — oto ważne pytania obszernie rozebrane w dwóch pierwszych rozdziałach. Ludzie nieświadomi obyczaju stolicy Bożej, stawiają nam przed oczy wzory niewiasty, małżonki wedle wyobrażeń, jakie w ich umyśle i sercu się wylęgły... Wszystkie są dziećmi chwili, złudzenia przemijającego. Nie jedną taką pięknie ustrojoną lalkę znajdziesz, Marysiu, w niektórych tegoczesnych miodopłynnych rozprawach o wielkiem powołaniu kobiety.

[1] W rękopiśmie jest następny tytuł: *Trochę kwiatów z Ogrójca Pańskiego do wieńca ślubnego Mani.* 1843. *3 października.*

Jedni ukazują ci ją jako kapłankę, która wszystkie najdroższe swe skarby: poezyę serca, natchnienie geniuszu stoicznym duchem składa w ofierze na ołtarzu rzeczywistości prozaicznej; drudzy jako misyonarkę wiedzy i równouprawnienia z mężczyzną; inni przeciwnie jako poetyczną istotę, mającą za cel i misyę skarbić sobie serca ludzkie tysiącznemi sztuczkami niewinnej, jak mówią, zalotności; są wreszcie tacy, którzy w stanie małżeńskim nie widzą jeno sprzężenie dwóch istot, zupełnie nie zawisłych, z których każda o tyle drugiej winna podlegać, o ile w niej upatruje wyższość rozumu i charakteru.

Oto wzory podawane małżonkom do naśladowania przez różnych pisarzów i moralistów. A jakiż wzór prawdziwy, naśladowania godzien? Ten wyłącznie, odpowiada Chołoniewski w następnym rozdziale, który sam Duch św. nam zaleca, skreślając przez Salomona w Piśmie św. obraz niewiasty mężnej, obraz tak wspaniały i doskonały, że Kościół nie waha się w tej niewieście upatrywać rysy przedziwnego żywota Bogarodzicy. Jakże mężna ta, pokorna, pracowita, miłosierna niewiasta różni się od damy kapłanki, damy misyonarki, zowiącej teatra świątyniami, aktorów kapłanami tych kościołów, odwiedzanie ich aktami pobożnymi; od damy podbijającej serca, damy emancypowanej, opowiadającej wesołą nowinę rehabilitacyi ciała, dręczonego w tak długiej i ciężkiej niewoli chrystyanizmu! Siłę świętego małżeńskiego związku nie stanowi tylko „wzajemny szacunek i sympatya serc“, bez której można jeszcze spełniać „zimny obowiązek“ — jak pisze pewne polskie pismo peryodyczne — ale nie można zawrzeć „zupełnego małżeństwa“. Miłość małżeńska na silniejszej podstawie musi być oparta: na sercu Boga i Jego szacunku; dobra jest miłość ziemska, ale obok mdłego światełka ziemskiego kochania, zapalić należy na godach weselnych pochodnię z nieba zapaloną w płomieniu miłości Bożej. Inaczej zawsze będzie „ciemno wszędzie, zimno wszędzie“; rak spraw rozwodowych dalej nas będzie toczył, bo płomyk z żywiołu zmysłowości zapalony, za lada podmuchem gaśnie; prędko, zbyt prędko następuje noc rozczarowania...

Poważne ascetyczne czy literackie prace przeplatał czasami Chołoniewski dla rozrywki i wytchnienia bawieniem się w poetę.

Wielkiej wartości pozostałe wiersze a raczej wierszyki nie mają; wielkiej a nawet jakiejbądź wartości sam twórca nigdy do nich nie przywiązywał i z wyjątkiem paru i to z obcych języków przełożonych, bynajmniej ich nie przeznaczał do druku. W ogóle, są to pobożne, smętne rozmyślania, pełne szczerej miłości Boga, gorącego przywiązania do ojczystego kraju; rozmyślania rzeczywiście rzewne i pociągające, ale często nie dla, lecz raczej pomimo rymicznych i rytmicznych więzów. Taką np. rzewną, czuć że ze serca płynącą i w chwili prawdziwego natchnienia spisaną jest „Pieśń moja wśród burzy świata“ [1].

Wszędzie śpiew słyszę na puszczy świata,
Brzęk złotych, wesołych lutni —
Każdy swój wieniec z róży uplata,
A wszyscy z różami smutni...
Dziwo! każdy z nich perlę dobywa
Nadzieją złotą nawleka,
Nić złota pęka — perła łzą spływa
I gorzka w serce przecieka.
„Na morze płyńcie! na morze chwały!
„Lecz dumy napnijcie żagle,
„Z pogardą patrzcie na wściekłe wały
„I na dno rzućcie się nagle.
„Bo gdzie najsilniej wre powódź sroga,
„Koncha misterna was czeka,
„A w niej prawdziwa, jasna i droga
„Perła zacności człowieka“
Tak zawołali i płyną śmiele,
Płyną za wiatrem złej chuci,
Burza im groby z koralu ściele,
Trupy na piasek wyrzuci.

O czemuż, żali się poeta, nie popatrzyli, nie wyciągnęli rąk do Jezusa, chodzącego po falach; czemu marą, przesądem ogłosili pokornego Boga?

Widziałem tylko w niewdzięcznych dłoni
Konchy nadziei strzaskane;
Widziałem perły martwe u skroni,
Wszystkie z łez gorzkich ulane.
Po burzy słodkie milczą już lutnie,
Co szczęsnem zwały złe plemię;
Przeszłości morze wciąż jęczy smutnie
Drzemiącą ostrzega ziemię:

[1] *Pisma pośmiertne* t. II. „Wiersze“ str. 129—186.

Że w szczęściu tylko ten lud zakwita,
Co w Tobie zaufał Boże!
Co w Twojem sercu jak w księdze czyta,
Że wszystko miłość Twa może.

Kiedyindziej klęka poeta przed obrazem Maryi i opisuje śmierć Jej błogosławioną; klęka przed ukrzyżowanym „bolejącym Zbawicielem“ i woła z zapałem, który dawnych męczenników tworzył i ożywiał[1]:

Ciebie o Zbawco wśród mąk Twych nie poznał,
Ani ich mocy na sobie nie doznał
Ten, co się lęka za prawdę umierać.

To znów na granicy starej Polski wita ze łzami kraj swój rodzinny i cierniowe jego drogi, co do raju wiodą[2]; wita ze łzami wyciśnionemi odmiennego rodzaju boleścią stolicę północną[3] „stolicę wiecznej mustry, parad i koszarów“.

Lecz na polskim kościele krzyż łaciński błysnął,
Od blasku jego niebo północne pobladło —
I poznałem, od czego los polski zawisnął —
I wszystko już w tym krzyżu serce me odgadło

We wszystkiem: w szalejących zimowych zamieciach i w zachwycających pięknościach wiosny, widzi Chołoniewski Stwórcę; podziwia Jego siłę i majestat, miłosierdziu się dziwi, a dziękując za wszystkie dary hojnej ręki Bożej wyznaje i opłakuje własną swą nędzę. Wiosna:[4]

Wszystkie przybrała miłości wdzięki,
Ziemię okryła nadziei szatą:
Kwiat pełną dłonią sypnęła,
Wszystkiemi farby błysnęła.
O jakże słodkie jej panowanie!
Wdzięczniejsze Twoje, Chryste mój Panie!...
Pięknie ci ziemio w kwiecistem wianie.
Milszy Twój wieniec cierniowy, Panie!...
Cieszcie się wszyscy — mnie łzy przystoją
W wiośnie i lecie, jesieni, zimie,
Bom w wszystkie pory krnąbrnością moją
Panie! Twe święte znieważył imię.

---

[1] „Wiersz do bolejącego Zbawiciela“.
[2] „Na granicy starej Polski“ 4 sierpnia 1840.
[3] „Powitanie stolicy północnej“.
[4] „Moja piosneczka czasu wiosny“.

Cała literacka działalność naszego autora, wszystkie jego pisma w rymowaną czy nie rymowaną formę ujęte, w tonie poważnych rozpraw, allegorycznych powieści lub większych opowiadań skreślone, choć tak rożne i treścią i zewnętrzną szatą, jedną mają myśl przewodnią, są zawsze wiernem spełnieniem programu, który sam Chołoniewski niejednokrotnie, a zwłaszcza w wyżej zacytowanym liście do Kraszewskiego, postawił dla każdego k s i ę d z a - l i t e r a t a. Jak słowem i przykładem, tak i piórem walczył on przedewszystkiem za sprawę Bożą; znajomość i miłość wiary starał się rozszerzać, a zostawiając najrozleglejszą swobodę zdania, nie mieszając się nawet do wydawania sądów o kwestyach nie odnoszących się do wiary i zbawienia, wtedy „dopiero, kiedy w literackim lub jakimkolwiek innym przedmiocie nauka Boga i Kościoła „Jego opatrznie była wystawioną“, zabierał głos, wyjaśniał nie w „imieniu jakiejś filozoficznej lub literackiej szkoły“, ale w imieniu prawdy i Ukrzyżowanego, katolicką naukę, a samo to wyjaśnienie najlepszem było rozwiązaniem złego zazwyczaj zrozumienia rzeczy, z pomieszania pojęć, wynikłych trudności i zarzutów. W ten sposób literackie prace „Apostoła Podola“ były tylko dalszem ogniwem apostolskiej jego działalności; życiem, słowem i pismem, jak w wierszu do siostry Cecylii się wyraził[1], „jedną zawsze piosnkę nucił, co mu w sercu grała cudnie“, pieśń miłości i chwały Bożej, tej przewodniczki czynów i uczuć, co:

Choć w kraj daleki myśli
Jak gołębie trwożne lecą:
J e d n a z góry lot im kreśli,
Koło j e d n e j wszystkie świecą.

(Dok. nast.)

Ks. Jan Badeni.

[1] „Do Cecylii, siostry mojej“. *Pisma pośmiertne* t. II, str. 155

STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

(Dokończenie).

VI.

Sejm czteroletni.

Sejm z r. 1768 odejmuje szlachcie prawo nad życiem i śmiercią włościan, które, jak widzieliśmy, na mocy barbarzyńskiego zwyczaju sobie przywłaszczyła; nakazuje włościan za zbrodnie do sądu pozywać, znosi głowszczyznę a natomiast ustanawia: „waruje się jak najuroczyściej, iż odtąd jako szlachcic za szlachcica, a chłop za chłopa gardłem karany być ma, tak gdyby się trafiło, żeby szlachcic chłopa złośliwie i nie przypadkiem, ale dobrowolnie, rozmyślnie na śmierć zabił, tedy takowy nie już zapłaceniem i głowszczyzną temu, czyim on był poddanym, lecz utratą własnej głowy swojej karany w sądzie przyzwoitym być powinien, zachowując w tej mierze dowód i postępek prawny oraz obrony stronom *in toto* według przepisów w tymże statucie W. ks. L. i konstytucyach sejmowych“ [1]. Zranienie ma być również surowo ukarane; dalej statut ten nie poszedł. Pomyślniejsze widoki zabłysnęły dla włościan, gdy sejm z r. 1776 wezwał Andrzeja Zamoyskiego do ułożenia kodeksu praw, któreby stosunki włościańskie mogły poprawić. Zamoyski zamierzył powrócić ludowi stanowisko, jakie za Kaźmierza Wielkiego zajmował, lub przynajmniej powołać do życia statut Ol-

[1] Vol. leg. VII. fol. 600.

brachta z r. 1496. W swoim projekcie rozróżnia on włościan niewolnych i wolnych. Do pierwszej kategoryi zalicza tych, którzy zrodzeni w miejscu, osiedli bez kontraktów, odbierają załogę i odbywają pańszczyznę. Są to kmiecie przytwierdzeni, — i tych było najwięcej. Tym nie pozwala odchodzić z gruntu bez dozwolenia dziedzica; naznacza jednak jako przedawnienie w poszukiwaniu zbiegów zostawiających załogę, rok jeden, którzy zaś z załogą uciekli — lat cztery. Odejmuje szlachcie sądownictwo nad nimi nawet w sprawach półkryminalnych, a za podstawę pańszczyzny podaje czynsz. Każdemu chłopu, co nie wziął załogi od dworu, nadaje prawo grunta okupić i posiadać je prawem lennem. Córka dziedzicząca po ojcu posiadłość, skoro zechce iść za mąż do cudzej wsi, winna na żądanie swego pana pozostawić na gruncie zastępcę; dwóch synów z każdego małżeństwa ma koniecznie we wsi pozostać, inni zaś nawet wbrew woli dziedzica mogą osobami swemi dowolnie rozporządzać: czy to udać się do innej wsi, czy też do miasta. Do drugiej kategoryi zalicza tych, którzy nie biorąc załogi, osiedli za kontraktem piśmiennym lub ustnym; byli to bądź synowie sołtysów, bądź dawnych kmieci wolnych, a wreszcie i niektórzy z wolnych sług, którzy w powyższy sposób na gruntach pańskich osiedli. Wszyscy ci mają wolność przenoszenia się dowolnego, skoro ugody dopełnią, mają przystęp do sądów i tylko przez nie karani być mogą, własnością ruchomą mogą dowolnie rozporządzać. Kończy wreszcie projekta swoje gorącem poleceniem, by — o ile możności — przy każdym kościele była szkoła parafialna [1].

Projekt taki, jak to łatwo można było przewidzieć, przedstawiony sejmowi w r. 1780 wywołał wielką wrzawę i został odrzucony, zmiany bowiem tak radykalne były jeszcze zawczesne, nie mogły od razu i bez starć w życie być wprowadzone, zawsze jednak projekt Zamoyskiego odbił się głęboko w umysłach i stał się hasłem stronnictwa dążącego ściśle do naprawy Rzeczypospolitej. Pojawiają się odtąd coraz liczniejsze pisma sprawie tej poświęcone; takiemi były: wspomniana książka Staszyca, bezimienne broszury jak np. „O poddanych polskich 1788“, przytoczona wyżej „Odpo-

[1] T. hr. Potocki.

wiedź na pytanie. Izali nieczułość...“ i wiele innych. Wszystkie one uderzają na ciężkie położenie włościan i wykazują, że ucisk ich jest nietylko przyczyną ubóstwa kraju, ale nadto małego zaludnienia i tylu innych nieszczęść. Ludzie światli i możni biorą sobie za cel przy ogólnem ratowaniu ojczyzny i rozwiązanie kwestyi włościańskiej, a na czele tego nowego kierunku idzie Hugo Kołłątaj, Ignacy Potocki i inni.

Pierwszy z nich wypowiedział swoje myśli w książce pod tytułem: „Prawo polityczne czyli układ Rzeczypospolitej“. Domaga się w niej wolności dla wszystkich włościan, wyznacza za zabójstwo karę śmierci, i dwa tysiące grzywien rodzinie zabitego, za ciężkie kalectwo grzywien tysiąc; juryzdykcyę w sprawach mniejszych zostawia dziedzicom, ważniejsze sprawy oddaje sądom ziemskim; za podstawę pańszczyzny naznacza kontrakty i umowy, których obie strony pod odpowiedzialnością ściśle powinny przestrzegać.

„Pod takiemi wrażeniami rozpoczął się sejm czteroletni; zaczęto układać ową konstytucyę ogłoszoną dnia 3 maja 1791 r., ów najświetniejszy pomnik patryotyzmu szlachty polskiej. Nie była ona bezwątpienia dziełem doskonałem, sądząc ją ze stanowiska dzisiejszych wyobrażeń wiele pozostawia do życzenia, ale był to może jedyny wypadek w historyi, ażeby kasta panująca, popsuta blisko czterowiekową samowolnością, nie będąc do tego zmuszoną żadną groźbą klas niższych, li tylko z uczucia sprawiedliwości i roztropności, jedynie z miłości ojczyzny, złożyła niejako swą nieograniczoność, wzmocniła władzę królewską, niższym stanom dobrowolnie otworzyła wrota do życia i znaczenia“ [1].

Przypatrzmy się więc temu, co ów pamiętny sejm o poddanych ustanowił. W ustępie pod tytułem: „Chłopi włościanie“ czytamy tam co następuje: „Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę tak przez sprawiedliwość, ludzkość i obowiązki chrześcijańskie, jako i przez własny nasz interes dobrze zrozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy stanowiąc: iż odtąd, jakiebykolwiek swobody, nadania, lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich

[1] T. hr. Potocki.

autentycznie ułożyli, czyliby te swobody, nadania i umowy były z gromadami, czyli też z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, podług rzetelnego znaczenia warunków, i opisu zawartego w takowych nadaniach i umowach, pod opiekę rządu krajowego podpadający. Układy takowe i wynikające z nich obowiązki przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nie tylko jego samego, ale i następców jego, lub prawa nabywców tak wiązać będą, iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mocni. Nawzajem włościanie jakiejkolwiek bądź majętności od dobrowolnych umów, przyjętych nadań i z niemi złączonych powinności usuwać inaczej się nie będą mogli, tylko w takim sposobie, i z takiemi warunkami, jak w opisach tychże umów postanowione mieli: które czy na wieczność, czyli do czasu przyjęte, ściśle ich obowiązywać będą".

Tyle tylko słów poświęciła konstytucya sprawie tak doniosłej i zpewnością jednej z pierwszorzędnych, resztę zaś pozostawiła własnej obywateli inicyatywie, licząc niestety zanadto na wspaniałomyślność i pojawiające się dobrowolne usiłowania ku poprawie. Druga część powyższego ustępu tak brzmi: „Zawarowawszy tym sposobem dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im należących, a chcąc jak najskuteczniej zachęcić pomnożenie ludności krajowej, ogłaszamy wolność zupełną dla wszystkich ludzi, tak nowo przybywających, jako i tych, którzyby pierwiej z kraju oddaliwszy się, teraz do ojczyzny powrócić chcieli, tak dalece, iż każdy człowiek do państw Rzeczypospolitej nowo z którejkolwiek strony przybyły lub powracający, jak tylko stanie nogą na ziemi polskiej, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce; wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsze, jak i dopóki się umówi, wolny jest osiadać w mieście lub na wsiach; wolny jest mieszkać w Polsce, lub do kraju, do którego zechce powrócić, uczyniwszy zadosyć obowiązkom, które dobrowolnie na się przyjął".

Zastanówmy się teraz pokrótce nad znaczeniem tego ustępu. Przedewszystkiem przyjęła ustawa ta włościan „pod opiekę prawa i rządu", dając przez to poznać, że włościanin znajdzie odtąd sprawiedliwość i obronę od ucisku szlachty. Nie dano włościanom zupełnej wolności osobistej, chociaż z drugiej strony zapowiedziano

ją wszystkim przybyszom, jacy wejdą w granicę Rzeczypospolitej. Zdaje się więc ustawa zachęcać poddanych, by uciekali za granicę, skąd gdy powrócą, już tem samem wolnymi będą. Niekonsekwencya ta, stawiająca mieszkańca wsi polskiej w gorszem położeniu od przybysza, wynikała poniekąd z natury rzeczy i tylowiekowych zapatrywań, które, jakkolwiek pod wielu względami na korzyść poddanych się zmieniły, dalekiemi jednak jeszcze były od przekonania, że tylko chłop zupełnie wolny umie pracować z żądanym pożytkiem dla wsi i dla całego kraju. Tak samo postąpiła ustawa względem własności czyli uwłaszczenia włościan. Ciągle tkwiło jeszcze w wyobrażeniach ówczesnej i to nie tylko naszej szlachty to przekonanie, że poddani, jako tacy, są jedynym środkiem do obrobienia pańskich folwarków, podstawą rolnictwa i dobrobytu kraju; stąd też żadne z pism, jakie krótko przed sejmem i w czasie tegoż kraj obiegały, nie śmiało wystąpić z żądaniem zaopatrzenia włościan we własną chałupę i własny zagon roli, a kredyt publiczny, ten jedyny środek, za pomocą którego kwestyę własności włościańskiej w wieku naszym rozwiązano, był ówczesnej Polsce nieznany. Podaje przeto, jak widzieliśmy, Ustawa 3-go maja umowę dobrowolną dworu z kmieciami, jako ogólną zasadę pańszczyzny, nie wyłączając przytem kontraktu kupna gruntu przez włościan, zaleca więc a raczej poddaje tylko obywatelom myśl, by robocizny i powinności, jakich mieli prawo od poddanych swoich się domagać, uregulowali i na przyszłość stale określili. Takie umowy i zobowiązania bierze Ustawa w opiekę i zapowiada, że ścisłego ich przestrzegania na przyszłość będzie doglądać. Liczyli więc ustawodawcy na to, że szlachta dobrowolnie ustąpi po trosze ze swych praw, jakie miała względem włościan; oczekiwania te jednak były na bardzo kruchej podstawie oparte, bo ofiara z władzy i kapitału była dla szlachty rozpanoszonej, a coraz bardziej ubożejącej zanadto jeszcze uciążliwą. To też po rozwiązaniu sejmu, rzadszymi są wypadki gdzieby włościan czynszowano, darowano im część powinności lub odprzedawano grunt po niskiej cenie; tylko zamożny pan mógł tu sercu swojemu pofolgować, przeważna zaś część drobnej szlachty trzymała się jeszcze dawnych praw i przywilejów, których utrata lub ograniczenie zdawało się jej ubóstwem zagrażać. Mimoto jednak możemy śmiało twierdzić, że stosunki poddańcze odtąd złagodniały, i dola włościan

znacznie się polepszyła. Na dowód tego przytacza Korzon słowa Holsche'go, który niezadługo po sejmie czteroletnim tak pisze o poddanych i o szlachcie polskiej: „Dopuszcza się niesprawiedliwości względem szlachty polskiej, kto sądzi, że włościanie są jeszcze dzisiaj w niewoli trzymani, że nie mają żadnej własności, że cały swój czas na pańszczyznę obracać muszą, że pan może im wszystko zabrać, że wszystko, co chce, z nimi zrobić może. Niewątpliwie za dawniejszych czasów istniało takie urządzenie, i nawet nie jest żadnem wyraźnem prawem zmienione, lecz upłynęła już spora chwila, odkąd się wytworzył całkiem inny porządek rzeczy, który rzadko naruszonym bywa. Dziedzic jest *dominus directus* zagród włościańskich, zabudowań i inwentarza, który był pierwotnie od niego włościaninowi dany, lecz nigdy nie przyjdzie mu do głowy wysadzić włościanina samowolnie z chaty, zabrać mu nabyte własną pilnością i pracą mienie; nie żąda od niego nic więcej prócz pewnych służb i bardzo małych danin, podług dawnego zwyczaju... *Quidquid adquirit servus, adquirit domino*... ta zasada już nie ma w Polsce zastósowania". Zdanie to bardzo słuszne, bo świadczą o tem również zapiski spółczesne, a spora ilość rozporządzeń władz administracyjnych, jakie w czasie sejmu i po nim wydane zostały, wykazuje, że władza wzięła rzeczywiście włościan w opiekę, broniąc ich od ucisku i karząc zapozwanych o to przed sądy właścicieli [1].

Prawdą więc jest, że konstytucya nie uregulowała jeszcze dokładnie stosunków włościanskich, nie nadała im, jak widzieliśmy, ani tej wolności, ani własności, jaką mają dzisiaj; lecz mając do walczenia z niesłychanemi trudnościami, a przedewszystkiem uchwalić tyle różnych praw bezpośrednio ojczyznę ratować mających, nic dziwnego, że w kwestyi powyższej, na razie nie tak bardzo piekącej, dalej nie poszła. Przeszkodziła temu ostatecznie wojna z Rosyą, która zmusiła sejm do nieograniczonego odroczenia się, a właściwie do zupełnego rozwiązania. Zresztą, reforma taka, przeobrażająca do głębi stosunki społeczne, nie mogła być odrazu i to gruntownie przeprowadzoną; nie zakłóciwszy porządku publicznego; bądź co bądź jednak wprowadzeniem jej stanowczem pod obrady sejmowe

[1] Korzon.

i nadaniem lepszego obrotu całej sprawie przełamano pierwsze lody, usunięto podstawę zastarzałym wadom i przesądom, jakie do tak niedawna żadnych ograniczeń na dwory włożyć nie pozwalały.

Kreśląc ostatnie koleje pańszczyzny w Polsce na podstawie Korzona, rzucę jeszcze kilka uwag z niego zaczerpniętych o wrażeniu, jakie konstytucya 3-go maja na włościanach zrobiła. Przedewszystkiem poczuli się do obowiązku względem króla i ojczyzny, dali dowody ofiarności wdowiej wprawdzie, lecz dosyć powszechnej, składając ofiary na naglące potrzeby ojczyzny na ręce swych plebanów; niektórzy służyli wojskowo w kampanii z Rosyą r. 1792, a żaden prawie nie chciał służyć nieprzyjaciołom konstytucyi, i przynajmniej zachowaniem się biernem nie pogarszali trudności położenia. „Podczas wojny z r. 1792, pisze Korzon, i późniejszej akcyi podziałowej spotykamy się z okropnymi zarzutami, hańbiącymi imiona kilku wyższych oficerów, ale znajdujemy jednę tylko wątpliwej wiarogodności skargę (Sanguszki) na szeregowych; znamy zbyt wielu, niestety! zdrajców z pomiędzy magnatów i szlachty, ale nie wyczytaliśmy żadnego, rzetelnie usprawiedliwionego wypadku, gdzieby chłop wyrządził szkodę sprawie narodowej nawet wśród ludności rusińskiej, wśród „rezunów“ ukraińskich“ [1].

W czasie Kościuszkowskiego powstania sprawa włościańska na nowo poruszoną została. Pierwszy raz od tylu wieków zostali wszyscy włościanie do broni powołani, i to każde miasto, miasteczko i wieś obowiązane było dostarczyć z pięciu dymów jednego człowieka, uzbrojonego w karabin, pikę i siekierę, ubranego po wieśniacku, zaopatrzonego w żywność na dni sześć i w 15 złp. Jeśli zważymy, że szlachta dotąd jeszcze uważała zawód rycerski i obronę kraju za swój wyłączny przywilej, że widziała w nim podstawę i cechę szlachectwa wyróżniającą ją od pospólstwa, jeśli sobie przypomnimy, że poddani zapełniający szeregi armii XVII i XVIII wieku byli raczej służbą rycerstwa, i uważani za bierne narzędzie i siłę roboczą, nie za obrońców ojczyzny, to łatwo sobie wyobrazić, dlaczego wielka część szlachty, przeważnie uboższej nie tylko z obojętnością, ale z podejrzeniem a niekiedy i oburzeniem

[1] Korzon.

rozporządzenie to przyjęła. I mimo zapału, z jakim po całej Polsce porzucało chłopstwo swoje domy a garnęło się licznie do powstania na głos swego ukochanego naczelnika, mimo że z gołą ręką prawie rzucało się na nieprzyjacielskie armaty, mimo cudów waleczności przez kosynierów dokazywanych, stało się, że w niektórych miejscach nie znajdywały pozostałe w domu żony i dzieci nie tylko należytej opieki od dworu, ale nadto żadnej ulgi w pańszczyznianych powinnościach. W obec skarg i narzekań, jakie z tego powodu do władz powstańczych zanoszono, wydała Komisya porządkowa Województwa krakowskiego w dniu 20 kwietnia 1794 r. odezwę, w której oświadcza, że włościanie byli i zostają zawsze pod opieką rządu krajowego, nakazuje dworom nietylko czynić ulgę w robociznach i daninach, ale opiekować się włościanami; ogłasza nadto, że włościanie służący w wojsku i ich zagrody wolne są od wszelkich powinności pańszczyźnianych, dopoki do domu nie powrócą. Przestępujących te rozporządzenia karać będzie sąd kryminalny. Uniwersał Kościuszki z pod Połańca idzie jeszcze dalej, a zalecone przezeń komisyom porządkowym urządzenie, składa się z 14 artykułów:

1) „Ogłosić ludowi, iż podług prawa zostaje pod opieką rządu krajowego.

2) Że osoba wszelkiego włościanina jest wolna, i że mu wolno przenieść się gdzie chce, byleby oświadczył komisyi porządkowej swego województwa, gdzie się przenosi, i byleby długi winne oraz podatki krajowe opłacił.

3) Że lud ma ulżenie w robociznach, tak iż ten, który robi dni 5 lub 6 w tygodniu, ma mieć dwa dni opuszczone w tygodniu, — który robił dni 3 lub 4 w tygodniu, ma mieć opuszczony dzień jeden; kto robił 2 dni, ma mieć opuszczony dzień jeden. Kto robił w tygodniu dzień jeden, ma teraz robić w dwóch tygodniach dzień jeden. Do tego kto robił pańszczyznę po dwoje, mają mu być opuszczone dni po dwoje. Kto robił pojedyńczo, mają mu być dni opuszczone pojedyńczo. Takowe opuszczenie trwać będzie przez czas insurekcyi, póki w czasie władza prawodawcza stałego w tej mierze urządzenia nie uczyni.

4) Zwierzchności miejscowe starać się będą, aby gospodarstwo tych, którzy zostają w wojsku Rzeczypospolitej, nie upadło,

i żeby ziemia, która jest źródłem bogactw naszych, odłogiem nie leżała; do czego równie dwory jako i gromady przykładać się powinny.

5) Od tych, którzy będą wezwani na pospolite ruszenie, póki tylko zostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wyciągana, lecz dopiero rozpocznie się od powrotu ich do domu.

6) Własność posiadanego gruntu z obowiązkami, do niego przywiązanemi, podług wyżej wyrażonej ulgi, nie może być od dziedzica żadnemu włościaninowi odjętą, chybaby się wprzód o to przed dozorcą miejscowym rozprawił i dowiódł, że włościanin obowiązkom swym zadosyć nie czyni.

7) Któryby podstarości, ekonom lub komisarz wykraczał przeciw niniejszemu urządzeniu i czyniłby jakie uciążliwości ludowi, taki ma być wzięty, przed komisyę stawiony i do sądu kryminalnego oddany.

8) Gdyby dziedzice (czego się nie spodziewam) nakazywali lub popełniali podobne uciski, jako przeciwne celowi powstania, do odpowiedzi pociągnięci będą.

9) Wzajemnie lud wiejski, doznając sprawiedliwości i dobroci rządu, powinien gorliwie pozostałe dni pańszczyzny odbywać, zwierzchności swojej być posłusznym, gospodarstwa pilnować, rolę dobrze uprawiać i zasiewać. A gdy takowa ulga uczyniona jest dla włościan z pobudek ratunku ojczyzny, i właściciele przez miłość ojczyzny chętnie ją przyjmią; przeto włościanie nie mają się wymawiać od najmów dworu za przyzwoitą zapłatę.

10) Dla łatwiejszego dopilnowania porządku i zapewnienia się o skutku tych zleceń podzielą komisye porządkowe, jak jest rzeczono w ich organizacyi, województwa albo ziemie lub powiaty swoje na dozory tak, ażeby każdy dozór tysiąc, a najwięcej tysiąc dwieście gospodarzy mieszkańców obejmował. Nadadzą tym dozorom nazwiska od głównej wsi lub miasteczka, i w takim zamkną je okręgu, żeby łatwa komunikacya być mogła.

11) W każdym dworze wyznaczą dozorcę, człowieka zdatnego i poczciwego, który prócz włożonych na siebie obowiązków w organizacyi komisyi porządkowych, będzie odbierał skargi od ludu w jego uciskach, i od dworu w przypadku nieposłuszeństwa lub

niesforności ludu. Powinnością jego będzie: rozsądzać spory, a gdyby strony nie były kontentne, do komisyi porządkowej je odsyłać.

12) Dobrodziejstwo rządu w ulżeniu ludowi ciężarów zachęcić go powinno bardziej jeszcze do pracy, do rolnictwa, do obrony ojczyzny. Gdyby więc hultaje jacy, na złe używając dobroci i sprawiedliwości rządu, odwodzili lud od pracy, buntowali przeciwko dziedzicom, odmawiali od obrony ojczyzny, komisye porządkowe w swoich województwach i powiatach pilne na to mieć będą oko, i natychmiast takowych hultajów łapać rozkażą i do sądu kryminalnego oddadzą. Niemniej komisye porządkowe czuwać mają nad włóczęgami, którzyby w tym czasie domy porzucali i po kraju włóczyli się. Wszystkich takowych ludzi chwytać i do wydziału bezpieczeństwa, w każdej komisyi będącego, oddawać trzeba, a po zrobionym egzaminie, gdy się tułaczami i próżniakami okażą, do robót publicznych używać.

13) Duchowni, najbliżsi ludu nauczyciele, powinni mu przekładać, jakie jego obowiązki dla ojczyzny, która się prawdziwą matką względem niego okazuje. Ciż duchowni oświecać lud powinni, że pracując pilnie około roli swojej i dworskiej, równie miłą czyni ojczyźnie ofiarę, jak ten, który ją orężem od ździerstw i rabunków żołnierstwa nieprzyjacielskiego zasłania; że pełniąc powinność względem dworów, zwłaszcza tak sfolgowaną przez niniejsze urządzenie, nic innego nie czyni, tylko winny dług wypłaca dziedzicom, od których grunta trzyma.

14) Duchowni obojga obrządków niniejsze urządzenie ogłaszać będą z ambon po kościołach i cerkwiach ciągle przez niedziel cztery; prócz tego komisye porządkowe z grona swego lub z obywateli gorliwych o dobro ojczyzny wyznaczą osoby, które objeżdżać będą gromady po wsiach i parafiach i onym toż urządzenie głośno czytać z zachęceniem ich, aby wdzięczni tak wielkiego dobrodziejstwa Rzeczypospolitej szczerą ochotą w jej obronie wypłacali się. Dan w obozie pod Połańcem dnia 7 maja 1794 r. Tadeusz Kościuszko“ [1].

---

[1] Tadeusz Kościuszko. Jego odezwy i raporta. Paryż, księgarnia luksemburska, tom V, str. 27—35; toż samo w gazecie wolnej warszawskiej Nr. 12 str. 165—6. (Korzon.).

W uniwersale tym ubezpiecza Kościuszko włościanom wolność osobistą, własność owoców ich pracy i posiadanie zagród, z których odtąd nie mogli być samowładnie przez dziedziców wyrzucani. Całemu temu rozporządzeniu a przedewszystkiem punktowi trzeciemu brakuje szerszej podstawy, jaką jest wola narodu, a w szczególności samych właścicieli w sprawie tej interesowanych, do których właściwie należało wyrokować o swojej własności i ustąpieniu swoich praw. Nadto, wymaga uniwersał nierównej ofiary od obywateli nakazując tym, którzy mieli prawo do największej liczby dni roboczych, opuścić $^1/_4$, $^1/_3$ lub $^2/_5$ części, a innym, w daleko gorszem położeniu będącym, całą połowę. Mimo jednak wszystkie ujemne i niepraktyczne strony, nie napotkał uniwersał nigdzie żadnego znaczniejszego oporu ze strony szlachty, owszem, kierując się pobudkami patryotycznemi przyjęła bez oporu wolę swego Naczelnika [1]. Ta właśnie okoliczność pozwala mi twierdzić, że gdyby nie rozbiór Polski, to naród nasz byłby wniósł w wiek XIX kwestyę włościańską już rozwiązaną, uprzedzając w tem o lat kilkadziesiąt swych sąsiadów, i byłby zapobiegł niejednemu złemu, jakie w dalszym toku pańszczyzny na tle XIX wieku się wywiązało. Niestety! uniwersał Kościuszki jest w tym względzie ostatnim aktem Polski niepodległej. W pięć miesięcy od jego wydania twórca jego już się znajdował w niewoli; w półczwarta tygodnia potem Rzeczpospolita wymazaną została z karty Europy, a z nią i sprawa włościańska pod trzema różnymi rządami, trzema odmiennemi poszła tory. „Nazajutrz po bitwie Maciejowickiej, dnia 11 października 1794 r. w Grodnie zajętem już przez wojska rosyjskie, wyszedł dokument w postaci drukowanej odezwy czy uniwersału z napisem na czele: Paweł książe Cycyanów, generał-major wojsk rosyjskich... dywizyę wojska pod generalną komendą J. O. ks. Repnina... Generała *en chef* na całą armię w Koronie i Litwie komenderujący. Czytamy tu: Gdy dochodzą użalenia od różnej kondycyi dóbr posesorów, że włościanie nie tylko swoje wiejskie opuszczają role, ale też dwornych posłusznie wyrabiać i usiewać nie starają się... nakazuje... włościanom... aby wszelkie posłuszeństwo podług danych zwyczajów, nie oglądając się na przeszłe uniwersały Kościu-

[1] Korzon.

szki pełnili, role uprawiali, pilnie i dobrze obsiewali, budowle opatrywali, mosty drogi naprawiali, czynsze, dziakła, daniny, podatki składali i płacili“ [1]. W ten sposób dawna pańszczyzna i wady jej powróciły w całej uciążliwości, i dopiero po latach kilkudziesięciu doczekał się włościanin tego, co mu w znacznej części Kościuszko zapewnił. Mimo jednak że rozporządzenia Kościuszki zostały zniesione, zachował naród, a w szczególności lud swego dobrodzieja i opiekuna w pamięci, usypał mu mogiłę pod Krakowem, a imię jego stało się u ludu najpopularniejszem. Jest to dowód, że chłop polski umie poczuć wdzięczność ku temu, kto mu rękę podaje i od ucisków go broni.

Dalszych dziejów pańszczyzny i ostatecznego jej rozwiązania nie mam obecnie zamiaru przechodzić, wypada tu bowiem szczególnie w naszej prowincyi wyjaśnić obszerniej rok 1846 i przyczyny, jakie się nań złożyły, a to wymaga osobnej pracy; dlatego na tym punkcie historyę stosunków włościańskich w Polsce urywam. Na zakończenie jednak pozwolę sobie zrobić kilka uwag, które do należytego ocenienia pańszczyzny w Polsce są potrzebne.

Pańszczyzna uważana sama w sobie nie jest jeszcze złem. Przy niedostatku monety i regularnego zarobku, pańszczyzna była konieczną formą czynszu. Tadeusz Korzon w tyle razy wspominanych „Dziejach wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta“ wykazuje, że w dobrach Zamoyskich całe wsie oczynszowane nie mając czem płacić pozostały przy pańszczyźnie. Stosunek ten wyrobił się więc sam, odpowiadał naturze rzeczy i obyczajom i wcale nie zasługiwał na miano barbarzyństwa. Zaprowadzenie pańszczyzny żadną miarą nie może być nazwane zaborem ani spoliacyą — nie było feudalnym podbojem ani wydarciem własności, własność ziemską bowiem bardzo mało kmieci posiadało, bo kmiecie pierwotnie wolni przeszli przeważnie w stan rycerski, lub biedą przyciśnięci osiedli na pańskich gruntach. Właściwem złem były nadużycia w zachowaniu praktycznem pańszczyzny, przedewszystkiem zaś niesprawiedliwe prawa, które wykreśliły chłopa z rzędu obywateli kraju, wyjęły go z pod opiekuńczej ręki państwa, oddały go na samowolę

[1] Korzon.

dziedzica. Krzywdy i nadużycia działy się, nie ulega żadnej wątpliwości, można jednak sądzić, że ucisk nie był powszechnym. Szlachta nasza miała wiarę, błądziła, lecz z błędów swych powstawała i złe naprawiała. Dowodzi tego okoliczność, że niema w historyi polskiej przykładu buntów chłopskich, jak to było gdzieindziej, a rozruchów kozackich przeważnie na karb ucisku żadną miarą kłaść nie można. Spokojnego znoszenia ciągłych i wielkich krzywd, jeśli one były, nie można tłumaczyć tem, „że chłopi trzymani w ciemnocie nie mieli pojęcia swoich praw i nie widzieli sposobu wydobycia się ze swej niedoli“[1]. Prawda, że nie mieli pojęcia swoich praw, że nie widzieli sposobu wydobycia się ze swej niedoli na drodze legalnej, w sejmach lub trybunałach, lecz to jeszcze większa, bo doświadczona prawda, że ciemnota potrafi odczuć swą krzywdę, a gniew, rozpacz i zemsta tem łatwiej znajdą do niej przystęp. Owszem, gdyby ucisk był powszechny, to lud nie patrząc wcale na skutki, mimo swej ciemnoty byłby, podobnie jak i za granicą, chwycił się doraźnych, choćby nawet rozpaczliwych środków, byle tylko zemścić się na swoich ciemiężcach. Że tego nie było, to znak, iż w ogóle pańszczyzna była znośną a nie taką, jak ją dzisiaj fałszywi opiekunowie ludu, a nasi nieprzyjaciele przedstawiają. Twierdzenie moje popiera i ta okoliczność, że nawet w czasie rzezi r. 1846, na którą obok pańszczyzny tyle innych a ważniejszych przyczyn się złożyło, tylko w kilku miejscach rzucili się włościanie na swego pana, zwykle zaś szli do dalszej wsi, aby dogodzić zemście na obcym, a sobie mało lub wcale nieznanym dziedzicu. Nadużycia i krzywdy jednak były, jak wiemy z przytoczonych wyjątków historycznych i z bezstronnego świadectwa ludzi, którzy jeszcze na nie patrzyli swemi własnemi oczami.

Pańszczyzna, jaka była u nas, wraz z całym szeregiem praw niesprawiedliwych, będąc błędem politycznym i krzywdą społeczną, oddziałać musiała koniecznie w następstwach. Błąd polityczny okupiliśmy utratą niepodległości politycznej — nieubłagana Nemezys pomściła krzywdę społeczną — ziemia usuwa się z pod nóg dawnych posiadaczy. Co więcej, tenże sam szlachcic, który da-

[1] Tak mówią Hugo Kołłątaj i Ignacy Potocki w dziele: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja.

wniej z taką wytrwałą zazdrością oburącz trzymał kawał swej ziemi, dziś stracił nadzieję utrzymania się przy jej własności, a byle jej nie oddać w rękę wrażego żywiołu, chętnie sam ją dzieli między potomków tych, którzy ją w pocie czoła przez tyle wieków uprawiali.

Lecz cnota z konieczności cnotą jeszcze nie jest. Porachujmy się cośmy dotąd uczynili dla naszej młodszej braci. Komu innemu niż nam przypisuje lud zniesienie pańszczyzny. Ale mamy jeszcze w ręku wiele środków i sposobów, niekiedy w politycznej, a zawsze w społecznej sferze, ażeby rany dotąd rozognione zagoić, i wszystkie części składowe narodu zaufaniem i miłością zjednoczyć.

Ks. Józef Waligóra.

LISTY KRYMSKIE KSIĘCIA DE LIGNE.

Słynny z dowcipu ks. Karol de Ligne nie zostawił niestety prawdziwych pamiętników. Ten człowiek, który był uosobieniem XVIII w., byłby nam w historyi swojego życia skreślił społeczne i polityczne dzieje całego stulecia. Nie trzeba w nim jednak szukać męża stanu, ani myśliciela; obdarzony zdolnościami niezwykłej miary, postawiony od kolebki do grobu na wyżynach społecznych, przeszedł po tej ziemi nie zdziaławszy nic pamiętnego, nie dotknąwszy ani razu prawdziwej prozy życia, która wyostrza wprawdzie silne, poważne rozumy, ale za to lżejsze, bystrzejsze przygnębia i tępi. Ks. de Ligne nie był wieku swego dobrodziejem lub chwałą, lecz był jego ozdobą; dotąd myśl o nim, podobnie jak dnia pogodnego wspomnienie, jasny uśmiech wywołuje na twarzy. A niech surowsi krytycy nie mówią, że tacy ludzie są niepotrzebni na świecie. Pan Bóg czasami stwarza takie istoty tak jak stworzył słowiki, motyle i kwiaty. Bywają wprawdzie u podobnych natur zboczenia, których już na karb Pana Boga kłaść nie można; za te jednak nietylko ich samych, ale i społeczeństwo, w którem żyli, winić należy, pamiętając, że jeśli wielu dzieliło ich wady, to nie wielu się mogło ich zaletami poszczycić.

Ks. de Ligne, pomimo iż nie miał nigdy do autorstwa pretensyi, napisał czterdzieści tomów, z których Pani de Staël zręczny uczyniwszy wybór, dwa tomy jeszcze za życia jego wydała. „Wszystko znaleść można, pisze w swojej przedmowie do Listów „Krymskich pan de Leseure, w tych pismach najlżejszego z po„ważnych ludzi. Dotknął wszystkiego, od sztuki zakładania ogro-

„dów do sztuki wojennej, od dziejów krajowych do kroniczki mód „i obyczajów, od najwyższych kwestyj moralnych i religijnych do „najdrobniejszych uczuciowych zagadnień, nigdy przytem nie tra„cąc wrodzonego wdzięku, humoru i lekkości prawdziwie wielko„pańskiego pióra".

Z pomiędzy krótkich dzieł pozostałych po księciu de Ligne podaje nam p. de Leseure w osobnem wydaniu 9 listów, pisanych z Rosyi do margrabiny de Coigny. Pani ta, o której Marya Antonina mówiła z lekkiem westchnieniem, iż „jest królową Paryża, podczas gdy ona sama króluje tylko w Wersalu" — zachowała niewysłowiony urok i świeżość umysłu aż do późnej starości. Przyjaźń ks. de Ligne — gdyż o innem uczuciu zwłaszcza z jej strony nigdy mowy nie było — przetrwała dość długie lata. Oziębiły ją dopiere polityczne wypadki i stanowisko, jakie w nich zajęła margrabina.

Urodzona w r. 1759 Ludwika Marya de Conflaus, w szesnastym roku życia wydana za młodziuchnego margrabiego de Coigny, żyła z nim w niezakłóconym spokoju aż do wybuchu rewolucyi. Niełaska i upadek domu Rohanów, z którym była skoligacona przez siostrę, oddaliły ją od wersalskiego dworu i zbliżyły do stronnictwa księcia Orleańskiego. Osiadła w Paryżu, gdzie salon jej stał się wkrótce ogniskiem otwartej opozycyi. Tu rozpoczęło się owo królowanie dowcipem, którego zazdrościła Marya Antonina. Głównymi admiratorami pani de Coigny byli wówczas ks. de Ligne, ks. Orleański i ks. Lauzun; podziw ten jednak pełen był uszanowania, tak iż jestto może jedyna kobieta, o której Lauzun w swych osławionych pamiętnikach wyraża się z czcią i uznaniem. Myśl jej wówczas zaprzątała jedynie polityka. Początkom rewolucyi przyklaskiwała pani de Coigny z największym zapałem; nie przeszkodziło jej to wszakże już w r. 1791 emigrować do Anglii, skąd z przerażeniem patrzeć musiała na zbrodnie i klęski, do przygotowania których tak nieopatrznie przyczyniła się sama. Za czasów cesarstwa widzimy ją znowu w Paryżu, piękną jeszcze i pełną uroku pod siwiejącym włosem, strojącą z Napoleona lekkie żarciki, które cesarz przyjmował uśmiechem i najczęściej spotykając margrabinę u swego dworu witał słowami: „Jak się miewa języczek?".

Jeżeli ks. de Ligne uosabia wiek XVIII, to pani de Coigny

może być uważaną za typ epoki przejściowej między nowym a dawnym światem. Jestto dziwna mieszanina pojęć i uczuć: w polityce imperyalizm na tle liberalizmu wraz z przymieszką przywiązania a raczej przywyknienia do starej monarchii; w sferze duchowej pociąg do Woltera i wolteryanizmu obok pewnych zasad i praktyk religijnych; rozwód z mężem po dwudziestu latach zgodnego jeśli nie szczęśliwego pożycia — wszystko to uwieńczone pogodną starością w gronie starszych i młodszych przyjaciół, i zakończone nagle napadem cholery w 1832 r. Pani de Coigny zostawiła syna i córkę, nieszczęsną później zamordowaną przez męża księżnę de Choiseul Praslin. Do tej to kobiety adresował ks. de Ligne swoje Listy krymskie nieco, zdaniem naszem, przeceniane przez krytyków francuskich. Podajemy z nich wszystkie ustępy ciekawe nie tyle jako odłamek historyi, gdyż tryumfalny pochód Katarzyny II do Krymu nieraz był już opisanym, ile raczej jako rys psychologiczny człowieka ubiegłych czasów, którego typ w dziedzinie moralnej liczyć możemy do zaginionych archeologicznych okazów.

Jeśli nie miło w tych listach brzmią ciągłe niemal wyrazy uwielbienia dla wielkiej carowej, przykrzejszym jest jeszcze opis zabiegów o jej łaskę Polaków i Polek. Kto jednak czytał dzieje tych czasów skreślone mistrzowską ręką O. Kalinki, ten nie zadziwi się widząc nie pochlebne acz nie złośliwe wzmianki pod lekkiem piórem cudzoziemca.

W jesieni 1786 r. ks. de Ligne odebrał od imperatorowej list z zaproszeniem do Petersburga i namową, aby jej towarzyszył w podróży do świeżo przez Portę odstąpionego Krymu. Czy Katarzyna zwierzała mu się z wielkiemi zaborczemi planami, jakie w tej chwili w jej głowie się snuły, nie wiadomo; to pewna, że przyjazd ks. de Ligne miał na celu przysposobienie spotkania z Józefem II, i że już w Grudniu ks. de Ligne odjeżdżał wioząc cesarzowi projektowany rozkład podróży. Powracając tym razem z obu synami, zatrzymał się 21 marca 1787 u Stanisława Augusta, bawiącego w przejeździe do Kaniowa w Chwastowie, dokąd również był zjechał ks. Potemkin wraz z Stackelbergiem i ks. Nassawski. „Dano obiad wspaniały, pisze w swoim Dyaryuszu Naruszewicz, w ciągu którego przyszła wiadomość, że Państwo Marszałkowstwo W. K., ks. de Ligne, JP. Moszyński, sekretarz lite-

wski i inni nadjeżdżają. Wstał król Jegomość z gościami dla dania miejsca przyjeżdżającym, ponieważ w ciasnej salce innego stołu postawić nie można było. Pomnożyła się ochota i wesołość z nowej kompanii... „Wieczorem młodzi książęta de Ligne zostawiwszy ojca pojechali na całą noc do Kijowa. Nazajutrz król, wziąwszy do swojej karety starszego księcia i hr. Dillon, ruszył się około $8^1/_2$ na popas do Mietnicy, gdzie go Pan Wda ruski, Potocki na czele towarzystwa z dobytym pałaszem przyjmował. Po śniadaniu ks. de Ligne wraz z marszałkiem W. K. i innymi pożegnał króla jadącego w stronę Kaniowa — sam zaś do Kijowa podążył do czekającej tam na sposobną chwilę wyjazdu carowej. Z Kijowa pisze:

Z Kijowa.

„Boże mój, co tu za ruch, co za gwar, wieleż brylantów, złota, gwiazd i wstęg orderowych, nie licząc już „Ducha Świętego!" Wieleż łańcuchów, wstążek, turbanów i czapek czerwonych futrzanych lub spiczastych! Ten ostatni rodzaj czapek przystraja dziwnych człowieczków o chińskich oczach i nosach, kiwających głowami zupełnie tak jak figurki porcelanowe stojące na kominku pani. Tych ludzi zwą Lezgisami; przyszli oni z pod muru chińskiego w deputacyi, podobnie jak inni poddani przybywający od granic Persyi lub Państwa Ottomańskiego. Jest to nieco bardziej imponującem niż garstka członków parlamentu lub deputowanych jakiego miasteczka, przyjeżdżających dyliżansem o dziesięć mil do Wersalu, z jakiemś głupiem przedstawieniem lub skargą.

Ludwik XIV byłby pozazdrościł siostrze swej Katarzynie II albo też byłby się z nią ożenił, choćby tylko dla uświetnienia swego rannego przyjęcia. Większą byliby mu sprawili przyjemność królewicze Kaukascy, tacy jak np. bawiący tu synowie Herakliusza, niż pół tuzina starych kawalerów orderu św. Ludwika. Poczet dwudziestu arcybiskupów, nieco brudnych wprawdzie, ale z brodami sięgającemi do kolan, romantyczniej wygląda od krótkiego stroju kapelanów królewskich. Drużyna ułanów eskortująca polskiego magnata, jadącego o pół mili w odwiedziny, wspanialszy również przedstawia widok od konnych lokaji poprzedzających melancholiczną o sześciu szkapach kolasę, wiozącą Jegomościa w rabacie i olbrzymiej peruce; podobnie też błyszczące szable o rękojeściach drogiemi kamieniami

sadzonych, więcej robią wrażenia niż białe drągi dostojników angielskiego dworu.

Cesarzowa przyjęła mnie jakoby nie sześć lat, ale sześć dni upłynęło od mego wyjazdu. Przypomniała mi mnóstwo drobnych rzeczy, jakie chyba monarchowie pamiętać mogą — wszyscy bowiem mają pamięć wyborną.

Pełno tu wszystkiego do wyboru we wszelkim guście i wszelkim rodzaju: jest wielka i mała polityka, wielkie i małe intrygi, wielka i mała Polska. Jest kilku sławnych ludzi z tego kraju, których łudzą, którzy się łudzą sami albo też łudzą drugich. Wszyscy nader uprzejmi, (mniej jednak od żon swoich) chcą się zapewnić, że cesarzowa nie wie, iż nań obelgami miotano wśród wrzasków ostatniego sejmu. Radziby spotkać wejrzenie ks. Potemkina, a to rzecz nie łatwa, gdyż ks. niby na jedno oko nie widzi, a obydwoma krzywo patrzy; kobiety ubiegają się o wstęgę św. Katarzyny, aby ją z kokieteryą upiąć na sukni i do wściekłości doprowadzić przyjaciółki i krewne. Obawiają się tu i pragną wojny. Żalą się na ministrów angielskich i pruskich, że podżegają Turków, a sami drażnią ich bezustannie. Co do mnie, który nie ryzykuję, a mógłbym nieco chwały pozyskać, radbym wojnie z całego serca; czasami jednak powiadam sobie: Czyż mogę pragnąć czegoś, co tyle nieszczęść sprowadza? i wtedy moje instynkta wojenne stygną, aż znów po chwili reszta zapału w żyłach się budzi i walczy z ostatkami rozsądku. Mój Boże, czemże jest życie ludzkie! może mi wkrótce przyjdzie napisać:

Już mi widzieć Paryża więcej się nie godzi,
Już mi w czarną noc grobu zstępować przychodzi!

Ale oto przychodzą po mnie, abym szedł oglądać fajerwerk, który, o ile słyszałem, ma kosztować 40.000 rubli...“

Z mojej galery.

„Zdaje mi się, iż list ten wysłanym będzie z Krzemieńczuka. Nazwa ta nie ma w sobie nic lirycznego, ale tu trzeba się przyzwyczaić do różnych imion, któreby Lulli i Rameau mogli tylko *recitativem* wygłosić. Ziemia, którą przejeżdżamy, nie jest krainą pasterek lub winobrania — zajmują nas rzeczy ważniejsze. Z mego wspaniałego łoża np. widzę Perejesław, gdzie biedny Karol XII przebył fale Borystenu, aby się schronić w Benderze. Czekam

końca naszej żeglugi, aby z niej dać dokładną sprawę; dotąd jako tako w życiu łódką moją sterowałem, puszczając się tylko na fale drobniejszych przygód. Do chwili jednak, w której mi wstąpić przyjdzie do łodzi Charona, przywiązanie moje do pani pozostanie niezmienne".

Z Kersonu.

„Flota Kleopatry odpłynęła z Kijowa, skoro tylko ogólny huk dział oznajmił, iż lody na Borystenie ruszyły. Nigdy nie widziano świetniejszej a zarazem przyjemniejszej żeglugi. Na trzy tysiące załogi było nas 80 osób rozlokowanych po wielkich i małych statkach; pokoje nasze zastawione nizkimi sofami, całe okryte w jedwabne mieniące opony. Na każdej łodzi osobna orkiestra z dwunastu przynajmniej muzykantów złożona wygrywała arye tryumfalne za każdym razem, gdy jeden z tych, którzy jak ja towarzyszą cesarzowej, wysiadał z galery lub do niej powracał. Zdarzało się, iż powrót taki nie odbywał się bez niebezpieczeństwa, np. wieczorem, gdy po kolacyi opuszczając łódź cesarzowej trzeba było w małem czółnie płynąć pod wodę i częstokroć walcząc z przeciwnym wiatrem. Aby niczego nie brakło mieliśmy nawet i burzę, wśród której dwie, czy trzy galery na mieliźnie osiadły. Nasza Kleopatra nie jeździ na to, aby zawrócić głowę jakiemu Oktawiuszowi, Cezarowi lub Antoniemu, a nasz cesarz [1] już i tak od podziwu olśniony. Kleopatra nie połyka pereł, ale ich sporo rozdaje, a do dawnej Kleopatry w tem tylko podobna, iż lubi świetne żeglugi, wspaniałość i naukę. Z pewnością podarowała ona do bibliotek swego kraju przeszło 200.000 tomów, a nie więcej ich pono zawierał słynny z bogactwa zbiór ksiąg w Pergamie, za pomocą którego królowa egipska odtworzyła napowrót bibliotekę aleksandryjską.

„Po festynach wyprawionych w Krzemieńczuku przez ks. Potemkina, który do iście cudownego angielskiego ogrodu przesadził grubsze od siebie, obcokrajowe drzewa, wylądowaliśmy u katarakt Kiejdaku, dawnej stolicy wodnych zbójów Zaporożcami zwanych. Cesarz Józef przyjechał na nasze spotkanie wśród olśniewających fantasmagoryj, które się ponowiły za naszem przybyciem. Cesarz

[1] Józef II.

lubi bardzo muzykę, to też ze wszystkich tych dziwów uderzył go i zdumiał najmocniej rodzaj koncertu, w którym kilku muzykantów naraz w tę samą uderza strunę — niebiańska to zaprawdę muzyka, gdyż zbyt jest dziwną, aby być zrozumianą na ziemi.

„Zapomniałem Pani powiedzieć, iż król Polski czekał na nas nad Borystenem w Kaniowie; poświęcił on trzy miesiące i trzy miliony, by z cesarzową trzy godziny przepędzić. Popłynąłem zaporozkim czółenkiem oznajmić mu nasze przybycie; poczem w godzinę wielcy dygnitarze cesarstwa[1] przyjechali po niego na świetnie przybranej łodzi. Wsiadając doń Stanisław August rzekł z niewysłowionym wdziękiem swej pięknej twarzy i miłego głosu: „Panowie, król Polski kazał mi polecić wam hrabiego Poniatowskiego". Obiad przeszedł bardzo wesoło, pito zdrowie króla przy trzykrotnej salwie całej artyleryi okrętowej. Wstając od stołu Stanisław August jął się oglądać za swym kapeluszem, a gdy go napróżno szukał, cesarzowa zręczniejsza dostrzegła go i podała królowi, na co tenże odpowiedział z galanteryą, czyniąc alluzyę do swojej korony: *Deux fois couvrir ma tête, ah! Madame, c'est trop de bienfaits et de reconnaissance!* Przez ten czas eskadra nasza była się uformowała przed oknami króla, który też niebawem do swego mieszkania powrócił, aby nas przyjąć z wieczerzą. Całą noc staliśmy na kotwicy, a dokoła nas sztuczne ognie, naśladujące wybuch Wezuwiusza oblewały góry, doliny i wody światłem jaśniejszem od najpiękniejszego słońca. Wszystek świat zdawał się pływać w złocie i płomieniu. Nie wiemy już jak noc wygląda".

Mimowoli przerywa tu Polak opowiadanie ks. de Ligne kreślącego wesoło tę bolesną chwilę, kiedy pod uśmiechem carowej rozwiewały się wszystkie nadzieje nieszczęsnego Stanisława Augusta. Grzecznych form wprawdzie nie brakło; król naśladując może Józefa II, który niby *incognito* podróżował, nie chciał był zrazu wystąpić w charakterze monarszym, i dlatego oznajmił się dygnitarzom rosyjskim jako hr. Poniatowski. Ale Katarzyna słyszeć o tem nie chciała mówiąc, że chce tego polskiego hrabiego jako króla przyjmować. Nie szczędzono mu fajerwerków, salw i wiwatów, ża-

[1] Bezborodko i Boratyński.

dne prośby jednak, ani nalegania Potemkina, gorąco orędującego za królem nie wymogły na niej, aby swój pobyt w Kaniowie nad owe kilka godzin przedłużyć miała. Katarzyna los Polski i jej monarchy trzymała już w ręce i nie widziała potrzeby schlebiania im dłużej. Nad ranem cała flota wyruszyła z Kaniowa unosząc wesoły dwór Kleopatry. Jakiemi były zabawy i ton tego dworu, poznamy z dalszego ciągu listu ks. de Ligne.

„Nigdy cesarzowa nie użyła tyle co teraz przyjemności życia towarzyskiego; widząc, że paru z nas kart nie lubi, wyrzekła się codziennej partyjki, którą dawniej dla formy raczej grywała. Przed kilku dniami w. koniuszy, Naryszkin, najlepszy i najdziecinniejszy z ludzi, rzucił pomiędzy nas bąka grubszego od własnej głowy; przez chwilę hałaśliwe obroty, skoki i podrygi mocno nas śmieszyły, lecz nagle bąk pękł na trzy czy cztery kawały, ze strasznym świstem przeleciał między Jej Cesarską Mością a mną, i zraniwszy parę osób, ugodził w głowę ks. Nassawskiego *l'Invulnérable*, który w skutek tego musiał sobie dwa razy kazać krew puszczać.

„Wczoraj przy stole cesarzowa zagadnęła nas: „Dziwnem jest, „iż w rozmowie przyjęto liczbę mnogą W y[1]; dlaczegóż skasowano „pojedyńcze t y". „Nie jest skasowane, odrzekłem, i służy nawet „wielce dostojnym osobom, do Pana Boga przecież mówi się t y „w modlitwach naszych jak np.: *Nunc dimittis servum tuum Do-„mine*". „A więc dlaczegóż ze mną większe robicie ceremonie? „mówcie mi t y, a ja się wam tem samem odpłacę"; — i natychmiast zwracając się do w. koniuszego dodała: „Proszę c i ę, podaj mi to". „Podam C i" odparł tenże, „jeżeli mi dasz co innego". I dalejże puszczać się w facecye zarzucając cesarzową gradem t y, c i e b i e, t o b i e śmieszniejszych jednych od drugich. Co do mnie starałem się w zdania moje wtrącać tytuł „Cesarskiej Mości"; a i tak T w o j a C e s a r s k a M o ś ć zdawało mi się dość dziwnem; inni siedzieli cicho, nie wiedząc co mówić. Imperatorowa zaś wśród tej powodzi żartów i śmiechu nie przestała ni chwili wyglądać na samodzierżczynię wszech Rosyi, a może i wszech innych części świata zarazem.

„Cesarzowa pozwoliła ks. Nassawskiemu i mnie, jako amato-

[1] W języku francuskim i rosyjskim.

rom i znawcom, podjechać pod Oczakow i wypatrzeć dziesięć statków tureckich, które świeżo postawiono u samego ujścia Borystenu w sposób wcale niegrzeczny; rzekłbyś, iż umyślnie tam stoją, by nam zahamować drogę, w razie gdyby Ich Cesarskie Moście chciały płynąć aż po sam Kinburn. Gdy cesarzowej pokazano na karcie pozycyę tej floty, Nassau ofiarował swoje usługi, aby zeń morze oczyścić, na co Imperatorowa uśmiechnęła się tylko z lekka przytyczkiem papier trącając. Uważam to za śliczną przepowiednię, ślicznej, a mam nadzieję, i rychłej wojny. Przed paru dniami myślalem, iż o tem będzie na seryo mowa, widząc, iż do gabinetu cesarzowej, gdzie już cesarz Józef od chwili bawił, wprowadzono oficera artyleryi, oficera inżynieryi i ks. Potemkina. Pokazało się jednak, iż chodziło tylko o budowę magazynu w jednej z odnóg sławnego portu Sebastopolskiego. „Wiecie, rzekła tego dnia cesarzowa, iż „wasza Francya, sama nie wiedząc czemu, zawsze proteguje Muzuł„manów". Na te słowa Ségur pobladł, Nassau pokwaśniał, Fitzherbert ziewnął, Cobentzel poruszył się, a ja począłem się śmiać.

„Cóż wam się zdaje, zapytał mnie raz cesarz, jakże mi się wiedzie w łaskach cesarzowej?" — „Przewybornie, Najjaśniejszy „Panie, odrzekłem". — „Boć to z wami tutaj nie łatwo się zmie„rzyć. Kochany mój ambasador przez wdzięczność dla cesarzowej, „a przez przyjaźń dla mnie chwyta czasem za kadzielnicę. Ks. też „nieraz dorzucisz swoje ziarnko kadzidła, i to tak silne, że za nas „wszystkich starczyćby mogło. P. de Ségur prawi sprytne francu„skie komplementa, wasz Anglik nawet, jakby od niechcenia wy„strzeli od czasu do czasu pochlebne słówko, tem znaczniejsze, iż „zawsze na epigramat zakrawa".

„Spuszczono na wodę trzy statki, i ja dla zabawy spuściłem się na jednym z nich. Na brzegu urządzono dla Ich Cesarskich Mości namioty przybrane w gazy, blondy, falbany, wieńce, paciorki i kwiaty. Wszystko to wyglądało jakoby świeżo wyszło z magazynów paryskich, a było dziełem rosyjskich żołnierzy, z których tu za uderzeniem czarodziejskiej różczki robią dowoli modniarki, majtków, popów, chirurgów lub muzykantów. W istocie też wjeżdżamy do krainy czarów — za chwilę ruszamy do Taurydy, kędy zaprawdę Ifigenia nie byłaby zginęła na ołtarzu ofiarnym, gdyby wdziękiem i uprzejmością mogła była Pani dorównać".

Bakczyseraj 1 czerwca.

„Dojeżdżając do Taurydy zamierzałem myśl moją podnieść do wysokości prawdziwych czy urojonych wspomnień, jakie ten kraj napełniają. Byłem gotów nastroić się heroicznie gwoli Mitrydata, poetycznie dla Ifigenii, wojennie dla Rzymian, artystycznie dla Greków, a wreszcie przejąć się grozą zbójeckich wypraw Tatarów i duchem kupieckim Genueńczyków. Z wszystkimi tymi ludźmi dość jestem obznajmiony, a jednak gdym przyjechał, cały ten gmach wspomnień zniknął przed czarami rzeczywistości.

„Znajduję się obecnie w haremie ostatniego Hana Krymskiego, który, mówiąc między nami, niemądrze przed czterema laty uczynił, zwijając swój obóz i zostawiając Rosyanom kraj najpiękniejszy na świecie. Los zrządził, iż zajmuję mieszkanie najładniejszej z sułtanek, Ségur zaś pokój dowódzcy czarnych strażników seraju. Nasz pałac — mięszanina maurytańskiego, arabskiego, chińskiego i tureckiego stylu, zawiera fontanny, ogródki, malowidła, złocenia, a nadewszystko napisy, których tu wszędzie pełno. Jeden z nich umieszczony w nader wspaniałej a zarazem nader śmiesznej sali audyencyjnej brzmi jak następuje: „Na złość zazdrosnym niechaj wie świat cały, że ani w Ispahanie, ani w Damaszku, ani w Stambule nie masz nic bogatszego niż tutaj".

„Od samego Chersonu znajdowaliśmy po drodze obozowiska zdumiewające azyatyckim przepychem: prawdziwie odchodzę od zmysłów i nie wiem już gdzie jestem ani w jakiej żyję epoce. Gdy naraz ujrzę góry podnoszące się i spacerujące po ziemi, zda mi się, że to sen, a tymczasem to stado dromaderów, które, gdy staną na swych wysokich nogach, wyglądają zdala na poruszające się góry. Wtedy zapytuję się w myśli, czy to nie z tego stada wielbłądy kroczyły z orszakiem Trzech Króli, podczas ich Betleemskiej podróży? Zdaje mi się znowu, że marzę, gdy spotykam młodych kaukaskich książąt, całych w srebro odzianych, jadących na rumakach olśniewającej białości; widząc ich uzbrojonych w łuki i strzały, przenoszę się w czasy starego i młodego Cyrusa. W coraz to większe wpadam zdumienie w obec oddziału Czerkiesów pięknych jak słońce, a bardziej ściśniętych w pasie od pani de L.; w obec murzów strojniejszych niż księżna Choiseul na balach królowej; oficerów kozackich umiejących gustowniej od panny Bertin zarzucać

fałdy draperyi, lub też na widok sprzętów i odzieży, których barwy nie mniej harmonijnie się łączą, jak kolory pod pędzlem pani Lebrun.

„Ze Starego Krymu, z którego na jeden nocleg cesarzowej pałac stworzono, wzrok mój obejmuje wszystko, co jest ciekawego we dwóch częściach świata, niemal aż po morze Kaspijskie. Wychodząc z mego pokoju dostrzegam równocześnie Morze Czarne, Azowskie i góry Kaukazkie.

„Zdaje mi się znowu, że marzę, gdy usadowiony w głębi iście tryumfalnego powozu o sześciu miejscach, zdobnego w cyfry z błyszczących kamieni, zdrzemnę się od gorąca opierając mimowoli o ramię jednej z osób, między któremi siedzę, i nagle przebudzony słyszę urywane zdania rozmowy: „O ile wiem, posiadam trzydzieści milionów poddanych, nie licząc kobiet“ mówi jeden głos. „Ja zaś, odpowiada drugi, mam ich dwadzieścia dwa, licząc wszystko“. To znów: „Potrzeba mi 600.000 wojska od Kamczatki do Rygi“ na co odpowiedź: „Co do mnie połowa tego wystarcza mi zupełnie“.

„Ségur powie Pani, jak bardzo nam się podoba nasz cesarski towarzysz — ze swojej strony Ségur spodobał się cesarzowi. Monarcha ten ujmuje sobie wszystkich; zdala od trosk rządowych umie obejściem swojem uszczęśliwiać przyjaciół. Na chwilę tylko przed paru dniami zasępił się na wieść o powstaniu w Niderlandach. Podczas jazdy w powozie robimy przegląd państw Europy i wszystkich znacznych osobistości, i Bóg wie, jak ich oporządzamy. „Wolałabym się była zastrzelić, powiedziała Katarzyna, niż podpisać oderwanie się od korony trzynastu prowincyj, jak brat mój Jerzy uczynił“. „A ja, odrzekł Józef II, nie wiem cobym był zrobił, raczej niż dać swoją dymisyę, jak to mój brat i szwagier uczynił, gromadząc cały naród, aby o nadużyciach rozprawiał“. Godzili się również w opinii o królu Szwedzkim, którego nie lubili, a do którego cesarz powziął antypatyę we Włoszech, z powodu jakiegoś błękitnego szlafroka przetykanego srebrem i zdobnego w brylantową gwiazdę. Oboje przyznawali mu dużo zdolności, energii i sprytu, czemu potakiwałem, stojąc po jego stronie; jestem bowiem przywiązany do króla szwedzkiego, tak dla dobroci, jaką mi okazał, jak i dla wielkości i siły jego charakteru. „Wasza

C. Mość, dodałem, powinnaby przeszkodzić rozszerzaniu brzydkiego pamfletu, którego autor śmie Don Kiszotem nazywać monarchę pełnego cnót i geniuszu".

„Czasem też cesarz i cesarzowa próbowali się wzajemnie wybadać co do tych nieszczęsnych Turków. Rzucali niby nieznaczne słówka, patrząc sobie w oczy. Wtedy jako amator pięknych starożytności a zarazem i niektórych nowości, mówiłem o odtworzeniu Grecyi. Katarzyna proponowała wskrzeszenie Solonów i Likurgów, na co odpowiadałem wspominając Alcybiadesa. Cesarz za to, więcej przyszłością jak przeszłością zajęty i przenoszący stronę praktyczną nad wszelkie fantazye, pytał się w końcu: „Ale cóż do dyabła z Konstantynopolem poczniemy?" Pomiędzy tymi dwoma potentatami największa panowała poufałość. Opowiadali sobie najciekawsze szczegóły, jak np.: „Czy nigdy nie godzono na życie Waszej C. Mości?". „Mnie już śmiercią grozili". „Mnie zaś posyłano anonimowe listy". „Ot historyjka chyba dla spowiednika"... poczem szły szczegóły wielce zajmujące, a nikomu nie znane.

„Kiedyś jeszcze w Petersburgu cesarzowa zapytała nas: „Jakże się to robi wiersze? Panie de Ségur, niech mi to Pan wypisze". Ségur spisał był wówczas wszystkie reguły wierszowania, dodając dla przykładu śliczne wierszyki różnego rodzaju; poczem cesarzowa wzięła się do roboty. Napisała sześć wierszy, ale tak przepełnionych błędami, żeśmy się wszyscy trzej serdecznie uśmiać musieli, co widząc cesarzowa powiedziała do mnie: „Musisz mi „książę natychmiast wiersze skomponować, to cię nauczy wyśmie„wać się ze mnie. Co do mnie zarzekam się, że już w życiu je„dnego wiersza nie skleję, już mi dosyć dopiekły". Otóż to wszystko przypomniało się Katarzynie w Bakczyseraju. „Zamknę się w moim pokoju, i zobaczycie czego dokażę", rzekła odchodząc. I oto co nam przyniosła:

Sur le sopha du Khan, sur des coussins bourrés,
Dans un kiosque d'or, de grilles entourés...

i ani rusz dalej. Pojmuje Pani, żeśmy ją obsypali żartami i przymówkami za to, iż przez cztery godzin nie mogła wyjść poza ten piękny początek.

Opuściłem na kilka dni dwór pogrążony w zabawach, aby zrobić wycieczkę na szczyt Czatyrdahu, dokąd dostałem się z narażeniem życia, krocząc wzdłuż kamienistego łoża potoków miasto drogi, której nigdzie nie dostrzegłem śladu. Wszystko we mnie potrzebowało odpoczynku: umysł, język, uszy, a nawet i oczy znużone blaskiem fajerwerków, współzawodniczących co nocy ze światłem słońca, którego już i tak przez dzień cały mamy aż do zbytku". (Dok. nast.).

T. W.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

St. Tarnowski. Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XVI. *Jan Kochanowski.* Nakładem autora. W Krakowie 1888.

Mamy w XVI i w XVII w. poetów może większych talentem od Kochanowskiego, albo mu równych, a jednak ani Janicki, ani Szarzyński, ani Szymonowicz, ani Wacław Potocki lub Wespazyan Kochowski, nie wyrośli w narodzie w tak posągową postać, jak Kochanowski. Tamtymi zajmowali się współcześni, z potomnych: uczeni lub bracia po lutni, Kochanowskim zajął się i zajmuje po dziś dzień cały naród. I Czarnolas, i lipę, i ową uroczą Urszulkę, i poetę samego, opromienia legenda serdeczna, znana dzieciom i ludowi, nietylko z elementarzy szkolnych, ale i z podań, tradycyj powtarzanych z ust do ust, przekazywanych z pokolenia w pokolenie.

Postać to wykuta z miłości narodu, niemal w tych rozmiarach, co Skarga, co Sobieski, Kościuszko lub Mickiewicz. A przecież Kochanowski to nie geniusz, nie olbrzym na miarę Szekspira, a pamięć ma i cześć u narodu, jaką darzy się zwykle największych. Zasługi literackie, choćby i w trójnasób były większe, nie starczyłyby na tak wielki pomnik w sercu i pamięci narodu, a przynajmniej nie otoczyłyby imienia poety takim urokiem dla wszystkich i dla każdego.

Jest tam u Kochanowskiego po za poetą coś ważniejszego jeszcze, co naród intuicyjnie pojął i ocenił: jest coś z tego, co Mickiewicz wyraził w słowach: „jestem milion“ i „czuję za mi-

liony". W nim uwydatniła się cywilizacya nasza XVI wieku, on reprezentuje ją, wyobraża, on świadczy o niej i niejako stał się jej symbolem, nietylko jako poeta, ale i jako charakter. Pojmujemy go, wyobrażamy sobie nietylko jako znamienitość literacką, ale i jako doskonałość etyczną.

I Skardze nie za to postawiono pomnik na Wawelu, że niepospolitym był kaznodzieją, boć byli inni, jeżeli nie tacy, to nie wiele mniejsi, a na Wawel nie wkroczyli w posągach, — ale za to, że jest wyrazem sumienia narodu, odzywającego się jego natchnionemi usty, że „jest milion", bo grzmiał w kazaniach, jakby sumienie narodu rozgrzmiewało się na świadectwo Bogu, światu i dziejom, że nie umarło, że nie utonęło ani w prywacie, ani w odmęcie wytryskującej już z rozpadlin politycznych anarchii. Skarga całem życiem swojem, pracą całego żywota, istnieniem swojem, jest przykładem i zachętą dla drugich; jest też jakby świadectwem, że nie upadnie tak rychło naród, co takie rodzi postacie. Jak Kochanowski stał się wyrazem cywilizacyi, tak Skarga wyrazem prawości polskiej.

W Sobieskim skrystalizowała się rycerskość starej Polski, i kryształ rozsypuje promienie światła w ciemnicę dni dzisiejszych i choćby w najjaśniejszej przyszłości, widny, jasny, świetlany pozostanie. I oto dlaczego ten król szlachcic taki nam drogi, taki miły, chociaż byli u nas wodzowie równie ostrej szabli.

Na polach Racławickich stworzył Kościuszko nową Polskę, „jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską, polski lud", pod sztandarem Bogarodzicy i białego orła. Ocalił honor przeszłości, stworzył ideę przyszłości i stał się wyrazem, jakoby symbolem ciągłości życia narodowego mimo kordonów, wbrew kordonom. A znowu pedestalem tej postaci jest jak tamtych: charakter, etyczna doskonałość.

Ta strona etyczna naszych wielkich przemawia do nas najwymowniej, i wsłuchani w nią, nie pytamy już o geniusz.

Mimowoli nasuwają się z pewnem natręctwem te myśli, gdy mowa o Kochanowskim, to też radośnie, a niecierpliwie chwyta się każdą książkę, każdy artykuł, skoro tytuł zapowiada, że to sprawa ma się toczyć o poetę z Czarnolasu. A nigdy tytułów za dużo, nigdy książek i artykułów nie czuje się zbytku, gdy się

z nową spotkać zdarzy. A cóż dopiero, jeżeli na książce firma profesora Tarnowskiego, który nie wysuszył jeszcze pióra po studyach nad politycznymi pisarzami XVI wieku. Tamtą pracą tak rozmiłował czytelnika w epoce zygmuntowskiej, że pośpiech tem większy, by rzecz o Kochanowskim odczytać.

Nikomu nie nowina, że profesor Tarnowski, czy to słuchacza, czy to czytelnika umie porwać pięknością i wdziękiem słowa: w tem jego urok i siła. Ale umie też niepospolitą intuicyą odgadywać pytajniki, znajdować wartość do różnych X-ów, a zwłaszcza niezrównanym jest czytelnikiem psychicznych hieroglifów; w tem jego wartość.

To też nie dziwimy się, jeżeli kto wziąwszy się do czytania tej najnowszej książki pana Tarnowskiego będzie ją czytał bez spoczynku, bo bez znużenia. Zaciekawia nas, zajmuje, przykuwa, porywa, i ani chcemy, ani możemy odrazu nastroić w sobie zmysłu krytycznego. I treść i forma takie miłe, takie powabne, że nam żal krajać tego jakąś refleksyą, odwołaniem się do własnej wiedzy, lub porównaniem ze źródłami. Choćby tam były i usterki, choćby nas nawet coś zaskoczyło, jakby antyteza własnych wyobrażeń, otrząsamy się z podszeptów i pokusy własnego sądu, a płyniemy myślą całą za autorem, smutni gdy już ostatnich doczytaliśmy się wierszy.

Takiem jest wrażenie, jakie książka prof. Tarnowskiego na nas wywiera; to też dążyliśmy za autorem jakby upojeni, by szukać Kochanowskiego we Włoszech, przypatrywać mu się we Francyi, oceniać go w Polsce. Zajmowało nas szerokie tło historyczne, na którem postać poety się uwydatnia; ulegaliśmy ścisłej, nawet drobiazgowej niekiedy analizie utworów Kochanowskiego, a wreszcie odeszli od książki z tak powabnym portretem Kochanowskiego w duszy, z tak malowniczym obrazem jego czasów, że podziękować się chciało autorowi za taki wizerunek, za takie studyum literackie.

Refleksya następuje później, gdy całością obrazu nasyceni, zaczynamy przypominać sobie szczegóły, rozpatrywać się w nich i przymierzać je do siebie. Zwolna nasuwa się chęć zapytania profesora o niejedno, czego niedopowiedział. Poruszył żywo i rozwinął wyraźnie stosunki polityczne, ale na tak zwane „aksekucye“

gniewa się tylko kilkakrotnie, zapomniawszy wykazać ich źródło, i czem były groźne. Dał nam profesor tło historyczne bardzo rozłożyste; widzimy na niem po części obyczaj ówczesny, dokładnie postacie współczesne, charakterystykę biskupów: Padniewskiego, Myszkowskiego, króla Stefana, Zamoyskiego i t. d., ciekawy a dokładny obraz urządzeń uniwersyteckich w Padwie; Ronsard na owem tle rozpościera się szeroko, nawet o literaturze włoskiej i francuskiej dosyć szczegółów i charakterystyki, ale brak zupełnie obrazu literatury polskiej! I zrozumialszą i pełniejszą byłaby literacko-artystyczna postać Kochanowskiego, gdybyśmy go widzieli, jak się wyłania z humanistycznej cywilizacyi w porównaniu choćby tylko z Janickim, Krzyckim i Dantyszkiem, pominąwszy już Pawła z Krosna, Jana z Wiślicy i t. d. Z żalem patrzymy, że Rey na owem tle gdzieś tam odepchnięty między gawiedź na ostatnim planie, a przecież pan Mikołaj z Nagłowic miał wtedy wziętość, popularność i rozgłos, a pisma jego nie krążyły bez wpływu.

Zdawaćby się mogło, że nasz profesor przemazał wszystko, co było przed Kochanowskim i z nim współcześnie w literaturze, jakby to nie było godne uwagi. Widzimy Kochanowskiego w związku z prądami religijnymi, z polityką wewnętrzną i zewnętrzną, w związku z literaturą europejską, z humanizmem, a nie w związku z literaturą, która przecież nie zaczęła się za Kochanowskiego, tylko w nim udoskonaliła. Że Kochanowski nadał artystyczne dostojeństwo poezyi naszej, to niewątpliwa, ale czy on ją stworzył? Czy ją wlał w naród, jak w próżne naczynie? Czy Rey był tylko rzemieślnikiem w układaniu rymów, niegodnym uwagi, a zbytym lekceważącą wzmianką? Artystą nie był, to prawda, ale czy nie był cieślą dla rzeźbiarza z Czarnolasu? Czy Kochanowski tylko pod wpływem Ronsarda zaczął pisać po polsku? Czy przykład Reya nie był dlań ponętą?

Takich pytajników nakreślićby można więcej, i pragnie się je skreślić nie jakby zarzut czyniony książce, ale jak zupełnie szczere, łojalne zapytanie profesora tej miary, tej powagi co profesor Tarnowski. Dotąd pojmowaliśmy Kochanowskiego jako kwiat wyrosły z łodygi polskiej literatury, więc bez obłudy, bez złośliwości, zupełnie szczerze pytamy: dlaczego profesor czyni Kochanowskiego kwiatem wyrosłym wprost z łodygi humanizmu?

Któż bo nam odpowiedzieć może na te pytania, jeźli nie ten, co się tak wżył w owe czasy, jak może żaden z historyków literatury. Choć insi byli, co zbierali z nich zjawiska skrzętnie i nazbierali ich obfitość wielką, żaden tak nie odczuł tej epoki, jak profesor Tarnowski.

Tem większe prawo mamy o to zapytać, że sam profesor nas upoważnia, mówiąc te słowa (str. 14 i 15): „Mówimy zwykle i dziwimy się, że nasza literatura wyrosła tak nagle i niespodziewanie, bez początków prawie, i jednym skokiem doszła do doskonałości, do klasycznej piękności języka, do poezyi Kochanowskiego i prozy Górnickiego. Zapewne rozkwit jej jest nagły, jednak zapytaćby można, czy to, co nam się tak niespodziewanem wydaje, nie jest raczej przygotowanem pracą długą i usilną, czy nie jest skutkiem tego wyrabiania się myśli i języka, tego tajemnego, zewnętrznego kształcenia się narodu w wieku XV, po którym na nieszczęście tak mało pozostało śladów pisanych. Wszystko dopomagało do tego umysłowego fermentu: akademia, humaniści zagraniczni lub właśni, stosunki polityczne tak częste i zawikłane z Rzeszą lub Włochami; wreszcie wielka zdobycz tego wieku, druk — ta kolej żelazna myśli, która tak zmieniła stosunki umysłowe Europy, jak w naszym wieku para zmieniła jej stosunki ekonomiczne a nawet polityczne. Ten ogólny europejski ruch odrodzenia, który u nas nie tak silny jak we Włoszech i Francyi, i nam przecież się udzielał, i nas ogarnął — wszystko to drożdże, któremi przesiąkała sypka i sucha jeszcze mąka naszej umysłowości i stawała się ciastem, z którego miał się zrobić duchowy chleb literatury. A kiedy ten proces był już dokonanym, kiedy oświata rozlała się wszerz i przeniknęła z powierzchni w głąb, kiedy język zaczął już zdążać, choć leniwo, za obudzonemi potrzebami myśli, wyobraźni i uczucia, wtedy literatura już miała warunki powstania i żeby się zjawić, czekała na jedną już tylko rzecz — na talent“.

Nic słuszniejszego, nic trafniejszego. Te na wstępie do dzieła wyrzeczone słowa upoważniają do wyczekiwania, aby autor wykazał, jak to ten chleb się wyrobił, aby stworzył obraz tego procesu i dał go za tło Kochanowskiemu, który jest owym przez literaturę wyczekiwanym talentem. Tego profesor nie uczynił, a wzmianka tak krótka, jak ją tu czytamy, wystarczająca w krótkim artykule

lub w podręczniku szkolnym w uwagach wstępnych, nie dorosła do miary pomnikowej o poecie monografii.

Chociaż tak krótkie słowa, niechby pozostały nie zmazane; ale autor przekreśla je w ciągu dalszym, powtarzając z naciskiem kilkakrotnie, że Kochanowski z niczego wszystko stworzył.

A czy to nie krzywda prawdzie, gdy autor w toku dzieła czyni Kochanowskiego twórcą języka, jakby przed nim ten język polski był tylko surowym materyałem, nieokrzesanym, niezdolnym pod pióro? I tu znowu ośmielimy się prosić o wyjaśnienie, jak to pojąć, jak rozumieć, skoro na wstępie (str. 14) czytamy: „... wnosić trzeba, że kiedy Kochanowski był dzieckiem i młodzieńcem, ten język był jeszcze bardzo nie wykształcony, nie użyty". Przeciw temu wszakże jest jeden świadek ważny i ciekawy: dzieło Erazma *de Lingua*, przełożone na polskie, jako „Księgi, które zowią o języku", drukowane w roku 1526 (bezimiennie); język tego przekładu jest taki śmiały i giętki, jego formy gramatyczne tak wyrobione i stałe, jego zwroty takie swobodne i pewne, jego brzmienie takie płynne, że ten nieznany tłumacz ukazuje się nieledwie dobrym stylistą, a język polski tak wyrobionym, że język Reya w porównaniu nietylko nie wydaje się lepszym, ale raczej mniej wyrobionym. Czy Kochanowski znał te księgi? W każdym razie służą one za dowód, że przed jego urodzeniem język był dla niego więcej przygotowanym i obrobionym, niż my zazwyczaj myślimy.

Jak w obec tego zrozumieć, co autor mówi na str. 389: „Zadziwiającym jest ten postęp w języku poetycznym tak nagły, to prawie doraźne objawienie się poetycznego języka w Kochanowskim. Przed nim, szukajmy jak chcemy, stylu polskiego niema".

Te pytajniki, do których sam autor zniewala, nie ubliżają jego dziełu, jak nie ubliża się nawet geniuszowi, jeżeli się dopatrzy w jego arcydziele czegoś niejasnego. To też sądzimy, że nasz profesor zechce przyjąć te pytania tak, jak je podajemy: z dobrą wolą. Nie pogniewa się też może, gdy dopatrzymy się pewnej niewymiarności w rysunku tła i w jego kolorycie. Dlaczego Myszkowski wyrysowany i namalowany tak, jakby na pierwszym był pla-

nie wraz z Kochanowskim? Czytając ustęp o nim, doznaje się wrażenia, że książka nie o Kochanowskim, ale o ludziach XVI w. Jest to jakby monografia w monografii. Dlaczego? Jeżeli chodziło o stosunek Kochanowskiego do dworów pańskich, to ciekawą byłoby rzeczą widzieć i Firleja i Tarnowskiego i Zamoyskiego równie wyraźnie ugrupowanych na pierwszym planie obok Kochanowskiego. Jeżeli Myszkowski miał służyć za obraz obyczajów, ducha czasu, toć może więcej na to byłoby materyału na hetmańskim dworze Tarnowskich, lub na dworze tej nowej gwiazdy, na dworze Zamoyskiego.

Ale dość pytajników, bo nawet podobno i nie byłoby się już o co pytać, a przypomnijmy sobie, jak cenną, jak ciekawą jest historya urządzeń akademii w Padwie; przypomnijmy sobie, ile to zyskaliśmy nauki i przyjemności w głęboko pomyślanej, bystro podjętej analizie psychicznej Kochanowskiego. Wiara poety w obec prądów humanizmu i protestantyzmu, w obec ducha czasu, tak znakomicie wyjaśniona argumentami z utworów poety czerpanymi, tak udokumentowana, że odsłania się nam sumienie poety, jakby głośną wykonał spowiedź przed narodem.

Natura fermentu protestanckiego w Polsce scharakteryzowana wybornie, z powagą a z godnością wyższego umysłu. Szkoda, że tylko mimochodem, że nie zajrzała ta charakterystyka głębiej w życie publiczne, a o ile starczy materyału, i w domowe.

Dał też profesor nowy przykład pracowitości, poszanowania drugich, bo skojarzył wszystko, co o Kochanowskim pisano, bez względu na to, kto pisał. Wszystko to czytał, zestawił, porównał, niczem nie pogardził. Jeżeli się z kim nie zgadza, wyraża to uprzejmie. A nie mała to rzecz dzisiaj, gdy do krytyki wdziera się wiele złej woli, wiele zawiści z antagonizmów społeczno-politycznych wyniesionej, wiele prostactwa i nieprzyzwoitości, które mają zastąpić siłę argumentu.

Książka profesora Tarnowskiego pod tym względem służyć może za wzór dla wielu, za pokrzepienie dla wszystkich, którym rozdziera uszy strasznym dysonansem krytyka niektórych pisarzy, popisująca się żółciowym wylewem i nieprzyzwoitą krzykliwością.

Wspomnieliśmy na wstępie, w czem siła, w czem wartość Tarnowskiego. Odwołać się musimy do owych słów, gdy jeszcze

zwrócimy uwagę na to, co w tem znamienitem Tarnowskiego dziele jest może najznamienitszem: rozbiór, interpretacya utworów Kochanowskiego. Mickiewicz każe nam szanować poezyę Kochanowskiego, Tarnowski skłania nas do rozmiłowania się w niej. Jakaż to znakomita analiza elegij łacińskich, ile tam nowego zupełnie oświetlenia! *Odprawa posłów* i *Psałterz* dopiero po interpretacyi Tarnowskiego mogą być należycie zrozumiane, ocenione, ukochane. W ogóle rozbiór wszechstronny dzieł Kochanowskiego poraz pierwszy pojawia się u nas w tych rozmiarach, w tej głębokości, o takiem zrozumieniu genezy, z takiem odczuciem piękna.

Książka pana Tarnowskiego wielce utrudnia sprawozdanie. Żal odzierać ją z wdzięku, by podać suche streszczenie, streścić materyał. To niech też podpisanemu służy za wymówkę, że czytelnikom zdaje sprawę raczej jak czytelnik, niż jako sprawozdawca z urzędu.

Czesław Pieniążek.

Czary na dworze Batorego. Kartka z dziejów mistycyzmu w XVI w. jako przyczynek do charakterystyki króla Stefana przez *Aleksandra Kraushara*. Str. 293. Kraków. G. Gebethner i Spółka 1888 r.

Znany autor obszernej, a jak niektórym choć niekoniecznie słusznie zdawało się, aż do zbytku obszernej biografii Olbrachta Łaskiego, obdarza nas teraz nową pracą, mającą na celu okazać nam pewne, w biografii nie dość wyjaśnione chwile w życiu sieradzkiego wojewody, a zarazem dorzucić kilka szczegółów, mogących posłużyć do odtworzenia sobie zupełniejszego obrazu króla Stefana. Praca ta oparta na nadzwyczaj rzadkiej dziś angielskiej książce, zawierającej najważniejsze ustępy z pism astrologa królowej Elżbiety, Jana Dee, zaznajamia nas z ciekawą tą w swoim rodzaju osobistością, ciekawą dla nas zwłaszcza z powodu stosunków z Łaskim i Batorym. Mistrz Dee i pomocnik jego czarnoksiężnik Edward Kelley wywołują duchów w przytomności Łaskiego w tajemniczej kaplicy w Mortlake, pytają o króla Stefana i przyszłe losy Łaskiego. Duchy przepowiadają Batoremu nędzną śmierć w czasie niezadługo nastąpić mającej wojny; natomiast obiecują Łaskiemu, że zostanie wodzem Polski i Mołdawii. Czarodzieje uwierzyli snać przepowiedni, lub poprostu wyrozumowali sobie, że więcej od polskiego magnata, niż od angielskiej królowej spodziewać się mogą; dość że w sierpniu 1583 wyruszyli naturalnie na koszt wojewody wespół z żonami i dziećmi do Polski. Batory udzielił Dee'mu posłuchania najprzód w Krakowie; a następnie (w maju 1585) przywoławszy magów do Niepołomic, przypatrywał się scenie wyzywania duchów, które nie szczędziły mu dość ostrych wyrzutów i gróźb. Rozumny król nie obraził się, owszem, obdarował podobno czarnoksiężników, którzy niebawem

opuścili Polskę, aby na sposobniejszym gruncie „tajne nauki“ pielęgnować, gorliwszych adeptów sobie pozyskiwać.

Jak z całego opowiadania wydaje nam się widocznem, król Stefan nie brał na seryo okazujących się duchów i ich przepowiedni; w każdym razie, przepowiednie te, choć same w sobie niejasne i nieraz przypominające słynne z dwuznaczności starożytne wyrocznie, okazały się w rezultacie prostą blagą. Autor usiłuje związać, choćby najcieńszą nitką, niepołomickie czary z tragiczną śmiercią króla, która w kilkanaście miesięcy po czarach tych nastąpiła. Bezwątpienia, Dee i Kelley, wiedząc coś o chorobie trapiącej króla, z wiadomości tej umieli korzystać; ale sądząc z samychże sprawozdań Mistrza, nie chcieli, czy nie umieli dostatecznie wyzyskać tych nawet wiadomości, które skądinąd mieć mogli bez trudności. W ogóle, obaj czarownicy — mniejsza o to, czy wierzyli, czy nie wierzyli w odgrywaną przez siebie rolę — nie w zbyt pochlebnem przedstawiają się świetle: nie byli może kuglarzami, ale bardzo wątpimy, czy dzisiejsi spirytyści uznaćby w nich chcieli swych przodków i przesłańców.

Dr. Kraushar nigdzie nie wyjawia zupełnie wyraźnie, co sam sądzi o opisywanych przez siebie „akcyach“ z duchami; sądzi tylko nawiasowo, a zasadniczej trudności w zgodzeniu się na ten sąd nie widzimy, że bohaterowie jego nie byli dobrowolnymi kuglarzami, ani szaleńcami w zwykłem słowa tego znaczeniu; szukali czegoś wyższego, pragnęli odchylić zasłonę z życia zaświatowego i — zmylili drogę.

Jeden z krytyków monografii Łaskiego zarzucił autorowi, jak sądzimy zupełnie niesłusznie, jakoby mu „gwałtownie chodziło o napisanie dwóch tomów“. Czy zarzutu tego nie możnaby raczej w pewnej mierze odnieść do niniejszej książki? Czy cała pierwsza część była niezbędną, czy wiąże się logicznie z następnemi; czy choćby tylko służy jako potrzebne przygotowanie i wyjaśnienie do opisu „czarów na dworze Batorego?“ Pytanie to tem naturalniej się nam nasuwa, że pierwsza ta część, na znanych i w ogóle nowych książkach oparta, bardzo mało przyczynić się może do wyraźniejszego odtworzenia sobie postaci Batorego.

B.

Boże wspieraj. Hymn ludu na pamiątkę dnia 2 grudnia 1888 illustrowany przez artystów austryackich, w dwiewięciu wydaniach: niemieckiem, włoskiem, czeskiem, polskiem, ruskiem, słowackiem, serbskiem, kroackiem, i romuńskiem. Nakł. F. Tempskiego w Wiedniu i Pradze. Fototypia C. Angerera i Göschla.

Jeszcze jeden objaw powszechnych usiłowań w monarchii, aby jak najgodniej uczcić jubileusz cesarski. „Hymn ludu“ w wydaniu Tempskiego obejmuje dziesięć tablic, pięknie skomponowanych, a bardzo dobrze odbitych w słynnej fototypii Angerera, i stanowi całość mającą wiele artystycznej wartości. Są to jakby illustracye czterech strof Hymnu, nie jedną wykonane ręką, a przeto przedstawiające wielką rozmaitość kierunków artystycznych. Jest tam i realizm dochodzący aż do zużytkowania błyskawicznej fotografii (szarża dragonów, tab. V), i idealny archaizm (modlitwa wszystkich stanów, tab. II), i dawniejsza szkoła monachijska (rycerz zabijający smoka, tab. III), i wpływ

francuski na dzisiejszą szkołę wiedeńską (przysięga ludu przed figurą sprawiedliwości, tab. IV, a w części i w tryumfie nauki, a zwycięstwie prawdy, tab. VII). Jest i dzisiejszy obrazek rodzajowy (taniec wieśniaków, tab. VIII), i piękny barok (symboliczne drzewo genealogiczne rodziny cesarskiej, tab. IX, a w części i wieńczenie laurem bohaterów, tab. VI), i w końcu kierunek wiedeński dzisiejszy (karta tytułowa i ostatnia apoteoza). A wszystkie te kierunki zastąpione są nie przez byle jakich artystów, o czem świadczą imiona takie jak: Rudl, Myrbach, Schramm i Hirschl. Publikacya ta wyszła w dziewięciu językach, a cena naznaczona na nią jest bardzo przystępna, bo wynosi tylko 80 cnt. My mamy przed sobą wydanie polskie, które nas zupełnie zadawalnia, i bardzo je polecamy. Jest także wydanie ruskie.

Ks. E. S.

O rozwoju myślenia napisał prof. *dr. Antoni Kosiba.* Wydanie trzecie przerobione i uzupełnione. Nakładem autora w drukarni A. Müllera, syna w Stryju 1888.

Jak sam tytuł książki opiewa, przedstawia nam w niej autor genezę myślenia. Idąc za utartem w szkole zdaniem, przyjmuje fakt ten, że człowiek na świat przychodzący, obranym jest z wszelkich pojęć, które dopiero z upływem czasu nabywa. Oto podstawa całej tej pracy. Pierwsze, co na dziecko wpływa i budzi jego duszę, to uczucia zmysłowe; te, gdy zmysły należycie funkcyonować zaczną, wywołują wyobrażenia przedmiotów otaczających. Wyobraźnia zachowuje wrażenia te w swej skarbnicy, inaczej bowiem z dniem każdym rozpoczynaćby się musiało życie duchowe, ba! z każdą chwilą, z każdem wrażeniem. Wiązanie wyobrażeń podobnych, a wykluczanie żadnej ze sobą styczności nie mających, stawia autor jako początek myślenia. Zdawaćby się jednak mogło, że jest tu pewne pomięszanie pojęć. Łączenie bowiem i rozłączanie wyobrażeń pochodzące ze zastanawiania się nad niemi, jest już czynnością duchową, która suponuje idee. Nie sąd więc, lecz pojęcia przynajmniej szczegółowe są początkiem myślenia. Również tego, co autor (str. 7) o asocyacyi wyobrażeń w zwierzęciu mówi, inaczej zrozumieć nie możemy, jak chyba tylko o zderzeniu się wyobrażeń przez przedmiot wywołanem, — podmiotowa bowiem asocyacya opiera się na refleksyi, której słusznie autor zwierzętom odmawia.

Sąd, według autora, w ten sposób powstaje: bardzo wiele pojęć jest zawartych w duszy, stąd, gdy się myśli przedstawia podmiot, następuje jakby wzajemne wypieranie się pojęć z zajmowanego stanowiska, to zaś, które pozostaje, jest ostatecznie orzeczeniem, które takiemu podmiotowi się należy; w przeczącym zaś sądzie pierwsze lepsze pojęcie występuje na jaw, a umysł widząc że nie zgadza się z podmiotem, przez akt przeczenia odeń je usuwa. Tak może tylko powstawać sąd odnoszący się do prawd zawiłych, w których umysł się waha na którą stronę ma się przechylić. Co do innych, mianowicie na doświadczeniu bezpośredniem opartych, lub analityczną prawdę orzekających, sztuczna ta geneza sądu jest zbyteczną.

Rodzaj sądu, jaki autor przedstawia, nazywając go egzystencyalnym np. „P. jest“, nie obala używanej dotychczas definicyi sądu (str. 23). Każdy sąd, jak autor uznaje, z trzech się składa części; o ile się zdaje, to samo i w sądzie „P. jest“ znachodzimy, rozwiązać bowiem mogę ten sąd: P. jest bytem —

P. jest czemś istniejącem. Zmiana więc zwykłej definicyi sądu na określenie, że „sąd jest to uznanie jakiegoś wyobrażenia lub pojęcia za prawdziwe lub nieprawdziwe“, zupełnie jest zbyteczną.

W tworzeniu pojęć autor ma na oku tylko pojęcia ogólne, które w ten sposób, jak to podaje, rzeczywiście w nas powstają, co w szkołach nazywać zwykli *universale reflexum*.

Z tego przedstawienia pojęć, które za pomocą sądu w sobie wyrabiamy, zdaje się wynikać, że autor pojęć szczególnych za pojęcia nie uznaje, lub z wyobrażeniem miesza. Co innego jednak jest wyobrażenie, które do porządku zmysłowego należy, a co innego pojęcie szczegółowe, które, należąc do sfery działalności umysłowej, jest początkiem i zawiązkiem myślenia. Stąd przechodzi do mowy i jej znaczenia, i rozróżniając między pojęciem a wyrazem kończy swą pracę kilku słowami o rozumie i rozsądku.

Praca ta, jak wszystkie inne, pięknym napisana stylem, mile się czyta, a częste cytaty okazują, jak autor sumiennie do rzeczy się zabiera. Znając zdolności i zamiłowanie jego w psychologii, spodziewamy się, że ze zbyt ciasnego koła empiryi przeniesie się do prawdziwej, wyrozumowanej filozofii duszy.

Ks. W. D.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Lady Georgiana Fullerton. Par M-me *A. Craven*. Paris. Librairie Académique 1888.

Pióro biegłe w pochwytywaniu odgłosów duszy darzy nas ponownie książką wiodącą ku wyżynom. Owe *sursum corda*, które było hasłem życia i pism Lady Fullerton, promienieje i z kartek jej pamięci poświęconych. Słynna ta powieściopisarka należała do świetnej plejady konwertytów, których powrót na łono Prawdy w połowie bieżącego stulecia zdawał się rokować szybkie nawrócenie całej Anglii. Chociaż się odtąd ów ruch zwrotny poniekąd zatrzymał i zwolnił, postępuje jednak ustawicznie naprzód, w ślad owych dusz gorących, które na szlakach wiary i ofiary tak podniosłe zostawiły wzory. Lady Fullerton odrębne w tym kierunku zebrała zasługi, i zaiste godziło się na jej świeżej mogile ustawić pomnik tej miary co niniejsza książka. Dziwną międzynarodową wymianą hołdów pośmiertnych, angielskie pióro (p. Oliphant) wysnuło pierwszą, obszerniejszą i bardziej wyczerpującą biografię hr. Montalemberta, francuskie zaś kreśli żywot pani Fullerton, wiodąc

nas zarazem na wyżyny arystokratycznej społeczności, do jakiej autorka *Ellen Middleton* urodzeniem i stosunkami należała.

Córka hr. Granville, wnuczka księcia Devonshire, ani w swem otoczeniu, ani w pierwszem wychowaniu zaczerpnąć nie mogła żadnego katolickiego pierwiastku. Otrzymała tylko pewną podstawę dla późniejszego, pilnego szukania Prawdy i zdążania ku dobremu i lepszemu, w wpojonem za młodu uszanowaniu dla rzeczy świętych i boskich. Podróże i pobyt w katolickich krajach, we Francyi i Włoszech, gorącość serca niezaspokojonego chłodem anglikanizmu, prąd czasu i wionący z Oxfordu powiew wiary, nareszcie stosunki z wybitnymi katolikami, z przepełnionymi Bożem ogniem konwertytami, niebawem i piękną tę a płomienną duszę przywiodły do źródeł nieomylnej Prawdy. Rzecz dziwna: to co zwykle bywa najcięższem szkopułem dla innowierców, najtrudniejszą przeszkodą dla przyrodzonej dumy — spowiedź św. stanowiła dla Lady Fullerton najsilniejszy magnes przyciągający ją w progi katolickiego Kościoła. Zanim nawet zwalczyła miotające sercem wątpliwości, zanim się zdobyła na ostateczny a tak ważny krok, który nieraz najtkliwsze rodzinne węzły zrywa lub osłabia, w najgłośniejszej i najznakomitszej swej powieści odźwierciedliła wewnętrzny przełom i przekonania, i nie będąc jeszcze katoliczką, zatwierdziła w dziejach *Heleny Middleton* nieodzowną potrzebę zrzucania z siebie ciężaru grzechu, pokornem onego wyznaniem. Powieść ta w swoim czasie była pełnym doniosłości wypadkiem, i jednym z wymowniejszych objawów ówczesnego ruchu religijnego w Anglii. Najprzedniejsze umysły nią się zajmowały; autorka odrazu zdobyła wybitne w piśmiennictwie całego świata stanowisko. A stąd nasuwa nam się okolicznościowe zestawienie dwóch epok ducha i literatury angielskiej. Przed czterdziestoma laty rozrywano sobie *Ellen Middleton*, utwór na wskróś religijny, wnoszący w arenę kontrowersyi najsilniejsze argumenta nietylko za koniecznością wiary w próbach życia, lecz i za potrzebą jej praktyki. Dziś innego rodzaju powieść podobnego doczekała się rozgłosu, i też niewieście pióro zdobyło sobie bodaj jednaką poczytność, i niemniej liczne wywołuje dyskusye. Ale jakże różną drogą i w odmiennym kierunku! Pani Humphrey Ward w swym *Robercie Elsmere* dąży tylko do wykazania, iż bliższe poznanie ksiąg świętych, głębsze zbadanie zagadnień życia,

fatalnie doprowadzić musi do zwątpienia i utraty wiary. Podniosły się zewsząd głosy oburzenia, tej miary co kardynała Manninga i Gladstona; nie cała tedy Anglia racyonalizmem zarażona, ale przewodnie tętno dwóch duchowych okresów dobitnie w powieści się skrystalizowało, i stąd dwojaki ten objaw zasługuje na bliższe zastanowienie.

Po nadzwyczajnem powodzeniu pierwszej próby swego talentu, Lady Fullerton śmielej zstąpiła w szranki piśmiennictwa, uprawiając przeważnie niwę powieściową. Ale nigdy marny poklask czytelników nie był jej ani ostatnią nagrodą, ani bodźcem najważniejszym. Główną podnietą dla jej pióra stanowiła z jednej strony chęć rzucenia garści podniosłych i szlachetnych myśli, z drugiej żądza uczciwego zarobku, nie dla siebie oczywiście, skoro przez całe życie posiadała zupełną niezależność, ale dla ubogich, których coraz to liczniej i serdeczniej przygarniała. Życie jej niebawem miało się wyłącznie zamknąć w dwojakim zakresie: miłosierdzia i piśmiennej pracy. Straciła jedynego, już niemal dwudziestoletniego syna. Cios ten byłby złamał mniej zahartowaną, mniej w niebo patrzącą duszę. I ona się zachwiała, potknęła na drodze krzyżowej, upadła nawet pod brzemieniem smutku, ale na krótko tylko. Wstała aby ukochać ten krzyż swój ciężki, a dziecię z takim bólem oddane Bogu, stało się odtąd Aniołem Stróżem osieroconej matki, przewodnikiem wiodącym ją ku niebu. Listy jej, zapiski, urywki, obficie dopełniające niniejszą biografię, wtajemniczają nas w cudowne przemienienie boleści ziemskiej w zachwyt miłości pełnej poddania i ofiarności. Istny to podręcznik dla dusz zbolałych, ukrzyżowanych, bo Lady Fullerton w własnem zranionem sercu czerpała przedziwne słowa pokrzepienia dla wszystkich smutnych i nieszczęśliwych, a jak jej ręce nigdy nie odmawiały jałmużny, tak serce umiało zawsze udzielać pociechy. Rodzinnych też nieszczęść w około niej nie brakło. Bolesne zwłaszcza wrażenie sprawia los jej siostry, Lady Rivers, szczęśliwej matki dwanaściorga dziatek, której następnie synowie wymierali w kwiecie wieku na jedną i tąż samą chorobę, a najmilsza córka ginęła od uderzenia piorunu w swej poślubnej po Szwajcaryi podróży. Lady Fullerton stała też na czele wszystkich katolickich stowarzyszeń i zakładów dobroczynności w stolicy. Oczywiście, miłosierdzie jej, zabiegi zbliżyć ją mu-

siały do Irlandczyków, wbrew też uprzedzeniom narodowym i kastowym, całą duszą ukochała uciśnionych, odczuła niesprawiedliwe z nimi obchodzenie, powtarzała nawet, iż gdyby się była urodziła Irlandką, znienawidziłaby Anglię za jej bezwzględność. Spółczucie dla Irlandyi zbliżyło ją i do Polski, a nie ograniczając się na marnej sympatyi, starała się poznawać szczegóły naszej niedoli, dowiadywała się o losie prześladowanych, wyrzucała Gladstonowi jego umizgi i sympatye, upominała się o krzywdy uciśnionych, potępiała milczenie polityków w obec utrwalonej historycznej niesprawiedliwości.

Biografia poufna nie dała nam oceny literackiej spuścizny jednej z najznakomitszych powieściopisarek nowszych czasów. Talent był to niezwykły i nad wyraz sympatyczny, wykwintnością i głębokością uczucia i formy. Pierwsze jej powieści zamykały się ściśle w dziedzinie obyczajowej, następne odnosiły się przeważnie do epoki prześladowania religijnego, dwukrotnie i po francusku oryginalnie się odezwała, zdumiewając wszystkich doskonałą znajomością obcego języka. Acz może nieco egzaltowane, wszystkie twory jej pióra zalecają się delikatną czystością i podniosłością obcą nowszym nawet angielskim powieściom. Znać ciągłe dążenie do uszlachetnienia swych czytelników, choćby za pomocą błahej, powieściowej tkanki. Ta sama dążność i w książce pani Craven się przejawia, i dlatego zasługuje na upowszechnienie w najszerszych kołach. Wiele ona może zdziałać dobrego, rozgrzać jednych, dźwignąć drugich, a wszystkim dać zakosztować z onej przedziwnej woni świętości i chrześcijańskiej rezygnacyi, która z tych kart ku niebu się wznosi.

M.

Kurzgefasste Geschichte der geistlichen Genossenschaften und der daraus hervorgegangenen Ritterorden, von *Ernst von Bertouch*. XIV 207 S. Wiesbaden. Bechtold. 1888.

Krótka historya katolickich zakonów, znaczenie ich i działalności; rzecz w sobie nie nowa, ale historya taka spisana przez protestanta — podkomorzego cesarza Wilhelma i pruskiego urzędnika, a spisana, jak brzmi *motto:* „na chwałę zakonom, na naukę tym, co zakonów nie znają“, symptomatycznym a pocieszającym jest objawem i zasługuje na szczególną wzmiankę. „Nie mam zamiaru, określa autor w przedmowie zajęte przez siebie stanowisko, napisać wyznaniowej książki, pragnę tylko skreślić, o ile można najbezstronniej, obraz

stosunków, wśród których religijne stowarzyszenia zrodziły się i zakwitnęły. Zasługi położone przez te stowarzyszenia dla dobra ludzkości nie potrzebują szumnych pochwał; każdy, kto pozna ich historyę, pozna ich zasługi i wartość. I gorzkie nagany wymierzane zakonom – co najmniej zbyteczne, gdyż zakony katolickie same z siebie dość często i dość surowo osądziły, czego świadkiem niezliczone reformy... Wielorakie, istniejące jeszcze przeciw zakonom przesądy dadzą się usunąć raczej osobistem przeświadczeniem się, niż uczonymi wywodami. Nie mamy żadnej racyi przyklaskiwać temu, co wedle wyznaniowych naszych przekonań nie odpowiada dzisiejszym potrzebom, ale chcemy być sędziami bezstronnymi... Katolikom dziwnem się może wyda, że protestant wziął sobie za zadanie obronę katolickich stowarzyszeń; moi współwyznawcy zgorszą się może z tego powodu. Ale jak już zauważyłem, książeczka moja nie jest wyznaniową, ani w tym, ani w tamtym kierunku! Wyłącznem mem pragnieniem jest oddać cześć prawdzie i rozerwać raz wreszcie tkaninę kłamstw, zasłaniającą ze źle zrozumianego przywiązania do swej religii liczne dzieła z wielkiej miłości i ofiarności płynące; a jeśliby z drugiej strony spotkać mię miała nagana, że nie dość gruntownie zastanawiam się nad zasługami zakonów, to apelowałbym w tej mierze bez obawy do Papieża Leona Sprawiedliwego".

Stósownie do planu z góry założonego, trzymając się reguł ścisłej bezstronności i widocznie nie szukając żadnych innych pobocznych celów, poza i prócz prawdy, skreśla autor – o ile można – dokładny obraz zakonnego życia w różnych krajach i czasach; wprowadza nas do dawnych i nowych Tebaid; do pustelni Antonich i Pawłów, do twierdz rycerskich Krzyżowców, do szkół jezuickich i pustelni milczących, w Bogu zatopionych Trapistów. Przeszło dwieście zakonów i stowarzyszeń przesuwa się przed naszymi oczyma; o niektórych zadawalnia się autor krótką wzmianką, innym, jak: Benedyktynom, Krzyżakom, Jezuitom długie poświęca rozprawy. Nie zadawalniając się opisem zewnętrznych strojów, zatrudnień i czynów, stara się nasz sumienny historyk wniknąć w ducha, odnaleść i czytelnikom swym jasno przedstawić przewodnią myśl poszczególnych zakonów. „Życie zakonne, pisze pięknie a słusznie, wyrasta z samychże korzeni chrześcijaństwa. Przykład Zbawiciela prowadził pobożnych wyznawców od pierwszej jutrzenki chrześcijańskich czasów, najprzód do opuszczenia ziemskich trosk, dla zabezpieczenia sobie zbawienia własnej duszy, następnie do ponownego zbliżenia się do bliźnich z braterskiej dla nich miłości, aby grzeszników nawracać, chorymi opiekować się, ubogim dopomagać, lub zanosić za nimi do Boga z głębi serca płynące modlitwy. Rozmaitemi drogami dążyli do celu, a działalność ich wszędzie błogie przynosiła owoce". I kontemplatywne zakony ważne mają przed sobą zadanie, a choć owoce ukrytego ich, w Bogu zatopionego życia mniej w oko wpadają, nie koniecznie mniejszej są wartości; w każdym razie „każde z tych stowarzyszeń dąży w odpowiedni sobie sposób do najwyższego celu, dla którego człowiek na świecie istnieje".

Autor na początku swej książki wyraża życzenie, aby dotarła ona do jak najszerszych kół, „w celu wyjaśnienia i sprostowania tysiącznych błędów o zakonach". Z życzeniem tem, mimo drobnych pod piórem protestanta nieuchronnych niemal usterek i niedokładności, najzupełniej każdy i najgorliwszy katolik zgodzić się może.

B.

Handbuch der Pastoralmedicin mit besonderer Berücksichtigung der Hygiene. Von *dr. Stoehr*. Herder Freiburg, 3 Auflage.

Dr. Stoehr mimo istnienia takich dzieł jak *Stapelmanna* (5 wydanie) i *Olpera* (2 wydanie), omawiających ten sam przedmiot, wydał w trzecim wydaniu swój podręcznik lekarski, zastósowany do teologii pastoralnej. Już to samo przemawia za jego gruntownością. Dzieło to zajmuje się przedewszystkiem kwestyami hygienicznemi, wkracza zaś w sferę sumienia o tyle tylko, o ile ze stanowiska lekarskiego niejedną trudność, odnoszącą się do życia moralnego roztrząsnąć trzeba. Prócz tego, co autor w poszczególnych rozdziałach przy danej sposobności o hygienie w zastósowaniu do moralności wypowiedział, zebrał całą odnośną naukę w osobnym rozdziale: *Pastoralmedicinische Kasuistik*, na końcu umieszczonym.

Plan z góry zakreślony przeprowadził autor znakomicie. To co teorya w tej mierze wypowiada, stwierdza licznymi przykładami, przez co uprzyjemnia i ożywia całe dzieło. Zmysłem krytycznym obdarzony, umiał nim natchnąć całą swą pracę. W rozdziale pierwszym przedstawia nam ogólne zasady hygieny, nas naturalnie najbardziej zajmują te punkta styczne, w których teologia i hygiena się schodzą. Szczególniej zajmującym jest rozdział V i VI: „kapłan i chory", „kapłan i lekarz". Na pytania, czy duchowny ma pacyenta namawiać do poddania się operacyi, przeczącą daje odpowiedź, (str. 298). Występuje jednak przeciw zdaniu dawnych teologów, utrzymujących, że nikt nie jest w sumieniu pod grzechem śmiertelnym obowiązany poddać się operacyi, ze zbytecznym bowiem wysiłkiem nikt zdrowia swego bronić nie ma obowiązku. Przeciwnie każdy, zdaniem autora, winien pod grzechem ciężkim bronić swego życia, które nie jest jego własnością, lecz darem mu udzielonym, za który sprawę przed Bogiem zdawać będzie, tem więcej, że dziś każda operacya bez żadnych prawie cierpień przeprowadzoną być może. Czy tak jest w rzeczywistości? *Initiati sciunt*. Na str. 355 uwalnia autor lekarza od obowiązku upomnienia pacyenta, lub jego rodziny o grożącem niebezpieczeństwie życia. Bezwątpienia jest to przedewszystkiem obowiązkiem kapłana, utrzymywać jednak, że do tego lekarz nigdy obowiązanym nie jest, zdaje nam się co najmniej zdaniem zbyt śmiałem.

Mimo, iż O. Lehmkuhl zwrócił autorowi jeszcze w r. 1884 uwagę, by odwołał to, co przeciw O. Surin T. J. (str. 369) napisał, poprawki żądanej, a ze wszech miar słusznej i w nowem wydaniu nie znajdujemy. Co najmniej też zanadto śmiałem jest zdanie o wypadkach opętania, które autor wręcz odrzuca, tłumacząc przytoczone zjawiska rozdrażnieniem nerwów lub umysłową chorobą. Dr. Stoehr zapomniał snać, że w tej mierze Kościół prócz medycyny i innemi podsługuje się kryteryami. Co jednak najdziwniejsza, że autor kryterya te uznaje (str. 365), a jednak odważył się wystąpić z podobnem zdaniem.

Najcenniejsze rozdziały są: IX. *Asceza i medycyna* i X. *Kazuistyka teologiczno-medyczna*. Z rozdziałów tych widać, że literatura ascetyczna bynajmniej autorowi nie jest obcą. Za postami czy to ścisłymi czy odnoszącymi się tylko do wstrzymywania się od potraw mięsnych wymownie dr. Stoehr przemawia. Post, mówi słusznie, najlepszym jest wędzidłem na rozbudzone namiętności (str. 443). Zdanie autora o zachwyceniach (str. 448 i nst.) już dawno katoliccy krytycy osądzili jako zupełnie fałszywe. Gdyby zachwycenie (ekstaza) było

tylko rodzajem obłędu lub oszukaństwa, wtedyby Kościół katolicki zbłądził orzekając, że prawdziwej ekstazy sprawcą jest tylko Bóg. Szkoda też, że i na str. 461 autor nie poprawił błędnego swego zapatrywania, a przecież chodzi tu o rzecz ważną. Nie mniej błędnem jest orzeczenie na str. 457, że według zdania moralistów prawa kościelne obowiązują chłopców i dziewczęta dopiero od lat dojrzałości.

Usterki te i błędy nie umniejszają bynajmniej wielu zalet tego dzieła. Niech mi jednak wolno się będzie zapytać, dlaczego księgarnia nakładowa nie udziela krytyk autorowi, by zdania swe sprostował. Czyż zawsze te same powtarzać się będą błędy, które przecież tak łatwo usunąć? Mimo tych zastrzeżeń, dziękujemy serdecznie autorowi za jego pracę, która być winna w ręku każdego kapłana, dbającego o zdrowie duszy i ciała swych owieczek.

Ks. A. Arndt.

Little Lord Fauntleroy by *F. H. Burnett.* — **Transformed** by *Florence Montgomery.*

Nie mamy zwyczaju zamieszczania odgłosów z literatury powieściowej, nie starczyłoby miejsca na ocenianie hyperprodukcyi romansowej, która cechuje bieżące czasy i piśmiennictwo. Ale na tej niwie chwastami zarosłej, wśród pokrzyw i głogów błyska niekiedy kwiat zbyt świeży i wonny, aby się ku niemu nie pochylić i nie zachwycić coś z jego przedziwnego zapachu, dla użytku szerszego czytelników koła. Do takich kwiatów zaliczyć należy dwie powiastki, których tytuły wypisaliśmy powyżej. Wiadomo, iż pisarze angielscy są mistrzami w opisywaniu charakterów, wrażeń i pojęć dziecięcych. W ich spuściźnie znajdują się arcydzieła obserwacyi, a Dickens na tej drodze najpiękniejsze zebrał wawrzyny. Nie wyczerpnął snadź jednak przedmiotu, skoro po nim skromniejsze talenta snuć potrafią wcale udatne szkice i studya. Dziwnym zbiegiem okoliczności, dwa różne pióra spotkały się świeżo w traktowaniu jednego przedmiotu, jeden zakreśliły sobie cel i zadanie. „Jeśli się nie staniecie jako małe dziatki, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego". Oto hasło dwojakiej opowieści, w duchownem i doczesnem znaczeniu, boć i szczęście ziemskie jest odbiciem i przybliżeniem nieba.

Kiedy się własne słońce nachyli, i dzień ma się ku schyłkowi, jedne tylko dzieci, te dzieci, których aniołowie wciąż oglądają oblicze Przedwiecznego, wnieść umieją nieco promieni w szary pomrok wieczoru życia, wzbudzić co w duszy zagasło, rozgrzać co w sercu skrzepło, i niewinnością własną w około sprowadzać odrodzenie. „Zły lord Dorincourt", jak powszechnie nazywano angielskiego magnata, który w dumie swej i egoizmie nikogo z dalszych ni bliższych nie udarzył szczęściem — skutkiem różnych katastrof widzi się pozbawionym następcy i potomka. Z próżności wspomina wtedy, iż po najmłodszym z zmarłych synów, wygnanym i wydziedziczonym z powodu nierównego w Ameryce małżeństwa, pozostać musiał synek, mający prawo do tytułu Lorda Fauntleroy, zanim po dziadku wszystkie odziedziczy dostatki i wielkości. Sprowadza tedy to dziecię pod warunkiem, iż matka jego, zamieszkująca w sąsiedztwie zamku, na oczy mu się nie pokaże. Siedmioletni chłopczyk, o rozwiniętym nad lata sercu staje się wkrótce ulubieńcem dziadunia. W naiwnej swej dobrej wierze przypisuje on chłodnemu i surowemu starcowi tyle wyższości, szla-

chetności i dobroci, że lord Dorincourt staje się w końcu tym, za co go miał wnuczek choćby dlatego tylko, aby mu smutnych rozczarowań nie sprowadzić. Dziecię wyrasta rychło na jałmużnika dziadunia, każdą łzę otartą odnosząc z błogosławieństwem do twardego dotąd pana, upatrując w nim ideał dobroczynności i miłosierdzia. Ślicznie opisany tu przełom w duszy dumnego lorda, dokonany drobną rączką, wiodącą go po szlakach miłości bliźniego. W końcu nieubłagany teść przytula i synowę, która mu takiego dała dziedzica, a żadnem słowem nie starła w dziecku czci przynależnej głowie rodziny, żadną osobistą skargą nie uprzedziła syna przeciw dziadkowi, który pod wpływem wnuka zaczyna kosztować roskoszy zawartych w myśleniu o drugich i życiu dla drugich.

Takiegoż odrodzenia moralnego historyą jest powieść p. Montgomery. Przedstawia nam ona dzieje człowieka, który przypatrzywszy się za młodu materyalnemu upadkowi rodziny, postanowił krwawą pracą odzyskać, co było stracone i zdobyć napowrót rozwalone ognisko. Gdy mu się to udaje nareszcie, po latach wielu, czuje z goryczą, iż stępiały władze jego serca, że nie zdolnym już kosztować zachwytów tryumfu i zwycięstwa, że w twardym życia boju zestarzał się i skamieniał, że przez te wszystkie lata pracował i walczył, ale kochać zapomniał. Na szczęście w tej właśnie chwili gorzkiego rozczarowania, nawija się mały jego bratanek, i dziecięcą swobodą rozpogadza zwątpiałą duszę steranego trudem człowieka, a zarazem przypomina mu wiele nauk wyższych, o których zwykle więcej na kolanach matki wiemy, aniżeli o nich w dalszem pamiętamy życiu. Jak lord Dorincourt, tak i John Ramsay, powoli stawa się „małem dzieckiem“ i odzyskuje spokój i szczęście, dając się prowadzić swemu małemu przewodnikowi. W obu powiastkach, przy całej głębokości myśli naczelnej, przemaga nastrój wesoły. Dziecinne koncepta urozmaicają tu poważny tok rozmowy w sposób przedziwny, całość zaś zostawia wrażenie łagodne i miłe, i pozwala zakosztować owego moralnego odpocznienia, które właściwie powinnoby zawsze wynikać z lżejszych czytań, kiedy tymczasem dzisiejsze utwory fantazyi przysparzają tylko zmęczenia myśli i nerwów, nie mówiąc już o innych ujemnych wpływach.

M.

Z pism czasowych.

„Dziennik Polski“ o internacyonale klerykalnym.

Pod tym tytułem umieścił *Dziennik polski* wychodzący we Lwowie, w num. 310 z dnia 7 listopada b. r. artykuł wstępny, zdradzający taką ignorancyę, iż śmiało można powiedzieć: „że dla redakcyi *Dziennika polskiego* kwestya socyalna jest *terra ignota auditaque nunquam*“.

Aby nas o przesadę nie posądzono, przytoczymy w streszczeniu ów artykuł. Redakcya konstatuje, „że sfery bardzo wysokie, dotychczas nie mające nic wspólnego (!) ze sferami robotników, bardzo skrzętnie i pilnie zajmują się kwestyą społeczną, a przedewszystkiem najważniejszą kwestyą robotników“. Następnie w jednem zdaniu określa pojęcie i przyczyny socyalizmu i twierdzi, że „postęp i rozwój produkcyi nie idzie koniecznie w parze z nędzą społeczną“. Mimo to przyznaje, że „dzisiaj stroną słabszą są w przeważnej części robotnicy, i państwo ich powinno otoczyć swoją opieką. Oto jest źródło socyalizmu państwowego“. Dalej wspomina o walce socyalizmu z liberalizmem, przeskakuje do „Prus i Niemiec“, zaczepia konserwatystów, i kończy dziwnie loicznie: „dowodem tego ostatni niemiecki wiec katolicki. Postulaty, jakie postawił dr. Decurtius, znane są. Rekapitulują one to wszystko, cośmy już dotychczas słyszeli o socyalizmie katolicko-klerykalno-feudalno-reakcyjnym. Opiewają one: Obrona (?) pracy dzieci; ograniczenie pracy kobiet; spoczynek niedzielny; normalny dzień roboczy... Czy takie żądanie międzynarodowego ustawodawstwa nie przypomina żądań, postawionych przez osławiony internacyonał socyalistyczny i komunistyczny?“ Oto treść artykułu.

Zaiste rumienić się trzeba, że Polak dla Polaków, dla których ostatnią deską zbawienia jest tylko katolicyzm, który wykarmił i wypiastował Polskę, i to w polskiem piśmie, z bezprzykładnem lekceważeniem i zuchwale obraża uczucia i przekonania religijne czytelników, a tak niesmacznie wyraża się o stronnictwie katolicko-socyalnem. Gdybyżto zresztą miało przynajmniej pozór prawdy! Ale jak nazwać takiego, który owe szlachetne zasady, jak: „wzbronić dzieciom pracę, do jakiej ich zaprzęgają w fabrykach, i to już od piątego roku życia przez kilkanaście godzin na dobę; ograniczyć pracę kobiet, których powołaniem jest ognisko domowe i wychowanie dzieci; pozwolić robotnikowi przynajmniej jeden dzień w tygodniu na łonie rodziny wytchnąć; oznaczyć dzień normalny roboty“, który takie zasady, mówię, zowie reakcyjnemi, feudalnemi, komunistycznemi, radykalnemi, podczas gdy one są na wskróś chrześcijańskie, ludzkie, humanitarne? albo któż ośmieli się porównać spokojne, rozsądne, na zasadach miłości i sprawiedliwości

oparte usiłowania stronnictwa katolicko-socyalnego, z osławionym internacyonalnym socyalizmem i komunizmem?

Że program katolicko-socyalnego stronnictwa, mający na celu szczęśliwe rozwiązanie zagadnienia społecznego, jest powszechnie za najhumanitarniejszy uznany, o tem kiedy indziej obszernie pomówimy. Dzisiaj z powodu artykułu *Dziennika polskiego*, który mógłby źle uprzedzić niektórych czytelników, obowiązani jesteśmy w kilku słowach wykazać, że międzynarodowy katolicki alians jest potrzebny, i że wiec katolików w Niemczech słusznie się domagał międzynarodowego ustawodawstwa w sprawach robotników.

Zdawało się, że hasło Mancherskiej szkoły wywołując nieograniczone współzawodnictwo, spotęguje tylko i rozpowszechni pracę Tymczasem rezultat, do jakiego świat przychodzi, jest rozmnożenie ludzi, którzy nic innego nie robią, tylko kupony obcinają, i jeszcze większą mnogość takich, którzy do tej błogiej, cudzą pracą karmionej egzystencyi aspirują. Przychodzi do tego, że „środki do pracy i produkcyi“ znajdują się, nie jak poprzód, w rękach jednego przedsiębiorcy lub fabrykanta, ale w posiadaniu spółek akcyjnych, które lwią część ze „środków do pracy“ pobierają, a robotnikowi wydzielają taką zaledwie zapłatę, by mógł wegetować i mnożyć się, tj. *minimum* do egzystencyi potrzebne. Przez ciągłe tworzenie nowych towarzystw akcyjnych, mnoży się owa bezimienna społeczność kapitalistów, obstająca — na zasadzie „wrzekomej wolności“ — za zatrzymaniem dzisiejszego systemu kapitalistycznego, z którego tak łatwe zyski wyciąga. I dlatego nigdzie nie istnieje już stosunek robotnika do przedsiębiorcy, ale stosunek robotnika do bezimiennej spółki akcyjnej, do osoby fikcyjnej, która ten jeden sobie cel założyła: kapitały mnożyć Ale ci wielbiciele nowoczesnej mammony nie chcą widzieć i rozumieć, że na mocy prawa atrakcyi kapitał większy pochłonie mniejszy, że kapitał zgromadzi się w rękach drobnej liczby bankierów, a milionom i milionom pozostanie ta jedna dola: pracować dla garstki wybrańców.

Te spółki akcyjne prowadzą mimowiednie społeczeństwo do socyalnej demokracyi, i stają się groźnemi wszelkiemu istniejącemu porządkowi społecznemu. Uciśniona bowiem ludność zaapeluje natenczas do jedynej jeszcze istniejącej władzy (wszystkie bowiem inne czynniki organizmu społecznego zostaną zdruzgotane lub za-

chwiane), tj. do władzy państwowej, która chcąc nie chcąc wystąpi jako wrzekomy zbawca społeczeństwa, i zaprowadzi ów ideał socyalnej demokracyi: wszechwładztwo państwa.

Przyznać musimy, że olbrzymie dzisiejsze przedsiębiorstwa nie mogą już być prowadzone dla braku kapitałów przez jednostki, a więc że wielki kapitał może być zbierany jedynie za pomocą akcyj, przez mniej zamożnych zakupowanych. I w takiem postępowaniu, sądzimy, niema nic złego, owszem, uważamy to za konieczny wynik ewolucyi historycznej, zgodnej z wolą Opatrzności. Jedno atoli jest w tem zło. Oto, że spółki akcyjne zeszły z drogi moralności i sprawiedliwości, że wytknęły sobie jeden tylko cel: mnożyć kapitał nawet z największą robotników krzywdą. Tak być nie powinno. Spółki akcyjne powinny iść w służbę zorganizowanej pracy przemysłowej; one powinny zwolna ustąpić miejsca stowarzyszeniom zawodowym, jako właścicielom środków do produkcyi. Celem tegoczesnych usiłowań powinno być zorganizowanie pracy.

Gdyby chodziło o usunięcie niektórych złych skutków, wynikających ze spółek akcyjnycych, natenczas wystarczyłoby nałożyć im pewien szereg obowiązków, jak np. zaprowadzenie kas dla robotników na wypadek kalectwa, choroby, śmierci; złożenie kaucyi na wypadek rozwiązania przedsiębiorstwa, i t. p. Atoli to nie starczy. Bezimienna, z zebranych przez sprzedanie akcyj kapitałów złożona istota nie da się przemienić na istotę moralną i nie zrzeknie się szczerze wyzyskiwania cudzej pracy. Dla tego tak pożądanem jest, jak powiedziałem, żeby spółki akcyjne ustąpiły miejsca stowarzyszeniom robotników.

W jakiż sposób może to przyjść do skutku? Spółki akcyjne powinny być mocą ustawodawstwa nakłonione, łączyć wszystkie przy pewnem przedsiębiorstwie pracujące osoby w stowarzyszenia robotników na mocy statutów przez państwo wydanych. Te stowarzyszenia robotników mają mieścić w sobie hierarchiczne stopnie. Pewna część uzyskanego przez pracę robotników czystego dochodu ma być przeznaczona na amortyzacyę kapitału przez akcyonaryuszów złożonego, i to ma trwać dopóty, dopóki cały kapitał nie zostanie amortyzowany. Po ukończeniu amortyzacyi środki do pracy staną się własnością towarzystwa robotników. Aby cel taki w ca-

łym świecie osiągnąć, potrzebny jest międzynarodowy alians katolików, chociaż są jeszcze inne cele, dla których ów alians jest potrzebny, a które wyłuszczyliśmy już w zeszycie z maja b. r.

Jedno jeszcze przemawia za założeniem takiego aliansu międzynarodowego katolickiego, albo jak *Dziennik polski* się wyraża, „Internacyonału klerykalnego“, a tem jest: dążenie do zaprowadzenia międzynarodowych ustaw w sprawach robotników. Wiadomo to wszystkim, że są przedsiębiorstwa i fabryki, w których los i położenie robotnika jest nietylko znośne, ale nawet zupełnie prawidłowe i dobre. Albowiem są jeszcze, Bogu dzięki, przedsiębiorcy, którzy pamiętają o dziesięciu przykazaniach Bożych i dwóch wielkich przykazaniach miłości, i według tychże z robotnikiem postępują. Ale niestety! w wielu innych przedsiębiorstwach i fabrykach, a szczególniej w przedsiębiorstwach akcyjnych gorzej się dzieje. Tu stoi na czele przedsiębiorstwa dyrektor płatny przez akcyonaryuszów i sługa akcyonaryuszów. Jego celem jest jak najtaniej produkować. Od tego bowiem zawisło jego wynadgrodzenie i jego posada. Cóż tedy robi taki dyrektor i cała rada nadzorcza? Stara się o najtańszego robotnika, a takim jest kobieta i dziecko, nadto kilkunastogodzinna praca na dobę, nie wyłączając świąt i niedzieli; i najmowanie robotnika „na targu światowym“ za najtańszą cenę. Otóż, chociażby się udało w pewnem państwie tego rodzaju ustawodawstwo zaprowadzić, któreby wzięło w zupełną opiekę robotnika i stosunek między przedsiębiorcą a robotnikami wyrównało, to brak takiego ustawodawstwa w sąsiednich państwach pokona i zabije produkcyę pierwszego państwa. Czemu? bo w państwie na zasadach sprawiedliwości opartem będzie robotnik lepiej płatny, będzie mniej godzin w fabryce pracował i w dnie niedzielne zostanie od pracy zwolniony; bo dzieci do 14 roku życia zostaną od pracy w fabrykach wykluczone, a kobiety praca ograniczona i t. d., a tem samem produkcya stanie się droższą od produkcyi tego państwa, które się kieruje zasadą szkoły manchesterskiej, w którem za tańszą cenę i dłużej, bo kilkanaście godzin na dobę, pracują i to nie mężczyzni, domagający się wyższej zapłaty, ale kobiety i dzieci.

Otóż, stronnictwo katolicko-socyalne stara się, ażeby we wszystkich państwach w Europie i Ameryce co do stosunku robotnika do przedsiębiorcy, co do wykluczenia dzieci od pracy w fabrykach, ogra-

niczenia pracy kobiet, oznaczenia normalnego dnia roboczego, święcenia niedzieli, i t. p., też same prawa zostały wydane. I w tem znaczeniu możnaby nazwać to stronnictwo katolickie internacyonalnem. Ale z takiem szyderstwem, jakiego się dopuścił *Dziennik Polski*, wyrażać się o tem najżywotniejszem stronnictwie i porównywać je z internacyonalnym radykalnym socyalizmem, a nawet komunizmem — to przechodzi możliwe granice uczciwości. My tyle powiemy za Krasińskim *Dziennikowi:*

Ale w piersi jest pogarda,
Co ma także swe panieństwo,
I gdy gardzi, nadto harda.
By znamiętnić się w przekleństwo.

Ale może redakcyi *Dziennika Polskiego* o to chodzi, że kler katolicki szczególniej w Niemczech i we Francyi wziął się tak serdecznie i tak szczerze do rozwiązania kwestyi socyalnej, i może sądzi, że mu tego czynić nie wolno, i że ta działalność należy wyłącznie do zakresu władzy państwowej? Jeżeli takie jest jej przekonanie, to radzilibyśmy redakcyi porzucić pióro, a wziąść się jeszcze do nauki, z czegoby może dla społeczeństwa chociaż później jakaś korzyść spłynęła.

Nie w dzisiejszym artykule wywołanem przez *Dziennik Polski* miejsce dowodzić, że Kościołowi katolickiemu, a więc i klerowi jego przysłuża *kat'exochen* prawo pracy około rozwiązania kwestyi socyalnej. Dlatego mimochodem tylko przytoczymy kilka uwag dowodzących, że między wszystkimi czynnikami, społeczeństwu użytecznymi, główne i naczelne miejsce samemu katolicyzmowi się należy. Człowiek jest istotą religijną, i wrodzony jego ustrój wymaga koniecznie zaspokojenia tej religijnej potrzeby. A jeżeli „zwierzęcość“ człowieka nie ma zadusić i zgasić „duchowości“ i owego wyższego życia, które go dopiero czyni człowiekiem, jeżeli nie ma doprowadzić do tego, żeby człowiek stał się istotą zeźwierzęconą i rozpasaną, jak się wyraża Schiller: najpotworniejszym z potworów, to musi on być religijnie wychowanym. A któż się zajmie jego religijno-moralnem wychowaniem? Tylko i w pierwszym rzędzie Kościół, bo on tylko mieści w sobie ów ideał wychowania i posiada środki nadprzyrodzone do urzeczywistnienia tegoż ideału. Kto chce zaś wychowanie pozostawić wyłącznie pań-

stwu, ten musi przyznać, że ono będzie zewnętrznem, biurokratycznem, wojskowem. A że do tego zwolna zdążamy, wskazują zdania posłów niemieckich, wygłoszone przy rozprawach nad budżetem wojskowym: „Koszary — to Kościół przyszłości“

U grobu Zbawiciela podały sobie po raz pierwszy i ostatni wszystkie narody rękę do zgody, i to nie przez zgnębienie narodowości, nie przymusem ale wiedzione miłością. Dzisiaj znowu Kościół katolicki zajął to stanowisko łącznika ludzkości; bierze on z żądań socyalistów to, co uznaje za słuszne i dobre, ale potępia otwarcie błędy socyalizmu. Kościół jest potęgą społeczną i konserwatywną, przeciw której najpierw podnosiły się rewolucyjne duchy, czy z góry czy z dołu pochodzące. A mimo to Kościół jest jedynym, który pokonuje dzisiaj nowoczesnego ducha rewolucyjnego, co wstrząsa jak febra całem społeczeństwem. On też jeden jest w możności ujarzmić namiętności i rozjuszone masy proletaryatu do spokoju i równowagi doprowadzić, wlać w nie ducha karności i zjednoczyć w tym celu, aby na nich odbudowywać nowe dla przyszłości społeczeństwo. Nie dokona tego liberalizm swojem rozdrabnianiem i rozsadzaniem społeczeństwa w atomy, ani radykalny socyalizm swojem biurokratyzmem państwa absolutnego.

Kościół dąży do naprawienia obecnych stosunków tylko drogą pokoju i wolności, a jako katolicki, tj. powszechny, wzywa wszystkich synów, bez różnicy narodowości, do spełnienia tego ideału. I ten cel założyło sobie katolicko-socyalne stronnictwo, nie mając nic wspólnego ani z radykalnym socyalizmem lub komunizmem, ani z liberalizmem. I nadejdzie chwila, mamy w Bogu nadzieję, że duchowieństwo całego świata, a za niem wszyscy katolicy podadzą sobie ręce, by wspólnie dążyć do umoralnienia robotnika i do polepszenia jego doli przez wpływanie na prawodawców, aby wydali ustawy międzynarodowe, określające stosunek robotnika do przedsiębiorcy. Słowa Pana Jezusa: „Żal mi tego ludu“, zachęcą wszystkich do studyum nad kwestyą socyalną i do pracy nad rozwiązaniem tegoż zagadnienia, mimo nieupodobania, jakie to sprawia dziennikom liberalnym.

Ks. Kopyciński.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Skutki pobytu w Rzymie cesarza Wilhelma. — Mowa papieża do pielgrzymów neapolitańskich. — Rocznica bitwy pod Mentaną. — Rozprawy w senacie o kodeksie karnym. — Mowa Windthorsta w Kolonii. — Mowa Schorlemer-Alsta. — Uchwały katolików holenderskich i angielskich. — Zapowiedziane kongresy w Wiedniu i Madrycie. — Krucyata kardynała Lavigerie. — Pocieszające objawy. — *Czas* o poselstwie Izwolskiego.

Pobyt cesarza Wilhelma w Rzymie pozostawił kwestyę rzymską nietkniętą, nie przyczyniając się w żadnym kierunku do jej rozwiązania; — takie hasło wydały najpoważniejsze organa papieskie, protestując przeciw tym, którzy pochwyciwszy kilka mniej bacznych, a nie wiedząc nawet czy zupełnie autentycznych wyrażeń młodego podróżnika, ukuć z nich chcieli nową, a jak z tryumfem się przechwalali, stanowczą broń przeciw wszelkim zamysłom i nadziejom wskrzeszenia władzy doczesnej. O samej rozmowie Wilhelma z Papieżem rozbiegły się w jednej chwili po całym świecie tak różne a fantastyczne opowiadania, że żadnemu z nich wierzyć nie było można; niektórzy twierdzili, że Papież był z tej rozmowy nadzwyczaj zadowolony; inni, że nie mógł ukryć silnego pomieszania i rozdrażnienia z doznanego zawodu. Ostatnią tę wersyę usilnie rozszerzyć się starały dzienniki włoskie, zostające w służbie rządowej, snując na tem tle cały szereg śmiałych kombinacyj, i kto wie, do jakich kombinacyj by się jeszcze nie posunęły, gdyby

Niemcy, bądź wprost, bądź za pośrednictwem prasy wiedeńskiej nie ostrzegły swych sprzymierzeńców, aby nie szli za daleko w tym kierunku i dobrowolnie się nie łudzili, bo, jak z przyciskiem zaręczają *Fremdenblatt*, *Presse*, *Wiener Allgemeine Zeitung*, *Correspondance de l'Est*, a zaręczenie to powtarzają urzędowe gazety berlińskie: „wizyta Wilhelma równie w Wiedniu jak w Rzymie „jeden jedyny miały cel: staranie się o utrzymanie i wzmocnienie „pokoju; o niczem innem nie mówiono, żadnej innej specyalnej „kwestyi nie dotknięto; w Wiedniu nie rozbierano kwestyi bułgar„skiej, w Rzymie nie roztrząsano kwestyi watykańskiej".

Ale jeżeli podróż Wilhelma nie była i z natury swej być nie mogła „ostateczną pieczęcią jedności włoskiej", uroczystem uświęceniem zaboru Rzymu", to z drugiej strony trudno zgodzić się z temi rosyjskiemi i francuskiemi gazetami, które bardziej podobno dla politycznych względów niż z miłości dla papiestwa, radeby się dopatrzeć w tej podróży niemal klęski Włoch, wielkiego tryumfu Watykanu. Być może, że książe Bismark zamierzał, jak dowodzi *Nord*, zadziwić świat mistrzowską manifestacyą, mającą wzmocnić przyjaźń z Włochami, a jednocześnie oddać cześć należną głowie katolicyzmu; niewątpliwie papiestwo, jak zauważa *Temps* i *Liberté* okazało się znowu największą moralną potęgą na świecie, przed którą nawet protestanccy cesarze schylić muszą głowę; ale wyznać trzeba, że cesarz Wilhelm, oszołomiony kwirynalskiemi hołdami i ucztami, nie dość zręcznie wykonywał łamane sztuki przez nauczyciela zalecone, a mając myśl zajętą rewiami i wojskami, nie miał czasu zastanowić się, czem są i jak ważną rolę grają w dziejach świata moralne potęgi. Stąd, mimo starannie z góry określonego ceremoniału, zajść mogły pewne uchybienia, stąd mogły się cesarzowi wysunąć z ust pewne niewłaściwe wyrażenia i żarty, które w Watykanie wywrzeć musiały i wywarły bardzo przykre wrażenie. Raz jeszcze jasno okazało się, że dyplomatyczne półśrodki nie wystarczają dla ochronienia godności głowy Kościoła; że kwestyi rzymskiej rozwiązać nie mogą ani nigdy ściśle nie zachowywane prawa gwarancyjne w stosunku z Włochami, ani „polityka końska" w stosunku z mocarstwami zagranicznemi. Naukę tę płynącą z pobytu cesarza niemieckiego w Rzymie określił w niezwykle silnych wyrazach sam Leon XIII, w mowie wypowiedzianej

24 października, do zebranych bardzo licznie pod przewodnictwem kardynała Sanfelice d'Aquavella pielgrzymów neapolitańskich:

„Groźby i zniewagi dzień w dzień przeciw nam miotane, — „żalił się Papież — dlatego, że praw naszych bronimy, pozbyły „się wszelkiego wędzidła, żadnej miary nie mają. Wszystko, każdy „pretekst do tego celu wystarcza, jak miało to miejsce odnośnie „do słów wyrzeczonych przez nas do księży włoskich, które ścią„gnęły na siebie długie i gwałtowniejsze niż kiedykolwiek gniewy „naszych wrogów. A jednak słowa te nie zawierały w sobie nic „nowego. Co powiedzieliśmy natenczas, to samo wiernie powtarza„liśmy przez przeciąg naszego pontyfikatu. Oświadczaliśmy zawsze, „że wysokie powołanie i godność papieża rzymskiego zgodzić się „nie może z obecnym stanem rzeczy; zawsze żądaliśmy dla Stolicy „św. prawdziwej wolności i niezależności istotnej, a nie illuzorycznej. „Dla tego wielkiego celu, a nie dla jakichś ludzkich widoków, nie „przestawaliśmy bronić świętych praw papiestwa, domagać się rze„czywistej władzy monarszej. Skąd więc dzisiaj tak gwałtowne „ataki i zniewagi? Dlatego jedynie, ponieważ dobrze znane fakta „i okoliczności dodały ognia do dawnych nienawiści, ośmieliły spi„skujących przeciw temu wszystkiemu, co się odnosi do świętych „tych praw Kościoła i Stolicy św.... Ale choćby walka nie wiem „jak się srożyła, my z naszej strony, znając dobrze, jakie ciężą na „nas obowiązki, nie przestaniemy nigdy stawać w obronie wielkich „interesów Kościoła i Stolicy św., lecz przeciwnie, im wrogowie „nasi bardziej przeciw nim wysilać się będą, tem my z pomocą „Boga wytrwalej będziemy ich bronić".

Tak papież jeszcze nigdy nie przemawiał; mową swą dał hasło do nowej, zaciętszej niż dotąd walki — odezwały się niemal jednomyślnie liberalne włoskie dzienniki, przesadzając się wzajemnie, jakby dla stwierdzenia słów Ojca św., nie w ocenieniu a choćby tylko w spokojnem odparciu uczynionych zarzutów, ale w nikczemnych, z dawnych chyba ksiąg Lutra zaczerpniętych obelgach. „Leon „XIII, woła *Tribuna*, mówiąc o gwałtach i krzywdach, sam zadaje „krzywdę i gwałt prawdzie, która Bogiem jest". „Jego świętobli„wość, szydzi *Diritto*, pocieszył się w smutnem swem położeniu „poważną sumą pieniężną, złożoną przez pielgrzymów i kilku ko„szykami świeżych ryb, przyniesionych przez rybaków z *Santa*

„*Lucia*“. Nie tak grubiańsko, ale z większą może jeszcze złością odezwał się organ Crispiego *Riforma*, usiłując podstępnie przedstawić całą mowę Papieża, jako skierowaną wręcz przeciw Niemcom, „luterskiemu temu państwu, które watykaniści chcieli może na „chwilę zaprządz w swą służbę, ale z którem nigdy nie myśleli „wchodzić w stalsze i ściślejsze stosunki“. Artykuł ten miał najwidoczniej na celu rzucić ziarno niechęci i niezgody między Berlinem a Watykanem; szczęściem napisany był tak niedyplomatycznie, tak rzeczywiście *à la Crispi*, jak się ktoś złośliwie wyraził, że w Berlinie zupełnie na seryo go nie wzięto. Zresztą, dla zapobieżenia dalszym tego rodzaju szkodliwym insynuacyom, wystąpił papieski *Osservatore Romano* ze stanowczym a jasnym komentarzem do mowy papieskiej: „Śmiesznem jest mówić o illuzyach i zawodach doznanych w Watykanie w czasie pobytu w Rzymie cesarza Wilhelma. Przecież, nawet wedle zdania i wyznania liberałów, Papież nie najgorszym jest dyplomatą. Znał on doskonale powody cesarskiej podróży, a znając je, wiedział, czego może się dla siebie spodziewać, i jak się powinien zachować. Raz jeszcze powtarzamy: Cesarz przybył do Rzymu, aby wzmocnić i tak już ścisłe i silne przymierze z królem Humbertem i jego rządem... Dziwną więc komedyę odgrywa liberalna prasa, udając, jakoby sądziła, że skargi, którym Leon XIII dał wyraz w swej przemowie, zwrócone są przeciw cesarzowi niemieckiemu. Tłumaczenie to zmierza oczywiście do dwojakiego celu: chcianoby zjednać wiarę nieuzasadnionym pogłoskom o zaszłych starciach między Papieżem a cesarzem, lub też starcia te wywołać. Ale manewr ten się nie uda, bo Papież za wiele ma racyj do skarżenia się na osoby mieszkające obok Watykanu, ażeby mógł ktoś na seryo przedmiotu skarg jego szukać poza Alpami“.

Jakby dla illustracyi tych zbyt słusznych żalów i skarg, odbyły się w Rzymie w kilka zaledwie dni po mowie Ojca św. formalne orgie wymierzone przeciw papiestwu. Czwartego listopada patryoci włoscy obchodzili rocznicę klęski zadanej sobie pod Mentaną przez wojska papieskie, a manifestacya ta z roku na rok burzliwsza, przemieniła się tym razem w istne święto szaleńców czy opętanych. Pierwszy z mowców, profesor De Dauli nazwał Papieża „przeklętym“ i zakończył swą mowę następnem życzeniem: „Gdy padną

wreszcie ołtarze przesądu, nierozumu i głupstwa, wtedy wywrócą się też trony stojące na sile i przemocy; a ludy uwolnione zostaną od wszystkich ciemiężców: od zakrystyj i koszar, od papieżów i królów". „Watykan, wołał następny mowca profesor Pennesi, dzięki opiece udzielonej mu przez ten zabytek wieków średnich — prawa gwarancyjne, stał się gniazdem spisków przeciw prawu, wolności i nauce ... Papież winnym się stał zbrodni zgwałcenia majestatu ojczyzny, cywilizacyi, ludzkości. Od kościoła do szkoły, od królewskiego pałacu do wieśniaczej chaty, od miasta do wsi rozszedł się zaraźliwy dech, trujący jak słowo Jezuity, nieprzebłagany jak wyrok dominikańskiego mnicha"... De Dauli i Pennesi obrzucali w równej mierze przekleństwami Leona XIII i Humberta, Watykan i rząd włoski — „południowego psa wiedzionego na obroży przez północnego niedźwiedzia"; monarchista Gualtiero Mancini przeciw samemu tylko Watykanowi wyciągnął ściśnione pięści: „Zmieniły się czasy, Leonie XIII! O ty, na hańbę naszą z włoskich rodziców zrodzony, nie ujrzysz, nie ujrzysz rozdzielonej naszej ojczyzny... O papiestwo! zbierz razem wszystkie klątwy, któremiś przez długie wieki hojnie szafowało; zachowaj sobie, biedny pustelniku, ziemskie nędze obszernych sal, wspaniałych pałaców, sardanapalskich orgij... Wystąp przeciw nam, wezwij na pomoc pioruny twego Boga... Spróbuj! ... Stoisz jeszcze, Watykanie, i cierpliwość naszą na ciężką narażasz próbę. Przypomnij sobie a wiedz, że gniew ludu rośnie i tak wzrosnąć może, że śladu po tobie nie zostawi... Idź do Afryki, Papieżu! tam znajdziesz drogę do nieba... A teraz Włosi naprzód! Polegli pod Mentaną wołają do nas: Precz z gwarancyami!"...

Towarzystwo rewolucyjne *Reduci* rozlepiło po ulicach rzymskich, również z powodu klęski pod Mentaną, odezwę, będącą niejako streszczeniem mów powyższych. „Wzięliśmy Rzym, czytamy w tej odezwie, ale wziąść nie jest jednoznaczącem z odkupić, a Rzym nie jest jeszcze odkupiony. Dowodem na to, by o innych nie wspomnieć, istnienie w Watykanie ogniska międzynarodowego spisku przeciw całości ojczyzny, ogniska otoczonego przywilejami, bronionego wyjątkowemi prawami, tak iż będąc w rzeczywistości po za prawem, wedle ustaw naszych znajduje się po nad prawem".

Charakterystyczne te raz po raz, w różnej formie, coraz gdzie-

indziej, z coraz większą siłą powtarzane a przez rząd jeśli nie wprost podsycane, to z przyjemnością słyszane żądania: „Precz z gwarancyami!“ doczekają się podobno niezadługo w wielu ważnych punktach, nie teoretycznego wprawdzie, lecz praktycznego urzeczywistnienia za pośrednictwem nowego kodeksu karnego. Obecnie toczą się w senacie włoskim rozprawy nad tym kodeksem, a choć paru senatorów jak: Fusco, Vitelleschi, Corte i Lampertico oświadczyli się energicznie przeciw „podyktowanym przez namiętność“ ustępom, odnoszącym się do duchowieństwa, dziwiąc się, że prawodawstwo tak łagodne względem zbójców i złodziejów, tak twardem okazuje się dla księży; przestrzegając, że „kto prześladuje katolików, ten złą usługę oddaje ojczyźnie“, to jednak nie podlega wątpliwości, że senat ostatecznie ulegnie woli Crispiego, zadawalniając się, dla uspokojenia sumienia, paru poprawkami, określającemi zbyt niejasne, a tem samem szerokie wrota do despotyzmu i nadużyć zostawiające przepisy. Najważniejszą nie poprawkę, lecz wyjaśnienie dodała komisya senacka do słynnego paragrafu 101, który za wszystkie c z y n y, dążące do rozerwania jedności państwowej, nakłada dożywotnie więzienie. „Rzecz prosta, zauważa komisya, że paragraf ten nie kładzie żadnej tamy r o z p r a w o m o doczesnej władzy papieskiej, albowiem wyraźnie wymienione są w nim tylko c z y n y, nie zaś prywatne z d a n i a lub r o z p r a w y“. Określenie to, dodaje *Osservatore Romano*, mogłoby nas w pewnej mierze zaspokoić, gdyby nie zbyt skądinąd uzasadniona obawa, że choćby zostało uchwalone, powędruje ono spokojnie do archiwum państwowego, wystawiając nas na łup samemuż, na wszystkie strony dowolnie dającemu się tłumaczyć paragrafowi“.

Katolicy świata całego nie milczą w obec dokonywanych w Rzymie bezprawiów; w ubiegłych miesiącach pielgrzymi, przybywający z całego świata do wiecznego miasta, domagali się w entuzyastycznych mowach wolności i niezależności dla Ojca chrześcijaństwa; w ostatnich tygodniach powtórzono lub niebawem powtórzone być mają te same żądania z większym może jeszcze zapałem i przyciskiem na licznych katolickich kongresach i zebraniach. Doświadczony wódz katolików niemieckich, Windthorst wypowiedział w Kolonii w obec licznego zgromadzenia wyborców programową mowę, która w ostatniej zwłaszcza części miała być odpowiedzią

i odparciem pogłosek puszczanych w świat przez włoską prasę, ponownem, energicznem stwierdzeniem, świetnych a tak w całem tego słowa znaczeniu katolickich, obrad fryburgskich:

„Widzimy młodego naszego cesarza spotykającego się po raz pierwszy z Ojcem św., i wszyscy na wieść o tem zdarzeniu doznaliśmy głębokiego wrażenia. Jestem przekonany, że fakt ten, choć obecnie nie możemy zmierzyć wszystkich jego skutków, zajmie ważne miejsce w historyi. Mamy pewność, że cesarz nasz potrafi bronić praw wszystkich swych poddanych; a między temi prawami ważne miejsce zajmuje niezależność i wolność głowy naszego Kościoła".

Nie mniej po katolicku wyraził się przed swymi wyborcami drugi przewódzca *Centrum*, Schorlemer-Alst:

„Zgromadzenie katolików odbyć się nie może nie dotykając kwestyi rzymskiej. Ojciec św. wrócić powinien do używania swych praw; Rzym i ojcowizna św. Piotra do niego należą; potrzebuje ich dla zachowania niezależności i wolności niezbędnej dla sprawowania urzędu najwyższego Pasterza Kościoła. A nie tylko Papież, ale i my wszyscy mamy prawo do Rzymu, bo Rzym należy do całego chrześcijaństwa. Domagając się oddania Rzymu, domagamy się tylko zadosyćuczynienia dawnemu a najsłuszniejszemu naszemu prawu. Manifestacyami temi stwierdzamy jednocześnie, że zawsze ożywiają nas uczucia czci dla słusznych praw i zachowania prawowitego porządku; uczucia miłości i wierności dla naszej dynastyi.

Wiec katolików holenderskich w Rotterdamie jednomyślnie „w obec Boga i ojczyzny" oświadczył:

1) Katolicy holenderscy, zgodnie z duchem ożywiającym episkopat niderlandzki i biskupów całego katolickiego świata, uznając, że sprawa papieska jest w ich oczach pierwszą i najważniejszą sprawą, żywo obchodzącą wszystkich katolików, a zwłaszcza wszystkich wyborców katolickich i wszystkich chrześcijańskich posłów.

2) Protestują, podobnie jak uczynili to katolicy niemieccy na wiecu fryburgskim, przeciw odarciu Papieża z władzy doczesnej.

3) Oświadczają wespół z niemieckimi katolikami, że Papieżowi niezbędną jest władza doczesna, niezawisłość świecka.

4) Oświadczają, jak to jest ścisłym ich obowiązkiem, że Papież jest bezwątpienia najwyższym sędzią we wszystkich kwestyach odnoszącysh się do tejże władzy doczesnej; ale że co się tyczy ich samych to sądzą, iż jako katolicy domagać się co najmniej powinni od rewolucyi zwrócenia państwa kościelnego, zagrabionego Papieżowi.

Tak te, jak i inne ważne oświadczenia i uchwały wielkiego tego holenderskiego wiecu streścił telegram wysłany do kardynała Rampolli:

Katolicy holenderscy w Rotterdamie zgromadzeni na najliczniejszym z wszystkich dotąd odbytych rotterdamskich wieców, oświadczają w obliczu

Boga, że pragną niezmiennie przeciw rewolucyi i fałszywej zasadzie granic naturalnych bronić je i utrzymać: praw niderlandzkiej ojczyzny, praw Kościoła katolickiego i wszystkich praw Papieża-króla Leona XIII.

Do poważnych tych a wymownych głosów, które w ostatnich tygodniach za nieprzedawnionemi prawami Ojca św. się odezwały, zaliczyć jeszcze należy zbiorowy list biskupów hiszpańskich, do Papieża wysłany z Toledo 30 września b. r. i adres angielskiego „Towarzystwa katolickiej Prawdy“ *(Catholic Truth Society)*, nie mówiąc już o zapowiedzianych dwóch wielkich kongresach katolickich: madryckim i wiedeńskim. Kongres katolików austryackich odbyć się miał w listopadzie b. r., w ostatniej dopiero chwili odroczono go do wiosny roku przyszłego; właściwych powodów tego odroczenia dotąd nie wiemy, ale gdyby w tem miała grać rolę bojaźliwa polityka, szczerze musielibyśmy ubolewać: byłby to dowód (czego Boże uchowaj!), że katolicyzm w Austryi nie może iść równym krokiem z innymi katolickimi krajami. Kongres madrycki niebawem ma się zebrać, a sądząc z ogłoszonego programu i z nazwisk tych, którzy udział swój w nim obiecali, dorówna wewnętrzną treścią, a zewnętrznym blaskiem i entuzyazmem członków bodaj czy nie przewyższy słynnych, długoletnią tradycyą wykształconych katolickich kongresów niemieckich. Osobno w tym celu założony dziennik przygotowywać ma umysły do tych obrad i wszechstronny program ich nakreślić. Obrady te, jak dziś już czytelników swych informuje *Restauracion*, obracać się mają głównie koło kwestyi rzymskiej, środków mogących zapewnić szybkie a pomyślne rozwiązanie tej kwestyi, i uznania Papieża za najwyższego pośrednika w międzynarodowych sporach. „Jedynie uznanie takiego po„średnika, pisze *Restauracion*, doprowadzić może z czasem do „ogólnego rozbrojenia państw upadających dziś pod nadmiernymi „ciężarami wojskowymi. Pośrednik taki odznaczać się musi cnotą, „mądrością, bezstronnością, szacunkiem dla sprawiedliwości i mi„łością pokoju; komuż zatem z samej już natury piastowanego „urzędu bardziej posłannictwo to przynależy od Papieża? — Kto „panuje nad duszami 250 milionów katolików po całej ziemi roz„sianych, ten nie może i nie powinien nikomu podlegać, prócz „Boga jednego; dlatego dopókąd świat nie zagasi w sobie ostatniej „iskierki wiary, sprawiedliwości i przyzwoitości, władza doczesna

„głowy Kościoła nosić będzie koniecznie i nieuchronnie na sobie „międzynarodową cechę. Wychodząc z tej zasady, kongres nasz „zbada moralne i materyalne środki, których katolicy w granicach „prawem zakreślonych mogą i powinni chwycić się w obec swych „rządów, dla zapewnienia Papieżowi władzy, którą z prawa po„siada, a tak dla zabezpieczenia wespół z niezależnością Ojca św. „i godności wiernych, którzy w żaden sposób dozwolić nie mogą, „aby król ich dusz stać się miał niewolnikiem i ofiarą sekt".

Straszne dzieje handlu niewolnikami odsłonięte w ognistych słowach kardynała Lavigerie, całą już niemal Europę poruszyły, i dziś bez obawy można wyrazić nadzieję, że błagający o miłosierdzie dla tylu milionów dusz głos „afrykańskiego apostoła" nie będzie głosem wołającego na puszczy. Ojciec św. przeznaczył 300 tysięcy lir dla misyonarzów afrykańskich przez kardynała założonych, ciesząc się — jak wspomina w dołączonem brewe — że jubileuszowe jałmużny katolików całego świata dozwoliły mu przyczynić się tak wysokim darem do wzniosłego tego, prawdziwie chrześcijańskiego dzieła. Antiniewolniczy wiec w Kolonii, liczący około 3000 uczestników, wezwał rząd cesarski do energicznej „obrony honoru sztandaru niemieckiego i interesów niemieckich przeciw grasującym w Afryce Wschodniej arabskim handlarzom". Odpowiednie rezolucye przyjęte następnie przez wiec fryburgski, wysłane zostały do kanclerza i prezydyum parlamentu, a niebawem organ kanclerski *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* omówił je w wyczerpującym, bardzo sympatycznym artykule stwierdzając, że tylko religia z cywilizacyą zdolne są usunąć straszną plagę, trapiącą czarny kontynent, wzywając wszystkie narody do współudziału w tych cywilizacyjnych zapasach. Istotnie, rządy angielski i niemiecki zawarły już ze sobą umowę mającą na celu przeszkodzenie handlowi niewolnikami; a tak, jak zauważa *Nord*, religijna i cywilizacyjna krucyata głoszona przez kardynała Lavigerie, o której praktycznych rezultatach w pierwszej chwili wielu wątpiło, zyskała przez połączenie z materyalnymi, pozytywnymi interesami dwóch wielkich mocarstw, silną podstawę, choć nie straciła bynajmniej pierwotnego piętna, które wycisnął na niej pierwszy i główny jej sprawca, a tembardziej nie straciła, że cała ta krucyata oddaną zostanie bezwątpienia pod wysoki protektorat papieski.

W Brukseli, najsilniejszej dotąd twierdzy belgijskiego liberalizmu, wyszedł z urny przy uzupełniających wyborach katolik Powis, a jak ważnem jest to zwycięstwo, o tem najlepiej przekonuje przeciągły okrzyk już nie gniewu, ale rozpaczy, wydany przez wolnomularskie: *Etoile Belge, Independence Belge, Gazette, Chronique.* W Szwajcaryi obsadzone wreszcie zostało, po zbyt długich ociąganiach się i walkach biskupstwo Bazylejskie, a tak jak wyraził się w publicznej mowie jeden z najwyższych dostojników rzeczypospolitej, prezes Munzinger, „zakończyły się stanowczo nieszczęsne walki z Kościołem". Wiedeński arcybiskup, kardynał Ganglbauer doniósł w wspaniałej odezwie mieszkańcom Wiednia, że zawiązało się już, pod protektoratem samego cesarza, wielkie katolickie stowarzyszenie, mające na celu budowanie kościołów w nowych, szybko powstających dzielnicach stolicy. Zdobycze te Kościoła na tak różnych polach zaniepokajają mocno jego nieprzyjaciół; jednym z charakterystycznych, pocieszających dla nas wyrazów tego zaniepokojenia była mowa wypowiedziana w ostatnich dniach października przez wielkiego mistrza węgierskiego wolnomularstwa, Franciszka Pulszky. Ciężkie czasy przyszły na wolnomularstwo, żalił się Pulszky składając swój urząd; odwieczny wróg nasz — ultramontanizm z podwojoną gwałtownością przeciw nam w pole wyruszył. Dlatego młodszym i silniejszym rękom oddać muszę dzierżony przez lat dwadzieścia wolnomularski młotek; walczcie silnie a roztropnie z ultramontańskimi zapędami, bo jeśli kiedy, to dziś bój jest trudny, a od wyniku boju wiele zależy".

Niespodziany powrót rosyjskiego wysłańca Izwolskiego do Rzymu wzniecił w najszerszych kołach żywe zajęcie. „Prasa inspirowana przez gabinety, pisze *Czas* w artykule wstępnym z 17 listopada, zajmuje się powrotem Izwolskiego do wiecznego miasta, jako wypadkiem pierwszorzędnej doniosłości politycznej". Rzecz prosta, że właśnie w skutek tego powszechnego zajęcia mnożą się kombinacye i domysły często złośliwe i powadze Stolicy św. wysoce ubliżające, nieraz wprost śmieszne o powodach tego powrotu, o instrukcyach, które Izwolski z Petersburga przywiózł, lub przywieźć mógł. Zastanawiać się i krytykować, a choćby tylko przytaczać te najdziwaczniejsze kombinacye, nie mamy ani powodu, ani możności; zresztą, wszystko, co w tym względzie powiedzieć było

można, wypowiedział już doskonale wzmiankowany artykuł *Czasu*, nie podporządkowując interesów Kościoła żadnym innym, choćby najszlachetniejszym aspiracyom, ale wykazując wzajemny stosunek tych aspiracyj i interesów; ostrzegając, że prasa patrząca na układy ze Stolicą św. „tylko pod kątem kombinacyj dyplomatycznych", składa dowód zupełnej nieznajomości natury papiestwa".

Ks. Jan Badeni.

XIV-te walne zgromadzenie Towarzystwa Goerresowego.

W obec podziemnych działań loży, a otwartych zjazdów i wieców protestanckich, z których ważniejsze ostatnimi czasy w Halli i Bremie się odbywały, i w ogóle w obec ruchliwości antikatolickiego obozu, pocieszającym jest objawem, że Kościoła naszego rzecznicy sprawy nie zasypiają, ale z godną wszelkiej pochwały czujnością i gorliwością działają gdzie i jak mogą, żadnego nie opuszczając stanowiska.

Zaprzeczyć nie można, że na polu zbiorowego, konsekwentnego i wytrwałego działania przeciw prądom na zgubę chrześcijańskiemu społeczeństwu i cywilizacyi chrześcijańskiej czyhającym, katolicy niemieccy, a specyalnie pruscy w ostatnich dziesiątkach lat naszego wieku, najwięcej zasług położyli. Nie mówiąc już o wspaniałej postawie centrum berlińskiego, któreby słusznie najsilniejszą warownią przeciwko nowożytnemu barbarzyństwu nazwać można, te corocznie odbywające się zjazdy katolików niemieckich, o których w łamach waszego pisma znajdujemy zawsze wyczerpujące sprawozdania, najlepszym są dowodem, jak silnem w obecnej chwili tętnem bije życie katolicyzmu w Niemczech. Ale obok tych głównych i pierwszorzędnych czynników, mają Niemcy jeszcze wiele innych stowarzyszeń tej samej sprawie i tym samym celom poświęconych, z których każde, wybrawszy sobie osobne pole działania, pracuje na takowem skromniejszymi lub większymi środkami, stósownie do zamierzonego celu.

Jednem z najważniejszych takich stowarzyszeń, któremubym

chętnie trzecie miejsce po dwóch wyżej wymienionych, jako obszerność zakresu i skuteczność działania przyznał, jest tak zwany *Goerresverein*, czyli stowarzyszenie pod nazwiskiem Goerresa „dla pielęgnowania nauki w katolickich Niemczech".

Jakiekolwiekby się miało zdanie o wygórowanem wykształceniu naukowem naszych czasów, o bezmiernej żądzy wiedzy, która ludzkość ogarnęła, o ciągłej dążności do popularyzowania nauki, to z faktem tym koniecznie liczyć się należy A ponieważ w obec nadzwyczajnego ułatwienia i pomnożenia środków naukowych bramy otworem stoją, tak samo dla fałszywej, jak prawdziwej nauki, ponieważ w szkołach wszelkich stopni, wolność nauczania właściwie tylko dla wrogich wierze i Kościołowi prądów istnieje, nauka zaś katolicka wszędzie mniej lub więcej jest krępowaną, należy baczyć i czuwać, aby gdzie i jak można, fałszywej i tendencyjnej nauce przeciwstawiać zdrową i prawdziwą.

Nauka i szkoła nie działają wprawdzie tak doraźno i stanowczo jak rozporządzenia rządowe lub ustawy ciał prawodawczych, ale działają tem głębiej i gruntowniej, a jakiekolwiek zastanowienie się nad historyą wystarcza, by się przekonać, że każdy ważniejszy ruch społeczny w ludzkości przygotowanym był odpowiednim fermentem umysłowym, który się w szkołach i w pracowniach uczonych wyrabiał.

Pole dla działania katolickiego w tej mierze jest ogromne, tak samo jak i obszar nauki, wdzięczne niezmiernie, a czy skutek usiłowaniom odpowie, czy na takowy nie trzeba zbyt długo wyczekiwać, to już łasce Opatrzności pozostawić, a swoje robić należy. Ileżbo to fałszywych poglądów, ile utartych błędów, lub wprost ze złą wiarą podawanych zasad i faktów plącze się na obszernej niwie naukowej, że tu tylko wspomnę o historyi, filozofii, przyrodoznawstwie i naukach społecznych; ile czy to przez powierzchowność i ignorancyę, czy złą wiarę spaczonych pojęć, które potem zgubnych skutków są powodem. Przeciw temu oddziaływać, fałszywych apostołów wiedzy gromić, utarte błędy i pojęcia spaczone prostować, a razem wysoko dźwignąć pochodnię katolickiej nauki, we własnej przynajmniej ojczyźnie, oto jest celem towarzystwa Goerresowego, zawiązanego temu lat kilkanaście pod nazwą największego publicysty katolickiego, którego Niemcy kiedykolwiek wydały,

a któren i w całem świecie do rzędu najdzielniejszych szermierzy za wiarę zaliczonym być może — sławnego Józefa Goerressa.

Ponieważ miałem sposobność wzięcia udziału w 14-tym walnem tegoż towarzystwa zebraniu, w końcu miesiąca września r. b. odbytem, sądziłem, że nie będzie bez interesu zamieścić sprawozdanie z tak ciekawego i pouczającego objawu życia katolickiego w Niemczech.

Zebrania te, również jak i walne zjazdy katolików niemieckich w rozmaitych kolejno odbywają się miastach; dwa ostatnie miały miejsce w Koblencyi i Gdańsku, na zjazd tegoroczny wybrano Eichstaett w Bawaryi. Eichstaett, starodawna stolica biskupia, niegdyś, jak wiele innych miast biskupich, udzielne księstwo, najdawniejszych sięga czasów zaprowadzenia chrześcijaństwa w Niemczech. Jeszcze przed Karolem W. bowiem S. Wilibald z polecenia św. Bonifacego fundował tamże kościół i klasztor. Słynie to miejsce prócz tego cudownym grobem św. Walburgi, Wilibalda siostry, do którego po dziś dzień mnóstwo pobożnych corocznie przybywa pątników.

Małe miasteczko, leżące opodal głównych linij kolejowych, może mniej stosownie za punkt zborny licznego zgromadzenia było wybranem, i z tego powodu był, jak mi mówiono, zjazd o wiele mniej liczny, niż poprzedzający, tak że zaledwie 200 gości obcych się zebrało. Za to jednakże przybyli przedstawiają najwybitniejsze siły naukowe obozu katolickiego w Niemczech; sprawozdanie zaś, jakie poniżej zamieszczam, wykaże, jak ważne na tym zjeździe powzięto rezolucye.

Zanim jednakże do takowego przystąpię, muszę choć w krótkości wspomnieć o stanie obecnym towarzystwa, o środkach, jakiemi rozporządza, o głównym jego celu, wreszcie o skutkach, jakie osiągnęło po 13-letniem istnieniu.

Według statutów z roku 1883 dla towarzystwa zatwierdzonych, miejscem zarządu jest Bonn nad Renem. Towarzystwo składa się z członków honorowych, dożywotnich, zwyczajnych i tak zwanych udział biorących *(Theilnehmer)*. Członek zwyczajny winien opłacić 10 Mar. rocznej składki, za co może brać udział w zgromadzeniach walnych towarzystwa z prawem głosowania, a zarazem może nabywać wszelkie publikacye towarzystwa za $^2/_3$ kosztów takowych

w handlu księgarskim. Towarzystwo obejmuje prezydyum, sekcye, komisye, wreszcie zarząd rachunkowy. Prezydyum odbywa swe posiedzenia stósownie do potrzeby. Zjazd walny raz na rok ma miejsce. Trzy sekcye, a mianowicie: filozoficzna, historyczna, nauk prawnych i społecznych rozdzielają pomiędzy siebie materyał naukowy i kierują czy rocznemi, czy na większą ilość lat rozłożonemi publikacyami towarzystwa. Każda sekcya ma swego przewodniczącego, a składa się ze specyalistów do gałęzi nauki odpowiednich. Pomijam mniej ważne szczegóły organizacyi.

Stan obecny towarzystwa, stósownie do sprawozdania walnemu zgromadzeniu dnia 25 września r. b. przedstawionego, wykazuje za rok 1887 wszystkich uczestniczących 2419, z których 1740 członków zwyczajnych. Majątek towarzystwa w cyfrach okrągłych wynosi 54.000 marek; przychód wynosił w tymże roku 27.000 mar., rozchód 24.000 mar. Stósownie do swego celu, towarzystwo ograniczając swoje działanie na polu ściśle naukowem, wszystkie swoje siły tak materyalne jak umysłowe temu jedynie zadaniu poświęca, wykluczając wszelkie innego rodzaju cele, czy dobroczynności, czy propagandy, innym stowarzyszeniom tego rodzaju właściwe. Wynikiem tego jest z jednej strony, że pomijając wszelką polemiczną i ściśle prasową stronę, stawia tylko rezultaty badań naukowych, z drugiej, że, koncentrując wszystkie siły do jednego celu, dochodzi do bardzo poważnych rezultatów, z któremi się nauka przeciwnego obozu liczyć musi, i których w żaden sposób ignorować nie może. I rzeczywiście zdumiewającemi są naukowe prace towarzystwa Goerresowego.

Co rok ogłasza ono dwie prace konkursowe: jedną naukową z nadgrodami 1500 i 800 mar., drugą popularną, której nadgrody wynoszą 500 i 200 mar. Wydaje rocznik historyczny (*Historisches Jahrbuch der Görresgesellschaft*) w kwartalnych zeszytach po 12 do 13 arkuszy druku.

Rocznik filozoficzny tych samych mniej więcej rozmiarów. Oba te pisma mają już zupełnie ustaloną sławę w naukowym świecie, i nawet przez protestancką prasę wysoko są cenione.

Współdziała duchowo i materyalnie do „archiwum dla literatury i historyi kościelnej wieków średnich“ *(Archiv für Literatur und Kirchengeschichte des Mittelalters)*, wydawannego pod reda-

kcyą sławnego O. Denifle Z. K., autora głośnej w świecie naukowym historyi uniwersytetów. W tymże samym stosunku stoi do innego wydawnictwa: *Zeitschrift für Christliche Kunst.* Po części nakładem jego wyszło kilka bardzo cennych monografij historycznych. Wreszcie koroną naukowego działania towarzystwa jest wydawanie słownika państwowego *(Staatslexikon)* na wzór znanych tego samego rodzaju encyklopedyj Bluntschlego i Rotteka. Nie potrzeba się długo nad tem rozwodzić, jak ważnem jest dopiero co wzmiankowane przedsiębiorstwo. Właśnie bowiem na niwie państwowo-społecznej najczęstsze bywają zetknięcia się władzy duchownej ze świecką; w tej nauce podają jako pewniki niezbite i dawno dowiedzione, najzgubniejsze właśnie dla wolności kościelnej i społecznej zasady, a tak rządy jak warstwy społeczne, najbliżej takowych stojące, dążą do coraz to większego i bezwzględnego ukrócenia i ograniczenia władzy duchownej na korzyść państwa, tak iż z całą słusznością twierdzić można, że dążność ta jest osią polityki wewnętrznej wszystkich prawie państw europejskich. Otóż wyjaśnienie wszystkich na tem polu spornych kwestyj ze stanowiska nauki katolickiej, a wyjaśnienie gruntowne, poważne, naukowe, z któremby się obóz przeciwny liczyć musiał, godnem jest zadaniem mężów, którzy piórem i nauką dobrej sprawie służyć zamierzają. Z drugiej strony każdemu, ktokolwiek się tego rodzaju pracom naukowym zbliska przypatrzyć miał zręczność, wiadomo, jak olbrzymich potrzeba do podobnego przedsięwzięcia przygotowań, jak trudno zgromadzić siły naukowe, któreby się jednolitemu poddały kierownictwu, jak gruntownym winien być wykład, jak staranna redakcya, jak ścisłą cenzura, wreszcie jak znacznych potrzeba materyalnych środków. W tego bowiem rodzaju walce sama dobra wola i odwaga zdania nie wystarcza, ale potrzeba ludzi z wyborną szkołą i metodą naukową, boć i obozowi akatolickiemu na ludziach uczonych i zręcznych nie zbywa.

Dlatego też kilkakrotnie w ciągu rozpraw kładziono na to nacisk, że do łona redakcyi słownika państwowego tylko ludzi wypróbowanej nauki przyjmować należy. Wszystkie te trudności towarzystwo przezwyciężyło, a jeżeli po dwóch latach wydawnictwa dopiero lit. B i tom I jest na ukończeniu, to więcej wymagać nie można, bo, jak słusznie zauważono, przyspieszenie wydawnictwa ko

sztem wartości i gruntowności tylko na niekorzyść publikacyi wypaśćby mogło. Ponieważ rozpisywanie prac konkursowych nie doprowadzało do pożądanych rezultatów, a chodziło o to, by tak uczestniczących zainteresować, jako też towarzystwu szeroki zyskać rozgłos, postanowiono wydawać, obok rocznych sprawozdań, monograficzne prace naukowe, które pod tytułem *Vereinsschriften* rozsyłają członkom towarzystwa. Rzecz rozwinęła się nadzwyczajnie szybko i pomyślnie, tak że do r. 1885 było już wyszło 28 rozpraw dość obszernych, bo zawierających po 8 do 10 arkuszy druku najrozmaitszej i arcyciekawej treści, wszystkie podpisane przez znanych powszechnie uczonych katolickiego obozu.

W końcu i to zaznaczyć wypada, że na stypendya, honorarya, ułatwienie podróży naukowych, towarzystwo wyłożyło przez pierwsze dziesięć lat swego istnienia w okrągłej sumie 100.000 marek.

Oto jest zwięzły obraz działania towarzystwa, które ze skromnych początków urosło w krótkim stosunkowo czasie do bardzo poważnych rozmiarów, i stanowi dzisiaj użyteczną wielce instytucyę, którą się katolicy niemieccy słusznie pochlubić mogą.

Lecz wróćmy już do naszego zjazdu.

Stacya kolei żelaznej Eichstaett leży o dobrą milę od samego miasta, tak że osobną koleją, tramwajem parowym do miasta dojeżdżać trzeba; wolniejsza jazda sowicie się wypłaca, bo się lepiej można przypatrzeć uroczej i bardzo oryginalnej okolicy. Minąwszy ogromną letnią rezydencyę biskupią *(Wilibaldsburg)* zawieszoną na stromej skale, ukazuje się miasteczko na bardzo górzystym rozłożone miejscu, otoczone po większej części potężnym murem obwodowym, najeżonym średniowiecznemi basztami. Wagony były napełnione uczestnikami zjazdu, z którymi się też wkrótce zapoznaliśmy, pomiędzy innymi z prezesem baronem Hertlingiem, prof. uniwersytetu Monachijskiego. Na stacyi oczekiwał przybycia gości ks. Biskup miejscowy na czele duchowieństwa, nam zaś trzem przybyłym z Krakowa dodano bardzo miłego, młodego księżyka, któren nas zaprowadził do przygotowanej dla nas kwatery.

Powitanie członków jeszcze tego samego dnia miało nastąpić, a ponieważ w tak małej mieścinie trudno było o dostateczne pomieszczenie, musieliśmy się udać do domu stowarzyszenia czeladników katolickich *(Katholisches Gesellenhaus)*. Droga pod stromą

górę, dość znaczny kawał za miasto, a do tego wród egipskich ciemności nie mało była uciążliwą, zwłaszcza dla nas, po spędzeniu dwóch z rzędu nocy w kolei żalaznej. Nie żałowaliśmy jednak naszych trudów. Obszerna bardzo sala, czyściutka, ale jak najskromniej urządzona, powoli zapełniać się poczęła. Każdy przybywający zasiadał do długich stołów, i przed każdym stawiano natychmiast ogromne kufle piwa, które się z bajeczną szybkością wypróżniały i znów napełniały. Zgromadzenie powitał prezes komitetu przyjęcia i regens seminaryum *Dr. Schneid*, kładąc nacisk na to, że walne zjazdy głównie się przyczyniają do zapoznania się osobistego członków, przez co otrzymuje się jednolitość kierunku. W nauce katolickiej bowiem, tak samo jak w innych, rozmaite panują prądy, ale tu chodzi właśnie o wynalezienie dróg, które prowadzą do zjednoczenia. W imieniu miasta powitał zgromadzenie burmistrz; za obie mowy powitalne dziękuje w dłuższem przemówieniu prezes zjazdu *Dr. Hertling;* poczem bardzo swobodna i miła zabawa na wspólnej pogadance do późnej nocy się przeciągnęła.

Właściwe obrady rozpoczęły się nazajutrz mszą pontyfikalną o godzinie 8 z rana przez ks. Biskupa w katedrze odprawioną, przyczem uderzyła nas nadzwyczajna pompa i wspaniałość nabożeństwa, bogactwo aparatów, których w tak małej mieścinie trudno się było spodziewać. Przy tej sposobności usłyszeliśmy po raz pierwszy starą muzykę kościelną, której wskrzeszenie wyszło z Regensburga, głównie za inicyatywą słynnego wydawcy katolickiego Pusteta. Muzyka to wielce skomplikowana, do wykonania niezwykle trudna, to też pomimo wcale dobrych chórów i orkiestry, całość pozostawiła nieco do życzenia.

Zaraz po mszy i na prędce spożytem śniadaniu udaliśmy się do seminaryum św. Wilibalda, gdzie po podaniu naszych nazwisk i wpisaniu się na członków towarzystwa, zgromadzili się wszyscy w auli głównej, nie wielkiej, ale bardzo poważnej, noszącej na sobie wyraźny typ przybytku średniowiecznej nauki i pracy.

Zgromadzenie powitał dziekan katedralny *Thalhofer*. W przemówieniu swojem wspomina, że właśnie pod takiem Papieżem, jak obecnie nam panujący, katolicka nauka kwitnąć powinna, i że tego rodzaju stowarzyszenia jak Gerresowe na życzliwość i błogosławieństwo Ojca św. liczyć może. Jeżeli tak małe jak Eichstaett

miasto na miejsce walnego zjazdu obranem zostało, to zapewne przez wdzięczność za usługi, jakie tutejsza szkoła duchowna w ciężkich czasach prześladowania Kościoła nauce teologicznej oddała [1]. Z radością więc wita zgromadzenie, a kładąc nacisk na to, jak ważnem jest dla nauki każdej w ogóle, dla teologii w szczególności gruntowna podstawa filozoficzna, pomiędzy innemi zasługami towarzystwa na pierwszem kładzie miejscu niedawno, bo w r. b. rozpoczęte wydawanie rocznika filozoficznego. W końcu uprasza obecnego ks. Biskupa o udzielenie zgromadzonym błogosławieństwa. Przychylając się do tej prośby, ks. Biskup w poważnej i bardzo gorącej przemowie dziękuje towarzystwu za dotychczas podjęte trudy, i do dalszego działania i wytrwania zachęca. Budującym był widok, kiedy tylu znakomitych, zasłużonej sławy używających uczonych tak świeckich jak duchownych przed błogosławiącą biskupa dłonią padło na kolana.

Następuje roczne sprawozdanie ze stanu obecnego członków, kasy, podejmowanych lub ukończonych prac naukowych, którego tu nie powtarzam, ponieważ na wstępie o niem wspomniałem. Prof. *Deizenberger* dziękuje zarządowi, poczem dr. Stefan Pawlicki, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego wstępuje na mownicę i w pięknej, doskonałą niemczyzną wypowiedzianej przemowie, wita zgromadzenie w imieniu i z polecenia J. E. ks. biskupa krakowskiego. Po południu rozpoczęły się posiedzenia sekcyi, najprzód historycznej. Referentem jest *dr. Grauert*, profesor historyi na uniwersytecie Monachijskim, zarazem wydawca rocznika historycznego, wraz z młodym docentem tegoż uniwersytetu *dr. Schnürer*. Po przedstawieniu obecnego stanu wydawnictwa, jak przytoczono na wstępie, wywiązuje

[1] Od dawnych czasów Eichstaett jest siedliskiem jednej z najlepszych szkół teologicznych w Niemczech, bardzo licznie przez teologów katolickich z najrozmaitszych stron Niemiec uczęszczanej, posiadającej wspaniałą bibliotekę i znakomite zbiory naukowe. W ciągu kulturkampfu pruskiego Eichstaett było schronieniem dla mnóstwa młodych teologów pruskich. Pomiędzy nimi była i spora liczba Polaków z księstwa poznańskiego, których nazwiska ksiądz Biskup był łaskaw nam zakomunikować. Przy tej sposobności miło nam tutaj dodać, że wszyscy ci Polacy dobrą tutaj opinię zostawili, a jak nam mówił obecny na zjeździe Dr. Nirschl, słynny profesor teologii w Würzburgu, autorem najlepszej tegorocznej pracy konkursowej wydziału teologicznego na tamtejszym uniwersytecie był Polak.

się dyskusya, z której toku pokazuje się, że wydawnictwo, zachowując tę samą cenę prenumeracyjną, powiększyło się o $^1/_5$; mimo to uchwalają w końcu dalsze powiększenie rozmiarów rocznika[1].

Potem referent dr. Finke występuje z bardzo ważnym wnioskiem (dowodzącym, nawiasowo mówiąc, jak towarzystwo zadanie swoje pojmuje i jakiemi rozporządza środkami), aby towarzystwo Goerresowe, korzystając z otwarcia przez obecnego Papieża archiwum watykańskiego, ustanowiło stały instytut historyczny w Rzymie; w tym celu wyszukało dyrektora i kilku młodych i zdolnych, do tego rodzaju pracy już zaprawionych uczonych, którzyby w archiwum watykańskiem wyłącznie dla celów towarzystwa pracowali. Wniosek swój motywuje szczegółowo, sposób i możność wykonania takowego przedstawia jak najdokładniej, wreszcie oblicza jak najściślej koszta takiego przedsięwzięcia. Gdy wniosek poddano dyskusyi, powstaje sędziwy kanonik *Moufang* z Moguncyi i proponuje, aby zgromadzenie, uznając ważność i praktyczność wniosku, wcale nad nim nie rozprawiało, ale wyznaczyło odrazu komisyę, któraby się niezwłocznie wykonaniem projektu *dr. Finke* zajęła. Słowa te przyjęto ogólnym poklaskiem i tego samego dnia wyznaczono komisyę i 6000 m. rocznie na koszta przedsięwzięcia uchwalono, tak że z całą tak ważną sprawą w przeciągu jednej godziny się załatwiono. Zaiste godna to pozazdroszczenia jednomyślność, stanowczość i praktyczność w działaniu; do tych przymiotów, które całą dyskusyę charakteryzowały, jeszcze w końcu sprawozdania powrócę.

Posiedzenie sekcyi prawnej pod prezydencyą *dr. Bachem*, adwokata z Kolonii, członka centrum berlińskiego, zajęte było niemal wyłącznie sprawozdaniem z wydawnictwa słownika państwowego. Referent *dr. Bruder*, bibliotekarz uniwersytetu w Insbruku iście z germańską gruntownością i dokładnością zdawał sprawę z postępów przedsięwzięcia. Wydawnictwa wprawdzie postępują wolno, ale tem gruntowniej i dokładniej, zapewniony mają odbyt i ustaloną sławę naukową. Wniosku o powiększenie sił redakcyjnych celem spieszniejszego wydawnictwa nie przyjęto.

---

[1] Dodaję tutaj, że nas usilnie proszono, aby dostarczać towarzystwu, *respective* rocznikowi, peryodycznych wiadomości wraz z krótkiemi ocenami o wychodzących u nas publikacyach historycznych.

Na tem się skończyły prace dnia pierwszego. Wieczorem nastąpiło znów zebranie, przyczem miłą rozrywką były chóry wykonane przez towarzystwo śpiewaków młodzieży rzemieślniczej. Przygotowań żadnych, gdyż nawet pulpitów na nuty nie było, a podczas gdy jedni śpiewali, inni trzymali nuty i świece, ale zato śpiew był tak ładny, wykonanie tak czyste i staranne, że się z prawdziwą przyjemnością słuchało. Śpiew taki przez rzemieślników w małej mieścinie wykonany, większą jest oznaką cywilizacyi, niż oświecenie elektryczne, lub choćby jak najlepsza opera.

Nazajutrz po mszy św., odbytej na intencyę zmarłych członków towarzystwa, miało miejsce posiedzenie sekcyi filozoficznej, na której ks. prezydujący prof. dr. *Schütz* z Trewiru zdawał sprawę z nowego przedsięwzięcia towarzystwa, a mianowicie z wydawnictwa słownika filozoficznego, który już liczy 500 abonentów stałych, a 124 egzemplarzy odbytu w handlu księgarskim. Następnie *dr. Schwertschlager* ciekawy ma odczyt o kolejach, jakie przez ostatnie czasy przechodziła teorya Darwina. Zaraz potem następuje ostatnia sesya ogólna, na której rozebrano i przedstawiono rezultaty prac sekcyjnych całego zjazdu. Po kolei więc prezesowie każdej sekcyi dają obraz swych specyalnych czynności, tudzież zadań, jakie na rok następny przypadają. Pokazuje się z toku sprawozdania, że aczkolwiek zjazd liczebnie był mniejszym, niezwykłą jednak ilość ludzi fachowych zgromadził. Następnie *dr. Finke* czyta ciekawą bardzo rzecz: „O stanowisku króla Zygmunta na soborze Konstancyjskim"; całość oparta na zupełnie nowych i źródłowych badaniach w archiwum watykańskiem. Potem prezes zamyka posiedzenie, dziękuje wszystkim za czynny współudział i zaprasza na przyszłoroczny walny zjazd, którego miejsce w swoim czasie członkom będzie zakomunikowane. Starałem się jak najkrócej rzecz całą przedstawić, nie chodziło mi bowiem tyle o szczegóły samych rozpraw, ile o danie obrazu instytucyi bardzo poważnej, dla świata katolickiego wielce użytecznej, a jako czysto naukowej, mającej niejako kosmopolityczny charakter. Na zakończenie zaś pozwolę sobie kilka uwag o sposobie traktowania samej sprawy.

Otóż nie możemy inaczej powiedzieć, tylko że byliśmy po prostu zbudowani przebiegiem rozpraw. Najprzód zadziwiła mnie niezwykła zręczność i wytworność w mowie i dyskusyi, co się je-

dnakże tem tłumaczy, że większa część mowców należała do parlamentu lub ciał nauczających; co mnie zaś głównie uderzyło i z czego naprawdę przykład brać należy, to: pracowitość, ofiarność i skromność wszystkich tych ludzi. Nie padło tam ani jedno słowo dla popisu krasomówczego, ale wszystko się odnosiło wprost do zamierzonego celu, a prezes tak ściśle przestrzegał, by czasu nie tracono, że każdemu natychmiast przerywał, skoro tylko kto od przedmiotu swego odbiegał, (aczkolwiek zaledwie dwa razy tego się okazała potrzeba), bo też wszystkie te tak doniosłe poruszone kwestye, praktyczne i bardzo ważne uchwały, zabrały wszystkiego półtora dnia czasu. Mimowoli i z pewną zazdrością zwracał się człowiek myślą do własnego kraju, gdzie tak wiele się gada a tak mało robi. Prawda, że wolność i normalny stan społeczny, względna harmonia pomiędzy rządem a narodem, ułatwiają niesłychanie każdą pożyteczną pracę. Zaraz po skończeniu rozpraw zgromadzili się wszyscy do wspólnej uczty, która wśród odpowiednich toastów, bardzo miły i serdeczny przebieg miała. Żegnani bardzo życzliwie przez wszystkich, opuściliśmy zaraz potem wesołe i miłe miasteczko, które nam się stale, a mam nadzieję w użyteczny sposób w pamięci wyryje. Wszystkim zaś, ktorzy nam tamże tak gościnne i serdeczne zgotowali przyjęcie, na tem miejscu dzięki składamy.

Dr. Paweł Popiel.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Sygnały podmorskie. — Manchester portem morskim. — Obrót słońca. — Kongres o suchotach. — Zaraźliwość zapalenia płuc.

Ulepszenia żeglugi nie zmniejszają wcale obawy podróżnych, a dumny przemysłem swoim Anglik, puszczając się na najświeższej konstrukcyi parowcu w świat nowy, podobnie jak zamierzchłej starożytności kupiec fenicki, nie może sobie na pewne obiecywać szczęśliwej i bezpiecznej drogi. Nie zbłądzi on wprawdzie w bezmiernej przestrzeni oceanu, a może nawet nie rozbije się o skały podwo-

dne, lecz czy okręt jego z drugim się gdzie nie zderzy i nie zdruzgocze w kawałki? to pytanie. Prawda, że na pozór podobne wypadki mogłyby się zdawać niemożliwe, bo przecież morze, ta jedna olbrzymia płaszczyzna przedstawia drogę aż nadto przestronną i dogodną do wszelkich obrotów, parowiec nie potrzebuje, jak pociąg drogi żelaznej, trzymać się wyznaczonej szynami kolei. Tak, ale smutne doświadczenie całkiem inaczej rzecz nam przedstawia. Owszem, popatrzywszy na pierwszą lepszą mapę widzimy, że i na morzu są drogi, choć w rzeczywistości niewidzialne, mimo to jednak jak najściślej oznaczone. Gwiazdy i igła magnetyczna tak wiernie po nich prowadzą żeglarza, że ani na krok mu zboczyć nie dozwalają. Stąd, jeżeli dwa statki płyną w przeciwnych kierunkach, gdy ciemności nocy lub mgły zasłonią widnokrąg, a huragan i grzmoty zagłuszą wszystkie sygnały fonetyczne, wówczas muszą się spotkać gdzieś wśród drogi zderzenia i zguby niechybne.

W jaki sposób zaradzić złemu?

Takie pytania rozbiera dziś nauka: pp. Banové, kapitan francuskiej fregaty i Bayer, porucznik floty angielskiej, występują z świeżym pomysłem sygnałów podmorskich. Woda bowiem o kilka metrów pod powierzchnią posiada i gęstość jednaką i stałą temperaturę, a głos cztery razy większą ma w niej chyżość niż w powietrzu. Chodzi tylko o przyrząd, któryby fale głosowe zbierał i odtwarzał. Mniemano z początku, że mikrofon wystarczyć mógłby w tej mierze. Ale myśl ta okazała się niepraktyczną. Najważniejsza bowiem część składowa tego aparatu, płytka drgająca, po zanurzeniu we wodzie nie jednakowemu ze stron obu ulega ciśnieniu, tj. na zewnątrz ciśnieniu wody, a na wewnątrz powietrza zamkniętego w skrzynce mikrofonowej, a więc ani drgać ani zbierać sygnałów nie może. Niedogodności tej zaradził zupełnie p. Banové swym zmodyfikowanym mikrofonem, czyli jak go nazywa — hydrofonem. Dla równowagi ciśnień na obie strony wspomnianej płytki, przytwierdza on nad skrzynką kauczukowy balonik powietrzem nadęty, a otwierający się do wnętrza. Gdy aparat tak urządzony zanurzy się we wodę, ciśnienie jej zdusza balonik, a przez to samo zgęszcza się powietrze wewnątrz skrzynki w miarę zagłębiania. Stosownie dobraną wielkością balonika można zawsze zrównoważyć zewnętrzne ciśnienie wody na płytkę. Cały aparat umieszcza się wewnątrz rury

zasklepionej w górze, a w dole otwartej, tę zaś napełnia się poprzednio wodą. Inna rura z ołowiu okrywa pierwszą, a tę jeszcze trzecia osłania, tak iż aparat wśród szumu bałwanów, ryku wichru i huku gromów, żadnego innego głosu nie zbiera prócz sygnału potrzebnego do zoryentowania się żeglarza. Próby w zatoce Brest wypadły pomyślnie, hydrofon zbierał i odtwarzał sygnały nawet z odległości 5.200 metrów.

P. Bayer w swym pomyśle zastosowuje telefon do przesyłania podmorskich sygnałów. Przyrząd jego wynalazku składa się z dzwonu, w którego wnętrzu znajduje się telefon, a który zanurza się do wody. Telefon zbiera sygnały czy to pobliskich okrętów, czy morskich przystani; i na odwrót wysyłać można sygnały, wybijając młotkiem na dzwonie znaki alfabetu Mors'a. Wkrótce zapewne każdy okręt, zaopatrzony w jeden z tych przyrządów śmielej pruć będzie fale oceanu, a liczba nieszczęśliwych wypadków o wiele się zmniejszy.

Z ciągłym postępem wynalazków idzie dziś w parze postęp olbrzymich projektów. Do takich bezwątpienia zaliczyć można świeżo podniesioną kwestyę połączenia miasta Manchester z morzem. Nie jest to rzecz nowa, już bowiem r. 1759, po zbudowaniu kanału z Worsley-Mill do Sulford, zastanawiano się nad pytaniem, czy przez proste pogłębienie koryta rzeki Mersey nie udałoby się Manchester zamienić w port. Projekt ten jednak spełzł na niczem. Dopiero bieżącego roku po wielu meetingach najznakomitszych przedstawicieli świata handlowo-przemysłowego, na których gruntownie rozebrano wszelkie korzyści i straty przedsiębiorstwa, podniesiono myśl tę na nowo, i zabrano się na seryo do roboty.

Wedle najnowszego planu, kanał ma być zupełnie niezależnym od wszystkich dróg wodnych dotąd istniejących; zacząć się ma koło Easthan, na południe Mersey, z którą na przestrzeni 22 kilometrów ma mieć bieg wspólny, aż dopiero przy Sulford zwróci się w kierunku do Manchester. Długość całego koryta obliczają na 56 do 57 kilometrów, głębokość 8 metrów, koszta wedle p. Walker mają wynosić około 5 milionów funtów szterlingów, cała zaś robota potrwa cztery lata. Praca, jaką przedstawia kopanie łożyska, sypanie tam i grobli, ogromna. Sama objętość ziemi, którą potrzeba wydobyć i wynieść, wynosi 35 milionów metrów sześciennych, a z tych

5 milionów przypada na skały. Nadto, trzeba wziąść w rachubę i tę okoliczność, że kanał ma przerzynać całą sieć innych dróg wodnych i koleji żelaznych, gdzie ruchu wstrzymywać nie można. To wszystko jednak nic nie znaczy. Ogromne i liczne fabryki tkackie, któremi Manchester oddawna słynie, cały nakład zwrócą. Dlatego synowie Albionu raźno się zabrali do zrealizowania swego zamiaru. Już przeszło piędziesiąt machin parowych stoi na pogotowiu, robota cała podzielona na cztery oddziały, a akcyonaryuszów znalazło się przeszło do czterdzieści tysięcy.

Od czasów Scheinera i Galileusza, którzy uzbrojeni w lunety poczęli się przyglądać tarczy słonecznej i ze zdumieniem ujrzeli liczne po niej rozsiane plamy, astronomowie nie przestali śledzić tych osobliwych skaz naszej gwiazdy. Badania szczególniej ostatnich dwudziestu pięciu lat nagromadziły nader obfite skarby spostrzeżeń, które oczekują, by z nich wydobyć ostateczny wynik. Plamy słoneczne, związane są ściśle z zagadnieniem obrotu słońca, kto je rozwiąże, przysporzy nauce znakomitą zdobycz.

Zadanie to jednak niełatwe i zdaje się oczekiwać dokładniejszego poznania składu fizycznego słońca.

Kto przez czas dłuższy śledził jedną z plam na słońcu, mógł zauważyć, że ona nie pozostaje zawsze w jednem miejscu, lecz się posuwa ze wschodu na zachód tarczy, jak gdyby do niej przytwierdzoną była. Z tego zjawiska wnieść można, że słońce obraca się około siebie. Cały obrót kończyłby się w 25 dniach, choć pozornie nieco się dłuższym wydawać może, bo też i ziemia w tym czasie posuwa się po swej drodze. Lecz oto przedstawiają się trudności. Każda plama posuwa się innym ruchem, nie można zatem z ruchu jednej z nich o obrocie całej masy słońca żadnego wniosku wyprowadzać. Co więcej, z różnorodności ruchów plam słonecznych trzeba wnosić, że nasza gwiazda nie obraca się na kształt ciał stałych, ale każdy jej równoleżnik posiada właściwą chyżość kątową. Okolice słońca tuż przy równiku położone najgwałtowniej wirują; 25 dni wystarcza im do zupełnego obrotu. W miarę oddalania się od równika chyżość tego ruchu wolnieje. Ale czy takie opóźnienie i w okolicach podbiegunowych istnieje, osądzić trudno z tej prostej przyczyny, że w tych okolicach plam już zupełnie niema.

Skąd pochodzi owa różnorodność chyżości? Co za przyczyna

zupełnego braku plam przy biegunach? Co sprawia, że one w pewnych porach zbliżają się jużto ku równikowi, jużto ku biegunom? Oto pytania, nad któremi uczeni suszą sobie dziś głowy.

Rzecz nie jest jeszcze dokładnie wyjaśniona, nie brak jednak prawdopodobnych przypuszczeń. Jeden z astronomów amerykańskich tłumaczy ruchy plam słonecznych różną chyżością kątową warstw, z których składa się słońce. Prostem doświadczeniem stara się stwierdzić prawdziwość swego przypuszczenia. Dość wsypać do kuli nalanej wodą i alkoholem pewną ilość drobnych ciałek i nadać jej ruch obrotowy. Po małem zwolnieniu pływaki zbiorą się po obu stronach równika, tworząc z każdej jego strony powierzchnię stożkową, mającą wierzchołek zwrócony ku biegunom; zwalniając ruch, brzegi stożkowe wyginają się ku biegunom.

Zjawisko całkiem podobne odbywać się zdaje na słońcu. Ruch pływaków w doświadczeniu odpowiada zupełnie ruchowi plam, a nawet tłumaczy zupełnie ich sporadyczne zbliżanie się ku biegunom. W doświadczeniu warstwa zewnętrzna płynu wskutek tarcia przy zwalnianiu chyżości mniejszą posiada chyżość niż wewnętrzna, zatem wnosić wypada, że i powierzchnia słońca wolniej się obraca niż warstwy jego wewnętrzne. Lecz by o tem coś pewniejszego wyrzec można, trzeba lepiej poznać skład fizyczny słońca. Dziś dwie istnieją hypotezy, na dość silnych wsparte podstawach.

Znany astronom p. Faye uważa słońce za masę gazową, która ustawicznie na powierzchni ostyga. Powstaje stąd ciągła wymiana materyi między warstwą zewnętrzną a środkową, i zarazem zmiany chyżości: warstwy środkowe o małej chyżości kątowej, wznosząc się do warstw zewnętrznych, zmniejszają ich chyżość, i odwrotnie — warstwy zewnętrzne przenikające do środka wzmagają miejscowy bieg. Plamy, któremi cała powierzchnia słońca zasiana, powstają wskutek wirów, zrodzonych nierówną chyżością pojedyńczych pasów równoległych powierzchni zewnętrznej.

Różną od tej jest mało znana hypoteza p. Zöllera. Według niej słońce jest masą płynną, w najwyższym stopniu rozgrzaną; otacza ją właściwa atmosfera. Plamy są to żużle powstałe wskutek miejscowego oziębienia, a że przyczyną ostudzenia tego jest promieniowanie, więc też tworzeniu się plam sprzyja pas średni między równikiem a biegunami, z powodu przeźroczystości i względnego spokoju atmosfery.

Obie hypotezy jeszcze nie pewne. Ostatnia choć zgadza się z analizą spektralną, ulega wielu zarzutom ze strony praw mechaniki; pierwsza więcej jest racyonalną, ale jeszcze nie jest wykończoną zupełnie.

Przechodzimy do ziemskich rzeczy, więcej z codziennem życiem związanych; a temi są choroby. Najpospolitszą z tych plag ludzkości są suchoty. Osoby najświetniejsze rokujące nadzieje, czy w pełni życia, czy nawet jeszcze w kwiecie wieku, padają ofiarą tej strasznej choroby; a jeśli gdzie, to z pewnością u nas wypadki jej nie rzadkie Nauka niestety nie zna dziś pewnego i niezawodnego lekarstwa, a choć od czasu do czasu pojawiają się szumne ogłoszenia o wynalezieniu takowych, wkrótce pokazuje się, że było to tylko co najwięcej chwilowem mniemaniem, a często wyzyskiwaniem łatwowiernych. Z tych przyczyn zebrał się przed kilku miesiącami kongres uczonych i lekarzy w Paryżu, zwołany w celu narady nad naturą suchot, poznawszy bowiem istotę łatwiej pomyśleć o środkach, a wiedząc w jakich się warunkach rozszerza, nie trudno uchronić przynajmniej zdrowych i tem samem zmniejszyć ilość wypadków.

Po postrzeżeniach i doświadczeniach Kocha ogół przypisuje suchoty *mikrobowi* czy *bacillowi* szczególniejszego gatunku; tego samego przekonania jest wielu lekarzy, tę samą też opinię ogółu usankcyonował wspomniany kongres. Ale jakże z tem pogodzić dziedziczność suchot? Wielu dziś bowiem i uczonych i nieuczonych, licznymi powodowanych przykładami z codziennego życia, sądzi, że choroba ta z rodziców na dzieci przechodzi w spuściznie. Że dziecko karmiące się mlekiem matki mogłoby się od niej zarazić, pojąć nie trudno, ale nie wiadomo, jak się zaraza z organizmu ojca do dziecka dostaje. Wielka różnica zdań objawia się w tej mierze na kongresie. Dopiero p. Galtier opierając się na licznych próbach dokonanych w tym celu okazał, że potomstwo zarażonych zwierząt nie ma w sobie zarodków choroby, tylko nader łatwo zaraża się później. Łatwo stąd wywnioskować, że dziedziczność suchot nie bezpośrednią, lecz pośrednią drogą da się wytłumaczyć; czyli że dziecko odziedzicza po rodzicach konstytucyę, temperament, w ogóle mówiąc pewne wady organiczne, które sprzyjają rozwijaniu się zabójczych zarodków. A o tem, że dziecko mieszkając

z chorymi rodzicami, oddychając tem samem co oni powietrzem, tysiączne ma do tego okazye, nie potrzeba, sądzę, wiele mówić.

Kongres skonstatował też fakt, że pomijając dziedziczną skłonność do suchot, człowiek zdrowy przez długi czas może się opierać ich zarodkom. Lecz mimo to narażać się na nie jest rzeczą niebezpieczną. Należy zatem za pomocą środków zaradczych usuwać wszelkie sposobności sprzyjające rozwijaniu się zarodków, a natomiast używać wszystkich nieprzyjaznych im czynników. Lecz o ostatnie trudno, bo ich nie znamy. Wprawdzie p. Villemin zapowiedział na szanownem zebraniu, że już wpadł na ślady środków zaradczych, jakie wypada używać tym, co bezpośrednią mają styczność z suchotnikami, ale ostatecznie nie wyrzekł nic stanowczego. Stąd kongres ograniczył się tylko na przestrodze nie sprzedawania mleka i mięsa z zarażonych zwierząt. Prawda, niebezpieczeństwo nie jest tu tak wielkie, jakby chodziło o sprzedawanie trucizny, bo liczne doświadczenia dowodzą, że tylko 7 na 34 przypadków zarażenia stąd pochodziło, lecz zawsze sprawdza się tu przysłowie, iż strzeżonego Pan Bóg strzeże, a każdy podziękowałby uprzejmie za to, żeby nie być jednym z tych siedmiu. Zalecono też silne gotowanie pokarmów, bo wysoka temperatura niszczy zarodki. Dlatego każdy z czytelników, który się obawia w ten sposób zarazić się, może nakazać dobrze przypiekać mięso, a jeśli chce to i silnie gotować mleko, ale zarazem niech wie o tem, że jeśli ma umrzeć na suchoty, to wszystkie te ostróżności mało mu pomogą, bo zarodki z powietrzem dostać się mogą do jego organizmu, a nauka dziś nie wie jeszcze jak ostatecznie złemu zaradzić.

Ciekawą, a także dotyczącą chorób wiadomość ogłasza p. Netter w *Archives générales de médicine*. Spotykamy się tu z niepocieszoną nowiną, że zapalenie płuc jest zaraźliwą chorobą, którą też mamy zawdzięczać mikroskopijnym żyjątkom. Rzecz to nie nowa. Już cztery lata temu pierwszy p. Friedländer miał szczęście oglądania tego złośliwego wroga. Dziś dowiadujemy się, że zarodki choroby mogą się długo wewnątrz organizmu zachowywać, oczekując tylko stosownej chwili, by się rozwinąć. Przeziębienie ma im najwięcej sprzyjać, ale w jaki sposób, to jeszcze tajemnica. Wiedząc o tem, nie trudno wytłumaczyć sobie, skąd to pochodzi, że często ludzie ozdrowiawszy zupełnie z zapalenia, napowrót w nie

wpadają, i że nie rzadkie jego wypadki pojawiają się w tej samej familii w dłuższych odstępach czasu.

E. Wereszczyński.

Jak stara jest ziemia?

Wielu astronomów i geologów usiłowało obliczyć przypuszczalnie wiek ziemi; liczby, do jakich doszli, były olbrzymie, liczyły się na miliardy lat: najmniejszą liczbę lat znalazł Williams Thompson, nie przekraczała ona bowiem stu milionów. Tej chwiejności w obliczaniu dziwić się nie można, biorąc na uwagę, iż brak jest pozytywnych danych do rozwiązania tego zagadnienia: nie wiemy bowiem, jaką ciepłotę i objętość posiadała nasza ziemska nebuloza, jaka była jej gęstość, jaka była ciepłota jej otoczenia i t. d. W jednym z ostatnich numerów *Revue Scientifique* A. D'Assier użył nowej metody do tegoż obliczenia: przypuszcza, iż pierwotnie ziemia nasza oderwała się od słońca w stanie lotnym, i zadaje sobie pytanie, ile potrzebowała czasu do swego oziębienia, tj. do przejścia w stan ciekły i otrzymania pierwszej skorupy stałej. Opierając się na danych, jakie dostarczają nam nauki przyrodnicze co do ciepłoty słońca, dochodzi do wniosku, iż słońce do zupełnego ostygnięcia będzie potrzebowało jeszcze 10 milionów lat, a że stan, w jakim obecnie się znajduje, trwa już 15 milionów lat, stąd cały czas do oziębienia kuli słonecznej wyniesie 25 milionów lat. A że kula ziemska daleko jest mniejsza, stąd przypuszcza, że 250.000 lat wystarczyło do jej oziębienia; dodaje jednakże drugie tyle czasu do jej przemiany ze stanu nebulozy w stan gwiaździsty: słowem, pół miliona lat potrzebowała ziemia po oderwaniu się od słońca do pokrycia się skorupą krystaliczną.

Następuje teraz druga epoka, mianowicie wytwarzanie się pokładów geologicznych. Skoro wody w kształcie oceanów osiadły na skorupie krystalicznej, skutkiem sił fizycznych i chemicznych poczęły się przerabiać; namuł osiadał i tworzył pokłady. W tym czasie również pojawiło się życie na ziemi; rośliny i zwierzęta wzięły udział w pracy około utworzenia nowej skorupy. Znamy grubość pokładów geologicznych; ten współczynnik pozytywny na-

daje więcej pewności liczbom mającym wyrażać wiek ziemi, i gdybyśmy mogli dojść, ile czasu potrzeba było do utworzenia pokładu na grubość jednego metra, wówczas proste mnożenie dałoby nam dokładną liczbę lat. A D'Assier oblicza trwanie peryodu lodowego na 70 tysięcy lat, a że grubość jego pokładów wynosi 200 metrów, stąd potrzeba 350 lat na jeden metr pokładu. Przyjąwszy tę ostatnią liczbę za normę dla wszystkich pokładów geologicznych, ponieważ ich grubość wynosi 38 kilometrów, otrzymamy 13,300.000 lat, jako liczbę odpowiadającą długości trwania drugiego stadium kuli ziemskiej. Dodawszy do tej liczby pół miliona lat pierwszego stadium, dodawszy jeszcze dwa miliony, jak to czyni D'Assier, do wypełnienia przerw, jakie następowały między okresami geologicznymi, w których niezdarzało się upokładowanie, cały wiek ziemi naszej wyniesie około 15 milionów lat. Zapewne, liczba ta dokładną nie jest, jednakże, ponieważ częściowo przynajmniej opartą jest na wynikach doświadczalnej nauki i zbliża się do rzeczywistości, stawia zarazem tamę rozbujałej wyobraźni przyrodników-poetów, którzy utrzymują, iż pojawienie się życia na ziemi miało miejsce w tak odległym czasie, „iż nawet trudno go sobie wyobrazić"!

Nasuwa się obecnie pytanie, nie mniej ciekawe, a nawet ciekawsze od poprzedniego, jak długo istnieć jeszcze będzie ziemia?

Umiejętności przyrodnicze zaznaczają najprzód, że ziemia oziębia się ciągle, choć nader nieznacznie: ubytek ciepła w skutek promieniowania ku zimnym przestworom nieba nagradzany jest nabytkiem, jaki ziemia otrzymuje od słońca. Lecz to źródło ciepła jest wyczerpalne, przyjdzie czas, iż wyczerpnie się zupełnie i nie będzie mogło zasilać ziemi: zgaśnie kiedyś światło, nie stanie ciepła słonecznego, a wówczas kula nasza pokryta lodem i ciemnościami, krążyć będzie martwa około środka swego przyciągania. Taki byłby koniec ziemi, gdyby nie wchodziły w rachunek inne czynniki.

Zauważano już dawniej, iż wzmaga się wiekami obieg księżyca około ziemi; według praw Keplera przyśpieszenie ruchu pociąga za sobą skrócenie drogi przebiegalnej, czyli zbliżenie do ciała przyciągającego, którego ostatnim wyrazem będzie zespolenie zupełne. Księżyc upadnie kiedyś w postaci olbrzymiego meteora na ziemię, skruszy i zbije się z nią, ruch przetworzy się w ciepło, ziemia będzie spalona. Tenże los czeka i ziemię... Te miliony meteorów,

które spadają corocznie na ziemię, powiększają jej masę; miliardy ich prawdopodobnie czynią to samo ze słońcem: według praw Newtona, masy przyciągają się wzajemnie w stosunku prostym do swej wielkości, ponieważ masy ziemi i słońca coraz są większe, a zatem coraz więcej się przyciągają, przyjdzie tedy chwila, w której ziemia spadnie na słońce, utraci swój samobyt, swoją indywidualność, powróci skąd wyszła. Takie jest ostatnie słowo dzisiejszej umiejętności; czy się ono sprawdzi?

Umiejętności przyrodnicze wielki w ostatnich czasach zrobiły postęp, wiele wyjaśniły rzeczy, lecz przedewszystkiem otworzyły nam oczy na wielkie niedostatki i braki, wiemy dziś lepiej niż kiedykolwiek, jak wiele jeszcze do zbadania; dlatego z oględnością należy brać wnioski wyprowadzane przez umiejętności. Jednakże mając przed oczyma te wnioski przyrodników o końcu ziemi trudno nie zauważyć pewnej harmonii między nimi a słowami proroczemi Pisma św. Czytamy u św. Mateusza: *A natychmiast po utrapieniu onych dni słońce się zaćmi, i księżyc nie da światłości swojej: a gwiazdy będą padać z nieba, i mocy niebieskie poruszone będą*[1]. W Apokalipsie znajdujemy taki ustęp: *Stało się wielkie trzęsienie ziemi, i słońce stało się czarne jako wór włosiany, i księżyc wszystek stał się jako krew. A gwiazdy z nieba upadły na ziemię... a niebo odstąpiło jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy ze swoich miejsc poruszone są*[2]. A u Piotra św.: *A dzień Pański przyjdzie jako złodziej, w który niebiosa z wielkim szumem przeminą, a żywioły od gorąca rozpuszczą się, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone będą*[3].

[1] XXIV, 29.
[2] VI, 12, 13, 14.
[3] II, Św. Piotr., III, 10.

Druk ukończony dnia 26 listopada 1888 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

W sprawie propinacyjnej. Przez *Jana Popiela* . . 305

Co to jest hypnotyzm? Przez *Ks. Maryana Morawskiego T. J.* (dok.) 153, 319

XIV-te Walne Zgromadzenie Towarzystwa Goerresowego. Przez *Dr. Pawła Popiela* 437

Zasady i żądania radykalnego socyalizmu. Przez *Ks. Dr. Kopycińskiego* 92, 198

Artykuły naukowe i literackie.

Kapłańska i literacka działalność Ks. Stanisława Chołoniewskiego. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* (c. d.) 1, 179, 357

Dwie królowe. Szkic dziejowy. Przez *Maryana Dubieckiego* (dok.) 20

Stanowisko włościan w Polsce Przez *Ks. Józefa Waligórę* (dok.). 42, 164, 376

Z literatury angielskiej 59

Z przeszłości uniwersytetu krakowskiego. Wisnka-Wistka, św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski. Przez *Dr. Władysława Wisłockiego* (c. d) 78, 339

Stronnica.

O Masonii w Polsce, na źródłach wyłącznie masońskich. Przez *Ks. Stanisława Załęskiego T. J.* (dok.) 210
Lach i Lech. Szkic historyczno-lingwistyczny. Przez *Szymona Matusiaka* 230
Listy krymskie księcia de Ligne 390

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Mesyaniści i Słowianofile. Szkice z psychologii narodów słowiańskich. Napisał *M. Zdziechowski. (B. Jasieńczyk).* 101
Napoleon. Dramat w pięciu aktach. Napisał *Artur M. Łączewski* 109
Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich. Napisał *hr. Wojciech Dzieduszycki.* Z 14 mapami autografowanemi. *(Szymon Matusiak)* 112
O systemie fizyokratów w ekonomice społecznej. Napisał *Dr. Stanisław Głąbiński. (Ks. Kopyciński).* 114
Bolonia i jubileusz jej uniwersytetu. Napisał *Jerzy Mycielski.* 242
W sprawie inkwizycyi. W rok jubileuszowy Ojca św. Leona XIII. Napisał *L. Glirius* 243
St. Tarnowski. Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XVI. *Jan Kochanowski (Czesław Pieniążek).* 403
Czary na dworze Batorego. Kartka z dziejów mistycyzmu w XVI w. jako przyczynek do charakterystyki króla Stefana. Przez *Aleksandra Kraushara* 410
„Boże wspieraj". Hymn ludu na pamiątkę dnia 2 grudnia 1888, illustrowany przez artystów austryackich, w dziewięciu wydaniach 411
O rozwoju myślenia. Napisał prof. Dr. *Antoni Kosiba* . . . 412

Z piśmiennictwa zagranicznego:

L'idée Russe. Par *Vladimir Soloviev. (Ks. M. Morawski T. J.)* 115
Life of the Blissed John Fisher. By the Rev *T. E. Bridgett* 119
Materiae meditationum et concionum ex Evangeliis et Epistolis Dominicarum in singulos hebdomadarum dies per totum annum distributae in usum sacerdotum a *Georgio Patiss*, sacerdote Soc. Jesu 121
Der Gottesbegriff in den heidnischen Religionen der Neuzeit. Eine Studie zur vergleichenden Religionswissenschaft von *Christian Pesch S. J.* 121
Najnowsze wydawnictwa paleograficzne 245
Der Hexenwahn vor und nach der Glaubensspaltung in Deutschland. Von *Johann Diefenbach.* 253
Johann Dietenberger (1475—1537). Sein Leben und Wirken. Von *Hermann Wedewer.* 254
Napoléon Bonaparte. Oeuvres littéraires etc. Par *Tancrède Martel* 255
Qu'est ce que le tiers état? Par *Emmanuel Sieyès* 255

Stronnica.

Lady Georgiana Fullerton. Par M-me *A. Craven*. 413
Kurzgefasste Geschichte der geistlichen Genossenschaften und der daraus hervorgegangenen Ritterorden. Von *Ernst von Bertouch*. 416
Handbuch der Pastoralmedicin mit besonderer Berücksichtigung der Hygiene. Von *Dr. Stoehr. (Ks. A. Arndt)*. . . 418
Little Lord Fauntleroy by *F. H. Burnett*. — Transformed by *Florence Montgomery* 419

Z pism czasowych:

Dodatek literacki „Kraju“ o pojedynku. 256
„Kłosy“ 262
„Dziennik Polski“ o internacyonale klerykalnym. Przez *Ks. Kopycińskiego* 420

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Październik.

Sprawy Kościoła: Kongres niemieckich katolików w Fryburgu. — Rezolucye odnoszące się do „kwestyi rzymskiej“. — Podróż cesarza niemieckiego do Rzymu. — Pogłoski o podróży rzymskiej cesarza austryackiego. — Laicyzacya misyjnych szkół włoskich. — Encyklika papieska do Ormian Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 123
Groby dawnych królów Sydonu wedle najświeższych poszukiwań w Saidzie. 132
Zjazd konserwatorów austryackich w Krakowie. Przez *Ks. E. Skrochowskiego* 144
Z mowy Windthorsta 151

Listopad.

Sprawy Kościoła: Pobyt cesarza niemieckiego w Rzymie. — Kwestya przybycia do Rzymu cesarza austryackiego. — Obchód rocznicy 20 września. — Pomnik Garibaldego. — Adres liberałów belgijskich. — Krucyata głoszona przez kardynała Lavigerie. — Memoryał portugalskiego ministra spraw zagranicznych. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.*. . 263
De Quatrefages o transformizmie 273
Listy z nad Bałtyku. XVII: (dok.) Założenie wszechnicy Dorpackiej. — Jej niemiecko-europejska cecha — Początkowe trudności — Kuratorowie. — Wpływ i znaczenie wszechnicy Dorpackiej. Przez *Gustawa Manteuffla* . . . 276
Chrześcijańska fabryka w Val-des-Bois 294
Misye protestanckie w Azyi i Afryce 300

Stronnica.

Grudzień.

Sprawy Kościoła: Skutki pobytu w Rzymie cesarza Wilhelma. — Mowa Papieża do pielgrzymów neapolitańskich. — Rocznica bitwy pod Mentaną. — Rozprawy w senacie o kodeksie karnym. — Mowa Windthorsta w Kolonii. — Mowa Schorlemer-Alsta. — Uchwały katolików holenderskich i angielskich. — Zapowiedziane kongresy w Wiedniu i Madrycie. — Krucyata kardynała Lavigerie. — Pocieszające objawy. — *Czas* o poselstwie Izwolskiego. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 427

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: Sygnały podmorskie. — Manchester portem morskim. — Obrót słońca. — Kongres o suchotach. — Zaraźliwość zapalenia płuc. Przez *E. Wereszczyńskiego T. J.* 447

Jak stara jest ziemia? 454

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Ks M. Morawski. T. J.